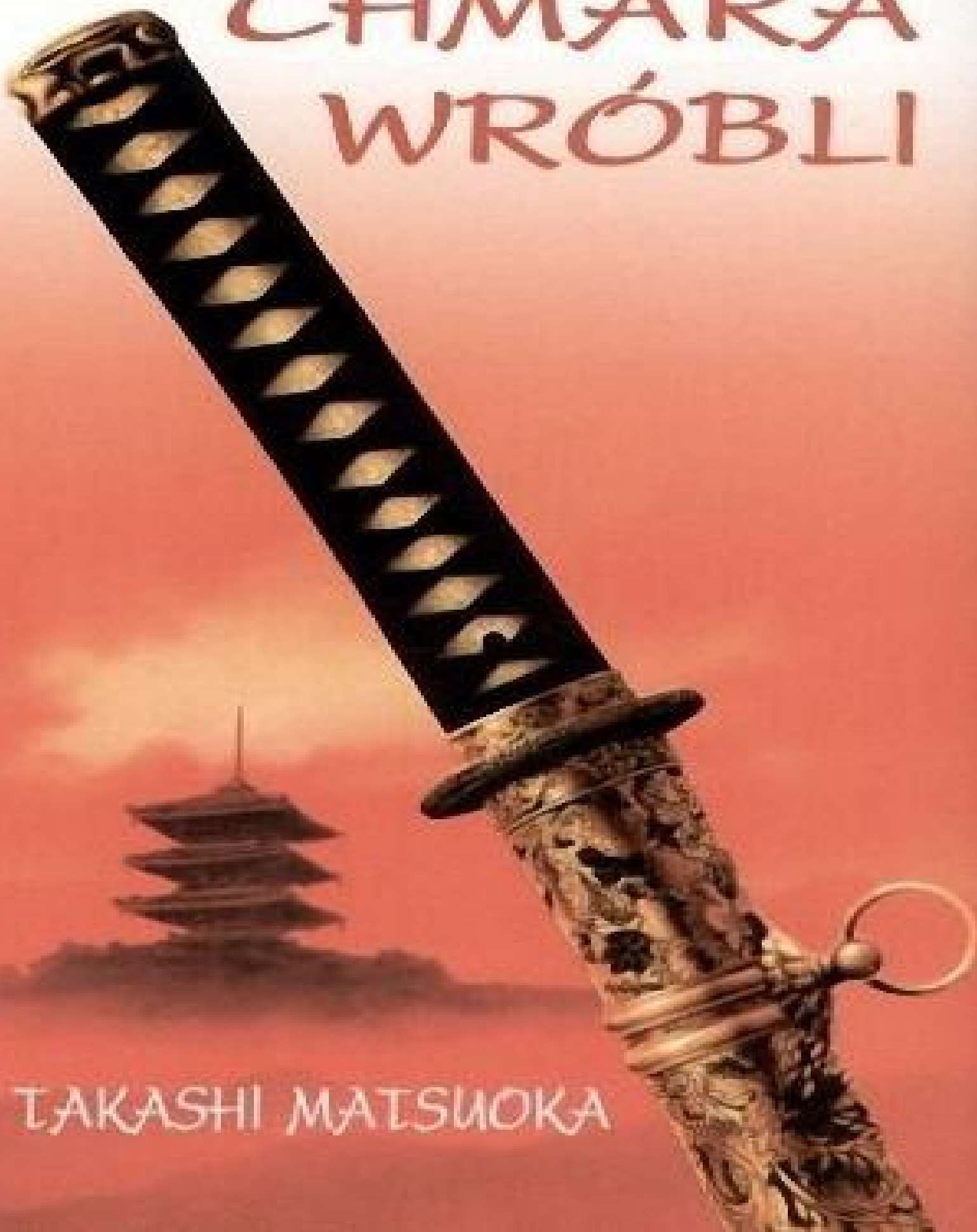


# CHIMARA WRÓBLI



TAKASHI MATSUOKA

# CHMARA WRÓBLI

TAKASHI MATSUOKA

# Matsuoka Takashi

*Chmara Wróbli 01*

## Chmara Wróbli

Epicka powieść samurajska z wątkiem niemożliwej miłości, nawiązująca do słynnego "Shoguna" Jamesa Clavella. Ukazuje XIX-wieczną Japonię, świat samurajów, gejsz, zabójców ninja i mistrzów zen.

Japonia, rok 1861, czasy rządów shoguna. Do portu Edo, stolicy kraju, przybywa troje amerykańskich misjonarzy - świątobliwy Zeph Cromwell w towarzystwie pięknej narzeczonej Emily Gibson i byłego rewolwerowca Matthew Starka. Ich gospodarzem jest książę Genji, przywódca klanu Okumichi, władca Akaoki. Niechętny cudzoziemcom szef tajnej policji shogunatu chce zgładzić Genjiego, licząc na to, że śmierć młodego księcia osłabi prozachodnie stronnictwo w radzie dworskiej. Do wykonania wyroku zostaje wyznaczona niezwyklej urody gejsza Heiko, kochanka księcia, potajemnie wychowana przez ninja. Przeczuwając spisek, obdarzony darem jasnowidzenia Genji ucieka z Edo wraz ze swoimi gośćmi i stryjem Shigeru -

legendarnym samurajem, a zarazem szaleńcem i mordercą, który pozbawił

życia własną rodzinę. Przez zaśnieżone góry i wrogą prowincję przedziera się do odległej fortecy, zwanej "Chmara Wróbli". Dręczą go wizje świata, w którym dla samurajów nie będzie już miejsca...

2





# Spis postaci

**Genji:** władca Akaoki; książę i przywódca klanu Okumichi **Shigeru:** jego stryj

**Kudo:** dowódca gwardii

**Saiki:** szambelan

**Hide, Shimoda, Taro:** samuraje klanu Okumichi **Heiko:** gejsza; kochanka księcia

**Hanako:** służąca klanu Okumichi

**pan Kiyori:** zmarły dziadek księcia

**Sohaku:** opat klasztoru Mushindo (i zarazem dowódca jazdy klanu Okumichi)

**Jimbo:** mnich zen (były misjonarz)

**Zephaniah Cromwell, Emily Gibson, Matthew Stark:** misjonarze **Kawakami:** szef tajnej policji shogunatu **Mukai:** asystent Kawakamiego

**Kuma:** ninja w służbie Kawakamiego

4

I

**NOWY ROK**

**1 stycznia 1861 roku**

**5**

**1**

# Gwiazda Betlejemska

*Kiedy przepławiasz się przez nieznaną rzekę z dala od rodzinnych ziem, obserwuj falę i sprawdź, czy nikt nie zmącił wody. Bacz na zachowanie koni. Strzeż się zasadzki.*

*Zaś przy znajomym brodzie, w pobliżu twego domu, obserwuj cienie na odległym brzegu i ruch trzciny, kołysanych wiatrem. Wsłuchaj się w oddech swoich towarzyszy. Strzeż się skrytobójcy.*

## Suzume-no kumo (1491)

Heiko udawała, że śpi. Leżała rozluźniona, choć nie bezwładnie, i oddychała głęboko i spokojnie. Usta miała zamknięte, lecz sprawiała wrażenie, jakby za chwilę zamierzała leciutko je rozchylić. Piękne oczy ukryła za zasłoną powiek. Spojrzenie skierowała gdzieś w głąb swojej jaźni. Podświadomie czuła, że leżący obok niej mężczyzna się obudził.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Miała nadzieję, że zobaczy: Włosy — czarne jak niebo w bezgwiezdną noc, rozsypane na niebieskim jedwabnym prześcieradle.

Twarz — białą niczym wiosenny śnieg, lekko połyskujący światłem skradzionym księżycowi.

Ciało — kusząco rysujące się pod jedwabną kołdrą, ozdobioną kunsztownym haftem przedstawiającym dwa białe żurawie o czerwonych szyjach, tańczące w powietrzu taniec godowy, na tle łąki błyszczącej złotą nicią.

6

Pewna była bezgwiezdnej nocy. Jej piękne, czarne i lśniące włosy budziły powszechny zachwyt.

Gorzej z wiosennym śniegiem, i to bez względu na przesadę towarzyszącą zwykle takim porównaniom. Dorastała w rybackiej wsi, w okręgu Tosa. Nawet czas nie potrafił zatrzeć wszystkich śladów radosnych godzin, które spędzała wtedy na słońcu. Na policzkach wciąż miała drobne piegi, i to różniło ją od śniegu. Pozostawało księżycowe światło. On zawsze twierdził, że je widzi. Nie ośmieliłaby mu się sprzeciwić.

Zastanawiała się, czy na nią patrzy. Nawet gdy naprawdę spała, umiała leżeć elegancko. Gdy udawała — tak jak teraz — wzniewała ogień w męskich sercach. Co zamierza? Może dyskretnie uniesie kołdrę, żeby popatrzeć na jej nagie ciało? Albo uśmiechnie się, przysunie bliżej i obudzi ją pieśczęcią? Albo cierpliwie, jak zwykle, będzie czekał, aż sama otworzy oczy?

Przy innym na pewno nie martwiłaby się takimi drobiazgami. Nie przyszłoby jej to do głowy. Lecz on

był dla niej kimś szczególnym. Wciąż skłaniał do niespokojnych myśli. Czy to dlatego, że tak bardzo różnił się od przeciętnych ludzi, czy też dlatego, że niechcący się w nim zakochała?

Tymczasem Genji zrobił coś, czego wcale się nie spodziewała. Wstał i podszedł do okna wychodzącego na zatokę Edo. Stał tam nagi, mimo porannego chłodu, i spoglądał na coś z ogromną uwagą. Drgnął, jakby wstrząsany zimnem, ale nie sięgnął po ubranie. Heiko wiedziała, że za młodu przeszedł ciężką szkołę życia wśród mnichów tendai na górze Hiei. Mówiono o nich, że potrafią grzać się od środka i że dzięki temu mogą całymi godzinami stać pogrążeni w medytacji pod lodowatym wodospadem. Genji był dumny z tego, że zalicza się do ich wychowanków. Heiko westchnęła i poruszyła się niby we śnie, by stłumić chichot.

Oj, chyba Genji nie dorównał jeszcze swoim mistrzom...

Na pewno słyszał jej westchnienie, lecz nie odwrócił się od okna.

Nawet nie rzucił okiem w jej stronę. Zamiast tego, wziął starą portugalską lunetę, rozłożył ją na całą długość i znów spojrział na zatokę. Heiko poczuła się rozczarowana. Miała nadzieję... Właśnie, na co? Każda nadzieja, duża czy mała, w istocie jest tylko złudą.

7

Ciągle nie otwierała oczu. W myślach widziała go przy oknie. Gdyby udała, że się obudziła, Genji na pewno by to zauważył. Nie była pewna, czy przypadkiem już się wszystkiego nie domyślił. To tłumaczyłoby, dlaczego wstał bez powitania i dlaczego uparcie ignoruje jej westchnienia. Drażni się z nią. A może nie? Trudno powiedzieć. Heiko przestała bawić się w zgadywanke i zamiast tego przywołała w pamięci portret kochanka.

Genji był za ładny na mężczyznę. W dodatku zachowywał się z wdziękiem niepasującym wręcz do samuraja. Delikatny aż do przesady, wyglądał na zniewieściałego. Ale były to tylko pozory. Kiedy stawał

nago, węzły mięśni rysujące się pod jego skórą świadczyły o tym, że z powagą podchodzi do sztuk walki. Wojskowa dyscyplina szła u niego w parze z talentem do miłości. Heiko uśmiechnęła się na to wspomnienie i znów westchnęła, tym razem bezwiednie. Nie mogła dłużej udawać śpiącej, więc powoli otworzyła oczy. Popatrzyła nań i zobaczyła go dokładnie takim, jak w swojej wyobraźni. Wciąż z uwagą lustrował wody zatoki.

— Cały drżysz, panie — odezwała się po krótkiej chwili, lekko zaspanym głosem.

Nie oderwał wzroku od lunety, ale uśmiechnął się i odpowiedział:

— Paskudne kłamstwo. Wcale nie czuję zimna.

Heiko niespiesznie wysunęła się z pościeli i sięgnęła po jego domowe kimono. Otuliła się nim ciasno, żeby ogrzać je swoim ciałem, przyklęknęła i luźno związała włosy jedwabną wstążką. Jej służąca, Sachiko, całymi godzinami układała kunsztowną fryzurę kurtyzany.



Teraz nie było na to czasu. Heiko podeszła do okna krótkim, posuwistym krokiem, jak przystało na prawdziwą damę, uklękła i złożyła głęboki ukłon. Trwała przez chwilę z pochyloną głową, nie oczekując ze strony kochanka żadnego gestu ani odpowiedzi. Potem wstała, zdjęła zagrzone już kimono, przesiąknięte zapachem jej ciała, i narzuciła mu je na ramiona.

Genji mruknął coś pod nosem i wsunął ręce w rękawy.

— Popatrz tylko.

Heiko wzięła od niego lunetę i zerknęła na wody zatoki.

8

Wczoraj stało tam na kotwicy sześć obcych okrętów: z Rosji, Anglii i Ameryki. Teraz przybył siódmy, trój masztowy szkuner. Był mniejszy od pozostałych i nie miał kół łopatkowych ani wysokich czarnych kominów.

Gładkie burty nie kryły luków działowych; nie zobaczyła też armaty na pokładzie. I choć wydawał się karzełkiem w porównaniu z wielkimi parowcami, swoją wielkością ze dwa razy przewyższał japońskie statki.

Skąd przybył? Może z zachodu, z jakiegoś chińskiego portu? Z południa, z Indii? Ze wschodu, z Ameryki?

— Nie było go, kiedy kładliśmy się spać — powiedziała.

— Przed chwilą rzucił kotwicę.

— To jeden z tych, na które czekasz?

— Być może.

Heiko z ukłonem oddała mu lunetę. Genji nie wspomniał ani słowem, na co naprawdę czeka. A ona, oczywiście, go o to nie pytała.

Podejrzewała, że sam nie zna właściwej odpowiedzi. Bardziej kieruje się przeczuciem, oczekiwaniem na spełnienie wróżby, a wróżby mają to do siebie, że zawsze są niekompletne. Nie spuszczać oczu z obcego statku, pomyślała o czymś zupełnie innym.

— Straszne hałasy dobiegały wczoraj od strony cudzoziemców.

— Świątowali Nowy Rok.

— To dopiero za sześć tygodni.

— Dla nas. Pierwszy nów księżycyca po zimowym przesileniu, w piętnastym roku panowania cesarza Komei. Ale ich Nowy Rok zaczął się już dzisiaj. Pierwszy styczeń tysiąc osiemset sześćdziesiątego

pierwszego roku — wyrecytował po angielsku. Potem znów przeszedł na japoński. — Dla nich czas płynie o wiele szybciej. Dlatego wciąż nas wyprzedzają. Choćby teraz... Oni radują się Nowym Rokiem, a my jesteśmy półtora miesiąca za nimi. — Z uśmiechem spojrzął na dziewczynę. — Próbujesz mnie zawstydzić, Heiko? Wcale nie jest ci zimno?

— Jestem tylko kobietą, panie. Zamiast mięśni mam warstewkę tłuszczu. To lepiej chroni mnie przed chłodem. — Prawdę mówiąc, z całej siły powstrzymywała się, żeby nie dygotać. To, że ogrzała mu kimono, było uroczym drobnym gestem. Gdyby teraz trzęsła się z zimna, podkreśliłaby swoje poświęcenie i zaprzepaściła cały efekt.

9

Genji ponownie popatrzył na okręty.

— Turbiny parowe pozwalają im płynąć niezależnie od siły i kierunku wiatru. Działa na dziesiątki mil niosą śmierć i zniszczenie. Każdy żołnierz wyposażony jest w broń palną. A my? Przez trzysta lat żyliśmy w błędzie, zwodzeni kultem miecza. Oni w tym samym czasie z uporem parli naprzód. Nawet ich mowa jest praktyczniej sza. Tak samo sposób myślenia. My zaś z kolei za bardzo polegamy na domysłach i niedomówieniach. Jesteśmy mętni.

— Stawiasz na praktykę?

— Praktyka jest najważniejsza, szczególnie w czasie wojny. A nas czeka wojna.

— To przepowiednia?

— Nie, raczej rozsądek. Obcy, gdziekolwiek się nie zjawią, rabują wszystko, co tylko mogą zabrać. Życie, majątek, ziemię. Wydarli już trzy czwarte świata z rąk prawowitych właścicieli. Kradną, mordują, biorą do niewoli...

— Odwrotnie niż nasi władcy — wtrąciła Heiko. Genji roześmiał się.

— Trzeba pilnować, żeby w Japonii nikt poza nami nie kradł i nie mordował. W przeciwnym razie utracimy władzę.

Heiko z pokorą pochyliła głowę.

— Słyszac to, od razu poczułam się bezpieczniejsza. Może ci przygotować kąpiel, panie?

— Tak, proszę.

— Dla nas w tej chwili jest godzina Smoka. A dla nich? Genji popatrzył na szwajcarski zegar, stojący na stoliku.

— Cztery minuty po siódmej rano — powiedział po angielsku.

— Wolisz się kąpać cztery minuty po siódmej rano, czy też w godzinie Smoka?

Znów się roześmiał, donośnym i beztróskim śmiechem. Skinął głową na znak, że zrozumiał jej aluzję. Liczni złośliwcy wciąż mu wytykali, że śmieje się stanowczo za często. Zarzucali mu brak powagi w trudnych i niebezpiecznych czasach. Może to prawda? Heiko nie była pewna. Ale z drugiej strony lubiła słuchać, jak Genji się śmieje.

Odpowiedziała mu ukłonem, cofnęła się o trzy kroki 10

i odwróciła się, żeby odejść. Chociaż była całkiem naga, poruszała się z niezwykłą gracją, jakby ubrana w odświętne kimono zdążyła na audiencję u shoguna. Czują, że Genji wciąż na nią patrzy.

— Zaczekaj, Heiko — usłyszała.

Uśmiechnęła się. Doprawdy, zwlekał do ostatniej chwili. Teraz nareszcie do niej podszedł.

Świątobliwy Zephaniah Cromwell, pokorny sługa Światłości Prawdziwego Słowa Proroków Chrystusa Pana Naszego, spojrział ponad wodą na tętniące życiem pogańskie siedlisko grzechu o nazwie Edo. Tam właśnie miał się udać, by zanieść Słowo Boże ciemnym Japończykom.

Prawdziwe Słowo, a nie to, które szerzyli papiści i członkowie Kościoła episkopalnego (też papiści, tyle że w przebraniu), kalwini i luteranie, czyli liczykropy, szafujący imieniem Boga. W walce o Chiny wygrali heretycy. Brat Cromwell poprzysiągł sobie, że w Japonii go nie wyprzedzą. Już wyobrażał sobie, jak dzielnie będą stawali samuraje w ostatniej nadchodzącej bitwie zwanej Armageddon. Muszą tylko przedzierzgnąć się w żołnierzy Chrystusa. Wychowani w boju, w pogardzie dla śmierci, stanowią najlepszy materiał na męczenników. Ale to jeszcze pieśń przyszłości. Dzień dzisiejszy nie przedstawia się już tak różowo. Na razie jest to podły kraj, zamieszkiwany przez nierządnicę, sodomitów i zbrodniarzy. Brat Zephaniah wierzył jednak w triumf Słowa.

Spełni się wola Boga.

— Dzień dobry, bracie.

Jej głos sprawił, że natychmiast zapomniał o słusznym gniewie.

Poczuł za to falę gorąca, ogarniającą całe jego ciało. Wdzierała się w głąb umysłu i świerzbila w lędźwiach. Nie, pomyślał, tym razem nie dam się ponieść wyobraźni.

— Witaj, Emily — odparł, usiłując zachować nieprzenikniony wyraz twarzy. Emily Gibson należała do jego małej trzódki. Była jego oddaną uczennicą i wybranką. Starał się nie myśleć o jej młodym ciele, ukrytym pod suknią, o jędrnym biuście, poruszonym leciutkim oddechem, o kusząco zaokrąglonych biodrach, długich i zgrabnych nogach i szczupłych

kostkach, błyskających czasem spod spódnicy. Wbrew woli wyobrażał sobie to, czego nie widział. Jej nagie piersi, sterczące w pełnej chwale. Kolor sutków. Brzuch, pełen witalnej siły, czekający na jego nasienie... i mały wzgórek, święty, w myśl przykazań Pana Boga, lecz zarazem sprofanowany

przez szatana, który przydał mu zdradliwego smaku i zapachu. Och, skąd bierze się zwodnicze pożądanie? Głód ciała w połączeniu z wyuzdaną żądzą doprowadzał go niemal do obłądu.

— *Albowiem, którzy są według ciała, o tym myślą, co jest cielesnego; ale którzy są według Ducha, myślą o tym, co jest duchownego* \*.

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos, póki znów nie usłyszał

cichych słów Emily.

— Amen.

Brat Cromwell poczuł nagle, że świat mu umyka, a wraz z nim łaska zbawienia, obiecywana ludziom przez Chrystusa, Syna Bożego. Z

niemałym wysiłkiem odsunął złe myśli i znowu popatrzył na Edo.

— To nasze największe wyzwanie. Pełno tu grzechu w sercach i umysłach. Setki niewiernych.

Emily uśmiechnęła się, jakby z rozmarzeniem. Zawsze uśmiechała się w ten sposób.

— Dobrze wiem, że podołasz wszelkim trudom, bracie. Wszak jesteś wybrańcem Boga.

Cromwell zaczerwienił się ze wstydu. Co też zrobiłoby to niewinne i ufne dziecko, gdyby wiedziało, co naprawdę dzieje się w jego udręczonej duszy?

— Pomódlmy się za pogan — powiedział, klękając na pokładzie.

Emily posłusznie uklękła tuż przy nim. Za blisko. Czuł żar bijący od jej ciała i naturalną woń jej płci, bogatszą od najlepszych perfum.

— *Książęta jej w pośrodku jej są lwy ryczące* — zaintonował. —

*Sędziowie jej są wilki wieczorne, które nie gryzą kości aż do poranku.*

*Prorocy jej skwapliwi, mężowie przewrotni,*

\* Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z wydania *Biblia Święta, to jest całe Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1964.

12

*kapłani jej splugawili rzeczy święte, zakon gwałcą. Pan sprawiedliwy jest w pośród nich, nie czyni nieprawości, każdego dnia sąd swój wydaje nad światłość bez przestania; wszakże złośnik wstydzić się nie umie* —

przemawiał coraz głębszym i pewniejszym tonem, czując siłę bijącą ze Słowa. Znajome wersy

huczały mu w uszach, jakby słyszał głos samego Boga. — *Przetoż oczekujecie na mnie, mówi Pan, do dnia, którego powstanę do łupu; bo sąd mój jest abym zebrał narody i zgromadził królestwa, abym na nie wylał rozgniewanie moje i wszystkie popędliwość gniewu mego; ogniem zaiste gorliwości mojej będzie pożarta ta wszystka ziemia!* — Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. — Amen! — wykrzyknął.

— Amen — powtórzyła Emily, głosem słodkim jak kołysanka.

Na wysokiej wieży obserwacyjnej zamku Edo stała astronomiczna luneta holenderska, wielka jak lufa głównego dział angielskiej kanonierki, ustawiona na precyzyjnym francuskim trójnogu. Był to dar królestwa Holandii, przekazany przed dwustu pięćdziesięciu laty pierwszemu shogunowi z rodu Tokugawa, Ieyasu. Trójnóg wysłał

jedenastemu shogunowi, Ienariemu, sam Napoleon Bonaparte, w dniu, w którym koronował się na cesarza Francji. Tak zwane cesarstwo przetrwało zaledwie dekadę.

Godzina Smoka zmieniła się w godzinę Węża. Kawakami Eichi przyłożył oko do lunety. Nie patrzył jednak wcale w kosmos, lecz na odległe o niecałą milę pałace książąt w dzielnicy Tsukiji. Myślami błędził

jeszcze gdzieś indziej. Przypomniawszy sobie historię lunety i westchnął w duchu, że obecny shogun, Iemochi, będzie zapewne ostatnim z Tokugawów, piastującym tak wysoki urząd. Powstawało pytanie, kto też przyjdzie po nim? Kawakami był szefem tajnej policji shogunatu, więc musiał bronić legalnej władzy. Jako wierny poddany cesarza, bezsilnego na razie, lecz obdarzonego wieczną łaską bogów, miał obowiązek chronić naród. W lepszych czasach z łatwością godził te obowiązki. Dziś przychodziło mu to z coraz większym trudem. Wierność to naczelna cnota samuraja. Bez niej nic nie

13

istnieje. Kawakami znał ją na wylot; w końcu to właśnie jej strzegł

przez całe życie. Teraz jednak przyznawał z bólem, że dni dawnych paktów i sojuszy nieuchronnie zbliżały się do końca. Wierność ideom, hasłom i zasadom to przyszłość. Kres z lojalnością wobec kasztelana, wodza albo klanu. Sam dziwił się swoim myślom. Miał jeszcze jeden dowód na to, jaką zarazę przywlekli cudzoziemcy.

Lekko przestawił ostrość lunety i przeniósł wzrok z pałaców na zatokę. Sześć z siedmiu stojących tam jednostek na pewno jest uzbrojonych. Barbarzyńcy. Zmienili wszystko. Najpierw, siedem lat temu, przybyła tu eskadra Czarnych Okrętów, dowodzona przez zuchwałego Amerykanina nazwiskiem Peny. Podpisano hańbiący traktat, dający cudzoziemcom prawo wstępu do japońskich portów i chroniący ich przed japońskim prawem. Przypominało to gwałt i tortury, powtarzane po tysiące razy, w asyście uśmiechów, grzecznych podziękowań i ukłonów. Kawakami zacisnął dłoń, jakby chciał chwycić rękojeść miecza. Miał ochotę pościnać im głowy. Może pewnego dnia tak się stanie? Bez wątplenia... ale niestety, nie dzisiaj. Zamek Edo to najpotężniejsza forteca w Japonii. Już samo to, że go wzniesiono, na trzysta lat zapewniło spokój Tokugawom i odstraszyło wrogie klany. A

z drugiej strony, każdy okręt stojący w zatoce mógł w parę godzin zmienić dumne mury w dymiącą ruinę. Tak, tak... Wszystko się zmieniło, więc ci, którzy chcą przeżyć, też muszą się zmienić. Cudzoziemcy stworzyli zadziwiającą broń, bo zupełnie inaczej myśleli: chłodno, logicznie i naukowo. Jak im dorównać, nie stając się, tak jak oni, stadem cuchnących ścierwojadów?

— Panie? — zabrzmiało zza drzwi. To był Mukai, pomocnik Kawakami.

— Wejdz.

Mukai na klęczkach odsunął drzwi, skłonił się, wpełzł do komnaty na kolanach, zamknął drzwi i skłonił się ponownie.

— Nowo przybyły statek to „Gwiazda Betlejemska”. Pięć tygodni temu wypłynął z portu San Francisco, na zachodnim wybrzeżu Ameryki, i przed przybyciem do nas zawinął do Honolulu na Hawajach. Nie przywiózł prochu ani broni, a wśród pasażerów najwyraźniej nie ma znanych nam szpiegów, wojskowych, ani złoczyńców.

14

— Każdy obcy to złoczyńca — burknął Kawakami.

— Tak, panie — zgodził się Mukai. — Chciałem tylko powiedzieć, że żaden z nich nie był dotychczas notowany w naszych rejestrach.

— To bez znaczenia. Amerykańskie władze źle pilnują swoich obywateli. Trudno się temu dziwić, bo w większości to kraj analfabetów.

Kto ma notować wszelkie wydarzenia, skoro połowa urzędników nie umie czytać ani pisać?

— Właśnie.

— Coś jeszcze?

— Troje misjonarzy i pięćset egzemplarzy Biblii, pisanej po angielsku.

Misjonarze. Kawakami poruszył się z niepokojem. Cudzoziemcy byli szczególnie czuli na punkcie czegoś, co nazywali „wolnością wyznania”.

To oczywiście kompletna bzdura. W Japonii wszyscy mieszkańcy danej wsi lub okręgu wyznawali wiarę swego pana. Jeśli należał do buddyjskiej sekty, oni należeli także. Jeżeli wolał shinto, to szli za jego wolą. Jednak najczęściej zdarzało się, że obie religie istniały obok siebie. Każdy poddany mógł sobie dodatkowo wybrać własną wiarę. Religia była czymś ulotnym, a shoguna i prowincjonalnych władców zajmowały wyłącznie sprawy tego świata. Chrześcijanie jednak sprawiali pewien kłopot. Obce przekonania nosiły w sobie zdradę. Jeden Bóg ponad całym światem, potężniejszy od japońskich bogów, potężniejszy od Syna Niebios, Jego Cesarskiej Mości, cesarza Komei? Pierwszy z shogunów Tokugawa całkiem mądrze odrzucił ten pomysł. Przepędził cudzoziemskich księży, ukrzyżował dziesiątki tysięcy chrześcijan i tak to trwało przez dwa wieki.

Nawet teraz chrześcijaństwo było właściwie zakazane. Nikt jednak nie respektował tego prawa. Japońskie miecze nie dorównywały zachodnim armatom. „Wolność wyznania” oznaczała zatem, że każdy ma prawo wierzyć w to, co zechce, i odrzucać inne religie. Najprostsza droga do anarchii, dodatkowo dająca cudzoziemcom pretekst do ciągłego wtrącania się w sprawy kraju, pod hasłem „obrony” grupy współwyznawców. Kawakami uważał to za diabelski podstęp.

— Kto zamierza przyjąć misjonarzy?

15

— Pan Akaoki.

Kawakami zamknął oczy i głęboko zaczerpnął tchu, żeby się uspokoić. Władca Akaoki. Na mój gust, ostatnio za często o nim słyszę, pomyślał. Akaoka było niewielkim, odległym i nieważnym lennem. Dwie trzecie pozostałych książąt miało o wiele większe posiadłości. Ale teraz, jak to zawsze bywa w niespokojnych czasach, drobny kasztelan zdobył

nieśluchane wpływy. Nikt w zasadzie nie pytał, czy to bitny wojownik i zręczny polityk, jak zmarły pan Kiyori, czy zniewieściały cfeb, jak młody książę Genji, następcą Kiyoriego. Obaj swoją sławę zawdzięczali plotce, że ich ród posiada moc jasnowidzenia.

— Powinniśmy go aresztować po zabójstwie regenta.

— To zrobili radykałowie niechętni cudzoziemcom, a nie zwolennicy chrześcijan — zauważył Mukai. — Nie miał z tym nic wspólnego.

Kawakami obruszył się.

— Sam już zaczynasz gadać jak oni.

Mukai natychmiast pojął swój błąd i nisko pochylił głowę.

— Wybacz mi, panie. To przejęzyczenie.

— Żądasz dowodów, jakbyś nie wiedział, że najważniejsze jest to, co w sercu.

— Pokornie przepraszam, panie — odparł Mukai, wciąż bijąc czołem w podłogę.

— Myśli są równie ważne jak czyny, Mukai.

— Tak, panie.

— Wszyscy, zwłaszcza książęta, muszą ponosić odpowiedzialność za swoje zachowanie. W przeciwnym razie barbarzyńcy zdepczą naszą cywilizację.

— Tak, panie. — Mukai nieznacznie uniósł głowę i zerknął na Kawakamiego. — Mam kazać go aresztować?

Kawakami wrócił do lunety. Tym razem spojrzął na mały szkuner, noszący nazwę „Gwiazda Betlejemska”. Przez silne soczewki ujrzał na pokładzie jakiegoś człowieka, potwornie brzydkiego nawet jak na cudzoziemca. Obcy miał wyłupiaste oczy, jakby siłą wypychane z głowy, twarz poraną wstrętnymi bruzdami i usta wciąż wykrzywione w złośliwym grymasie. Długi i krzywy nos, spiczaste ramiona i zgarbione plecy

16

dopełniały tego wizerunku. Obok stała młoda kobieta. Jej skóra wydawała się miękka i gładka, ale to bez wątpienia było tylko złudzeniem, wywołanym przez silną soczewkę. Poza tym niczym nie różniła się od innych barbarzyńców. Obcy coś do niej powiedział i klęknął na pokładzie. Po chwili ona uklękła także. Wspólnie pogrążyli się w chrześcijańskich modłach.

Kawakami zrozumiał nagle, że wiedziony poczuciem winy za swoje myśli, zbyt gwałtownie zareagował na słowa pomocnika. Nie będzie żadnych aresztowań. Akaoka jest wprawdzie mała, lecz od wieków owiana legendą o bitności tamtejszych samurajów. Konflikt wywołałby falę zabójstw, a to — w niewłaściwej chwili — mogłoby stać się zarzewiem kolejnej wojny domowej. Cudzoziemcy zyskaliby znakomity pretekst do zbrojnej inwazji. Nie. Władcę Akaoki należy zniszczyć innymi metodami. Kawakami ma swoje sposoby.

— Jeszcze nie — odpowiedział na ostatnie pytanie. — Na razie mu nie przeszkadzajmy. Zobaczymy, co jeszcze wpadnie w nasze sieci.

Stark chwycił w lewą rękę nóż, a w prawą pistolet, zanim otworzył

oczy. Gniewne wrzaski ciągle dźwięczały mu w uszach. Kajutę zalało przyćmione światło poranka, rzucające niepewne i ruchome cienie.

Wyciągnął przed siebie rękę z pistoletem i omiół wzrokiem całe pomieszczenie. Pusto. Nikt się tu nie zakradł w poszukiwaniu nagłej śmierci. Nadal był sam. Przez chwilę wydawało mu się, że krzyki słyszał

tylko we śnie.

— *Przetoż oczekiwajcie na mnie, mówi Pan, do dnia, którego powstaną do łupu...*

Poznał dochodzący z pokładu głos Cromwella. Westchnął ciężko i opuścił broń. Kaznodzieja znów miał atak szału i wygrażał swoim przeciwnikom.

Stark wstał z koi i spojrzął z ukosa na otwarty, prawie spakowany kufer. Do lądowania na obcej ziemi pozostało zaledwie parę godzin.

Zważył rewolwer w dłoni i uśmiechnął się z zadowoleniem. Był to wojskowy kolt kalibru czterdzieści cztery z sześciocalową lufą. W ciągu sekundy mógł wypluć z siebie niemal dwa funty ognia i stali. Na pięć strzałów

17



z dwudziestu stóp Stark trafił przynajmniej trzy razy w pierś przeciwnika. Z dziesięciu stóp pierwszą kulę mógł posłać mu prosto w czoło, ewentualnie w lewe lub prawe oko. Gdyby nieszczęśnik chciał

uciekać, następny strzał, mierzony w nasadę karku, zdmuchnąłby mu głowę z ramion.

Najchętniej nosiłby rewolwer w otwartej kaburze, nisko wiszącej u prawego biodra. Tym razem jednak nie mógł tego zrobić. Musiał też schować nóż typu Bowie, wielkości małej maczety. Wsunął go do pochwy i włożył do kufra między dwa grube swetry, zrobione przez Mary Anne. Owinął kolta w stary ręcznik i schował obok noża. Na to położył

kilka koszul i z tuzin egzemplarzy Pisma Świętego. W skrzyni leżącej w ładowni statku leżało jeszcze pięćset. Jak Japończycy mają przeczytać Biblię Króla Jakuba, wiedział zapewne tylko sam Pan Bóg... i może Cromwell. Stark nawet nie próbował łamać sobie tym głowy. Jego zainteresowanie Biblią kończyło się na drugim wersie Księgi Rodzaju. *A ziemia była niekształtowa i próżna, i ciemność była nad przepaścią.* I tak nie będę wygłaszał kazań, pomyślał. Cromwell zazwyczaj wolał słuchać swojego własnego głosu.

Miał jeszcze kieszonkowego smith & wessona kalibru trzydzieści dwa. Rewolwer był na tyle mały, że mógł go ukryć pod kurtką, w specjalnie wzmocnionej kieszeni kamizelki, po lewej stronie, tuż nad pasem. Aby go wyjąć, musiał sięgnąć w poprzek ciała, pod ubranie.

Przećwiczył to parę razy, dla lepszej płynności ruchów. Wszystko szło gładko, tak jak powinno. Nie wiedział tylko, czy trzydziestkądwójką zdoła powstrzymać przeciwnika. Przedtem używał kalibru dwadzieścia dwa. Raz się zdarzyło, że aż pięć pocisków wpakował w brzuch jakiegoś wielkoluda, a ten, wciąż rycząc i wywijając nożem, zalany krwią, ciągle parł naprzód. Dopiero celne uderzenie kolbą w skroń zważyło go na ziemię. Stark przyznawał, że w tamtej chwili miał więcej szczęścia niż rozumu.

Włożył kurtkę i rękawiczki, wziął kapelusz i wyszedł na pokład.

Cromwell i jego narzeczona, Emily Gibson, zakończyli już poranne modły i wstali z klęczek.

— Dzień dobry, bracie Matthew — powiedziała Emily. Ubrana była w prosty czepek, tani i niezgrabny płaszcz, grubo 18

pikowany bawełną, i stary wełniany szal dla ochrony przed zimmem.

Kosmyk złocistych włosów wysunął się jej spod czepka tuż nad prawym uchem. Schowała go z zażenowaniem, jakby zrobiła coś wstydlivego.

Jak to było? *Ani mieście perel waszych przed swinie, by ich snadź nie podeptały nogami swemi i obróciwszy się, nie rozszarpały was.* Ciekawe.

Na jej widok sypał cytatami z Biblii. Chyba naprawdę pasowała na żonę kaznodziei. Na chwilę zmarszczyła czoło, lecz zaraz potem w jej turkusowych oczach zamigotały jasne iskierki. Uśmiechnęła się.

— Obudziły cię nasze pacierze?

— A cóż może być lepszego, niż z samego rana usłyszeć Słowo Boże?

— zapytał Stark.

— Amen, bracie Matthew — przytaknął Cromwell. — Czyż nie jest powiedziane: *I nie pozwolę snu oczom moim, ani powiekom moim drzemania, dokąd nie znajdę miejsca dla Pana?*

— Amen — chórem odparli Stark i Emily. Cromwell wskazał szerokim gestem na ląd.

— Oto Japonia, bracie Matthew. Czterdzieści milionów dusz skazanych na wieczne potępienie, czekających na bożą łaskę. Zdobądźmy się na ten wysiłek.

Domy ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Większość z nich wyglądała krucho, a dachy nie sięgały wyżej drugiego piętra. Ogromne miasto sprawiało wrażenie, jakby mogło spłonąć od jednej zapałki lub rozlecieć się przy silniejszym wietrze. Solidniejsze były tylko pałace nad zatoką i zamek o białych murach i czarnych dachach, stojący milę w głąb lądu.

— Jesteś gotów, bracie Matthew? — spytał Cromwell.

— Tak, bracie — odpowiedział Stark. — Jestem.

Opat klasztoru Mushindo, Sohaku, siedział samotnie w małym pomieszczeniu, zwanym hojo, przeznaczonym do cichej medytacji.

Trwał nieruchomo w pozycji lotosu, z oczami jak wąskie szparki, nie widząc, nie słysząc i nie czując. Na zewnątrz, w gałęziach drzew ćwierkały ptaki. Lekki powiew nowego dnia przemknął przez izdebkę. Z

kuchni dobiegał

19

brzęk naczyń, mnisi gotowali poranny posiłek. Nie powinni robić tyle hałasu. Sohaku przyłapał się na rozmyślaniach i westchnął. Cóż, tym razem zabrakło mu może dwóch minut. I tak spisywał się coraz lepiej.

Zacisnął zęby i oburącz chwycił obolałą prawą stopę. Zdjął ją z lewego uda i ostrożnie wyciągnął przed siebie. Po chwili rozprostował lewą nogę.

Och... Ileż przyjemności może dostarczyć tak zwyczajna czynność, pomyślał. Zaprawdę, życie jest darem i wielką tajemnicą. Garnki brzęknęły znowu i ktoś się roześmiał. To chyba Taro. Leń i urwis. Nikogo nie słucha.

W oczach starego mnicha zagościł zimny blask. Sohaku wstał i opuścił hojo. Tym razem nie szedł dostojnie i powoli, jak przystało na mistrza zen, lecz maszerował długim, energicznym krokiem, nabytym w czasach, zanim jeszcze złożył dwieście pięćdziesiąt ślubów duchowych.

W czasach, gdy nosił imię Tanaka Hidetada, był samurajem i dowódcą jazdy, wiernym na śmierć i życie wasalem wielkiego władcy Akaoki, Okumichi-no kami Kiyoriego.

— Głupcy! — Przekroczył próg kuchni. Na jego widok trzech barczystych mnichów w brązowych szatach padło na kolana i uderzyło czołem o ziemię. — Co z wami? Za kogo się uważacie? Obyście byli kobietami przez wszystkie następne wcielenia! I wasi ojcowie także!

Nikt z całej trójki nawet nie drgnął ani nie wydał najmniejszego dźwięku. Wciąż leżeli na podłodze, czekając, aż Sohaku pozwoli im się podnieść. Serce starego mnicha zmiękło. Prawdę mówiąc, to dobrzy ludzie. Wierni, odważni i karni. Klasztorne życie na pewno dokucza im równie mocno jak jemu.

— Taro.

Taro ostrożnie uniósł głowę i spojrzał na opata.

— Słucham?

— Zanieś śniadanie panu Shigeru.

— Tak!

— Lecz bądź ostrożny. Nie chciałbym cię stracić, choć jesteś do niczego.

Taro uśmiechnął się pod nosem. Sohaku już się nie złości.

— Tak! Natychmiast spełnię wszystkie polecenia. Sohaku wyszedł

bez słowa. Taro, Mune i Yoshi podnieśli się z podłogi.

20

— Pan Hidetada znów był nie w humorze — mruknął Mune. —

Ostatnio wciąż mu się to zdarza.

— Chciałeś powiedzieć: wielbny opat Sohaku — sprostował Taro, nalewając do miski nieco zupy ze sfermentowanej soi.

Yoshi parsknął cicho.

— Mniejsza o imię, wiadomo, że się wścieka. Codziennie dziesięć godzin medytacji. A gdzie ćwiczenia z mieczem, włócznią i łukiem?

Każdy by zgłupiał na jego miejscu.

— Jesteśmy wasalami klanu Okumichi — przypomniał Taro, zajęty krojeniem marynowanej rzodkwi.  
— Mamy rozkaz słuchać pana i wypełniać swoje obowiązki.

— To prawda — westchnął Mune. — Lecz przecież wszystko można zrobić, nie tracąc dobrego nastroju.

Yoshi znów parsknął, ale chwycił miotłę i wziął się do zamykania.

— *Jeżeli łucznik chybi celu, to najpierw niech poprawi siebie* —

wyrecytował Taro, cytując Konfucjusza. — Nie nam krytykować naszych przełożonych. — Postawił czarkę z zupą i jarzyny na małej tacy, obok miseczki z ryżem. Kiedy wyszedł, Mune umył garnki. Przez cały czas uważał, by nie hałasować.

Był piękny zimowy ranek. Taro czuł, że chłód, przenikający przez zgrzebną mnisią szatę, dodaje mu wigoru. Miał ochotę skoczyć do strumienia, przepływającego tuż obok świątyni, i na chwilę przystanąć pod lodowatym wodospadem. Niestety, teraz takie przyjemności były dlań zakazane.

Pocieszał się nadzieją, że to wkrótce minie. Wprawdzie obecny władca Akaoki nie był wojownikiem pokroju swego dziadka, lecz mimo to należał do klanu Okumichi. A tymczasem wyraźnie miało się ku wojnie. To było oczywiste nawet dla takich prostaków jak Taro. Podczas wojny zaś miecze żołnierzy z Akaoki z reguły jako jedne z pierwszych chłęptały krew wroga. Czekały na to już od bardzo dawna. Na polu bitwy nie będzie miejsca dla mnichów.

Taro lekkim krokiem wszedł na kamienną ścieżkę, wiodącą z głównej sali do skrzydła mieszkalnego. Po deszczu zawsze było tu okropnie ślisko. W ładną pogodę kamienie trzeszczały cicho, jakby otrząsane z piasku. Wielebny Sohaku przyrzekł

21

nawet kiedyś, że na rok zwolni ze służby w stajni tego, kto bezszelestnie przejdzie dziesięć kroków. Taro mógł się pochwalić najlepszym wynikiem, ale daleki był od doskonałości. Wciąż musiał ćwiczyć.

Dwudziestu pozostałych mnichów jeszcze przez pół godziny miało trwać w medytacji, zanim Mune uderzy w dzwon, wzywając ich na śniadanie. Dziewiętnastu. Taro znów zapomniał, że Jioji skończył wczoraj z rozłupaną czaszką. Teraz on przejął jego obowiązki. Przeszedł

przez ogród w stronę muru okalającego tereny klasztoru. Stała tam maleńka chatka. Tori ukląkł przed drzwiami. Zdwoił czujność, zanim oznajmił swoje przybycie. Nie miał ochoty dołączyć do Jiojiego na stosie pogrzebowym.

— Panie — powiedział głośno — to ja, Taro. Przyniosłem ci posiłek.

— Latamy wysoko niczym ptaki, w ogromnych żelaznych statkach —

dobiegł głos z chaty. — Tutaj jesteśmy w godzinie Tygrysa. W godzinie Smoka już nad Hiroszimą. Podróżujemy niczym bogowie, ale ciągle nam czegoś mało. Spóźniamy się. Powinniśmy przylecieć wcześniej.

— Wchodzę, panie. — Taro wyciągnął kołek i rozsunał drzwi.

Natychmiast poczuł ciężki odór potu, uryny i fekaliów. Aż go ścisnęło w żołądku. Wstał i szybko dał krok do tyłu, uważając, żeby niczego nie zrzucić z tacy. Głośno przełknął ślinę, by powstrzymać narastające mdłości. Przed śniadaniem musi posprzątać w celi... i, niestety, umyć lokatora. Sam na pewno by sobie z tym nie poradził.

— W dłoniach trzymamy małe rożki. Szepczemy do nich.

— Zaraz tu wrócę, panie. Proszę się uspokoić.

Głos z chaty brzmiał spokojnie, choć wygadywał niestworzone rzeczy.

— Świetnie słyszemy się nawzajem, choć dzieli nas prawie pół świata.

Taro szybko pobiegł do kuchni.

— Szmaty i woda — mruknął do Mune i Yoshiego.

— Na łaskawego Buddę! — jęknął Yoshi. — Tylko nie mów, że znów napaskudził pod siebie!

— Rozbierzcie się do przepasek — powiedział Taro. — Nie ma sensu brudzić ubrania.

22

Zdjął szatę, złożył ją starannie i położył na półce.

We trzech poszli do ogrodu. Gdy zobaczyli chatę, Taro przypomniał

sobie nagle, że zostawił otwarte drzwi. Yoshi i Mune stanęli jak wryci i z niepokojem popatrzyli na czerniejący otwór.

— Nie zamknąłeś go? — bąknął Mune.

— Chyba powinniśmy zawołać jeszcze kogoś — nerwowo rzucił

Yoshi.

— Zaczekajcie — powiedział Taro.

Ostrożnie zbliżył się do chaty. Ze względu na smród, za pierwszym razem nawet nie zajrzał do środka. Był jednak pewny, że więzień jest dobrze związany. Po wczorajszym zdarzeniu z Jiojim spętano mu ręce i nogi, i dodatkowo kawałkiem grubego sznura przywiązano do każdej ściany. W żadnym wypadku nie mógł się poruszyć. A jednak...

Zaduch nie zelżał ani trochę, ale tym razem Taro był zbyt przejęty, żeby zwracać na to uwagę.

— Panie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Szybko zerknął do wnętrza, kuląc się przed atakiem. Cztery sznury wisiały przyczepione do ścianek, ale Shigeru zniknął. Taro przeszedł na lewą stronę drzwi, przywarł plecami do muru i spojrzał w dwa pozostałe kąty. Chata była pusta.

— Zawiadam opata — powiedział do Yoshiego. — Nasz gość opuścił swoją rezydencję.

Yoshi pognał zaalarmować klasztor. Taro i Mune stali ramię w ramię i rozglądali się po okolicy.

— Może w ogóle uciekł ze świątyni i chce wrócić do Akaoki? —

zastanawiał się Mune. — Albo po prostu gdzieś się schował. Przed chorobą był mistrzem kamuflażu. Potrafił zniknąć nawet w ogrodzie z tuzinem koni i jeźdźców.

— Nie ma ze sobą oddziału jazdy — zauważył Taro.

— Chodzi mi o to, że możemy go nie zauważyć — wyjaśnił Mune. —

Pojedynczemu człowiekowi łatwiej się ukryć niż dużej grupie.

Taro nie zdążył odpowiedzieć, bo — po pierwsze — zauważył grymas przerażenia na twarzy swego towarzysza, patrzącego gdzieś nad jego ramieniem, a po drugie, chwilę potem dostał

23

w głowę czymś bardzo twardym. Był to kamień wielkości pięści, ale o tym dowiedział się nieco później.

Po odzyskaniu przytomności najpierw zobaczył opata. Nieco dalej siedział zboląły i zapuchnięty Mune. Miał siną i zamkniętą powiekę.

Zdrowym okiem spojrzał na Taro.

— Pomyliłeś się. Pan Shigeru nie uciekł z chaty.

— Skąd wiesz? — zapytał Taro. — Rozejrzałem się po całym wnętrzu.

— Trzeba było popatrzeć w górę. — Sohaku poddał dokładnym oględzinom jego głowę. — Przeżyjesz.

— Wspiął się na ścianę nad drzwiami — wyjaśnił Mune. — Skoczył

w tej samej chwili, gdy się odwróciłeś, by mi coś powiedzieć.

— To moja wina, panie — jęknął Taro i próbował paść (warzą na ziemię, lecz Sohaku mu na to nie pozwolił).

— Uspokój się — powiedział łagodnie. — Potraktuj to jako dobrą lekcję. Pan Shigeru przez dwadzieścia lat był naszym głównym instruktorem sztuk walki. Nie wstydz się, że z nim przegrałeś, chociaż z drugiej strony, rzeczywiście zaniedbałeś swoje obowiązki. Następnym razem sprawdź, co się z nim dzieje, i zamknij drzwi, zanim sobie pójdziesz.

— Tak, panie.

— Unieś głowę. Umrzesz z upływu krwi, jeśli ciągle będziesz mi się kłaniał. Jestem opatem, a nie żadnym panem.

— Tak, wielebny — wymamrotał Taro. — Wiadomo, gdzie jest pan Shigeru? — A i owszem. — Sohaku uśmiechnął się niewesoło. — W

zbrojowni.

— Ma broń?

— To samuraj — odpowiedział opat. — Wtargnął do zbrojowni. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Tak, ma broń — i to całą. My możemy najwyżej wystrugać sobie pałki.

Nadbiegł Yoshi, wciąż tylko w przepasce, lecz za to uzbrojony w długą tyczkę, wyciętą w bambusowym gaju, rosnącym za świątynią.

— Nie próbował uciekać, panie. Zastawiliśmy drzwi zbrojowni belkami i workami z ryżem. Gdyby jednak zechciał się naprawdę przebić...

24

Sohaku pokiwał głową. W zbrojowni były trzy beczki pełne prochu.

Shigeru mógł wysadzić dosłownie każdą przeszkodę. Nawet siebie, z całym budynkiem.

Opat wstał.

— Zostań tutaj — powiedział do Yoshiego. — Zajmij się przyjaciółmi.

Przeszedł przez ogród w stronę zbrojowni. Zastał tam pozostałych mnichów, wyposażonych,

podobnie jak Yoshi, w długie bambusowe pałki. Nie była to dobra broń do walki z wojownikiem, który pomimo choroby umysłowej należał do najlepszych szermierzy w całym kraju.

Sohaku z zadowoleniem spojrzął na rozstawienie swoich podkomendnych. Czterech stało na czujce na tyłach zbrojowni, a po pięciu czaiło się po bokach i od frontu, odcinając więźniowi wszystkie drogi ucieczki.

Sohaku podszedł do głównego wejścia, zastawionego, tak jak mówił

Yoshi, kłocami drewna i ciężkimi belami ryżu. Ze środka dobiegał świst stali tnącej powietrze. Shigeru ćwiczył, prawdopodobnie z mieczem w każdej ręce. Był jednym z niewielu współczesnych wojowników na tyle silnych i sprawnych, żeby praktykować dawną szkołę „dwóch mieczy”, którą przed dwustu laty opracował legendarny Musashi. Sohaku z szacunkiem skłonił się przed drzwiami i powiedział:

— Panie Shigeru, to ja, dowódca jazdy, Tanaka Hidetada. Możemy chwilę porozmawiać?

Wymienił swoje dawne nazwisko, żeby uniknąć nieporozumienia.

Spodziewał się, że w ten sposób prędszej uzyska odpowiedź. W końcu Shigeru przez dwadzieścia lat był mu towarzyszem broni.

— Powietrze, które dobrze widać — powiedział głos za drzwiami. —

Wstęgi kolorów na horyzoncie, wieńce zachodzącego słońca. Tak piękne, że aż dech zapiera w piersiach.

Sohaku nic z tego nie zrozumiał.

— Mogę ci jakoś pomóc, panie? — spytał. Jedyłą odpowiedzią był

świsł miecza.

Szalupa płynęła przez zatokę w stronę licznych przystani i pomostów, tworzących port Edo. Morska mgiełka, rozcinana dziobem, zimną rosą osiadała na policzkach Emily. Z tyłu

25

japońska łódź dobijała do burty „Gwiazdy Betlejmskiej”, żeby zabrać na brzeg ładunek.

— Tam. — Zephaniah wskazał palcem na pałac stojący tuż nad wodą.

— To pierwszy cel naszej wędrówki. Właściciel zowie go Cichym Żurawiem.

— Bardziej wygląda mi na fortecę niż pałacową rezydencję —

mruknął brat Matthew.



— Celną uwagę, bracie. Dobrze zakarbuuj sobie w pamięci, |)o co i dokąd zmierzamy. To kraj najgorszych morderców na świecie. *Jedni w wozach, a drudzy w koniach ufają; ale my na imię Pana Boga naszego wspominamy.*

— Amen — odpowiedzieli brat Matthew i Emily. Dziewczyna nie dawała się ponieść wyobraźni. Ze spokojem

zdążyła ku swemu przeznaczeniu. Nie była pewna, czy rzeczywistość sprostą jej wyobrażeniom. Skromnie siedziała przy narzeczonym, świątobliwym Cromwellu, cicha i jakby nieco zamyślona. *Na paszach zielonych postawił mię, a do wód cichych prowadzi mię. Duszę moją posila; prowadzi mię ścieżkami sprawiedliwości dla imienia swego.* Serce biło jej tak głośno, że rozejrzała się mimo woli, jakby chciała sprawdzić, czy inni też je słyszą.

W istocie Zephaniah na nią patrzył. Z namysłem marszczył brwi i lekko wydymał usta, co sprawiało, że jego wylupiaсте oczy wydawały się większe niż zwykle. Marsowa mina pogłębiała bruzdy na jego twarzy.

Emily zawsze miała wrażenie, że w takich chwilach potrafił sięgnąć wzrokiem w najgłębsze zakamarki jej duszy.

— *Imię Pańskie jest mocną wieżą* — odezwał się Zephaniah. —

*Sprawiedliwy się do niej uciecze, a wywyższony będzie.*

— Amen — powiedziała Emily. Za sobą usłyszała „amen” brata Matthew. — *Nie odstąpi cię!* — Głos Cromwella nabrał większej siły, Iwarz mu poczerwieniała. — *Ani cię opuści!*

— Amen — powtórzyli Emily i brat Matthew. Zephaniah uniósł rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale naraz

zamrugał szybko i przymknął powieki. Wolno położył dłoń na udzie i popatrzył ponad dziobem szalupy na nabrzeże. Z jego ściśniętego gardła wydarły się słowa Biblii:

26

— *Nie lękaj się, a nie trwóż sobą, albowiem z tobą jest Pan Bóg twój, we wszystkim, do czegokolwiek się obrócisz.*

— Amen — rzekła Emily.

Prawdę mówiąc, więcej bała się wspomnień niż przyszłości. Strach przed nieznanym, w połączeniu ze zwykłą ciekawością, już dawno zmienił się w nadzieję.

Japonia. Ziemia tak inna od jej ojczystego kraju, a jednak stworzona przez Boga. Tutejsza wiara, język, historia i sztuka z Ameryką nie miały nic wspólnego. Emily nigdy nie widziała żywego Japończyka, tylko parę dagerotypów w muzeum. Ze-phaniah wspominał jej, że tutejsi ludzie przez prawie trzy stulecia żyli w zupełnej izolacji. Że przez to mieli zwichrowane dusze i pokrętne serca.

Że ogłuchli od ciągłego słuchania diabelskiego bębna i oślepli od wstrętnych pogańskich iluzji. Możemy patrzeć na ten sam obraz i dostrzegać zupełnie inne rzeczy, mówił. Bądź

na to przygotowana. Strzeż się rozczarowania. Porzuć dotychczasowe sądy i przyzwyczajenia. To cię oczyści, mówił, z niechlubnej próżności.

Nie czuła strachu, raczej niecierpliwość. Japonia. Długo marzyła o tej chwili. W głębi serca wierzyła w to, że tu wreszcie uwolni się od klątwy.

Niech wspomnienia odejdą w przeszłość. Te słowa powtarzała przy każdej modlitwie.

Przystań była coraz bliżej. Emily widziała grupę Japończyków, dokerów i urzędników, stojących na kei. Jeszcze chwila i z bliska zobaczy ich twarze. Oni też ją zobaczą... I co wtedy?

Krew pulsowała w jej żyłach.

# Cudzoziemcy

*Niektórzy mówią, że między barbarzyńcami nie ma właściwie żadnej różnicy. Wszystko to wstrętne ścierwojady. Nieprawda. Portugalczycy chętnie wymieniają broń na kobiety. Holendrzy wolą złoto. Anglicy domagają się traktatów.*

*Wniosek stąd, że Holendrów i Portugalczyków łatwo rozgryźć.*

*Najgroźniejsi są Anglicy. Dla własnego dobra ucz się angielskiego i nie zważaj na całą resztę.*

## Suzume-no kumo (1641)

Udzielny władca Akaoki, Okumichi-no kami Genji, przeglądał się w dużym lustrze. Widział kolejne warstwy anachronizmów, uwidocznione w fałdach kimona i kunsztownie ułożonych włosach, tu zaczesanych, a tam związanych, okala-picych wygolone czoło. Więcej w tym było symboliki niż w wizerunkach chłopskich bogów.

- Panie... — Służący przyklęknął u jego boku. Skłonił się nisko i w wyciągniętych rękach podał mu krótki miecz, wakiza-shi. Genji zatknął

go za pas. Służący powtórzył tę samą ceremonię z długim mieczem, kataną, już od tysiąca lat będącym ulubioną bronią samurajów. Krótka przechadzka nie wymagała takiego uzbrojenia, ale Genji musiał wziąć oba miecze, wymagał tego bowiem jego status.

Strój samuraja, chociaż efektowny, był jednocześnie bardzo 28

staroświecki, odpowiedniejszy raczej dla starca niż dla dwu-dziesięcioletka. Po prawdzie, przedtem nosił go starzec, pan Kiyori, który zmarł w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat niecałe trzy tygodnie temu. Szaro-czarne kimono, bez żadnych ozdób, przywoływało nastrój napiętej powagi. Czarna narzutka, sztywna na ramionach, pozbawiona była rodowego herbu: wróbla lawirującego między czterema strzałami.

Brak herbu wzbudził niepokój szambelana, którego Genji odziedziczył wraz z zamkiem po dziadku.

— Chciałbym znać powód, panie, dla którego wychodzisz dzisiaj incognito — odezwał się Saiki.

— Incognito? — powtórzył Genji z wyraźnym rozbawieniem. —

Przejdę się ulicą w asyście samurajów. Każdy z nich nosi herb z wróblem i strzałami. Jesteś przekonany, że nikt mnie nie rozpozna?

— Twoi wrogowie, panie, będą mieli pretekst, by udawać, że cię nie widzą. A jeśli zechcą cię obrazić? Jeśli podjudzą tłum do napaści?

— Na pewno nie dam się obrażać — odparł Genji. — A ty uciszysz każdą prowokację.

— Co się stanie, jeżeli mi się to nie uda? Genji uśmiechnął się.

— Jestem przekonany, że w razie czego wszystkich ich zabijesz.

Wszedł szef ochrony, Kudo. Ukłonił się i powiedział:

— Pani Heiko opuści pałac zaraz po twoim wyjściu, panie. Mamy ją śledzić?

— A niby po co? — zapytał Genji. — Wszak doskonale wiemy, gdzie mieszka.

— Choćby ze względów bezpieczeństwa — odparł Kudo. — Zapewne będzie mniej ostrożna pod twoją nieobecność. Wtedy możemy się dowiedzieć wiele ciekawych rzeczy.

Genji uśmiechnął się ponownie. Wprawdzie znał Heiko dopiero od miesiąca, ale od razu zauważył, że nie pozwalała sobie na najmniejszą chwilę słabości.

— Zrobmy to, co proponuje Kudo — wtrącił Saiki. — Nie sprawdzaliśmy jej przeszłości tak dokładnie, jak by należało. Nawet nie wiemy, z kim się spotykała. — Nie przyznał na 29

głos, że to Genji zakazał wspomnianego śledztwa. — Nie zaszkodzi poddać ją inwigilacji.

— Nic się nie martw — mruknął pod nosem Genji. — /badałem ją dość dokładnie. Nic się przede mną nie ukryło.

— Nie mówię o tym — burknął Saiki z surową miną. Wszelkie aluzje na temat seksu uważał za niestosowne. W ciągu dwóch i pół wieku względnego spokoju wiele klanów popadło w nędzę, bo ich panowie zbyt wiele czasu poświęcali uciechom cielesnym. — Prawie zupełnie jej nie znamy. To nieroztropne.

— Wiemy, że jest najsłynniejszą gejszą w całym Edo — powiedział

Genji. — Czego jeszcze nam potrzeba? — Uniósł rękę, uprzedzając odpowiedź Saikiego. — Zbadałem ją mentalnie we wszystkich czterech fazach czasu i przestrzeni. Spokojnie, jest całkowicie poza podejrzeniem.

— Panie — przemówił Saiki, a w jego głosie brzmiała nagana. — To wcale nie są żarty. Nie chcemy, żebyś niepotrzebnie narażał swoje życie.

— A skąd ci przyszło do głowy, że żartuję? Nie słyszałeś, że gdy kogoś dotknę, to od razu znam jego przyszłość? — Wyraz twarzy obu samurajów był dowodem na to, że już wcześniej dawali posłuch takim plotkom. Genji po raz ostatni z niechęcią spojrział w lustro, odwrócił się i opuścił komnatę.

Dwaj doradcy wyszli z nim na dziedziniec. Tam czekało dwudziestu czterech gwardzistów i palanek z czterema tragarzami. Cała służba stanęła w karnym szeregu przed bramą, by głębokim ukłonem pożegnać swego pana. W ten sam sposób witali go, gdy wracał. Zwykła strata czasu i energii, pomyślał (ienji. Do portu miał zaledwie parę kroków i zamierzał

zabawić tam kilka minut. Niestety, zgodnie z uświęconym tradycją protokołem, każdy spacer odbywał się z tą samą pompą.

Genji odwrócił się do Saikiego.

— Nic dziwnego, że Japonia jest tak zacofana. Cudzoziemcy mają naukę i technikę. Budują działa, statki parowe i kolej żelazną. A my co?

Śmiesznie patetyczni, mnożymy puste ceremonie. Dla nas ważniejsze są ukłony, klękanie w pyle i znów ukłony.

— Panie mój?! — Saiki aż zająknął się ze zgrozy.

— Wsiadłbym na konia i obrócił sam w tę i z powrotem w krótszym czasie niż potrzeba na to zgromadzenie.

30

— Panie! — Saiki i Kudo jednocześnie padli na podłogę sieni.

— Błagam cię, nawet nie myśl o tak okropnych rzeczach! —

wykrzyknął Saiki.

— Masz nieprzyjaciół wśród popleczników i wrogów shoguna —

dodał Kudo. — To samobójstwo, chodzić bez eskorty!

Genji dał im znak ręką, żeby wstali.

— Powiedziałem, że mógłbym, a nie, że to zrobię. — Westchnął, zszedł ze schodów i wsunął nogi w sandały, ustawione za progiem specjalnie dla niego. Zrobił pięć kroków w stronę palankinu (uniesionego szybko przez tragarzy, chcących ułatwić mu wsiadanie), wyjął z za pasa oba miecze (które nosił zaledwie przez minutę) i włożył je do środka.

Następnie zdjął sandały (a jeden ze służących skłonił się przed nimi nisko i umieścił je w specjalnym schowku na spodzie palankinu) i wsiadł.

Spojrzał spod oka na Saikiego.

— Wiesz już, co to znaczy „pusta ceremonia”? — zapytał. Saiki złożył

niski pokłon.

— Wybacz, panie, ale niestety nie wiem. Przemyślę tę sprawę.

Genji westchnął zniecierpliwiony.

— Jedźmy zatem, bo zaraz słońce zajdzie.

— Zapewne znów raczysz żartować, panie — powiedział Saiki. —

Słońce dopiero wstało.

Dał krok w przód, uklonił się i zasunął drzwi palankinu. Tragarze mocniej osadzili belki na ramionach. Orszak ruszył.

Przez okienko w przedniej ścianie palankinu Genji widział ośmiu samurajów, idących w podwójnej kolumnie. Gdyby przypadkiem się obejrzał, zobaczyłby jeszcze dwunastu. Dwóch szło po lewej stronie i dwóch, razem z szambelanem, po prawej. Dwudziestu czterech ludzi — z tragarzami dwudziestu ośmiu — gotowych oddać życie dla jego bezpieczeństwa. I tak było za każdym razem, przy każdej czynności, choćby najbardziej nudnej i prozaicznej. Przesada zawsze budzi niechęć, pomyślał Genji. Nic dziwnego, że tyle krwi przelano w naszych dziejach.

Teraz też z niepokojem patrzymy w najbliższą przyszłość.

W tej samej chwili, wśród pochylonych głów, zobaczył kunsztowną fryzurę i natychmiast porzucił smutne rozmyślania. Poznał bowiem te same błyszczące włosy, które niedawno

31

widział rozrzucone na poduszce. Były jak noc spływająca z nieba. Ale kimono wydawało mu się całkiem nowe. Domyślił się, że Heiko zachowuje je wyłącznie na tę właśnie chwilę pożegnania. Zdobione było kwiatami róży, na tle spienionych lal granatowego morza. Ten sam wzór widniał na narzutce, ale bez kolorów. Białe róże na białych falach białego oceanu. Trzy odmiany białego jedwabiu — urzekające piękno w połączeniu z subtelnym wyzwaniem. Ten gatunek róży nazywano czasem

„Amerykańska Piękność”. Radykałowie z ugrupowań niechętnych cudzoziemcom zwalczali wszelkie przejawy zachodniej kultury.

Dziewczyna mogła zginąć z rąk samozwańczego „obrońcy cnót rycerskich” tylko za to, że miała różę na kimonie. Jej jedyną bronią przed takim atakiem była odwaga, uroda i sława.

— Zatrzymajcie się — rozkazał Genji. Saiki natychmiast głośno powtórzył polecenie.

— Stać! — krzyknął donośnie. Samuraje idący na przodzie zdążyli już minąć bramę i zatrzymali się na ulicy. Tragarze z palankinem stanęli niemal w bramie. Reszta gwardzistów wciąż była na dziedzińcu. Saiki skrzywił się.

— To idealny moment do napaści, panie. Nie chronią nas ani mury, ani połowa straży.

Genji odsunął drzwiczki palankinu.

— Jestem przekonany, że zdołasz mnie obronić w każdym miejscu i okolicznościach.

Heiko wciąż trwała w głębokim ukłonie, jak wszyscy pozostali.

— Pani Mayonaka-no Heiko! — zawołał Genji, wymieniając jej pełne imię, oznaczające „Głęboką Noc”.

— Panie Genji — odpowiedziała i skłoniła się jeszcze niżej. Gdzie też się nauczyła przemawiać tak cichym i zarazem dźwięcznym głosem? — przemknęło mu przez głowę. Gdyby naprawdę mówiła szeptem, w ogóle by jej nie usłyszał. Wrażenie było piorunujące. Jak zawsze, kiedy coś robiła.

— Ładne kimono, lecz... prowokacyjne.

Uniosła głowę, uśmiechnęła się i lekko rozpostarła ręce. Ten prosty ruch sprawił, że szerokie rękawy kimona wyglądały leraz niczym skrzydła ptaka, zrywającego się do lotu.

32

— Doprawdy, nie wiem, o czym mówisz, panie — powiedziała. — To przecież pospolity kolor. Chyba tylko najgorszy głupiec dałby się tym sprowokować.

Genji roześmiał się. Nawet zwykle poważny Saiki też miał ochotę parsknąć śmiechem, więc szybko zaczął kasłać, udając, że niczego nie słyszał.

— Tacy właśnie głupcy najbardziej mnie martwią — westchnął Genji.

— Ale może masz rację. Tradycyjny kolor odwróci ich uwagę od zamorskiej róży.

— Zamorskiej? — Dziewczyna szerzej otworzyła oczy i przechyliła głowę. Jej zdumienie wydawało się całkiem szczere. — A mówiono mi, że różowe, białe i czerwone róże co roku zakwitają wiosną w wewnętrznych ogrodach wspaniałego zamku zwanego Chmarą Wróbli.

Tylko tak słyszałam, bo nigdy nie byłam w tamtych okolicach — dodała znacząco. Genji skłonił się lekko. Zgodnie z etykietą nie mógł się głębiej kłaniać nikomu, kto stał niżej od niego, a więc właściwie wszystkim z wyjątkiem rodziny cesarskiej w Kioto i rodziny shoguna, zajmującej ogromny zamek w Edo.

— Jestem zupełnie pewny, że to przeoczenie w najbliższych dniach zostanie naprawione — oznajmił z uśmiechem.

— Co do tego mam małe wątpliwości — odparła Heiko. — Ale cieszą mnie twoje słowa, panie. Czy to prawda, że wspomniany zamek jest jednym z najstarszych w całej Japonii?

— Owszem — przytaknął Genji, przyłączając się do zabawy.

— Więc jak te kwiaty mogą być zamorskie? Wszak to, co kwitnie w starym japońskim zamku, musi być japońskie. Mam rację, panie?

— Niepotrzebnie się o ciebie bałem, pani — odpowiedział Genji. —

Umiesz rozprawić się z każdą krytyką.

Służba wciąż trwała w głębokim ukłonie. Na ulicy, przed bramą, przechodnie leżeli w pyle, twarzami niemal dotykając ziemi. Robili to może nie tyle z szacunku, ile po prostu ze strachu. Samuraj mógł zabić każdego chłopca albo mieszczanina, który jego zdaniem nie dość gorliwie wyrażał swą uległość. W praktyce oznaczało to czołobitny pokłon przed orszakiem. W czasie gdy Genji rozmawiał z gejszą, w najbliższej okolicy cały ruch zamarł. On zaś na widok Heiko zapomniał o bożym 33

świecie, ale teraz, po pewnej chwili, zrobiło mu się głupio. Szybko uklonił się na pożegnanie i dał znak, żeby ruszać dalej.

— Naprzód! — rozkazał Saiki. Gdy orszak podjął przerwana wędrowkę, szambelan rzucił krótkie znaczące spojrzenie w stronę Kudo, który zostawał w pałacu.

Genji zobaczył to i natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Ci dwaj nie zamierzali spełnić jego prośby. Na pewno nie zostawią dziewczyny w spokoju. Kudo będzie ją dyskretnie śledził przez całą drogę do domu.

Prawdziwy mistrz inwigilacji. Niestety, było już za późno, żeby mu w tym przeszkodzić. Genji jednak nie zamierzał niepotrzebnie się martwić.

Przecież sprawy nie zaszły tak daleko, by gwardia mordowała kochankę swego pana. Zajmę się tym we właściwym czasie, pomyślał.

— Saiki?

— Tak, panie?

— Czym będą podróżowali nasi goście?

— Rikszami, panie.

Genji umilkł. Rikszami. Saiki wiedział, że palankin jest dużo wygodniejszy, ale zamówił riksze. W ten sposób chciał podkreślić swoją dezaprobatę wobec postanowień pana. Genji nie miał o to do niego pretensji. Doskonale rozumiał dylemat samuraja.

Saiki służył mu zgodnie z nakazami honoru, dziejów i tradycji. Z

drugiej strony, zachowanie młodego kasztelana stało w jawnej sprzeczności z kodeksem wojownika,



powstałym właśnie z dziejów i tradycji. Cudzoziemcy byli zagrożeniem dla dawnej hierarchii, dzielącej wszystkich ludzi na władców i poddanych. Część szlachty twardo im się sprzeciwiała, ale pan Genji widział w nich przyjaciół. Co gorsza, wziął

pod swoje skrzydła grupkę misjonarzy, bezużytecznych i w dodatku groźnych politycznie.

Genji wiedział, że ze wszystkich podległych mu wasali nie tylko Saiki kwestionuje słusność jego postępowania. Na dobrą sprawę nie mógł być pewny żadnego z trzech generałów — Saikiego, Kudo i Sohaku —

przejętych po dziadku. Kto by przewidział, że ich lojalność będzie poddana aż tak ciężkiej próbie? Co teraz zrobią? Pójdą za nim, czy też przejdą na stronę wroga?

34

Wierzył we wróżbę, ale mimo wiary, kroczył zdradliwą i niepewną ścieżką.

Kilku nędznie odzianych Japończyków cierpliwie czekało na kei, żeby przycumować szalupę. Za stołem ustawionym na końcu pomostu siedziało trzech ludzi, wyglądających o wiele dostojniej. Stark zauważył, że mają miecze. To pewnie ci, których Zephaniah zwie samurajami. Kasta wojowników, rządzących tym krajem. Wszyscy beznamiętnie patrzyli w ich stronę.

— Niech Bóg w niebie ma was w swojej opiece — powiedział kapitan McCain. — Bo tam na brzegu nie zawsze go znajdziecie.

Dowódca „Gwiazdy Betlejemskiej” przyplłynął razem z nimi, po zapasy na dalszą drogę. On jeden z całej grupy był już w Japonii, lecz nie wyrażał się pochlebnie o niej i jej mieszkańcach.

— Bóg jest wszędzie — sprostował Cromwell — i nieustannie czuwa nad swoimi dziećmi.

McCain burknął coś pod nosem. Widać było, co naprawdę myśli o tych sprawach. Wyskoczył na keję i rzucił cumę jednemu z Japończyków.

Tamten uklonił się głęboko. Nie padło ani jedno słowo, bo McCain nie znał japońskiego, a nikt z portowców nie mówił po angielsku.

— Za dwa tygodnie „Gwiazda” wypływa do Hongkongu — mruknął

kapitan. — Jeżeli nie wrócicie do tego czasu, to będę mógł was zabrać dopiero za półtora miesiąca, w drodze powrotnej na Hawaje.

— Zobaczymy się zatem za półtora miesiąca — powiedział Cromwell

— lecz tylko po to, aby się pożegnać. Mamy zamiar na zawsze pozostać w Japonii i wśród tutejszych pogan głosić Słowo Boże.

McCain znów coś mruknął i odszedł w stronę magazynów.

— Zawarto już umowę wstępną — oznajmił Cromwell, zwracając się do Starka i Emily. — Mamy stosowne zezwolenia. Pora dopełnić formalności. Bracie Matthew, zaopiekuj się siostrą Emily i zwróć uwagę na nasze bagaże. Ja w tym czasie porozmawiam z urzędnikami shoguna.

35

Zrobię, jak każesz, bracie — odparł Stark.

Cromwell skierował się do stolika, przy którym siedziało trzech samurajów. Stark podał rękę Emily. Ujęła ją i po chwili stanęła na pomoście. Stark z napięciem spoglądał na twarze stojących wokół niego Japończyków. Pomyślał sobie, że dość często ludzie popełniają zbrodnicze czyny wbrew własnej woli. Niektórzy robią to ze strachu.

Niektórzy, bo im zapłacono. Ktoś taki może być właśnie tutaj... a on nie chciał ginąć, ledwie postawiwszy stopę na japońskiej ziemi. Nie chciał, by wszystko się skończyło, zanim na dobre się zaczęło.

- Bardzo im się przyglądasz, bracie Matthew — zauważyła Emily. —

Są tacy niezwykli?

- Nie — odpowiedział Stark. — Raczej podziwiam ich sprawność.

Wyładunek bagaży zajął im ćwierć czasu potrzebnego naszym marynarzom.

Poszli za tragarzami w stronę samurajów. Cromwell tymczasem klócił się zawzięcie z tym siedzącym pośrodku.

— Nie, nie, nie! — powtarzał podniesionym głosem. — Rozumiesz?

Nie, nie, nie.

Urzędnik był wyższy rangą od dwóch pozostałych. Twarz nawet mu nie drgnęła, lecz gdy się odezwał, jego głos także zabrzmiał donośniej niż przedtem.

- Trzeba tak. Tak, tak. Ty rozumiecie?

- Chcą przeszukać nasze kufry w poszukiwaniu kontrabandy —

wyjaśnił Cromwell. — To wbrew porozumieniom.

— Nie tak — powiedział urzędnik—nie wjechać do Japonia.

- A cóż w tym złego? — spytała Emily. — Niech sobie szukają.

Przecież niczego nie przemycamy.

- Nie o to chodzi — zaproponował Cromwell. — Jeżeli raz im popuścimy, to wciąż będą nas szykanowali. Nasza misja się nie powiedzie. Do stolika przybiegł jakiś samuraj. Skłonił się urzędnikowi i powiedział coś po japońsku, bardzo podnieconym tonem. ('ała trójka zerwała się na równe nogi. Po krótkiej wymianie zdań dwaj młodszy pobiegli za gońcem.

Twarz urzędnika przybrała nieco łagodniejszy wyraz. Wyglądał na zaniepokojonego.

36

— Proszę czekać — powiedział z niespodziewaną uprzejmością i pochylił głowę w ukłonie.

Z wartowni wysypał się na pomost oddział uzbrojonych samurajów.

Widać czekali tam w ukryciu. Wielu z nich oprócz mieczy miało także broń palną. Stark rozpoznał muszkiety z zamierzchłej epoki. Co prawda stare, lecz groźne na dużą odległość, zwłaszcza w rękach wprawnego strzelca. Jednak tym razem odległość nie była najważniejsza. Za ledwie oddział zdążył się ustawić, przybyła inna grupa samurajów, w sumie ze dwa tuziny, w zupełnie innych strojach. W środku kolumny czterech tragarzy niosło na ramionach palankin. Wszyscy zatrzymali się na nabrzeżu, jakieś pięć kroków od muszkieterów. Ich zachowanie nie wróżyło nic dobrego.

— Na bok! — zawołał Saiki. — Kto ośmiela się stawać na drodze wielkiego księcia Akaoki?

— Nikt nam nie mówił, że czeka nas łaskawa wizyta któregoś z kasztelanów — padła odpowiedź. Saiki rozpoznał grubego i pyszałkowego dowódcę straży portowej, Ishiego. Z ochotą ściałby mu tę wredną głowę, gdyby doszło do walki. — Nie możemy zatem was przepuścić.

— Tępy pachołku! — Saiki zrobił krok jego stronę i położył prawą rękę na rękojeści miecza. — Na kolana!

Bez żadnego rozkazu połowa samurajów z Akaoki ustawiła się w szyku bojowym za swoim dowódcą. Wszyscy trzymali dłonie na mieczach. Ludzi shoguna było na oko czterokrotnie więcej, lecz brakowało im wyszkolenia. Muszkieterzy stanęli z tyłu, więc nie mogli strzelać, jeśli nie chcieli zdziesiątkować swoich towarzyszy. Poza tym, gwoli prawdy, żaden z nich nie był gotowy do strzału. Pierwsze szeregi straży również dały się zaskoczyć. Gdy Saiki dał krok naprzód, wszyscy cofnęli się, jak uderzeni.

— Szczury portowe! Nasz pan nie musi wam się zwierzać ze swoich zamiarów! — Szambelan kipiał gniewem. Gdyby głupi Ishi powiedział

jeszcze jedno słowo, zapewne skończyłby z rozplataną głową. — Z drogi, mówię, albo skłonimy was do pośpiechu!

Genji, wciąż siedząc w palankinie, słuchał tego z ponurym rozbawieniem. Przybył do portu tylko po to, by powitać zagranicznych 37

gości. Wydawałoby się, że to nic niewłaściwego. Nagle jego obecność stała się przyczyną ostrej zwady, która w każdej chwili mogła przerodzić się w walkę na śmierć i życie. Dostyc tego. Z suchym

trzaskiem odsunął

drzwi pa-lankinu.

- Co się dzieje?

..... Nie wychodź, panie. — Jeden z gwardzistów ukląkł tuż przy nim. — W pobliżu czyha oddział strzelców.

- Bzdura — prychnął Genji. — Kto chciałby mnie zastrzelić? —

Wysiadł. Zanim postawił stopę na ziemi, giermek już podał mu sandały.

Kuma stał za oddziałem straży, przebrany za muszkietera. Miał cel jak na dłoni. Natychmiast spostrzegł, że tym razem Genji nie jest chroniony przez herb na kimonie. Od dawna czekał na taką okazję. W śledztwie mógł zeznać, że wziął księcia za oszusta, dybiącego na życie cudzoziemców. Rzecz jasna nikt by w to nie wierzył, ale co z tego? Liczył

się tylko pretekst. Kuma dał krok do tyłu, żeby zejść z pola widzenia pozostałych strzelców, uniósł muszkiet i wymierzył dokładnie w prawe ramię ofiary. Dostał wyraźne polecenie, że ma ranić, nie zabijać.

Saiki szybko zastąpił drogę księciu.

- Proszę się cofnąć, panie. Niecałe dziesięć kroków stąd stoi trzydziestu muszkieterów.

-- Przesada. — Genji minął go i wyszedł na czoło orszaku. — Kto tu dowodzi? Kuma pociągnął za cyngiel.

Muskiet nie wypalił. Kuma popatrzył na panewkę. No tak...

Wybiegając z wartowni, w pośpiechu złapał nienaładowaną broń zamiast swojej.

- Hej tam, co ty wyprawiasz? — Podszedł do niego dowódca muszkieterów. — Nikt nie kazał ci celować. — Ostro spojrzał na Kumę.

— Nie znam cię. Jak się nazywasz i od kiedy jesteś w oddziale?

Zanim Kuma zdążył odpowiedzieć, Ishi zawołał głośno: „Pan Genji!”, i rzucił się na kolana. Pozostali, nie wyłączając 38

Kumy i rozgniewanego kapitana strzelców, chcąc nie chcąc, poszli za jego przykładem.

— Zatem poznajesz mnie? — spytał Genji.

— Tak, panie. Gdybym tylko wiedział, wszystko byłoby gotowe na twoje powitanie.

— Dziękuję — odparł książę. — A teraz... mogę już pójść do gości, czy najpierw muszę się postarać o jakieś zezwolenie?

— Zrobić przejście! — warknął Ishi do swoich ludzi. Przesunęli się w kucki i znów padli na kolana.  
— Wybacz, panie, lecz nie mogłem przepuścić orszaku, nie widząc cię razem z nimi. Za wielu wokół intrygantów. Shogun obawia się, że ktoś mógłby nastawać na życie cudzoziemców...

— Idiota! — Saiki wciąż kipiał słusznym gniewem. — Podejrzewasz, że mógłbym działać na szkodę mego pana?!

— Na pewno nie — wtrącił Genji. — Prawda?

— Prawda, panie — szybko przytaknął Ishi. — Ja tylko...

— A zatem wszystko załatwione — powiedział Genji do Saikiego. —

Możemy iść? — Spokojnym krokiem ruszył w stronę misjonarzy.

Saiki popatrzył za nim wzrokiem pełnym uwielbienia. Genji sprawiał

wrażenie, jakby wyszedł na spacer po zamkowym ogrodzie, okolonym grubymi murami. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, że tuż obok mogą się czaić setki ukrytych złoczyńców. Z jednej strony jest młody i niedoświadczony, nienawykły do brudnej polityki, lecz z drugiej — w jego żyłach płynie krew rodu Okumichi. Saiki puścił rękojeść miecza. Po raz ostatni łypnął na Ishiego i poszedł za swoim panem.

Emily westchnęła cicho. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od kilkunastu sekund z napięciem wstrzymywała oddech.

Przed chwilą wydawało jej się, że za moment dojdzie do krwawej bijatyki. Potem jakiś młodzieniec wysiadł z palankinu, cicho powiedział

parę słów i napięcie natychmiast zmalowało. Emily przyglądała mu się z zaciekawieniem.

Był bardzo młody, o ciemnych brwiach i włosach, kontrastujących z jego bladą cerą. Miał podłużne oczy, które u Ame-39

rykanina budziłyby raczej zdumienie. U niego wydawały się całkiem na miejscu, uzupełnione wysokimi brwiami, delikatnym nosem, ustami sugerującymi skłonność do uśmiechu i lekko wystającymi kośćmi policzkowymi. Ubrany był, jak inni samuraje, w narzutkę o szerokich i sztywnych ramionach, za pasem nosił dwa miecze. Choć uzbrojony, nie sprawiał wrażenia wojownika.

Gdy podszedł bliżej, urzędnik, który przedtem kłócił się z Cromwellem, padł na ziemię i przycisnął czoło do desek pomostu.

Młodzieniec przemówił do niego po japońsku. Urzędnik błyskawicznie zerwał się na nogi.

— Pan Genji, on przyjść — wybełkotał, z przejęcia jeszcze bardziej kalecząc angielskie słowa. — On, wy, iść, proszę.

-- Pan Genji? — powtórzył Cromwell. Młodzieniec skłonił się z kurtuazją. Cromwell przedstawił mu się i wskazał na swoich towarzyszy.

— Zephaniah Cromwell. Emily Gibson. Matthew Stark. — Boże, zmiłuj się nad nami, pomyślał. Ten zniewieściały chłoptaş to nasz protektor i sojusznik, wielki pan na włościach Akaoki.

Podszedł drugi samuraj. Ten był o wiele starszy i groźniejszy z wyglądu. Genji powiedział coś do niego łagodnie. Dumny wojownik skinął głową, odwrócił się i dał znak wysoko uniesioną ręką.

Genji odezwał się do urzędnika. Samuraj złożył niski pokłon misjonarzom i przetłumaczył:

— Pan Genji mówić: Japonia wita.

— Dziękuję, panie — odparł Cromwell. — To zaszczyt dla nas móc postawić stopę na tej ziemi.

Z końca pomostu dobiegł turkot. Zbliżały się trzy bryczki, lecz ciągnięte przez ludzi, a nie konie.

— Mają tu niewolników — mruknął Stark.

— Nie wiedziałem o tym — powiedział Cromwell. — Myślałem, że są bardziej cywilizowani. Przykra pomyłka.

— To potworne — westchnęła Emily. — Jak można traktować ludzi niczym zwierzęta pociągowe?

— Gorsze rzeczy widywałem u nas — mruknął Stark. — Zwłaszcza w południowych stanach.

— Niedługo to się zmieni, bracie Matthew — zapewnił go 40

Cromwell. — Wkrótce urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych obejmie Stephen Douglas. To abolicjonista.

— Wcale nie musi to być Douglas, bracie, ale na przykład Breckinridge, Bell albo nawet Lincoln. Trudno się połapać w ostatniej kampanii.

— Wieści przyjdą następnym statkiem. Ale to bez znaczenia.

Ktokolwiek będzie prezydentem, na pewno skończy z niewolnictwem.

Genji przysłuchiwał się tej rozmowie. Raz po raz rozpoznawał jakieś znajome słowo. Ludzie. Stany Zjednoczone. Statek. Nie był pewien. Od dziecka wprawiał się w angielskim, rozmawiając z nauczycielami, ale zaskoczył go potok słów płynących z ust cudzoziemców.

Rikszę zatrzymały się na wprost misjonarzy. Genji wskazał je szerokim gestem. Ku jego zdziwieniu, cała trójka cudzoziemców energicznie pokręciła głowami. Najbrzydszy z nich, przywódca grupy, Cromwell, wdał się w długi dyskurs z urzędnikiem.

— Mówi, że ich wiara zabrania im jeździć rikszą. — Samuraj nerwowym ruchem otarł chustką pot z czoła.

Genji odwrócił się do Saikiego.

— Wiedziałeś o tym?

— Oczywiście, że nie, panie. Kto by w ogóle podejrzewał, że riksza może mieć coś wspólnego z wiarą?

— O co dokładnie chodzi? — zapytał Genji urzędnika.

— Za dużo tu słów, których nie rozumiem — odparł tamten. —

Wybacz mi, panie, ale na co dzień miewam do czynienia z frachtem.

Znam nazwy różnych towarów, wiem, co to dokumenty, ceny i opłaty, ale religia... — rozłożył ręce.

Genji pokiwał głową.

— W takim razie pójdziemy na piechotę. Załadujcie kufry na rikszę.

Zapłaciliśmy za nie, więc musimy je jakoś wykorzystać. — Skinął ręką na misjonarzy, żeby poszli za nim.

— Wspaniale — mruknął Cromwell. — Odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo. Daliśmy im do zrozumienia, że nie porzucimy chrześcijańskich zasad. *A myśmy lud pastwiska jego, i owce rąk jego.*

— Amen — powiedzieli Stark i Emily.

41

Amen. Genji znał to słowo. Nie przywykł jednak do obcej mowy, więc nie zrozumiał nic z modlitwy, która je poprzedzała.

Po drodze Saiki przysunął się do niego. Mówił po cichu, jakby misjonarze mogli go zrozumieć.

— Panie... Ta kobieta nie może iść z nami.

— A to dlaczego? Na pozór nic jej nie dolega.

— Wcale nie martwię się jej zdrowiem, ale wyglądem. Tylko spójrz na nią, panie.

— Muszę? Jest najzwyczajniej w świecie nieciekawa.

— Za mało powiedziane, panie. Odziana niczym łachmaniarka, wzrostu żrebaka, o brzydkiej cerze i przesadnie wyrazistych rysach.

— Mam się z nią tylko przejść, a nie żenić.

— Ludzka nienawiść tnie niczym miecz i równie łatwo może zabić. W

dzisiejszych zakłamanych czasach wszelkie sojusze są bardzo kruche.

Nie powinniśmy ryzykować.

Genji zerknął spod oka na dziewczynę. Cromwell i Stark traktowali ją, jakby była skończoną pięknoscią. Na pewno udawali. On sam, bez przesady, ledwo mógł na nią patrzeć. Saiki miał rację. Jej obecność byłaby przyczyną potwornej katastrofy.

— Zaczekajcie. — Zatrzymali się przy palankinie. — Niech usiądzie na moim miejscu.

Saiki zmarszczył brwi. W czasie przechadzki Genji stanowił łatwy cel dla zamachowców. Lecz z drugiej strony, mieszkańcy lido nie powinni widzieć szkaradnej dziewczyny wśród samurajów klanu Okumichi. Tak źle i tak niedobrze. Łatwiej jednak obronić kasztelana, niż żyć z piętnem hańby.

— To chyba najlepsze wyjście.

Bmily tymczasem rozglądała się dookoła. Powiodła wzrokiem po twarzach otaczających ją samurajów. Zauważyła, że niemal wszyscy z niesmakiem patrzą w jej stronę. Szybko opuściła oczy, serce waliło jej jak młotem. A może to nie chodzi o nią? Może Zephaniah albo brat Matthew są przyczyną tych znaczących spojrzeń? Może to skutek niedawnej kłótni? Nie chciała już na wstępie wyzbyć się nadziei. Nie chciała wysnuć zbyt pochopnych wniosków. Jeszcze nie teraz. Ale... Właśnie, ale...

42

— Coś mi się zdaje, że pan Genji prosi, abyś zajęła miejsce w palankinie — odezwał się Zephaniah.

— Jak mogłabym się na to zgodzić? Przecież to cztery razy gorzej, jeśli będzie mnie teraz niosło aż czterech niewolników!

Cromwell uważniej przyjrzał się tragarzom.

— To chyba nie są niewolnicy, bo każdy z nich ma miecz za pasem.

Nikt nie pozwoliłby zbrojnym niewolnikom podejść tak blisko pana.

Emily w duchu przyznała mu rację. Tragarze byli uzbrojeni i nosili się równie dumnie, jak reszta samurajów. Zapewne uważali to za wielki zaszczyt, że w ten sposób służą swemu panu. Zauważyła, że oni też jej się przyglądają. Mimo wszelkich obaw, poczuła dziwną radość w sercu.



— Złe bym się czuła, jadąc jak w tej lektyce i wiedząc, że idziecie obok, bracia. To nie przystoi, zwłaszcza kobiecie.

Genji uśmiechnął się.

— Palankin też jest niezgodny z ich wiarą?

— Chyba tak, panie — odparł Saiki. Nie patrzył na niego, lecz na swoich ludzi. — Opanujcie się! Wyraźnie widać, co o niej myślicie!

Emily zrozumiała, że to o niej mowa, bo wszyscy wokół nagle spowaźnieli i zaczęli unikać jej wzroku.

— Masz rację, moja droga. Ale pamiętaj, że czasami trzeba ustąpić dla dobra sprawy. Musimy przejąć część ich zwyczajów, lecz tylko takich, które nie stoją w sprzeczności z naszą świętą wiarą.

— Jak sobie życzysz. — Emily dygnęła przed japońskim księciem, dała krok w stronę palankinu... i stanęła jak wryta. Drzwiczki były bardzo małe. Aby wejść do środka, musiałyby się nieprzystojnie wypiąć.

Potem zaś, w ciasnej przestrzeni, ubrana w halki, suknię i grubą pelerynę, nie miałyby czym oddychać.

— Daj mi swój płaszcz, Emily — odezwał się Zephaniah. — W

palankinie na pewno nie zmarzniesz.

Emily obronnym ruchem przyłożyła rękę do piersi i mocniej zacisnęła poły peleryny.

— Nie, dziękuję. Wolę w tym zostać. — Jeszcze jedna osłona, oddzielająca jej ciało od świata. Im więcej ich jest, tym lepiej.

43

— Nie wie, jak wsiąść — stwierdził Saiki. — Jest równie mądra, jak piękna.

— A skąd ma wiedzieć? — zapytał Genji. — Na pewno nigdy przedtem tego nie robiła. — Uprzejmie skłonił się dziewczynie i podszedł

do palankinu. Wyjął miecze zza pasa i położył je przy siedzisku. Lekko pochylił się, odwrócił, usiadł, zgiął kolana i płynnym ruchem zajął

miejsce w środku. Żeby wsiąść, najpierw wysunął nogi, a potem resztę ciała. Wszystkie ruchy wykonał powoli i dokładnie, żeby Emily je zapamiętała. Wreszcie stanął i z wprawą wsunął miecze za pas. Pokaz dobiegł końca. Genji ukłonił się ponownie i dał znak dziewczynie, że teraz na nią kolej.

— Dziękuję, panie Genji — powiedziała. Była mu naprawdę wdzięczna, bo oszczędził jej wstydu

przed obcymi. Zgrabnie powtórzyła wyuczoną lekcję i bez większych przeszkód usadowiła się w palankinie.

— Dacie radę udźwignąć tak ogromną bestię? — zawołał do tragarzy jeden z samurajów.

— Hide! — warknął Saiki. — Miesiąc służby w stajni. Który jeszcze żartowniś chce sprzątać po koniach?

Nikt więcej się nie odezwał. Tragarze bez wysiłku unieśli palankin.

Orszak opuścił przystań i wkroczył na ulice Edo.

Ze wszystkich miast widzianych dotychczas przez Starka największe było San Francisco. Tam, w misji, słyszał niezwykłe historie o Japonii, opowiadane przez „żeglarzy”, którzy jakoby zawijali tutaj na fregatach, frachtowcach i statkach wielorybnych. Dużo mówili o dziwnych zwyczajach, dziwnych widokach i jeszcze dziwniejszych potrawach.

Lecz najdziwniejsza była wieść, że w stolicy shogunatu, Edo, żyje kilka milionów ludzi. Stark w to nie wierzył, bo niby jak miał wierzyć pijakom, wyrzutkom i zbiegom? A tylko tacy bywali w misji Prawdziwego Słowa.

Teraz musiał przyznać, że żadne hajania nie dały się porównać z prawdziwym widokiem tego ogromnego miasta.

Ludzie byli dosłownie wszędzie. W sklepach, na ulicach i w oknach na piętrze. Mimo wczesnej pory, zwarty tłum

44

zdawał się wypełniać całą przestrzeń. Jak tu w ogóle iść w takiej cizbie? Zgiełk atakował jego oczy i uszy.

— Dobrze się czujesz, bracie Matthew?

— Tak, tak... Trochę mnie tylko zamroczyło. — Trochę? Dorastał na rozległych preriach Teksasu i Arizony. Tam znalazł dom. Tam czuł się naprawdę u siebie. Wcale nie tęsknił za miejskim życiem. Przytłaczało go nawet San Francisco, a przecież w porównaniu z Edo było tylko „miastem duchów”.

Ludzie rozstępowali się przed nimi i jak jeden mąż padali na kolana, niczym bujna trawa, przygięta północnym wiatrem. Jakiś bogato odziany jeździec, dosiadający białego konia i otoczony trzema służącymi, zeskoczył z siodła i rzucił się na ziemię, nie bacząc na to, że pobrudzi swą jedwabną szatę.

— Czym pan Genji sobie zasłużył, że tak mu się kłaniają? — spytał

Stark.

— Tylko urodzeniem. — Zephaniah zmarszczył brwi z dezaprobatą.

— Każdy wojownik może bezkarnie ściąć przechodnia, jeżeli uzna, że ów nieszczęśnik nie okazał mu dość szacunku. *Daimyo*, czyli książęta tacy jak nasz pan Genji, za przewinienie jednej osoby są w prawie wyrżnąć całą rodzinę albo i całą wioskę.

— Trudno uwierzyć, że wciąż istnieje takie barbarzyństwo —

odezwała się Emily z wnętrza palankinu.

— Wszak właśnie po to tu jesteśmy — odparł idący obok Cromwell.

— *Na chwałę Boga, który zachowuje ubogiego od miecza, od ust ich i od ręki gwałtownika.*

Misjonarze znów powiedzieli „Amen”. Genji szedł kilka kroków za palankinem. Słuchał uważnie, lecz i tym razem nie dosłyszał modlitwy.

Wydaje mi się, że chrześcijańskie modły są równie krótkie jak mantry buddystów sekty Czystej Ziemi albo Lotosu, pomyślał.

Nagle Saiki zasłonił go własnym ciałem i krzyknął:

— Uwaga!

W tej samej chwili rozległ się huk strzału.

— Jeżeli masz jakieś pytania, idź z tym do pana Kawaka-miego —

odpowiedział Kuma.

45

Kapitan muszkietarów zbladł, słysząc nazwisko szefa tajnej policji.

Odwrócił się prędko i odszedł. Kiedy Genji i Saiki poszli powitać misjonarzy, Kuma spokojnie wrócił do wartowni. Wziął swoją broń, owinał ją w czarną tkaninę i przytroczył na plecach. Potem bezzwłocznie zniknął z portu.

Wiedział, że tylko jedna ulica jest dość szeroka, by pomieścić orszak podążający do pałacu klanu Okumichi w dzielnicy Tsukiji. Był tam na zwiadach poprzedniej nocy. Wybrał piętrowy budynek tuż za zakrętem, mocno wciśnięty, jak większość mu podobnych, w ciasną zabudowę Edo.

Wspiął się na dach z tylnej uliczki. Nikt go nie widział. A gdyby nawet, to pewnie by w to nie uwierzył, bo Kuma pełzał po ścianach jak pająk.

Miejsce okazało się wręcz wyśmienite. Kuma mógł spokojnie wypatrzeć ofiarę, obliczyć odległość i ustawić przyrządy celownicze. W

dotatku, na zakręcie orszak musiał zwolnić, co też nie było bez znaczenia. Sprawdził muszkiet. Chciał mieć pewność, że tym razem broń go nie zawiedzie.

Zanim Genji pojawił się w głębi ulicy, nadeszła godzina Konia.

Przechodnie padali na ziemię przed orszakiem. Jeszcze lepiej, pomyślał

Kuma. Oparł koniec lufy o krawędź dachu. Z dołu na pewno nic nie było widać. Nawet najlepszy obserwator by go nie wypatrzył. Genji szedł bez najmniejszego strachu w grupie gwardzistów. Kuma wycelował w jego elegancką głowę. Jakież to proste... — westchnął w duchu. Ale, niestety, nie mógł strzelić. Właściwy moment minął w porcie; głupi Ishi rozpoznał

księcia i na cały głos powiedział jego imię. Próba zamachu zbyt wyraźnie wskazywałaby na zamek Edo.

Kuma lekko przesunął lufę, wymierzył i wypalił.

— Panie!

— Nic mi się nie stało! — krzyknął Genji. Saiki wskazał na dach pobliskiego domu.

— Tam! Hide! Shimoda! Brać go żywcem!

Reszta gwardzistów, z mieczami w dłoniach, zwartym kręgiem otoczyła swojego pana. Przechodnie szybko zniknęli z ulicy, kryjąc się po kątach na pierwszy znak awantury.

46

— Misjonarze! — krzyknął Genji. Podbiegł do pałankinu. Kula wybiła dziurę w zamkniętym prawym okienku, na wysokości piersi pasażera. Genji gwałtownie otworzył drzwiczki, przekonany, że w środku ujrzy zakrwawione i nieruchome ciało Emily.

Ale nie. Widać dziewczynie było niewygodnie w skulonej pozycji, bo na chwilę prawie położyła się na plecach. Pocisk wyrwał jej jedynie strzępek materiału z przodu płaszcza. Zapewne przeszyłby ją na wylot, gdyby siedziała trochę inaczej.

— Panie! — rozległ się okrzyk gwardzisty po drugiej stronie pałankinu. Cromwell leżał na ziemi, brocząc krwią z rany w dolnej części brzucha, trafiony tą samą kulą, która przebiła pałankin.

— Nie stójmy tutaj! — zawołał Saiki. — Ruszać! Tragarze unieśli pałankin. Czterech samurajów wzięło na

ramiona nieprzytomnego Cromwella. Miecze błyskały w świetle poranka. Orszak szybko oddalił się w kierunku pałacu w Tsukiji.

Heiko wyszła z pałacu tuż po pożegnaniu, nie wiedząc, że ktoś ją śledzi. Szedł za nią Kudo. Uznał, że sam musi wypełnić to zadanie. Było zbyt ważne, by mógł je powierzyć komuś o mniejszym

doświadczeniu.

Uważał się za najlepszego szpiega wśród samurajów klanu Okumichi.

Taką miał pracę — ot, i wszystko.

Heiko i jej służąca powoli oddalały się krętymi ulicami od Tsukiji. Jak wszystkie kurtyzany z Płynącego Świata Heiko mogła mieszkać wyłącznie za murami zamkniętej dzielnicy rozrywki, Yoshiwary. Żeby skrócić drogę, powinna była wynająć łódź i popłynąć rzeką Sumida.

Zamiast tego skierowała się w stronę zagajników na wschodnich peryferiach Edo, w okolicy noszącej nazwę Ginza. Miała tam małą willę, co samo w sobie stanowiło pogwałcenie prawa, ale policja już od dawna przymykała oczy na takie zachcianki pięknych i sławnych mieszkanek Yoshiwary. A Mayonakano Heiko była najpiękniejsza i nikt nie mógł

odmówić jej sławy. Pan Genji umiał dobierać kochanki. Saiki i Kudo narzekali jednak, że jej nie znają. Nie mogli znać, bo każda gejsza po mistrzowsku kreowała swój własny wizerunek, z reguły zupełnie różny od rzeczywistości.

Wstępne śledztwo, szybko przerwane na życzenie księcia, ujawniło jedynie, że jej kontrakt był w posiadaniu bankiera 47

Otaniego. To jednak stanowiło wyłącznie fasadę. Zwykle Otani łatwo ulegał groźbom lub namowom — zwłaszcza popartym stosowną łapówką

— i nie wzdrygał się przed podaniem żądanych informacji. Lecz nie tym razem. Twardo odmawiał, twierdząc, że jego życie zależy od milczenia.

Przesadzał pewnie, ale z drugiej strony istniało podejrzenie, że

„opiekunem” Heiko jest któryś z feudałów, być może potężniejszy nawet niż pan Genji. Z tych, którzy dwieście sześćdziesiąt lat temu przeżyli bitwę pod Sekigaharą, prawdziwą władzę utrzymało zaledwie sześćdziesięciu. Heiko miała możnego protektora. Mogła być nawet narzędziem w jego rękach. Kudo musiał dowiedzieć się, kto za nią stoi, choćby ze względu na bezpieczeństwo swego pana. Gdyby się tego nie dowiedział, zamierzał japo prostu zabić. Tak na wszelki wypadek. Może nie dzisiaj, ale w odpowiednim czasie... Kraj przecież stał u progu kolejnej wojny domowej. Należało unikać niepewnych sytuacji. Od tego mógł zależeć los całego klanu.

Heiko znów przystanąła przy jakimś straganie i wdała się w rozmowę z kupcem. Kudo spoglądał na nią z pewnej odległości. Jak można wlec się tak powoli?, pomyślał zniecierpliwiony. Skręcił z głównej ulicy w wąską boczną alejkę i przyspieszył kroku. Chciał wyprzedzić Heiko i poczekać na nią nieco dalej. Ciekawe, czy podejrzewa, że jest obserwowana? Z

nowego miejsca łatwiej mógł to stwierdzić. Każdy niezręczny ruch z jej strony byłby potwierdzeniem winy. Zwykłej gejszy nawet nie przysłoby do głowy, że ktoś ją śledzi.

Skręcił za róg i zobaczył dwóch ludzi, wynoszących kosz z odpadkami z zaplecza jakiegoś sklepu. Na

jego widok wpadli w przerażenie. Rzucili kosz, przypadli do ziemi i wtulili twarze w pył drogi.

Na czworakach cofnęli się pod ścianę, kuląc się, jakby chcieli ukryć swoją obecność.

*Eta.* Samuraj skrzywił się z pogardą i jego dłoń odruchowo powędrowała do rękojeści miecza. *Eta.* Kasta wyrzutek, spełniających najpodlejsze i najobrzydliwsze funkcje. Już samo to, że nieopatrznie dali się zauważyć komuś takiemu jak Kudo, było dla nich wyrokiem śmierci.

Lecz z drugiej strony, gdyby ich zabił, zrobiłoby się małe zamieszanie.

Nie mógłby dalej śledzić Heiko. Opuścił rękę i szybko poszedł dalej. Już sama myśl o *eta* sprawiła, że poczuł się brudny.

48

Sto kroków dalej wrócił na główną ulicę. Heiko wciąż stała przy tym samym straganie, pochłonięta rozmową z kramarzem.

Na chwilę przesłoniła ją grupka roztrajkotanych kobiet. Kudo wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć, lecz przy straganie nie było już nikogo. Gejsza i jej służąca zniknęły. Natychmiast pobiegł w tamtą stronę. Pusto.

Co się stało? Przecież była tutaj jeszcze sekundę temu. Teraz przepadła jak kamień w wodę. Gejsze nie znają takich sztuczek. Ale ninja?

Kudo zaniepokoił się jeszcze bardziej. Zawrócił w stronę pałacu w Tsukiji... i niemal wpadł na Heiko.

— Kudo-sama! — wykrzyknęła gejsza. — Co za niespodzianka...

Kupujesz jedwab, panie?

— Nie, nie... — wyjąkał Kudo, gorączkowo szukając jakiegoś usprawiedliwienia. Nie lubił być zaskakiwany. — Idę do świątyni w Hamacho. Chciałem pomodlić się za moich przodków, którzy niegdyś zginęli w walce.

— Szlachetny zamiar — pochwaliła Heiko. — Moje zamiłowanie do zakupów jest czymś tak przyziemnym...

— Ależ nie, pani Hetko. Przecież jedwabne szarfy są dla ciebie tym, czym miecz dla samuraja. — Kudo aż się zrywał w środku, że musi wygadywać takie idiotyzmy. Było mu coraz bardziej głupio. — No cóż, chyba sobie pójdę.

— Może wstąpimy choć na chwilę do jakiejś herbaciarni, Kudo-sama?

— Z radością, pani, ale nie tym razem. Mam dzisiaj mnóstwo obowiązków. Muszę na moment zajrzeć do świątyni, a potem szybko wracać do pałacu. — Skłonił się śpiesznie i energicznym krokiem

odszedł

na zachód, do Hamacho. Gdyby uważał trochę bardziej, a nie myślał o jakichś ninja, nie musiałby nadkładać drogi. Obejrzał się. Heiko wciąż patrzyła za nim i pochyliła się w ukłonie. Nie mógł skrócić, póki nie zniknął jej z oczu.

Idąc z powrotem do Tsukiji, przez cały czas pluł sobie w brodę.

*Cichy Żuraw*

*Mgły spowijają las przed nami i morze szumiące z tyłu. A*

*jednocześnie na tle wiosennego nieba wyraźnie widać odległy*

*wierzchołek Tosy. Strzelcy czają się w cieniu listowia. Zabójcy*

*podpływają bliżej, uczepieni dryfujących gałęzi.*

*Co nam po widoku dalekiego szczytu?*

**Suzume-no kumo (1701)**

Cromwell miotał się w otchłani snów. Widział nad sobą twarz Emily.

Jej złote loki zdawały się falować w jego stronę. Miał wrażenie, że nic nie waży. A może śniło mu się, że utonął? „Gwiazda Betlejemska” zniknęła w morskiej fali. Utonęli oboje: on i Emily. Wiedział, że powinien znaleźć jakąś pływającą deskę, ale nie potrafił oderwać wzroku od dziewczyny.

— „Gwiazda” ocalała — powiedziała Emily. — Stoi na kotwicy w zatoce Edo.

Zatem czytała w jego myślach. Gdyby umysły ludzi były jak otwarta księga, to świat na jawie stałby się dużo lepszy. Zniknąłby wstyd i zakłamanie. Grzech, żal i odpuśczenie byłyby dziełem jednej i tej samej chwili.

- Leż spokojnie — mówiła Emily. — Nie musisz się niczym martwić.

Tak. Miała rację. Chciał ją pogłodzić po włosach, lecz nie iniał ręki, którą mógłby podnieść. Stawał się coraz lżejszy. Jak 50

to możliwe, skoro już przedtem nic nie ważył? W głowie plątało mu się od natłoku myśli. Zamknął oczy i wkroczył do następnego snu.

Emily zbladła.

— Umarł?

— Budzi się i zasypia — odparł Stark. — To z gorączki Położyli Cromwella w gościnnym skrzydle pałacu. Spoczął

na posłaniu z grubych poduszek, leżących wprost na podłodze Jakiś Japończyk w średnim wieku, którego brali za medyka zbadał go, posmarował ranę silnie pachnącą maścią i owinał bandażem. Zanim wyszedł, wezwał trzy młode służące Pokazał im masę i bandaż, krótko powiedział coś po japońsku, skłonił się cudzoziemskim gościom i odszedł. Japonki cofnęły się pod samą ścianę i w



milczeniu, wyczekująco przysiadły na piętach Emily siedziała na prawo od Cromwella, na niewielkiej poduszce. Stark zajął miejsce po lewej stronie posłania. Nie było zbyt wygodnie. Nie potrafili siedzieć tak jak gospodarze, którzy tę sztukę mieli wyćwiczoną do perfekcji. Stark początkowo podwinął nogi pod siebie, lecz nie wytrzymał długo w tej pozycji. Wiercił się, co chwila przybierając inną pozę. Emily skrępowana suknią i halkami, męczyła się jeszcze bardziej. Wreszcie usiadła nieco na boku, podparta jedną ręką, i poprawiła fałdy spódnicy, żeby starannie zakryć nogi. W podobny sposób, gdy była dzieckiem, siadała na piknikach. Może nie bardzo to pasowało w gościach, ale nie potrafiła wymyślić niczego innego.

— Nie przynosimy ze sobą nic, prócz słów Chrystusa — powiedziała.

Mokrym i chłodnym ręcznikiem otarła pot z twarzy Cromwella. —

Dlaczego ktoś miałby pragnąć naszej krzywdy?

— Nie wiem, siostrze Emily. — Stark zauważył metaliczny błysk na krawędzi dachu tuż przedtem, zanim skrytobójca pociągnął za cyngiel.

Rzucił się na ziemię w momencie wystrzału. Gdyby tego nie zrobił, to on dostałby kulę zamiast Cromwella. Uratowała go tylko czujność.

Cromwell po prostu nie miał szczęścia. Pocisk przeszedł na wylot przez palankin jakimś cudem omijając Emily, i wywiercił dziurę w trzewiach 51

misjonarza. Postrzał w brzuch. Ludzie czasami męczyli się całymi tygodniami, zanim umierali od takiej rany.

— Wygląda tak spokojnie — powiedziała Emily. — Nie marszczy brwi i przez sen uśmiecha się do siebie.

— Tak, siostrze, też to widzę. — Stark doszedł do wniosku, że to on był

celem zamachowca. Ktoś pewnie mu za to zapłacił. Morderca wszedł na dach i strzelił do człowieka, którego nawet nie znał. W takich przypadkach nieznajomość języka nie stanowi najmniejszej bariery. W

Japonii równie łatwo kupowano śmierć jak w Ameryce.

Stark lekko rozprostował nogi, by pozbyć się mrowienia. Za każdym razem, kiedy się poruszył, czterech samurajów siedzących na straży w korytarzu spoglądało spod oka w jego stronę. Ciekawe, czy mieli chronić, czy też raczej pilnować misjonarzy? Od chwili zamachu Stark zwracał ich szczególną uwagę. Nie wiedział dlaczego.

— Trzeba dość często zmieniać opatrunek — powiedział doktor Ozawa. — Dałem mu lek, który na pewno zmniejszy krwawienie, lecz nie zatrzyma go zupełnie. Kula przebiła kilka arterii i utkwiała przy kręgosłupie. Nie da się jej wyciągnąć.

— Ile to potrwa? — zapytał Genji. Lekarz pokręcił głową.

— Jeśli ma szczęście, parę godzin. Jeżeli nie, to przez kilka dni czekają go męczarnie.

Skłonił się i opuścił komnatę.

— Niedobrze — westchnął Genji. — Trzeba zawiadomić amerykańskiego konsula, Harrisa. Nie lubię go. To bardzo nieprzyjemny człowiek.

— Ten pocisk był przeznaczony dla ciebie, panie — odezwał się Saiki.

— Szczerze wątpię. Moi wrogowie mają lepszych strzelców, jak mógł celować we mnie i trafić w palankin? To różnica co najmniej pięciu kroków.

Weszła służąca ze świeżo parzoną herbatą. Saiki odpędził ją niecierpliwym gestem, ale Genji z uśmiechem wziął do ręki czarkę.

Gorący napój pomagał odpędzić chłód zimy.

52

— Obejrzałem palankin — powiedział Saiki. — Poniósłbyś śmierć, panie, gdybyś tylko był środkiem, tak jak powinienes. Kobieta ocalała, bo siedziała w przedziwnej, barbarzyńskiej pozycji.

— Tak, wiem. Zauważyłem. — Genji uśmiechnął się do służącej.

Spiekła raka pod jego spojrzeniem i ukloniła się do samej ziemi.

Czarująca, pomyślał Genji, i bardzo ładna, chociaż nieco za stara na pannę. Pewnie ma ze dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata. Jak jej na imię? Ach, prawda... Hanako. A może wydać ją za kogoś z moich gwardzistów? Który tam jeszcze nie ma żony i byłby dla niej w odpowiednim wieku? — Sęk w tym, że szedłem pieszo i wszyscy mnie widzieli.

— Właśnie! — podchwycił Saiki. — Płatny morderca mógł nie znać twojej twarzy. Nie miałeś herbu na kimonie. To także niesłychane. A kto z wielmożów chodziłby piechotą, oddając swoje miejsce cudzoziemce?

Był przekonany, że jesteś w palan-kinie. Dlatego strzelił.

— Trochę to naciągane — orzekł Genji.

W drzwiach stanęli zdyszani Hide i Shimoda. Saiki wysłał ich wcześniej w pościg za mordercą.

— Wybacz, panie — wysapał Hide — nie znaleźliśmy ani śladu.

— Nikt nic nie widział — dodał Shimoda. — Jakby rozpułnął się w powietrzu.

— Ninja — mruknął Saiki. — Przekłete tchórze. Warto ich wszystkich wyróżnić, z babami i dziećmi.

— Dom należy do kupca Fujity — powiedział Hide. — To prosty człowiek. Żadnych kontaktów z półświatkiem, żadnych potężnych krewnych, żadnych długów ani córek w niewoli Płynącego Świata. W

zasadzie poza podejrzeniem. Oczywiście boi się twego gniewu, panie.

Przyrzekł, że zaopatrzy nas we wszystko, co potrzebne na święto Nowego Roku.

Genji roześmiał się.

— Wtedy na pewno zbankrutuje i będzie musiał sprzedać córki do Płynącego Świata!

— Widziałem je — z uśmiechem wtrącił Hide. — Zarobiłby niemało.

Saiki uderzył dłonią w podłogę.

53

— Hide! Zważ, do kogo mówisz!

— Tak jest, panie! — Samuraj zgiął się w ukłonie.

— Nie krzycz na niego — mruknął Genji. — Mamy za sobą ciężki ranek. Ile masz lat, Hide?

— Panie? — Hide był zaskoczony tym pytaniem. — Dwadzieścia dziewięć.

— Jak to się stało, że dotąd nie znalazłeś sobie odpowiedniej żony?

— Ja, panie... eee...

— Gadaj — warknął Saiki. — I nie zabieraj panu więcej czasu! —

Gwoli prawdy, całą tę rozmowę uważał za niestosowną. Co ten Genji znowu wymyślił? Czarne chmury kłębią się nad całym klanem, a on wdaje się w niepotrzebne gadki.

— Nie miałem okazji, panie — odparł Hide.

— Szczerze mówiąc, Hide ma wielką słabość do kobiet, hazardu i sake — wtrącił Saiki. — Nikt nie chce przyjąć go do rodziny ze względu na jego długi — wyrecytował niemal jednym tchem, żeby wreszcie zamknąć tę kwestię. Chciał pomówić o innych, dużo ważniejszych sprawach. Choćby o podejrzanym „misjonarzu” Starku.

— Jaka to suma? — spytał Genji. Hide zawahał się.

— Sześćdziesiąt ryo, panie. — Ogromny dług, jak na samuraja, którego pensja wynosiła dziesięć ryo rocznie.

— Niezdyscyplinowany dureń — rzucił Saiki.

— Tak, panie. — Hide ze wstydem ponownie skłonił się do samej ziemi.

— Anuluję wszystkie twoje długi — oznajmił Genji. — Pamiętaj tylko, żebyś nie narobił nowych. Teraz zaś, skoro jesteś już wolny od brzemienia, musisz natychmiast znaleźć sobie żonę. Kogoś, kto dobrze zna się na prowadzeniu domu i zdoła cię utrzymać w ryzach. Kogoś, kto w mig pokaże ci uroki małżeńskiego życia.

— - Panie. — Hide nie odrywał czoła od podłogi. Był oszołomiony hojnością księcia.

- Jeśli chcesz, spróbuję cię wyswatać — dodał Genji. — Zaufasz mi w tej sprawie?

— Tak, panie. Stokrotne dzięki.

54

Hanako — Genji zwrócił się do służącej. — Zaprowadź obu moich gwardzistów do innej komnaty. Niech odpoczną po dzisiejszych trudach.

Pomóż im, gdyby przypadkiem czegoś potrzebowali.

— Tak, panie — odparła Hanako. Ukłoniła się wdzięcznie i ruchem dłoni wezwała za sobą samurajów.

Kiedy wyszli, Saiki z szacunkiem i ceremonialnie skłonił się przed księciem. Wreszcie zrozumiał jego intencje. Pan Genji o wiele mniej dbał

o własne życie niż o dobro swoich poddanych. Hanako była sierotą.

Mimo urody, wdzięku i nienaganych manier, nie wyszłaby sama za męża.

Bez wpływowej rodziny i posagu nie stanowiła odpowiedniej partii. Z

kolei Hide, dzielny wojownik, ale szalała, musi nauczyć się odpowiedzialności, żeby naprawdę dorosnąć. Pozostawiony samemu sobie, dalej trwoniłby czas i pieniądze. Na koniec stałby się bezużyteczny jak wielu samurajów w innych upadłych klanach. Pan Genji przeciął nić kłopotów jednym precyzyjnym ciosem. Łzy nabiegły do oczu starego szambelana.

— Co ci się stało, Saiki? Czyżbym już umarł i został zaliczony do panteonu bogów?

— Panie... — wykrztusił Saiki, zbyt wzruszony, by mówić dalej.

Wciąż trwał pochylony w głębokim ukłonie. Znów nie docenił zalet młodego księcia i kasztelana.

Genji wyciągnął rękę po czarękę. Druga służąca, Michiko, skłoniła się i szybko dołała mu herbaty. Miała już męża, więc Genji uśmiechnął się do niej, lecz nie rozmyślał nad jej przyszłością. Pijąc

herbatę, czekał

cierpliwie, aż Saiki trochę się uspokoi. Dziwni są ci samuraje. Bez najmniejszego słowa skargi znoszą najgorsze tortury, lecz zaczynają szlochać jak dzieci w momencie tak zwykłego zdarzenia jak swaty.

Po pewnym czasie Saiki uniósł głowę i gwałtownym ruchem otarł łzy rękawem kimona.

— Panie, powinieneś chyba wziąć też pod uwagę, że to cudzoziemcy mogą być uwikłani w spisek przeciw tobie.

— Jeśli w ogóle istnieje jakiś spisek.

— Ten, którego nazywają Stark, rzucił się na ziemię, zanim zdążyłem krzyknąć „Uwaga!”. Wniosek stąd, że musiał wiedzieć o zamachu.

55

Albo jest czujny. — Genji pokręcił głową. — Chlubna to rzecz, mieć się na baczności przed zdradą. Ale nie można zdrady widzieć wszędzie.

Nie daj się ponieść wyobraźni. Ów Stark zaledwie dzisiaj przybył z Ameryki. W Japonii mamy własnych skrytobójców. Komu chciałoby się wciągać w to jeszcze obcych?

Na przykład temu, kto pragnąłby jak najdalej odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia — odparł Saiki. — Komuś, kto chciałby cię omamić, panie, (ienji westchnął.

No dobrze. Zajmij się tą sprawą, lecz nie utrudniaj życia Siarkowi. Jest naszym gościem. Saiki ukłonił się.

Tak, panie.

Zobaczmy, co tam u nich słychać — zaproponował Genji. Saiki zapytał go po drodze, jak zamierza ukarać kupca, w którego domu skrył

się zamachowiec. Mamy przyjąć ofertę Fujity?

Podziękuj mu i niech przekaże nam świąteczny zapas sake.

Tak, panie — odparł szambelan. Kara była na tyle dotkliwa, żeby uspokoić sumienie kupca, lecz nie tak kosztowna, by zbankrutował.

Mądra decyzja. Saiki poczuł rosnący podziw dla swojego pana.

Kawakami mógł obserwować przez teleskop dachy domów stojących przy ulicy, którą przechodził orszak księcia. Chociaż nic widział samej kolumny, domyślał się, gdzie jest Genji. Poznawał to po zachowaniu ludzi na skrzyżowaniach. Najpierw pndali plackiem na ziemię, potem wracali do

przerwanych zajęć. Prawda, że proste?

Niemal roześmiał się, gdy zobaczył, jak bogaty bankier Monzaemon w popłochu zeskoczył ze swojego słynnego białego wierzchowca i klęknął w pyle, nie bacząc na cenną szatę. Wiciu książąt miało u niego długi. Sam shogun był mu winien i nłkiem pokaźną sumę. A jednak nawet sprytny Monzaemon musiał się pokajać przed wyżej urodzonym. Co innego majątek, it co innego prawo do noszenia dwóch mieczy.

Nieważne, co

56

się jeszcze zmieni na tym świecie, myślał Kawakami, władza śmierci zawsze będzie większa od władzy pieniądza.

W pewnej chwili zdawało mu się, że usłyszał echo pojedynczego strzału. Spojrzał w teleskop. Monzaemon szybko poderwał głowę; na jego nalanej, pospolitej twarzy widniał grymas straszego przerażenia.

Biały rumak ze strachu stanął dęba. Jeden ze służących prędko przytrzymał go za uzdę i w ten sposób uchronił bankiera przed stratowaniem.

Coś się stało, pomyślał Kawakami. Teraz pozostawało mu już tylko czekać. Odstąpił od teleskopu i spojrzał w kąt komnaty, gdzie siedział

Mukai.

— Będę w pawilonie — powiedział. — Nie przeszkadzaj mi, chyba że w wyjątkowo ważnej sprawie.

Wyszedł do ogrodu. Wspomniany pawilon krył się na jednym z pomniejszych dziedzińców rozległego zamku i bardziej przypominał

szopę. A jednak to właśnie tutaj szef tajnej policji shogunatu zażywał

największej rozkoszy swego życia.

Samotności.

Niewiele było takich miejsc w ruchliwym Edo, zamieszkanym przez prawie dwa miliony ludzi. Feudałów, do których zaliczał się Kawakami, ciągle otaczał gęsty tłum doradców i służących. Po części dlatego został

szpiegiem, żeby mieć pretekst do samotnych przechadzek po ogrodzie.

Mówiąc, że go pochłaniają jakieś wyjątkowo tajne sprawy, mógł choć na moment zrzucić ciężkie brzemię odpowiedzialności za bezpieczeństwo kraju. Początkowo okłamywał żonę i konkubiny, by

wymykać się do kochanek. Potem i one mu się znudziły. Wolał podglądać życie innych ludzi. Teraz już miał za mało czasu dla rodziny, żony, metresy i dawnych przyjemności.

Najbardziej lubił czekać. Kochał chwile, w których był tylko on i maleńkie palenisko, bulgot gotowanej wody, ciepła czarka i aromatyczna woń herbaty. Ale dziś, ledwie zdołał nastawić imbryk, już ktoś odezwał

się za progiem:

— To ja, panie.

— Wejdz — powiedział Kawakami. Drzwi rozsunęły się z cichym szmerem.

57

Heiko wyszła z pałacu zaraz za orszakiem. Towarzyszyła jej jedynie służąca, Sachiko. Wielcy książęta nigdzie nie chodzili bez licznej obstawy. Ci, którzy budzili strach, sami byli najbardziej strachliwi.

Szafowali śmiercią niczym dzieci śmiechem, lecz jednocześnie —

prawem Buddy i zgodnie z nieuchronną karmą — oddawali się w ręce śmierci. Natomiast kurtyzany nikt się nie bał. Była krucha, odziana tylko w delikatną zbroję swojej urody, wdzięku i młodości. Mogła więc chodzić, dokąd chciała, i nikt jej nie zaczepiał. To też było zgodne z tym, czego nauczał Budda.

— Pani Heiko — szepnęła Sachiko. — Ktoś nas śledzi.

— Nie zwracaj na niego uwagi — odparła dziewczyna. Wzdłuż alei, którą właśnie szły, ciągnął się szpaler wiśni. Wiosną drzewa wspaniale kwitły, od lat dając natchnienie malarzom i poetom. Teraz były czarne i nagie. Ale czy mniej piękne? Heiko zwolniła kroku, by lepiej przyjrzeć się jakiejś gałęzi. Cienka warstewka porannego śniegu stopniała już niemal zupełnie, pozostawiając na ciemnej korze tylko grube krople. W

jednym zagięciu, pod osłoną cienia, przycupnęło kilka białych płatków. I

lei ko za chwilę zamierzała ruszyć w dalszą drogę. Cień kurczył się pomału pod naporem słońca. Dobrze wiedziała, że zanim dotrze do miejsca przeznaczenia, maleńkie płatki zginą bezpowrotnie. Coś ją ścisnęło w sercu. Łzy mimo woli nabiegły jej do oczu. *Namu Amida*

*butsu, namu Amida butsu, namu Amida butsu*, krótka modlitwa do współczującego Buddy, który ratował wszystkich cierpiących. Heiko westchnęła z głębi piersi i zamrugała. To naprawdę straszne wpaść w sidła miłości...

- Nie powinniśmy zwlekać — powiedziała Sachiko. — Miałaś się tam stawić w godzinie Węża, pani.

Umówiliśmy się za wcześniej — westchnęła Heiko. — Złe jest zaczynać dzień w pośpiechu.

Święte słowa — przytaknęła służąca — lecz żadna z nas nic na to nie poradzi. Kobietom wolno tylko słuchać i spełniać wszelkie polecenia.

Sachiko miała dziewiętnaście lat, tak jak Heiko, ale sprawiała wrażenie doroślejszej. Na tym zresztą polegało jej główne /ujęcie — brała na siebie ciężar codziennych obowiązków, w ten sposób ułatwiając życie swojej pani.

58

Na nowo podjęty wędrówkę. Szedł za nimi Kudo. I on się uważa się za mistrza w swoim fachu!, zachichotała w duchu Heiko. Doprawdy nie wiem, czym miałby się chwalić... Był niecierpliwy, jak większość samurajów. Wprawiał się w walce, czekając na tę jedną chwilę, która decydowała o życiu lub śmierci. Na błyskawiczne cięcie mieczem. Na strugę krwi wsiąkającą w ziemię. W gruncie rzeczy mniej było ważne, kto w takim starciu umrze, a kto zwycięży. Liczył się tylko krótki moment.

Nic więc dziwnego, że Kudo cierpiał prawdziwe katusze, idąc trop w trop za kobietami, które co chwila przystawały, aby podziwiać jakieś drzewo, obejrzeć towar wyłożony w sklepie albo odpocząć. Heiko z premedytacją szła wolniej niż zwykle, częściej robiła krótkie postoje i rozmawiała z kramarzami. Zanim dotarły do handlowej części Tsukiji, Kudo miotał się niczym szczur uwięziony w klatce.

— Teraz — powiedziała Heiko po cichu. Właśnie mijało ją kilka kobiet. Zasłonięta przed wzrokiem szpiega, po prostu weszła do sklepu po drugiej stronie ulicy. Sachiko nawet nie ruszyła się z miejsca, lecz kucnęła przed dużym koszem suszonych kalmarów. Kątem oka widziała nadchodzącego Kudo. Wściekły jak diabli, rozglądał się po okolicy, ale nie spojrzał na przycupniętą u jego nóg dziewczynę. Gdy się odwrócił, Heiko spokojnie wyszła ze sklepu i stanęła tuż za nim. O mało na nią nie wpadł.

— Kudo-sama! — zawołała z udanym zdumieniem. — Co za niespodzianka... Kupujesz jedwab, panie?

W czasie rozmowy bardzo musiała się pilnować, by nie wybuchnąć śmiechem. Wreszcie wściekły jak osa Kudo odszedł w kierunku Hamacho. Heiko zatrzymała przejeżdżającą riksę. Godzina Smoka już zmieniała się w godzinę Węża. Nie było chwili do stracenia.

Pan na włościach Hino, główny inspektor Urzędu Spraw Wewnętrznych, Kawakami Eichi, czekał na gościa w pawilonie, przybrawszy dumną i wyniosłą pozę, należną jego pozycji i tytułom.

Ale na szmer odsuwanych drzwi od razu stracił rezon. Choć wmawiał

sobie, że jest inaczej, jak zwykle nie był gotów na jej powitanie. To zresztą było do przewidzenia. Kiedy się dłużej 59

nie widzieli, jej rysy zacierały się w jego wspomnieniach, jakby oko i umysł nie umiały zatrzymać wizerunku niezziemskiego piękna.



Zobaczył ją i mimo woli zachłysnął się powietrzem.

— Spóźniłaś się, Heiko — burknął ostro, żeby pokryć zakłopotanie.

— Wybacz mi, panie. — Gejsza schyliła głowę w ukłonie, dyskretnie ukazując zgrabną linię karku. Usłyszała, że Kawakami znów z głośnym świstem wciągnął dech w płuca. Jej twarz nie drgnęła ani na jotę. —

Śledzono mnie. Staralam się nie zdradzić, że wiem, iż ktoś za mną idzie.

— Chyba nie pozwoliłaś mu przyjść aż tutaj?

— Nie, panie. — Uśmiechnęła się na myśl o niedawnych zdarzeniach.

— Niemal wpadł na mnie. Po tej przygodzie musiał zawrócić do pałacu.

— Dobra robota—mruknął Kawakami. — To znów był Kudo?

— Tak. — Heiko zdjęła imbryk z ognia. Kawakami za długo gotował wodę. Gdyby teraz zalać nią herbatę, zniknąłby cały smak i aromat.

Należało ją nieco przestudzić.

— To najlepszy z ich szpiegów — stwierdził Kawakami. — Zrobiłaś coś, co wzbudziłoby podejrzenia księcia?

— Raczej nie. Jestem przekonana, że Kudo działał na własną rękę.

Pan Genji nie należy do zbyt podejrzliwych.

— Wszyscy jesteśmy podejrzliwi — sprostował. — To nam ratuje skórę.

— Ciekawe... — powiedziała Heiko i lekko przekrzywiła głowę w sposób, który Kawakami uznał za uroczy. — Skoro Genji potrafi przewidywać przyszłość, to nie musi się o nic martwić. Dobrze wie, co i gdzie się zdarzy. Po co mu podejrzenia?

Gospodarz parsknął gniewnie.

— Wieszczyby... Ha! Ich ród od pokoleń gra tą samą kartą. C idyby naprawdę mieli dar jasnowidzenia, to Okumichi, a nie Tokugawa, byłby najpotężniejszym rodem w kraju. Genji zaś /ostałby shogunem, zamiast tkwić w takiej zapadłej dziurze ink Akaoka.

— Bez wątpienia masz rację, panie.

— Coś nie wyglądasz mi na przekonaną... Znalazłaś może jakiś dowód na to, że te pogłoski są prawdziwe?

— Nie, panie. Nie tak jednoznaczny.

— Nie tak jednoznaczny. — Kawakami skrzywił się, jakby te słowa miały smak cytryny.

— Raz, kiedy pan Genji rozmawiał z Kudo i Saikim, usłyszałam, że mówią o „Suzume-no kumo”.

— To przecież nazwa głównego zamku w Akaocie.

— Tak, panie, lecz im wcale nie chodziło o zamek. To tytuł jakiegoś tajnego rękopisu.

Kawakami słuchał gejszy z coraz większym roztargnieniem. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej marzyła mu się czarka sake zamiast herbaty.

Ale pora dnia i okoliczności nie sprzyjały takim zachciankom. Może to i lepiej? Trzeba zachować stosowną relację między panem i sługą, władcą i poddanym. Poczł narastającą irytację. Czy to dlatego, że nie może sobie poigrać z Heiko? Skądże! Jest samurajem z szacownego rodu. Umie panować nad przyziemną żądzą. Więc o co chodzi? Zapewne o to, że zawsze chciał wiedzieć najwięcej. Tak, tak... Przecież to właśnie on, Kawakami, za pośrednictwem gęstej siatki szpiegów zgromadził

niezmierzoną wiedzę. A jednak motłoch uparcie wierzył, że pan Genji widzi pewne rzeczy ukryte przed wzrokiem innych. Że jest wróżbitą albo wizjonerem.

— Wiele rodów posiada tak zwane tajemne nauki — mruknął. —

Najczęściej są to stare księgi o zasadach strategii, słowo w słowo przepisane ze *Sztuki wojennej* Sun Zi.

— Ta podobno zawiera opisy wszystkich wizji, jakie mieli kolejni władcy Akaoki, począwszy od Hironobu, który żył sześćset lat temu.

— To tylko plotki, żeby podtrzymać prestiż rodu Okumichi. Podobno w każdym pokoleniu rodzi się jasnowidz.

— Tak, panie. Też to słyszałam. — Heiko skłoniła się. — Za twoim pozwoleniem... — Nalała wody do czajniczka z herbatą. W powietrzu uniósł się aromatyczny zapach.

— I wierzysz w to? — Kawakami ze złością uniósł do ust czarkę i oparzył się w język. Bez skrzywienia przełknął duży łyk, ale czuł, jak gorący napój pali mu całe gardło.

— Wierzę, że każda opowieść może zawierać część prawdy. Nie chodzi mi o przepowiednie, panie.

— Same słowa to czasem za mało. Ludzie zazwyczaj plotą, co im ślina na język przyniesie. Gdybym wierzył we wszystko, co do mnie dociera, kazałbym ściąć połowę mieszkańców Edo, a drugą wtrącić do więzienia.

To był jedyny żart, na który umiał się zdobyć Kawakami. Heiko zachichotała grzecznie, zakrywając usta szerokim rękawem kimona.

Potem skłoniła się z przesadnym szacunkiem.

— Oprócz mnie, mam nadzieję.

— Oczywiście, że oprócz ciebie! — wykrzyknął nieco ułagodzony Kawakami. — Mayonaka-no Heiko zewsząd zbiera wyłącznie pochwały.

Gejsza ponownie się roześmiała.

— Niestety, same słowa to czasem za mało.

— Postaram się to zapamiętać. — Kawakami uśmiechnął się szeroko.

Był uszczęśliwiony, że tak piękne i czarujące dziewczę zacytowało jego wcześniejszą uwagę.

Heiko nigdy nie mogła się nadziwić, jak łatwo można oszukać mężczyzn. Wystarczy mały pokaz naiwności. Słyszą chichot, widzą uśmiechy i czują zapach perfum, ulatujący z miękkich fałd jedwabiu, lecz nie dostrzegają stalowych błysków w oczach przesłoniętych długimi rzęsami. Dawał się na to nabrać nawet Kawakami, chociaż to on sam stworzył gejszę znaną w Edo pod imieniem Mayonaka-no Heiko. Był tak samo bezbronny jak inni. Pod tym względem tylko Genji stanowił

wyjątek. - Dziadek księcia, pan Kiyori, też ponoć miał wgląd w przyszłość. — Kawakami znów uniósł do ust czarkę herbaty. Tym razem pił ostrożniej. — A jednak nieoczekiwanie umarł przed trzema tygodniami. Zapewne został otruty. Dlaczego tego nie przewidział?

Dlaczego zjadł zatrutą strawę?

— Może nie wszystko da się przewidzieć, panie.

- Wygodne usprawiedliwienie — burknął Kawakami, znów nieco podenerwowany. — Zwłaszcza dla podtrzymania mitów. To wszystko bzdury bez pokrycia, z premedytacją rozgłaszane przez klan Okumichi.

Japończycy są niezwykle przesadni. Okumichi sprytnie to wykorzystali, żeby podnieść swój własny prestiż. Przez te dziecięce opowiadki są traktowani dużo lepiej, niż na to zasługują.

- To pewne, że pan Kiyori zmarł wskutek otrucia?

— Jeżeli pytasz, czy to ja kazałem go zamordować, to odpowiedź

brzmi: nie.

Heiko natychmiast skłoniła się do samej ziemi.

— Nigdy nie śmiałabym cię podejrzewać, panie. — Jej zachowanie i ton głosu cechowała śmiertelna powaga. — Wybacz, jeśli to tak zabrzmiało.

Kawakami był w gruncie rzeczy nadętym pyszałkiem, ale nie brakło mu inteligencji i w swoich rękach dzierżył ogromną władzę. Heiko na chwilę zapomniała, z kim ma do czynienia. Na przyszłość musi być nieco ostrożniejsza, jeśli nie chce, by szybko wyczuł, że jej pytania nie wynikają tylko z poczucia obowiązku.

— Och, wstańże! — gwałtownie wykrzyknął Kawakami. — Wcale się nie gniewam. Należysz do grona moich najbardziej zaufanych lenników. — Kobiety nie miały takich przywilejów. Ale to były tylko słowa, które nic nie kosztują.

— Niczym nie zasłużyłam sobie na ten zaszczyt, panie.

— Bzdury. Jeżeli masz mi być pomocna, musisz wiedzieć, co robię.

Nie ukrywam, że nie pałałem nadmierną miłością do pana Kiyoriego, lecz z drugiej strony on sam narobił sobie wielu wrogów. Drażnił ludzi otwartą sympatią do cudzoziemców, a zwłaszcza do Amerykanów.

Oprócz tego zdradzał ciągoty w stronę chrześcijaństwa. Pod tym względem spotykał się z niechęcią nawet ze strony członków swojego własnego klanu. Sama mi mówiłaś, że jego dwaj doradcy, Saiki i Tanaka, byli przeciwni wizycie misjonarzy. W napadzie gniewu Tanaka porzucił

swój urząd i pół roku temu zaszył się w klasztorze Mushindo.

— To prawda, panie. Złożył buddyjskie śluby i przyjął imię Sohaku.

— Religijny fanatyzm bywa czasem gorszy niżli rozgrywki polityczne. Wszystko jedno, czy mowa o Tanace, czy Sohaku. Według mnie, to on jest najbardziej podejrzany.

— To smutne dożyć sędziwego wieku i zginąć z ręki kogoś tak bliskiego — westchnęła Heiko.

— Tacy właśnie są najgroźniejsi — odparł Kawakami, spoglądając na nią spod oka. — Przy nich zapominamy o czujności. Choćby pan Genji...

Sypia z tobą, nie bacząc na to, że w każdej chwili możesz mu podciąć gardło. Mam rację?

Heiko pochyliła głowę w ukłonie. Starła się, by w jej uśmiechu nie było odrobiny fałszu lub

przesady.

— Tak, panie.

— Zrobiłabyś to? Umiesz panować nad swymi uczuciami?

Roześmiała się beztrąsko.

— Żartujesz sobie ze mnie, panie! Co prawda bywam w jego łóżnicy, ale wyłącznie na twój rozkaz. Tu nie ma miejsca na uczucia.

Kawakami zmarszczył brwi.

— Uważaj, Heiko. Gdy jesteś przy nim, nie wolno ci myśleć w ten sposób. Musisz go kochać do szaleństwa, albo pozna się na tobie i staniesz się bezużyteczna. Przynajmniej dla mnie.

Heiko skłoniła się do samej ziemi.

— Tak, panie. Będę ci posłuszna.

— Dobrze. A co tam słychać z jego stryjem? Znalazłaś go?

— Jeszcze nie. Nikt nie widział pana Shigeru od czasu, gdy wyjechał z zamku. Chodzą słuchy, że porzucił klan i uciekł z Akaoki.

Bardzo dobrze, pomyślał Kawakami. Stryj jest dużo groźniejszy niż bratanek. Przede wszystkim uwielbia dawne sztuki walki. Umie zabijać bronią i bez broni. Wieść niesie, że dotychczas stoczył pięćdziesiąt dziewięć zwycięskich pojedynków, a więc zaledwie o jeden mniej od legendarnego szermierza sprzed dwóch wieków, Miyamoto Musashiego.

Na ostatni dzień starego i pierwszy nowego roku zaplanowano dwie następne walki. Podejrzewano jednak, że się nie odbędą. Shigeru po prostu zniknął.

— Powiedz mi, czego się dowiedziałaś.

Heiko bez namysłu zaczęła mówić. Gdyby zastanawiała się nad każdym słowem, przemilczałaby część relacji. Zebrane przez nią wiadomości pochodziły z kilku rozmaitych źródeł. Wydawało jej się, że dokładnie wykonała swoje zadanie, chociaż w głębi serca wolałaby, aby było zupełnie inaczej.

Mała świątynia buddyjska, stojąca na podzamczu Suzume-no kumo, została zbudowana bardzo dawno temu, w trzynastym roku panowania cesarza Go-hanazono. W przeciwieństwie do innych przybytków tego typu, nie należała do żadnej sekty.

sześćdziesiąt klasztorów jodo, nichiren, tendai i shingon. Śmierć poniosło wówczas ponad pięć tysięcy mnichów, wraz ze służbą i rodzinami.

Żołnierze nie słuchali wodza, który nawoływał, by nie ulegali przesądom religijnym i wpływow polityków.

Shigeru doskonale znał tę świątynię. Od dzieciństwa widywał ją w najgorszych koszmarach. Wiedział, że to stanowi przepowiednię, lecz nie umiał właściwie odczytać ukrytych znaków, prawd i symboli. Długo studiował dzieje świątyni w nadziei na to, że gdzieś w przeszłości, wśród dawnych zdarzeń i postaci, odnajdzie jakąś wskazówkę. Nie znalazł

niczego.

Teraz zrozumiał o wiele więcej — tylko że było już za późno. To zresztą dotyczyło wszystkich jego wizji. Za późno. Klęknął w przyćmionym świetle pojedynczej lampy i zapalił sto piąte kadzidełko.

Sklonił się z szacunkiem i umieścił je na ołtarzu zmarłego ojca, poprzedniego księcia Akaoki, pana Kiyoriego.

— Przepraszam, ojcze. Spróbuj mi wybaczyć.

Sto piąty raz powtórzył te same słowa. Potem zapalił sto szóste kadzidełko. Wonny dym gęstą zasłoną wypełniał świątynię. Shigeru nie zwracał na to najmniejszej uwagi, choć piekły go oczy i drapało w gardle.

Powiadają, że piekło składa się z szesnastu krain. On jednak wiedział

o tym coś więcej. Chciwość, zawiść i arogancja ściągały na człowieka sto osiem cierpień. Sto osiem pokut sprowadzało zagubione dusze z powrotem do światła Buddy. Sto osiem razy Shigeru miał się odrodzić w stu ośmiu piekłach, za swoje potworne zbrodnie. Sto ósme kadzidełko wyznaczało początek końca.

— Przepraszam, ojcze. Spróbuj mi wybaczyć.

Dobrze wiedział, że nie otrzyma rozgrzeszenia. Kiyori mógłby mu przebaczyć swą własną śmierć, ale nie innych. Nie było dlań ratunku.

— Przepraszam, ojcze. Spróbuj mi wybaczyć.

Shi geru pokręcił głową ze zdumieniem. Nie mógł się nadziwić, że ciągle potrafi liczyć. Tak... umiał liczyć, pomimo monstrualnych wizji, które nie dawały mu zasnąć i wypełniały głowę takim kłębowiskiem myśli, że zdawały się rozsadzać czaszkę. Zapalił sto ósme kadzidełko.

— Przepraszam, ojcze. Spróbuj mi wybaczyć.

Pochylił się i przycisnął czoło do podłogi. W uszach dudniły mu nadlatujące bezskrzydłe maszyny. Pod zamkniętymi powiekami płonęły oślepiająco ogromne latarnie niepotrzebujące ognia. Krztusił się cierpkim smakiem kolorowego, widzialnego powietrza.

Był przekonany, że postradał zmysły.

W każdym pokoleniu rodu Okumichi rodził się ktoś naznaczony klątwą jasnowidzenia. Poprzednim wieszczem był jego ojciec.

Następnym będzie Genji. Shigeru westchnął z głębi piersi. Że też musiało paść na niego... Jasnowidz zawsze potwornie cierpi, bo nie rozumie większości wizji. Niczego nie rozumie. Nie umie zmienić biegu wypadków, zanim nie staną się przeszłością. A potem jest już za późno.

Ból rodzi nowe cierpienia.

Gdybyż chodziło tylko o prorocze sny, życie byłoby do wytrzymania.

Ale nie. Potem zaczęły się wizje na jawie. Shigeru był prawdziwym samurajem, wyćwiczonym w różnych sztukach walki, potrafił więc znieść bardzo wiele, lecz i on wreszcie nie wytrzymał ciągłego zalewu chaotycznych myśli i obrazów. Nawet nocami nie zaznawał chwili ukojenia.

Niebo zmieniło się w ognistą chmurę i spadło na ziemię, pałac zapłakane dzieci. Tysiące metalowych stworów wypełzło na ulice Edo.

Pożerały ludzi i wydzielały z siebie ohydnie cuchnące gazy. Miliony śniętych ryb pływało po zatrutych srebrnych wodach Morza Wewnętrznego.

Wizja jak zwykle przesłoniła mu obraz realnego świata. Patrzył

umysłem. Nie było dlań ratunku.

Shigeru na moment przystanął w drzwiach świątyni i pokłonił się dwóm zabitym mniszkom. Stąpał ostrożnie, by się nie pośliznąć w kałuży krzepnącej krwi. Kiedy wcześniej przechodził przez dziedziniec, widział

nad zamkiem księżyc w pełni. Noc nadal była jasna, ale świetlisty krąg zniknął już poza murami.

Shigeru wrócił do swoich komnat. Nie znalazł żony. Jej poślanie było puste, a kołdra odrzucona na bok. Zajrzał do pokoju dzieci. Także uciekły. Cóż, tego nie przewidział. Posępny uśmiech zagościł na jego twarzy. Gdzie się schowały? Znał tylko jedno odpowiednie miejsce.

Wszedł do zbrojowni i zaczął się ubierać.

Żelazny hełm z czerwoną kitą z końskiego włosa i drewnianymi rogami.

Maska, pokryta laką, osłaniająca policzki i brodę.

*Nodowa* zakrywająca gardło, naramienniki *sode*, stalowy napierśnik *donaka*, osłony na biodra *kusazuri* i nagolenniki *haitate*. Wszystko razem na tyle mocne, by zatrzymać kulę wystrzeloną z muszkietu. Oprócz mieczy, wsunął za pas pięć starych jednostrzałowych angielskich pistoletów.

Był dowódcą straży, więc bez żadnych kłopotów wyprowadził konia ze stajni. Nikt nie zadawał mu żadnych pytań. Wartownicy posłusznie otworzyli bramę i szybko wyjechał z zamku.

Ziemie jego teścia, Yoritady, leżały nieco na wschód, w górach. Jazda nie trwała długo. Yoritada czekał na niego przed bramą, w asyście kilku samurajów. Wszyscy byli w pełnych zbrojach. Singeru naliczył sześciu muszkieterów.

— Nie podchodź bliżej — ostrzegł go Yoritada — bo zginiesz.

— Przybyłem po żonę i dzieci — odpowiedział Shigeru. — Oddaj mi ich, a odejdę w pokoju.

— Umeko nie jest już twoją żoną — zawołał Yoritada. — Wróciła do mnie, błagając o ochronę.

Shigeru roześmiał się, jakby usłyszał coś niedorzecznego.

— Ochronę? Przed czym?

r — Shigeru... — westchnął Yoritada smutno i łagodnie. — Zle się czujesz na duchu i umyśle. Wszyscy to widzą od tygodni. Dziś Umeko przybiegła do mnie zapłakana. Mówiła, że bez przerwy szepcesz coś o torturach w piekle. Dzieci ze strachu dygoczą na twój widok. Proszę cię, porozmawiaj z panem Kiyori. Twój ojciec to mądry człowiek, na pewno da ci dobrą radę.

— To niemożliwe — odparł Shigeru. Przez cały czas czekał na odpowiednią chwilę do ataku. — Pan Kiyori zmarł dzisiaj, otruty jadem najeżki. — Co takiego?! — Yoritada bezwiednie dał krok naprzód, zaskoczony słowami zięcia. Inni samuraje spojrzeli po sobie z osłupieniem. Teraz, pomyślał Shigeru. Nie ma co dłużej zwlekać.

Wbił pięty w boki konia, zmuszając go do nagłego skoku. Kolejno wyciągał z za pasa pistolety, strzelał i rzucał je na 67

ziemię. Był marnym strzelcem, więc nikogo nie trafił. Nawet nie celował. Zrobił to tylko po to, by rozproszyć ludzi Yoritady.

Udało mu się. Z przeciwnej strony też huknęły strzały, ale tylko dwie kule zbliżyły się do celu. Obie trafiły konia. Zwierzę padło na ziemię.

Shigeru w porę zeskoczył z siodła, wylądował jak kot i podbiegł do bramy. Pierwszym ciosem katany ściął teściowi głowę. Trzymając miecz w prawej ręce, a nóż *tanto* w lewej, zabił lub śmiertelnie ranił wszystkich przeciwników, zanim na dobre opadł kurz wzbity przez upadającego wierzchowca.



Na podjeździe stała teściowa, Sadako, z czterema pokojówkami.

Każda z nich była uzbrojona w ulubioną broń samurajskich kobiet, naginatę.

— Przeklęty demonie! — krzyknęła wściekle. — Ostrzegałam Umeko przed małżeństwem z tobą.

— Doprawdy szkoda, że nie posłuchała — warknął Shigeru.

Żonę i dzieci znalazł na wewnętrznym dziedzińcu, w pawilonie herbacianym. Kiedy pochylił się przed niskimi drzwiami, ktoś przebił

mieczem papierową ściankę. Sztych niewielkiego ostrza rozciął mu lewą brew, tuż nad okiem.

— Wejdz, a zginiesz! — zabrzmiał dziecięcy głos bez cienia strachu.

To był najmłodszy z całej gromadki, sześciolatek Nobuyoshi. Shigeru w wyobraźni widział całą scenę. Nobuyoshi zdobytym mieczem pilnuje wejścia, a za nim stoi Umeko z córkami, Emi i Sachi.

Shigeru czubkiem ostrza otworzył drzwi. Nobuyoshi aż zachłysnął się na jego widok i dał krok w tył. Zrobiłby lepiej, stojąc w miejscu, bo wąska framuga przez chwilę krępowała ruchy intruza. Shigeru nie mógł go jednak winić za ten odruch. Zdawał sobie sprawę, że przedstawia okropny widok. Od stóp do głów zbrukany był krwią osiemnaściora ludzi.

Dziewiętnaściora, licząc jego samego. Krew płynęła mu z rany na szyi, zadanej przez teściową. Zginałby, gdyby ostrze naginaty trafiło odrobinę niżej.

Z dumą popatrzył na syna. Nobuyoshi nie zmarnował swojego

krótkiego życia. Stał w klasycznej postawie szermierczej, zdolny do szybkiego ruchu w każdą stronę, i trzymał miecz pod właściwym kątem.

Co najważniejsze własnym ciałem osłaniał matkę i siostry.

68

— Dobra robota, Nobuyoshi — pochwalił Shigeru. Tak zawsze chwalił syna po ciężkim treningu walki mieczem i włócznią lub po strzelaniu z łuku. Nobuyoshi milczał. Z napięciem śledził każdy ruch ojca. Szukał luki w jego obronie, która dawałaby mu szansę do ataku.

Zasłużył na to, żeby zginąć śmiercią samuraja. Shigeru udał, że się potknął, wchodząc do ciasnego pomieszczenia.

— Aaaaa! — Nobuyoshi rzucił się na niego z głośnym okrzykiem, celując mieczem w nieosłonięte zbroją miejsce na szyi. Zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy samuraj. Zaatakował z pełnym poświęceniem, nie myśląc o tym, że sam może zginąć. Shigeru ciął

błyskawicznie. Ciało chłopca zrobiło jeszcze pół kroku, chociaż głowa już spadła na podłogę.

Emi i Sachi z krzykiem przywarły do siebie. Po ich policzkach płynęły łzy.

— Dlaczego, tato? — spytała Emi.

Umeko w lewej ręce trzymała sztylet, a w prawej derringera.

Wycelowała szybko i strzeliła. Pocisk z brzękiem zrykoszetował na żelaznym hełmie. Odrzuciła pistolet i przełożyła sztylet do prawej ręki.

— Uchronię cię od dalszych grzechów — powiedziała. Dwoma ruchami podcięła córkom gardła. Krew splamiła ich białe jedwabne kimona. Umeko popatrzyła mężowi prosto w oczy.

— Niech Budda Litościwy bezpiecznie powiedzie cię do Czystej Ziemi — krzyknęła i wbiła sobie ostrze w szyję.

Shigeru z mieczami w rękach usiadł na podłodze, na ruinach swojego życia. Popatrzył na niskie drzwi. Czekał, aż usłyszy tętent spóźnionej odsieczki, przybywającej z zamku. Wybuchnął śmiechem. Wciąż był

przeklęty, lecz przynajmniej wyzwolił ukochaną żonę i dzieci. Wiedział, że dręczące go koszmary już ich nie dosięgną.

69

II

**PIĘKNI MARZYCIELE**

70

*Dziesięć trupów*

*Gnębą cię wątpliwości. Jesteś we władzy strachu. Nie odróżniasz jutra od wczoraj. Posłuchaj serca i tam znajdź wskazówkę. Głuchy rytm, niby łomot bębna. Dziki ryk, niczym głos lawiny. A potem cisza wymieszana z nierozpoznawalnym dźwiękiem.*

*Słuchaj.*

*Słuchaj.*

*Słuchaj.*

*To szumi krew, nie woda. Twoja krew.*

**Suzume-no kumo (1860)**

Emily z nadzieją i strachem myślała o nocy poślubnej. Strach budził w niej przede wszystkim wygląd oblubieńca, nadzieję — głębia uczuć, które jej okazywał. Gdyby nie to, w ogóle nie brałaby pod uwagę jego propozycji. Był też dla niej obietnicą ucieczki z Ameryki. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że ich życie małżeńskie nie będzie tak zupełnie wyprane z intymności. Przecież nie mogła oczekiwać, że po ślubie nie zagra w nim zwierzęcy instynkt i że nie dojdzie do zbliżenia.

Pocieszała się jednak nadzieją, że takie chwile będą należeć do rzadkości.

Krótką agonią to niska cena za ofiarowaną szansę.

Teraz nadzieja i strach zniknęły, zgaszone morderczą kulą. Hmily dobrze rozumiała, że sama, po śmierci Cromwella, nie 71

będzie mogła zostać w Japonii. Pozbawiona opieki ojca, brata lub męża spotkałaby się tylko z powszechną pogardą. Musiała zatem wracać do Ameryki. A może jednak jest inne wyjście? Co powiedziałby na to brat Matthew?

Zerknęła na niego spod oka. Patrzył na ogród. Ani postawą, ani wyrazem twarzy nie zdradzał swoich myśli. Jak zwykle był dla niej ogromną zagadką.

Poznała go zaledwie cztery miesiące temu, w San Francisco, w misji Prawdziwego Słowa. Właśnie wydawała zupełnie bezdomnym, kiedy spostrzegła w drzwiach stołówki nowego przybysza.

Miał na sobie zakurzone podróżne ubranie i kapelusz — kiedyś zapewne biały, lecz teraz niemal

czarny. Długie włosy opadały mu na kark i ramiona, jak u dzikiego Indianina. Pociągła twarz, zapadnięte policzki i podkrążone oczy nadawały mu nieco niesamowity wygląd.

Nierówna broda sprawiała wrażenie, jakby próbował golić się nożem.

Pewnie był głodny jak dziesiątki innych, którzy zjawiali się w jej stołówce. Nie pchał się jednak do kolejki, nie przetykał głośno śliny i nie patrzył w kocioł. Stał jak posąg w obramowaniu drzwi, przesuwając wzrokiem po ludziach stojących w kolejce i siedzących przy stołach. Była w nim jakaś nieuchwytna czujność, chociaż ręce trzymał swobodnie opuszczone. Emily zauważyła, że coś wypycha mu zakurzony płaszcz na wysokości prawego biodra.

Oddała chochlę siostrze Sarze i podeszła do nieznajomego.

Natychmiast z szacunkiem zdjął kapelusz i skłonił się lekko.

— Witam panią.

— Zapraszam do nas na kolację, bracie chrześcijaninie. — W ten sposób wyznawcy Prawdziwego Słowa zwracali się do przybyszów.

Bracie, bo Zephaniah nieraz powtarzał jej, że ludzie są sobie braćmi.

Chrześcijaninie, bo choć niektórzy o tym nie wiedzieli, wszyscy poganie, święci i grzesznicy byli chrześcijanami w łasce i przebaczeniu Pana Boga naszego.

— Dziękuję pani — odparł obcy i znów zdawkowo skinął głową. —

Wielce zobowiązany. — W jego głosie słyhać było jakąś śpiewną nutę.

Zapewne pochodził z Teksasu.

— To miejsce, w którym Pan pobłogosławił nas pokojem, 72

bracie chrześcijaninie. — Wyciągnęła rękę. — Gwałt nie ma tu wstępu.

Popatrzył na nią i dopiero po chwili zrozumiał, o co jej chodził.

— Oczywiście — powiedział. Odwiązał ramię z uda, rozpiął pas i wręczył jej kaburę z rewolwerem.

Emily o mało jej nie upuściła.

— *Poruczam was Bogu i słowu łaski Jego.* — Broń była bardzo ciężka.

— Dziękuję — odparł.

— Mówimy „amen”, słysząc słowa Pisma Świętego.

— Nie znam Biblii, proszę pani. Nie wiem, co mam odpowiadać.

— *Poruczam was Bogu i słowu łaski Jego. Dzieje Apostolskie, rozdział dwudziesty, werset trzydziesty drugi.*

— Amen — odpowiedział obcy.

Uśmiechnęła się. Początek wypadł obiecująco, chociaż przybysz na pewno był grzesznikiem. Być może grzeszył za pomocą broni, którą przekazał jej przed chwilą... i tej, którą wciąż miał zatknietą za pasem, przy lewym boku. A jednak, tak jak wszyscy, także objęty był łaską i opieką Boga.

— To też. — Wskazała ruchem głowy.

Spojrzał w dół i zrobił taką minę, jakby zobaczył coś niezwykłego.

— Zapomniałem. — Uśmiechnął się po raz pierwszy. — Mam go od niedawna.

Nóż był rozmiarów niewielkiego miecza. Obcy położył go na kaburze.

— Lepiej wydawać pieniądze na narzędzia budujące pokój —

powiedziała Emily.

— Amen — mruknął.

— To moje własne słowa, a nie cytat z Biblii — wyjaśniła.

— Wcale go nie kupiłem. — Znow się uśmiechnął, tym samym przedziwnym uśmiechem. Lekko unosił kąciki ust i mrużył oczy.

— Więc skąd go masz, bracie chrześcijaninie? — Pewnie wygrałeś w karty, pomyślała, albo ukradłeś. Dała mu szansę na małą spowiedź — na pierwszy krok na nowej drodze życia w Bożej łasce.

73

— Nóż typu Bowie z dziesięciocalowym ostrzem — powiedział. Po chwili zdał sobie sprawę, że to niczego nie wyjaśnia. — Dostałem go na pożegnanie — dodał.

Zatem obyło się bez spowiedzi. Trudno. Zrobiła wszystko, by otworzyć mu drogę do zbawienia.

— Jak masz na imię? — zapytała.

— Matthew.

— Jestem siostra Emily, bracie Matthew. Zapraszam cię na poczęstunek. Zjemy razem zupę, chwając Pana naszego.

— Dziękuję, siostró Emily — odpowiedział brat Matthew. Łzy napłynęły jej do oczu na wspomnienie tej obiecującej chwili. Stało się to tak nagle, że nawet nie zdążyła obetrzeć policzków.

Stark wyciągnął rękę nad Cromwellem i podał jej chusteczkę. Emily zakryła twarz i płakała w milczeniu, tylko ramiona drżały jej od z trudem powstrzymanego szlochu. Stark był zaskoczony tak nagłym wybuchem uczuć. Dotychczas traktowała kaznodzieję z uprzejmą powściągliwością. Postronny widz zapewne by się nie domyślił, że są zaręczeni. To dowodzi, jak mało znam się na kobietach, pomyślał Stark.

Ale to nie miało żadnego znaczenia. Jego serce było tylko pompą przeta-czającą krew. Poza tym, należało do trupa.

— Powinnaś odpocząć, siostró — powiedział. — Będę czuwał przy bracie Cromwellu.

Emily pokręciła głową. Odetchnęła głęboko kilka razy i uspokoiła się na tyle, żeby zacząć mówić.

— Dziękuję ci, bracie Matthew, ale nie mogę teraz odejść. Moje miejsce jest u jego boku.

Stark usłyszał szelest szat na korytarzu. Ktoś nadchodził. Czterech samurajów zgięło się w głębokim ukłonie. Po chwili w drzwiach stanął

pan Genji w towarzystwie dowódcy gwardii. Spojrzał na Emily i Starka, a potem powiedział coś do samurajów. Skłonili się, wydali krótki okrzyk, który zabrzmiał jak *Hai!* i odeszli. Stark zauważył, że w podobny sposób odpowiadała większość służących. Znaczyło to prawdopodobnie „tak”

albo coś w tym rodzaju. Ludzie na ogół nie zwykli sprzeciwiać się komuś, kto dla kaprysu może oddać ich w ręce kata.

74

Genji uklonił się i z uśmiechem powitał swoich gości. Zanim zdążyli wstać, sam zwinnie klęknął na podłodze. Widać przywykł do tej pozycji.

Powiedział kilka słów i umilkł w oczekiwaniu. Patrzył na Starka w taki sposób, jakby spodziewał się odpowiedzi.

Amerikanin pokręcił głową.

— Bardzo mi przykro, panie, żadne z nas nie mówi po japońsku.

Genji z wyraźnym rozbawieniem zwrócił się do Saikiego:

— Myślał, że zagadałem do niego po naszymu.

— A to głupiec! — westchnął szambelan. — Nie poznaje swojej własnej mowy?

— Zapewne robię jakieś błędy. Podejrzewam, że mam zły akcent.

Ważniejsze jednak, że go rozumiem. To już coś. — Znów przeszedł na angielski i powiedział do Starka i Emily:

— Na pewno mówię niepoprawnie. Przepraszam. Stark tylko pokręcił głową.

— Bardzo mi przykro... — powtórzył, bo nic innego nie przyszło mu na myśl. Zanim skończył, przerwała mu Emily:

— Ty znasz angielski, panie! — zawołała, lub przynajmniej chciała zawołać. Jej oczy, wciąż pełne łez, rozszerzyły się ze zdumienia.

— Tak, dziękuję — odparł Genji. Uśmiechnął się jak chłopiec, który czymś zaimponował starszemu rozmówcy. — Wiem, że moje słowa na pewno zgrzytają wam w uszach. Język i usta mam lekko nieprzywykłe do kształtu tych dźwięków.

Emily usłyszała ciąg oderwanych sylab, wypowiedzianych w rytmie, który z grubsza pasował do angielskiego. „Ta-ku, dzien-ku-ja. Fie-mu, dzie mo-je suo-wa na pe-wu-no dzu-gzi-ta-jom wa-mu fu-sia-chu.

Jen-zi-ku i u-su-ta ma-mu re-ku-ko nie-pu-si-wi-ku-e do ku-si-ta-u-tu ty-fu zi-wien-kuf.

Wyteżyła słuch, żeby rozróżnić zlewające się słowa. Gdyby cokolwiek z tego zrozumiała, to domyśliłaby się całej reszty. Powiedział

„lekko”? Postanowiła wpleść te słowa do swojej odpowiedzi.

Każdą trudność można lekko pokonać, jeśli się dużo ćwiczy —

powiedziała powoli i wyraźnie.

75

Ach, to wymawia się w ten sposób!, pomyślał Genji. „Lekko”, przez

„l”, dotykając językiem podniebienia, nie zaś z gardłowym „r”.

— Lekko, ale po pewnym czasie — odparł. — Ten, kto chce być prawdziwym mistrzem, musi pokonać długą drogę.

Ciągle mówił z dziwnym akcentem, lecz jakby nieco bardziej zrozumiale. Szybko się uczył. Drugie „lekko” zabrzmiało dla Emily o wiele poprawniej.

— Na Boga, w jaki sposób poznałeś nasz język, panie?

— Dziadek zapędził mnie do nauki. Powiedział, że to może mi się kiedyś przydać. — Tak naprawdę,

Kiyori uważał lekcje angielskiego za palącą konieczność. W swoich proroczych snach widział wnuka rozmawiającego z cudzoziemcami.

„Ocalisz życie dzięki tym rozmowom”, powiedział kiedyś.

Genji miał wówczas siedem lat. „A po co mi się każesz uczyć, jeżeli wizje są prawdziwe?”, spytał. Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, sam zacznę mówić po angielsku”.

Kiyori roześmiał się na całe gardło. „Owszem, zaczniesz mówić, bo do tej pory zdążysz się nauczyć. Zaczynasz dzisiaj”.

W tamtych latach wciąż obowiązywał ścisły zakaz kontaktów z zagranicą. Genji nie miał żadnego lektora. Uczył się wyłącznie z książek.

Ale co innego pisać, a co innego mówić... „Papierowe” słowa nijak nie pasowały do słyszanych dźwięków.

— Rozumiesz go? — zapytał Stark.

— Z pewnym trudem. A ty, bracie Matthew?

— Ani trochę, siostró Emily. — Dla niego Genji mówił jakimś obcym dialektem, złożonym z poplątanych sylab. Emily słyszała jednak pewne angielskie słowa, bardziej mruczane, niż wypowiedane, i dzielone na mniejsze kadencje. Stark miał z tym większy kłopot. Niczego nie pojmował, choć z uwagą nadstawiał ucha.

— A może będę mówił wolniej? — bardzo powoli spytał Genji.

Stark usłyszał: „A-mo-dzie-be-de-mu-wi-uu-wo-ru-nie-i”? — i znów pokręcił głową.

— Bardzo mi przykro. Moje uszy nie są tak mądre jak siostry Emily.

76

— Och... — Genji uśmiechnął się do dziewczyny. — Zabawne. Musi pani przekładać moją angielszczyznę na zrozumiałą dla pana Starka.

— Chętnie — odpowiedziała. — Chociaż myślę, że to potrwa zaledwie chwilę. Wkrótce przyzwyczaimy się do siebie.

Genji zamrugnął zdezorientowany.

— Tym razem mówiła pani trochę zbyt szybko, panno Gibson. Nie nadążałem za panią.

— Och, przepraszam! To z emocji. — Zastanawiała się, czy nie powtórzyć ostatnich dwóch zdań, używając nieco prostszej składni. Nie, postanowiła w duchu, gdy spojrzała w łagodne oczy siedzącego przed nią wojownika. Dostrzegła w nich duszę o wielkiej wrażliwości, nienawykłą do



ułatwień. Na pewno by to zauważył. Poczulby się dotknięty. Nawet gorzej, skrzywdzony. Emily powoli i dokładnie powtórzyła swoją wcześniejszą wypowiedź.

Saiki siedział przy drzwiach. Był na tyle daleko, żeby nie przeszkadzać nikomu w rozmowie, i na tyle blisko, aby jednym ruchem osłonić swojego pana i ściąć Starkowi głowę. Na razie okazało się to niepotrzebne, lecz nie tracił czujności. Kobieta wydawała się całkiem niegroźna, lecz mimo to ją również obserwował.

Za nim zgromadziła się mała grupka gapiów. Czterech samurajów wróciło z dużym łóżkiem, wykonanym na wzór europejski. Hide i Shimoda przynieśli jeszcze kilka mebli. Hanako trzymała tacę ze srebrnym angielskim serwisem do herbaty. Wszyscy z podziwem spoglądali na rozgrywającą się przed nimi scenę.

— Pan Genji mówi ich językiem! — szepnął Hide.

Saiki nawet nie drgnął. Nie odwracając głowy, powiedział cicho:

— Hide, jak jeszcze raz podpadniesz, to dzień zaślubin spędzisz w stajni, zamiast w objęciach narzeczonej.

Dzień zaślubin? Hide miał szczerą ochotę się roześmiać. Przecież pan Genji tylko żartował. Tylko taki stary zrzęda jak Saiki mógł wziąć poważnie jego słowa. Odwrócił się, żeby drwiąco spojrzeć na Shimodę, i zobaczył na twarzy przyjaciela dziwny uśmiech. Czerwona jak burak Hanako uparcie patrzyła

77

w tacę. Hide aż rozdziawił usta ze zdumienia. Jak to się dzieje, że o wszystkim dowiaduje się ostatni? Saiki przesunął się nieco na kolanach.

— Panie, przyniesiono meble dla cudzoziemców.

— Dajcie je tutaj. — Genji zerknął na Starka i Emily. — Usuńmy się trochę na bok, zanim nie skończą urządzać pokoju. — Zauważył, że oboje z trudem wstają z podłogi. Podpierali się przy tym rękami, zupełnie jak dzieci, które usiłują zrobić pierwsze kroki. Stark podniósł się szybciej i pomógł dziewczynie. Ciekawe, czy wszyscy cudzoziemcy są tak uprzejmi dla swoich kobiet? A może tylko dla misjonarek? I dlaczego tyle galanterii w stosunku do takiej brzyduli? Podziwu godne. Dużo łatwiej obcować z ładnymi niewiastami. Wobec brzydkich potrzeba niemałej siły woli.

Stoły i krzesła ustawiono szybciej, niż Siarkowi przeszło mrowienie w nogach. Cromwell nawet na chwilę nie odzyskał przytomności, gdy przenoszono go na łóżko. Koce, leżące na podłodze, były poplamione.

Krew wciąż płynęła z rany, brudząc prześcieradła. Po jej barwie i zapachu Stark poznawał, że kula musiała przebić jelita i żołądek. Kwasy i jady z naruszonych narządów wewnętrznych przenikały teraz do ciała rannego.

— Może przejdziemy do pokoju obok? — zaproponował Genji. —

Służebne zajmą się panem Cromwellem. W razie potrzeby zaraz nas zawołają.

Emily pokręciła głową.

— Zapewne wolałby mnie widzieć, gdyby przypadkiem się obudził.

— Oczywiście. Zatem usiądźmy. — Genji przycupnął na brzeжку krzesła. Siedział w ten sam sposób jak na podłodze, utrzymując ciężar ciała na prostym kręgosłupie. Emily i Stark z wyraźną ulgą wsparli plecy o wysokie rzeźbione oparcia. Ich postawa była dziwna i nienaturalna, ale Genji miał ochotę na mały eksperyment. Spróbował usiąść tak jak oni.

Już po chwili poczuł, że jego wnętrzności leżą nie tak jak trzeba. Spojrzał

na Cromwella. Pewnie pożyje jeszcze przynajmniej godzinę, pomyślał.

Może dwie... Nie był pewny, czy zdoła tak długo wysiedzieć na tym zamorskim wynalazku.

Stark także patrzył na Cromwella, lecz w gruncie rzeczy nie 78

obchodził go los kaznodziei. Myślał o misji założonej przez wyznawców Prawdziwego Słowa w Yamakawie, w północno-zachodniej części Edo. Rok temu przybyło tam z San Francisco aż jedenastu misjonarzy. Wśród nich był ktoś, kogo Stark szukał.

Emily, Stark i Genji siedzieli przy łóżku, czekając na śmierć Cromwella.

— Nie było żadnej okazji, żeby go zastrzelić w porcie — powiedział

Kuma. Nie przyznał się, że w pośpiechu chwycił rozładowany muszkiet.

Tacy jak on muszą dbać o swoją reputację. Po co podwajać ją nieopatrzonym słowem?

— Trudno mi w to uwierzyć — odparł Kawakami.

— Ale to prawda.

— Zatem wyjaśnij mi raz jeszcze, dlaczego postrzeliłeś tego misjonarza.

Kolejny błąd, na szczęście o wiele mniej groźny. Ten, w którego celował Kuma, szedł po tej samej stronie palankinu, lecz potknął się w momencie strzału. Sprawiał wrażenie, jakby w ostatniej chwili dostrzegł

zamachowca i rzucił się na ziemię. Ale to było niemożliwe. Nawet ninja nie odkryłby tak prędko zaczajonego Kumy. Zwyczajny przypadek. Kuma zrobił pewną siebie minę. Nie zamierzał powiedzieć Kawakamiemu, co naprawdę zaszło na ulicy.

— Był starszy — odpowiedział. — Domyśliłem się, że musi być przywódcą. Genji na pewno teraz boleje nad jego stratą. To cios dla wszystkich zwolenników chrześcijaństwa. Miałem nadzieję, że mnie pochwalisz, panie.

Kawakami zastanawiał się nad sytuacją. Nie mógł pozwolić swoim ludziom na zbyt dużą samodzielność... lecz z drugiej strony, w pewnych sytuacjach, Kuma powinien wykazywać większą inicjatywę.

— Genji na razie nas nie interesuje — powiedział w końcu. — Zostaw go w spokoju. Możesz natomiast dopaść misjonarzy, lecz tylko wtedy, gdy na pozór będą zupełnie bezpieczni pod opieką klanu Okumichi. —

Skrycie ucieszył się na myśl, że dumny ród za jego sprawą zostanie poniżony.

79

— Na przykład teraz, kiedy są w pałacu Cichego Żurawia?

— Tak.

— To nie będzie łatwe.

Kawakami położył na stole dziesięć złotych ryo i pchnął je w stronę Kумы.

— Nadal obserwuj Heiko. Nie jestem pewny, czy pamięta wszystko, co powinna była zapamiętać.

Kuma uklonił się, dopił herbatę i zniknął za drzwiami. Poszło mu łatwiej, niż przypuszczał. Zwykle Kawakami zadawał więcej pytań. Dziś sprawiał wrażenie roztargnionego. Zresztą, nieważne. Kuma był bogatszy o całe dziesięć ryo. Co więcej, wciąż miał pilnować Heiko. Pewnie i tak robiłby to na własną rękę, ale skoro mu jeszcze płacą... *Namu Amida butsu.*

Kuma Niedźwiedź zwawym, lecz niezbyt szybkim krokiem skierował

się do targowej części Tsukiji. Każdy, kto zechciałby na niego spojrzeć, ujrzałby zażywnego, łysiejącego chłopca z radosnym wyrazem twarzy, typowym dla osobników o ciężkim pomyślunku. Nikt nie rozpoznałby w nim jednego z najgroźniejszych zabójców w Japonii.

Nikt. Chyba że w momencie śmierci.

Kawakami słuchał relacji Kумы jednym uchem. Myślami wciąż był

przy rozmowie z Heiko. Co za potworna zbrodnia... Ojciec i syn zabici w tej samej godzinie. Korzeń i gałąź zniszczone, lecz nie przez wrogów, a przez szaleństwo jednego człowieka. Może kłamała? Najlepiej sprawdzić, zapytać jeszcze kogoś... Jeśli to prawda, to nawet dobrze, że Genji nie zginął z rąk Kумы. Klan Okumichi zgnije od środka, z zewnątrz nietknięty przez nikogo.

Kawakami zamknął oczy i pogрузił się w głębokiej medytacji.

Dwieście pięćdziesiąt lat temu, w czternastym roku panowania cesarza Go-yozei, władca Minato, księżę Reigi, stanął wraz z władcą Akaoki, Nagamasą, do bitwy przeciwko Tokugawom. Ufał zdolnościom Nagamasy. „Klan Tokugawa jest zgubiony, powiedział Nagamasa.

Widziałem to w proroczej wizji". Sam zginął w walce. Sprawiedliwy koniec dla wszystkich fałszywych proroków. Reigi poległ u jego boku.

Zgładzono

80

również jego żonę, konkubiny i dzieci, za wyjątkiem córki, żony kogoś z młodszego odłamu rodziny Tokugawów. To była właśnie wielce szanowna pra-pra-pra-babka Kawakamiego. Przez pokolenia matki opowiadały tę historię córkom, a te z kolei śpiewały ją synom i wnukom.

Gdyby nie Nagamasa, ród Kawakamiego panowałby do dzisiaj w potężnym Minato, a nie słynnym jedynie z nazwy Hino.

Teraz zaś tylko jeden człowiek jest spadkobiercą Nagamasy. Genji.

Kawakami rozważał w milczeniu, jakim to najbardziej bolesnym i chytrym sposobem raz na zawsze poniżyć i zniszczyć tę rodzinę.

W pierwszy dzień tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku Stark gościł w pałacu japońskiego księcia z powodu dziesięciu trupów.

Drugiego z nich przezywano Jimmy Szajbus. Naprawdę nazywał się James Sophia, ale wolał przydomek Szajbus i był tak szybki w kartach, że nikt nie mógł przyłapać go na oszustwie. Równie szybko dobywał

rewolweru. Przynajmniej szybciej niż siedmiu pozostałych. Zabił tych siedmiu, lecz żaden z nich nie należał do tej dziesiątki, przez którą Stark trafił do Japonii.

Stark zaś o niczym nie wiedział aż do dnia śmierci Jim-my'ego Szajbusa. A Szajbus zginął, bo Stark, w odróżnieniu od innych karciarzy, od razu wyczuł, że ktoś kantuje.

Chwileczkę — mruknął. — Sukinsynu, podmieniłeś ostatnią kartę!

Miał wtedy siedemnaście lat, zwiął z sierocińca w Ohio i po raz pierwszy jechał kowbojskim szlakiem, z bydłem z Teksasu. Bolała go głowa, bolały jaja, bolały plecy, ręce i kolana, bolała dupa i nawet stopy.

Był spalony na brązowo słońcem i miał okropnego kaca. Lecz nie stracił

nic z wrodzonej bystrości i widział, że Jimmy przekłada kartę. Pikowego asa. Szajbus obrzucił go zimnym spojrzeniem.

W ogóle wiesz, do kogo mówisz, chłoptasiu?

Wiem — warknął Stark. — Do zwykłej łajzy, kanciarza 81

i sukinsyna. Natychmiast odłóż tego asa, wypierdku, bo zaraz ci łeb rozwalę! — Podczas ucieczki z sierocińca w ten sam sposób potraktował

nocnego dozorcę, Eliasa Egana. Egan przez lata gnębił i poniżał wielu wychowanków, nie wyłączając Starka. Po tym, jak dostał w łeb, nie czepiał się już nikogo. Elias Egan był pierwszym nieboszczykiem.

Jimmy Szajbus okazał się naprawdę szybki. Chwycił za broń i wycelował w Starka, zanim ten zdążył wyciągnąć rewolwer. Gdyby nie wiara w postęp techniki, mógłby mieć na koncie osiem trupów, zamiast samemu stać się drugim.

Wszyscy dokoła nosili wtedy zwyczajne rewolwery na czarny proch, ładowane od przodu. Jimmy wolał jednak tak zwany *volcanic pistol*, z nowoczesnymi nabojami bocznego zapłonu, wprowadzanymi kolejno do komory przez pociągnięcie dźwigni kabłąka. I to był drugi powód jego śmierci. Pistolet się zaciął. Kiedy pierwszy nabój nie wystrzelił, Jimmy próbował przeładować broń, lecz dźwignia się zablokowała. Szarpał więc kabłąk, a tymczasem Stark wyciągnął starego kolta, przystawił lufę do policzka Szajbusa i pociągnął za cyngiel. Jimmy Szajbus był szybszy od Starka, ale stary rewolwer wypalił, a nowemu to się nie udało.

Trzecim, czwartym i piątym nieboszczykiem stali się rewolwerowcy, którzy zamierzali podwyższyć swoje notowania na rynku zbrodni, zabijając człowieka, który zabił słynnego Jimmy'ego Szajbusa. Pierwszy z nich bez trudu dałby sobie radę z dawnym Starkiem. Ale nowy był

zupełnie inny. Kiedy dowiedział się, kogo zabił, zdał sobie sprawę, że uczynił coś więcej, niż się spodziewał. Przede wszystkim stał się celem dla każdego, kto chciał się pochwalić, że jest szybki.

Najlepiej byłoby przywrócić Jimmy'ego do życia. Stark jednak tego nie potrafił, więc wybrał drugą dostępną możliwość, zaczął ćwiczyć.

Wyciągał rewolwer, celował i strzelał. Stawał się czujny, widząc zmrużone oczy, napięte ramiona i słysząc szybki oddech. Niepokoila go nagła cisza i równie nagły hałas. Wciąż przenosił się z miejsca na miejsce.

Zawsze miał przy sobie drugi rewolwer, na wypadek, gdyby pierwszy się zaciął.

Trzeci nieboszczyk znalazł go w Pecos. Stark był już dużo szybszy niż śp. Jimmy Szajbus. Pięciu kowbojów i dwie dziwki 82

widziało, jak ten trzeci wali się na ziemię z dopiero co dobytym koltem w dłoni. Pięciu kowbojów i dwie dziwki umiało rozpuszczać plotki. Potrafiło też przesadzać ponad dopuszczalną miarę. Zanim Stark dotarł do Deadwood, już cieszył się tak ponurą sławą, że nieboszczycy numer cztery i pięć razem wyszli mu naprzeciw. Mieli jednak podwójny kłopot. Po pierwsze, zaczęli strzelać z dwudziestu stóp, a w tym przypadku trudno jest trafić nawet w stado bydła. Po drugie, Stark ćwiczył

strzelanie do celu właśnie na tę odległość i od dnia śmierci Szajbusa poświęcał na to kilka godzin dziennie.

Po Deadwood nikt go nie zaczepiał. Nikt nie był na tyle głupi, by mierzyć się z facetem szybszym niż mgnienie oka. Przecież Stark wpakował kulę w drugiego przeciwnika, zanim pierwszy na dobre zaczął

krwawić! Ze stu kroków obu trafił prosto w czoło. W Deadwood też mieszkali ciekawscy kowboje i gadatliwe dziwki.

Przez dłuższy czas Stark zabawiał się strzelaniem wyłącznie do celu.

Mógł się schować za zasłoną sławy. Był najszybszy, miał dwa metry wzrostu, w poprzek prawego oka nosił bliznę po cięciu nożem, nigdy nie jadł, tylko pił whisky i częściej bił swoje kochanki, niż z nimi sypiał. A sypiał z nimi wyłącznie wtedy, kiedy już skatował je tak, że prawie wyzionęły ducha. W rzeczywistości coraz częściej przedstawiał się jako Matthews i nikt go nie poznawał. Wszyscy szukali większej i bardziej złowroziej postaci.

Zanim spotkał szóstego nieboszczyka, minęły dwa lata. Był to alfons z El Paso, który nie wiedział, że są w życiu takie chwile, kiedy lepiej odpuścić. Potem Stark prawie przez rok nie myślał o zmarłych. Nawet przestał wprawiać się w strzelaniu. Był szczęśliwy i myślał, że to szczęście będzie trwało wiecznie. Pomylił się. Pożegnał Mary Anne i dwie dziewczynki i pojechał na poszukiwanie siódmego, ósmego, dziewiątego i dziesiątego trupa.

Siódmego znalazł po czterech dniach jazdy na północ od meksykańskiej granicy, w zakurzonej dziurze o pretensjonalnej nazwie La Ciudad de los Angeles. Nie wyglądała mu na miasto. Jeśli naprawdę mieszkały tu jakieś anioły, to musiały się dobrze ukrywać. Siódmy nieboszczyk tuż przed śmiercią zdradził, że

83

trzej pozostali uciekli dalej na północ, by zaciągnąć się na jakiś statek wyruszający w rejs po Pacyfiku. Nie powiedział tego z niechęci do dawnych towarzyszy ani pod wpływem bólu w poharatanym brzuchu, ani też z żalu za dawne krzywdy, wyrządzone niewinnym ludziom.

Spowiadał się, bo Stark po strzale w brzuch wpakował mu dwie kule w kolana i obiecał, że następną dostanie w krocze.

Ósmy próbował uciec z baru w Sacramento. Stark strzelił mu w kark z rewolweru kaliber czterdzieści cztery i zdmuchnął mu głowę z ramion.

Dziewiąty prawie go przyłapał. Zaczaił się za drzwiami, w pokoju hotelowym, w San Francisco. Jak taki olbrzym zdołał tam się ukryć, do dziś pozostawało dla Starka zagadką. Zamachnął się długą nożem Bowie i doprawdy niewiele brakowało, żeby wbił mu w plecy dziesięciocalowe ostrze. Stark upuścił czterdziestkę, lecz wyciągnął rewolwer kalibru dwadzieścia dwa i wypalił aż pięć razy.

Olbrzym szedł na niego nadal, wymachując błyszczącym nożem. Stark uderzył go rewolwerem w skroń jak młotkiem. Miał odrobinę szczęścia, bo dziewiąty runął z rozłupaną czaszką.

Na dziesiątego nieboszczyka było aż dwóch kandydatów. Jeden z nich przybył do Japonii rok temu, jako misjonarz i wyznawca Prawdziwego Słowa. Jeśli nie on, to Stark będzie dziesiątym trupem.

Któryś z nich musi umrzeć.

Przed wieczorem do klasztoru Mushindo wrócił mnich zwany Jimbo.

Sohaku już z daleka słyszał radosne głosy dzieci. Gdziekolwiek Jimbo się ruszył, wciąż otoczony był czeredą malców z przydrożnej wioski.

— Jeszcze nie odchodź, Jimbo!

— Zostań z nami!

— Do wieczora ciągle daleko!

— A po co ci te chwasty? Zjesz je?

— Babcia powiedziała, żebyś przyszedł do nas do domu na kolację!

Naprawdę nie chcesz? Nie obrzydła ci klasztorna kuchnia?

84

— Opowiedz nam coś jeszcze! Chociaż jedną bajkę!

— Opowiedz o tym, jak aniołowie Buddy przyszli do ciebie z Czystej Ziemi! Opowiedz, jak ci pokazali Drogę!

— Jimbo! Jimbo! Jimbo! Jimbo!

Sohaku uśmiechnął się. Ostatni głos należał do Goro, głupawego syna wiejskiej wariatki. Chłopak był wielki, większy nawet od samego Jimbo, który co najmniej o głowę przewyższał najrośniejszych mieszkańców Yamakawy. Przed przybyciem mnicha Goro jęczał, mruczał, burczał, krzyczał, ale nie mówił. Teraz znał przynajmniej jedno słowo i używał go niemal bez przerwy.

— Jimbo! Jimbo!

— Stójcie. — Jimbo zatrzymał się przed bramą. Zobaczył mnichów uzbrojonych w bambusowe kije, zgromadzonych wokół zbrojowni. Opat Sohaku siedział w pozie medytacji przed zabarykadowanymi drzwiami.

— Wracajcie do wsi — powiedział Jimbo do otaczającej go dzieciarni.

— Co się stało?

— Chcę zobaczyć!

— Założę się, że to ten wariat. Znowu uciekł!

— Jimbo! Jimbo! Jimbo!

— Zamknij się, głupi! Wiemy, jak ma na imię!

— Idźcie do domu — powtórzył Jimbo. — Albo jutro nie przyjdę do wsi.

- Przegapimy całą zabawę!

— Właśnie! Ostatnim razem wariat przerzucił ich nad murem!

Jimbo popatrzył surowo na gromadkę.

— Pojutrze też nie przyjdę. Och... No dobrze. Chodźcie.

- Ale zjawisz się jutro? Obiecujesz?

Obiecuję — powiedział Jimbo. Dwie najmniejsze dziewczynki wzięły Goro za ręce. Nie pociągnęłyby go za nic w świecie, gdyby choć trochę się opierał, lecz Goro zawsze słuchał kobiet. Starych i młodych, dużych i małych. Może coś zapamiętał z nauk, jakich udzielała 85

mu kiedyś matka. Bez sprzeciwu ruszył więc za swoimi prze-wodniczkami.

— Jimbo!

Mnich patrzył za dziećmi, dopóki nie zniknęły w dolinie, za zakretem wąskiej ścieżki. Odwrócił się dopiero wtedy, gdy całkiem zniknęły mu z oczu. Dzień kończył się w godzinie Małpy. Czas na wieczorną strawę.

Jimbo poszedł prosto do kuchni, nie zdradzając żadnego zainteresowania tym, co dzieje się pod zbrojownią. Jeśli okaże się potrzebny, opat na pewno go zawoła.

Ostrożnie wyplukał dzikie zioła i trawy, pracowicie zebrane w górach.

Potem zamierzał je pociąć na drobne kawałeczki i dosypać do kotła.

Nadawały trochę smaku i zapachu prostym klasztorным potrawom. W

Mushindo czas jakby przestał płynąć. Jimbo już dawno przestał liczyć dni i miesiące. Kierował się porami roku. Teraz na przykład jest zima. W

zimie jest Boże Narodzenie. On sam, co prawda, oddalił się od chrześcijaństwa, lecz przecież myśl o Bożym Narodzeniu nikomu nie czyni krzywdy. Słowa Buddy różnią się od słów Chrystusa, lecz w



gruncie rzeczy zawierają podobne przesłanie.

— Opat cię wzywa, Jimbo! — Taro zajrzał przez drzwi do kuchni. Był

ubrany jak do podróży; mnisią szatę zamienił na spodnie i kurtkę. Za pasem miał dwa miecze. Zza jego pleców dobiegało parskanie konia.

Jimbo poszedł za nim do zbrojowni. Opat przywołał go ruchem ręki.

Do Taro powiedział: „Ruszaj!”. Mnich skłonił się, skoczył na siodło i galopem wypadł za bramę. Zapadała noc. Droga Taro wiodła przez wrogie ziemie otaczające Yo-shino. Jimbo zmówił cichą modlitwę za bezpieczeństwo przyjaciela.

— Wielkie żelazne stwory plużą przed siebie ogniem — dał się słyszeć z wnętrza budynku głos Shigeru. — Wszędzie czuć smród palonego ciała.

— Czy to dla ciebie brzmi jak przepowiednia? — spytał Sohaku.

— Nie znam się na przepowiedniach, czcigodny opacie.

— Myślałem, że chrześcijanie mieli swoich proroków.

86

— Nie wiem. Nie jestem chrześcijaninem.

— Ale byłeś — odparł Sohaku. — Posłuchaj go. To jakaś wizja?

— Prorocy czasem są szaleni, lecz nie każdy szaleniec od razu jest prorokiem.

Sohaku burknął coś pod nosem.

— Sęk w tym, że ja nie mam nic wspólnego z jednym ani drugim.

Pan Genji pozostawił mu ściśle instrukcje. Zażądał, aby natychmiast wezwano go do klasztoru, jeśli stryj znowu wpadnie w trans jasnowidzenia. Skąd wiedział, że tak się stanie? Cóż... sam był

jasnowidzem. Albo szaleńcem. Życie stałoby się dużo prostsze, gdyby pan tej ziemi postrzegał czas tak samo jak jego poddani. Niech przeszłość będzie wczoraj, a przyszłość nazajutrz. Pan Kiyori przynajmniej był

dobrym wojownikiem. Jego wnuk i następca za mało uwagi poświęca rzeczom ważnym dla samuraja.

— Nie ma shoguna — mówił Shigeru. — Nie ma mieczy. Nie ma czuba. Nie ma kimona.

— Uznałem to za przepowiednię — powiedział Sohaku. — Dlatego też pchnąłem posłańca do Edo. Taro powinien dotrzeć tam już jutro. Jak dobrze pójdzie, to nim minie tydzień, powróci tutaj z naszym

panem.

Wtedy go poznasz.

— Nie wiem, czy rzeczywiście zasługuję na ten zaszczyt. Wcale nie muszę być cudzoziemcem z wizji pana Kiyoriego.

Wspomniana wizja mówiła o tym, że w dzień Nowego Roku zjawi się pewien przybysz z zamorskiego kraju, który ocali przyszłość klanu Okumichi. Sohaku w to nie wierzył. W ogóle powątpiewał w różne przepowiednie. Bo skoro pan Kiyori umiał zajrzeć w przyszłość, to czemu nie przewidział, że ktoś zechce go zgładzić? Od opata nie wymagano ślepej wiary w przesady i gusła. Wystarczyło, że spełniał

swoje obowiązki, lecz nawet w tym wypadku miał pewną swobodę. Nie wiadomo tylko, jak dużą.

Jesteś jedynym cudzoziemcem w naszym klasztorze — odparł. — A Nowy Rok już za pasem. O kogo więc może chodzić? — Bardziej interesował go Shigeru. Zastanawiał się, czy zdoła zaskoczyć go i przytrzymać. Nie chciał, żeby pan

87

Genji zastał swoich żołnierzy w tak głupiej sytuacji. Mieli stanowić elitarny oddział, a tymczasem czekali jak bezradne dzieci, aż bełkoczący wariat wyjdzie ze zbrojowni. Ten sam, którego ponoć tak dobrze pilnowali.

— Przygotuję posiłek dla pana Shigeru. — Jimbo uklonił się i poszedł

z powrotem do kuchni. W zadziwiająco krótkim czasie przywykł do japońskich zwyczajów. Sohaku nie mógł się nadziwić, że tak szybko nauczył się ich języka. Amerykański konsul, Townsend Harris, mieszkał

w Japonii ponad cztery lata, a potrafił wydukać zaledwie ze dwa zdania.

Sohaku sam był tego świadkiem, w czasie wizyty pana Kiyoriego w nowej siedzibie konsulatu, w Edo. Tymczasem Jimbo już po roku mówił

zupełnie jak Japończyk.

— Wszystko potwornie zniekształcone. Z urodzenia, przypadkiem, wedle planu... — Sohaku słuchał mamrotania dochodzącego z głębi zbrojowni. Z wolna nabierał przekonania, że wkrótce zdoła pochwycić zbiega. Nie dziś, to jutro. Nawet szaleńcy muszą kiedyś sypiać.

Cuda następowały jeden po drugim; cudowne myśli, błysk zrozumienia, siła...

Chodził z Jezusem po wodach jeziora.

Stał z Mojżeszem przed płonącym krzewem.

Leciał z Gabrielem nad bitewnym polem Armageddonu.

Na nowo pełen zachłannej wiary, obudził się w następnym miejscu i z nabożnym zdumieniem stwierdził, że rozumie język Japończyków.

Wyraźnie słyszał słowa zniewieściałego księcia:

— Może przejdziemy do pokoju obok? — zaproponował Genji. —

Służebne zajmą się panem Cromwellem. W razie potrzeby zaraz nas zawołają.

Emily pokręciła głową.

— Zapewne wolałby mnie widzieć, gdyby przypadkiem się obudził.

— Oczywiście. Zatem usiądźmy.

Cromwell co prawda przywykł już do cudów, lecz nie posiadał się ze zdziwienia. Nie wiedział, co zaskakuje go

88

bardziej: to, że Emily także odnalazła sens w tych barbarzyńskich słowach, czy to, że Japończyk rozumiał po angielsku. Och, jakież byłby większy znak lub objawienie niż ten, który odwracał klątwę wieży Babel?

Cromwell otworzył oczy.

Emily uśmiechała się do niego przez łzy. Dlaczego jest zapłakana?

— Zephaniah — powiedziała.

Próbował wymówić jej imię, lecz zamiast słów, poczuł na języku ciepłą wilgoć.

— O Boże... — jęknęła Emily i gwałtownie uniosła do ust mocno zaciśnięte pięści. Spadłaby z krzesła, gdyby Stark w porę jej nie podtrzymał.

— Posadźcie go! — zawołał. — Albo udusi się własną krwią!

Genji chwycił Cromwella w ramiona i uniósł go z poduszek. Czarna posoka, pełna oślizłych skrzepów, polała się z ust rannego na rękaw jego kimona. Ciałem kaznodziei wstrząsały gwałtowne skurcze.

— Panie! — Saiki rzucił się w stronę łóżka. — Proszę go nie dotykać!

Zatruje cię swoim jadem!

— To tylko krew — spokojnie odpowiedział Genji. — Niczym się nie różni od mojej lub twojej.

Stark wyczuł, że napięta jak struna Emily jeszcze bardziej leżeje mu w rękach. Była na skraju szoku.

— Emily — szepnął łagodnie. Oparł jej głowę na swoim ramieniu i odwrócił się tyłem do Cromwella. Po chwili zwiotczała. Mocniej przygarnął ją do siebie. Ukryła twarz na jego piersi i wybuchnęła płaczem. Stark wyprowadził ją z pokoju. Niedaleko był mały ogród.

Postanowił tam ją zaprowadzić.

- Chodź. Nic już nie możemy zrobić.

W połowie drogi minęło ich dwóch ludzi, biegnących w stronę komnaty, w której leżał Cromwell. Obaj nosili po dwa samurajskie miecze, lecz jeden z nich miał ogoloną głowę i zgrzebniejsze szaty.

Chyba w pośpiechu przebył długą drogę, bo kurz na jego spoconej twarzy zamienił się w kleiste błoto.

- Nie, bracie Matthew — szepnęła Emily. — Nie chcę zostawiać go samego.

89

— Brat Zephaniah już nie jest sam — powiedział Stark. — Właśnie dołączył do grona sprawiedliwych w domu Zbawiciela.

Saiki był przerażony. Cudzoziemiec wypluł krwawe flaki na księcia.

Gorzej, zmarł w jego ramionach. Trzeba było natychmiast wezwać kapłanów shinto, aby dokonali obrzędu oczyszczenia. A po zabraniu ciała należało okadzić cały pokój. Wynieść i spalić wszystkie prześcieradła, pościel, meble i maty *tatami*. Saiki właściwie o to nie dbał. Każdą religię uważał za zbiór baśni. Jednak niektórzy jego podkomendni byli przesądni ponad wszelką miarę.

— Panie — powiedział — w żaden sposób już mu nie pomożesz.

Pozwól zatem, że teraz inni zajmą się zwłokami.

— Wcale nie umarł — odparł Genji. — Po prostu zasnął.

— Zasnął?! — To niemożliwe. Saiki przysunął się bliżej. Smród bijący od bezwładnego ciała przyprawiał go o mdłości. Lecz zauważył, że pierś rannego poruszała się w słabym oddechu i usłyszał cichy świst powietrza w wielkim nosie.

Genji przekazał Cromwella w ręce Hanako i drugiej służącej.

— Podtrzymujcie go na siedząco, aż przyjdzie doktor Oza-wa. Gdyby znów zaczął się krztusić, spróbujcie udrożnić mu gardło. W razie potrzeby, nawet ręką wyciągnijcie skrzepy.

— Tak, panie — odpowiedziały obydwie służące. Usiłowały nie krzywić się w pobliżu cuchnącego ciała. Gdyby choć jednym gestem zdradziły swoją niechęć, byłoby to straszliwym pogwałceniem

zasad etykiety.

— Spójrz tylko, jaki spokój maluje się na jego twarzy — powiedział

Genji do Saikiego. — Zdrowieje we śnie. Myślę, że przeżyje.

— To byłby cud.

— Przecież to chrześcijanin. Jego wiara jest pełna cudów.

— Wprawdzie nie umarł, lecz to nie znaczy, że wyjdzie z tego cało, panie. Roztacza wokół siebie odór śmierci.

— Chyba nie. Moim zdaniem po prostu nie kąpał się podczas podróży przez ocean. Dlatego śmierdzi.

W drzwiach, w wyczekującej pozie, stanął samuraj z dziennej warty.

Uklonił się, kiedy Genji spojrzał w jego stronę.

90

— Panie, przybył goniec z pilną wiadomością.

— Sprowadź go. — Genji miał ochotę zrzucić zakrwawioną szatę i zażyć kąpieli, ale, jak widać, musiał z tym jeszcze chwileczkę poczekać.

Od razu poznał posłańca, mimo zgrzebnej odzieży i ogolonej głowy.

To był Taro. Pół roku temu, wraz ze swoim dowódcą i ponad dwudziestoma najlepszymi jeźdźcami Akaoki złożył śluby kapłańskie.

Przybywał zatem z klasztoru Mushindo. A skoro tak, to książę Genji domyślał się, z czym go przysłano...

— Panie — zaczął Taro i urwał, żeby zaczerpnąć tchu. — Pan Tanaka... — Znowu umilkł i skłonił się przepaszająco. — To znaczy...

opat Sohaku czeka na twoje polecenia.

Genji skinął głową.

— Co dzieje się w prowincjach?

— Znaczne ruchy wojsk w okręgu Yoshino, panie. Kilka razy musiałem wręcz nadłożyć drogi.

— Mów jaśniej, Taro — ofuknął go Saiki. — Uczono cię na zwiadowcę?

— Tak, panie. — Taro szybko policzył w głowie. — Pięciuset konnych strzelców i cztery działa

kierują się głównym traktem na południe, w stronę Morza Wewnętrznego, panie. Trzy tysiące piechoty, w trzech kolumnach, maszeruje nocą w tym samym kierunku.

— Świetnie, Taro. Zjedz coś i za godzinę bądź gotów do drogi.

— Tak jest, panie.

— Yoshino pozostaje w przymierzu z Kurokawą — syknął Saiki. —

Od naszych ziem dzieli ich tylko wąski przesmyk Morza Wewnętrznego.

Prawdopodobnie chcą skorzystać na śmierci twojego dziadka, panie.

— Szczerze wątpię. Shogun nie pozwoli na najazd na Aka-okę.

Cudzoziemcy sprawiają dość kłopotów, więc niepotrzebne mu wewnętrzne waśnie.

— Shogun! — parsknął szambelan. — Wolne żarty! Przecież sam tytuł „wielkiego hetmana podbijającego barbarzyńców” waży więcej od niego. To zaledwie czternastoletnie chłopię, z bandą kretynów i tchórzy zamiast porządnych doradców.

— Nie ma potęgi swoich przodków — przyznał Genji —

91

lecz to nie powód, żeby podważać jego autorytet. Nikt w kraju się na to nie odważy. Wojska shoguna wciąż są najsilniejsze, nie mówiąc o flocie... — Przerwał, namyślając się przez chwilę. To nawet lepiej. Skoro uwaga wszystkich zwrócona jest na zachód, podróż na północ będzie bezpieczniejsza.

— Chyba nie wybierasz się sam do klasztoru, panie?

— Muszę. Taro wyraźnie powiedział, że Sohaku czeka na moje polecenia. To znak, że jestem tam potrzebny. Ale nie bój się, Saiki, nie wezmę całej świty. Nie chcę ściągać na siebie zbyt wiele uwagi. Pojadę z Taro, incognito. — Genji rozejrzał się po komnacie. — Zabiorę Hide i Shimodę.

Obaj złożyli mu niski pokłon.

— Tak, panie. Zaraz będziemy gotowi do podróży.

— Weźcie łuki — powiedział Genji. — Żadnej broni palnej ani herbów. Wybieramy się na zwykłe polowanie.

— Tak, panie. Wedle rozkazu. — Hide i Shimoda wybiegli z pokoju.

Saiki, nie wstając z kolan, przysunął się nieco bliżej i pochylił głowę w ukłonie.

— Przemyśl to jeszcze, panie. Ledwie przed godziną był zamach na twoje życie. Twój znamienity

gość odniósł poważną ranę. Wieść o tym na pewno już rozniosła się po całym Edo. Kto w takiej chwili jeździłby na łowy? To nielogiczne. Nikt w to nie uwierzy.

— I tu się mylisz. Od dawna mam opinię lekkoducha. Czegóż więc można się po mnie spodziewać?

— Pozwól przynajmniej, bym pojechał z tobą — nalegał Saiki.

— Nie mogę. Jesteś za poważny, a ja chcę sprawiać beztrioskie wrażenie.

Jeden z samurajów parsknął stłumionym śmiechem, lecz zaraz umilkł pod groźnym spojrzeniem szambelana.

— Poza tym — ciągnął Genji, sam z trudem panując nad rozbawieniem — o wiele bardziej przydasz mi się tutaj. Chroń naszych gości przed nowym atakiem. — Spojrzał na Cromwella. Oczy rannego tańczyły dziko pod zamkniętymi powiekami. Na pewno znowu coś mu się śni.

— A gdzie są pozostali?

92

— W wewnętrznym ogrodzie, panie — odpowiedział jeden ze strażników.

— Dajcie mi papier — zażądał Genji. Kiedy spełniono jego polecenie, napisał krótki list po angielsku:

*Droga panno Gibson i panie Stark. Przepraszam, lecz musiałem na krótko wyjechać. Przekażę Was pod opiekę mojej przyjaciółki. Co prawda mówi po angielsku jeszcze gorzej ode mnie, ale na pewno zadba o Wasze potrzeby.*

Podpisał się na cudzoziemską modłę, stawiając imię przed nazwiskiem:

*Z poważaniem, Genji Okumichi.*

Po spotkaniu ze szpiegiem shoguna Heiko wróciła do swojej willi w lasach Ginza, na wschodnich przedmieściach Edo, w pobliżu Nowego Mostu na trakcie Tokaido.

— Kąpiel gotowa — zawiadomiła ją Sachiko.

— Dziękuję. — Heiko szybko zrzuciła kimono, włożyła lekki szlafrok i poszła do łaźni. Bez względu na porę dnia, zawsze się kąpała po spotkaniu z Kawakamim. Dzisiaj potrzebowała tego bardziej niż zwykle.

Niedawna rozmowa obudziła w niej przykre wspomnienia, o których wolałaby zapomnieć. W przeszłości kilka razy widziała się z panem Shigeru. Sprawiał wrażenie całkiem normalnego. Cóż więc się stało, że nagle oszalał i wymordował całą rodzinę, łącznie ze swoim synem i następcą? Przecież to było sześciolatnie dziecko... Atak choroby czy klątwa od pokoleń ciążyąca nad klanem? A

co się stanie, gdy pewnego dnia mój Genji także oszaleje? — myślała.

— Masz jakieś dowody na to, co mi przed chwilą powiedziałaś? —

zapytał Kawakami.

— Nie, panie.

— W takim razie to tylko domysły.

— Śmierć nie należy do domysłów, panie. Chodzi raczej o przebieg wypadków. Według oficjalnej wersji teść pana Shigeru, pan Yoritada, zginął w lawinie na zboczu Tosy, podczas przejażdżki z córką Umeko i jej trojgiem dzieci. W tym samym czasie ktoś przypadkowo zaproszył

ogień w ich rezydencji.

93

Splonęła doszczętnie. Wątpliwy lecz wygodny sposób zatarcia śladów zbrodni.

— Czasem zdarzają się przypadki — nie ustępował Kawakami.

— Tak, panie.

— I na tym koniec?

— Jeszcze nie, panie. Jest coś więcej. Dzisiejszego ranka pan Genji z ciekawością patrzył na cudzoziemski statek, który przyłynął do naszego portu. Na „Gwiazdę Betlejemską”. Nie wiem, co przewoziła. — W tym przypadku nie musiała kłamać. Kawakami na pewno już słyszał o

„Gwieździe”. Miał przecież na usługi jeszcze innych szpiegów. — Pan Genji wybrał się do portu w godzinie Smoka.

— Żeby odebrać pasażerów — prychnął Kawakami. — Kolejnych misjonarzy z sekty Prawdziwego Słowa. Bardzo się brata z tym całym chrześcijaństwem. To znak, że coś knuje.

— On? — zachichotała Heiko. — Ależ to śmieszne! Genji przejawia wstręt do polityki. Interesują go tylko kobiety, sake i muzyka. Jeśli już ktoś miałby spiskować, to raczej pan Kiyori. Ale on nie żyje, więc spisek też umarł.

— Tylko kobiety, sake i muzyka? Przecież jeździ też na polowania.

Nie zaprzeczysz, że to należy do rycerskiego obyczaju.

Heiko znowu się roześmiała.

— Chyba dla ciebie, panie, bo jesteś prawdziwym samurajem. Pan Genji zawsze wraca z łowów z



pustymi rękami.

— Nie sądź ludzi wyłącznie po pozorach — mruknął ostrzegawczo Kawakami. — Może próbuje nas oszukać.

Ukloniła mu się ze skruchą.

— Tak, panie. — Podejrzewała jednak, że sam w to nie wierzył.

Uważał raczej, że Okumichi, podobnie jak ród shogu-na, chyli się ku upadkowi. Pan Kiyori był ostatnim wielkim wojownikiem na wzór dawnych bohaterów. Jego syn, Yorimasa, pogrążył się w oparach opium i zmarł w bardzo młodym wieku. Wnuk, Genji, wyglądał tak, jak go przed chwilą opisała Heiko. A jedyny z pozostałych przy życiu groźnych samurajów, pan Shigeru, okazał się szaleńcem.

Genji nie musi wcale umierać, pomyślała gejsza. Po jakie лихо go zabijać, skoro nie stanowi dla nas żadnego zagrożenia?

94

Drgnęła, wyrwana z zamyślenia na kilka kroków przed łaźnią.

Dreszcz przeszył jej smukłe ciało, okryte cienką bawełnianą szatą. Z

wysokiej drewnianej balii, pełnej gorącej wody, unosił się obłok pary.

Samotny ptak śpiewał na gałęzi. Wszystko było jak zwykle. Więc czego się zlekła? Wiedziona intuicją, wymieniła znajome imię.

— Wychodź, Kuma — powiedziała — to cię nie zabiję. Przynajmniej nie dzisiaj.

W łaźni rozległ się rubaszny śmiech. Kuma stanął w progu i skłonił się z szacunkiem.

— Nie gniewaj się, Hei-chan — zawołał, zwracając się do niej przyjacielskim zdrobnieniem. — Sprawdzałem tylko, czy nie straciłaś czasem na czujności.

— I wciąż byś sprawdzał, gdybym zaczęła się rozbierać?

— Daj spokój. — Kuma zrobił przesadnie obruszoną minę. — Jestem szpiegiem, a nie jakimś podglądaczem. — Szelmowski uśmiech zajaśniał

na jego szerokiej twarzy. — Pewnie popatrzylibym z ukrycia, lecz tylko w celach zawodowych. Heiko minęła go ze śmiechem i weszła do łaźni.

— Odwróć się z łaski swojej.

Posłuchał jej bez słowa. Zrzuciła przewiewny ubiór i zaczęła się kąpać. Stojąc obok balii, nabrała

pełny czerpak wody i z rozmachem wylała go na siebie. Ciepło, rozlewające się po całym ciele, przyprawiło ją o dreszcz rozkoszy.

— Dwa tygodnie temu Kawakami wezwał mnie do siebie i powiedział, żebym przy pierwszej lepszej okazji wykończył księcia Akaoki — mruknął Kuma, przez cały czas posłusznie stojąc do niej plecami. — Dziś rano prawie mi się to udało. — Umiał odróżnić plusk wody chlapiącej na ziemię i spływającej po ciele dziewczyny. Wiedział

nawet, która to część ciała. Domyślił się, że nagle drgnęła po jego ostatnich słowach.

— To ciekawe... — powiedziała po króciutkiej chwili, już całkiem spokojnym głosem. Przerwa trwała zaledwie mgnienie oka. — Od dawna byłam przekonana, że to zadanie przeznaczone dla mnie.

— Kawakami jest na tyle cwany, że każdemu mówi zaledwie część prawdy — westchnął Kuma. — Może ma tak pokrętny umysł, że sam nie zna całego planu? Dzisiaj odwołał swój

95

poprzedni rozkaz. Coś mi się zdaje, że jeszcze nie wie, czy Genji powinien zginąć. Nie umie się zdecydować.

— To trochę komplikuje sprawę — odparła Heiko. Kuma usłyszał

wyraźny ton ulgi w jej głosie. Potwierdziły

się jego wcześniejsze podejrzania: Heiko zbyt dobrze weszła w rolę kochanki młodego księcia.

— Tylko nie próbuj okłamywać samej siebie.

— Co to znaczy?

— Kochasz go — powiedział Kuma.

— Oczywiście! — przytaknęła z zapalem. — W przeciwnym razie natychmiast poznałby się na oszustwie. Nie wolno kłamać w tak intymnych sprawach.

— I mimo to nadal zamierzasz go zabić?

— Tylko głupcy żyją miłością — odparła. — Nie wychowałeś mnie na głupią.

— Mam nadzieję — zamruczał Kuma, nasłuchując nieco cichszych dźwięków, dobiegających z łaźni. Heiko mydliła całe ciało. —

Podejrzewam, że Kawakami ma jeszcze jakieś inne plany, o których nic nam nie powiedział. Na tyle ważne, że nie myśli teraz o śmierci księcia.

— Jakie plany?

— Nie wiem — przyznał ninja. — Ale na pewno związane z tobą. Nie zwierzał ci się?

— Nie. — Heiko splukała mydło i już zupełnie czysta weszła do balii.

Woda była gorąca. Powoli zanurzyła się po samą szyję i usiadła na dnie.

— Możesz się odwrócić.

Kuma popatrzył na nią. Bez makijażu i z rozpuszczonymi włosami Heiko wyglądała jak mała dziewczynka — ta sama, którą poznał przed wieloma laty. Przedziwne są wyroki losu, pomyślał. Jakże często wiodą do tragedii...

— Być może Kawakami zmienił politykę po śmierci pana Kiyoriego i zniknięciu stryja.

— Być może — zgodził się Kuma. — Jeżeli jednak jest w tym trochę prawdy, to klan Okumichi znalazł się dosłownie o krok od zagłady. Nasz pracodawca tylko czeka na taką okazję. A skoro już o nim mowa... Nie próbuj go lekceważyć. Ciągłe ci nie dowierza.

96

— Tak jak wszystkim. Z nieufności uczynił motto swego życia.

— Kazał mi cię pilnować. Jest ostrożniejszy niż zazwyczaj. Uważaj, Hei-chan.

— A kto sprawdza, czy mnie naprawdę śledzisz? Kuma roześmiał się.

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Aby na pewno? Kawakami niechętnie zdradza swoje podejrzenia wobec podejrzanych. — Heiko poliała głowę wodą. — Skąd wiesz, czy przypadkiem ktoś za tobą nie szedł?

Kuma zerwał się na równe nogi.

— Szlag by trafił! Masz rację. Powinienem bardziej uważać. Wracam.

Bądź ostrożna, Hei-chan.

— Ty też, wujku Kuma.

W nostalgicznym nastroju wracał do śródmieścia Edo. Myślał sobie, że czas tak szybko płynie... Dziewczynka, którą poznał przed piętnastu laty, wyrosła na dojrzałą i piękną kobietę. Nazywała go: „wujek Kuma”.

Powinna znać prawdę. Jest już wystarczająco dorosła. Owszem, ma swoje rozkazy, ale... do diabła z rozkazami! Kuma uśmiechnął się do siebie.

Tylko głupcy żyją miłością. To jej własne słowa. W takim razie niech mnie nazywają głupcem,

pomyślał. W ciągu piętnastu lat szkolenia pokochał ją jak własną córkę. Innych dzieci nie miał. I nie zawahałby się, gdyby w tej chwili przyszło mu wybierać pomiędzy obowiązkiem i miłością.

Tak, tak... Już od dawna powinna znać prawdę. Obiścał sobie, że przy następnym spotkaniu powie jej wszystko. To będzie dla niej ciężka próba.

W lepszym świecie nie musiałyby tego wiedzieć. W najlepszym — takie sprawy nie miały żadnego znaczenia. Niestety, świat, w którym żyją, nigdy nie zasługiwał na miano najlepszego. Istniała jednak Sukhawati, kraina Czystej Ziemi, dogłądana przez Buddę Amidę. Tam kiedyś razem zamieszkają.

Ale nie dzisiaj.

Heiko siedziała w wodzie jeszcze kilka minut po odejściu Kумы.

Jakie to życie bywa kruche, pomyślała. I jakie nieprzewidywalne. Każdy z nas uważa się za aktora... ba, wręcz za geniusza, piszącego swoją własną sztukę. Wydaje nam się,

97

że tu mamy prawdziwe pole do popisu i że możemy zmieniać każdą kwestię — ważniejszą lub też bez znaczenia — według własnego widzimisię. Zapewne w ten sam sposób myślą drewniane lalki z teatru *bunraku*. Nie dostrzegają, że to lalkarz kieruje ich najmniejszym ruchem.

Zimny dreszcz przeszył ją do szpiku kości, choć wokół niej buchały kłęby pary. Genji mógł dzisiaj zginąć, a ona nic by nie wiedziała, póki nie byłoby za późno.

Po kąpieli luźno związała włosy i zarzuciła je na plecy. Włożyła skromny wiejski ubiór, bacząc, by nie wystawiać skóry na promienie zimowego słońca. Poszła do ogrodu i skopała ziemię na grządce pełnej późnych melonów. Zajęta pracą, zapomniała o całym świecie. Nie myślała o zbrodni, zdradzie i miłości.

Słońce już dawno przeszło na drugą stronę nieba, gdy zobaczyła czterech jeźdźców, zbliżających się od południa.

Genji spojrzał w dół z wysokości siodła.

— Szanowna chłopko, mówiono mi, że tu w pobliżu mieszka pewna piękność, sławna w całym Edo. Zechcesz nam wskazać drogę do jej siedziby?

— Edo jest dość daleko — odparła Heiko. — Uroda mija, a ludzkie siedziby niszczeję z upływem czasu. Może więc w zamian wstąpicie do mnie, panie, na czarę gorącej zupy? Chłodno dzisiaj. — Machnęła ręką w stronę ogrodu. — Gotowałam sama, z zimowych melonów. — Gdyby wiedziała, że Genji złoży jej wizytę, nie chodziłaby w chłopskim odzieniu. Lecz on od rana mówił o cudzoziemcach. To z ich powodu udał

się do portu. Na zdrowy rozum, aż do wieczora powinien zostać w mieście. Tymczasem przybył tutaj po południu, bez cudzoziemców, za to z łukiem, jakby wybierał się na polowanie. Heiko była

zakłopotana, lecz jednocześnie bardzo szczęśliwa, bo zobaczyła, że naprawdę jest cały i zdrowy. Po tym, co powiedział jej Kuma dziś rano, cieszyło ją każde spotkanie z ukochanym.

— Wspaniale sobie radzisz z uprawą ogrodu — pochwalił ją Genji. —

W lepszym i o wiele bardziej wyważonym świecie czekałaby cię większa sława niż niejedną niewiastę kształconą w sztuce miłości.

98

— Jesteście dla mnie zbyt łaskawi, panie. — Heiko skłoniła się głęboko. Nie chciała, żeby zauważył rumieniec wstydu na jej policzkach.

— Nie chcę cię dłużej zatrzymywać. Zapewne spieszno ci do spotkania z damą, o którą mnie pytałeś.

— Poczęstunek czy piękna buzia? — głośno zastanawiał się Genji. —

Zaiste, trudny wybór. — Bawiło go zmieszanie gejszy. Zawsze wydawała mu się taka pewna siebie... A teraz stała przed nim, odarta z barwnych piórek, z motyką w dłoni i nieco ubrudzona ziemią. Pierwszy raz przyłapał ją w takiej sytuacji i zamierzał przeciągnąć tę chwilę jak najdłużej.

— Mędrzec na pewno wybrałby poczęstunek — odpowiedziała Heiko. — Zwłaszcza w tak zimny dzień jak dzisiejszy.

Genji wciąż spoglądał na nią z lekko kpiącą miną. Złościło ją to, ale nie dała nic po sobie poznać, żeby nie sprawić mu jeszcze większej satysfakcji.

— A to ciekawe... Prawdziwa mądrość powinna raczej wieść do piękności, prawda? Cóż bowiem bardziej niż uroda rozgrzewa ducha oraz ciało? — Owszem, przyłapał ją bez szminki i w zgrzebnej opończy, ale czy naprawdę wygrał? Pukiel lśniących włosów spływał jej na plecy, niczym u księżniczki sprzed tysiąca lat, z okresu Heian. Wcale nie była brzydsza, mimo braku pudru, rózu i innych kosmetyków. Wręcz przeciwnie, dostrzegwał u niej zazwyczaj skrywaną witalność, która zdumiała go i urzekła dużo bardziej niż wystudiowane piękno.

— Obawiam się, że jesteście w błędzie, panie — zaoponowała Heiko.

— Uroda bywa czasem o wiele chłodniejsza od najmroźniejszego dnia w samym środku zimy. To nie ona rozgrzewa, lecz prawdziwa miłość.

— Dobrze powiedziane, zacna chłopko. — Genji uspokoił konia, znudzonego tak długim postojem.

— Nigdy nie słyszałem tak mądrych słów od żadnej kurtyzany z Edo. Z wyjątkiem jednej.

— Wasza książęca mość jest zbyt łaskaw. — Heiko uśmiechnęła się.

Tym prostym komplementem przywrócił jej całą godność.

99

— To raczej ty jesteś zbyt łaskawa — także z uśmiechem odparł Genji

— i zbyt piękna, żeby ukrywać się w lasach Ginzy. Zaraz przybędzie tu dowódca jazdy, z końmi dla ciebie i służącej. Proszę cię, pojedź z nim do Edo. Tam na pewno o wiele lepiej spożytkujesz swój niecodzienny talent.

— Jak odwdziczę się za taką hojność? — spytała Heiko.

— Ciekaw jestem, czy nadal zwać mnie będziesz hojnym, kiedy ci powiem, że przyda mi się twoja znajomość angielskiego.

O nie! Wszystko stało się zupełnie jasne. Księżę Genji musi na jakiś czas opuścić cudzoziemskich gości, a ona ma go zastąpić w roli tłumacza i gospodarza.

— Żegnaj, Heiko. — Ściągnął wodze i skierował konia w stronę Nowego Mostu. — Wrócę za tydzień.

— Zaczekaj, panie! — Heiko podbiegła za nim parę kroków. — W

całym życiu rozmawiałam nie więcej niż trzy razy po angielsku i to zawsze z tobą. Nie zostawiaj mnie z nimi!

— Jesteś zbyt skromna. — Uśmiechnął się. — Od dawna mam wrażenie, że umiesz więcej, niżby się zdawało. Postaraj się to udowodnić.

— Panie!

Uklonił jej się z wysokości siodła i odjechał pełnym galopem. Trzech samurajów popędziło za nim.

Po pewnym czasie przybył Saiki, wiodąc dwa osiodłane konie. Heiko zdołała już, z pomocą Sachiko, przybrać swój właściwy wygląd. Stary mruk nie wyrzekł ani słowa przez całą drogę do Edo. Gejszy zupełnie to nie przeszkadzało. Była w złym humorze i nie miała najmniejszej ochoty na czece pogawędki.

Tego wieczoru Genji i jego ludzie stanęli na nocleg w wiejskiej chacie na północnym skraju równiny Kanto. Nazajutrz ich dalsza droga wiodła przez Yoshino, ziemie pana Gaiho, zaprzysięgłego wroga rodu Okumichi.

Dziwna to była wrogość, bo w zasadzie nic do siebie nie mieli. Genji podejrzewał nawet, że nie rozpoznałby pana Gaiho. Pamięć podsuwała mu jedynie zamazany obraz krępego i jowialnego starca, być może sześćdziesięciolatka. Albo siedemdziesięciolatka. Jaki miał nos? Ostry czy płaski? A włosy? Siwe? A może ciemne? Chyba ciemne, zdecydował

Genji. Prawdopodobnie je farbował. To by sugerowało próżność. Zatem pan Gaiho był krępy, jowialny i próżny. Kiedy ostatnio się widzieli?

Prawie trzy lata temu, podczas ceremonii objęcia urzędu shoguna przez Tokugawę Iemochiego. Siedzieli po przeciwnych stronach ogromnej komnaty. Genji widział swojego przeciwnika zaledwie przez mgnienie oka. Prawdę mówiąc, nie był pewny, czy ten, o którym teraz myśli, to naprawdę pan Gaiho. Obcy człowiek, przemknęło mu przez głowę. A jednak, gdyby tylko mógł, zamordowałby mnie w każdej chwili.

Za ich życia nie doszło do żadnej rodowej waśni. Tak samo było za czasów ich ojców, dziadów i pradziadów. Żadnych kłótni, miłosnych tragedii, sporów o ziemię, wpływy lub władzę. Powód był prosty i powszechny, dotyczył niemal wszystkich klanów, od dwustu sześćdziesięciu lat rządzących Japonią. Chodziło o Sekigaharę.

Sekigahara to nazwa małej i w gruncie rzeczy nic nieznaczącej wsi w zachodniej Japonii. Jednak w czternastym roku panowania cesarza Go-yozei, w pobliskiej dolinie doszło do pewnych wydarzeń, które raz na zawsze zmieniły oblicze kraju. Pewnego jesiennego ranka, kiedy rozwiały się opary mgły i szron pokrył wysokie trawy, dwieście tysięcy ludzi z dwóch wrogich armii starło się w zaciętej bitwie. Jedną armią dowodził wielki władca Kanto, Tokugawa Ieyasu. Nad drugą powiewały sztandary regenta zachodniej Japonii, Ishidy Mitsunariego.

Przodek Genjiego, Nagamasa, stanął po stronie Ishidy. Miesiąc przed bitwą doznał we śnie objawienia, że klan Tokugawa będzie odarty ze wszystkich bogactw i zaszczytów, łącznie z dziedzicznym tytułem książęcym. Zanim zapadła noc, Nagamasa zginął, a wraz z nim legło na polu walki osiemdziesiąt tysięcy bitnych wojowników. Ieyasu zyskał

niepodzielną władzę. Wkrótce potem stał się shogunem, jego potomkowie zaś przez dwa i pół wieku rządili Japonią. Mimo to Genji nie wątpił w proroctwo zdolności swojego antenata. Podejrzewał raczej, że zawinił brak wycucia czasu.

101

Nagamasa zginął i klan Okumichi znalazł się po przegranej stronie, lecz mimo to nie uległ całkowitej zagładzie. Przetrwało także wielu innych wrogów Tokugawy. Przez ponad dwieście sześćdziesiąt lat żyli w poczuciu klęski i planowali krwawą zemstę. W tym samym czasie potomkowie stronników Tokugawy — wśród nich pan Gaiho —

zastanawiali się, jak ostatecznie pognać „niecnych zdrajców”. Świat dokonywał wiekopomnych odkryć i wielkich wynalazków, w Japonii zaś wciąż trwały bezsensowne spory. Jeżeli ten stan rzeczy potrwałby nieco dłużej, byłoby to równoznaczne z groźbą zachodniej inwazji.

— Łaskawy panie... — Do izby wczółgał się na kolanach chuderlawy chłop, szorując głowę po podłodze, jak pługiem. — Szacowna kąpiel już gotowa. — Dygotał ze strachu.

Genji chętnie kazałby mu wstać z klęczek. Chłop był tu gospodarzem, a on jedynie nieproszonym gościem. Nie mógł jednak zmieniać utartych zwyczajów. Obaj byli związani starą i sztywną etykietą.

— Dziękuję — odparł sucho.

Chłop, ciągle z głową przy ziemi, szybko usunął się na bok, żeby księżę przypadkiem nie musiał nadkładać drogi, mijając tak nędzną istotę.

Marzył wyłącznie o dwóch rzeczach. Po pierwsze, aby gość nie wzgardził

prostą wiejską balią. Żona i córka zdarły sobie ręce, szorując ją do czysta od chwili przybycia gości. Zaniósł cichą modlitwę do Buddy Amidy, żeby ich wysiłki nie poszły na marne. Po drugie, miał nadzieję, że przystojny młodzian, bez wątpienia przywykły do kurtyzan z Edo, nie zwróci uwagi na wspomnianą córkę. Miała piętnaście lat, więc wyglądała niby świeże kwiecie i we wsi uchodziła za prawdziwą piękność. Chłop marzył teraz, aby była równie brzydka jak córka Muko. Znów pomodlił się do Buddy Amidy, prosząc go żarliwie o łaskę i opiekę w ciągu tej niebezpiecznej nocy.

Na zewnątrz najmłodszy z jego synów, spocony jak mysz, wycierał

wiechciem i karmił wierzchowce przybyszów. Obserwował go Taro. W

zagrodzie nie było odpowiedniej paszy dla koni samurajów, więc chłopak pobiegł do sąsiedniej wsi i ubłagał sołtysa o nieco siana. Wrócił z pięćdziesięciofuntowym

102

snopkiem na plecach. Narzekał w duchu, że musi radzić sobie bez pomocy starszego brata. Niestety, przed miesiącem Shinichi został

przymusowo wcielony do wojsk pana Gaiho. Kto wie, czy kiedyś w ogóle powróci? Wojna wisi w powietrzu. Wszyscy to mówią. Wojna z cudzoziemcami. Wojna pomiędzy stronnikami i wrogami shoguna.

Wojna zewnętrzna i wojna domowa. Obie w tym samym czasie. Zginą tysiące, setki tysięcy, a może nawet miliony ludzi. Na dobrą sprawę Shinichi będzie bezpieczniejszy w wojsku niż tu, w samotnej chacie. Z

domu wyszedł pan Genji. Chłopak natychmiast rzucił się na ziemię i wtulił twarz w piasek.

Hide i Shimoda pełnili straż przy łaźni. W środku czekały żona i córka wieśniaka. Także klęczały w niskim pokłonie i dygotały z przerażenia, jakby czekało je spotkanie z demonem z czeluści piekieł. Bo, w gruncie rzeczy, w oczach zwykłej chłopki czymże różnił się księżę od diabła?

Genji usłyszał stłumiony szloch. Od razu wiedział, że to płacze matka.

Zapewne była święcie przekonana, że we dwie będą musiały pomóc mu przy kąpeli. On zaś zwróci uwagę na urodę córki i na noc zabierze ją do swego łóża. Rzecz jasna, jeśli jest człowiekiem łagodnej natury. Raptus przed kąpielą obali ją na ziemię i pohańbi tutaj, w łaźni, na klepisku.

— Możecie odejść — powiedział Genji. — Zwykłem się kąpać w samotności.



— Oczywiście, łaskawy panie — odparła matka.

— Oczywiście, łaskawy panie — niczym echo zawtórowała córka.

Tyłem, na kolanach, wypełzły na zewnątrz.

Późną nocą, całą rodziną skuleni w niewielkiej stodole, długo mówili o swoim gościu.

— To pewnie jakiś ważny radca dworu cesarskiego — szepnął chłop.

— Za wykwinny jak na wojownika.

— Ale mają bojowe konie — wtrącił syn — które nie znoszą obecności obcych. Myślałem, że mnie stratuja, kiedy próbowałem je karmić. Dopiero ten samuraj z ogoloną głową zdołał je okiełznać.

— Może chcą się przyłączyć do wojsk pana Gaiho? — westchnęła matka. — Dobrze by było. Im więcej ludzi doń pociągnie, tym nasz Shinichi będzie bezpieczniejszy. —

103

W myślach powtarzała mantry do Buddy Amidy, odliczając je tak jak dawniej, jakby przesuwała w dłoni paciorki cennego różańca z sandałowego drewna. Różaniec oddała, lecz tego nie żałowała. Wisi teraz niczym talizman na szyi jej pierworodnego. Wierzyła, że na pewno uchroni go od złego, przyniesie szczęście i zachowa w zdrowiu. Shinichi miał dopiero szesnaście lat i po raz pierwszy był z dala od domu.

— Całkiem możliwe — zgodził się z nią ojciec. — Lecz z tego paniczyka słaba będzie pociecha w bitwie. Dobrze chociaż, że ma ze sobą krzepkich samurajów.

— To na pewno księżę — orzekła córka. — Bardzo urodziwy.

— Cicho, głupia! — syknął ojciec i machnął ręką, mimo ciemności trafiając ją w policzek.

— Au!

— Kim by nie był, ma swoje zachcianki. Nienawykły, żeby mu odmawiać. Zostaniesz tutaj aż do rana, dopóki nie odjadą.

Lecz czterej goście zniknęli na długo przed świtem. Kiedy chłop rankiem wszedł do chaty, przed lichym domowym ołtarzem znalazł

starannie złożoną wstęgę szafranowego jedwabiu. Tydzień później zabrał

ją do Edo i dowiedział się, że jest więcej warta niż całe jego zeszłoroczne zbiory ryżu.

Genji i jego wojownicy nie oszczędzali bojowych rumaków.

Galopowali jak szaleni. W takim tempie już po południu staną w klasztorze Mushindo. Udało im się przejechać przez całe Yoshino, ani razu nie widząc oddziałów pana Gaiho. Za następnym strumieniem leżały ziemie przyjaznego im władcy Yamakawy, księcia Hiromitsu. Genji jego również nie znał. Ich przyjaźń wynikała z tych samych pobudek, co wrogość pana Gaiho. Jeden z przodków księcia Yamakawy był wśród przegranych pod Sekigaharą.

Wzięli ostatni zakręt przed granicą i zobaczyli pięciu samurajów na koniach, wiodących oddział czterdziestu piechurów, uzbrojonych w długie włócznie. Kolumna posuwała się na południowy zachód, jak inne, które widział Taro.

Genji natychmiast ściągnął wodze i zwolnił do lekkiego 104

truchtu. Czekał, aż żołnierze pozwolą mu przejechać. Nie miał co prawda herbu ani sztandaru, lecz jego strój, wierzchowiec i zachowanie towarzyszy wyraźnie wskazywały na to, że jest kimś ważnym. Motłoch winien mu ustępować z drogi. Lecz nic takiego się nie stało. Dowódca krzyknął:

— Hej tam, na bok!

Genji zatrzymał się. Gdyby zobaczył oddział wcześniej, skinąłby na swoich ludzi i skrył się w pobliskim lesie. Lecz teraz było już za późno.

Nie mógł wycofać się z honorem przed takim chamem i pyskaczem.

Siedział zatem spokojnie w siodle, czekając na rozwój wydarzeń.

Hide zaciął konia i podjechał wprost do dowódcy.

— Pan wysokiego rodu, podróżujący incognito, czyni wam honor swą osobą! — zawołał.

Samuraj roześmiał się.

— Pan wysokiego rodu? Nie ma tu takiego. Widzę jedynie czterech włóczągów, zapewne z dala od swojego sioła. Z drogi! Mamy rozkazy pana Gaiho. To nam należy się pierwszeństwo.

— Nędzny robaku! — ryknął gniewnie Hide. — Ślepy jesteś, że nie potrafisz rozpoznać szlachcica?

— Jest szlachta i szlachta... — Samuraj wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i położył rękę na kolbie tkwiącego za pasem dwulufowego pistoletu. — Czasy się zmieniają. Silni dochodzą do głosu.

Przeżytki odsuwamy na bok. Następne wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Hide nie rzekł już ani słowa. Zimna stal błysnęła w jego dłoniach i nakreśliła cienką krwawą smugę od lewego barku samuraja pod jego prawą pachę. Chwilę później ciało dowódcy pękło i krew bryznęła na wszystkie strony.

Drugi jeździec, czekający obok, sięgnął po miecz, ale zdołał

wyciągnąć go za ledwie na cal z pochwy, gdy w powietrzu świsnęła strzała wypuszczona z łuku przez

Shimodę. Jeździec, trafiony w serce, zwałił się na ziemię. — Aaaiiii! — Taro, z mieczem skierowanym w bok na podobieństwo sierpa, pogonił konia i ruszył na wrogi oddział.

Jeden z trzech pozostałych przy życiu oficerów uniósł miecz i zaczął wydawać rozkazy:

- Ustawić szyk! Pierwszy szereg... bahhhgghhh...! —

105

Chwycił się za gardło, przebite następną strzałą, upuścił broń i spadł w ślad za nią.

Piechurzy rozbiegli się z krzykiem przerażenia, porzucając włócznie.

Część z nich pognąła do lasu. Mniej sprytni próbowali uciekać traktem.

Tymi zajął się Taro. W pełnym galopie ciął mieczem na lewo i prawo.

Piasek za nim zamieniał się w krwawe błoto.

Przedostatni samuraj podał tyły, lecz także padł ze strzałą w plecach.

Hide starł się z ostatnim. Jednym cięciem przełamał jego słabą obronę i trafił go prosto w szyję.

Taro zawrócił i pognął z powrotem. Jakiś ocalały piechur wyrzucił

ręce w górę, osłaniając się przed nieuchronną śmiercią, krzyknął i skonał.

Genji westchnął głęboko. Uderzył wierzchowca piętami i przejechał

wzdłuż trupów zaścielających drogę. Tyłu zginęło... Za co? Za pogwałcenie zasad etykiety? Za tłok na wąskiej drodze? Za krótką wzmiankę w dziejach? Bez uciekania się do proroczych wizji był

przekonany, że w nadchodzących czasach nie będzie najmniejszego miejsca dla tak bezmyślnych czynów. To niemożliwe.

Shimoda spojrział na pierwszego z poległych samurajów.

— Co on zrobił, że go zabiłeś?

— Powiedział: „Czasy się zmieniają”. — Hide wytarł do czysta głownię swojej broni. — A potem dodał coś obraźliwego o przeżytkach.

— Czasy nie tyle się zmieniają, co raczej gniją — mruknął Shimoda.

— Plebs coraz wyżej podnosi głowę. Siedem lat temu byłoby to wprost nie do pomyślenia. — Siedem lat temu do zatoki Edo wpłynęła eskadra amerykańskich kanonierek, dowodzona przez

komandora Perry'ego.

— Wyświadczyliśmy im przysługę. — Taro strzepnął lepka maź, przylepioną do jego miecza. — Nie muszą już dalej wędrować. I tak by zginęli, dokąd by nie poszli i z kim by nie walczyli. Banda tchórzy.

— To cudzoziemcy tak nas niszczą, nawet bez użycia broni —

zawyrokował Hide. — Już sama ich obecność sprawia, że zapominamy o tradycji.

106

Genji uważnie przypatrywał się zabitym. Dziesiąty, ostatni z nich, leżał z rozłupaną czaszką i martwym wzrokiem wpatrywał się w zimowe niebo. Prawe przedramię miał połączone z łokciem jedynie zgruchotaną kością i pasemkiem skóry. Lewa ręka była ucięta w nadgarstku. Dłoń spoczywała tuż przy stopach. Wyglądał na chłopca nie na mężczyznę.

Sądząc po twarzy, mógł mieć nie więcej niż piętnaście lub szesnaście lat.

Na szyi nosił drewniany buddyjski różaniec. Amulet nadziei. Na każdym paciorku z sandałowego drewna wyryta była maleńka swastyka, symbol nieskończoności.

— Nie oskarżajcie cudzoziemców — powiedział Genji. — Sami jesteśmy sobie winni.

Całe to wydarzenie, choć tragiczne w skutkach, miało też swoją jaśniejszą stronę. Hide, Shimoda i Taro dali popis wierności i odwagi.

Genji był rad, że tak dobrze zna się na ludzkich charakterach.

107

5

# Wizjonerzy

*Wiedza może zniewolić. Niewiedza wyzwala. Wiedzieć, kiedy trzeba i nie trzeba wiedzieć, jest tak samo ważne, jak maestria w walce.*

## Suzume-no kumo (1434)

Po pięciu dniach spędzonych w towarzystwie cudzoziemców, Heiko rozumiała ich o wiele lepiej. Zwłaszcza pana Starka. Bez trudu mogła za nim nadążyć, ponieważ mówił powoli, przeciągając głoski. Panna Gibson szczebiotała szybciej, jakby ucinając słowa. A wielebny Cromwell... Cóż, w jego przypadku Heiko rozróżniała niektóre wyrazy, lecz nie dostrzegała w nich żadnego sensu. Pan Stark i panna Gibson rozmawiali z rannym, jakby wiedzieli, o czym mowa. Ona podejrzewała jednak, że po prostu starają się być uprzejmi.

Wielebny Cromwell często drzemał. Gdy spał, oczy dziko tańczyły mu pod powiekami. Kiedy się budził, szalał i uspokajał się dopiero wtedy, gdy panna Gibson mówiła doń cichym i łagodnym głosem. Najbardziej denerwowały go wizyty doktora Ozawy. Być może lekarz swoim zachowaniem zbyt wyraźnie dawał mu do zrozumienia, co naprawdę o nim myśli.

— Jelita i żołądek zgniły mu w połowie — mówił doktor Ozawa. —

Ma skażoną krew i zniszczone organy wewnętrzne. A jednak wciąż dycha. Muszę przyznać, że jestem w kropce.

— Co on powiedział? — spytała panna Gibson.

108

— Że wielebny Cromwell ma silny organizm — odparła Heiko. —

Sam nie wie, jak to się stało, że wraca do zdrowia. Ale możemy mieć nadzieję.

Cromwell wycelował palcem w lekarza.

— *Zamiast tego, co byście mieli mówić: będzie Pan chciał, a będziemy żywi, uczynimy to albo owo.*

— Amen — powiedzieli panna Gibson i pan Stark. Doktor Ozawa popatrzył pytająco na Heiko.

— Złożył ci dzięki za opiekę, panie — wyjaśniła — i w twej intencji pomodlił się do swojego boga.

— Och... — Doktor Ozawa uklonił się Cromwellowi. — Bardzo dziękuję, szanowny cudzoziemski mnichu.

— *Synu diabelski, nieprzyjacielu wszelkiej sprawiedliwości!* Heiko nikomu o tym nie mówiła, ale jej zdaniem wielebny Cromwell wskutek choroby zupełnie stracił rozum. Tylko w ten sposób dawało się wyjaśnić jego zachowanie. Gdyby był przy zdrowych zmysłach, nie przeklinałby lekarza za to, że

chce mu pomóc.

Cudzoziemców zatem trochę już rozumiała, ale wciąż zachodziła w głowę, po co Genji ją tutaj sprowadził. Pozornie wszystko było jasne: miała dotrzymać gościom towarzystwa, służyć im za tłumaczkę i sprawić, aby pod jego nieobecność czuli się choć trochę mniej osamotnieni. Z

drugiej strony dawał jej wolną rękę do prowadzenia skrytej obserwacji. O

takiej szansie mogła tylko marzyć. I to właśnie było najdziwniejsze.

Przecież jej rolę powinien pełnić ktoś godzien zaufania. Jak Genji może jej zaufać, skoro prawie jej nie zna? O nic nie pytał, choć przecież miała starannie przemyślaną przeszłość. Fałszywe miejsce urodzenia, rodziców, przyjaciółki z dzieciństwa, gejsze, które ją kształciły, i wspomnienia rozmaitych miejsc i zdarzeń. Wszystko po to, by ukryć najważniejszą prawdę, że jest szpiegiem na usługach tajnej policji shogunatu. Oczekiwała na pytania, tymczasem Genji sprawiał wrażenie, że go to w ogóle nie obchodzi. W zwodniczym świecie intryg, zdrady i napaści jedynie dzieci były tymi, za które się podawały. Jeżeli Genji naprawdę jej wierzy, to nie zna się na ludziach. Podejrzywała, że to niemożliwe, i bezustannie dochodziła do tego samego wniosku.

109

Wie, kim naprawdę jest.

Ale skąd? To ci zagadka..., myślała Heiko. Może rzeczywiście w klanie Okumichi w każdym pokoleniu rodzi się jasnowidz? Jeśli potrafi wejrzeć w przyszłość, to już dawno zna odpowiedź na dręczące mnie pytanie: czy go zdradzę? Chyba nie, bo mi zaufał. Chociaż z drugiej strony... Może uznał, że nie uniknie zdrady i z fatalistycznym spokojem czeka na swój los?

Czysta ironia. Jej zdenerwowanie i cała podejrzliwość brały się z zupełnej bez troski kochanka. Wciąż nie była pewna, czy też jej nie zwodził. Czy za maską uśmiechu nie chowa obłudy? Przez pięć dni nie zamajaczył przed nią nawet cień odpowiedzi. Nie wiedziała, co począć.

— Miedziaka za twoje myśli. — Panna Gibson uśmiechnęła się do niej. Siedziały w pokoju wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec pałacu. Ponieważ dzień był wyjątkowo piękny, rozsunięto wszystkie drzwi i komnata zmieniła się w werandę.

— Miedziaka? — powtórzyła Heiko.

— To nasza najdrobniejsza moneta.

— Nasza nazywa się *sen*. — Zrozumiała, że panna Gibson wcale nie chciała jej płacić. — Pyta pani, o czym teraz myślę?

Emily znów się uśmiechnęła. Brzydkie Japonki uśmiechały się o wiele częściej niż ładne, aby w ten sposób chociaż trochę przesłonić swą szpetotę. Widać to samo robią też Amerykanki. Panna Gibson uśmiechała się niemal bez przerwy. Heiko nie miała jej tego za złe. Uśmiech podkreślał jej osobowość i pozwalał zapomnieć o wadach urody. Słowo

„wady” było najłżejszym określeniem wyglądu tej biednej dziewczyny.

Heiko zdołała jednak poznać ją już trochę lepiej i wiedziała, że we wstrętnym ciele kryje się łagodna i poczciwa dusza.

— To byłoby niegrzeczne — wyjaśniła jej panna Gibson. — Kiedy ktoś mówi: „Dam ci miedziaka za twoje myśli”, oznacza to, iż zauważył, że jesteś zamyślona i jeśli zechcesz, to z ochotą wysłucha twoich zwierzeń. Ot, i wszystko.

— Och... dziękuję. — Heiko uśmiechała się równie swobodnie.

Nawiasem mówiąc, na tym właśnie polegał sekret jej uroku. Na ogół

słynne gejsze z Edo bywały chłodne i wyniosłe. Heiko, choć najpiękniejsza z nich, uśmiechała się jak zwykle 110

wiejskie dziewczę. Lecz tylko do wybrańców. W ich obecności zdawała się nie zwracać uwagi na swoją urodę i oddawała im całe serce.

Oczywiście była to tylko gra, którą wszyscy znali, ale nikomu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, liczni klienci chętnie płacili za jej uśmiech. Tylko Genji dostawał go za darmo. Przy nim nie udawała.

Ciekawe, czy to zauważył? Jeżeli tak, to już na pewno wie, że jest w nim zakochana. Może dlatego jej zaufał? Masz ci los, i znów to samo. Co on właściwie o niej myśli?

— Zastanawiałam się — powiedziała na głos — nad pani sytuacją.

Musi być pani bardzo ciężko, panno Gibson. Narzeczony leży ranny. Jest pani z dala od domu i rodziny. To trudne dla kobiety.

— Masz rację, Heiko. Bardzo trudne. — Emily zamknęła książkę, którą trzymała na kolanach. Sir Walter Scott był ulubionym autorem jej matki. Zaczytywała się jego powieściami, ale najbardziej przypadł jej do gustu *Ivanhoe*. Po sprzedaży gospodarstwa Emily zatrzymała na pamiątkę tylko medalion i tę właśnie książkę. Od tamtej pory niezliczoną ilość razy wracała do pewnych fragmentów. Czytając je, słyszała głos matki i popłakiwała cicho w samotności — w szkole, w domu misyjnym, pod pokładem statku i teraz tu, na obcej ziemi, daleko od grobów tych, których kochała. Dobrze, że nie płakała teraz, tuż przed przyjściem Heiko. — Proszę cię, mów do mnie po prostu Emily. Tak będzie lepiej, boja przecież zwracam się do ciebie po imieniu. Gdybym знаła twoje nazwisko, też tytułowałabym cię „panną”...

— Nie mam nazwiska — odpowiedziała Heiko. — Jestem za nisko urodzona.

— Słucham? — Emily była zupełnie zbита z tropu. Zabrzmiało to niczym wyznanie saskiego niewolnika *zfoanhoe*. Ale bohaterowie książki żyli stulecia temu, w mrocznych czasach europejskiego średniowiecza. — Zdawało mi się, że służebne mówią do ciebie jakoś dłużej...

— Owszem. Mayonaka-no Heiko. To moje pełne imię, którego używam jako gejsza. Znaczący „Głęboka Noc”.

— Co to jest geisia?

— Gejsza — wolno powiedziała Heiko.

111

— Gejsza — powtórzyła Emily.

— Bardzo dobrze — pochwaliła Heiko. Przypomniała sobie, co przeczytała kiedyś w angielskim słowniku. — W waszej mowie najbliższe określenie to chyba „ prostytutka”.

Emily aż zamurowało. Z przerażenia nie mogła wykrztusić ani słowa, *foanhoe* spadł z jej kolan. Pochyliła się, by go podnieść, szczęśliwa, że przez chwilę nie patrzy na Heiko. Myśli mąciły jej się w głowie. Przez cały czas była przekonana, że ich powabna gospodyni jest damą wysokiego rodu, może nawet kuzynką księcia. Widziała przecież, jakim poważaniem cieszy się wśród służby i samurajów. Chyba że jest to podszyte nieuchwytną drwiną...

— Tłumacz na pewno coś pomylił — powiedziała, wciąż czerwona z zakłopotania.

— Bardzo możliwe — podchwyciła Heiko, w równym stopniu zdumiona zachowaniem panny Gibson, to znaczy już teraz Emily, co panna Gibson jej słowami. Nie rozumiała, co się stało.

— Bez wątpienia — z wyraźną ulgą przytaknęła Emily. Dla niej słowo

„ prostytutka” kojarzyło się tylko z widokiem przeżartych przez alkohol, schorowanych kobiet, które szukały czasem schronienia w domu misyjnym w San Francisco. Ta elegancka młoda dziewczyna, dziecko właściwie, zupełnie nie pasowała do tego wizerunku.

Heiko zastanawiała się, jak opisać dokładnie po angielsku złożoną hierarchię „dam do towarzystwa”. Tutaj także istniał pewien podział

klasowy. Na samym dole tłoczyły się najzwyklejsze dziewczki, przeznaczone wyłącznie do uciech cielesnych. Tych było najwięcej w murach Yoshiwary. Przybywały ze wsi, zmuszane do takiej pracy przez rodziny, które wpadły w długi. Po przeciwnej stronie, już na samym szczycie, stały gejsze pokroju Heiko, starannie wybrane i od dzieciństwa kształcone w swojej sztuce. One same decydowały o tym, z kim i w jaki sposób spędzą wieczór. Oprócz słonej zapłaty, klient musiał uzyskać ich zgodę na coś więcej niż zwykłą rozmowę. A pomiędzy tymi dwoma skrajnościami mieścił się szeroki wachlarz usług, cen, talentów i urody.

Heiko nie wiedziała, czy o tym wszystkim mówić, bo Emily wyglądała na mocno zmieszaną.

112

Początkowo myślała, że życie w Ameryce nie różni się aż tak bardzo od życia w Japonii. Słowa



mogą być inne, bo inne są języki, lecz ich znaczenie musi być podobne, choćby dlatego, że na całym świecie ludzie mają te same potrzeby i zachcianki. Teraz jednak była o wiele mniej pewna swoich racji.

— W moim kraju wykształcone damy zostają guwernantkami —

powiedziała Emily, wciąż próbując złagodzić wymowę słów Heiko. —

Taka guwernantka dba o pańskie dzieci, uczy je odpowiednich manier i czasami udziela lekcji z wybranych przedmiotów. Może to miałaś na myśli?

— Gejsza na pewno nie jest guwernantką — odparła Heiko. — To dziewczyna do towarzystwa, tyle że wysokiej klasy. Nie znam odpowiedniego angielskiego słowa. Musisz mnie go nauczyć.

Emily spojrzała jej prosto w oczy. Jako chrześcijanka musi spełnić ciężący na niej obowiązek, choćby prawda była najbardziej bolesna.

— Nie mamy takiego słowa, Heiko — powiedziała. — W

chrześcijańskich krajach taki zawód spotyka się z powszechną pogardą.

Co gorsza, jest niezgodny z prawem.

— W Ameryce nie ma prostytutek?

— Są — westchnęła Emily — bo natura ludzka jest ułomna. Ale kryją się przed policją i szukają wsparcia i ochrony wśród przestępców. Krócej żyją, bo wciąż obcuja ze światem gwałtu, chorób i używek. — Wzięła głęboki oddech. Każdy związek pozamałżeński już sam w sobie jest grzechem, lecz są przecież różne rodzaje grzechu. — Czasem bogaty i wpływowy człowiek ma metresę, czyli kobietę, którą kocha, lecz która nie jest jego żoną w świetle prawa i przed obliczem Boga. Może

„metresa” jest tu właściwszym słowem niż „ prostytutka”?

Heiko westchnęła w duchu. „Metresa” bardziej pasowała jej do

„konkubiny”, lecz w gruncie rzeczy oba określenia były równie odległe od „gejszy”, co „ prostytutka”. Zerknęła ukradkiem na Emily. Skąd u niej to dziwne zachowanie? Może sama kiedyś była prostytutką i teraz wstydzi się o tym rozmawiać? Amerykańską gejszą na pewno być nie mogła. Choćby miała rozliczne talenty i wiedzę, nic nie mogło przesłonić jej strasznej szpetoty.

113

— Całkiem możliwe — powiedziała. — Pan Genji wszystko nam wyjaśni po powrocie. Jest mądrzejszy ode mnie.

Emily zamarła ze zgrozy. Zanim jednak otworzyła usta, by coś odpowiedzieć na tę gorszącą propozycję, do pokoju wszedł brat Matthew.

— Brat Zephaniah cię wzywa — powiedział.

— Twierdzisz zatem, że mój stryj już od czterech dni siedzi zamknięty w zbrojowni? — Genji z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Opat Sohaku siedział naprzeciw niego wyraźnie zmieszany.

— Tak, panie — odparł. — Już trzy razy chcieliśmy go stamtąd wyciągnąć. Za pierwszym dostałem w pałę. — Wskazał na fioletowy siniec, szpecący mu czoło. — Gdyby miał drewnianego użył stalowego miecza, zaoszczędziłby mi wielkiej hańby.

— Nie bądź dla siebie tak surowy, wielebny opacie. Sohaku ciągnął

ponuro:

— Za drugim razem poturbował czterech moich ludzi. To znaczy...

mnichów. Jeden z nich wciąż nie odzyskał przytomności, pewnie się nie wyliże. Za trzecim razem podeszliśmy uzbrojeni w łuki sklecone z młodych pędów bambusa. Marne wprawdzie, lecz wystarczające, żeby go pokonać. Przywitał nas, siedząc roześmiany na beczkach z prochem, z zapalonym lontem w ręku. Od tamtej pory daliśmy spokój.

Genji siedział w namiocie na niewielkim podium, jakieś pięćdziesiąt kroków od zbrojowni. Mnisi, którzy akurat nie pełnili warty, przykucnęli półkolem wokół niego. Przypominali raczej samurajów czekających na rozkazy. Pół roku temu pan Kiyori w tajemnicy odesłał część swoich rycerzy do klasztoru. Oficjalnie zerwali kontakty ze światem na znak protestu przeciw obecności zamorskich misjonarzy z sekty Prawdziwego Słowa. Oczywiście chodziło tylko o to, by zmylić przeciwnika. Widząc ich tu i teraz, nikt by nie uwierzył, że to uduchowieni mnisi, oderwani od ziemskich trosk.

— Muszę z nim porozmawiać. — Genji podniósł się z siedziska i poszedł do zbrojowni. Hide i Shimoda jak dwa cienie 114

postępowali za nim. Z drugiej strony barykady dobiegały jakieś pomruki.

— Stryju, to ja, Genji. Wchodzę. — Wskazał na zaporę. Samuraje natychmiast wzięli się do dzieła. W zbrojowni zaległa głucha cisza.

— Bądź ostrożny, panie — szepnął Hide. — Taro mówił nam, że pan Shigeru zupełnie oszalał.

Genji odsunął drzwi. Ze środka buchnął tak ohydny zaduch, że mimowolnie cofnął się pół kroku.

— Wybacz, panie, że cię nie ostrzegłem. — Sohaku podsunął mu perfumowaną szarfę. — Chyba przywykłem już do tego.

Księżę odprawił go ruchem dłoni. Chętnie zakryłby nos i usta, ale obawiał się, że Shigeru nie pozna go z zasłoniętą twarzą. Ponownie stanął

w drzwiach zbrojowni, choć smród wykręcał mu żołądek. Shigeru siedział w kucki niczym małpa, na wpół schowany w cieniu, cały wymazany własnymi odchodami. Tylko dwa długie miecze, które

trzymał w dłoniach, błyszczały tak, jakby świeciły własnym światłem.

— Ogromnie mi przykro, że widzę cię w tak nędznej kondycji —

przemówił spokojnie Genji. — Z jednej strony jestem twoim bratankiem, lecz z drugiej lennym panem i władcą Akaoki. Jako bratanek musiałem cię odwiedzić. Jako twój pan nie będę prowadził rozmowy, stojąc po kolana w brudzie. Jako bratanek proszę cię, abyś nieco bardziej zważał na swoje zdrowie. Jako pan rozkazuję ci stawić się przede mną za godzinę i wyjaśnić tę całą niemiłą sytuację.

Odwrócił się i powoli zaczął schodzić po schodach. Postawił wszystko na jedną kartę. Jeśli Shigeru teraz nie zada mu ciosu w plecy, jest spora szansa, że się dogadają. Że jego rozkaz będzie wysłuchany.

Shigeru patrzył za malejącą postacią bratanka, odwróconego do niego plecami! Teraz! Nadszedł czas, by oczyścić krew rodu Okumichi. Shigeru napiął i rozluźnił mięśnie. Cicho zeskoczył ze swojej grzędy. Jego gibkie ciało poruszało się z kocią zręcznością. Ale tylko ciało. Znękany umysł

błądził zupełnie gdzie indziej i podążał swym własnym, mocno chwiejnym rytmem.

115

Shigeru był ze swoim ojcem. Jechali konno skrajem wysokiego klifu na przylądku Muroto. Pan Kiyori wyglądał młodziej niż Shigeru w zbrojowni, a Shigeru wydawał się nie starszy od swojego syna w dniu jego tragicznej śmierci.

— Będiesz mówił o rzeczach przyszłych — odezwał się pan Kiyori.

— Będiesz widział je tak wyraźnie, jak teraz widzisz morskie fale.

— Kiedy, ojcze? — spytał Shigeru. Nie mógł się już doczekać. Niech sobie Yorimasa weźmie całą schedę!, pomyślał o starszym bracie. Niech zostanie władcą Akaoki. Jeśli to ja mam dar, będą mnie podziwiali tak jak naszego ojca. A wtedy Yorimasa na pewno spuści z tonu...

— Nieprędko. Na twoim miejscu bym się z tego nie cieszył.

— Dlaczego? — Shigeru wyduł usta. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. To oznaczało, że Yorimasa wciąż będzie miał nad nim władzę.

— Im szybciej wejrzę w przyszłość, tym lepiej.

Ojciec przyglądał mu się długą chwilę, zanim znowu przemówił:

— Naucz się cierpliwości, Shigeru. Przyjdzie to, co przyjść musi, nawet się nie spostrzeżesz kiedy. Uwierz mi, nie zawsze dobrze jest wiedzieć.

— Jak to? — zaperzył się Shigeru. — Wtedy nikt mnie nie zaskoczy!

— To nieprawda. Znajdzie się ktoś taki, bo choćbyś wiedział bardzo dużo, nigdy nie dowiesz się wszystkiego.

— Kiedy, ojcze? Kiedy ujrzę kształt przyszłych rzeczy? Ojciec znów popatrzył na niego w milczeniu. Shigeru

nabrał przekonania, że dzisiaj niczego już więcej nie usłyszy. Pomylił się.

— Ciesz się młodością, synu. Będziesz bardzo szczęśliwy. W kwiecie wieku pokochasz piękne, mądre i cnotliwe dziewczę. Co więcej, ona też na zawsze cię pokocha. — Ojciec wciąż się uśmiechał, chociaż łzy ciekły mu po twarzy. — Doczekasz się krzepkiego syna i dwóch prześlicznych córek.

Shigeru słuchał tylko jednym uchem. Miał zaledwie sześć lat i wcale nie myślał o miłości. Nie marzył o synach i córkach. Na razie chciał być sławnym samurajem jak jego przodkowie.

— W ilu bitwach zwyciężę, ojcze? Będą się mnie bali?

116

— Wygrasz niejedną bitwę, Shigeru. — Ojciec otarł łzy rękawem kimona. — Będziesz budził powszechną grozę. Będziesz straszny.

— Dziękuję, ojcze! — Shigeru był uszczęśliwiony. Wreszcie usłyszał

przepowiednię! W duchu obiecał sobie, że na zawsze zapamięta ten piękny dzień, szum fal, szelest wiatru i chmury płynące po niebie.

— A teraz mnie posłuchaj, synu. To bardzo ważne. — Ojciec wyciągnął rękę i poważnym ruchem położył mu dłoń na ramieniu. —

Kiedyś, gdy będziesz w transie, ktoś przyjdzie do ciebie z wizytą. W

pierwszej chwili zechcesz go zabić. Nie rób tego. Zatrzymaj się. Spójrz w głąb siebie. Przypatrz się temu, co tam zobaczysz. — Mocniej zacisnął

palce. — Zapamiętasz, co ci powiedziałem?

— Tak, ojcze. Na pewno. Obiecuję — wyjąkał Shigeru, nieco przestraszony zachowaniem Kiyoriego.

Teraz, kiedy zamierzał wbić miecz w plecy bratanka, przypomniał

sobie tamtą obietnicę. Za chwilę ostrze długości ręki miało przebić skórę, rozciąć kręgosłup, przedziurawić serce i wyjść piersią. Shigeru spojrział w nagle pojaśniałą głębię swego umysłu i

zobaczył coś, czego się najmniej spodziewał.

Pustkę.

Zatrzymał się. Po chwili zrobił jeszcze jeden krok w stronę progu.

Dopiero teraz Genji się odwrócił. Od jego wyjścia minął zaledwie moment.

Shigeru słuchał. Nic nie słyszał, z wyjątkiem cichych kroków bratanka i śpiewu ptaków gdzieś w gałęziach. Spojrzał. Zobaczył wewnątrz zbrojowni, plecy Genjiego i mały fragment dziedzińca przed klasztorem.

Wizje zniknęły.

Ale dlaczego? Czy sprawił to Genji swym przybyciem? Tego Shigeru jeszcze nie wiedział. Zresztą nieważne. Żądza mordu odeszła wraz z przywidzeniami.

Wypuścił miecze z rąk i wyszedł przed zbrojownię. Dwaj samuraje, strzegący drzwi po obu stronach, cofnęli się i pokłonili. Zauważył, że mimo to patrzą nań uważnie i wciąż zaciskają dłonie na rękojeściach mieczy. Poszedł na tyły kuchni, do łaźni. Po drodze zaczął się rozbierać.

117

— Gdzie Sohaku? — krzyknął do samurajów, którzy szli tuż za nim.

— Powiedzcie mu, że chcę pożyczyć ubiór na rozmowę z księciem!

— Tak, panie — odpowiedział jeden z wojowników, nie zwolniwszy kroku.

Shigeru zatrzymał się i samuraje także stanęli.

— Jazda, ruszajcie się! — Rzucił na ziemię ostatni strzęp ubrania.

Trzeba to będzie spalić. Żadną siłą nie da się doprać takich nieczystości.

Szeroko rozłożył ręce. — No, co z wami? Myślicie, że w środku zimy ucieknę wam całkiem nagi? W dodatku utyłany gównem! Tylko wariat byłby do tego zdolny. — Roześmiał się i poszedł dalej. Nawet nie spojrzał, czy spełnili jego polecenie.

Wszedł do łaźni i bez zdziwienia zerknął na balię z parującą wodą.

Genji zawsze był optymistą.

Shigeru umył się starannie trzy razy, zanim wszedł do balii. Dopiero wtedy, gdy był pewny, że splukał z siebie wszystkie nieczystości, z westchnieniem ulgi zanurzył się w gorącej wodzie. Jak długo się nie kąpał? Dni, tygodnie, miesiące? Nie pamiętał. Miał ochotę posiedzieć w łaźni o wiele dłużej i rozkoszować się przyjemnym ciepłem. W innych okolicznościach na pewno by to zrobił. Ale

książę czekał. Shigeru dźwignął się z wody.

Obłoki pary buchały z jego ciała, jakby wyszedł z wnętrza wulkanu.

Na ziemi stała para nowych sandałów. Włożył je, owinał się ręcznikiem i poszedł do mieszkalnej części klasztoru. Dwóch mnichów pomogło mu się przebrać w pożyczone ubranie. Na kimono założył usztywnianą w ramionach narzutkę *kataginu*. Nogi wsunął w szerokie spodnie *hakama*.

Ceremonialny strój doskonale pasował na audiencję. Shigeru był prawie gotów.

— Gdzie moje miecze? Mnisi spojrzeli po sobie.

— Nie wolno nam ich było przynieść, panie — powiedział w końcu któryś.

Obaj z wyraźnym napięciem czekali na wybuch gniewu. Lecz Shigeru z rezygnacją kiwnął głową. Oczywiście. Po tym, co uczynił, nikt nie pozwoliłby mu iść z bronią do księcia. Ruszył w ślad za mnichami.

118

— Stać! — rozkazał Genji.

Shigeru spełnił polecenie. Może nie wpuszczą mnie nawet do namiotu?, pomyślał. Rozejrzał się, ale nie znalazł miejsca egzekucji. To zresztą bez znaczenia. Genji nie musi uciekać się do takich formalności.

Wystarczy, że da znak dwóm czekającym w pobliżu samurajom, a w mig zajmą się winowajcą.

Genji popatrzył na opata.

— Kto pozwolił moim wasalom przychodzić do mnie półnago?

— Panie — jęknął Sohaku. — Błagam cię o rozwagę. Ten człowiek zabił i poturbował pięciu moich najlepszych ludzi.

Genji w milczeniu spoglądał w przestrzeń.

Sohaku nie miał zatem wyboru. Ukłonił się i skinął na Taro. Ten natychmiast pobiegł do zbrojowni i wrócił z dwoma mieczami: długim katana i krótszym wakizashi. Z ukłonem podał broń stryjowi księcia.

Shigeru zatknął je za pas. Sohaku, nie wstając z miejsca, nieznacznym ruchem sprężył się do skoku. W razie ataku, chciał zasłonić księcia własnym ciałem. Hide i Shimoda miałiby dość czasu, by wyciągnąć miecze i zabić napastnika lub przynajmniej zatrzymać go na tyle, by reszta mnichów mogła się na niego rzucić. Sohaku, chociaż był opatem klasztoru zen, w zasadach tej religii nie znalazł pocieszenia. Buddyzm zen uczył, jak żyć i umierać. Nie mówił nic o życiu pozagrobowym.

Sohaku zatem, gotów na przyjęcie śmierci, zmówił w duchu modlitwę buddystów honganji. *Namu Amida butsu*. Niech mnie pobłogosławi Budda Nieskończonej Światłości. Niech Miłosierny wskaże mi drogę do Czystej Ziemi. Modląc się, nawet na ułamek chwili nie spuszczał oka z wchodzącego do namiotu Shigeru.

Stryj klęknął na macie rozłożonej przed podium i skłonił się głęboko.

Widział bratanka po raz pierwszy od czasu, gdy ten przejął ster rządów w Akaoce. Zwykle takie spotkania przebiegały w dużo wznioślejszej atmosferze, połączone z wymianą darów i przysięgą wierności, składaną przez wasala w imieniu całej rodziny. Ale w tych warunkach było to raczej niemożliwe. Po pierwsze, Genji został władcą Akaoki, Shigeru bowiem otruł własnego ojca, czyli poprzedniego pana. Po drugie, ten sam Shigeru nie miał już rodziny, bo wszystkich zamordował

119

trzy tygodnie temu. Trwał więc w niskim pokłonie, czekając, co dalej.

Podejrzewał, że go będą sądzili. Nie może być inaczej. Z rezygnacją czekał na wyrok śmierci.

— Cóż, stryju... — łagodnie zaczął Genji. — Może najpierw załatwmy najważniejsze sprawy, byśmy potem mogli spokojnie pogadać.

— Nieco głośniejszym, bardziej stanowczym głosem spytał:

— Okumichi Shigeru! Co sprawiło, że zawładnąłeś klasztorną zbrojownią?

Shigeru podniósł wzrok i otworzył usta ze zdziwienia. Dlaczego Genji mówi o tak przyziemnych sprawach? Księżę skinął głową, jakby usłyszał

odpowiedź.

— Rozumiem. A dlaczego nabrałeś podejrzeń, że była źle strzeżona?

— Panie... — zdołał wykrztusić Shigeru przez ściśnięte gardło.

— Dobrze. Rad jestem, że tak się troszczysz o nasze uzbrojenie.

Powinniśmy brać z ciebie przykład. A teraz przejdźmy do następnej sprawy. Jak wiesz, przejąłem niepodzielną władzę w naszym księstwie.

Wszyscy lennicy złożyli mi przysięgę. Pytam zatem: czy ty także zamierzasz to uczynić?

Shigeru powiódł wzrokiem po zebranych. Podzielali jego zdumienie.

Zwłaszcza Sohaku wyglądał, jakby zaraz miał paść na zawał serca.

Genji pochylił się do przodu.

— Zrób, co należy, stryju, i kończymy — powiedział ciszej. Shigeru ponownie skłonił się do samej ziemi. Uniósł głowę i sięgnął ręką do miecza.

Wszyscy zerwali się jak jeden mąż i postąpili krok w jego stronę.

Wszyscy, z wyjątkiem księcia.

Genji odezwał się gniewnie:

— Przyszliście tutaj, żeby studiować zen, oczyścić umysł i ujrzeć światło prawdy? Śmiechu warte! Wierciecie się jak żebracy chorzy na czyraki! Co wam dało minione pół roku? — Popatrzył na nich z pogardą, aż wrócili na swoje miejsca.

Shigeru wyjął miecze zza pasa, ukłonił się, oburącz uniósł je nad głowę i na kolanach przysunął się do podwyższenia. Nie miał nic więcej, co mógłby ofiarować swemu panu. Nie wiedział nawet, co powiedzieć, więc milczał.

120

— Dziękuję — rzekł Genji. Odebrał broń z rąk stryja i położył ją obok siebie, po lewej stronie. Z prawej wziął drugą parę mieczy. Shigeru od razu je rozpoznał. Były wykute jeszcze w okresie Kamakura przez słynnego kowala Kunimitsu. Nikt ich nie nosił od czasu klęski pod Sekigaharą, czyli od dnia, kiedy wyjęto je ze stygnących rąk Nagamasy.

— Nadchodzą niebezpieczne czasy. — Genji wyciągnął ręce i podał

Shigeru oba miecze. — Los upomni się o spłatę długów. Staniesz w bitwie u mego boku?

Shigeru nie mógł zapanować nad wzruszeniem. Kiedy odbierał święty oręż, dłonie drżały mu jak w febrze.

— Tak jest, panie. — Uniósł miecze wysoko nad głowę i pokłonił się przed księciem.

Sohaku poczuł, że krew ścina mu się w żyłach. Pan Genji właśnie przyjął przysięgę wierności od człowieka, którego krwawe czyny doprowadziły stary ród na skraj upadku. Od zbrodniarza, który zamordował ojca, żonę i syna. Od najgorszego i najgroźniejszego szaleńca w całej Japonii.

Tym jednym nierozważnym czynem pan Genji skazał na zagładę siebie i wszystkich swoich sojuszników.

Emily siedziała przy łóżku Cromwella. Trzymała w dłoniach jego chłodną i ciężką rękę. Wydawała jej się jędrniejsza niż godzinę temu.

Twarc rannego była spokojna i gładka niczym buzia śpiącego noworodka.

I szara jak rzeźba z kamienia. Leżał okryty pachnącym prześcieradłem. W



czterech rogach komnaty nieustannie płonęły kadzidła z sandałowego drewna. Nic jednak nie mogło stłumić smrodu gnijącego ciała. Upiorny zaduch w połączeniu z leśnym aromatem zatykał dech i tworzył w ustach wstrętne lepki klajster. Drżąca Emily z trudem walczyła z mdłościami, raz po raz głośno przełykając ślinę.

— Doznałem objawienia — powiedział Cromwell. Nie czuł już bólu.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie czuł ciała. Z pięciu zmysłów zachował tylko dwa. Nad sobą widział świetlistą twarz Emily. Jej włosy, migoczące niczym płynne złoto, tworzyły jasną aureolę. Słyszał grzmiące kroki anielskich zastępów. — Nie umrę od tej rany.

121

— Jesteś błogosławiony. — Emily uśmiechnęła się do niego. Było jej lżej na sercu, że wreszcie znalazł jakieś pocieszenie. Zeszłej nocy krzyczał w agonii. Teraz wydawał się spokojny i odmieniony.

— Aniołowie są inni od nas — przekonywał ją Cromwell. — To wyższe istoty, o pięknych białych skrzydłach. Nie... nie tak. Są niepojęci.

Jaśnieją bardziej niż słońce. Grzmią. Ogłuszają. — Wreszcie zrozumiał w pełni słowa Apokalipsy. — *Od dymu, i od ognia, i od siarki. Tak będzie, jak to napisane. Z mężobójstw swoich, ani z czarów swoich, ani z wszeteczeństw swoich, ani ze złodziejstw swoich. To miejsce jest przeklęte wraz z nimi. Kiedy nadejdą aniołowie, sprawiedliwi będą wywyższeni, grzesznicy zaś spaleni, poćwiartowani i pogrzebani.*

Emily słuchała go ze zdumieniem, bo te groźne słowa wypowiadał

tonem zwyczajnej, cichej pogawędki. Przedtem w podobnych sytuacjach zachowywał się całkiem inaczej. Krzyczał, czerwieniał, pot występował

mu nagle na czoło, wyłupiaste oczy wychodziły z orbit, na szyi i skroniach pęczniały grube żyły, pluć śliną i toczył z ust jadem i gorącym oddechem. Teraz był całkowicie spokojny.

— W takim razie módlmy się za grzeszników — powiedziała Emily.

— Nikt z nas bowiem nie jest wolny od grzechu.

Lucas Gibson miał farmę w Apple Valley, piętnaście mil na północ od Albany, w stanie Nowy Jork. Na pogrzebie dziadka w Baltimore poznał

swoją odległą kuzynkę z Nowego Orleanu, Charlotte Dupay. Lucas był

przystojny, flegmatyczny i zadziwiająco dorosły jak na swoje lata, jako że liczył sobie zaledwie dwadzieścia dwie wiosny. Charlotte, wzorem większości dziewcząt z południa, czytała za dużo Waltera Scotta i była romantyczną czternastolatką o pięknych złotych włosach. Myślała, że spotkała swojego Ivanhoea jako jego świeżo poślubiona żona objęła w posiadanie sto pięćdziesiąt akrów

jabłek, prosiąt i kurcząt. Ich pierwsze dziecko, Emily, urodziło się w dziewięć miesięcy i jeden dzień po weselu.

Charlotte zdążyła już porzucić dziewczęce marzenia o szlachetnym saskim rycerzu. Teraz, niemal wbrew sobie, większą miłością darzyła złego lecz namiętnego templariusza, de Bois-Guilberta.

122

Kiedy Emily miała czternaście lat, jej ojciec zginął w sadzie. Podobno spadł z drabiny. Było to co najmniej dziwne, bo na ogół wszyscy chwalili jego zręczność i nigdy przedtem, przynajmniej za pamięci córki, nie przytrafił mu się żaden wypadek. Zwłoki również wyglądały dość podejrzanie. Czaszka była zgnieciona z tyłu z taką siłą, że połamane kości wbiły się do środka. Wprawdzie można się zabić, spadając z wysokości czterech i pół metra, ale żeby tak mocno uderzyć o ziemię...? Tak czy owak, stało się. Ojciec nie żył, matka została wdową, a Emily i jej dwaj młodszy bracia — pólsierotami.

Zanim grób Lucasa na dobre porósł trawą, zarządca farmy zaczął

coraz częściej spędzać wieczory w sypialni Charlotte. Ślub co prawda odbył się dopiero pół roku później, po żałobie, lecz panna młoda miała już pokaźny brzuch. Koszmar zaczął się zaraz potem. Zamiast jęków rozkoszy, co noc z jej pokoju dobiegały głośnie okrzyki bólu.

— Nie! Proszę cię, Jed! Nie! Przestań! Błagam!

Emily i jej bracia z płaczem tulili się w jednym łóżku. Nigdy nie słyszeli głosu ojczyma, tylko przerażony szloch matki. Czasami, rankiem, twarz Charlotte nosiła ślady ciężkich razów. Matka usiłowała ukryć to przed dziećmi za pomocą pudru lub bandaży. Opowiadała, że się potknęła w ciemnościach.

— Straszna ze mnie niezdara — mówiła.

Ale z czasem było jeszcze gorzej i żaden bandaż, puder ani kłamstwo nie mogły ukryć prawdy. Jed dwa razy złamał jej nos. Ciągle chodziła z rozbitymi i spuchniętymi ustami. Straciła jeden z przednich zębów.

Bywały dni, że kulała, i takie, że nie wstawała z łóżka. Dziecko przyszło na świat martwe. W ciągu roku z pięknej kobiety zmieniła się w starą wiedźmę.

Nigdzie ich nie zapraszano. Sąsiedzi przestali u nich bywać. W

okresie zbiorów narzekali na brak rąk do pracy. Sad, który niegdyś służył

z najśłodszych jabłek w całej okolicy, z wolna umierał.

A potem ojczym wziął się za nich.

Jej bracia ciągle obrywali cięgi grubym skórzanym pasem. Pośladki mieli pokrwawione. Kiedy nie

mogli ustać na nogach, Jed przywiązywał

ich do beczki po jabłkach i bił dalej. Karani byli za lenistwo, za opieszałość, za to, że nie nakarmili kurcząt 123

albo też za to, że je przekarmiali, za zgniłe jabłka w pełnej beczce, i tak dalej. Czasami trudno było pojąć, za co. Ojczym się z tego nie tłumaczył.

Lecz nigdy nie tknął pasierbicy. Gdy opatrywała im rany, bracia pytali ją dlaczego? Czym sobie na to zasłużyła? Nie wiedziała. Strach mieszał

się w jej sercu z nieuzasadnionym poczuciem winy.

W przeddzień swoich piętnastych urodzin była sama w sypialni.

Bracia zostali na tydzień zamknięci na strychu za jakieś przewinienie.

Dwa dni temu przestali płakać. Matka leżała w łóżku z gorączką.

Dokuczała jej stara, niezaleczona rana. Emily przebrała się w nocną koszulę i w tej samej chwili zobaczyła stojącego w progu ojczyma. Od jak dawna ją obserwował? A może widział ją nago? Ostatnio chodził za nią częściej, niż powinien. Oczy błyszczały mu jak u chorego.

— Dobranoc — powiedziała i weszła do łóżka. Od dawna prosił ją, żeby mówiła mu po prostu „Jed”. Niemądrze było go nie słuchać, ale ona najzwyczajniej w świecie czuła wstręt do tego imienia. Zamknęła oczy, modląc się po cichu, żeby sobie poszedł. Dotąd zawsze tak robił.

Tym razem został.

A kiedy było już po wszystkim, przygarnął ją i zaczął szlochać. Co mu się stało? Nie wiedziała. Czuła się skrzywdzona. Ale nie płakała. Nie mogła. Też nie wiedziała dlaczego.

Chyba zasnęła, bo gdy otworzyła oczy, w migotliwym blasku świecy zobaczyła spuchniętą i niekształtną twarz matki.

— Emily... Moja mała najśłodsza Emily... — zawodziła Charlotte.

Emily spojrzała w dół i zobaczyła, że leży w kałuży krwi. Ktoś ją zabił? Wcale się tym nie przeraziła. Wręcz przeciwnie, uznała to za wybawienie.

Matka obmyła ją ciepłym ręcznikiem i ubrała w najlepszą niedzielną sukienkę. Emily dawno jej nie nosiła, bo nie chodziła do kościoła.

Sukienka była trochę ciasna na piersiach i w biodrach, lecz to w ogóle jej nie przeszkadzało. Ojcu zawsze się w niej podobała.

— Idź na farmę Partonów — powiedziała matka — i oddaj ten list pani Parton.

Emily błagała ją, żeby poszły razem i nigdy nie wracały. Prosiła też, aby uwolnić jej braci ze strychu.

— Tom i Walt... — westchnęła matka i smutno pokiwała głową. —

Muszę zapłacić za moje grzechy. Boże, przebacz, nigdy nie chciałam krzywdy niewinnych. To tylko miłość. Po prostu byłam ślepo zakochana.

Zarzuciła córce na ramiona swoją najlepszą pelerynę i wysłała ją w drogę. Była noc. Księżyc już zaszedł i tylko jasne gwiazdy oświetlały jej drogę.

Kiedy dotarła do farmy Partonów, niebo poczerwieniało. Obejrzała się, zaciekawiona, dlaczego słońce wschodzi na zachodzie. Jej dom stał w ogniu. Krwawe płomienie strzelały wysoko w górę.

Partonowie wzięli ją do siebie. Była to miła starsza para, pamiętająca jeszcze jej dziadka. Jej ojca znali od narodzin aż do tragicznej śmierci.

Emily nigdy nie pytała, o czym napisała do nich matka, a oni też jej o tym nie mówili. Niedługo jednak przypadkowo podsłuchiwała taką rozmowę:

— Od razu wiedziałem, że to nie wypadek — mówił pan Parton. —

Ledwie chłopak nauczył się chodzić, a już skakał po drzewach jak afrykańska małpa.

— Była zbyt uczuciowa — odpowiedziała pani Parton. — Za bardzo ulegała wewnętrznym emocjom.

— Była też piękna. Powiada się, że piękno kłuje w oczy, i jest w tym trochę racji. Źle, gdy niewiasta bywa zbyt urodziwa. Mężczyźni są strasznie słabi, podatni na pokusy.

— A my pod własny dach ściągamy to nieszczęście — westchnęła pani Parton. — Córka to wykapaną matką. Widziałeś, jak się na nią gapią? Nawet nasi synkowie.

— Co ona temu winna? — spytał jej mąż. — Przecież to jeszcze dziecko, a już ma buzię i figurę babilońskiej kokoty.

— Klątwa przechodzi po kądzieli — powiedziała pani Parton. — Co zrobimy?

Pewnej nocy Emily przyśnił się straszny sen o śmierci w płomieniach.

Otworzyła oczy i zobaczyła jakieś cienie, majaczące nad nią w ciemności.

W pierwszej chwili myślała, że to upiory, które ją prześladowały we śnie.

Potem jednak cienie podeszły bliżej i rozpoznała w nich trzech synów Partonów: Boba, Marka i Alana.

Dopadli ją, zanim zdążyła się podnieść lub coś powiedzieć. Czują ich ręce. Przytrzymały ją, zakrywały usta, darły koszulę...

— To nie nasza wina — szepnął Bob. — To wszystko przez ciebie.

— Jesteś zbyt piękna — dodał Mark.

— Nie stracisz cnoty — powiedział Alan. — Przecież robiłaś to już przedtem.

— Zakneblujmy jej usta — zaproponował Bob.

— Zwiążmy ją — podsunął Mark.

— Jak będziesz cicho, nic ci się nie stanie — powiedział Alan.

Wszystko przeze mnie, pomyślała. To moja wina. Śmierć ojca, tragedia matki i cierpienia braci. Przestała się szamotać. Posadzili ją i zdjęli jej nocną koszulę. Pchnęli ją na łóżko i ściągnęli jej majtki.

— Kokota — powiedział Bob.

— Kocham cię — dodał Mark.

— Ani mru-mru — wyszeptał Alan.

Drzwi rozwarły się z głośnym trzaskiem i do sypialni wtargnął snop światła. Oczy pani Parton ciskały błyskawice jaśniejsze od blasku lampy, którą trzymała w wyciągniętym ręku.

— To nie nasza wina — powiedział Bob.

— Wynocha — syknęła pani Parton.

Trzej chłopcy chyłkiem wynieśli się z pokoju, omijając ją dużym łukiem.

Po ich wyjściu pani Parton podeszła do Emily i wymierzyła jej tak siarczasty policzek, że dziewczynie aż zadzwoniło w uszach i białe kręgi zatańczyły przed oczami. Starsza pani odwróciła się na pięcie i wyszła bez słowa.

Nazajutrz pan Parton wrócił z Albany. Tydzień później Emily została wysłana do szkoły parafialnej w Rochester. Miała ze sobą resztkę pieniędzy pozostałych ze sprzedaży farmy. Nikt nigdy jej nie odwiedzał.

W święta zostawała w internacie zupełnie sama. Rzadko wychodziła poza mury szkoły. Na wycieczkach starała się trzymać w środku grupy. A mimo to, zawsze czuła na sobie wzrok mężczyzn. Widziała, jak na nią patrzą. Tak samo patrzył ojczym i chłopcy od Partonów. Z zachwytem... i

Raz, kiedy całą klasą poszły do muzeum, zbliżył się do niej jakiś młodzieniec. Był bardzo grzeczny. Ukłonił się i powiedział:

— Przepraszam panią, lecz muszę wyznać, że jest pani o wiele piękniejsza od wszystkich skarbów zgromadzonych w tej sali.

Zdziwił się, gdy uciekła. A ona przecież dobrze wiedziała, co się stało.

Był niewinny jak wszyscy pozostali. To ona miała w sobie coś, co zmieniało mężczyzn w dzikie bestie.

Naprawdę była tak piękna, jak im się zdawało? Mary Ellen była ładniejsza. Wszystkie dziewczęta to mówiły. Mężczyźni też gubili za nią oczy, lecz wystarczyło, by gdzieś w pobliżu zjawiła się Emily, a już patrzyli tylko na nią.

Mary Ellen jej nie lubiła. Inne dziewczęta również. Gdyby nie ustawiczna czujność dyrektora szkoły, pana Cromwella, wciąż miałyby przykrości. Bronił jej mocą swego niezłomnego ducha i słowami proroków.

— *I złego jeden przeciwko drugiemu nie myślcie w sercu swoim* —

mówił, złowrogo wytrzeszczając i tak już wylupiaste oczy.

— Amen — odpowiadała klasa.

— *Wilk z barankiem paść się będą społem; lew jako wół plewy jeść będzie.*

— Amen.

— *Miłuj bliźniego twego jako siebie samego.*

— Amen.

— Mary Ellen?

— Słucham, proszę pana?

— Nie słyszę cię.

— Powiedziałam „amen”, proszę pana.

— Słyszałem uchem, lecz nie sercem. Włóż w to całą swoją duszę, dziewczyno! Słowo wypowiedziane szczerze jest twoim zbawieniem!

Rzucone tylko od niechcenia, stanie się wiecznym potępieniem! —

Cromwell krzyczał coraz głośniejszy, żyły nabrzmiwały mu na czole, a jego ręce wykonywały w powietrzu dziki taniec niczym skrzydła anioła zemsty. — Mary Ellen, powiedz „amen”!

— Amen, proszę pana! Amen!

127

— *Iż nie ten, który mnie w żywocie uczynił, nie uczynił też i onego?!*

— Amen! — zawołały dziewczęta, również podekscytowane.

— *Iżai nie jeden ojciec jest nas wszystkich? Izali nie jeden Bóg stworzył nas?!*

— Amen!

— *Oto jako rzecz dobra, i jako wdzięczna, gdy bracia zgodnie mieszkają!*

— Amen!

Pan Cromwell nigdy nie stawał blisko niej. Nigdy jej nie dotykał.

Nigdy nie mówił, że jest piękna. Nigdy nie patrzył na nią tak jak inni ludzie. Wybałuszał oczy i czerwieniał tak samo, jak wtedy, gdy cytował

proroków. Bez obawy mogła mu zaufać, bo on jeden jej nie pożądał.

Tamtego dnia, w muzeum, poszedł za nią, kiedy uciekła przed przystojnym nieznajomym. Znalazł ją skuloną w kącie, za gablotą, w której przechowywano jakieś eksponaty z Azji.

— Wstań, moje dziecko. Wstań.

Nie wyciągnął ręki, żeby ją podnieść. Widząc, że go nie posłuchała, przeniósł wzrok na gablotę.

— Japonia — westchnął. — Pogańska ziemia zbrodniarzy, bałwochwalców i sodomitów. — Zaskoczył ją ton jego głosu. Drapieżne słowa potępienia wymawiał niemal z zachwytem. — Dojrzała, żeby ją nawrócić. Tak, Emily... Jej mieszkańcy czekają na Prawdziwe Słowo.

Wiem o tym. *Albowiem imienia Pańskiego będę wzywał; dajcież wielmożność Bogu naszemu.* — Spojrzał na dziewczynę wyczekująco.

— Amen — powiedziała.

— *Słuchajcie słowa Pańskiego, o narody! A opowiadajcie je na wyspach dalekich.*

— Amen.

— To właśnie „wyspy dalekie”, o których mówi Stary Testament.

Wyspy japońskie. Położone od nas najdalej.

Emily wyszła z ukrycia i nieśmiało stanęła u jego boku. Na ścianie wisiała wielka mapa, ale nie lądu, lecz ogromnego Pacyfiku. Tam właśnie, po lewej stronie, na samym skraju wody, leżały cztery większe wyspy i mnóstwo malutkich. Wzdłuż ich wschodniego brzegu ciągnęło się słowo „Japonia”.

128

— Żyli w zupełnej izolacji przez dwa i pół wieku — ciągnął pan Cromwell. — Aż pięć lat temu komodor Perry zmusił ich do otwarcia portów. Wielebny Tuttle z naszej kongregacji utworzył tam małą misję, pod opieką jednego z księząt. W przyszłym roku pójdę w jego ślady i założę następną.

— Wyjedzie pan z Rochester? — zapytała Emily ze ściśniętym sercem.

— *Wielkie zaiste imię moje będzie między narodami, mówi Pan zastępów* — odparł Cromwell. Nie usłyszał „amen”, więc rzucił jej ostre spojrzenie.

— Amen — szepnęła. Bez pana Cromwella wszystko zacznie się od nowa. Z dziewczętami jeszcze by wytrzymała. Ich złośliwości w gruncie rzeczy były bez znaczenia. Ale mężczyźni? Kto ich powstrzyma, kiedy zostanie sama, bez opieki?

Pan Cromwell wyjątkowo puścił mimo uszu jej cichutkie „amen” i nie domagał się głośniejszej odpowiedzi. Zapewne zauważył jej nagłe przygnębienie. Zatrzymał się przed niewielkim zbiorem kolorowanych dagerotypów.

— A to są ich kobiety — powiedział.

Emily przez łzy popatrzyła na maleńkie postacie, delikatne niczym laleczki z porcelany. Zobaczyła kunsztownie upięte fryzury, szaty z długimi rękawami i szerokie pasy. Skośne oczy spoglądały na nią z pyzaty, niemal dziecięcych twarzy.

Wskazała palcem jedną z Japonek, odsłaniającą bezzębne usta w nieśmiałym uśmiechu. — One nie mają zębów, proszę pana!

— Mają, Emily. Tylko je czernią. To taka moda wśród arystokratek.

Zerknęła na tabliczkę umieszczoną pod zdjęciami. Napis - brzmiał:

„Słynne piękności z miasta Yokohama”. Spojrzała na pana Cromwella.

Jak zwykle patrzył na nią surowym, nieruchomym wzrokiem.

— W Japonii w najlepszym razie byłabyś brzydulą — powiedział. —

Ludzie kręciliby głowami nad twoją szpetotą. Złociste włosy, niebieskie oczy, wzrost, wygląd oraz



kształty. Wszystko złe. Brzydkie. Wręcz potworne.

Emily znów popatrzyła na czernione zęby, oczy wąskie jak szparki i płaskie figury, pozbawione typowo kobiecych wcięć 129

i krągłości, którymi ona była tak hojnie obdarzona przez naturę, i które stały się jej przekleństwem. Pan Cromwell miał rację. Na całym świecie nie było dwóch bardziej odmiennych istot niż ona i jakakolwiek piękność z Yokohamy.

— Niech pan mnie weźmie z sobą — poprosiła. Nie wiedziała, co ją zdziwiło bardziej: jej własna prośba czy spokojna odpowiedź Cromwella.

— Myślałem o tym już od dawna — mruknął, kiwając głową. — Los zetknął nas na pewno w określonym celu. Tym celem jest Japonia.

Zaniesiemy tam Słowo Pańskie i będziemy żywym świadectwem tego Słowa. Jeśli chcesz, jeszcze dzisiaj napiszę list do twoich opiekunów.

— Z całego serca tego pragnę, proszę pana — przytaknęła Emily.

— Kiedy jesteśmy sami, możesz zwracać się do mnie per „Zephaniah”

— zaproponował pan Cromwell. — Byłoby trochę dziwne, gdybyś mówiła „proszę pana” do swojego przyszłego męża.

Klamka zapadła. Emily mimo woli zdecydowała o swoim przyszłym losie. Partonowie z ulgą wyrazili zgodę. Narzeczeni postanowili, że ślub wezmą w nowym domu misyjnym, zbudowanym w Japonii, na ziemiach należących do księcia Akaoki. Emily nie odczuwała strachu ani wzruszenia na myśl o małżeństwie. Dla niej był to po prostu bilet do Japonii. Zaręczyny, podróż i odległe jeszcze przecież przeznaczenie stały się jej jedynym skarbem. Nadzieją na ucieczkę przed klątwą urody.

Dwa miesiące przed swoimi siedemnastymi urodzinami znalazła się na pokładzie „Gwiazdy Betlejemskiej”, odbijającej od nabrzeża portu San Francisco. Wzięła ze sobą trzy rzeczy stanowiące cały jej dobytek: powieść *hanhoe* z biblioteczki matki, medalion i serce pełne wspomnień.

Rozczarowana Emily słuchała kroków cichnących w dali. Sądziła, że brat Matthew choć przez chwilę dotrzyma jej towarzystwa. Rozmowę z Cromwellem przerywała cisza, bo ranny wciąż zasypiał. Kiedy zamykał

oczy, Emily, z braku innych zajęć, smutno rozmyślała nad swym nieszczęsnym

losem. Koło niej leżał człowiek, który miał być jej mężem. To przez niego znalazła się w tym obcym kraju, wśród zupełnie obcych ludzi.

Początek był obiecujący. Przez pięć minionych dni nikt nie patrzył na nią tak jak w Ameryce. Twarze

mężczyzn i kobiet wyrażały najczęściej współczucie i grozę. Spełniły się słowa Cromwella. Była brzydka.

Niestety, znalazła azyl tylko po to, aby zaraz go stracić. Dobrze wiedziała, że wraz ze śmiercią Cromwella będzie musiała odejść. Czekała powrót do Stanów Zjednoczonych.

Myślała o tym z przerażeniem. Nie miała dokąd pójść. Nie miała miejsca, które z całym przekonaniem mogłaby nazwać swoim domem.

Nie chciała jechać do misji w San Francisco. Nawet i tam, w ciągu kilku ostatnich tygodni przed podróżą, jej sytuacja zaczęła się pogarszać. W

drodze do Chin z Bostonu przyjechało dwunastu misjonarzy. Kilku z nich zdradzało zbyt duże zainteresowanie piękną gospodynią. Początkowo zachowywali się grzecznie, ale później, jak zwykle, wszystko się zmieniło. Popatrywali na nią wygłodniałym wzrokiem albo wręcz rzucali znaczące spojrzenia... Dotykali jej, niby to przypadkiem, popychali, muskali i ściskali w stołówce, w sieni i w drodze do kaplicy. Nie chroniły jej ani boskie przykazania, ani zaręczyny z Cromwellem, ani niechęć, z jaką przyjmowała te umizgi. Bała się, że w pewnej chwili któryś z nich nie wytrzyma. Widziała to w ich oczach.

Zephaniah westchnął przez sen. Emily lekko ścisnęła jego rękę i uśmiechnęła się przez łzy.

— Bóg z tobą. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Nikt nie potrafiłby dokonać nic więcej.

131

6

### *Śmierć pana Genjiego*

*Tamtego roku pan Shayo zamarł na śmierć na lodowatym morzu.*

*Wiosną ciężka od kwiatów gałąź zabiła jego następcę, pana Ryoto.*

*Kolejny spadkobierca, pan Moritake, poniósł śmierć podczas burzy, od pioruna. Po nim władzę objął pan Koseki.*

*Powiedział:*

*— Nie można walczyć z pogodą.*

*W czasie jesiennych deszczy skazał na śmierć całą swoją gwardię.*

*Konkubiny wysłał do klasztoru, wygnał kucharzy, poślubił córkę masztalerza i wypowiedział shogunowi wojnę.*

Suzume-no kumo (1397)

Sohaku wcale się nie sprzeciwiał. Kiedy Genji oświadczył mu, że chce zostać ze stryjem sam na sam w małym pawilonie medytacji, mruknął

jedynie: „Panie...”, skłonił się i wyszedł. Poczucie nieuchronnej klęski sprowadziło nań wewnętrzny spokój, jakiego nie osiągnął przez pół roku zgłębiania nauk zen. W miejscu, w którym mnisi od pokoleń szukali *satori*, niedoświadczony młodzian i niebezpieczny wariat radzili o przyszłości klanu Okumichi. Być może obaj wyjdą stamtąd żywi. Być może nie. To już nie miało żadnego znaczenia. Przeżyją dziś, przeżyją jutro i pojutrze, ale niedługo przyjdzie

132

taki dzień, że obaj padną martwi. Nie może być inaczej. Pytanie tylko, w jaki sposób zginą i kto okaże się zabójcą.

Sohaku poczuł dziwny chłód w kościach, kiedy oddalał się od pawilonu. Pewnie początki jakiejś choroby, pomyślał, i to poważnej.

Uśmiechnął się do własnych myśli. Ciekawe, jaka dolegliwość byłaby dobrą metaforą jego obecnej sytuacji? Może cholera? Parę miesięcy temu kilka pobliskich wsi padło ofiarą nagłej epidemii... Nie, to powinno być jednak coś gorszego. Czarna ospa? Nagle zrozumiał, co się z nim dzieje i skąd bierze się przykre uczucie zimna wewnątrz ciała.

Pierwszy raz szedł bezgłośnie po kamiennej ścieżce. Bezwiednie dokonał tego, co nigdy się nie udawało jego najlepszym samurajom.

Ciało reagowało szybciej niż umysł. To właśnie owa swoista „wiedza ciała” mroziła go do szpiku kości. W nagłym olśnieniu Sohaku zdał sobie sprawę, że jest jeszcze jeden potencjalny zabójca, którego dotąd nie brał

pod uwagę.

Myślał o sobie.

Klan Okumichi i tak jest już skazany na zagładę. W takiej sytuacji Sohaku musi zadbać o własną rodzinę. Jeżeli nie chciał śmierci swoich krewnych, których na pewno by zabito, gdyby dochował wierności księciu, to szybko powinien znaleźć sobie nowego pana. Rozważał w duchu różne możliwości. Prawdę mówiąc, w tych niespokojnych czasach jedynie shogun jest gwarantem bezpieczeństwa. A raczej jego doradcy.

Główny Urząd piastuje bowiem chorowity czterastoletni chłopiec imieniem Iemochi. Łącznikiem byłby zatem zapewne Kawakami, czyli szef tajnej policji shogunatu.

Najpierw muszę być pewny moich własnych ludzi, myślał Sohaku.

Któremu z nich mogę naprawdę zaufać? Kogo usunąć? A co z dawnymi przyjaciółmi w Edo? Z Saikim i Kudo? Warto się z nimi porozumieć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ryzyko będzie o wiele mniejsze, jeśli znajdą się po mojej stronie.

Za czasów pana Kiyoriego nie przyszłoby mu to do głowy. Ale niestety, stary wyga już od miesiąca leżał w grobie.

Sohaku widział przyszłość tak jasno, jakby był prorokiem. Saiki i Kudo muszą się doń przyłączyć lub zginąć.

133

Przy następnym kroku niechcący stąpnął na ścieżkę całym ciężarem ciała. Kamyki zagrzechotały pod sandałami. Zatopiony w myślach Sohaku niczego nie usłyszał.

Hide napełnił czarki herbatą i tyłem ruszył do wyjścia z pawilonu medytacji. Nie podobało mu się, że pan Genji zostaje sam na sam z szaleńcem, do tego uzbrojonym. Oczywiście. Shigeru nie potrzebował

miecza, żeby pokonać księcia, więc to czy jest, czy nie jest uzbrojony, nie robiło mu żadnej różnicy. Z kolei Hide nie pierwszy raz łamał sobie głowę, czy młody władca rzeczywiście jest takim lekkoduchem, czy raczej znawcą ludzkich charakterów. W ciągu godziny Shigeru przeszedł

niezwykłą przemianę. Zachowywał się teraz jak instruktor sztuk walki, a więc tak samo jak przed nagłym obłędem. Jak to się stało? Na pierwszy rzut oka Genji po prostu przyjechał i oddał mu miecze. Hide nie umiał

tego rozgryźć. To było zbyt trudne, niemal niemożliwe dla takiego tępaka jak on. Zresztą miał teraz poważniejszy problem. Komu służyć? To pytanie nie dawało mu spokoju od dnia śmierci starego pana. Kto właściwie jest zwierzchnikiem klanu? Szambelan Saiki? Szef ochrony Kudo? Dowódca jazdy Sohaku? A może jednak młody książę? To wydawało mu się niemożliwe. Genji jest tylko figurantem. Chociaż z drugiej strony, bez najmniejszych obaw rozmawia z człowiekiem, który w napadzie szału zamordował co najmniej tuzin krewnych. Z pozoru wyglądało to na zwykłą głupotę. Ale pozory mogą mylić. Jeżeli Genji wiedział, co się stanie, to rzeczywiście nie miał się czego obawiać. A skoro wiedział, to był wręcz stworzony na przywódcę, bo któż może równać się z księciem obdarzonym mistyczną zdolnością jasnowidzenia?

— Zostań z nami — powiedział Genji. Wskazał na trzecią czarękę.

Hide pokłonił się głęboko, wziął czarękę z tacy i trwał w pokłonie, dopóki książę nie nalał mu herbaty. W głębi ducha nie posiadał się ze zdziwienia. W taki sposób traktowano ludzi z najbliższego otoczenia feudała.

— Dziękuję, panie.

134

— Nadzwyczaj dzielnie się spisałeś podczas naszej ostatniej podróży

— zauważył Genji. — Naprawdę byłem pod wrażeniem twojej zręczności i odwagi. Pokazałeś, że masz doskonały refleks i że umiesz szybko podejmować decyzje. A tylko ten, kto w tych niespokojnych czasach potrafi działać bez wahania, zasługuje na miano samuraja.

— Niegodzien jestem takiej pochwały — odparł Hide i znów się uklonił. Duma rozpierała mu pierś, chociaż starał się zachować pozory skromności.

— Za dużo gadasz — ofuknął go Shigeru. — W obecności swojego pana masz słuchać, milczeć lub najwyżej wypowiedzieć parę słów przeprosin albo podziękowań. To wszystko.

— Tak, panie. Proszę wybaczyć moje zachowanie. Bardziej nadaję się do stajni niż na pokoje.

Shigeru uderzył dłonią w podłogę z taką siłą, że aż zadygotały ścianki pawilonu.

— Co ja przed chwilą powiedziałem?! Podziękowania, przeprosiny, cisza i posłuszeństwo! Nie słyszałeś? Nie było mowy o wykrętach! Nigdy się nie usprawiedliwiał. Nigdy. Zrozumiałeś?

— Tak, panie. — Zgnębiony Hide przywarł twarzą do podłogi.

Pan Genji się roześmiał.

— Nie musimy być aż tak oficjalni, stryju. Siedzimy tutaj jak trzej towarzysze broni, układając plany na przyszłość.

Na zewnątrz rozległ się szybki tupot.

— Panie? — zapytał ktoś napiętym głosem. — Wszystko w porządku? — Głośny huk ściągnął pod drzwi zbrojnych wartowników.

— Tak, tak. Co się miało stać? Odejdźcie.

— Tak, panie.

Zanim Genji podjął przerwana rozmowę, odczekał chwilę, aż ucichło echo oddalających się kroków.

— Twoja postawa skłoniła mnie do pewnej poważnej decyzji. —

Spojrzał surowo na klęczącego przed nim samuraja i umilkł. Zapadła nieznośna cisza. Hide nie był pewny, czy książę przypadkiem nie oczekuje odeń jakiejś odpowiedzi. Ma podziękować czy przeprosić?

Ostrożnie spojrzał na Shigeru, jakby oczekiwał od niego rady, lecz ten siedział nieruchomo

z przymkniętymi powiekami. Wydawał się być zatopiony w głębokiej medytacji. Hide już otwierał usta, chcąc powiedzieć „dziękuję, panie”, kiedy Genji znów zabrał głos i tym samym wybawił go z

kłopotu.

— Słyszałeś pewnie, że jestem ponoć jasnowidzem?

— Tak, panie.

— Więc to, co ci teraz powiem, musi pozostać między nami.

— Tak, panie.

— Plotki nie kłamią.

Hide ze świstem wciągnął w płuca mroźne zimowe powietrze, ale nie wyrzekł ani słowa. Po prostu nie mógł. I nie chodziło tu nawet o to, że pan Genji potrafił wejrzeć w przyszłość. Prawie wszyscy wiedzieli o tym, że książę Akaoki ma dar jasnowidzenia. Hide też kiedyś przychylił się do tej opinii. Doznał szoku na wieść, że pan Singeru popadł w obłęd i otrul

własnego ojca. Któż bowiem, znając przyszłość, dopuściłby do takiej tragedii? Jednak Shimoda umiał to wyjaśnić. Napomknął krótko, że nikt przecież nie znał całej wizji. Skąd więc wiadomo, co jeszcze widział pan Kiyori? Może uznał, że z dwojga złego to jedyne rozsądne wyjście? Bywa nieraz, że największy triumf rodzi się z porażki. Choćby początki Akaoki, sześćset lat temu, poprzedzone przedziwnym zachowaniem wróbli... Nie, Hide najbardziej zdumiony był tym, że młody książę dzieli się tajemnicą rodu z najpośledniejszym ze swoich wasali.

Westchnął głęboko, nie zdając sobie sprawy, że znów mógł obrazić księcia, i skłonił się do samej ziemi.

— Panie, czynisz mi zaszczyt swoim zaufaniem. Na pewno cię nie zawiodę.

— Wiem o tym, Hide. Widziałem twoją przyszłość. Hide zakołysał się na piętach, oszołomiony tym, co usłyszał.

Tylko żelazna dyscyplina, nabyta na treningach walki, uchroniła go przed omdleniem.

— Będziesz mi wierny aż do śmierci — powiedział Genji — i choćby z tego względu mianuję cię dowódcą gwardii. Nie znam nikogo, kto by bardziej zasłużył na tę funkcję. Nominacja będzie ogłoszona, gdy tylko skończę naradę ze stryjem. Tymczasem dobierz sobie kilku poruczników i razem stwórzcie jak najlepszy oddział.

136

Hide ledwie mógł oddychać ze wzruszenia. Coś cisnęło go w piersiach. Bo oto w najtrudniejszej chwili, kiedy ważyły się losy klanu i narodu, książę wybrał na swego powiernika i obrońcę właśnie jego —

pyszałka, szulera i pijaka — choć miał do dyspozycji tylu dzielnych wojów. Na próżno powstrzymywał się od płaczu. Łzy wdzięczności głośno bębniły o matę, niczym krople zimowej

ulewy.

— Dziękuję, panie.

Jak w transie opuścił pawilon medytacji i zasiadł w gronie samurajów czekających na powrót księcia. Poważny jak nigdy dotąd, nie uśmiechnął

się i nie zagadał do żadnego z towarzyszy. W ciągu godziny jego życie uległo całkowitej zmianie.

Wierny do śmierci.

Zawsze bał się, że w chwili próby dokona błędnego wyboru i zdradzi księcia — nawet nie z tchórzostwa, ile z czystej głupoty. Teraz był już spokojny. Pan Genji spojrział w jego przyszłość. Będzie mu wierny aż do śmierci. Ta świadomość czyniła go silniejszym.

— Okropnie długo tam siedziałeś — mruknął Shimoda. — Czego od ciebie chcieli?

— Tego nie mogę ci powiedzieć — odparł Hide. Znowu spojrział w głąb siebie i zrozumiał, że znalazł pierwszego porucznika. Wprawdzie Shimoda słabo radził sobie z mieczem, a jeszcze gorzej w walce wręcz, ale nikt nie mógł mu dorównać w strzelaniu z łuku, strzelby albo pistoletu, w siodle i na stojąco. A poza tym był uczciwy do szpiku kości.

Kiedy komuś coś obiecał, dotrzymywał słowa, choćby za cenę życia.

Shimoda kosym okiem spojrział na przyjaciela, zaskoczony jego powagą. Co się zdarzyło w pawilonie? Zazwyczaj beztroski Hide zdawał

się całkiem odmieniony.

— No i co? — przysiadł się do nich Taro. Potarł dłonią meszek porastający łysinę. Swędziało go jak diabli. Wszyscy mnisi przestali golić głowy na wieść o tym, że pan Genji zjedzie do klasztoru. Dla nich było to sygnałem, że niedługo powrócą do służby. Każdy zrzucił zgrzebną opończę, włożył dawne odzienie i zatknął miecze za pas. Teraz już prawie nic — oprócz braku włosów — nie zdradzało, że na pewien czas zerwali ze świeckim życiem. Czuli się jednak nieco speszeni, zwłaszcza na 137

myśl o Edo. Dobrze wiedzieli, że tam będą zwracali na siebie powszechną uwagę, fryzura bowiem była ważnym dopełnieniem wizerunku samuraja. Ha, trudno, pomyślał Taro. Czasami trzeba znieść to, co nieznośne. Znów przesunął ręką po głowie.

— Co ci powiedział Hide?

— Nic — cierpko odparł Shimoda. Taro łypnął na niego ze złością.

— Myślałem, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Coś się nagle zrobił

taki tajemniczy?

— Odczep się — burknął Shimoda. — W ogóle nie chciał ze mną gadać.

— Naprawdę? — Taro zerknął nad jego ramieniem. Zobaczył

siedzącego prosto samuraja, nieruchomego niczym posąg Buddy, lecz patrzącego czujnie spod półprzymkniętych powiek. Przetarł oczy i znów spojrzął, żeby sprawdzić, czy to naprawdę Hide.

Genji uśmiechnął się do stryja.

— Nie zapytasz?

— O co?

— To chyba jasne.

— Niech ci będzie — westchnął Shigeru. — Po jakie lichy mu to powiedziałaś?

— Bo to prawda.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Shigeru zaraz jednak spoważniał.

— Sądzę, że popełniłeś błąd — powiedział. — Hide to zwykły nicpoń i hulaka. Wszyscy z jego rocznika zostali promowani, a on wciąż jest zwykłym samurajem. Na odprawie siedzi wśród ludzi o dziesięć lat młodszych od siebie! A po drugie, pomyśl o Sohaku. Bez wątpienia będzie urażony. Był dowódcą gwardii u mojego ojca i zapewne chciałby zachować tę rangę.

— To bardzo mądre słowa, stryju — odparł Genji — lecz mogą budzić pewną konsternację. Godzinę temu byłeś nagi, umazany kałem i krzywiłeś się jak tresowana małpa. Ktoś zapyta: skąd ta przemiana? Czy to możliwe? Mamy mu wierzyć? Co odpowiedziałbyś na moim miejscu?

Shigeru poczerwieniał i wbił wzrok w podłogę.

— Zresztą nieważne. Porozmawiamy o tym nieco później. Mam na ten temat pewne przemyślenia, którymi chętnie się podzielę. Być może 138

zechcesz z nich skorzystać. A teraz Hide... Masz zupełną rację. Taki był

kiedyś. Zapewne wielu mu podobnych w tej samej sytuacji ugięłoby się pod ciężarem niespodziewanych obowiązków. Wierzę, że z nim będzie odwrotnie.

Shigeru rzucił na bratanka szybkie spojrzenie.

— Wierzysz? Więc tego nie wiesz?

— A skąd mam wiedzieć?

— W każdym pokoleniu ktoś z naszego rodu dziedziczy przeklęty dar jasnowidzenia. Ostatnio był to



mój ojciec, potem ja, teraz ty. Jesteś sam, więc nie widzę innej możliwości.

— Jestem sam — przyznał Genji — ale do niedawna miałem troje krewnych. Mówię o twoich dzieciach. Skąd wiesz, że to nie jedno z nich miało być wróżbitą?

Shigeru nie chciał myśleć o ostatnim spotkaniu z rodziną. Pokręcił głową.

— Nie. Widziały tylko to, co widzą wszyscy, i śniły to, co śnią wszystkie dzieci.

— Mój ojciec był pijakiem i wciąż palił opium — przypomniał Genji.

— Mógł nawet nie wiedzieć, że dorobił się nieślubnego syna.

Stryj z uporem pokręcił głową.

— Trunki i opium, zwłaszcza w tej ilości, mają fatalny Wpływ na potencję. Cud, że w ogóle ciebie spłodził. — Uśmiechnął się, chociaż w jego oczach wciąż czaił się smutek. — Nie wykręcaj się. Wiesz.

— Skąd ta pewność, że jestem ostatnim z naszego rodu? — spytał

Genji. — Dziadek nie stronił od romansów. Może masz siostrę albo brata? A on z kolei własne dzieci?

— Nie stronił, ale się pilnował. Nie chciał, żeby nasza klątwa błędziła po całym kraju.

— Ciągłe powtarzasz „klątwa”. Inni uważają to raczej za przywilej.

— A ty co o tym myślisz?

Genji westchnął i mocniej wsparł się o podpórkę pod łokieć.

139

— Dziadkowi nie przyniosło to żadnego szczęścia. Ojciec rozpił się z żalu, że nie jest wybrańcem. Sam zobacz, co się z tobą stało... Chyba masz rację. To nie przywilej, ale ciężkie brzemię. Dlatego też wciąż mam nadzieję, że nie spadnie na moje barki.

— Nic nie rozumiem — mruknął Shigeru. — Jeśli posiadasz dar jasnowidzenia, to przecież musisz o tym wiedzieć. Skąd ta nadzieja na ucieczkę?

— Wiem tylko tyle, co mi mówił dziadek — odparł Genji. — Ale jak dotąd nie mam na to żadnych wyraźnych dowodów.

— Nie miałeś wizji?

— Chyba nie.

Weszli w las otaczający zamek, by nazbierać grzybów shiitake, rosnących zwykle na ocienionych pniach najstarszych drzew. Dziadek cichym głosem przemawiał do wnuka.

— Nie chcę — naburmuszył się Genji. — Daj to komuś innemu.

Dziadek usiłował zachować powagę, ale nie bardzo mu się to udało.

W jego oczach błyszczały wesołe iskierki z trudem powstrzymanego śmiechu.

— Zachowujesz się jak małe dziecko — powiedział. — Tego nie można chcieć lub nie chcieć.

— I tak nie chcę — upierał się Genji. — Jak ojciec nie może, to wybierz stryja.

— Niestety, wybór nie należy do mnie — westchnął dziadek. —

Gdybym tylko umiał...

Genji czekał przez chwilę, ale dziadek nie dodał nic więcej. Jego oczy przestały się uśmiechać.

— Shigeru ma to od początku — powiedział wreszcie. — A potem przyjdzie twoja kolej.

— Dlaczego? Przecież wszyscy mówią, że zawsze jest tylko jeden...

— Jeden w każdym pokoleniu — wtrącił dziadek. — Czyli ja, Shigeru i ty.

Genji usiadł na trawie i zaczął płakać.

— Ale dlaczego? Co takiego złego zrobili nasi przodkowie?

140

Dziadek przykucnął obok niego i objął go serdecznie. Genji był

zdmuony jego zachowaniem. Stary wojownik nieczęsto dawał upust uczuciom.

— Tylko jeden — powiedział. — Hironobu. To on odpowiedzialny jest za nasze losy.

Genji przesunął rękawem po twarzy, żeby obetrzeć łzy, i głośno pociągnął nosem.

— Hironobu to nasz pierwszy przodek. Miał sześć lat, kiedy założył

Akaokę. Jutro będę w tym samym wieku. Mam przecież urodziny.

— Tak, panie Genji. — Dziadek uklonił się głęboko. Genji roześmiał

się na ten widok. Szybko zapomniał o płaczu.

— Powiedz mi, co zrobił Hironobu? Zawsze miałem go za bohatera.

— Jedno nie wyklucza drugiego. — Dziadek dość często mówił

rzeczy, których Genji nie rozumiał. Teraz też tak było. — Co pewien czas przychodzi śmierć, a po niej narodziny. Niektóre lepsze, niektóre gorsze.

Niektóre całkiem niepotrzebne. Ale z początku nikt nic nie wie, a potem bywa już za późno. Hironobu pokochał złą kobietę. Wnuczkę więdźmy.

— Panią Shizukę? Myślałem, że była księżniczką. Dziadek uśmiechnął się do niego i powtórzył:

— Jedno nie wyklucza drugiego. — Nie pomogło. Genji w dalszym ciągu tego nie rozumiał. — Była księżniczką. Była wnuczką więdźmy.

Gdyby została wśród swoich, nie wydałaby na świat potomka i nikt z klanu Okumichi nie cierpiałby z powodu wizji, przeczuć albo przepowiedni. Oczywiście, mogłoby też już wcale nie być klanu Okumichi. Zdarzało się, że wejrzenie w przyszłość ratowało nas przed zagładą. Zła nie można tak całkiem oddzielić od dobra.

Dziadek skłonił się w stronę kolumbarium, mieszczącego się w północno-wschodniej wieży zamku Chmary Wróbli. Obaj z wnukiem znali to miejsce, chociaż z lasu nie było go widać. Musieli je znać, choćby na wypadek nagłego ataku. Genji z szacunkiem naśladował dziadka.

— Po co się jej kłaniamy, skoro była więdźmą? A nie lepiej rozrzucić ją na cztery wiatry i zupełnie o niej zapomnieć?

141

— Wtedy byłaby dosłownie wszędzie. Tak przynajmniej wiemy, gdzie jej szukać. Siedzi zamknięta w urnie, dniem i nocą pilnowana przez dzielnych wojowników.

Genji przysunął się do dziadka i szybko wziął go za rękę. Cienie drzew nagle stały się o wiele dłuższe. Dziadek roześmiał się.

— Żartowałem, Gen-chan. Nie ma widzialnych lub niewidzialnych duchów, demonów i diabłów. Pani Shizuka, więdźma i księżniczka, nie żyje od sześciu wieków. Nie bój się jej. O wiele bardziej trzeba się obawiać żywych.

— W takim razie bardzo się cieszę, że będę znał przyszłość — odparł

Genji, ani na chwilę nie puszczając ręki dziadka. — Zawczasu poznam swoich wrogów i wszystkich pozabijam. Nic mi nie zrobią.

— Śmierć rodzi tylko śmierć — powiedział dziadek. — Reszta zaś się nie zmienia. W ten sposób nie zapewnisz sobie bezpieczeństwa.

— To po co mi ta cała wiedza? — naburmuszył się Genji.

— Posłuchaj mnie uważnie. To nie sprawa wiedzy lub umiejętności, zła lub dobra czy nawet wolności wyboru. To tylko słowa, które nic nie znaczą. Nie dotyczą sedna. Posłuchaj dobrze i postaraj się mnie zrozumieć. Chcesz czy nie chcesz, masz w sobie coś, co odróżnia cię od innych ludzi. Możesz to nazwać darem albo klątwą, ale nie możesz tego odrzucić, tak jak nie możesz uciąć sobie głowy. Naucz się zatem tego używać. Rozumiesz?

— Nie, dziadku. Mówisz jak stary opat Zengen. Jego też nigdy nie rozumiem.

— To w tej chwili nie ma żadnego znaczenia. Masz pamięć rodu Okumichi. Zapamiętasz sobie moje słowa i kiedyś pojmiesz ich znaczenie. Posłuchaj zatem. Są różne wizje. Shigeru będzie miał ich wiele. Ty zaś jedynie trzy. Przypatrz im się. Podejdź do nich bez strachu i bez entuzjazmu, a wtedy zobaczysz wszystko, co powinieneś wiedzieć.

Trzy wizje, pomyślał Genji. Tylko trzy. To jeszcze da się wytrzymać.

A może przyjdą, odejdą i nawet ich nie zauważę? Dziadek patrzył na niego uważnie. Wszyscy mówili, że potrafi czytać w ludzkich myślach równie dobrze, jak spoglądać

142

w przyszłość. Genji co prawda w to nie wierzył, lecz postanowił być ostrożny. Tak na wszelki wypadek. Wbił wzrok w chmury sunące po niebie i próbował przypomnieć sobie matkę. Umarła, kiedy miał trzy lata.

Z każdym mijającym rokiem jej twarz coraz bardziej zacierała się w jego wspomnieniach. Już jej prawie nie pamiętał. Próba była zatem tylko próbą, z góry skazaną na niepowodzenie. Jeżeli dziadek widział jego myśli, to nie zobaczył w nich nic więcej.

— Wszystko jasne — z cierpkim uśmiechem stwierdził Shigeru. —

Nie miałeś wizji, więc uważasz, że ci się udało. Nie licz na to. Nikt z nas nie umknie przed przeznaczeniem. Możesz wierzyć mojemu ojcu. On w tych sprawach nigdy się nie mylił.

— To jeszcze nie wszystko — odparł Genji. — Widziałem coś, czego nie chciałbym nazywać wizją. Coś, czego nikt nie powinien wiedzieć.

— Wiem setki rzeczy, których nikt nie powinien wiedzieć — mruknął

Shigeru.

— A znasz moment swojej własnej śmierci? — spytał Genji.

Genji nie rozpoznawał tego miejsca. Tysiące razy przywoływał ów obraz w pamięci i patrzył nań tak, jak doświadczony szermierz patrzy na przeciwnika, szukając luki w jego obronie. Nic z tego. Widok był

zupełnie obcy. A jednak wiedział, że tam kiedyś trafi. Słyszał to w okrzykach zgromadzonego tłumu. Co słyhać głośniejszy i wyraźniejszy —

wyzwiska czy wiwaty? Trudno powiedzieć. Gdyby miał zgadywać, odparłby, że wyzwiska.

— Niech cię piekło pochłonie!

— Zdrajca! Zdrajca! Zdrajca!

— Banzai! Ocaliłeś naród!

— Śmierć tchórzom!

— Hańba! Hańba dla nas wszystkich! Pokaż, że masz honor! Sam się zabij!

— Niech cię błogosławi Budda i wszyscy bogowie! Szedł środkiem ogromnej hali. Chociaż na zewnątrz było

143

już ciemno, w środku panowała niemal oślepiająca jasność. Liczne lampy, wiszące na ścianach, w ogóle nie kopciły. Świeciły silnym, jednolitym blaskiem, bez żadnego migotania. (Może wynaleziono lepszy knot albo zrobiono lepszą oliwę?). Zamiast rzędów poduszek, leżących na podłodze, w sali stało co najmniej dwieście zamorskich krzesel, ustawionych przed wysokim podium. Z tyłu, na balkonie, była ich kolejna setka. Nikt nie siedział. Wszyscy zebrani stali, krzyczeli i gestykulowali jak szaleni. Może krzesła miały znaczenie wyłącznie symboliczne?

(Całkiem możliwe. Genji siedział niedawno na czymś takim i wiedział, że to bardzo niezdrowe).

Jak okiem sięgnąć, nikt nie nosił dwóch mieczy za pasem i samurajskiego czuba. Żadnej broni i skołtunione włosy, niczym u więźniów albo wariatów. Twarze o czysto japońskich rysach, lecz ciała przyodziane w workowate cudzoziemskie stroje. Całość przypominała dziecięcy teatr marionetek lub nieudolną pantomimę, odgrywaną na chłopskim święcie. Genji nie wierzył, by to mogła być prawdziwa wizja.

Na podeście jakiś starzec o rzadkich siwych włosach walił

drewnianym młotkiem w pulpit.

— Spokój! Spokój! Przywołuję parlament do porządku! Nikt nie zwracał na niego uwagi. (Co to jest parlament?). Wiwaty dobiegały głównie z lewej, przekleństwa zaś —

z prawej strony sali. Genji podniósł prawą rękę, by pozdrowić swoich popleczników. W tej samej chwili z tłumu wybiegł jakiś młodzieniec.

Miał krótko ostrzyżone włosy i nosił granatowy mundur, bez żadnych znaków, herbów i dystynkcji. Dłonie zaciskał na rękojeści miecza.

— Niech żyje cesarz!

Z tym okrzykiem wbił miecz w pierś księcia, tuż pod mostkiem. Genji poczuł z początku tępe uderzenie, potem ukłucie, jakby żądłem osy, i nagły bezwład wszystkich mięśni.

Fontanna krwi bryznęła na twarz młodzieńca.

A później świat zniknął w jaskrawej bieli.

Zapadła cisza, a po niej ciemność.

Ale wizja wciąż trwała.

Genji otworzył oczy. Ujrzał nad sobą zaniepokojone twarze, a wyżej sufit. Zrozumiał, że leży na podłodze.

144

Czuł pulsowanie krwi, płynącej z rany na piersi. Ciało miał zimne i mokre, lecz nie odczuwał żadnego bólu.

Tłum rozstąpił się, by dać przejście zachwycająco pięknej kobiecie.

Ona zaś, nie bacząc na krew, wzięła go w ramiona, podtrzymała głowę i przygarnęła do siebie. Łzy perliły się w jej oczach i kapały na twarz rannego. Z płaczem przytuliła policzek do jego czoła. Przez kilka chwil ich serca biły jednakowym rytmem. Potem jego zaczęło powoli zamierać.

— Zawsze będziesz dla mnie Promienistym Księciem — powiedziała.

Gra słów, nawiązująca do jego imienia. Genji. Tak samo nazywał się bohater klasycznej powieści.

Dwaj barczyści ludzie, strażnicy albo policjanci, ukłękli przy nim z drugiej strony. Też płakali, wcale się tego nie wstydząc.

— Panie Genji... — powtarzał jeden z nich. — Panie Genji... — Tylko tyle potrafił wykrztusić.

— Wytrzymaj, panie — mówił drugi. — Pomoc już w drodze. —

Zdjął marynarkę i zakrył nią ranę. Genji zobaczył, że nosi pod pachą kaburę z płaskim pistoletem. Aha... Zatem miecze zostały zastąpione przez pistolety. Całkiem logiczne. Ciekawe, czy samuraje noszą jeden pistolet, czy dwa? I dlaczego muszą je chować? Chciał o to spytać, ale nie miał siły. Czuł się coraz lżejszy.

Kobieta uśmiechnęła się do niego przez łzy.

— Dzisiaj rano skończyłam przekład — powiedziała. —

Zastanawiałam się, czy przetłumaczyć tytuł na angielski. Jak myślisz?

— Shizuka-san... — odezwał się któryś z mężczyzn — on nic nie słyszy. Jest nieprzytomny.

Shizuka... Tak brzmiało imię wiedźmy i księżniczki, która rzuciła urok na protoplastę rodu. Ale nie mogła to być ona, chyba że wróciła w następnym wcieleniu. Nie. Genji nie wierzył w reinkarnację. Niczym drewno spopielone w ogniu, nikt ze zmarłych nie wraca do świata żywych. Zatem to była inna Shizuka, o tym samym imieniu...

— Mnie słyszy — powiedziała stanowczo.

Genji spostrzegł dopiero teraz, że nie miała czysto japońskiej urody.

Jej włosy lśniły kasztanowo, a oczy były raczej 145

orzechowe niż czarne. Ostre rysy pasowały bardziej do Europejki lub Amerykanki. Nie poznawał jej, lecz za każdym razem, kiedy pomyślał o tej wizji, wydawała mu się bardziej znajoma. Kogoś mu przypominała.

Ale kogo? Tego wciąż nie wiedział. Wiedział za to zupełnie coś innego: pani Shizuka była najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu. (Lub, gwoli ścisłości, dopiero miał spotkać).

— Na angielski... — wyszeptał. Chciał zapytać, co tłumaczyła na angielski, ale zdołał wypowiedzieć tylko te dwa słowa.

— Dobrze — odparła pani Shizuka, uśmiechając się smutno. —

Wywołamy następny skandal. Będą mówili: „To znów Genji i ta jego wredna Shizuka”. Ale co to nas obchodzi, prawda? — Usta jej drżały, lecz wciąż się uśmiechała i na chwilę przestała płakać. — Byłaby z nas naprawdę dumna — dodała.

Kto? — usiłował spytać Genji. Kto byłby dumny i dlaczego? Nie mógł

wydobyć z siebie głosu. Coś błysnęło na jej długiej i gładkiej szyi.

Spojrzał uważniej. Zobaczył, co to było. A potem tam, gdzie biło jego serce, zapanowała głucha cisza i nie widział już niczego.

— Nie miej złudzeń — powiedział Shigeru — nie uda ci się. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to była prawdziwa wizja.

— Znalazłeś w tym coś znajomego?

— Kilka rzeczy: stroje, fryzury... i brak broni. Wniosek może być tylko jeden — zostaliśmy pokonani. Cudzoziemcy uczynili z nas naród niewolników.

— A parlament? Co to takiego?

— Nie widziałem go w swoich wizjach. Może zastąpił Radę z chwilą, gdy przegraliśmy tę nierówną walkę? Wskazuje na to choćby zachowanie tłumu. Brak porządku i dyscypliny... Chyba nie wyobrażasz sobie, że w obecności shoguna ktoś mógłby przemawiać podniesionym głosem?

— Nie, stryju, to niemożliwe.

— A twój zabójca? Znasz go?

— Nie. Zresztą nie tylko jego. Nie widziałem żadnej znajomej twarzy.

146

— W takim razie wszyscy twoi ludzie zginęli, bo inaczej nikt z nas nie pozwoliłby ci zjawić się tam bez ochrony. Ani ja, ani Saiki, Kudo czy Sohaku.

— Kim byli zatem ci, którzy nosili pod pachą pistolety? Wydawali się bardzo przejęci całym wydarzeniem.

— Może strażnicy? Pewnie byłeś w niewoli. — Shigeru zamknął oczy i w milczeniu odetchnął głęboko kilka razy. Potem otworzył oczy i uklonił się do samej ziemi. — Przykro mi, panie, że tak cię zawiodłem.

Genji roześmiał się.

— Jeszcze mnie nie zawiodłeś, stryju. Może z biegiem czasu znajdziemy jakieś inne rozwiązanie.

— Nie uda nam się. Jedyne, co możemy zrobić, to uchronić naszych najbliższych przed gorszym cierpieniem. Ale przyszłości nie powstrzymamy. Pożre wszystkich, którzy pozostaną. Łącznie z nami.

— Właśnie dlatego to zrobiłeś? — zapytał łagodnie Genji.

Shigeru zeszywniał nagle. Zaczął dygotać, z początku słabo, lecz wkrótce drżał na całym ciele, jakby chwyciły go konwulsje. Wreszcie wydał z siebie zduszony okrzyk i z płaczem rzucił się na podłogę.

Genji siedział bez słowa. Nie wykonał żadnego ruchu. Po kilku minutach Shigeru pozbierał się z podłogi i usiadł z pozornie spokojną miną. Genji nalał mu czarkę herbaty. Shigeru nie zaprotestował.

\ — Wiem, że to bolesne, stryju, ale pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Muszę dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co widziałeś. To jedyny sposób, abym lepiej zrozumiał swoją własną wizję.

— Rozumiem, panie. — Shigeru zachowywał się bardzo oficjalnie.

Sztywno trzymał się protokołu, żeby panować nad nerwami. — Co pewien czas, wedle twojej woli, będę odpowiadał na wszelkie pytania.

— Dziękuję ci, Shigeru. Ale na razie chyba obaj mamy już dość wizji.



Przejdźmy więc do następnej sprawy. Chciałeś mnie zabić, kiedy odwróciłem się do ciebie tyłem w drzwiach zbrojowni. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Powstrzymała mnie cisza — odparł Shigeru. — Zniknęły 147

wszystkie dźwięki i obrazy, które prześladowały mnie całymi dniami, i przypomniałem sobie słowa ojca. Wiedział, że tak się stanie. Przykazał

mi, żebym wtedy powstrzymał się od ciosu.

— Pan Kiyori był bardzo mądry — westchnął Genji. Był

jasnowidzem, dodał w myślach. A mimo to nie uniknął śmierci z rąk szalonego syna. Dlaczego? Może Shigeru miał jednak rację, mówiąc, że jesteśmy bezradni wobec losu?

Siedzieli w milczeniu. Shigeru czekał bardzo długo, lecz wreszcie nie wytrzymał i zapytał:

— Co ujrzałeś na koniec? Co błyszczało na szyi tej kobiety?

— Niestety, to jedyna rzecz, której nie pamiętam — powiedział Genji.

W rzeczywistości nawet teraz miał ją wyraźnie przed oczyma, lecz nie chciał już bardziej niepokoić stryja. I tak powiedzieli sobie bardzo wiele.

— Niedobrze. To mogłoby być dla nas bardzo cenną wskazówką.

— Owszem — przytaknął Genji. — Być może.

Shigeru nie słuchał przemowy księcia podczas zgromadzenia. Ciągle zastanawiał się nad jego wizją. Wiedział, że jeszcze wiele musi się wydarzyć, zanim dojdzie do tamtych wypadków. Wiedział, że Japonia nie podda się tak łatwo, bez względu na rosnącą siłę cudzoziemców i powolny upadek klasy samurajów. Na to potrzebne są całe lata. Wielu wojowników nie zapomniało o rycerskiej chwale. Ci będą walczyli do ostatka. Genji wybrał jednak niewolę. Okrzyknięto go zdrajcą. Shigeru miał nadzieję, że to tylko potwarz...

Z drugiej strony, przyświecał mu promyk nadziei. Pierwszy raz od tygodni mógł nieco odpocząć. Widział wyłącznie to, co wszyscy. Może szaleńczy potop myśli został powstrzymany przez tę samą tajemniczą siłę, która sprawiła, że Genji miał mieć tylko trzy wizje? Shigeru westchnął. Nie wierzył, że jest całkowicie uleczony. To byłby zbytek szczęścia. Klątwa powróci. Jeżeli jednak wizje będą rzadsze, to powinien, choćby tak jak teraz, zachować spokój ducha. Całe życie poświęcił na trening sztuk walki i umie obronić się przed nagłą napaścią. A czymże innym są jego wizje, jeżeli nie atakiem z wewnątrz?

148

Od ciosu mieczem różniły się tylko kierunkiem uderzenia. Nie mogą go pokonać.

Usłyszał imię „Hide” i zobaczył, że samuraj pochylił się w ukłonie.

Zatem Genji ogłosił przed chwilą nominację. Shigeru powiódł wzrokiem po zebranych. Niektóre twarze wyrażały głęboką dezaprobatę. Na tych trzeba najbardziej uważać, pomyślał. Zerknął na Sohaku. Spodziewał się, że i on będzie rozgniewany. Ale dowódca jazdy i tymczasowy opat klasztoru Mushindo wysłuchał słów księcia obojętnie. Shigeru wiedział

już, że będzie musiał zabić dawnego przyjaciela. Sohaku nie przejmował

się tym, co usłyszał, bo w duchu planował zdradę. Nie spodziewał się tylko jednego: że do dnia zwycięstwa cudzoziemców Genji jest nietykalny.

Szczęście nie opuszczało księcia nawet w chwili śmierci. Zginął bez strachu, skąpany w serdecznej krwi z własnego serca, w objęciach pięknej kobiety. Płakała po nim.

Któryż samuraj mógłby liczyć na więcej?

149

III

**DAIMYO**

**150**

7

# Satori

*Bitwy nie można wygrać samą szarżą. Nie każdy odwrót oznacza*

*kłękę. Szarża i odwrót są częścią tej samej strategii.*

*Odwrót musi odbywać się w ustalonym porządku i szyku. Może*

*jednak czasami wyglądać na ucieczkę. Odwrót jest częścią strategii.*

*Postępowanie wojska także należy do strategii. \*

## Suzume-no kumo (1600)

— Jimbo to nie jest twoje prawdziwe imię—zauważył Genji.

— A jakie imię można zwać prawdziwym? — spytał Jimbo. Genji roześmiał się.

— Jesteś tu obcy, a jednak ogoliłeś głowę, włożyłeś zgrzebną szatę mnicha zen i odpowiadasz mi zagadkami, niczym stary opat Zengen. To on nauczył cię naszej mowy?

— Nie, panie. Opat Zengen ocalił mi życie podczas epidemii cholery.

Ale mówić i słuchać nauczyły mnie zwykłe wiejskie dzieci, które opiekowały się mną po chorobie.

— A to ciekawe... Podejrzewam, że żadne z nich nie umie pisać.

— Ja także nie znam hieroglifów, panie.

— W takim razie masz niezwykły talent do języków. Nikt z nas, choćby spędził rok w Ameryce, pośród niepiśmiennych chłopów, nie potrafiłby nawet w połowie tak dobrze mówić po angielsku jak ty po japońsku.

151

— Dziękuję, panie, ale w imieniu moich małych nauczycieli. To im należą się pochwały.

Nagły powiew zimowego wiatru załopotał płótnem namiotu. Genji popatrzył na blade niebo. Dzień miał się ku końcowi. Przed godziną Barana trzeba wyruszyć w drogę powrotną do Edo. O zmierzchu dotrą na granicę i po ciemku przejadą przez wrogie ziemie Yoshino. O tyle lepiej, że w nocy mają mniejsze szanse spotkania z jakimś oddziałem. Jedna rzeź

w tej podróży zupełnie wystarczy, pomyślał książę.

— Przybyłeś do Japonii jako misjonarz i chrześcijanin — zwrócił się do mnicha. — Teraz praktykujesz zen. Wtedy nazywałeś się James Bohannon. Teraz każesz mówić do siebie Jimbo. Byłeś kimś jeszcze, zanim stałeś się Jamesem Bohannonem?

— Ethanem Gruzem — odparł Jimbo.

— A przedtem?

— Wołano na mnie po prostu Ethan.

— Podejrzewam, że te ciągle zmiany nie mają nic wspólnego z doktryną chrześcijańską.

— To prawda, panie.

— Ani z zen.

— To także prawda, panie.

— Zatem dlaczego?

Jimbo nie odpowiedział od razu. Opuścił oczy i najpierw wziął długi głęboki wdech, aż do przepony, do samego środka swego jestestwa, czyli do *tanden*. Wraz z wydechem pozbył się strachu, nienawiści i żądy.

— Uciekałem — odparł z prostotą.

— Przed kim?

— Przed sobą samym.

— To niełatwa sprawa. Wielu już tego próbowało, lecz nigdy nie spotkałem kogoś, kto tego dokonał. A ty?

— Tak, panie. Mnie się udało.

Ethan już kiedyś jeździł z Tomem, Peckiem i Haylowem. Nie lubił

ich, chociaż na dobrą sprawę mogli się podobać i nigdy nie sprawiali najmniejszych kłopotów. Nie lubił ich, bo

152

im nie ufał. Tego nauczył się od starego. Nawiasem mówiąc, był to pożyteczny zwyczaj, zwłaszcza przy takiej robocie. Przy napadach, rabunkach i kradzieży bydła.

„Nie koleguj się z nikim, komu nie możesz ufać, powtarzał Cruz.

Pomyślisz sobie: lubię chłopą, ale cwaniak ze mnie, więc będę czujny.

Nieprawda. W przyjaźni jest coś takiego, co tłumi ludzką uwagę. Nie pytaj mnie, bo nie wiem, co to. Polubisz kogoś, a potem, któregoś ranka, obudzisz się z siekierą w głowie. A wtedy możesz mieć pretensję wyłącznie do siebie”.

Ethan był pewny, że Cruz mówi to z własnego doświadczenia. Stary miał wgłębienie w czaszce, wypisz wymaluj od siekiery, w dodatku naznaczone długą białą blizną, na której nie rosły włosy.

„Ale przyjaźń to jeszcze nic, dodawał. Dużo gorsze są głębsze uczucia. Mówię o babach, chłopcze. Nie pokochaj żadnej, której nie będziesz mógł zaufać. I nie siedź tutaj, nie kiwaj głową i nie potakuj.

Dobrze wiem, że mnie nie posłuchasz. A wiesz dlaczego? Bo każdy z nas jest cholernie głupi. Na całym świecie nie ma ani jednej baby naprawdę godnej zaufania. Wszystkie — od pierwszej do ostatniej — to podstępne, kłamliwe i zdraдлиwe dziwki”.

Spory wpływ na jego punkt widzenia miało towarzystwo, w którym się obracał. Jako alfons najwięcej czasu spędzał właśnie wśród dziwek, a tam kłamstwo, podstęp i zdrada były na porządku dziennym.

Ethan nigdy nie dowiedział się, czy dziura w głowie Cruza była dziełem mężczyzny, czy kobiety. Podejrzewał, że zrobił to mężczyzna, chociaż pewnie chodziło o kobietę. Zazwyczaj tak bywało. Cruz uważał, że właśnie przez tę dziurę miał zaburzenia mowy, napady szału, luki w pamięci i pociąg do butelki.

„Nawet nie pamiętam, co się wtedy stało, mówił. Kość zrosła się sama, ale ślad pozostał. Odłamki uciskają mi na mózgownicę i przypominają, że bym nigdy w życiu nie zapalał uczuciem do kogoś, kto nie jest tego wart. Słyszysz, chłopcze? W gruncie rzeczy mówię o babach, ale uważaj także na facetów, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi dziwki i pieniądze. Wiesz co? W zasadzie zawsze chodzi o to samo. Dziwki i forsa. Właśnie

153

dlatego ten świat przypomina burdel. Dziwki i forsa. One to kochają”.

Ale nie zginął dla pieniędzy ani od siekiery. Poszło o pewną dziewczynkę imieniem Mary Anne. Niby nic szczególnego, nieco starsza od innych, z dwiema dziewczynkami, które musiała karmić i ubierać. Były jeszcze za małe, by zarabiać same, a Cruz czuł dziwną niechęć do pederastów i pedofilów. U mnie nikt nie będzie dymał nikogo poniżej dwunastego roku życia, oznajmił. I dotrzymał słowa. W dniu, kiedy się spotkali, zastrzelił

dwóch facetów, którzy chcieli wydymać Ethana. Wprawdzie nie było to

„u niego”, ale Ethan rzeczywiście nie miał dwunastu lat. Nie miał nawet dziesięciu. Cruz przypadkowo wszedł do stajni, usłyszał jego płacz, zobaczył, co się dzieje, i trochę nagiął własne prawa, żeby usunąć dwóch zbrojców. I usunął ich raz na zawsze.

„Coś twoi starzy kiepsko o ciebie dbają, mały, powiedział.

Potrzebujesz lepszej opieki. Chcesz, to z nimi pogadam”.

„Niech mnie pan zawoła, jak ich pan znajdzie”, poprosił Ethan.

„A więc jesteś sierotą”?

„Co to jest sierota”?

Cruz też był sierotą. Zabrał Ethana do siebie, do burdelu, i kazał Betsy go umć i dać mu jakąś pracę — na przykład ścielenie łóżek, zmywanie podłogi, nalewanie whisky i karmienie świń na zapleczu. „W zapachu świń jest coś takiego, co zmusza ludzi do jebania, powtarzał. Jebią wtedy jak ogłupiali. Tak, świnie to dobry biznes”. Ethan odparł, że nie lubi świń-

skiego smrodu. „Zmienisz zdanie, jak tu pobędziesz, powiedział Cruz. Co to za świat, w którym mali chłopcy są mniej bezpieczni w stajni niż w burdelu? Ale przecież jesteśmy tutaj”.

„Jak masz na imię, mały”?

„Ethan”.

„Ethan jak”?

„Po prostu Ethan. A pan”? „Manuał Cruz”. „Manuel Cruz”.

„Nie, do diaska! Manuał, jak zręczność manualna. Nie «Manuel», jak przymierający głodem pieprzony meksykański

154

śmieciarz. Czyja wyglądam jak pieprzony śmieciarz? Wskazał na swój nienaganny surdut. Czy ja wyglądam, jakbym przymierał głodem”?

Poklepał się po wydatnym brzuchu. „Czy ja wyglądam jak Meksykanin”?

To pytanie wydawało się trochę trudniejsze, bo Cruz był

Meksykaninem. Ethan jednak postanowił nie wypadać z roli i ponownie pokręcił głową.

Cruz roześmiał się i wesoło poklepał go po plecach. „Pewnie, że wyglądam jak pieprzony Meksykanin, bo jestem Meksykaninem. Ale nie przymieram głodem i nie grzebię w śmieciach. Moi rodzice to robili i umarli stosunkowo młodo”.

Cruz także umarł stosunkowo młodo i właśnie dlatego Ethan Cruz wraz z Tomem i Peckiem siedzieli przy ognisku, na północ od Austin, czekając na Haylowa. Ten zaś przed chwilą wrócił z wiadomością, że znalazł kryjówkę Matthew Starka.

— Niewielkie ranczo, jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć mil na północ. Ale go nie ma. — Haylow zeskoczył ze zmęczonego konia.

Niedługo będzie musiał ukraść nowego, pomyślał Ethan. Żaden wierzchowiec nie wytrzymałby długo pod jego ciężkim, trzystufuntowym cielskiem. — Gadają, że pojechał aż do Arizony, żeby go

zaprzysięgli na rangersa. Co jest do żarcia?

— Myślałem, że rangerów mają tylko w Teksasie — mruknął Tom.

— Ja też — odparł Haylow i prosto z garnka zaczerpnął pełną łyżkę fasoli. — Ale tak mówią w mieście.

— To w Arizonie biorą teraz morderców do roboty? — zdziwił się Peck.

— Nie tylko tam. Tak było zawsze i wszędzie — powiedział Haylow.

Skończył jeść fasolę i zajrzał do juków w poszukiwaniu suszonej wołowiny. — Potrzebny im ktoś z doświadczeniem.

— To my też tam możemy jechać :— wtrącił Tom. — Jesteśmy mordercami.

— Przez przypadek — zaproponował Haylow. — A oni wolą zawodowców.

- Kto jest na ranczo? — spytał Ethan.

— Tylko ta dziwka i jej dwa bękarty — odpowiedział Haylow.

155

Ethan wstał i zaczął siodłać konia. Trzej pozostali dogonili go tuż przed świtem, na wzgórzu przy ranczu Starka.

— Zaczekamy na niego? — spytał Peck. — Zrobimy zasadzkę i tak dalej?

— Niezły pomysł — przytaknął Haylow. — Słyszałem, że niedługo wraca.

— Kocha tę dziewczynę? — zapytał Ethan.

— Przywiózł ją tutaj — powiedział Haylow. — Na pewno coś do niej czuje.

— Kocha ją? — zapytał Ethan.

— A kto to poza nim może wiedzieć? — odparł Haylow. Z komina uniosła się pierwsza smuga dymu. Ktoś się obudził.

Ethan wbił pięty w boki konia i pognął w dół zbocza.

A kiedy było już po wszystkim, nie miał ochoty czekać na Starka. W

ogóle nie miał na nic ochoty. Coś ścisnęło go w brzuchu. Nie zamierzał

też wracać do El Paso. Co prawda burdel stał tam nadal, ale bez Cruza był



to tylko burdel, w dodatku śmierdzący chlewem. Ethan nigdy nie przywykł do tej woni.

Pognali małe stado Starka przez granicę i sprzedali je za pół ceny w Juarez. Nie byli pewni, czy Stark będzie ich szukał. Mogli jedynie podejrzewać, że tak się rzeczywiście stanie.

— Ja bym szukał — powiedział Peck. — Jak amen w pacierzu.

— Ja nie — odparł Tom. — Z powodu dziwki?

— A te dwie małe? — spytał Haylow. Od tamtego ranka w domu Starka roztył się jeszcze bardziej. Teraz ważył już niemal czterysta funtów. Nowy koń, niedawno kupiony w Juarez, stękał przy każdym kroku i robił bokami. Tom i Peck nic nie powiedzieli, tylko obejrzel się za siebie. To wystarczyło za odpowiedź. Haylow również spojrzął przez ramię. Z czasem dowiedzieli się, że Stark ruszył w pogoń, bo widywano go w niektórych miastach na dzień lub dwa przed ich przybyciem. W

końcu musieli się gdzieś na siebie natknąć.

— Cholera, mam tego dość — oznajmił Haylow. — Wracam do domu.

— Po kiego grzyba? — spytał Peck. — Myślisz, że w El Paso cię nie znajdzie?

156

— Nie do El Paso. Na Hawaje. — Prawdziwe imię olbrzyma zaczynało się od He'eloa i ciągnęło się przez parę sylab.

— A co tam będziesz robił? — zapytał Tom. — Mówiłeś przecież, że twoich kumpli, znajomych i rodzinę wykończyła epidemia ospy.

— Ale góry wciąż stoją. Rzeki płyną. Ocean... Ostatnio coraz bardziej tęsknię za tym wszystkim.

Byli razem aż do la Ciudad de los Angeles. Tam Peck powiedział:

„Chuj mnie to obchodzi, jak ma mnie znaleźć, to niech znajdzie tutaj”.

Tom zatrzymał się w Sacramento i podjął pracę jako alfons w saloonie swojego stryja. „W końcu nic aż tak złego nie zrobiłem, mruknął. Może najwyżej go przeproszę, a on mi przyłoży w gębę i pojedzie dalej”.

Haylow wybrał się z Ethanem aż do San Francisco, skąd chciał popłynąć statkiem na Hawaje. Rozmyślił się, gdy zobaczył morze. Ważył już wtedy blisko pięćset funtów i zamiast w siodle jeździł dwukonną bryczką.

Usiadł na kei, spojrzął na fale i rozbeczał się jak małe dziecko. „Tam znajdę tylko groby”, szlochał.

Ethan też został w San Francisco. Pewnego dnia, w drodze do knajpy, usłyszał słowa ulicznego kaznodziei. Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych do pokuty, mówił wielebny.

Ktoś ze słuchaczy powiedział głośno: Amen. Wtedy nagle coś pękło w sercu Ethana i ze łzami w oczach ukląkł na gołej ziemi. Tego samego dnia znalazł schronienie w domu misyjnym Światłości Prawdziwego Słowa Proroków Chrystusa Pana Naszego. Miesiąc później, jako misjonarz James Bohannon, wyruszył w rejs do Japonii.

Przyjął nowe nazwisko, bo czuł, że odrodził się jako zupełnie inny człowiek. Lecz prawdziwej przemiany doznał dopiero wtedy, gdy wraz z dwunastoma innymi misjonarzami przybył do wsi Kobayashi w okręgu Yamakawa. W tym samym dniu wśród chłopów wybuchła epidemia cholery. Po miesiącu ze wszystkich cudzoziemców tylko Ethan pozostał

przy życiu. Wieśniacy także umierali i całą winą za to nieszczęście obarczali misjonarzy. Ethan przeżył, bo zajął się nim opat pobliskiego klasztoru Mushindo, stary mnich imieniem Zengen. Musiał być szanowany w najbliższej okolicy, bo chłopci w lot zmienili swoje nastawienie. Przynosili jedzenie i odzież, kąpali

chorego... Najczęściej zaglądały dzieci, zaintrygowane jego wyglądem.

Nigdy przedtem nie widziały żadnego cudzoziemca.

Bariera zniknęła, gdy leżał w malinie. Tuż po przebudzeniu stwierdził ze zdumieniem, że w większości rozumie, co do niego mówią.

Sam też znał parę słów. Zanim na dobre stanął na nogi, mógł już swobodnie rozmawiać z Zengenem.

Pewnego dnia Zengen spytał: „Jak wyglądała twoja twarz, zanim poczęli się twoi rodzice”?

Ethan chciał odpowiedzieć, że nie znał rodziców, kiedy nagle zniknęło pojęcie góry, dołu, tego co wewnątrz i na zewnątrz...

Od tamtej pory Jimbo zamiast habitu misjonarza nosił szaty buddyjskiego mnicha. Robił to raczej z szacunku dla Zengena. Odzież była jak imię — nie miała znaczenia.

Jimbo nadal był Jamesem Bohannonem i Ethanem Cruzem, choć jednocześnie nie miał już z nimi nic wspólnego.

Nie opowiedział o tym księciu. Właśnie otwierał usta, żeby zacząć mówić, kiedy Genji uśmiechnął się i spytał:

— Rzeczywiście udało ci się uciec od samego siebie? W takim razie musisz być równie oświecony jak Budda Gautama.

— Nie wiem, co kryje się za słowem „oświecenie” — odparł Jimbo.

— Z każdym oddechem kolejne słowa stają się dla mnie bez znaczenia.

Wkrótce okaże się, że jedyną sensowną rzeczą, jaką powiem, będzie milczenie.

Genji roześmiał się i spojrział na Sohaku.

— Wyrósł nam lepszy od ciebie następca Zengena. To bardzo dobrze.

Pojedziesz ze mną, a on zostanie.

— Zatem to nie ten cudzoziemiec, na którego czekałeś, panie?

— Sądzę, że nie. Tamten jest teraz w pałacu Cichego Żurawia.

— Sprowadziłeś następnych misjonarzy? — Sohaku zmarszczył brwi, nie potrafiąc powściągnąć niezadowolenia.

— To mój poprzednik nawiązał kontakty z sektą Prawdziwego Słowa.

Ja tylko przejąłem jego politykę. — Genji popatrzył na siedzącego przed nim mnicha. — Właśnie dlatego tu przybyłeś, prawda?

— Tak, panie.

158

— Wkrótce spotkasz swoich rodaków — oznajmił Genji. — Przyjadą tutaj, żeby rozpocząć budowę misji. Czeka was ciężkie zadanie. Twój poprzedni towarzysze zmarli, a z trojga, którzy teraz trafili do Japonii, pozostanie zapewne dwoje.

— Trzeci jest chory, panie?

— Został trafiony kulą z muszkietu, prawdopodobnie przeznaczoną dla mnie. Bardzo mi przykro. Może to twój znajomy? Nazywa się Zephaniah Cromwell.

— Nie znam go, panie. Musiał nieco później zjawić się w San Francisco.

— Szkoda, że odbył taką długą podróż jedynie po to, by bezsensownie zginąć. Czegoś ci trzeba, Jimbo?

— Nie, panie. Opat Sohaku obficie zaopatrzył klasztor.

— A co zrobisz, kiedy przyjadą tu twoi krajanie?

— Pomogę im zbudować misję — odparł Jimbo. — Ci, którym nie dane jest usłyszeć słów Buddy, będą słuchali Chrystusa i osiągną to samo zbawienie.

— Zdrowe podejście do spraw wiary. Życzę ci szczęścia, Jimbo. A może wolisz James albo Ethan?

— Imię to tylko imię. Każde z nich jest równie dobre jak żadne.

Genji roześmiał się.

— Gdyby inni mieli podobne poglądy, historia Japonii byłaby mniej krwawa. W przeszłości i w przyszłości.

Wstał. Wojownicy natychmiast pochylili głowy i trwali w ukłonie, dopóki nie wyszedł z namiotu, eskortowany przez Shigeru. Zbliżała się pora odjazdu.

— Dasz sobie radę sam? — spytał Sohaku.

— Tak, opacie — zapewnił Jimbo. — A poza tym nie będę sam.

Dzieci mi na to nie pozwolą.

— Już nie jestem opatem — sprostował Sohaku. — Teraz to twoja rola. Dopilnuj wszystkich rytuałów. Nie zmieniaj pory medytacji. Dbaj o duchowe potrzeby chłopów; bądź przy nich w chwili narodzin i śmierci, w szczęściu i smutku. Zdołasz to uczynić?

159

— Tak, panie. Zdołam.

— W takim razie to naprawdę szczęście, że zawitałeś do nas i stałeś się, kim jesteś. Gdyby nie ty, po śmierci Zengena i moim wyjeździe świątynia stałaby zupełnie pusta. A to niedobrze. To zły omen.

Skłonił się i wstał. Jimbo odpowiedział mu podobnym ukłonem.

— Zmów za mnie sutry — poprosił dowódca jazdy. — Nadchodzą ciężkie czasy. Prędzej przegram i zginę, niż dożyję chwały.

— Umrą zwycięzcy, umrą i przegrani. Wszystkich nas to czeka —

odparł Jimbo. — Ale pomodłę się za ciebie.

— Dziękuję ci za słowa prawdy — mruknął Sohaku. Ukłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Jimbo pozostał na swoim miejscu. Chyba bezwiednie zaczął

medytować, bo kiedy znów potoczył wzrokiem w koło, był całkiem sam, w gęstych ciemnościach. Usłyszał odległy krzyk nocnego ptaka.

W górze, po swych orbitach, sunęły zimowe gwiazdy.

Przez szeroko otwarte drzwi wpadał świeży powiew, a mimo to w pokoju panował straszny zaduch. Dwie służące, Hanako i Yukiko, stały bez ruchu w kącie. Dwa dni temu prosiły szambelana, żeby pozwolił im zakrywać twarze perfumowanym szalem. Saiki twardo odmówił.

— Cudzoziemka to wytrzyma, więc wy też wytrzymacie. Nie wolno nam okazać ani krzty słabości.

— Tak, panie.

Tylko że on nie musiał przebywać z żywym trupem.

Ze swojego miejsca widziały cudzoziemkę przemawiającą do nieruchomego ciała. Nie zakrztusiła się ani razu, chociaż siedziała tuż obok źródła smrodu. Miały podziwiać jej opanowanie czy ubolewać nad jej desperacją? Była potwornie brzydka. Bez wątpienia dręczyły ją obawy, że nie znajdzie innego męża. Patrząc na nią, nikt nie mógł się temu dziwić. Pewnie dlatego nie odstępowała rannego oblubieńca.

— A co z tym drugim? — spytała Hanako. — Nie mógłby zająć jego miejsca?

— Chyba nie — odparła Yukiko. — W ogóle nie patrzy na kobiety.

— Woli chłopców?

160

— Na nich też nie patrzy. Przynajmniej nie w ten sposób.

Podajrzewam, że to prawdziwy mnich, wierny zasadom swojej wiary.

Ważniejsze jest dla niego zbawianie bliźnich niż własna satysfakcja.

„Ten drugi” zimnym wzrokiem spoglądał na dziewczynę siedzącą przy Cromwellu. Hanako przyjrzała mu się uważnie. Jego twarz nie wyrażała żadnych głębszych uczuć. Yukiko miała rację. Był pochłonięty innymi sprawami. Po chwili wstał i odszedł, zapewne aby się pomodlić albo studiować święte księgi.

Heiko uklękła przy pokojówkach.

— Och... Ten zaduch jest okropny, prawda?

— Tak, pani — odpowiedziała Hanako. — Ohydny.

— Szkoda, że nie ma tu żadnego z naszych nadzwyczaj dzielnych samurajów — dodała Heiko. — Mógłby hartować swoją wolę. Znów wszystko w rękach słabych niewiast...

Pokojówki zachichotały cicho, zasłaniając usta.

— Właśnie — powiedziała Yukiko.

— Możecie odejść — oznajmiła Heiko. — Wróćcie za godzinę.

— Pan Saiki kazał nam tu zostać — ostrożnie odparła Hanako.

— Gdyby spytał, powiedzcie, że was odesłałam, chcąc wypełnić polecenie księcia, by cudzoziemcy

czuli się swobodnie.

— Tak, pani. — Pokojówki skłoniły się z wdziękiem i wyszły.

Heiko zamknęła swój zmysł powonienia. Mogła to zrobić, bo już od dziecka nauczono ją panować nad ciałem. Ale jak radzi sobie z tym Emily? Heiko ukloniła się i przycupnęła na wolnym krześle. Siedząc na samym brzeżku, czubkami palców ledwie dosięgała podłogi.

— Co z nim? — spytała.

- Wciąż śpi. Brat Matthew myślał nawet w pewnej chwili, że już się nie obudzi.

161

— Strasznie mi przykro.

— Mnie też — odparła Emily. — Dziękuję.

Cromwell gwałtownie otworzył oczy. Popatrzył gdzieś ponad ramieniem Emily, poprzez sufit, w nieznaną przestrzeń. Głęboko zaczerpnął tchu i uniósł się na posłaniu.

— *Nadchodzą aniołowie zemsty i zmartwychwstania!* — zawołał z radosnym uśmiechem na twarzy.

— *Do kogóż się ucieczecie o wspomnienie? A gdzie zostawicie sławę waszą?*

— Amen. — Emily pochyliła się, żeby go uspokoić.

W tej samej chwili pokój eksplodował w huku i oślepiającym blasku.

Siła wybuchu wypchnęła Cromwella z łóżka i wyrzuciła go przez dziurę w dachu.

Tak jak to kiedyś przepowiedział: nie zginął od starej rany.

— Wygląda zupełnie normalnie — zauważył Taro.

— Trzy dni spokoju jeszcze nic nie znaczą — odparł Soha-ku. — Tak krótko nawet najgorszy szaleniec może udawać zupełnie zdrowego.

Niewielki orszak podążał przez Edo w stronę pałacu Cichego Żurawia. Taro i Sohaku jechali na końcu, Hide i Shimoda na przodzie, a Genji i Shigeru w środku. Nie mieli herbów ani sztandarów, twarze zaś kryli w cieniu szerokich słomianych kapeluszy w kształcie kosza. W myśl ogólnie przyjętych zasad było to oznaką, że podróżują incognito, więc przechodnie nie musieli przerywać swoich zajęć i kłaniać się do samej ziemi, jak zwykli to czynić przed księciem. Pozdrawiali ich tylko zwykłym skinieniem głowy, jak wszystkich samurajów.

— Nigdy nie był równie spokojny — powiedział Taro. — Może to książę Genji tak na niego działa?

— Chyba nie wierzysz w te legendy? — zagadnął Sohaku.

— Niby które? — spytał Taro. — Słyszałem ich bardzo wiele.

— O magicznych zdolnościach naszego pana. — Sohaku parsknął

pogardliwie. — Na przykład o tym, że potrafi kierować myślami innych.

162

— Może nie wszystkich... — mruknął Taro. — Lecz chyba nie zaprzeczysz, panie, że Shigeru bardzo się zmienił.

— Trzy dni spokoju jeszcze nic nie znaczą — powtórzył Sohaku i spojrzał przed siebie. Genji i Shigeru jechali przed nimi w takiej odległości, by nikt nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają. Jakby to miało jakieś znaczenie, pomyślał Sohaku. Zwyczajny bełkot. Nikomu niepotrzebny, idiotyczny bełkot.

— Tak jak przepowiedziałeś, Hide wybrał Shimodę na swego porucznika — odezwał się Shigeru. — A kto będzie następny? Taro?

— Niczego nie przepowiadałem — sprostował Genji. — Hide nie grzeszy wyobraźnią, ale na jego stanowisku to wcale nie przeszkadza.

Byłem przekonany, że najnormalniej w świecie wybierze najbliższych przyjaciół.

— Nie zgadzaj się na nominację Taro. To lennik Sohaku. Ich ojcowie walczyli ramię w ramię przeciwko zbuntowanym chłopom. Sohaku udzielał mu lekcji sztuk walki. Taro wszystkich technik nauczył się od niego. Nie możesz mu do końca ufać.

— Mogę, o ile Hide także mu zaufa — odparł Genji. — W pewnych sytuacjach trzeba dzielić się władzą.

— Chyba zbyt często polegasz na swojej pierwszej wizji — westchnął

Shigeru. — Weź pod uwagę, że na dobrą sprawę możesz na przykład dziesięć lat przeleżeć w śpiączce, zraniony właśnie przez Taro. Obudzisz się i dopiero wtedy zginiesz podczas wiecu.

— Wiem o tym.

— Naprawdę? To dlaczego tak prędko uznałeś, że to nie .limbo jest obcym, o którym mówił Kiyori? Mógłby uratować ci życie.

- Już to uczynił pewien cudzoziemiec, w dzień Nowego roku.

- A skąd wiesz, że to był zamach na ciebie? — spytał Shigeru. — Poza tym do Nowego Roku jest jeszcze sporo czasu.

— Cudzoziemcy używają innego kalendarza. Nie wierzysz, >c strzelano do mnie?

- Nie wierzę. Co więcej, jestem tego zupełnie pewny. Tak? Przecież cię tam nie było. Może mnie też widziałeś

w jakiejś swojej wizji?

163

— Nie, panie — odparł Shigeru oficjalnym tonem, nieco zirytowany beztroskim zachowaniem księcia. — Po prostu trochę o tym rozmyślałem. Szedłeś piechotą i wszyscy cię widzieli, a mimo to pocisk trafił w palankin. Nikt koło ciebie nie odniósł nawet najmniejszych obrażeń.

— Japończycy wciąż lepiej radzą sobie z łukiem niż bronią palną.

Używają jej tylko dlatego, że jest w modzie. Zawsze ulegaliśmy obcym wpływom.

— Nie schwytano zabójcy. Zniknął bez śladu.

— Był dość daleko, więc miał sporo czasu, by umknąć przed moimi ludźmi. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

— Moim zdaniem, to robota ninja — oznajmił Shigeru. — Strzelił do tego, do kogo chciał strzelić. Do głównego misjonarza.

— Po co? Żeby wywołać większe zamieszanie?

— Właśnie.

— Bardzo możliwe. Na pewno się tym zajmę.

Dalszą rozmowę przerwał głośny huk, dochodzący gdzieś od strony morza. Trochę przypominało to trzask pękającego pnia grubego drzewa.

Drugi, trzeci... Potem nabrzeżem wstrząsnęła seria gwałtownych wybuchów.

— Kanonada! — krzyknął Shigeru. — Obce okręty strzelają w stronę pałaców!

Genji natychmiast zaciął konia i popędził przez osłupiały tłum do pałacu Cichego Żurawia.

— Stój!

— Panie!

Nie słuchał ich. Shigeru, Hide i Shimoda pognali za nim. Taro popatrzył na Sohaku, czekając na rozkazy.

— To najlepsze, co możemy zrobić? — spytał dowódca jazdy. —

Skoczyć prosto pod lufy obcych armat?



— Panie! — Taro z trudem powstrzymywał konia, który wyraźnie chciał pogonić za odjeżdżającą grupą.

— Nasi przywódcy idą w złym kierunku — powiedział Sohaku.

164

— Co mi rozkażesz, panie?! — Taro niecierpliwił się tak samo jak wierzchowiec. Widać półroczny pobyt w klasztorze wcale nie zrobił z niego mnicha.

Sohaku skinął głową.

Taro popuścił wodze i bojowy rumak skoczył do przodu jak wystrzelony z procy. Jeździec przedstawiał niecodzienny widok — z ogoloną głową, mieczami za pasem i nisko pochylony w siodle, jakby w pełnej szarży.

Sohaku został sam. Przechodnie pochowali się po domach. Mądra decyzja, gdyby chodziło wyłącznie o miecze i łuki. W obecnej sytuacji równała się niemal samobójstwu. Równie dobrze mogli iść prosto na armaty. Sohaku wbił pięty w boki konia i pojechał za księciem.

Stark już od ponad roku nie wprawiał się w strzelaniu. Przed wyruszeniem z San Francisco powiedział Cromwellowi i Emily, że wyrzucił rewolwery do oceanu. To położyło kres ćwiczeniom. Nie mógł

strzelać, więc zabawiał się dozywaniem broni. Starał się robić to tak szybko, jak tylko możliwe. Najpierw robił to w swoim pokoju w domu misyjnym, a potem w kajucie „Gwiazdy Betlejemskiej”. Podejrzewał

jednak, że miałby kłopoty z celowaniem. Żeby nie wyjść z wprawy, musiałby postrzelać. Musiałby poczuć w dłoni drgnięcie rewolweru w momencie eksplozji prochu i przypomnieć sobie reakcję pozostałych zmysłów na huk, błysk ognia i ostry swąd dymu. Podejrzewał, że z dziesięciu kroków nadal zdołałby trafić przeciwnika w pierś. Z

dwudziestu mogło być już trochę gorzej. Ale na pewno był o wiele szybszy. O ułamek sekundy szybszy niż w dniach, kiedy zażywał

zasłużonej sławy najszybszego rewolwerowca w zachodnim Teksasie.

Przez pięć dni, które spędził w pałacu księcia, w ogóle nie dotykał

broni. Połowa ścianek rzeczywiście zrobiona była z papieru. Ciągle ktoś kręcił się po korytarzach. Jedyne miejsce, które dawało mu trochę samotności, był jego umysł. Tam więc ćwiczył.

Wyciągnąć broń.

Odciągnąć kurek.

Wymierzyć w serce.

Nacisnąć spust.

Odciągnąć kurek, żeby przeładować.

165

Wymierzyć w serce. Nacisnąć spust.

Miało to nawet kilka zalet. Umysł okazał się przenośną izbą, w której mógł praktykować zawsze i wszędzie.

Wartownicy myśleli pewnie, że w chwilach skupienia modli się albo medytuje, rozmawia z Bogiem lub „oczyszcza myśli”, powtarzając w duchu jakąś chrześcijańską mantrę, tak jak czynili to wyznawcy Buddy Amidy. A może stawał się częścią pustki, tak jak mistrzowie zen?

Cokolwiek robił, przez dłuższy czas trwał w zupełnym bezruchu. Nikt w pałacu nie widział takiego cudzoziemca. Czasami, zwłaszcza gdy siedział

wśród głązów w ogrodzie, upodabniał się do nieruchomej skały.

Wydobyć broń, odciągnąć kurek, wymierzyć, strzelić. I tak w kółko.

Ćwiczył zawzięcie, kiedy w pewnej chwili do jego uszu dobiegł

przeciągły gwizd, zmierzający właśnie w tę stronę. Wybuchu już jednak nie usłyszał.

Otworzył oczy. Dookoła panowała nieziemaska cisza. Była noc. Stał w progu i patrzył w głąb sypialni. Mary Anne spała przytulona do dwóch dziewczynek. Becky i Louise były jeszcze małe, lecz nie na tyle małe, by sypiać z matką. Powinny iść do swoich łóżeczek i pozwolić mu się położyć. We śnie wyglądały jednak tak niewinnie, że nie miał sumienia ich budzić. Cała trójka — matka i córki — była ucieleśnieniem jego cichych marzeń.

Mary Anne otworzyła oczy. Uśmiechnęła się na jego widok.

— Kocham cię — powiedziała szeptem.

Obudził go kolejny wybuch, zanim zdążył jej odpowiedzieć. Podmuch przewrócił go na plecy. Świsł i huk rozbrzmiewał coraz częściej. W

powietrzu fruwały kawałki drewna i odłamki metalu.

Obok niego chlapnęła na ziemię struga krwi. Stark uniósł głowę.

Tułów samuraja, który go pilnował, wisiał teraz wplątany w gęste gałęzie wierzby. Nogi pozostały na polerowanej posadzce werandy.

Najmądrzej byłoby poszukać jakiegoś schronienia i pozostać tam do czasu, aż ostrzał ustanie. Ucieczka nie miała jednak najmniejszego sensu.

Gdzie się ukryć? Stark nawet o tym nie pomyślał. Zerwał się i pobiegł do pokoju Cromwella. Tam parę minut temu zostawił Emily i tam też zdążyła Heiko. Emily była jedyną osobą na świecie, z którą czuł się choć 166

trochę związany. Bez niej czekała go samotność. Skąd jednak przyszła mu na myśl Heiko? Tego nie wiedział.

Z czterech budynków wokół dziedzińca jeden zniknął w dymie i kurzu. Drugi rozleciał się na oczach Starka. Wkoło padały płonące drzazgi.

Pożar ogarnął pałacowe skrzydło, w którym mieszkali goście. Ktoś dotarł tam już przed Starkiem. Jakiś krępy Japończyk przeszukiwał

zgliszcza w poszukiwaniu ocalałych.

Kuma — bo to był on — rozglądał się za czworgiem ludzi. Za Heiko, by ją uratować. Za obcymi, żeby ich ewentualnie dobić. Bombardowanie dało mu niespodziewaną szansę wejścia do pałacu. O lepszej okazji nie mógłby marzyć. Wprawdzie nie wiedział, czyje działa rozpoczęły salwę, był jednak pewny, że nie stało się to na rozkaz shoguna. Słyszałby o tym dużo wcześniej, na przykład od Kawakamiego. Kto zatem mógł być tak bezczelny, by wszczynać walkę bez porozumienia z władzą? Kuma zastanawiał się nad tym, nie przestając grzebać w rumowisku. Może wybuchła przepowiadana przez wszystkich wojna domowa? Ale to dziwne, że celem pierwszego ataku stała się pałacowa dzielnica Edo, a nie zamki, przejścia graniczne i dwa główne trakty wiodące przez całą Japonię: nadbrzeżny Tokaido i biegnący środkiem kraju Nakasendo.

Wybuchy przesuwwały się z wolna na wschód, jednakowo niszcząc rezydencje zwolenników i przeciwników shoguna. Co za upiorne czasy...

Kuma uniósł zwaloną belkę. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

— Hei-chan — powiedział. Heiko otworzyła oczy i zamrugała. Nie była śmiertelnie blada. Kuma ogarnął ją szybkim spojrzeniem. Nie zauważył żadnej rany; wszystkie kości też wydawały się na swoim miejscu. Prawdopodobnie tylko zemdląca. — Nic ci się nie stało?

— Chyba nie.

Kuma mimowolnie westchnął. Nawet nie zdawał sobie sprawy, z jakim napięciem czekał na tę odpowiedź. Opiekował się nią z rozkazu Kawakamiego od dnia, w którym po raz pierwszy trafiła do wioski. Miała wtedy trzy latka. Początkowo

traktował to tylko jako pracę. A potem wszystko nagle się zmieniło.

Jakiś czas temu poprzysiągł sobie w duchu, że nie zabije jej nawet na wyraźny rozkaz pryncypała. Ba, gotów był w zamian zabić jego.

Każdego, kto chciałby ją skrzywdzić. Genji, Kudo, czy choćby shogun...

Przyznawał w duchu, że to niezbyt profesjonalne podejście do sprawy, o wierności nie wspominając. Ale cóż miał zrobić? Kochał ją jak własne dziecko, chociaż w gruncie rzeczy była tylko narzędziem, które pomógł

stworzyć.

— Podłożyłeś bombę? — spytała Heiko.

— Nie. To armaty. Chyba od strony morza.

— Dlaczego? Wybuchła wojna?

— Nie mam pojęcia. Nie ruszaj się. Zaraz cię stamtąd wyciągnę. —

Ostrożnie uniósł ciężką belkę i odłożył ją na bok. Jego wzrok padł na pasmo jasnych włosów, rozsypanych na ramieniu Heiko. Cudzoziemka.

Natychmiast wyciągnął nóż. Wystarczy lekkie cięcie w szyję, żeby ją uśmiercić.

Stark był od niego o jakieś dwadzieścia kroków, kiedy dostrzegł błysk ostrza. W pierwszej chwili pomyślał, że Kuma zamierza coś przeciąć lub podważyć. Napotkał jednak jego zimne spojrzenie i wszystko zrozumiał.

W ten sam sposób patrzyli jego przeciwnicy znad lufy rewolweru.

Kuma na widok Starka wypuścił nóż i sięgnął do pasa, za którym miał

schowane metalowe gwiazdy o zaostrzonych brzegach zwane *shuriken* i przeznaczone do miotania. Stark stał co prawda dość daleko, poza zasięgiem dobrego rzutu, lecz Kuma liczył na to, że nawet jeśli spudłuje za pierwszym razem, to za drugim na pewno go trafi. Żeby skrócić dystans, pobiegł w stronę przeciwnika, po drodze wykonując zamach.

Stark w tej samej chwili chwycił trzydziestkędwójkę, ukrytą pod koszulą na lewym boku. Pojedynki, które toczył w myślach, sprawiły, że zareagował zupełnie odruchowo. Wyrwał rewolwer z kabury i wystrzelił

o drgnienie serca wcześniej, niż Kuma zdążył rzucić śmiertelne ostrze. Niestety, zabrakło mu dawnej celności. Kula zrykoszetowała na kamieniach na prawo od Japończyka.

Huk wystrzału zaskoczył Kumę i on także spudłował. Wirujący *shuriken* przeleciał nad lewym ramieniem Starka. Kuma jednak nie zwolnił kroku i sięgnął po następne ostrze.

Miał więcej doświadczenia w walce niż Amerykanin, lecz cofnięcie ręki, wydobycie broni i przygotowanie do drugiego rzutu zajęło mu całą sekundę. Stark dwukrotnie szybciej zdołał odciągnąć kurek, wycelować i nacisnąć cyngiel.

Drugi pocisk trafił Kumę w pierś i przewrócił na wznak. *Shuriken* wyleciał pionowo w powietrze i z brzękiem upadł na ziemię w zniszczonym ogrodzie.

Stark podszedł bliżej, gotów do następnego strzału, ale szybki rzut oka na leżącego Kumę przekonał go, że nie musi marnować amunicji.

Schował rewolwer i podbiegł do uwięzionych pod gruzami kobiet.

Bombardowanie ustało. W nagłej ciszy do uszu Starka dobiegło echo szybkich kroków. Znów błyskawicznie sięgnął do ukrytej broni, ale w porę rozpoznał dwóch nowo przybyłych samurajów.

Genji minął resztki strzaskanej bramy, zeskoczył z siodła i przez ruiny pobiegł do środkowej części pałacu. Wielebny Cromwell leżał w pokoju wychodzącym na wewnętrzny ogród. Heiko powinna być przy nim.

Zdziwiło go, że o niej pomyślał. Chyba najpierw powinien zająć się obroną lub ewakuacją... Tak krótki ostrzał mógł być tylko wstępem do lądowania wojsk inwazyjnych. A co z obcymi?, przemknęło mu przez głowę. Chodziło mu zwłaszcza o Matthew Starka. Skłamał, kiedy powiedział opatowi, że to umierający Zephaniah Cromwell jest cudzoziemcem z wizji Kiyoriego. Stark nie wyglądał na misjonarza.

Dziadek na pewno mówił właśnie o nim. Zresztą nieważne. Genji kręcił

się wśród gruzów pałacu Cichego Żurawia, myśląc wyłącznie o Heiko.

Bez niej życie byłoby potwornie nudne. Pominąwszy nawet — wciąż niepotwierdzony — dar jasnowidzenia, nikt poza nią nie potrafił go niczym zaskoczyć. Trzej doradcy, których odziedziczył w spadku, Saiki, Kudo i Sohaku, obawiali się zdecydowanej akcji. Zachowywali się niczym dostojni starcy, chociaż najstarszy z nich, czyli Saiki, nie prze-kroczył jeszcze czterdziestki. A gdyby kogoś mierzyć według 169

przyjaciół i wrogów, to jakimże przeciwnikiem był dla niego tępą i ociążały szpieg shoguna, Lepkie Oko Kawakami? Czyżby naprawdę sądził, że uroda Heiko każe księciu zapomnieć o wszelkich podejrzeniach? Genji wcale nie musiał jej śledzić, żeby wiedzieć, kto ją nasłał. Nie mógł to być nikt inny. Jeśli zaś chodzi o miłość... Cóż, najpiękniejsza gejsza w Edo nie zakochałaby się bez powodu w księciu z odległej prowincji. Z sześćdziesięciu wielkich feudałów, wchodzących w skład elity, co najmniej pięćdziesięciu było bogatszych i potężniejszych niż Genji.

A mimo to zdyszany, z sercem w gardle i duszą na ramieniu, przeszukiwał ruiny, bojąc się najgorszego. Nie wyobrażał sobie życia bez Heiko. Jak w ogóle do tego doszło? Kiedy? Nie pamiętał. Nie wyobrażał

sobie życia bez dziewczyny, która na pewno była szpiegiem i zwykłą morderczynią.

— Panie! — Ze zniszczonej komnaty wyłonił się kulejący Saiki. Krew ciekła mu z niewielkiej rany na czole. — Nie powinieneś tu przychodzić.

Wróg lada chwila może wznowić ostrzał.

— Gdzie Heiko? — zapytał Genji. Serce waliło mu tak głośno, jakby huczały działa. Pobiegnął do zrujnowanego skrzydła, w którym mieściły się pokoje gości, i zobaczył jakiegoś nieznanego grubaska z błyszczącym ostrzem w dłoni. Chwilę później wirująca gwiazda pomknęła w stronę Starka. Amerykanin szybciej niż ninja dobył ukrytej broni i dwukrotnie wypalił. Grubas upadł po drugim strzale.

— Co to za hałasy? — Saiki dowlóknął się do księcia.

— Chodź — odpowiedział Genji. — Zdaje się, że Stark ją znalazł.

— Hei-chan. — Heiko otworzyła oczy na dźwięk swego imienia.

Westchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła nad sobą pocziwą twarz Kумы.

Gdzieś nad nim widniał skrawek nieba. — Nic ci się nie stało?

— Chyba nie — odparła.

Kuma uśmiechnął się i zaczął odrzucać na bok przygniatające ją kawałki stropu.

— Podłożyłeś bombę? — zapytała.

Łagodność znikła z jego oczu. Przestał się uśmiechać i wyciągnął nóż.

Heiko od razu domyśliła się, co chce zrobić. Czowała głowę Emily na swoim ramieniu.

170

— Nie, Kuma. Nie...

Kuma poderwał się raptownie, spojrzawszy w bok, rzucił nóż na ziemię i zniknął z pola widzenia. Rozległy się dwa szybkie strzały i zapadła przejmująca cisza. Potem Matthew Stark zajął miejsce Kумы i bez słowa przystąpił do pracy. Nagle przerwał i sięgnął dłonią do lewego boku. To on strzelał, zrozumiała Heiko. Miał rewolwer schowany pod koszulą.

Teraz jednak rozpoznał chyba nadchodzących, bo po chwili opuścił rękę.

— Nie ruszaj jej — powiedział Genji, patrząc na gejszę. — Nie wiemy, czy nie jest ranna. Lepiej zaczekać na doktora Ozawę.

Heiko usiadła.

— Nic mi nie dolega, panie. Najwyżej mam parę sińców. Doktor przyda się gdzie indziej. — Zewsząd, z bliska i z daleka, dobiegały okrzyki bólu i przerażenia. Kuma musiał podłożyć więcej niż jedną bombę. Ale dlaczego mnie nie ostrzegł?, pomyślała Heiko. To do niego niepodobne. Nie, to musiał być ktoś inny... Kuma nigdy nie naraziłby jej na takie ryzyko. A więc armaty? Trudno w to uwierzyć. Postanowiła sobie w duchu, że następnym razem szczerze porozmawia z Kumą.

Chociaż to urodzony oszust, przed nią nie potrafił kłamać. Wstała i zrobiła dwa ostrożne kroki.

— Uważaj, proszę. — Genji objął ją w pasie i podtrzymał. — Możesz nawet nie wiedzieć, że jesteś ciężko ranna. — Na jego twarzy, zwykle spokojnej, nawet w najgorszych sytuacjach, malowała się głęboka troska.

Ściągnął brwi i zmarszczył czoło. Nie uśmiechał się już tak jak zwykle —

nieznacznym, nieco pogardliwym uśmieszkiem.

To zdumiało ją o wiele bardziej niż wybuchy, które zniszczyły pałac.

Serce zatrzepotało jej z radości i uśmiechnęła się mimo woli. Wtedy Genji zrobił coś jeszcze bardziej zaskakującego. Objął ją i mocno przytulił.

Saiki w osłupieniu patrzył na ten nagły wybuch uczuć.

171

Zakłopotany, szybko odwrócił głowę i zobaczył, że Hide i Shimoda z otwartymi ustami gapią się na księcia.

— Co tak stoicie, jak para przyglupów? — ofuknął ich. — Sprawdźcie umocnienia. Gotujcie się do walki.

— Okręty wychodzą w morze — poinformował Hide. — Nie było lądowania.

— Okręty?

— Tak, panie. Trzy, i to pod pełną parą. Widzieliśmy czerwono-biało-niebieską flagę. Przedtem ostrzelały z armat dosłownie całe Tsukiji.

— Więc to robota obcych?! — spytał Saiki drżącym z wściekłości głosem.

— Tak, panie — odpowiedział Hide.

— Jaka to była flaga? Holendrzy, Francuzi, Anglicy i Amerykanie używają tych samych kolorów!

— Tam było chyba coś więcej... — zafrasował się Hide. — Prawda?

— Całkiem możliwe — niezobowiązująco przytaknął Shimoda.

— Znakomicie — burknął Saiki. — Bystry z was chłopcy. Wiemy więc tylko tyle, że to nie Rosjanie. Niemców i Holendrów także można wykluczyć. Pozostają Francuzi, Anglicy lub Amerykanie.

— Albo też wszyscy naraz — powiedział Shimoda. — Tam mogły być różne flagi.

— Pomóżcie mi — wtrącił Stark.

Mówił po angielsku, lecz Hide i Shimoda od razu zrozumieli, o co chodzi. Skłonili się szambelanowi i podeszli do Amerykanina.

— Pomału — mruknął Stark. Z pomocą samurajów uniósł ciężką belkę, spoczywającą na plecach Emily. Na szczęście jeden koniec belki wspierał się o wpół zawaloną ścianę. Jeśli najpierw uderzył w mur, to dziewczyna nie powinna była doznać zbyt groźnych obrażeń. Jednak na razie leżała nieprzytomna, twarzą do ziemi. Nie poruszyła się, odkąd ją znaleźli. Stark klęknął przy niej i powoli przesunął ręką po jej plecach, badając, czy nie ma złamań. Kiedy dotarł dłonią do końca kręgosłupa, Emily gwałtownie otworzyła oczy. Odetchnęła płytko i nerwowo, przewróciła się na wznak i kopnęła Starka prosto w brzuch. Amerykanin 172

rozciągnął się jak długi. Emily błyskawicznie zerwała się na równe nogi i rozejrzała wokół, gotowa do ucieczki.

— Emily! — Heiko wyzwoliła się z objęć księcia. — Już po wszystkim. — Pomału podeszła do wystraszonej dziewczyny. — Pan Genji przybył nam z odsieczą. Na pewno nic nam się nie stanie.

— Heiko... — Emily spojrzała na nią przytomniejszym wzrokiem.

Opadło z niej całe napięcie, zachwiała się i ze szlochem osunęła w ramiona gejszy. — Już myślałam... — Urwała nagle, ale Heiko i tak wiedziała, co chciała jej powiedzieć. Zmory przeszłości. Przekleństwo wielu kobiet. Złe wspomnienia, od których niepodobna uciec.

— Niech nas chroni łaska wszystkich buddów i bogów! —

wymamrotał Saiki. Prędko odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na kolejną gorszącą demonstrację uczuć. Cudzoziemce nie miał tego za złe. W

końcu, tak jak jej krajanie, należy do rasy zwykłych barbarzyńców. Ale Heiko? Zachowanie gejszy w każdej sytuacji powinno być bez zarzutu.

Saiki zrozumiał nareszcie jedno; cudzoziemcy są zarazą, którą trzeba szybko wytepić. Im szybciej, tym lepiej. Sama ich obecność była wbrew uświęconym tradycją pradawnym zwyczajom. Dowód na to miał właśnie przed oczyma. Jego pan, potomek szacownego rodu, obściskiwał gejszę niczym jakiś pijak w dzielnicy Yoshiwara. Gejsza zaś, jedna z najszlachetniejszych w Edo, kleiła się do cudzoziemki, jakby wiedziona wulgarną miłością.



Tu nie wystarczy nawet potęga buddów i bogów, pomyślał Saiki.

Ponoć jesteśmy narodem wojowników. Tak osłabiliśmy, że cudzoziemcy niszczą pałace w stołecznym mieście i nikt nie ma siły im się przeciwstawić. W odruchu złości chwycił za rękojeść miecza, lecz nie dobył broni. Nie miał jej przeciw komu użyć.

— Nie przypuszczałem, że potrafisz tak kopać — powiedział /.

uśmiechem Stark do Emily.

— Przepraszam, Matthew. Wpadłam w panikę.

— Nic się nie stało. — Pochylił się i podniósł z ziemi nóż porzucony przez Kumę.

173

Saiki natychmiast wyciągnął miecz.

— To niepotrzebne — powiedział Genji. — Kogo chciał zabić? —

zapytał Starka. — Heiko czy Emily?

Popatrzyli na nieruchome ciało. Stark pokręcił głową.

— Znasz go?

— Nie — odparł Genji. — A ty? — zwrócił się do Heiko. Słyszac dwa strzały i nic więcej, była przekonana, że Kuma uciekł. Zawsze wychodził cało z najgorszych opresji. Nogi się pod nią ugięły, gdy zobaczyła trupa. Zamknęła oczy i wsparła się na ramieniu księcia. Udała słabość, żeby nie zauważył jej rozpacz. Kuma był

martwy!

— Nie, panie — odpowiedziała.

— Doradcy shoguna, chociaż bardzo słabi, na pewno nie puszczą płazem tej zniewagi! — wykrzyknął Saiki.

Genji popatrzył na ruiny Cichego Żurawia.

— To żadna zniewaga — powiedział. — Spaliśmy przez trzy stulecia, śniąc sny dawnych wojowników. Wreszcie coś nas obudziło. To wszystko.

174

# Makkyo

*Zdaniem jednych, zwycięża ten, kto jest lepszym strategiem.*

*Inni ufają męstwu.*

*Jeszcze inni z nadzieją wierzą w bogów.*

*Wreszcie są też tacy, którzy najbardziej wierzą w szpiegów, zabójców, zdradę, korupcję, strach i chciwość.*

*To wszystko razem tylko mrzonki. Dlaczego? Bardzo proste —*

*wystarczy raz pomyśleć o zwycięstwie, żeby wpaść w sidła fałszu i zapomnieć o rzeczywistości.*

*Czymże bowiem jest rzeczywistość? Sam się dowiesz, kiedy ujrzysz*

*błysk miecza w rękach wroga.*

*A jeśli nie, to znak, że zmarnowałeś życie.*

Suzume-no kumo (1599)

— Źle się stało, wielbny opacie, że nie zabrałeś ze sobą z klasztoru cudzoziemca — powiedział Saiki. — Zgodnie z przepowiednią, któryś z nich, w dzień Nowego Roku, uratuje życie naszemu panu. Ale ciągle nie wiemy który.

Sohaku zignorował ledwie uchwytną drwinę w głosie szam-belana przy słowach „wielbny opacie”.

— Namawiałem księcia, by to zrobił — odparł. — Stanowczo odmówił. Oznajmił mi, że spotkał właściwego człowieka, i że ta część przepowiedni już dawno się spełniła.

\_ Pan Kiyori nam trzem powierzył opiekę nad wnukiem —

175

wtrącił Kudo. — A to oznacza, że czasami musimy być bardziej uparci, nawet wbrew woli naszego młodego pana. Jego życie jest dużo cenniejsze niż łaski, którymi tak hojnie nas obdarza.

— Wiem o tym — powiedział Sohaku — ale przecież nie mogę sprzeciwiać się wyraźnym rozkazom.

— Słaba wymówka — mruknął Saiki. — Mogłeś namówić cudzoziemca, żeby sam przybył do Edo. Księżciu powiedziałbyś, że zaszło zwykłe nieporozumienie. Na pewno by uwierzył.

— Dziękuję za naukę — odparł Sohaku i skłonił się z przesadą, chociaż w duchu aż się zagotował z gniewu. — I proszę o dalsze rady.

Jakim to „nieporozumieniem” mógłbym go przekonać, że pan Shigeru nie powinien wracać do czynnej służby?

— Dziękuję, że zwróciłeś nam na to uwagę — powiedział Saiki, kłaniając się jeszcze niżej. — Opowiedz o tym, jeśli łaska, ze wszystkimi szczegółami. Jestem zbyt głupi, by od razu pojąć, jak w twojej obecności mogło dojść do tak niezwyklej i groźnej sytuacji.

— Może rozmawiajmy odrobinę ciszej — zaproponował Kudo. —

Słysząc nas w całej okolicy. — Po prawdzie, Saiki i Sohaku mówili półgłosem, ale zbytnia uprzejmość też była złym znakiem. W ten sposób zaczynało się wiele pojedynków. Kudo wtrącił się wyłącznie po to, aby choć trochę rozładować gwałtownie rosnące napięcie.

Siedzieli we trójkę w jednej ze zniszczonych komnat od strony ogrodu. Zakrawało na cud, że sam ogród wyszedł z bombardowania bez najmniejszego szwanku. Nawet równo zagrabione ścieżki pozostały nietknięte. Nie można było tego powiedzieć o komnacie. Dach, ściany i część podłogi po prostu zniknęły. Saiki, Sohaku i Kudo znaleźli sobie miejsce w kącie, na kawałku ocalałej maty. Za nieistniejącymi drzwiami czekał niewielki oddział samurajów. Zmiana otoczenia nie miała żadnego wpływu na ich postawę i zachowanie. Wszyscy zachowywali się zgodnie z etykietą.

— W tej chwili w całym mieście dominuje strach, niewiara i zakłopotanie — ciągnął Kudo. — Nikt nie wie, kto naprawdę stoi za tymi atakami. Ludzie spoglądają na nas i oczekują

176  
jakiejs odpowiedzi. Przecież jesteśmy przywódcami. Nie obwiniajmy się nawzajem, lecz przejdźmy do konkretnych działań.

— Odpowiedzi nie są teraz istotne — odparł Saiki. — W tej chwili najważniejsze jest nasze zachowanie. Jeżeli zachowamy godność, to cała reszta bez zbędnych pytań pójdzie w nasze ślady. Nie muszą nic wiedzieć.

Sohaku lekko pochylił się w jego stronę.

— Nie ma sensu, żebyśmy się kłócili o takie drobiazgi, jak cudzoziemcy albo Shigeru. Mamy poważniejsze zmartwienia.

— Właśnie — przytaknął Kudo. — Trzeba podjąć decyzję w najpilniejszej sprawie.

— Moim zdaniem wniosek nasuwa się sam — powiedział Saiki.

Kudo i Sohaku popatrzyli na siebie zaskoczeni.

— Coś się zmieniło? — spytał Sohaku. — Ostatnim razem, kiedy cię widziałem, mówiłeś, że zarząd nad prowincją powinien jak najszybciej przejść w ręce regenta. O ile dobrze pamiętam, uważałeś, że książę jest dyletantem, który doprowadzi nasz klan do upadku.

— Może nie tyle dyletantem, co raczej człowiekiem zbyt wysublimowanym jak na dzisiejsze czasy...  
— bronił się Saiki.

— A co z jego wielką miłością do chrześcijan? — dorzucił Kudo. —

W tej sprawie też zmieniłeś zdanie?

— Ależ skąd! Wciąż uważam to za ogromne zagrożenie. — Saiki przypomniał sobie czułe sceny, które oglądał zaledwie przed godziną. —

Może nawet większe niż przedtem. Musimy podjąć przeciwko nim bardziej zdecydowane kroki...  
Jeśli potrzeba, bez wiedzy i zezwolenia księcia.

Kudo z ulgą pokiwał głową.

— Wziąwszy to wszystko pod uwagę, trudno się dziwić, że tak szybko zmienił stosunek do stryja.

— To nie tak... — zaproponował Saiki. — Zgadzam się, że z pozoru to trochę niezwykle, ale bez trudu da się wytłumaczyć takie zachowanie.

Księżę postąpił bardzo mądrze, ze względu na wróżbę...

— Jaką wróżbę?! — wykrzyknął ze złością Sohaku. — Od kiedy to wierzysz w bajki? Również dwadzieścia lat służyłem 177

panu Kiyoriemu i ani razu nie słyszałem, żeby przepowiedział

przyszłość. A księżę Genji myśli tylko o tym, z którą gejszą spędzi nadchodzący wieczór i jaką sake zamówi na dworskie spotkanie, połączone jak zwykle z gapieniem się na księżyc!

— Shigeru to szaleniec — dodał Kudo, zwracając się do Saikiego. —

Byłem z tymi, którzy go schwytali. Gdybyś go zobaczył, nie miałbyś ochoty tak łatwo mu przebaczyć. Siedział i śmiał się, cały umazany krwią swoich najbliższych. Przed nim spoczywały ciała jego żony, syna i dwóch córek. Nawet gdybym naprawdę chciał, nigdy tego nie zapomnę.

— Tak, rozumiem — powiedział Saiki.

Kudo i Sohaku znów spojrzeli na siebie, lecz tym razem z niemą rezygnacją. Saiki za każdym razem mówił „Tak, rozumiem”, kiedy już w duchu podjął decyzję i nie zamierzał jej wcale zmieniać.

— Ufam, że wasze spostrzeżenia są prawdziwe — ciągnął Saiki. —

Ale z drugiej strony, sam zmieniłem pogląd na osobę księcia. Nie mam wprawdzie dowodów, że jest jasnowidzem, chociaż nie wykluczam takiej możliwości. — Wskazał na wschodnią część ogrodu, gdzie mieściły się wewnętrzne komnaty pałacu.

Sohaku spojrział w tamtą stronę.

— Nie widzę nic oprócz sterty gruzu. Jeszcze jeden powód, by dokonać drastycznych zmian.

— Też patrzę na gruzy — odpowiedział Saiki — lecz widzę coś, czego ty zdajesz się nie dostrzegać.

— Co to znaczy?

— Tam była komnata księcia.

— Wiem. I co z tego?

— Byłby tam dzisiaj, gdyby „przypadkiem” nie udał się do Mushindo.

— W oczach rozmówców błysnęło zrozumienie. Saiki uśmiechnął się z wyższością.

— Nie mógł wiedzieć, że nas ostrzelają — mruknął Kudo lekko drżącym głosem.

— Ale wygląda na to, że wiedział — odparł Saiki.

— To niczego nie dowodzi — obruszył się Sohaku.

— Ani niczemu nie zaprzecza — odciął się Saiki.

178

— Skoro wiedział, to dlaczego nas nie próbował ostrzec? — spytał

Sohaku.

— Wcale nie twierdzę, że znam się na prorocत्वach — odpowiedział

Saiki. — Wolałbym jednak na razie powstrzymać się od dalszych wniosków. Teraz pora ruszać w drogę. W Edo zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

— Chcesz wyjechać do Chmary Wróbli? — zapytał Sohaku.

— Owszem.

— To trudna sprawa, choćby z praktycznego punktu widzenia —

powiedział. — Droga z Edo do Akaoki w większości wiedzie przez ziemie wrogów. Morze Wewnętrzne samo w sobie nie jest zbyt groźną przeszkodą, lecz krążą po nim łodzie patrolowe floty shoguna. Ciężko nam będzie wrócić do domu. To duże ryzyko.

— Wolę ryzyko od pewnej śmierci — odparł Saiki. — Nie wolno nam tutaj zostać.

— To wcale jeszcze nie koniec przeszkód — odezwał się Kudo. —

Shogun nikomu nie zezwolił na wyjazd ze stolicy.

— Moim panem jest Okumichi-no kami Genji, księżę Akaoki —

przypomniał Saiki — a nie jakiś uzurpator, który przywłaszczył sobie tytuł shoguna i zamieszkał na zamku Edo. — Ukłonił się i wstał. — Jeżeli księżę każe mi go słuchać, zrobię to bez sprzeciwu. Jeżeli każe mi go zabić, to prędzej zginę, niż odstąpię od tego zadania. Wiem, kim jestem.

Wierzę, że z wami jest tak samo. — Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł w stronę komnaty księcia.

— Uparty starzec — mruknął Kudo.

— Za młodu też był taki — parsknął z niechęcią Sohaku. — Z wiekiem nic się nie zmienił.

— Teraz nie zgodzi się na regencję. Jest święcie przekonany, że Genji potrafi przewidywać przyszłość.

Nie padło ani jedno słowo więcej. Po długim milczeniu Kudo i Sohaku spojrzeli sobie prosto w oczy, równocześnie skłonili się i wstali.

— Przykro mi, Emily — powiedział Stark. — Niczego nie znalazłem.

Przepadł bez śladu.

179

— Zapewne tak jak to przewidział, zabrali go aniołowie — odparła i uśmiechnęła się smutno na znak, że w to nie wierzy.

— Co teraz zrobisz? — spytał.

— To, co muszę. Zabiorę wszystko, co nam ocalało, spakuję się i następnym statkiem wrócę do Ameryki. — Myśl o powrocie sprawiła, że coś ścisnęło ją w piersiach. Poczowała łzy pod powiekami. Nagle usiadła wprost na ziemi, na ruinach tego, co było kiedyś pokojem. Znalazła przystań, w której istnienie niemal nie wierzyła. Tu wyznawano inne kanony piękna i uważano ją za zwyczajnie szpetną. Znalazła to — i przez jeden strzał wszystko straciła. Czowała, że to dla niej za wiele. Nie była aż tak dzielna.

Stark ukląkł przy niej, wziął ją w ramiona i wsparł jej głowę na swojej piersi. Widocznie źle zrozumiał jej rozpacz, bo powiedział:

— Nie płacz. Po powrocie do domu na pewno poczujesz się lepiej.

To sprawiło, że rozpląkała się jeszcze bardziej. Stark tulił ją bezradnie, mówiąc:

— Emily... Jeszcze jesteś młoda. Twoje życie dopiero się zaczyna.

Niebo będzie dla ciebie łaskawe. Znajdziesz nową miłość. Wiem, że tak będzie.

Emily chciała mu powiedzieć, że wcale nie pragnie miłości, lecz spokoju. Słowa jednak nie potrafiły przebić się przez jej rozdzierający smutek.

Kiedy umilkła kanonada, Shigeru poszedł pełnić wartę na resztkach murów i obwałowania. Wewnątrz pałacu było bezpiecznie. Gdyby ktoś jednak rzeczywiście czyhał na życie księcia, mógł skorzystać z zamieszania, by przedrzeć się przez ochronę. Shigeru był pewny, że Sohaku nie jest teraz gotowy do działania. Najpierw musiał porozumieć się z Saikim i Kudo. Jedyne zagrożenie pochodzi z zewnątrz. Shigeru w duchu liczył na spotkanie z wrogiem. To byłby dobry trening. O Sohaku będzie martwił się później, tak samo jak o Saiki i Kudo. Szkoda, pomyślał, że w momencie takiego zagrożenia należy zabić trzech najstarszych i najbardziej doświadczonych członków klanu. Strata Sohaku będzie najdotkliwszym ciosem, nawet

180

gdyby Saiki i Kudo dochowali wierności księciu. Dowódca jazdy jak mało kto znał się na strategii i sztukach walki. Na dobrą sprawę, mógł się równać ze mną, rozmyślał Shigeru.

Jego uwagę zwrócił stuk kopyt. Zbliżali się dwaj jeźdźcy... a za nimi około czterdziestu lub pięćdziesięciu piechurów. Truchtali równym, wyszkolonym krokiem. A zatem oddział wojska. Shigeru rozluźnił

mięśnie ramion i wziął spokojny oddech. Był gotów.

Chwilę później, w głębi ulicy biegnącej wzdłuż pałacowych murów ukazał się na czarnym koniu szef tajnej policji shogu-natu, Lepkie Oko Kawakami. Obok, na odpowiednio gorszej siwej kłaczycy jechał jego pomocnik, Mukai. Z tyłu biegło czterdziestu pieszych samurajów.

Kawakami gwałtownie ściągnął wodze. Na jego twarzy odbił się wyraz zdumienia, kiedy rozpoznał wartownika.

— Pan Shigeru? Nie słyszałem, żebyś wybierał się do Edo.

— Zjechałem chwilę temu, panie Kawakami. Nie miałem okazji, by powiadomić cię o moim przybyciu.

— Nie chciałbym robić ci wymówek, ale nie wiedziałem, gdzie się podziewasz.

— Och... To karygodne! — Shigeru skłonił się, lecz przez cały czas patrzył na Kawakamiego. — Sprawdź, kto z moich podwładnych dopuścił się tego niedbalstwa. Winni bez wątpienia zostaną ukarani.

— Wierzę — mruknął Kawakami. — A tymczasem pozwól mi wejść do pałacu i dokonać niezbędnych oględzin.

— Przykro mi, ale muszę odmówić twej prośbie, panie. Nikt nie zawiadomił nas o inspekcji.

— To nie prośba. — Kawakami trącił piętami konia i podjechał

odrobinę bliżej. Oddział postępował tuż za nim. — Z rozkazu shoguna mam ocenić straty i porozmawiać ze wszystkimi ocalałymi książętami.

Odsuń się łaskawie, panie.

Shigeru dobył obu mieczy miękkim i naturalnym ruchem, niczym żuraw rozkładający skrzydła. Przed chwilą stał z opuszczonymi dłońmi.

Teraz w prawym ręku dzierżył dłuższy miecz — katanę, a w lewym krótszy wakizashi. W jego postawie na pozór nic się nie zmieniło. Nie wyglądało na to, by był gotowy do ataku czy obrony. Wręcz przeciwnie, komuś

181

patrzącemu z boku mogłoby się zdawać, że zamierza poddać się bez walki.

Kawakami oczywiście wiedział, że to nieprawda. Jak wszyscy samuraje dokładnie przeczytał *Gorin-no sho*, klasyczny traktat Miyamoto Musashiego o szermierce. Shigeru stał w tak zwanej ostatniej postawie przed walką, wyrażającej *ku* — pustkę. Stał w gotowości, otwarty na wszystko, nieoczekujący niczego, przyjmujący to, co się zdarzy. W

dawnych czasach potrafił to tylko jeden człowiek — sam Musashi. Drugi zjawił się po z górą dwóch stuleciach. Shigeru.

Na znak Kawakamiego czterdzieści mieczy zamigotało w bladym słońcu. Samuraje z trzech stron otoczyli samotnego wojownika. Nie mogli go zająć od tyłu, bo musieliby zejść z ulicy i wkroczyć na teren pałacu, a nikt jeszcze nie wydał im takiego rozkazu.

Kawakami nie dobył broni. Siedząc na koniu, zatrzymał się w bezpiecznej odległości od spodziewanej walki.

— Odmawiasz wykonania rozkazów shoguna? — spytał.

— Przecież wiesz, panie, że nie jestem u niego na służbie —

odpowiedział Shigeru. — Nie spotkał mnie ten przywilej. Słucham wyłącznie poleceń mego pana. Inne dla mnie nie istnieją. — Z postawy przeciwnika wnosił, że Kawakami nie jest doświadczonym jeźdźcem. Nie zdołałby zawrócić konia, by umknąć przed atakiem. Shigeru oceniał

dzielącą ich odległość na pięć uderzeń serca. W tym czasie musiałby pokonać co najmniej z tuzin



samurajów, lecz to nie było dla niego zmartwieniem. Widział, że ich mięśnie tężeją ze strachu. Na dobrą sprawę wszyscy już nie żyli.

— Pan Kawakami? Co za niespodzianka! — Saiki swobodnym krokiem wyszedł z rumowiska. Zdawał się nie dostrzegać wyciągniętych mieczy. — Wybacz, panie, że nie zapraszam cię na poczęstunek, lecz jak sam widzisz, brak nam odpowiedniego miejsca, by podejmować tak dostojnych gości. Może następnym razem?

— Saiki! Porozmawiaj z panem Shigeru. — Kawakami pogładził kark niespokojnego konia. — Przemów mu do rozsądku. Wbrew wyraźnym rozkazom shoguna, nie chce wpuścić mnie do pałacu.

182

— Obawiam się, że ma rację, panie — powiedział Saiki, bez najmniejszych obaw podchodząc do samurajów. — To jego niezbywalne prawo.

— Co takiego?

— Zgodnie z układem z Osaki, shogun musi z dwutygodniowym wyprzedzeniem powiadomić każdego z książąt o inspekcji. Z przykrością stwierdzam, że choć jestem zarządcą Akaoki, nie otrzymałem stosownego pisma.

— Układ z Osaki podpisano ponad dwa i pół wieku temu!

— Ale wciąż obowiązuje — odparł Saiki z głębokim ukłonem, uśmiechając się szeroko.

Kawakami zrobił chytrą minę.

— Traci ważność na wypadek wojny — burknął.

— Owszem. Lecz nie mamy wojny.

W tej samej chwili z trzaskiem runął dom, płonący po drugiej stronie ulicy. Koń Kawakamiego ze strachu stanął dęba. Uplłynęło trochę czasu, zanim jeździec zdołał nad nim zapanować.

— To nie wojna? Może teatr?

— Chodzi mi o dopełnienie wszelkich formalności zawartych w protokołach wspomnianej umowy — powiedział Saiki. — Pytam zatem: czy shogun wypowiedział komuś wojnę?

Kawakami łypnął na niego ponuro.

— Nie.

Gwałtownie zawrócił wierzchowca i odjechał. Mukai rozkazał

samurajom schować broń i dał sygnał do odwrotu.

— Stuprocentowy dyplomata — mruknął Shigeru, odkładając miecze.

— Dziękuję — odparł Saiki, chociaż doskonale wiedział, że to nie komplement. — Widzę, że znów jesteś sobą, panie. W samą porę.

— Panie — powiedział Hide. — Stark ma ukrytą broń.

— Wiem — odparł Genji. — Nie szkodzi. Nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia.

— Jesteś tego zupełnie pewny, panie? — Tak.

183

Hide westchnął z ulgą. Nie musi się tym przejmować, skoro książę zna swoją przyszłość.

Genji uśmiechnął się. Przejrzał młodego dowódcę gwardii, jakby naprawdę umiał czytać w myślach.

— A co z Hanako? — spytał. — Nic jej się nie stało?

— Nie wiem, panie.

— Nie szukałeś jej?

— Nie, panie.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo. Moje sprawy są mniej ważne.

— Przecież tu chodzi o twoją narzeczoną, Hide. Przyszłą matkę twojego syna i następcy, przyjaciółkę i towarzyszkę życia.

— Tak, panie.

— Idź, znajdź ją. Przez ten czas Shimoda będzie mnie pilnował.

Prawda, Shimoda?

— Tak, panie.

Hide skłonił się do samej ziemi.

— Zaraz wracam.

— Wrócisz dopiero jutro rano — sprostował Genji. — Po śniadaniu. I jeszcze jedno... Przestań się tak głęboko kłaniać. Jako dowódca gwardii musisz być czujny. Nie wolno ci ani na chwilę odrywać wzroku od otoczenia.

— Wedle rozkazu, panie.

— Dobrze. A teraz idź szukać narzeczonej.

Heiko spokojnie czekała do chwili, aż Hide odszedł, a Shimoda dyskretnie usunął się do kąta. Wszyscy siedzieli na poduszkach, pod naprędcie rozpiętym namiotem, przy tej części muru, która jako jedyna ocalała z porannej napaści. Lekki wiatr, wiejący w stronę lądu, przynosił

zapach morza. — Tak dużo się zmieniło w nadzwyczaj krótkim czasie...

— westchnęła Heiko. Lekko dotknęła porcelanowej buteleczki sake.

Trunek był już odpowiednio ciepły, więc napełniła czarkę księcia.

— Co masz na myśli?

184

— Tydzień temu byłeś właściwie nikim. Miałeś jedynie tytuł i nie cieszyłeś się szacunkiem swoich poddanych. Dziś jesteś ich prawdziwym panem. To niezwykle.

— Ludzie zmieniają się w chwilach kryzysu — odparł. Teraz on w zamian napełnił jej czarkę. — Jeżeli mają trochę szczęścia, uczą się tego, co naprawdę ważne.

Heiko szybko zerknęła w bok, speszona jego szczerym spojrzeniem.

Trudno go było kochać. A od kilkunastu minut, gdy odwzajemnił jej uczucia, o wiele trudniej. Gdyby oboje pochodzili z chłopskich, kupieckich lub rybackich rodzin, ich miłość mogłaby rozkwitać bez obaw o nieprzewidziane skutki.

— Po prostu dałeś ponieść się emocjom — powiedziała. — Szybko zapomnę twoje słowa. — Nie zapomnisz. Zapamiętasz je na całe życie. Ja zresztą także. To nie przypadek. To ty, Heiko, tak na mnie działasz.

— Nie musisz mówić mi słodkich słówek — wykrzyknęła. Łzy potoczyły się po jej policzkach, ale na ustach zakwitł słodki uśmiech.

Oddychała spokojnie. — Kocham cię. Kocham od pierwszej chwili, w której cię ujrzałam, i będę kochała aż do ostatniego tchnienia. I wcale nie chcę, żebyś odpłacał mi tym samym.

Uśmiechnął się tym swoim beztroskim uśmieszkiem, który sprawiał, że jej serce żywiej biło. — Gdybym kochał cię tak samo, byłoby to strasznie nudne — odparł. — Zbyt symetryczne. Spróbuję cię kochać mniej. Zadowolona? Heiko ze śmiechem padła mu w ramiona.

— Z moim urokiem? Podejrzewam, że jesteś skazany na więcej miłości, niż byś sobie życzył. — Tak bardzo wierzysz w siebie?

— Nie, Gen-chan. Zupełnie nie wierzę. Uczucia są słabością kobiet.

Nie czynią ich silniejszymi. A uroda, choćby najwspanialsza, kwitnie stosunkowo krótko. Nie domagam się, żebyś kochał mnie zawsze, ale proszę, jeżeli możesz, bądź dla mnie miły.

Genji miał ochotę wsunąć dłoń w szeroki rękaw jej kimona i pogłodzić ją. Ale dzień był chłodny, więc miał zziębnięte palce. Taka pieszczota nie sprawiłaby jej żadnej przyjemności. Wciąż o tym myślał, kiedy wyczuł

ruch Heiko i bezwiednie wyciągnął rękę w jej stronę. Ona zrobiła to sekundę wcześniej. I dotknął jej ciepłego ciała i w tej samej chwili poczuł

zimny

185

dotyk jej zmarzniętej dłoni. Upał i ziąb są tym samym. I kto tu lepiej czyta w cudzych myślach?

— Nie umiałbym być niemiły. Kiedy jesteś przy mnie, nie zwracam uwagi na zło tego świata. Ba, wystarczy nawet, że myślę o tobie, a już coś we mnie mięknie...

— Na szczęście nie wszystko.

— To prawda — przytaknął ze śmiechem.

Nie przyszło im do głowy, żeby się rozebrać. Zresztą, w połowie dnia było to niemożliwe, nawet gdyby znaleźli się w prywatnych apartamentach księcia. Ich ubiór, zwłaszcza Heiko, zupełnie na to nie pozwalał.

Miała na sobie jedwabne, ciężkie kimono w stylu *omeshi*. Na wierzchu nosiła długą narzutkę *haori*, pikowaną dla dodatkowej ochrony przed zimnem. Kimono było przewiązane w pasie szerokim, bogato wyszywanym pasem *obi*, związanym w węzeł *fukura suzume* i ozdobionym zatkniętą od góry szarfą *obi-age*.

Istniało ponad trzysta różnych sposobów wiązania pasa. Heiko codziennie poświęcała sporo czasu, zastanawiając się, który z nich będzie najwłaściwszy na daną okazję. Dzisiaj wybrała *fukura suzume*, czyli

„tłustego wróbla”, bo spodziewała się powrotu księcia. Chciała zrobić mu małą przyjemność i w ten subtelny sposób nawiązać do symboliki klanu.

Nie pomyliła się. Gdyby jednak nie przybył, to następnym razem wybrałaby już całkiem inny węzeł. Niegrzecznie byłoby dwukrotnie ponawiać tę samą próbę. Dobra gejsza umie z pokorą przyznać się do pomyłki.

*Obi* było dodatkowo przewiązane ozdobnym sznurem, czyli *obi-jime*.

Pod pas wkładano grubsze *obi-ita*, zapobiegające marszczeniu się kimona. Mała poduszka, zwana po prostu *makura*, utrzymywała węzeł na właściwym miejscu. Z przodu pas zdobiła przypięta do *obi-jime* cienka i długa broszka *obi-dome*.

Pod kimonem, *obi*, *makurą*, *obi-age*, *obi-jime* i *obi-dome* Heiko nosiła długą spodnią szatę, także jedwabną i kimonowego kroju, zwaną *nagajuban*. Taśmy przyszyte do kołnierza przekładane były przez otwory w *chikara nuno* i wiązane w taki sposób, by kołnierz na szerokość dłoni odstawał od karku. *Nagajuban* opasywano szarfą *date-maki*.

186

Pod *nagajuban* włożyła koszulę *hadajuban* i półhalkę *suso-yoke*. Pod nimi były jeszcze małe poduszeczki, wkładane na wysokości obojczyków, brzucha i talii. Kimono miało prosty krój, więc w pewnych miejscach musiało być wypchane, aby materiał nie załamywał się na wgłębieniach i wypukłościach ciała. Heiko zwykle obwiązywała biust dodatkową szarfą, żeby nieco go spłaszczyć. Dziś jednak tego nie zrobiła, przez wzgląd na Genjiego.

Tak więc byli ubrani, ale jednocześnie zupełnie otwarci na najbardziej intymne i czułe zwierzenia. W podobny sposób, w jaki ciepło łączy się z zimnem, mimo grubej odzieży pozostawali nadzy.

— Jeśli miłość zaliczasz do swoich słabości, to nawet nie chcę wiedzieć, co jest twoją siłą — powiedział Genji, dysząc ciężko.

Heiko starała się oddychać równo i spokojnie.

— Twa niewiedza nie uchroni cię od dreszczy, panie — odparła.

Shimoda grzecznie patrzył w inną stronę, lecz nie umiał powstrzymać uśmiechu. Powoli, bezszelestnym ruchem opuścił płótno zasłaniające wejście do namiotu.

Hide szukał Hanako. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromu zniszczenia. Kiedy był mały, połowa Edo legła w gruzach po strasznym trzęsieniu ziemi. Jak zwykle w takich razach, najgorsze były pożary.

Pałac Cichego Żurawia zmienił się w dymiące pogorzelsko, upstrzone ludzkimi szczątkami. W powietrzu wisiał ostry swąd palonego ciała. Hide poczuł nagły ucisk w brzuchu, gdy pomyślał, co to może oznaczać.

Ciężko mu było walczyć z płaczem i mdłościami.

Pośród ruin, w gościnnym skrzydle oddanym cudzoziemcom, zobaczył jasny strzępek kimona, przytrzaśnięty zwaloną belką.

Przyklęknął, podniósł go i delikatnie wziął w obie dłonie. To jej? Nie był

pewny. Nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, w jakim stroju widział

ostatnio Hanako. Jak mógł nie zwrócić na to uwagi? I jak ma być szefem ochrony księcia, skoro nie pamięta wyglądu swojej przyszłej żony?

187

Pokręcił głową, żeby odegnąć głupie myśli. Nie może sobie pozwolić na żadne wątpliwości. Przecież to Genji go awansował. Gdyby zwątpił w siebie, zwątpiłby w mądrość księcia. A skoro księżę w niego wierzy, to on musi wierzyć w siebie. Tego wymagają zasady lojalności. Musi pozbyć się dawnych przywar i ponaprawiać wszystkie błędy. Jednym słowem: stać się człowiekiem, którego widzi w nim pan Genji. To jego obowiązek.

Podniósł się i z dumą wyprostował plecy.

Ale po cichu wciąż przełykał łyzy i ścisnął w dłoni skrawek jedwabiu.

Na co mu sława i zaszczyty, skoro nie będzie jej z kim dzielić? Gdzie słodki triumf, ulga w cierpieniu i niemy żal po bohaterskiej śmierci samuraja?

Pierwszy raz spotkał Hanako, kiedy skończył szesnaście lat i od niedawna nosił za pasem prawdziwy miecz. Ona była dziewięcioletnim dzieckiem, sierotą sprowadzoną na dwór pana Kiyoriego za wstawiennictwem starego opata Zengena. Hide przypomniał sobie pierwsze słowa, które wypowiedział do niej, i poczerwieniał jak burak.

— Zrób mi herbaty.

Mała dziewczynka w wyrudziałym bawełnianym kimonie dumnie uniosła głowę.

— Sam sobie zrób — odpowiedziała.

— Przynieś mi herbaty, mówię!

— Nie.

— Jesteś służącą, a ja samurajem. Musisz mnie słuchać. Roześmiała się.

— To pan Kiyori jest samurajem! — zawołała. — Pan Shigeru, pan Saiki, pan Kudo, pan Tanaka... To są prawdziwi samuraje. A ciebie co najwyżej można nazwać wyrostkiem z za dużym mieczem.

Hide ze złością i zakłopotaniem zerwał się na równe nogi i wsparł dłoń na rękojeści nowiutkiej katany.

— Jestem samurajem! Mogę rozplatać cię na dwoje.

— Nie możesz.

— Co takiego? — Znów oniemiał, słysząc jej spokojną i trzeźwą odpowiedź. — Samuraj może robić, co zechce, z takimi wieśniakami!

— Ale ty nie.

188

— Niby dlaczego?!

— Bo jestem w służbie twojego klanu. Masz obowiązek mnie bronić.

W razie potrzeby oddać za mnie życie.

Po tych słowach odeszła. Zawstydzony Hide długo stał jak słup soli, nie mogąc wykrztusić słowa.

Rozejrzał się po pałacowych zgliszczach. To w tym miejscu, przed wieloma laty, zobaczył ją po raz pierwszy. I tak jak wtedy, wbił wzrok w podłogę. Hanako była tylko dzieckiem, ale przypomniła mu o czymś bardzo ważnym, o czym sam wcześniej nigdy nie pomyślał. Samuraj to obrońca, a nie arogancki zabijaka.

Mała czupurna dziewczynka wyrosła na rozważną i mądrą kobietę, a on — ze zrozumiałych względów — unikał jej przez długie lata. Przy okazji przepił i przehulał życie.

Pan Genji znalazł mu idealną żonę. I co z tego? Wszystko przepadło...

— Hide!

Odwrócił się, usłyszawszy okrzyk Hanako. W jej głosie pobrzmiwała nuta zaskoczenia.

Stała w miejscu, w którym kiedyś wznosiła się weranda. Trzymała tacę z herbatą.

Uradowany Hide podbiegł do niej. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale na szczęście w samą porę zdołał się opanować. W zamian złożył

stosowny ukłon.

— Cieszę się, że nie jesteś ranna. Odkłoniła się.

— Wielki to zaszczyt, że wśród innych zajęć pomyślałeś o kimś tak mało ważnym.

— Dla mnie jesteś ogromnie ważna — zapewnił ją żarliwie. Nie wiadomo, kogo z nich bardziej zaskoczyły te słowa —

Hanako czy samego Hide. Ona zareagowała nadzwyczaj gwałtownie.

Drgnęła, zdumiona jego nagłą szczerością, i omal nie upuściła tacy. Hide szybko pospieszył jej z pomocą. Przytrzymał

189

tacę i przy okazji niechcący musnął dłoń dziewczyny. Jej serce zatrzepotało z radości.

— Pan Genji kazał mi wracać do siebie dopiero jutro po śniadaniu —

mruknął Hide.

Hanako zaczerwieniła się, rozumiejąc, co miał na myśli.

— Nasz pan doprawdy jest bardzo łaskaw — wyszeptała, skromnie patrząc w podłogę.

Hide miał jej tyle do powiedzenia, że nie mógł już dłużej milczeć.

— Hanako! Wiesz, że w drodze do klasztoru walczyliśmy z ludźmi pana Gaiho? Książę wspomniał, że stawałem dzielnie i w nagrodę zrobił

mnie dowódcą gwardii!

— Bardzo się z tego cieszę — odparła Hanako. — Nigdy nie wątpiłam w twój honor i odwagę. — Ukłoniła się nisko. — A teraz wybacz mi na chwilę. Czekają na mnie pan Saiki i pan Shigeru. Wrócę do ciebie, panie, jak najszybciej, gdy tylko wypełnię moje obowiązki.

Odeszła, lecz nie najkrótszą drogą, przez ruiny, lecz pozostałością dawnego korytarza, jak gdyby nic się nie zmieniło. Kiedy zniknęła, Hide uświadomił sobie, że powiedziała do niego „panie”. Rzeczywiście, tak należało zwracać się do dowódcy gwardii. Oficerowie dostawali grunty.

Co prawda Genji nic o tym nie mówił, lecz należało się spodziewać, że z Nowym Rokiem wyda stosowną proklamację.

Hide wspominał ciepło, jakie poczuł, gdy dotknęła jego ręki. Nigdy przedtem nie byli tak blisko siebie. Nagle pojął, że nie wiedząc o tym, od dawna kochał tę dzielną dziewczynę. Genji potrafił to rozpoznać. Hide ze łzami w oczach myślał o jego łaskawości. Dziękował bogom, że może służyć tak przezornemu panu.

Poszedł obejrzeć swój dawny pokój, żeby sprawdzić, czy coś z niego zostało. Miał nadzieję, że znajdzie tam chociaż jedną całą ścianę, która dzisiejszej nocy da im choć namiastkę prywatności.

Hanako uważnie patrzyła pod nogi. Łatwo było się potknąć i przewrócić wśród porozrzucanych belek. Taki wypadek — i to na oczach narzeczonego, u progu pierwszej wspólnej nocy — byłby dla niej prawdziwym poniżeniem. Nie potrafiła jednak opędzić się od myśli.

Wydawało jej się, że tak samo jak przed dwunastu laty, znów słyszy ostry głos pana Kiyoriego.

190

— Hanako.

— Panie... — Padła na kolana i dotknęła czołem ziemi. Trzęsła się ze strachu. Przed chwilą, z dumnie podniesioną głową, stanęła tyłem do ładnego, ale niegrzecznego chłopca. Zadowolona z siebie, nie domyślała się obecności księcia.



— Chodź ze mną.

Wlokła się noga za nogą, ze spuszczonego wzrokiem, drżąc na całym ciele, chociaż dzień był wiosenny i ciepły. Spodziewała się najgorszej kary. Z jakich innych powodów książę miałby rozmawiać z nią, biedną sierotą, utrzymaną w bajkowym pałacu tylko dlatego, że poprosił o to wiejski kapłan, stary opat Zengen?

Chłopak pewnie jest kuzynem księcia. Może nawet jego ukochanym bratankiem? Że też musiała się na niego natknąć zaraz po przybyciu...

Łzy smutku nabiegły jej do oczu i popłynęły po policzkach. Wstyd jej było ze względu na Zengena. Wziął ją pod opiekę po śmierci rodziców, a ona zaprzepaściła swoją jedyną szansę. A wszystko przez głupią dumę!

Czyż Zengen nie powtarzał ciągle: „Hanako, nie myśl zbyt wiele o sobie.

«Ja» to tylko złudzenie”. „Tak, wiem”, odpowiadała, ule w gruncie rzeczy nie brała jego słów do serca. No i teraz wreszcie dostała za swoje.

Z daleka dobiegały okrzyki samurajów, ćwiczących na dziedzińcu.

Wszystko stało się jasne. Zmierza na stracenie. Zastanawiało ją, co powinna powiedzieć rodzicom, kiedy stanie przed nimi w kraju Czystej Ziemi? To nie moje zmartwienie, uznała po krótkiej chwili. Nie doczekam zbawienia z rąk Buddy Amidy. W zamian pójdę do piekła, zażegnać złą karmę, razem / Kichim hermafrodytą, gwałcicielem Gonbe i trędowatym Iso. Pewnie Kichi będzie moim panem, a Iso — mężem.

Eeeeechhh!

191

Przestraszyła się groźnych bojowych okrzyków, więc jeszcze niżej opuściła głowę i... oczywiście wpadła na pana Kiyoriego, który zatrzymał

się na skraju placu. Odskokzyła, bliska paniki, lecz książę nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

— Panie! — Jakiś samuraj w pełnej zbroi przyklęknął na jedno kolano i pochylił tułów pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Taki uproszczony ukłon składano na polu bitwy. Pozostali szybko poszli za jego przykładem.

— Ćwiczcie dalej — rzucił pan Kiyori.

Natychmiast wstali i wrócili do pozorowanej walki. W pierwszej chwili Hanako nie wiedziała, dlaczego nikt nie pada martwy. Potem zobaczyła, że zamiast stalowych ostrzy, wszyscy dzierżą w dłoniach ciężkie drewniane miecze z czarnego dębu.

— W innych klanach używa się na ogół bambusowych *shinai* ~

przemówił pan Kiyori tonem wyjaśnienia. — Ale *shinai* jest bezpieczny, a więc bezużyteczny. Dębowy miecz w rękach sprawnego szermierza łamie kości i czasem może zabić, nawet jeśli uderzy w zbroję. Nasze ćwiczenia są ryzykowne, ale bez ryzyka nie da się zdobyć umiejętności potrzebnych w prawdziwej walce. — Popatrzył w dół, na stojącą tuż przy nim dziewczynkę. — Dlaczego ćwiczymy?

— Bo jesteście samurajami, panie.

— Kim jest samuraj?

Dziwiło ją, że o coś pyta, zamiast uśmiercić ją od razu. Lecz z drugiej strony, była mu szczerze wdzięczna za tę zwłokę. Już sama myśl o wstrętnym małżeńskim łożu trędowatego Iso przyprawiała ją o mdłości.

— Wojownikiem, panie.

— A kiedy była ostatnia wojna?

— Ponad dwieście lat temu, panie.

— Więc po co wciąż się uczyć walki? Przecież żyjemy w czasach pokoju.

— Zawsze może wybuchnąć wojna, panie. Samuraj musi być gotowy.

— Gotowy na co?

No i proszę. Wreszcie dobrnęli do sedna sprawy. Dosyć tych ceregieli.

Zapadł wyrok. Hanako pochyliła się i powiedziała: 192

— Żeby zabijać, panie. — Czekala, aż jej głowa spadnie pod ciosem miecza.

Ale pan Kiyori znowu ją zaskoczył.

— Nie, Hanako — odparł. — To nieprawda. Nie potrzeba wprawiać się w zabijaniu. Popatrz uważnie.

Wyprostowała się. Z początku widziała tylko tłum walczących. Kiedy przyjrzała im się trochę lepiej, zobaczyła różnice w ich zachowaniu.

Niektórzy poruszali się z determinacją, jakby nieczuli na sypiący się zewsząd grad ciosów. Inni znowu kluczyli lub skakali na boki, próbując uniknąć razów. Nic z tego. Zbyt wielu ich walczyło w tej ciasnej przestrzeni, więc zawsze ktoś oberwał, choćby najzręczniejszy. Niewielu z nich zapewne zostałoby przy życiu, gdyby dać im do rąk ostre stalowe miecze. W tej samej chwili Hanako poznała odpowiedź.

— Samuraj musi być gotowy na śmierć, panie — powiedziała.

Książę uśmiechnął się do niej.

— Taki już los wojownika, Hanako. Niełatwo wciąż żyć w cieniu śmierci.

— Ale samuraj się nie boi, prawda? — Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby pan Kiyori bał się czegokolwiek.

— Tylko idiota nie czuje strachu. Prawdziwa dzielność polega na tym, by przewyciężyć własną bojaźń. — Lekko poklepał ją po głowie. —

Niektórzy z nas, kiedy są młodzi, strach ukrywają pod grubiaństwem.

Mądra kobieta umie to wybaczyć. Uczyni wszystko, by samuraj za jej sprawą stał się silniejszy i odważniejszy. Nigdy nie zechce go osłabić.

Zrozumiałaś?

— Tak, panie.

— Możesz odejść.

Hanako, po rozstaniu z księciem, natychmiast pobiegła do kuchni.

Stamtąd wróciła w to samo miejsce, w którym niedawno rozmawiała z pyskатым młodzieńcem. Z prawdziwą ulgą zobaczyła, że wciąż tam siedzi. Wydało jej się, że zwiesił głowę, jakby był czymś przygnębiony.

Jakby zabrakło mu odwagi. Policzki piekły ją ze wstydu.

Podeszła do niego, skłoniła się i uklękła.

193

— Twoja herbata, panie samuraju.

— Och... — zająknął się, wyraźnie zaskoczony i dezorientowany. —

Dziękuję.

Chyba się nieco wyprostował, biorąc do ręki czarkę. Hanako była zadowolona. Bardzo zadowolona.

Shigeru i Saiki siedzieli na dwóch złączonych tatami, leżących pośrodku placu, który niedawno był jedną z głównych komnat w tym pałacowym skrzydle. Poprzednie maty zniszczyły wybuchy. Te wyciągnięto z jakiegoś kąta, który oparł się pociskom. Shigeru siedział

nieruchomo, z przymkniętymi oczami. Nawet nie drgnął, kiedy Hanako klękła w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi, skłoniła się i weszła jak do pokoju.

Saiki łaskawie zwrócił na nią uwagę.

— Rad jestem, że uszłaś z życiem, Hanako.

— Dziękuję, panie. — Po wszystkim, co słyszała wcześniej, pan Shigeru budził w niej przerażenie, ale z wymuszonym spokojem zbliżyła się do niego i jakby nigdy nic nalała mu herbaty.

— Hide rozmawiał z tobą? — spytał Saiki.

— Tak, panie.

— A zatem słyszałaś już dobre wieści. Szybko pnie się w górę, prawda?

Hanako skłoniła się.

— Nie zasługuje na to. Swoją karierę zawdzięcza jedynie łaskawości księcia — odpowiedziała pokornie, jak w takich razach nakazywał

zwyczaj. Starła się jak najlepiej zastąpić narzeczonego.

— Wszystkim wiadomo, że nasz książę jest bardzo łaskawy. To nie ulega najmniejszej wątpliwości — podkreślił Saiki. — Skoro uznał, że Hide wart jest zaufania, to ja także mu ufam. — Nie spojrzął na Shigeru, chociaż w tej chwili mówił bardziej do niego niż do dziewczyny. —

Urządziliście już, gdzie zamieszkacie?

— Nie, panie. O jego awansie dowiedziałam się dopiero przed chwilą.

— Po prawdzie, już widziała oczami wyobraźni schludną kwaterę oficerską w zachodnim skrzydle pałacu.

194

Umieblowałyby ją skromnie, lecz gustownie. Było tam dość miejsca i na wychowanie dzieci. Niestety, przed godziną kwatera spłonęła w gwałtownym pożarze. Trzeba było zatem poczekać z przeprowadzką do odbudowy. Zresztą są ważniejsze sprawy. Choćby Hide. Jako szef gwardii i jej mąż jak najszybciej powinien mieć syna.

— Na pewno macie z sobą wiele do omówienia. Więc idź do niego —

powiedział Saiki. — Nie musisz tu z nami siedzieć. Jemu przydasz się o wiele bardziej.

— Dziękuję, panie. — Hanako skłoniła się z wdzięcznością i odeszła.

Saiki uśmiechnął się. Życie jest pełne słodyczy dla młodych i zakochanych... Nawet w cieniu tragedii zachowuje niczym niezmacony urok. A może właśnie takie chwile skłaniają do głębszych uczuć? Saiki cierpliwie czekał na słowa Shigeru, po cichu wspominając własne młode lata i dawne

przygody.

— Skoro uznał, że Hide wart jest zaufania, to ja także mu ufam —

odezwał się Shigeru. Słowo w słowo powtórzył wcześniejszą wypowiedź szambelana.

Saiki uklonił się.

— Myślałem, że mnie nie słyszysz. Wydawałeś się pogrążony w głębokiej medytacji.

— W medytacji, Saiki. Nie w śpiączce.

— To dobrze, panie, bo teraz nie pora na spanie.

— Właśnie — przytaknął Shigeru. — Zbliża się ostatnia faza bitwy pod Sekigaharą.

Szambelan zastanowił się nad ukrytym znaczeniem tych słów. Po przegranej stronie przez dwieście sześćdziesiąt jeden lat panowało dogłębne przekonanie, że bitwa pozostała nierozstrzygnięta. Otóż to

—  
nierozstrzygnięta, mimo upadku zachodnich regentów, klęski rządzącego wówczas rodu Toyotomi, śmierci ponad stu tysięcy bitnych wojowników i ustanowienia absolutnej władzy shogunów Tokugawa.

Nierozstrzygnięta, bo wśród samurajów nie istniało pojęcie porażki. Cóż zatem jest rozstrzygnięciem? Jedyne śmierć. Z rozsądnego punktu widzenia zakrawa to na szaleństwo. Saiki jednak, wbrew sobie, podzielał ten pogląd. Co miał robić? W końcu on też jest samurajem.

195

— Rad jestem, że to się stało za mojego życia — powiedział i łzy napłynęły mu do oczu. Dziękował bogom, że zrządzeniem losu będzie mógł iść na wojnę. Jego dziad i ojciec, bitniejsi od niego, żyli i umarli w okresie pokoju. On jeden może podtrzymać sławę wielkich przodków.

— I ja także — odparł Shigeru.

Przez kilka minut żaden z nich nie odezwał się słowem. Saiki napełnił czarkę herbatą. Potem to samo zrobił Shigeru.

Dzień był zdumiewająco ciepły jak na tę porę roku. Saiki popatrzył w niebo. Hen, wysoko, stratosferyczne wiatry, nieznane na ziemi, rozmazywały białe smugi na niebieskiej łące. W tej jednej ulotnej chwili całym swym jestestwem poznał siłę życia.

Shigeru zaś z lubością wspominał moment, w którym wyciągnął z pochew dwa rodowe miecze.

Trochę szkoda, pomyślał, że Saiki swoją przemową przeszkodził mi w ich wypróbowaniu na karku tego idioty Lepkiego Oka Kawakamiego. Już sam ich dotyk sprawiał mu nieopisaną radość. To niezwykle doświadczenie. Kiedy ich dobył, podświadomie wiedział, że jest ostatnim z klanu Okumichi, który poniesie je do walki.

Nie znał dnia ani godziny bitwy, ani swojego przeciwnika. Nie potrafił

przewidzieć wyniku. Wiedział tylko, że jest ostatnim — i to legło mu na sercu ciężkim brzemieniem.

W czasie kruchego pokoju po Sekigaharze shogun Tokugawa wydał

zarządzenie, aby w całym kraju dokonać spisu najszlachetniejszych mieczy, czyli *meito*. Te, które miał Shigeru, zwane Pazurkami Wróbla, nie znalazły się na wspomnianej liście, bo ówczesny władca Akaoki, Uenomatsu, nie popierał żadnych działań Tokugawów choć trochę związanych z bronią. Jego poglądy, zapisane w tajnych zwojach klanu, były dokładnie znane wszystkim członkom rodu Okumichi.

Tym, którzy wolą herbatę od walki, mówił Uenomatsu, chyba bardziej wypada zrobić spis porcelany.

Shigeru i Saiki nie musieli długo dyskutować, by dojść do porozumienia w najważniejszych kwestiach. Swoją postawą potwierdzali wierność Genjiemu, księciu Akaoki. Przysięgali, że nawet za cenę własnego życia pomogą mu usunąć shoguna Tokugawę. Na pewien czas zapomnieli o dzielących ich po-196

gładach — choćby na temat misjonarzy. Mieli na głowie pilniejsze sprawy. I nie potrzeba było wzniostych deklaracji, żeby to zrozumieć.

— Niezbyt dobrze dzieje się w klasztorze Mushindo — powiedział

Shigeru.

Nie chodziło mu o to, że był tam więziony. Po prostu powątpiewał w lojalność opata, chociaż Sohaku do niedawna zajmował jedną z kluczowych pozycji wśród wasali.

— Nie lepiej w Cichym Żurawiu — odparł Saiki. Shigeru skinął

głową. Zatem Kudo także musi zginąć. To

wszystko, co można powiedzieć na ten temat. Na razie jest jeszcze za wcześnie, żeby podjąć jakąś poważniejszą akcję. Wszystko w swoim czasie. Nie muszą się też obawiać próby skrytobójstwa. Gdyby Sohaku albo Kudo chcieli podstępem zgładzić księcia, to naraziliby się na pogardę nawet ze strony swoich ludzi. Takiej zdrady nikt nie wybacza.

Dla nich jedynym wyjściem jest otwarty bunt i zwycięstwo w bitwie.

Pytanie tylko: gdzie i kiedy? Los pozostawiał im swobodny wybór miejsca oraz czasu. Okazji zaś nie brakuje...

— A twoim zdaniem będzie lepiej, jeśli wyjedziemy z Edo?

— Nie mamy innego wyjścia — odpowiedział Saiki. Shigeru rozważał w myślach wszystkie możliwe drogi. Rejs morzem jest niemożliwy. Cudzoziemska eskadra, która ostrzelała Edo, w każdej chwili może zacząć zatapiać statki. Poza tym wciąż należy liczyć się z flotą shoguna. Wprawdzie jest o wiele słabsza od floty cudzoziemców, ale na tyle silna, żeby zniszczyć każdy pływający obiekt zwodowany w Akaoce. Lądem najkrótsza trasa wiedzie brzegiem Morza Wewnętrznego. Niestety, tamte ziemie są wierne shogunowi. Pozostaje zatem jedynie szlak przez góry.

— Droga do domu będzie długa i pełna niebezpieczeństw —

powiedział Shigeru.

— W ciągu godziny po ataku pchnąłem posłańca do Chmary Wróbli.

Za dwa tygodnie na wschodniej granicy Akaoki stanie co najmniej pięć tysięcy ludzi. W razie potrzeby ruszą w naszą stronę — odparł Saiki.

- Lecz to oznacza wojnę. ....- Wiem.

197

Shigeru pokiwał głową.

— Bardzo dobrze. Ruszamy zatem z samego rana.

— Oczywiście za zgodą księcia.

Heiko wspomniała, że inni misjonarze z sekty Prawdziwego Słowa znaleźli się w klasztorze zwanym Mushindo, w prowincji na północ od miasta. Rok temu przeszła tamtędy zaraza. Nie wiadomo było, kto z nich ocalał.

Był tam ktoś z twoich przyjaciół?

Ktoś, z kim koniecznie muszę się zobaczyć.

Mam nadzieję, że żyje.

Ja też.

A jeśli umarł, to co w takich razach mówi twoja wiara? Nie rozumiem.

Kiedy umiera ktoś bliski, wierzysz, że kiedyś go zobaczysz? Co o tym piszą w świętych księgach?

Chrześcijanie wierzą w życie wieczne. Źli pójdą do piekła, a dobrzy do nieba. Kogo tam spotkasz, zależy wyłącznie od tego, gdzie sam trafisz.

Stark zastanawiał się, czy nie ukraść konia i nie pojechać do Mushindo.

Heiko mówiła mu, że Genji spędził aż trzy dni w drodze. Podróżował

po własnym kraju, dobrze znał drogę i był księciem. A mimo to napotkał

opór i musiał stoczyć krwawą walkę. W tej sytuacji szanse Starka były praktycznie równe zeru.

Czekał już wystarczająco długo, więc mógł poczekać jeszcze trochę.

Bał się tylko, że shogun, oburzony zdradziecką napaścią, każe wyrzucić z kraju wszystkich cudzoziemców. W takim przypadku... Szkoda, że nie uważałem na lekcjach geografii, których Cromwell udzielał nam na pokładzie! — pomyślał Stark. Zapamiętał tylko, że Japonia leży na czterech głównych wyspach. Wylądowali na największej, Honshu. To tu miał powstać dom misyjny Prawdziwego Słowa. Jest zatem we właściwym miejscu. Na początek dobre i to.

Heiko przed chwilą odeszła do księcia, więc Stark mógł spokojnie przejrzeć swoje rzeczy, żeby sprawdzić, czy ocalało to, co najważniejsze.

Pod stertą postrzępionych i nadpalonych

198

Biblii znalazł rewolwer, na szczęście nietknięty. Ledwo zdążył go podnieść, gdy niespodziewanie zjawiała się Emily. Stark szybko wsunął

broń pod książkę. Mimo tego wcale nie był pewny, czy dziewczyna nic nie spostrzegła. Jeżeli tak, to nie skomentowała tego ani słowem.

— Możemy szczerze porozmawiać, Matthew?

— Oczywiście. — Rozejrzał się, ale nie znalazł żadnego całego krzesła.

— Nic nie szkodzi. Postoję. — Urwała i wbiła wzrok w ziemię.

Mocno zaciskała splecione dłonie. Jej pełne usta wykrzywiał nerwowy grymas. Wzięła głęboki oddech i powiedziała jednym tchem:

— Muszę zostać w Japonii. Muszę dokończyć wspólnego dzieła, które zaplanował Cromwell. Muszę zbudować misję. Muszę, Matthew... Po prostu muszę. Tylko ty możesz mi w tym pomóc.

Zapał dziewczyny wywarł na nim ogromne wrażenie. Był poruszony jej determinacją. On sam również mocno chciał tutaj pozostać, lecz jej pobudki wynikały z wiary, jego zaś... z czegoś zupełnie innego.

— Dobrze wiesz, Emily, że zawsze jestem gotów ci pomagać. Ale to, o co teraz prosisz, może być niemożliwe. Dzisiejszy atak spotęguje niechęć do wszystkich cudzoziemców. Tu nie będzie bezpiecznie. W



pewnych sprawach nie mamy żadnego wyboru. Być może japońskie władze każą nam wyjechać.

— Posłuchasz ich, jeśli to zrobią?

— Nie. Przybyłem do Japonii w pewnym określonym celu. Nie wyjadę, dopóki nie zrobię tego, co zamierzałem zrobić.

— Więc mnie rozumiesz, bo ja czuję dokładnie to samo. Stark pokręcił głową. Jak ma jej to wytłumaczyć? Nie potrafi.

- Mogę zginąć — mruknął w odpowiedzi.

- Ja także.

Nie, pomyślał, to nie to samo. Przyjechałaś tutaj, by nieść Słowo Boże. Ja mam zamiar zabijać.

Stark wstrzymał konia przed ostatnim wzniesieniem, za którym leżała farma, i przypiął do piersi nową błyszczącą, 199

pięcioramienną gwiazdę, z wypisanymi w środku słowami „Strażnik Arizony”. W jukach przy siodle miał dokument podpisany przez gubernatora i dziesięć sztuk złota. Gubernator nazwał to „zaliczką na dobry początek”. Stark wprawdzie nie rozumiał, dlaczego ktoś chce płacić przed wykonaniem pracy, lecz nie zamierzał się o to kłócić, tylko grzecznie powiedział „dziękuję”, wziął pieniądze, papier i gwiazdę, i wyszedł. Chyba kłopoty z Apaczami, koniokradaми, złodziejami i wszelkimi innymi bandytami były o wiele większe, niż przypuszczał. Nie szkodzi. Najważniejsze, że dostał szansę, którą zamierzał wykorzystać.

Musiał przypiąć odznakę, zanim wjechał na wzgórze, bo w takie pogodne dni jak dzisiejszy Becky i Louise potrafiły zawędrować daleko od chaty. Chciał, żeby od razu zobaczyły błysk gwiazdy. Kiedy wyjeżdżał, tak bardzo cieszyły się na myśl o tym, że ich ojczym zostanie strażnikiem. Wprawdzie nie słynnym teksańskim strażnikiem, ale zawsze...

Wkrótce miały wyjechać do Tucson, do szkoły i rówieśniczek.

Miniony rok, który Stark spędził na farmie wraz z Mary Anne i jej córeczkami, był dobrym rokiem. Może najlepszym. Lecz wszystko dobre, co się dobrze kończy. Teraz czekało ich zupełnie nowe, normalne życie w Arizonie.

Zatrzymał się w połowie wzgórza. Coś było nie tak — chociaż nie wiedział, co go właściwie niepokoi. Wyjął karabin spod siodła i zaczął

nasłuchiwać. No właśnie... Niczego nie słyszał. Stado miał małe, wcale niepodobne do grzmiących rzek bydła, które widywał w okolicach Dallas i Houston. Mimo to wszystkie krowy wydawały dźwięki słyszalne już z daleka — miękki pomruk tępawych bydła, myślących tylko o własnym brzuchu. Cisza podpowiadała mu, że stada nie ma. Nie był więc wcale zaskoczony, kiedy go nie zobaczył.

Co innego sprawiło, że pociemniało mu w oczach i cała krew odpłynęła z twarzy. W obejściu nie było żadnego ruchu, poza tumanami piasku i krzewami gnanymi wiatrem. Dom wydawał się uśpiony i cichy.

Stark z pustką w głowie i ściśniętym sercem popędził konia i galopem zjechał ze wzgórza. W połowie zbocza zauważył dwa psy leżące tuż za ogrodzeniem. Z rozdętych brzuchów

200

wylewały im się czarne przegniłe wnętrzności. Nie było przy nich żadnych ścierwojadów. To oznaczało tylko jedno — gdzieś w pobliżu znalazły sobie lepszą ucztę.

Zeskoczył z siodła, przerzucił karabin do lewej ręki i chwycił

rewolwer w prawą. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, zanim powoli ruszył w stronę domu. Broń trzymał uniesioną w wyciągniętych rękach, gotowy do strzału. Wiedział, że nie będzie miał do czego strzelać, ale nic innego nie potrafił wymyślić.

Był jeszcze dobre dziesięć kroków od chaty, kiedy wiatr zaczął wiać w przeciwną stronę. Poczul smród. Całą swoją uwagę skupił na celowaniu.

Starał się nie myśleć o pustce w żołądku i o gorzkim kłębnie, który narastał

mu w ustach i przełyku.

— Mary Anne.

W pierwszej chwili nie rozpoznał własnego głosu. Był przekonany, że to ktoś inny woła ją po imieniu.

Poszedł dalej, przestąpił próg i... zdębiał. To nie miało żadnego sensu.

Chyba żyły... Musiały żyć, bo przecież ruszały się pod kocami! Właśnie, koce... Mary Anne kupiła je pewnie od jakiegoś handlarza z Meksyku, bo pokryte były regularnym wzorem, ulubionym przez południowych tkaczy. Ale po co aż tyle? Po co przykrywały się w dzień, przy słonecznej wiosennej pogodzie? Czyżby dopadło je przeziębienie? Tak, tak... bo oprócz koców okryły się futrami...

Nagle kawałek futra oddzielił się od reszty. Koc drgnął, przesunął się i nakrył go raptownie.

Stark słyszał szelest już od kilku minut, ale dopiero teraz pojął, co to znaczy. W następnych dniach słyszał go niemal ciągle, dochodzący jak gdyby znikąd i wyraźny jak za pierwszym razem. Żałował wówczas, że nie zginął tam, pośród grzechotników. Nigdy przedtem nie widział tylu węży naraz. I donośny grzechot brzmiał niczym klekotanie kości zbudzonych umarłych. Węże wciąż ucztowały, niektóre tak grube, że nie mogły się zwinąć. Szczury, żerujące wśród zgniłego mięsa, zrobiły się zbyt ociążałe, by uciekać. Z piskiem ginęły jeden za drugim w zachłannych paszczach grzechotników.

Zabójcy mogli spalić chatę. Tak na ogół robili inni. Nie 201

podpalili jej, bo na pewno chcieli, żeby Stark zobaczył ich dzieło.

Szczury i węże sprawiły jednak, że tak się nie stało. Mógł się tylko domyślać, jak straszliwą śmiercią zginęły trzy istoty, które kochał.

Powoli wycofał się na dwór. Węże, rozzłoszczone własnym grzechotaniem, rzuciły się na siebie. Stark zaryglował drzwi i zamknął

wszystkie okiennice. Najpierw podpalił dach. Kiedy płonące belki zawaliły się z trzaskiem do środka, podłożył ogień pod snopy siana, złożone wcześniej pod ścianami. Przez resztę dnia i całą noc ze szpadlem w ręku krążył dokoła domu, gotów rozplatać każde stworzenie, które wypełzłoby ze środka, lecz nie pokazała się żadna żywa istota.

Następnego ranka tylko niski pagórek popiołu i osmalonych głazów znaczył miejsce, gdzie niegdyś stała farma.

Nic się nie poruszało.

Stark wsiadł na konia i pojechał do El Paso, odszukać Ethana Cruza.

Emily zauważyła, jak Matthew chowa broń pod Biblią. Duży rewolwer — podobny do tego, jaki miał u pasa, gdy po raz pierwszy stanął w drzwiach misji w San Francisco. Pewnie ten sam, chociaż podobno wyrzucił go do morza. Widziała zatem, że go teraz chowa, lecz nic nie powiedziała. Nie jej sprawa oceniać innych. To była rola Cromwella, ale Cromwell odszedł. Na nią czeka inne zadanie. Za wszelką cenę musi zostać w Japonii.

— Poza tym nie wiem, jak mogę ci pomóc. Nie mam tu żadnej władzy.

Nie było czasu na wykręty.

— Niezamężna kobieta nie może mieszkać na obczyźnie całkiem sama — wypaliła bez ogródek. — Zostanę tutaj tylko wtedy, jeśli będziesz moją rodziną.

— Rodziną?

— Właśnie. Narzeczoną.

Chyba spodziewała się jakiegoś wybuchu z jego strony. Stark jednak, nawet jeśli naprawdę się zdziwił, nie okazał tego ani jednym gestem.

202

— Nie za szybko myślisz o tych sprawach, siostrze? Poczwała, że zaczynają palić ją policzki.

— Tylko im tak powiemy. Matthew uśmiechnął się.

— Mamy okłamać naszych gospodarzy? Emily uniosła głowę.

— Tak.

Teraz powinien zapytać: dlaczego? Co ma mu wtedy powiedzieć?

Prawdę? Przyznać się, że nie może wracać do kraju ze względu na swoją urodę? Czy też odwrotnie, że szpetota każe jej pozostać tutaj? Raczej nie.

Stark uznałby, że oszalała albo że jest okropnie próżna. Lepiej powołać się na wiarę. Lepiej powiedzieć, że niewielkie kłamstwo nie jest grzechem, jeśli wiedzie do głębokiej prawdy... Choćby do prawdy o zbawieniu w imię Chrystusowe. Lecz to zakrawa na bluźnierstwo, przemknęło jej przez głowę. Trudno. Nieważne. Za nic w świecie nie wrócę do Ameryki. Jeżeli Matthew mi nie pomoże, znajdę jakiś inny sposób.

— Pewnie się zdziwią — mruknął Stark. — Z początku płaczesz za Cromwellem, a chwilę potem chcesz poślubić mnie. Ale powinno nam się udać. Jesteśmy dla nich równie dziwni, jak oni dla nas. Chyba nam uwierzą.

Teraz z kolei ona się zdziwiła.

— Zrobisz to?

— Tak. — Wyjął rewolwer schowany pod Biblią i popatrzył jej prosto w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie. Odpowiedziała mu tym samym. —

Ale nie wiem, czy jeszcze długo pochodzę po tej ziemi. Pewnie za jakiś czas znowu zostaniesz sama, w obcym i niebezpiecznym miejscu. Chcesz tego?

— Chcę.

Zawinał rewolwer w sweter, wraz z płaskim pudełeczkiem, zapewne z nabojami.

— Wyjaśnienia zostawiam tobie. — Odrzucił na bok kawałek zwalonej ściany i znalazł swój wielki nóż.

— Powiem im, że to ślub wiary, taki sam, jaki zawarłam z Cromwellem. Że nie chodzi o ziemską miłość. Japończycy też mają coś na kształt religii, chociaż innej niż nasza. Zrozumieją.

203

— W takim razie jesteśmy współnikami — mruknął Stark.

— Dziękuję, Matthew.

Nie zapytał dlaczego. A ona nie mówiła nic o rewolwerze. Tak, tak...

Naprawdę zostali współnikami.

Genji, Shigeru, Saiki, Sohaku, Kudo i Hide zasiedli kręgiem w głównym pokoju, w kwaterach służby. To była jedyna część pałacu, która uniknęła gorszych zniszczeń. Heiko i Hanako podały herbatę. Wszyscy czekali, by przemówił Saiki. Jest przecież szambelanem księcia. Zgodnie z protokołem, powinien zabrać głos pierwszy i przedstawić temat narady.

Saiki wołał, aby pewnych kwestii nie poruszać w obecności kobiet.

Genji po prostu wyśmiał jego zastrzeżenia. „Mamy nie ufać mojej kochance i narzeczonej dowódcy gwardii?“, zapytał. W takim razie jesteśmy na dobre straceni. Saiki powstrzymał się, żeby nie powiedzieć, iż zawsze mają jeszcze trochę czasu, by oddać podejrzanych w ręce kata.

Genji zazwyczaj tracił głowę, gdy- szło o Heiko. W razie potrzeby należało działać, nie oglądając się na niego. Saiki był gotowy na to, że w drodze do Akaoki raz na zawsze zdoła rozwiązać ten problem.

— Pałac księcia Senryu ocalał z pożogi — powiedział. — Księżę zgodził się przyjąć naszych najciężiej rannych do czasu, aż będą gotowi do podróży. Zarządziłem kremację zwłok. Lżej poszkodowani wyruszą z główną grupą.

— Shogun nie puści płazem tej napaści — odezwał się z kolei Kudo.

— Chociaż jest słaby, a może właśnie dlatego, nie pozwoli, żeby ktoś kpił z jego władzy.

— Zgoda — odpowiedział Saiki — ale nie mamy wyboru. Co jeszcze knują cudzoziemcy? Tego nikt nie wie. A może wrócą i znowu zaczną strzelać? Może wysadzą desant? Przecież dzisiejszy atak mógł być tylko przygrywką do większej inwazji. A prócz tych wszystkich wątpliwości jest coś, co na pewno wiemy. Kiedy runęły pałacowe mury, staliśmy się bezbroni. Co nas teraz ochroni przed wewnętrznym wrogiem? Były już dwie próby podstępnych zamachów. Jeden na księcia, jeszcze przed napadem, drugi na panią Heiko lub na cudzoziemkę, zaraz po ostrzale.

Zamachowiec zginął. Nikt z nas nie zna

204

jego tożsamości ani imienia jego pana. To wciąż pozostaje zagadką.

W dzisiejszych zwariowanych czasach trudno określić motyw drugiej strony. To zaś jedynie wzmacnia poziom zagrożenia.

— Podzielam pogląd, że musimy szybko opuścić Edo — wtrącił

Sohaku. — Wiem także, że shogun podejmie kontrakcję. Trzeba być na to przygotowanym. Rozdajmy ludziom broń palną i zapas amunicji.

Dokładnie sprawdzimy wszystkie drogi z Edo do Akaoki. Ustalmy miejsca, w których można spodziewać się ataku. Odprawiliśmy stąd Kawakamiego, więc na pewno kazał nas śledzić. W takim

przypadku do pierwszego starcia może dojść jeszcze w obrębie miasta.

— A co powiecie na mały podstęp? — zapytał Kudo. — Gdyby tak wysłać z tuzin żołnierzy do ataku na zamek Edo?

— Dwunastu ludzi przeciwko fortecy shoguna? — obruszył się Saiki.

— Zaszlachtują ich w parę sekund.

— Nie, jeśli będą działali pojedynczo i w myśl ustalonego planu —

odparł Kudo. — Zaatakują ze wszystkich stron, w różnych odstępach czasu. To na długo postawi załogę w stan alarmu. Przy okazji możemy dać im sztandary z napisami potępiającymi opieszałość shoguna w obliczu jawnej zdrady cudzoziemców. Tym samym wywołamy większe zamieszanie.

Genji spojrział na stryja.

— Co o tym myślisz?

Shigeru w ogóle nie słuchał toczącej się rozmowy. Myślał o swoich cennych mieczach. Mówiąc ściślej, o tym, że jest ostatnim z rodu, który poniesie je do bitwy. Jego wizja była klarowna, bez hałasu i dokuczliwych efektów pirotechnicznych. Pierwszy raz przydarzyło mu się coś takiego. Nie wiedział, czy lę zmianę przypisać wyłącznie sobie, czy też był to efekt uboczny bliższej więzi z bratankiem. A może odmiana *makkyo*, czyli złudy wywoływanej przez demony? Postanowił, że powie o tym księciu dopiero wtedy, gdy sam będzie wiedział coś więcej.

- Każdy pomysł ma swoje dobre i złe strony — mruknął. Nie musiał

słuchać, żeby domyślić się, o czym przed chwilą mówiono. Z pałacu miał

wyruszyć szumnie duży orszak. To zwykły podstęp, żeby odciągnąć uwagę przeciwnika. Książę

205

wyjechałby nieco później, z niewielkim, ale doborowym oddziałem kawalerii. Piechurzy dostaliby broń palną, i tak dalej... — Aby nasz pan mógł bezpiecznie uciec, musimy połączyć kilka planów. To da nam większe szanse powodzenia i zmniejszy ryzyko. Gdzie palą ciała zabitych?

— W świątyni Nakaumi — odpowiedział Saiki.

— Niech nadal je tam noszą. Saiki zrobił gest zniecierpliwienia.

— Ceremonia przebiega sprawnie bez dodatkowych porad, panie.

Wkrótce kończymy.

— Nadal noście tam trumny — powtórzył Shigeru. — Do tej pory żywi nosili umarłych. Teraz niech

noszą żywych. Zakończcie to dopiero wtedy, gdy połowa naszych ludzi znajdzie się w świątyni. W tym samym czasie książę Genji z małą eskortą wyjedzie na wschodnie rozlewiska, popatrzeć na żurawie w ich zimowej krasie. Musi przecież ochłonać po dzisiejszym napadzie. Stamtąd uda się w góry, bocznym szlakiem, do Akaoki. Ci z nas, którzy pozostaną na miejscu, w pałacu, zaczekają do nocy. Po zapadnięciu zmroku najlepsi z naszych ludzi zabiją szpiegów shoguna. Ewakuację dokończymy w zupełnej tajemnicy.

Saiki, który zmarszczył brwi już na początku tej przemowy, pod jej koniec nastroszył się jeszcze bardziej.

— Wprawdzie nasz pan rzeczywiście cieszy się opinią wielkiego estety... Ale żurawie?! Po tym, jak cały pałac legł w gruzach? Gdy domownicy leżą pokotem, martwi albo ranni? Przecież to nie do pomyślenia!

— Wcale nie będę oglądał żurawi — łagodnie przypomniał mu Genji.

— Tak, panie, wiem — gwałtownie rzucił Saiki. — Lecz inni w to uwierzą. A to uwłacza twojej godności. Jesteś dwudziestym szóstym księciem Akaoki. Twoi przodkowie obalali i wywyższali władców. To samo czeka ciebie i twoich potomków. Nie wolno ci w tak trudnych chwilach myśleć o żurawiach!

— A jednak to mnie nieodparcie kusi. — Genji uśmiechnął się do Heiko. — Słyszałem, że niektóre z nich zimą odbywają gody.

206

Saiki zamknął na chwilę oczy. Gdy je otworzył, z westchnieniem stwierdził, że nic się nie zmieniło.

— Jeszcze się zastanów, panie. Bardzo wiele ryzykujemy.

— Inne pomysły przewidują możliwość zbrojnego starcia.

— To prawda.

— W tym przypadku wyjechałbym spokojnie i bez przeszkód. Mam rację?

— Tylko wówczas, jeśli nam się powiedzie, panie.

— Mój ród zawsze miał szczęście do ptaków — powiedział Genji.

— Są jednak inne wątpliwości — odezwał się Sohaku. — Chcesz nas podzielić na trzy grupy?

— Tak — odparł Shigeru.

— Mamy za mało ludzi. W rozproszeniu będziemy zupełnie bezbronni. Uważasz, że to dobry pomysł, aby książę ruszył pod słabą eskortą w tak długą i niebezpieczną podróż?

— Owszem — powiedział Shigeru. — A na dokładkę, powinien wziąć ze sobą jeszcze misjonarzy.  
— Co takiego?! — krzyknęli chórem Saiki, Kudo i Sohaku. — Oficjalnie wyjadą na zaproszenie księcia, podziwiać uroki kraju. Tylko w ten sposób da się wytłumaczyć ich obecność.

— Po co nam dodatkowy kłopot? — zapytał Kudo. — Niech szukają opieki u Harrisa. Przecież to ich konsul.

— Wszyscy dobrze znamy przepowiednię mówiącą o tym, że pan Genji zostanie wyrwany z rąk śmierci przez cudzoziemca — rzekł

Shigeru. — Nie wiadomo jednak, kto to będzie. Musimy zatem, przez wzgląd na naszego pana, chronić ich wszystkich.

— Jeden z nich poniósł już śmierć od kuli — przypomniał Kudo. —

Spełnił zatem swój obowiązek. Dwoje pozostałych nie jest nam potrzebnych. — To niestety nie takie pewne — westchnął Saiki. Wbrew sobie, zaczynał podzielać zdanie Shigeru, że strzał był wymierzony w tego, który zginął, przywódcę misjonarzy. — Zgadzam się z panem Shigeru. Trzeba ich chronić.

Kudo popatrzył szybko na Sohaku, ale ten udał, że tego nie widzi. W

duchu przeklinał przesadność swojego kompana. To, czy zabijają księcia, czy sami zginą, zależy wyłącznie od wyroków losu, a nie od jakiejś bzdurnej przepowiedni.

207

— Kto z nas będzie dowodził poszczególnymi oddziałami? — spytał.

Odpowiedź Shigeru była dlań wskazówką, czy przypadkiem nie trafił na listę podejrzanych.

— Ty jesteś dowódcą jazdy — mruknął Shigeru. — Przejmiesz komendę nad główną kolumną. Rób dużo hałasu, lecz unikaj bitew. Przed samym odjazdem musimy ustalić, gdzie się potem spotkamy.

Tak jest, panie. — Sohaku pochylił głowę. Nadal mu ufano, bo w przeciwnym razie nikt nie powierzyłby mu takiego stanowiska.

— Teraz ty, Kudo... Masz u siebie najlepszych zabójców — Shigeru przerwał na chwilę. Żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy, ale uważny obserwator dostrzegłby, że źrenice zwęziły mu się nieznacznie, kiedy patrzył na swego rozmówcę — Początkowo zostaniesz tutaj. Najpierw skutecznie zajmij się szpiegami, a potem jak najszybciej dołącz do Sohaku.

— Tak, panie. — Kudo również był zadowolony, że otrzymał tak odpowiedzialną funkcję. Speszyła go nieco uwaga o zabójcach, ale w słowach Shigeru nie wyczuł żadnej groźby. Doskonale wiedział, że w razie najmniejszych podejrzeń on i Sohaku nie mogliby nawet marzyć o dowództwie. A tu nie tylko mieli pełną swobodę ruchów, lecz także rozkaz aby działać razem...



Saiki słuchał tego z rosnącym przerażeniem. Shigeru składał ogromną władzę w ręce dwóch ludzi, o których wiadomo było ze spiskują przeciwko księciu. Oszalał. Tak naprawdę zawsze był szalony, chociaż udawał rozsądnego. Za kilka dni, gdzieś w górach, na jakimś leśnym trakcie, Kudo i Sohaku zabiją Genjiego. Saiki gorączkowo szukał wyjścia z tej niebezpiecznej sytuacji. J

— Szambelan jeszcze dzisiejszej nocy wyruszy forsownym marszem do Akaoki — ciągnął Shigeru.  
— Weź z sobą Taro i Shimodę, panie.

Kiedy dotrzecie na nasze ziemie, przygotujcie się do wojny. Za trzy tygodnie bądźcie gotowi do wymarszu.

— Tak, panie — skłonił się Saiki. Wszystko zrozumiał w mgnieniu oka. Kudo i Sohaku muszą pozostać przy swoich oddziałach. Dzięki temu on sam może bez żadnych przeszkód

wrócić do Akaoki i zapewnić księciu wierność armii. Malkontentów zamierzał po prostu usunąć. W tym samym czasie Genji, pod opieką 208

stryja, umknie z Edo bocznym górskim traktem, unikając pościgu agentów shoguna i wojsk obu zdrajców. W każdym innym przypadku taka próba równałaby się samobójstwu, ale jest z nimi Shigeru — i to daje szansę na ocalenie.

— Ilu ludzi powinien wziąć z sobą pan Genji? — spytał Sohaku.

— Ja z nim pojedę — odparł Shigeru — no i Hide. Poza tym, skoro mamy patrzeć na żurawie, niezbędna jest obecność pani Heiko. Do tego dwójka misjonarzy. Nikt więcej nie jest nam niepotrzebny.

— Panie! — Kudo był uszczęśliwiony, ale uznał za swój obowiązek, żeby zaprotestować z udawaną troską. — Niezaprzeczalnie jesteś wspaniałym szermierzem, a Hide dzielnie stawał w ostatniej potyczce, ale we dwóch chcecie bronić księcia? Przecież wasza droga będzie wiodła przez ziemie naszych odwiecznych nieprzyjaciół. Weźcie ze sobą chociaż oddział wojska! W razie ataku nasi ludzie powstrzymają wroga choćby za cenę życia. Dadzą wam czas potrzebny do dalszej ucieczki.

— Przedrzemy się jedynie wtedy, gdy będziemy unikali walki —

powiedział Shigeru. — Bo w przypadku bitwy nie pomoże nam nawet cały szwadron.

— Moim zdaniem to jednak za duże ryzyko — wtrącił Sohaku. —

Może lepiej, by księżę podróżował z Kudo albo ze mną? Mamy dość siły, by pokonać każdego przeciwnika, z wyjątkiem frontalnego ataku całej armii. Armia za to jest mniej ruchliwa niż szybki oddział jeźdźców. — W

tej samej chwili zaświtał mu nowy pomysł, który znacznie upraszczał ich plany. — Pan Genji mógłby podróżować w przebraniu. Ty zaś — zwrócił

się do Shigeru — wzięłbyś pod opiekę jego sobowtóra. W ten sposób będziemy podwójnie

bezpieczni. — A Genji znalazłby się w jego rękach, nie chroniony przez stryja. Już można było świętować zwycięstwo.

- Obiecująca propozycja — skinął głową Shigeru. — Ma swoje zalety.

Co o tym sądzisz, panie? — spytał księcia, ale 209

nie po to, by otrzymać wiążącą odpowiedź. Chciał zapanować nad wściekłością. Mało brakowało, a już tu, na miejscu, ściąłby głowy zdrajcom. Zadufani w sobie, beznadziejni głupcy! — pomyślał o Kudo i Sohaku. Niestety, nie mógł zabić ich od razu, jeśli nie chciał, żeby go podejrzewano o nawrót szaleństwa. W ten sposób nie pomoże bratankowi. Klan pójdzie w rozsypkę. Tylko spokojnie... Musi odnaleźć w sobie spokój. Jeśli rzeczywiście jeszcze go ma.

— Wspaniały pomysł — pochwalił Genji. — Podwójny podstęp...

Doprawdy sprytne. — Tuż przed naradą spotkał się ze stryjem, żeby omówić ostateczne plany. Teraz Shigeru jedynie przez grzeczność udawał, że zastanawia się nad propozycją opata. Jego rozważne zachowanie wyraźnie świadczyło o tym, że już na dobre wyzwolił się z obłędu. To skłaniało do optymizmu. Genji ponownie uśmiechnął się do Heiko. — Z wolna nabieram przekonania, że to zabawny sposób wyjazdu ze stolicy. Zgadzasz się ze mną?

— Zabawny? — powtórzyła Heiko. — Być może. — W głębi ducha miała nadzieję, że Shigeru nie wziął poważnie słów Sohaku. Dzisiejszego ranka, na długo przed świtem, jej służąca Sachiko zobaczyła gońca, który po kryjomu wykradł się z pałacu. Wyszedł z namiotu opata. Poszła za nim spory kawałek, żeby zobaczyć, dokąd zmierzał. Do zamku Edo. — Ale samotny.

— Jak to? Poczujesz się samotna w moim towarzystwie?

— Kłopot w tym, że nie będziemy razem — westchnęła. — Muszę towarzyszyć fałszywemu księciu, bo w przeciwnym razie nikt nie nabierze się na nasz sprytny podstęp.

— Nieprawda — roześmiał się Genji. — Oboje będziemy w przebraniu, a fałszywa Heiko pojedzie z fałszywym Genjim. — Bawiła go ta sytuacja. Dobrze wiedział, że w odpowiedniej chwili Saiki lub Shigeru wtrąca się do rozmowy. Nie istniała zatem najmniejsza obawa, że Kudo i Sohaku zdołają przeprowadzić swe zdradzieckie plany. —

Pamiętam cię w roli chłopki. Byłaś znakomita. Podejrzewam, że równie zręcznie wcielił się w służącą.

— Dziękuję, panie. — Heiko aż poczerwieniała na samo wspomnienie tamtej niemiłej przygody. — Pozwól zatem, że 210

cię pożegnam. Muszę ściąć włosy. — Skłoniła się i powoli ruszyła w stronę wyjścia. W duchu miała nadzieję, że księżę ją zatrzyma, zanim rzeczywiście dojdzie do postrzyżyn.

— Proszę pozostać z nami, pani Heiko — powiedział Saiki. Dzięki niej znalazł wyraźną lukę w pomysłach opata. — To byłby grzech poświęcić tak wielką urodę na rzecz jakiegoś absurdalnego planu.

— Czasami warto wyjść z ciasnych ram umysłu — odciął się Sohaku.

— Choćby po to, by przetrwać w tych niewdzięcznych czasach. Nie każdy pomysł jest „absurdalny” tylko dlatego, że zabrakło go na kartach *Sztuki wojennej*. — Zdobycz miał już prawie w ręku. Przedtem jednak musi uporać się z tym głupawym starcem.

— Na mój gust, plan opata jest wręcz doskonały — orzekł Genji. —

Widzisz w nim jakieś słabe punkty?

— Nie, panie — odparł Saiki. — Pod warunkiem, że pani Heiko rzeczywiście pojedzie z twoim sobowtórem.

— Nie zgadzam się — powiedział Genji. — W całej tej zabawie chodzi właśnie o to, żeby być kimś innym. Na co dzień nikt z nas nie ma podobnej okazji. — Mimo cierpkiej ironii w jego słowach, nie wywarło to na słuchaczach żadnego wrażenia. Samuraje umieli nad sobą panować. —

Znajdzie się ktoś, kto ją zastąpi.

— Może ty, panie, zdołasz przedzierać się w zwykłego piechura

— odrzekł Saiki. — Może pani Heiko z powodzeniem zagra rolę pokojówki. Może wreszcie ktoś z naszych spróbuje być księciem. Ale która z dziewcząt miałaby zastąpić panią Heiko?

Wszyscy zgromadzeni spojrzeli w jej kierunku. Heiko skłoniła się pokornie.

- Jestem pewna, że z tym nie będzie najmniejszych trudności.

Sohaku patrzył na nią. Widział wąskie oczy, jakby senne i czujne zarazem, doskonałą linię nosa i podbródka, uwodzicielski kształt maleńkich usteczek... Delikatne i zgrabne ręce. Figurę, która podkreślała klasyczny kształt kimona. Westchnął w duchu. To prawda. Nikt nie może jej dorównać pod względem gracji i urody.

211

— Saiki ma rację — powiedział na głos. — Jeden rzut oka, nawet z daleka, zaraz ujawniłby oszustwo. Plan się nie uda, jeżeli pani Heiko nie pojedzie z fałszywym księciem.

— Pani Heiko pojedzie ze mną. Prawdziwym — oznajmił Genji. —

Nie zamierzam siedzieć bez niej w lesie przez całe trzy tygodnie. Co niby miałbym robić? Polować?

— Nie, mój panie — pospiesznie odparł Saiki, szczęśliwy, że udało się zażegnać katastrofę. — Wszyscy dobrze wiemy, że polowania nie są twoją pasją.

— Koniec narady? — spytał Shigeru. Zebrani zgodnie skinęli głowami.

Shigeru już ochłonął z gniewu. Pazaruki Wróbla pozostaną w pochwie na inną okazję. Miał nadzieję, że bogowie nie każą mu długo czekać.

Lepkie Oko Kawakami nie posiadał się z radości. Zawsze tak było, kiedy wiedział coś więcej niż inni. A ponieważ jego zajęcie wymagało rzeczowej wiedzy, nic dziwnego, że wciąż pozostawał w stanie lekkiej euforii. Dzisiaj jednak miał szczególny powód do zadowolenia. Słońce jeszcze nie wzeszło, a on już rozmawiał z dwoma posłańcami. Drugi przyniósł wiadomość, że dostojny Sohaku, były dowódca kawalerii i opat klasztoru Mushindo, prosi o pilne spotkanie. „W ścisłej tajemnicy”, brzmiały słowa gońca. To oznaczało tylko jedno. Sohaku jest gotów zdradzić swego pana. Pytanie tylko, czy Saiki i Kudo też przyłączyli się do spisku? Zresztą nieważne. To Sohaku musi coś z nimi zrobić. Albo przekona ich od siebie, albo znajdzie sposób, żeby się ich pozbyć.

— Panie? — W drzwiach stanął Mukai.

— Wejdz.

— Posłaniec wciąż nie odpowiedział na nasze pytania. Mówił tylko o pierwszym z nich, a nie tym od opata.

Pierwszy siedział zamknięty w pokoju przesłuchań, skąd niedługo miał trafić do płytkiego grobu. Schwytano go tuż po bombardowaniu, zanim wyjechał z Edo. Kawakami widywał go już wcześniej, wśród ludzi Saikiego.

— A może brak ci siły perswazji? — mruknął.

— Kazałem mu połamać obie ręce i nogi, panie. Obcięliśmy mu także...

212

— No już dobrze — przerwał mu Kawakami, nie czekając na dalszy opis. — Sam jeszcze raz z nim porozmawiam. Utniemy sobie małą pogawędkę. Oporządź go do tego czasu.

— Już to zrobiłem, panie.

Kawakami pokiwał głową. Pod wieloma względami Mukai był

świetnym pomocnikiem. Wystarczająco mądry, żeby z góry znać polecenia swego szefa, a zarazem na tyle głupi, by nie myśleć o żadnym spisku. Wywodził się z dobrego rodu, więc mógł pracować dla shoguna, lecz nie należał do elity i nie miał szansy na karierę. Z Kawakamim łączyły go odległe więzy pokrewieństwa, był bowiem mężem córki przyrodniej ciotki jego szwagra. Jego rodzina prawie od trzech stuleci należała do ścisłego grona dziedzicznych wasali rodu Kawakami. Poza (ym w grę wchodziły jeszcze inne względy: Mukai był postawnym i silnym mężczyzną, lecz miałkim, bez osobowości. Konserwatywny ubiór, który w zasadzie powinien podkreślać męskość, wyglądał na nim nieefekownie i bezbarwnie. Do tego dochodziła twarz o tępym, pospolitym rysach. Miał duży bulwiasty nos, wąskie i blisko osadzone oczy, wielkie usta o nienaturalnie wąskich wargach i cofniętą brodę. To chyba właśnie jego wygląd sprawiał, że Kawakami ufał mu bez zastrzeżeń. Mukai chciał mieć takiego pana — światłego samuraja, obdarzonego charyzmą i dystygowanego w każdym

calu. Zapewne wydawało mu się, że w jego obecności sam świeci odbitym światłem.

- Dziękuję, Mukai. Jak zwykle dobrze się spisałeś. — W takich przypadkach Kawakami nie skąpił słów uznania. Nic go nie kosztowały.

- Nie zasługuję na pochwałę, panie. — Mukai skłonił się głęboko.

W milczeniu przeszli do sąsiedniej izby. Kawakami pogratulował

sobie w duchu. Był bardzo zadowolony. Jego przyszłość rysowała się wspanialej, niż mógł to sobie wymarzyć. ( ickawe, o czym myśli w tej chwili Mukai? Zapewne jak zwykle o niczym. Po prostu jest — w typowy dla siebie, bierny sposób. To musi wszystkim wystarczyć. Tylko bogowie i sam

213

Budda wiedzą, co się teraz dzieje w jego głowie. Oczywiście, jeśli w ogóle mają ochotę tam zaglądać. To okropne nieszczęście być kompletnym zerem.. No, chyba że ktoś ma dobrego pracodawcę...

W izbie nie pozostały żadne ślady gwałtu. Posłaniec, samuraj w średnim wieku imieniem Gojiro, był starannie odziany w to samo ubranie, które miał na sobie w chwili aresztowania. Siedział na poduszce, w oficjalnej pozie, z podwiniętymi nogami. Za nim ustawiono drewnianą podpórkę. Nie wytrzymałby, siedząc prosto ze złamanymi kośćmi.

Dyszał ciężko, twarz miał ściągniętą z bólu, na czoło wystąpiły mu duże krople potu. Kawakami wbrew sobie zerknął na jego dłonie, szukając obciętych palców. Żadnego nie brakowało. Ucięto zatem coś innego.

— Nie musisz już dłużej milczeć — powiedział z ledwie słyszalnym westchnieniem. — Dobrze wiemy, co zamierzałeś zrobić. Jechałeś z misją do Akaoki, żeby zmobilizować wojsko. Wystarczy, że to potwierdzisz.

— Nie obchodzi mnie, co wiecie, a czego nie wiecie — odparł Gojiro.

— A powinno — mruknął Kawakami — bowiem to, co wiem, może oznaczać śmierć twojego pana, banicję rodu oraz uwięzienie albo wyrok śmierci dla twojej rodziny.

Gojiro skrzywił się i zadygotał niczym w febrze. Z jego gardła wydobywały się wypełnione bólem, niesamowite dźwięki. Chwilę trwało, zanim Kawakami pojął, że jeniec nie dostał ataku konwulsji, tylko się śmieje.

— Lepkie Oko... — wycharczał Gojiro. — O wszystkim wiesz lepiej od innych, prawda? Ale jest coś, o czym nie masz żadnego pojęcia...

— Niby o czym?

— To przyszłość. A tę zna tylko jeden człowiek. Książę Genji.

— Idiota! — Kawakami powstrzymał się w ostatniej chwili, żeby go nie uderzyć. Nic by nie zyskał, bijąc okaleczonego więźnia. — Chcesz umrzeć w mękach za jakieś bajki?

— I tak umrę, Lepkie Oko. Tu i teraz. Za to moi synowie będą służyli księciu. Przyjdzie czas, że nieszczają na twój trup. — Znów się roześmiał, chociaż kosztem nowego bólu. — Twój los już dawno został

przesądzony.

214

Kawakami wstał i wyszedł bez słowa. Był tak wściekły, że wolał nic nie mówić. Mukai wybiegł za nim.

— Mamy go zabić, panie?

— Nie. Jeszcze nie. Pytajcie dalej.

— Nic nam nie powie, panie. Jestem tego zupełnie pewny.

— Nie szkodzi. Dokończcie przesłuchanie. Dopilnuj, żeby nie pominąć żadnego szczegółu.

Mukai uklonił się.

— Tak jest, panie. Kawakami udał się do pawilonu.

Mukai wrócił do izby tortur. Tak jak przewidywał, Gojiro nie powiedział więcej ani słowa, chociaż zmiażdżono mu niemal wszystkie kości, obcięto członki i wyjęto z tułowia część organów. Wył z bólu i płakał. Nawet bohater nie zachowałby się inaczej. Ale niczego nie powiedział.

Zapadła mroczna godzina Wołu, zanim wydał ostatnie tchnienie.

Mukai pokłonił się przed nieruchomym ciałem i po cichu błagał o przebaczenie. Duch Gojiro na pewno mu przebaczył. Obaj byli samurajami i każdy, najlepiej jak umiał, służył swojemu panu. Mukai wydał polecenie, aby zwłoki więźnia zostały pochowane ukradkiem, ale z zachowaniem stosownej ceremonii.

Potem opuścił izbę tortur i skierował się w stronę swojej kwatery. Nie dotarł tam jednak. Kiedy upewnił się, że nikt go nie śledzi, wymknął się ukrytym przejściem. Kilka minut później był już poza murami zamku Edo i szybkim krokiem zmierzał w kierunku książęcych pałaców w Tsukiji.

215

9

# Bitoku

*Szambelan rzekł: „Ostatnio wybuchł spór, czy rycerskie cnoty są nabyte, czy też wrodzone. Co o tym sądzisz, panie?”.*

*Pan Takanori odparł: „To bez znaczenia”.*

*Szambelan rzekł: „Jeżeli są wrodzone, to ćwiczenia niczego nas nie nauczą. Jeśli nabyte, to każdy prostak może dorównać samurajom”.*

*Pan Takanori odparł: „Gówniane cnoty. Gówniane niecnoty”.*

*Szambelan skłonił się i odszedł.*

*Pan Takanori skupił całą swą uwagę na scenie, która się rozgrywała przed nim, i wrócił do malowania „Drzew zasłaniających panią Shinku w kąpieli”.*

## *Suzume-no kumo (1817)*

Heiko obudził jakiś szelest. Ten, kto szedł, bardzo starał się stąpać jak najciszej. To pewnie któryś z naszych samurajów, pomyślała. Ale pałac nie był już chroniony murem, mógł więc tutaj zakraść się ktoś inny. Dwa miecze stały na stojaku przy wezłowniu księcia. Heiko już wyciągała rękę, by wziąć wakiza-shi, kiedy Genji w tej samej chwili pochwycił

kataną. Dopiero kiedy się poruszył, zrozumiała, że także nie spał.

— Panie? — rozległ się głos za drzwiami. To był Hide.

— Tak?

— Wybacz, proszę, że ci przeszkadzam. Masz gościa, który pilnie chce się z tobą widzieć.

216

— Kto to taki?

— Nie wiem. Jest w przebraniu. Dał mi coś, co podobno na pewno rozpoznasz.

— Pokaż.

Hide odsunął drzwi i na klęczkach wsunął się do środka. Skłonił się w ciemnościach, podpełzł nieco bliżej i wyciągnął rękę. Genji wziął od niego płaski i okrągły przedmiot wielkości dużej śliwki. Była

to stara garda miecza, ozdobiona wizerunkiem stadka wróbli lecących nad falami.

— Spotkam się z nim. Sprowadź go za małą chwilę. Hide zawahał się.

— Może... kazać mu zdjąć maskę, panie?

— To roztropne, lecz niekonieczne.

— Tak, panie. — Hide na kolanach wycofał się z komnaty i zamknął za sobą drzwi.

Heiko narzuciła na siebie bieliźniane kimono i wstała z posłania.

— Lepiej stąd pójdę.

— Dokąd?

Przypomniała sobie, że są w skrzydle dla kobiet, które jako jedyne ocalało z całego pałacu. Genji zajął na nocleg największą komnatę. W

pozostałych gnieździło się po kilka osób. Na dobrą sprawę nie było żadnego wolnego pomieszczenia.

— Zaczekam na zewnątrz.

— Zmarzniesz. Poza tym chcę, żebyś została.

— Obawiam się, że w tej chwili nie powinnam pokazywać się nikomu poza tobą, panie. — Włosy długą kaskadą spływały jej aż do pasa. Była praktycznie naga i bez makijażu. Ostatnio Genji nabrał dziwnego zwyczaju, żeby oglądać ją nieumalowaną. Stosowna toaleta, nawet z pomocą Sachiko, zabrałaby jej co najmniej godzinę.

- Przyszło nam żyć w niezwykłych czasach. Dawne zasady tu nie pasują. Zrób tylko to, co zdołasz.

Heiko zaczesła przedziałek pośrodku głowy i związała włosy na plecach wąską wstążką, niczym księżniczka z okresu Hcian. Kilka udrapowanych warstw kimona jeszcze bardziej upodobniło ją do arystokratki z zamierzchłej epoki. Nieco pudru i różu wspaniale podkreśliło blask jej błyszczących oczu

217

i kształt ust, jakby wciąż rozchylonych w promiennym uśmiechu.

— Zdziwiasz mnie — powiedział Genji, kiedy wróciła, niosąc tacę.

— Czym, mój panie?

— Sprawiasz wrażenie, jakbyś przed chwilą zeszła z malowidła z czasów Księcia Promienistego. —



Wskazał na swoje luźno przepasane kimono. — Spójrz na mnie. Tak wygląda człowiek po prostu wyrwany ze snu.

Wejście gościa uciszyło jej skromne protesty. Przybysz okazał się postawnym mężczyzną, od stóp do głów okrytym ciemną peleryną. Heiko przypatrywała mu się podejrzliwie. Jego niezgrabne ruchy coś jej przypominały. Chyba gdzieś go już widziała... Ale gdzie?

Hide i Shimoda stali nieco z tyłu, po obu stronach gościa. Zginąłby przy pierwszym podejrzanym ruchu. Wiedział o tym, bo zachowywał się bardzo ostrożnie. Nawet ukłonił się powoli i z wielkim namaszczeniem.

— Wybacz mi, że przeszkadzam, książę.

Ponad chustką zakrywającą twarz widać było tylko oczy. Na widok Heiko zamigotał w nich błysk zaskoczenia.

— Chciałbym pomówić z tobą na osobności.

Genji dał znak ręką swoim samurajom. Obaj mieli niepewne miny, ale nawet nie drgnęli.

— Poczekajcie za drzwiami — powiedział Genji.

— Tak, panie. — Hide i Shimoda skłonili się, nie odrywając wzroku od domniemanego skrytobójcy. Pomału, tyłem wyszli na korytarz.

Wprawdzie zamknęli drzwi, ale Genji mógł dokładnie opisać, co tam robią, jakby potrafił przebić wzrokiem drewnianą ramę i papier. Stali za progiem, ściskając rękojeści mieczy, gotowi w każdej chwili z trzaskiem wpaść do komnaty.

Przybysz ponownie spojrzał na Heiko.

— Wciąż nie jesteśmy sami, panie.

— Skoro nie ufasz pani Heiko, to ja też nie mogę obdarzyć cię zaufaniem — odparł Genji i skinął na nią. Z ukłonem podeszła bliżej, by nalać im herbaty.

Nieoczekiwanie dla samego siebie, Mukai znalazł się w pra-218

wdziwej kropce. Musiał odsłonić twarz, by się napić. Gdyby wykręcał

się od poczęstunku, książę odmówiłby rozmowy. Genji znał jego tożsamość, bo spotkali się już przedtem. Więc dlaczego chce zdemaskować go przed gejszą? Odpowiedź była tylko jedna. Zamierza sprawdzić, jak zareagują na swój widok. Czy to znaczy, że ją podejrzewa?

Albo jego? Lub oboje? A może w dalszym ciągu uważa ją za gejszę i wymyślił to tylko dla zabawy? Mukai bał się, że dziewczyna zadenuncjuje go przed Kawakamim. A to znaczyło, że w krótkim czasie sam znajdzie się w izbie tortur, do której trafił Gojiro. Potem grób, i koniec. A może lepiej donieść

na nią do księcia?, pomyślał. Powiedzieć prawdę, że jest szpiegiem i morderczynią? Nie, to nic nie da. Genji na pewno zażąda dowodów. Mukai pluł sobie w brodę, że nie przewidział

spotkania z Heiko. Był przekonany, że opuściła pałac po rannym bombardowaniu. Pokręcił głową, bo znużyły go jałowe rozważania.

Odłonił twarz i sięgnął po czarkę z herbata.

Heiko ani trochę nie wyglądała na zaskoczoną. Prawdę mówiąc, rozpoznała go już chwilę wcześniej, po małych, blisko osadzonych oczach i wydatnym nosie, wypychającym chustkę zakrywającą dół

twarży. Podejrzewała, że przyszedł tutaj na wyraźny rozkaz Kawakamiego. Dziwny wybór, uznała w duchu. Kto jak kto, ale Mukai nie nadaje się do takich akcji.

Genji popatrzył na nią z ukosa. Nie zdziwił go jej niewzruszony spokój. Wiedział, że potrafiła nad sobą panować. Ale Mukai był

zdeenerwowany. Zatem się znają... a to oznacza zdradę. Czyją? Tego jeszcze nie wiedział.

Mukai złożył niski ukłon.

- Z przykrością muszę ci powiedzieć, panie, że twój posłaniec, imieniem Gojiro, został schwytyany przez ludzi shoguna, zanim zdołał

wyjechać z Edo.

— To rzeczywiście pech — odparł Genji. — Powiedział coś na przesłuchaniu? Nie, panie.

- Jego trzech synowie będą awansowani w nagrodę za odwagę i wierność ich ojca. Czy jest jakaś szansa, by odebrać ciało?

Nie, panie. To niemożliwe.

219

Księcia zmartwiła śmierć starego dzielnego wasala, ale poza tym zbytnio się nie przejął. Gojiro wiedział, że w razie wpadki czekają go tortury i śmierć. Ale Saiki wysłał jeszcze jednego gońca do Akaoki.

Takiego, który już dawno powinien tam dotrzeć.

— Dziękuję ci za cenne wieści.

— To nie wszystko. Przechwycono także drugiego posłańca.

— Jesteś pewny? — Genji starannie dobierał słowa. Nie chciał

nimowolnie zdradzić czegoś, o czym Mukai może nie wiedzieć. Ciągłe nie był do końca przekonany, czy domniemana zdrada nie jest przypadkiem dziełem Lepkiego Oka.

— Drogi do Akaoki pilnują sokolnicy, rozstawieni w kilku najważniejszych miejscach — wyjaśnił Mukai. — Pan Kawa-kami zna upodobania twego zmarłego dziadka, panie. Jest przekonany, że podzielasz jego głęboką pasję do gołębi pocztowych. Twoje wojska nie otrzymają stosownych rozkazów. Nie będzie mobilizacji.

— To rzeczywiście kłopot — przyznał Genji. Teraz już tylko Saiki może sprowadzić pomoc. Pod warunkiem, że zdoła przedostać się do domu.

— Nikt z twoich dowódców nie podejmie działań z własnej inicjatywy?

— Moi dowódcy są Japończykami — powiedział Genji. — Inicjatywa to zabójcza cecha cudzoziemców. Moi ludzie, tak jak im kazano, będą cierpliwie czekali na dalsze polecenia.

— Bez względu na to, musisz opuścić Edo, panie. Nawet jeśli pan Kawakami nie zechce cię zabić, będziesz miał przeciwko sobie wszystkich, którzy podlegają do walki z cudzoziemcami. Wczorajsze zdarzenia wywołały prawdziwą wściekłość. — Mukai przerwał i nabrał

tchu, żeby zapanować nad zdenerwowaniem. — Moja rodzina od lat związana jest z klanem Kawakami. Jednak nasz zamek stoi daleko, w omiatanej śniegiem krainie, na wysokim brzegu Morza Japońskiego.

Nigdy nie był zdobyty, nawet podczas oblężenia dowodzonego przez Odę Nobunagę. Nikt nie pomyśli, że mógłbyś szukać tam schronienia, panie.

Tymczasem możesz śłać kolejnych gońców do Akaoki. W końcu któryś się przedrze. Do tego czasu będziesz u mnie zupełnie bezpieczny.

220

— Zdumiewająca propozycja — odparł Genji, szczerze zdziwiony. —

Zdajesz sobie sprawę, że to może być poczytane jako wyraz otwartego buntu nie tylko przeciw Kawakami, ale nawet przeciw shogunowi?

— Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje swojego postępowania, panie.

— Pomyślę o tym — powiedział Genji, chociaż wcale nie zamierzał

zmieniać wcześniejszych planów. — Ale moim zdaniem lepiej będzie, jeśli zachowasz poprzednie sojusze. To dla twojego bezpieczeństwa.

— Nigdy! — zawołał Mukai z nietypową dla siebie gwałtownością.

— Moi przodkowie pod Sekigaharą stali u boku twoich przodków, panie.

Chcę ci służyć.

— A jeżeli znowu przegramy?

— Nie. Wszystko wskazuje na to, że cieszysz się łaską bogów.

Mukai był zbyt poważny, żeby zrozumieć komizm tej sytuacji, więc Genji nie śmiał się, choć miał na to nieprzewartą ochotę. Ci, którzy wierzyli, że książę Akaoki posiada dar jasnowidzenia, w każdym zdarzeniu dopatrywali się jakichś ukrytych znaków. On sam zaś nie był

niczego pewien.

Garda wróciła do właściciela. Mukai mógł jej jeszcze potrzebować.

— Twój ród trzymał to w tajemnicy przez wszystkie te lata?

— Tak, panie. — Mukai skłonił się głęboko, wziął z szacunkiem w obie dłonie filigranowy owal. — Od dnia bitwy. To nam przypomina, komu jesteśmy winni wierność.

Czy kiedykolwiek uciekniemy od Sekigahary?, pomyślał Genji. Czy dawna waśń skończy się wraz z upadkiem rodu Tokugawa, czy wszyscy wciąż będą cicho czekać na kolejną „decydującą bitwę”? Może za sto lat, gdy Japonia, razem z resztą świata, zostanie ostatecznie podbita przez cudzoziemców...

Mukai wyszedł. Genji bezradnie spojrzał na Heiko i zadał jej te pytania.

— Nie mam pojęcia, panie. Wiem za to, że Sekigaharą nie ma nic wspólnego z propozycją twojego dzisiejszego gościa.

— Oczywiście, że ma! — wykrzyknął Genji. — O cóż chodziłoby innego?

221

— Może o miłość?

— Miłość? — Genji wyglądał na zaskoczonego. Nie zauważył, żeby Mukai i Heiko wymienili jakiś gest czy spojrzenie. Czy to znaczy, że on też cię kocha?

— Nie. — Heiko nie umiała zapanować nad uśmiechem. — Nie mnie, panie.

Ze starego opuszczonego myśliwskiego szałas u podnóża gór w Kanto wyszło dwudziestu pięciu samurajów. Żaden z nich nie był

wyposażony jak na polowanie. Jeden z dwóch wojowników idących na przodzie odwrócił się do towarzysza.

— Nic nie wynikło z tego spotkania.

— A spodziewałeś się czegoś więcej?

— Chyba nie. Miałem jednak nadzieję, że będzie trochę lepiej.

— Najważniejsze, że w ogóle doszło do rozmowy. — Odwrócił się i wskazał na sznur samurajów zmierzających do Edo. — Tylko popatrz.

Dwudziestu pięciu ludzi z herbami dwunastu książąt. Nie tak dawno, przy różnych układach i zobowiązaniach, byłoby to zupełnie nie do pomyślenia. Przyjacielu, łamiemy stare obyczaje. Jesteśmy pokoleniem, które wkrótce stworzy nowe ideały. Nasz upór sprawi, że naród odżyje w swojej dawnej chwale.

Drugi popatrzył nań z niekłamanym podziwem. Był dumny, że stał się bojownikiem o tak słuszną sprawę. Że dołączył do grupy Mężów Opatrzności.

Inni rozmawiali o bardziej przyziemnych sprawach.

— Słyszałeś może o kimonie, które Heiko miała na sobie dwa tygodnie temu?

— Więcej, niż słyszałem, widziałem je.

— Nie!

— Tak. Kimono było wyszywane w różne arabeski i zamorskie kwiaty. Tak zwane róże. Głupcy nazywają to czasem amerykańską albo piękną różą, jakby wszystko, co amerykańskie, musiało być piękne.

— Upadliśmy już tak nisko, żeby podziwiać obce kwiaty?

— Nasze róże są za mizerne dla bałwochwalców, którzy cenią wyłącznie to, co z zagranicy.

222

— Wszystkie róże pochodzą z innych krajów — wtrącił się do rozmowy trzeci wojak. — Te niby nasze w zamierzchłych czasach sprowadzano z Chin i Korei.

— Poczekajmy, aż dorobimy się własnej nauki. Dowiemy się, które kwiaty są rdzennie japońskie. Tylko tymi naprawdę warto się zachwycać.

— Nauka to ohydny wymysł cudzoziemców.

— Niekoniecznie. Ze strzelby da się strzelać w każdą stronę. Nauka też może okazać się korzystna. Dzięki niej Japonia stanie się silniejsza.

Prawdę mówiąc, mam zamiar zostać naukowcem. Tak dyktuje mi patriotyzm.

— Zbrukasz umysł? Poświęcisz się dla dobrej sprawy? Zaslugujesz na najgłębszą wdzięczność.

— Chryzantema na pewno jest japońska.

— Oczywiście. Bez wątpienia.

Chryzantema była świętym symbolem rodu cesarskiego. Nikt nawet nie śmiał podważać jej pochodzenia.

— Nauka na pewno to potwierdzi w całej rozciągłości. Jeden z dowódców ostrzegawczym ruchem uniósł rękę.

— Szybko, między drzewa!

Chwilę później, na tym samym szlaku, którym zdążyło dwudziestu pięciu samurajów, ukazała się mała kawalkada. Na przodzie jechał

samotny rycerz, a za nim pięciu konnych. Mówiąc ściślej — trzech konnych i dwie damy.

Shigeru zmarszczył brwi.

— To mądrze być tak nieostrożnym?

- A znasz bezpieczniejszy sposób, by spokojnie wyjechać z lido? —

spytał Genji. — Szczypta rozwagi z naszej strony od razu wzbudzi podejrzenia. Zobaczyliśmy już żurawie i przez nikogo nie zatrzymywani dojechaliśmy tutaj, do podgórza. Nadal jesteśmy na wycieczce.

Shigeru w dalszym ciągu nie bardzo rozumiał, dlaczego mają wjechać w sam środek grupy samurajów, ukrytych za drzewami. Nie zamierzał

jednak klócić się z bratankiem. Genji tylko z pozoru był słaby i zniewieściały. No właśnie... z pozoru. Na swój sposób potrafił być uparty i twardy jak jego zmarły

223

dziadek, pan Kiyori. Shigeru przesunął się w najslabiej chronione miejsce, czyli na koniec kawalkady. Miał nadzieję, że potencjalny atak nastąpi właśnie z tamtej strony.

— Wybacz, panie — odezwał się Hide. — Ale w pełni zgadzam się z panem Shigeru. Widziałem dwa tuziny zbrojnych. Kto nam zaręczy, że za nimi nie czai się jeszcze więcej? Może dostali rozkaz, by cię zabić?

— A może to niewinna grupa kilku przyjaciół na przechadzce w lesie?

Jedziemy dalej. I proszę was, nic nie róbcie bez moich wyraźnych rozkazów.

— Tak, panie — mruknął Hide z wielce zatroskaną miną. Popędził

konia piętami i wysforował się na czoło. W razie napaści mógł

powstrzymać wroga i dać księciu czas do ucieczki.

Emily pytająco spojrzała na Genjiego. Uśmiechnął się i odpowiedział:

— Jakiś oddział wałęsa się przed nami. Nie ma powodów do niepokoju. — Łagodnie zmusił wierzchowca, by przyspieszył.

— Ufam, że tak jest w istocie, panie. — Emily zrównała się z nim po chwili. — Skoro nie mamy złych zamiarów, kłopoty nas się nie imają.

— W to właśnie wierzą chrześcijanie? — zapytał Genji. — W

równowagę myśli i czynów?

— *Albowiem cobykolwiek siał człowiek, to też żąć będzie.* Chyba tak.

— Zgadasz się z nią? — spytała Heiko Starka.

— Pod tym względem mam zupełnie inne doświadczenia — odparł.

Ukradkiem pomacał broń ukrytą pod kurtką.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym trakt stawał się nieco szerszy, ze wszystkich stron zostali otoczeni przez uzbrojonych samurajów. Nikt co prawda nie dobył miecza, lecz w powietrzu wyraźnie czaiło się napięcie.

— Obcy nie mają tu prawa wstępu. — Ten, który wyrzekł te słowa, wysunął się lekko przed grupę. — Na szczęście są jeszcze w Japonii takie miejsca, gdzie nie dotarła ta zaraza.

— Z drogi! — warknął Hide. — Powinniście czuć się zaszczytzeni, że księżę chce tędy przejechać.

— Z pewnością — odparł drugi z samurajów, także stojący nieco z przodu — gdyby ów księżę był rzeczywiście księciem. Tymczasem widzę nędznego karła, który płaszczy się przed cudzoziemcami. Nie zwykłem się takim kłaniać.

224

Hide błyskawicznym ruchem położył dłoń na rękojeści miecza. Genji jednak był szybszy.

— Porzućmy zbędne ceregiele — zaproponował beztróska. —

Zapewne wszystkim nam się spieszy, bo dzień ma się już ku końcowi.

Proszę, pozwólcie nam przejechać. Nikt nikomu nie musi się kłaniać.

Stańcie po swojej stronie drogi, a my podążymy swoją.

— To słowa tchórza! — rzucił pierwszy dowódca. — Twój dziad był

wojownikiem godnym najwyższych zaszczytów, ty zaś jesteś jedynie śmieciem z prawie wygasłego rodu.

— Hide! — Ostrzegawczy okrzyk księcia sprawił, że samuraj uratował głowę. Hide powoli rozprostował palce zaciśnięte na rękojeści miecza i wziął głęboki oddech, by się uspokoić. Nie bardzo mu się to udało.

— Skoro tak, to dzielni ludzie waszego pokroju nie muszą zwracać na mnie najmniejszej uwagi — powiedział Genji. — Zostawmy to zatem tak, jak jest, i rozejdźmy się w pokoju.

— Może to dobry pomysł? — mruknął pierwszy oficer do drugiego.

— Nie będziemy chyba tak okrutni, by odmawiać mu przyjemności, do których od dawna przywykł?

— Właśnie — odparł zapytany. Popatrzył na księcia ze złośliwym uśmiechem. — Słyszałem, że nocami aż pieje z rozkoszy, gdy jakiś barbarzyńca wpycha mu fiuta w pokrwawioną dupę.

— A w dzień gaworzy jak uszczęśliwione dziecko, liżąc ich spocone ciała.

— Niestety, macie błędne wiadomości — powiedział Genji. —

Jedyna cudzoziemka, z którą dzielę łożę, jedzie tuż koło mnie.

Kilku samurajów roześmiało się złośliwie.

— To prawdziwy skarbiec niewysłowionych rozkoszy — ciągnął

Genji.

— Jesteś głupcem albo szaleńcem — zawołał pierwszy dowódca. —

Albo po prostu ślepcem. Spójrz tylko na nią.

225

Twój koń jest bardziej podobny do człowieka... chociaż nosy mają podobnej długości. Koń jednak wygląda dużo zdrowiej w porównaniu z jej ziemistą cerą.

— A jej smród... Trudny do opisanie. Genji uśmiechnął się promiennie.

— Chyba stoicie za daleko, żeby dobrze poczuć jej prawdziwy zapach. Podniecona, w intymnych miejscach swego ciała wydziela woń podobną do oparów opium. Potem wpada w dziwną ekstazę. Spójrzcie na jej delikatne dłonie. Na niemal przezroczystą skórę. W uniesieniu zaczyna świecić niczym błyskawicą. Ten, kto jej wtedy dotknie, czuje, jak drobne dreszcze przeszywają całe jego ciało. Jest inna w środku. To dlatego wydaje się taka blada.



Gdy książę zabawiał słuchaczy tą niestworzoną opowieścią, Hide i Shigeru ukradkiem przyjęli pozycję dogodną do natychmiastowej szarży.

Chodziło o to, aby do maksimum wykorzystać efekt zaskoczenia. W

pierwszym ataku zamierzali stratować i wytluc co najmniej połowę przeciwników. Wiedzieli, że z niedobitkami również sobie poradzą. Hide dobrze pamiętał rodowe powiedzenie, że jeden jeździec z klanu Okumichi wart jest co najmniej tyle, co dziesięciu piechurów. Przewaga była zatem po ich stronie, nie zaś tak zwanych Mężów Opatrzności. Hide i Shigeru wymienili szybkie spojrzenia, na znak, że są gotowi.

— Teraz popatrzcie na jej piersi — ciągnął Genji. — Takie sterczące i nienaturalnie wielkie. — Pod pretekstem, że mówi o Emily, przesunął się dwa kroki do przodu i po części odgrodził ją wierzchowcem od najbliższych stojących samurajów. Teraz mógł ich bez trudu zabić, zanim wyrządząliby jej krzywdę. — Dojrzewają co miesiąc. Teraz są nabrzmiące... lecz nie mlekiem, ale ognistym płynem, działającym niczym afrodyzjak. Jeśli dotkniecie jej, okaże się, że jest lodowato zimna, bo całe wewnętrzne ciepło tkwi u niej tylko w trzech miejscach: w piersiach, ustach i sromie.

Emily była bardzo ciekawa, o czym Genji rozmawia z nowymi znajomymi. Musiało to być zajmujące, słuchali bowiem go jak oniemiała, rozdziawiając usta i rzucając spojrzenia w jej stronę. Uśmiechnęła się, pełna nadziei, że zrozumieją to jako gest przyjaźni.

226

Stark też nie rozumiał z tego ani słowa, lecz doskonale wiedział, co się dzieje. Wszyscy trzej wojownicy z klanu Okumichi przesunęli się na lepsze bojowe pozycje. Walka była nieunikniona.

Po drugiej stronie naliczył dwudziestu pięciu samurajów. Żaden z nich nie miał broni palnej, przynajmniej pod ręką. Dwudziestu pięciu. A tutaj?

Genji, Hide, Shigeru... Niewielu, chociaż dosiadali koni. Stark był

uzbrojony jedynie w kieszonkowy rewolwer kalibru trzydzieści dwa.

Sześć kulek i żadnej szansy na naładowanie. Gdyby miał nóż, może zabiłby jeszcze jednego lub dwóch... Ale nic z tego. W najlepszym razie mogą pokonać najwyżej połowę. Pozostali na pewno ich zabiją. Żeby tylko... Stark przeniósł wzrok na Emily. Była w pobliżu księcia, razem z Heiko. Przeznaczył dla niej pierwszą kulę, drugą dla Japonki. W ten sposób chciał ocalić je przed mękami z rąk napastników. Zastrzelę czterech, myślał, i stratuję tyłu, ilu tylko zdołam. Nie sprzedam tanio skóry. Był gotów. Luźno zwiesił ręce i przegnał z głowy wszystkie niepotrzebne myśli.

Pierwszy z dowódców niczym w transie przysłuchiwał się opowieści księcia. Wreszcie odzyskał mowę i warknął gniewnie:

— Wystarczy tych obleśnych bredni! Zatrzymaj swoje fantazje dla siebie. Za długo każesz nam wachać smród, który od was bije.

— Nie wiadomo tylko, czy śmierdzą wasze brudne konie, Iwoja wstrętna kochanka, czy sam może już zgniłeś — dorzucił drugi.

— Dość! — Shigeru nie zdzierzył dłużej. Wysunął się naprzód, nie bacząc na błyszczące miecze Mężów Opatrzności. — Lepiej przeproście teraz zmarłych przodków, bo po waszej śmierci zburzymy ich ołtarze, a prochy wsypiemy do najbliższego szamba!

Kilku wojowników skoczyło w jego stronę, lecz zaraz się cofnęli.

— Shigeru!

- Niemożliwe! Przecież nie żyje! Na mgnienie oka wszyscy zamarli, a potem się rozproszyli. Na trakcie pozostali tylko ci dwaj, którzy przedtem rozmawiali z Genjim. Obaj uklękli z czołami przy ziemi.

227

— Przyjmijcie moje przeprosiny — powiedział pierwszy — i oszczędźcie starych rodziców.

— Mam małe dzieci — jęknął drugi. — Niech moja krew oczyści je z wszelkiej winy!

Poruszyli się niemal jednocześnie. Pierwszy chwycił oburącz ostrze miecza i, nie zwracając uwagi na pokaleczone palce i krew płynącą mu po rękach, pchnął się w szyję. Szarpnął głową. Życie z bulgotem uciekało z ziejącej rany, z ust i nosa. Drugi włożył ostrze w usta i targnął tułowiem w przód. Koniec rękojeści głucho stuknął o zmarzniętą ziemię, a ostrze wyszło tyłem głowy. Nie upadł jednak, ale wsparty na upiornym trójnogu zbudowanym z kolan i miecza, konał w konwulsjach.

Emily zemdląca. Spadłaby z siodła, gdyby Genji w porę jej nie podtrzymał. Był przekonany, że sam runie pod jej ciężarem, lecz ze zdumieniem stwierdził, że jest bardzo lekka. Z bliska wydawała się mniejsza niż zazwyczaj. To jej bujne kształty sprawiały, że nie wyczuł

proporcji.

Shigeru chciał zsiąść z konia.

— To niepotrzebne — powiedział Genji.

— Muszę zobaczyć, kim są — odparł Shigeru. Twarz płonęła mu żywym ogniem. Tylko krew mogła to ugasić.

— Daj spokój — mruknął Genji. — Żyjemy w ciężkich czasach.

Wprawdzie zbłądzili, lecz na swój sposób to uczciwi ludzie. Uszanujmy zatem ich honor i nie kłopotczmy się o resztę.

Shigeru skłonił się. Odczekał, aż księżę odjedzie nieco dalej, i lekko zeskoczył z siodła. Podeszedł do trupów, obejrzał herby na kimonach i dokładnie przyjrzał się ich twarzom. Genji czasami bywa zbyt

szlachetny.

Pewne słowa nie zasługują na przebaczenie.

Jeden z zabitych wspomniał o dzieciach, drugi o rodzicach. Shigeru obiecał sobie w duchu, że gdy się wszystko nieco uspokoi, odnajdzie ich i zrobi to, co powinien zrobić.

Wsiadł na konia i podążył za resztą podróżnych.

— Nic nie rozumiem — mówiła Emily. — Przecież zwyczajnie rozmawiali. Pan Genji sprawiał wrażenie, że go coś bawi. Potem, nagle...

— Zadrzała i mocniej przylgnęła do Starka. Miała nadzieję, że ją obejmie.

Zrobił to. Nie pomogło.

228

Nadal dygotała. Nie przyszło jej do głowy, że będzie świadkiem tak strasznego, bezrozumnego okrucieństwa. Ci dwaj ludzie najpierw coś mówili, a chwilę później zapredali diabłu swoje nieśmiertelne dusze, ginąc z własnej ręki. Po co? Dlaczego? Wciąż miała przed oczami ich straszliwe rany i słyszała krew bulgoczącą w gardłach. Czy zdołam kiedyś o tym zapomnieć? Chyba nie, pomyślała i zadrzała jeszcze bardziej.

— Są inni niż my — mruknął Stark, lecz to na dobrą sprawę niczego nie wyjaśniało. Przeciwnik miał wyraźną przewagę liczebną. A jednak wystarczyło zaledwie parę słów rzuconych przez Shigeru, żeby wszyscy ze strachem uciekli. Dlaczego? Tego nie wiedział. Dwóch zginęło w okropnych mękach. Chyba nie brakło im odwagi, skoro wybrali taki sposób śmierci. Dlaczego zatem nie podjęli walki? To też było dlań zupełną zagadką.

Książę siedział opodal, naradzając się ze stryjem. Heiko, w ogóle nie wzruszona tym, co się stało, budowała szałas z bambusów. Pomagał jej Hide. Na pozór krucha niby motyl, nawet nie mrugnęła okiem na widok przemocy.

Stark, tak samo jak Emily, nie rozumiał, co zaszło.

— Ciekawe, czy jesteśmy dla nich tak samo zagadkowi?

— To niemożliwe — odpowiedziała Emily. — Nasze czyny, /. woli Boga, podyktowane są rozsądkiem.

— Byłoby mądrzej jechać nocą — powiedział Shigeru. — Nie boję się uciekinierów. Ci już nie wrócą. Są jednak inni, którzy pewnie ruszyli za nami w pogoń.

— Może i mądrzej — odrzekł Genji. — Lecz niestety, nie damy rady.

Emily przeżyła szok i na razie nie podoła trudom podróży.

— Szok? — Shigeru zerknął w stronę cudzoziemki. — Dlaczego jest w szoku? Powinna raczej być zadowolona. Na razie uniknęliśmy walki.

— Nie przywykła do widoku ludzi zadających sobie śmierć —

wyjaśnił Genji. — Zwłaszcza za pomocą miecza. Pewnie łatwiej zniosłaby widok trupów zabitych w czasie strzelaniny.

Shigeru nie miał cierpliwości do takiej rozmowy. Szybko przeszedł do innych ważniejszych tematów.

229

— Kilku z nich nosiło herby księcia Yoshino. Na pewno doniosą mu o naszej obecności. To zaś oznacza, że wiadomość niedługo dotrze do shoguna, bo Yoshino od bardzo dawna jest przymierzeńcem Tokugawów.

— Niekoniecznie. Wątpię, żeby ich spotkanie odbywało się za przyzwoleniem tutejszych możnowładców. Działali na własną rękę. Tak naprawdę dopuścili się poważnej zdrady. Będą milczeli, choćby w obawie przed surową karą, jaką ściągnęliby na siebie i swoje rodziny. Pod tym względem jesteśmy całkowicie bezpieczni.

— Mimo wszystko musimy wciąż posuwać się na północ i skręcić na zachód dopiero w okolicach klasztoru Mushindo — upierał się Shigeru.

— To wprawdzie wydłuży drogę o dwie doby, lecz jednocześnie oddali możliwość pościgu.

Podeszli do nich Heiko i Hide.

— Szałas gotowe, panie — powiedział Hide.

— Dziękuję. Obejmę pierwszą wartę, Shigeru drugą, a ty trzecią.

— Nie musisz stać na straży, panie — zaproponował Hide.

— Jest nas tylko trzech. Musimy dzielić się obowiązkami, bo inaczej wkrótce będziecie zbyt zmęczeni, żeby się na coś przydać. Obejmę pierwszą wartę.

— Tak jest, panie.

Heiko uśmiechnęła się do księcia.

— Co cię bawi?

— Tak sobie tylko pomyślałam...

— O czym?

— Pojedziemy dalej na północ?

— Tak, przez dwa dni. Dlaczego pytasz?

— To gdzieś tam leży owa niezdojta twierdza należąca do rodu Mukai? Genji wyciągnął rękę w jej stronę, ale dziewczyna była szybsza.

Ze śmiechem odskoczyła na bezpieczną odległość.

— Wracaj!

— Cierpliwości, panie.

Heiko zatrzymała się w pewnej odległości od pary cudzoziemców i złożyła im stosowny ukłon.

— Emily, Matthew... — Wskazała na jeden z szałasów. —

230

Tutaj spędzimy noc. Spróbujcie nieco wypocząć. Być może nie będziemy mieli okazji do odpoczynku, zanim nie dotrzemy do zamku pana Genji.

— Dziękuję, Heiko — powiedziała Emily.

Okryli ją kilkoma kocami i siedzieli w milczeniu, póki nie zasnęła.

Potem Heiko wstała, by odejść, lecz Stark ją zatrzymał.

— Co to byli za ludzie?

Przez chwilę szukała w pamięci odpowiedniego słowa.

— Banici.

— Dlaczego uciekli, zamiast podjąć walkę?

— Rozpoznali pana Shigeru.

— Było ich ponad dwudziestu, a nas tylko czterech.

— Właśnie — odpowiedziała. — Wiedzieli, że jest ich za mało.

Woleli uciec.

Stark był święcie przekonany, że dziewczyna nie zrozumiała jego pytań. Jej odpowiedzi nie miały sensu. Nigdzie na świecie dwudziestu wojowników nie ucieka przed czterema.

— A ci dwaj? Dlaczego się zabili?

— Przeprasili za ostre słowa.

— Przeprasili?! Rzucając się na własne miecze?

— Tak.

— Co powiedzieli? Czym sobie zasłużyli na tak straszną karę?

— Zachowywali się bardzo obraźliwie — powiedziała Heiko. — Nie powinnam tego powtarzać. To byłoby niegrzeczne. — Ukłoniła się. —

Dobranoc, Matthew.

— Dobranoc, Heiko.

Stark nie mógł zasnąć prawie do rana. Słyszał stłumione chichotanie Heiko. Potem stryj księcia wstał i odszedł między drzewa. Po paru godzinach wrócił. Hide zastąpił go na warcie. Stark w pierwszej chwili chciał im zaproponować pomoc, lecz po namyśle z tego zrezygnował. Bał

się, że obrazi przypadkiem któregoś z nich i będzie musiał za karę popełnić samobójstwo. A przecież nie może umrzeć wcześniej niż Ethan Cruz.

- Mukai? Chyba naprawdę sama w to nie wierzysz. — Wierzę.

Widziałam, jak na ciebie patrzył. Jak mówił

231

„panie”. I znowu — „panie”. Za każdym razem miał taką minę, jakby już cię posiadał.

— Jego przodkowie walczyli po naszej stronie pod Sekiga-harą. To jedyny powód, dla którego mógłby dochować mi wierności.

— Wierzysz w to? Jesteś naiwny jak wiejska dzierlatka.

— Garda była u niego od pokoleń.

— To on tak twierdzi. Równie dobrze mógł kupić ją w lombardzie.

Sekigahara to tylko wykręt. Miłość chadza różnymi ścieżkami.

— To okropne... Wcale nie śmieszne. Przestań chichotać!

— Masz rację. Powinnam być zła na ciebie.

— Zła? A to dlaczego?

— Bo jesteś piękniejszy ode mnie. Przynajmniej dla niektórych.

— Mukai wcale mnie nie kocha.

— Zmienisz zdanie, kiedy będziesz pędził leniwą egzystencję w zamku na skalistym wzgórzu, nad huczącą falą przyboju...

— Świat- nie upadnie aż tak nisko. Nie za mojego życia.

— Czy to przepowiednia, panie?

Nocą i raniem równinę Kanto pokryła gruba warstwa śniegu. Mukai spoglądał na biały świat z okna swojej kancelarii na zamku Edo.

Wiedział, że gdzieś daleko kryje się biedny uciekinier Genji. Serce krajało mu się na myśl, jak wiele musi teraz wycierpieć młody książę z powodu złej pogody.

Chciał osobiście ruszyć za nim w pogoń, lecz Kawakami na to nie pozwolił. Sam przejął dowództwo nad oddziałem. Mukai tkwił więc uziemiony w Edo, niezdolny pomóc temu, kogo kochał. Czy może być w życiu coś gorszego?

Spojrzał na gardę, którą trzymał w dłoni. Stado wróbli lecące nad morzem... Kiedy zobaczył ją przypadkiem w sklepie Seamiego, niespodziewanie zdał sobie sprawę z uczuć, jakie żywi do przystojnego księcia. Wcześniej nie rozumiał, skąd bierze się u niego dziwna niemoc, którą odczuwa od minionej wiosny. Początkowo składał ją na karb powszechnego w tym roku niepokoju z powodu wzmożonego napływu cudzoziemców. Potem jednak uświadomił sobie, że na wiosnę widział

Genjiego.

232

— Oto kolejny władca Akaoki — powiedział Kawakami, wskazując księcia podczas audiencji u shoguna. — Coś mi się zdaje, że ich ród wygaśnie po śmierci starego Kiyoriego.

Mukai ujrzał młodzieńca niezwyklej urody. Aż mu dech zaparło.

Względy grzeszności wymagały, żeby się zgodził z Kawakamim, ale z przejęcia nie potrafił wykrztusić słowa.

I tu powinien nastąpić koniec — bez żadnych dalszych konsekwencji.

Lecz jeszcze tego samego dnia, wieczorem, podczas rozmowy o upadku dawnych obyczajów, Mukai odnalazł cel w życiu. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

— Cudzoziemcy gonią wyłącznie za odrobiną szczęścia —  
powiedział Kawakami.

— Aż dziw bierze — westchnął pan Noda — że tak płytkie wartości moralne przetrwały więcej niż

dwa pokolenia.

— Nie wiem, jak będzie dalej — odparł Kawakami. — Ale jak dotąd im się udawało.

— Wprawdzie różnią się od nas — dorzucił pan Kubota — lecz chyba nie powinni być aż tak odmienni.

— To ich najwyższe prawo — wyjaśnił Kawakami. — Gwarancja szczęścia dla każdego.

— Dla jednostki? — spytał Mukai.

Kawakami rzucił mu gniewne spojrzenie. Tacy jak on nie powinni wtrącać się do rozmowy. Mogą najwyżej siedzieć i słuchać. Mukai skłonił się przepraszająco. Nieco udobruchany Kawakami odparł

łaskawie: — Tak. Dla jednostki.

— Zboczony pomysł — mruknął pan Noda.

Mukai zgodził się z nim w milczeniu. Rzeczywiście, zboczony pomysł. Nadrzędnym celem jest porządek w państwie, a co za tym idzie, ścisły podział klasowy. To są wymogi cywilizacji. Każdy powinien znać swoje miejsce w grupie i zachowywać się /godnie z regułami. W

przeciwnym razie zapanuje chaos. Szczęście... Co to za pomysł? Mukai walczył przez chwilę z podnieceniem. Był przekonany, że to jedynie wybuch słusznego gniewu.

Kiedy zobaczył żelazną gardę, coś w nim pękło i rozpląkał się jak małe dziecko.

233

— Co ci się stało, panie? — z niepokojem zapytał kupiec Seami.

Wróble w locie. Na pozór nieruchome, zakłete w kawałku metalu, a jednak wolne... On nigdy nie miał aż tyle swobody. Piękno Genjiego.

Jego szpetota. Pusta komnata.

Szczęście. Czyste, egoistyczne szczęście. Myśleć o jednym, zapomnieć o wszystkim innym... Więcej, na dobre zanurzyć się w blasku nieokiełznanej miłości. Jeśli mógłby być z Genjim, zniknąłby. Zostałby tylko Genji, piękny, taki piękny...

Mukai wciąż płakał, a Seami stał obok niego, bezradnie załamując ręce.

Kupił gardę za pierwszą cenę wymienioną przez kupca. Nie targował

się. Chętnie zapłaciłby dwa razy więcej. W lot wymyślił walecznego przodka, który pod Sekigaharą walczył w szeregach klanu Okumichi. To dawało mu doskonały pretekst do potajemnego spotkania z księciem.



Śnieg wciąż padał. Mukai zacisnął gardę w wielkiej i niezgrabnej dłoni. Właśnie podjął najważniejszą decyzję w życiu.

Godzinę później opuścił zamek Edo i pojechał do domu, nad Morze Japońskie. Nie był potężnym kasztelanem, miał zaledwie dwustu zbrojnych wasali. I co z tego? Zamierzał zwołać ich wszystkich i stanąć pod sztandarem klanu Okumichi. Jeżeli książę zginie, legnę u jego boku, myślał.

Oczami wyobraźni widział wzniosłą scenę śmierci dwóch wojowników. Był to obraz niemal niezemskiej urody. Wielkie marzenie, ale wykonalne. Umarliby razem, spleceni ramionami, a krew uświęciłaby ich wiekuisty związek.

Poczuł ciepło narastające w piersiach. Zima odeszła.

Mukai bez wstydu przyznawał się do uczuć przenikających do głębi jego jestestwa.

Cudzoziemcy mieli rację. Nie ma nic ważniejszego od szczęścia.

Sohaku i Kudo jechali konno w głębokim śniegu.

— Tam są — odezwał się Kudo.

234

Na polanie obozowało dwa tysiące samurajów. Namiot dowódcy stał

w samym środku. Ćwierć oddziału, oprócz włóczni i mieczy, uzbrojona była w muszkiety.

— Nie wystawili warty — powiedział Kudo. — To nierozsądne.

— W kraju panuje pokój — przypomniał mu Sohaku. — A poza tym, kto chciałby tak blisko Edo podjąć walkę z wojskami shoguna?

W namiocie powitał ich Kawakami, ostentacyjnie ubrany w pełną zbroję.

— Pan Kudo, wielebny opat Sohaku...

— Jesteśmy ci wdzięczni, panie, że zechciałeś nas przyjąć, bez względu na niezwykle okoliczności.

— Drobiazg. Może coś na rozgrzewkę? Sake?

— Dziękujemy.

— Mam nadzieję, że podróż z Edo minęła wam bez większych przeszkód.

— Tak. Dzięki tobie. — Sohaku wychylił czarkę i na powrót podsunął

ją adiutantowi. — Niestety, musieliśmy zabić kilku twoich szpiegów, którzy z ukrycia obserwowali pałac. W przeciwnym razie nasza

„ucieczka” wyglądałaby na zbyt łatwą. Nie chcieliśmy budzić niepotrzebnych podejrzeń. Nie jesteśmy jeszcze do końca pewni wszystkich naszych ludzi.

— To całkiem zrozumiałe — powiedział Kawakami. — Tego się spodziewałem. Wysłałem tam jedynie tych, do których sam nie miałem zaufania. Ale wystarczy już tych uprzejmości. — Ukłonił się. Kudo i Sohaku zrobili to samo. Jak dotąd, nikt nie kłaniał się niżej, niż powinien.

— Jakie są wasze siły?

To była następna próba. Pierwszą przeszli pomyślnie, wchodząc do obozu sami, bez ochrony. Teraz mieli podać stan liczebny swoich oddziałów i rodzaj uzbrojenia.

— Stu dwunastu samurajów — bez wahania odparł Sohaku. — Sami jeźdźcy, uzbrojeni w napoleońskie muszkiety i zapas amunicji wynoszący dwadzieścia naboju na głowę.

— Wasi lennicy?

— Tak, w większości. Ponad dziesięciu wywodzi się bezpośrednio z klanu Okumichi.

235

Kawakami zmarszczył brwi.

— Tych należałoby usunąć.

— Sytuacja jest delikatna — odpowiedział Sohaku. — Nasi ludzie są konserwatywni i hołdują dawnym tradycjom. Nie mogę działać zbyt pochopnie, bo w ten sposób osłabiłbym swoją pozycję. Uważaliby mnie za tchórza. A zabicie tuzina ludzi, wiernych swojemu panu, nie przyczyniłoby się do poprawy mojego wizerunku.

— Zatrzymywanie ich przy sobie jest jednakowo niebezpieczne —

upierał się Kawakami.

— Zgoda. Dziś w południe ogłoszę, że stanąłem po stronie shoguna.

Przekonam ich, że kraj musi się zjednoczyć w obliczu obcej inwazji.

Trzeba zapomnieć o dawnych waśniach i stanąć ramię w ramię, tak jak nasi przodkowie sześć stuleci temu, podczas najazdu Mongołów.

Niestety, razem z Kudo doszliśmy do smutnego wniosku, że pan Genji jest zwykłym szaleńcem, a nie wizjonerem, podobnie zresztą jak jego stryj, pan Shigeru, którego zbrodnicze czyny są dobrze znane wszystkim członkom klanu. W takim przypadku ślepe posłuszeństwo wobec tych dwóch ludzi jest aktem tchórzostwa, a nie odwagi. Lepiej nam zwrócić się w stronę dawnych ideałów, których wyznawcą był pan Kiyori. Tylko regencja pozwoli nam zachować honor rodu. Pan Genji musi pozostawać w areszcie domowym, my zaś będziemy działali w jego imieniu.

— Jesteś wspaniałym mówcą, wielebny opacie. Gdybyś nieco dłużej pozostał w klasztorze, twoi wierni umieliby cenić *bitoku*.

— Nie zasługuję na tę pochwałę, panie. Jako samuraj, równie dobrze opisałbyś walory rycerskiej cnoty.

— Ale co zrobisz, jeśli twoje słowa nie rozwieją wszystkich wątpliwości?

— Nie wolno karać ludzi za wierność, choćby nawet źle pojętą. Ci, którzy opowiedzą się za księciem, będą mogli bez przeszkód wrócić do Akaoki. — Sohaku wziął kolejną czarę sake. — Jak myślisz, panie, czy zdołają przedrzeć się przez twoje wojska?

— Bardzo wątpliwe.

236

— Też tak uważam.

— Zatem zostaje jeszcze Shigeru — powiedział Kawakami.

— To zabójca pana Kiyoriego. Spotka go zasłużona kara. Kawakami pokiwał głową.

— Świetnie. Mam jednak wątpliwości co do pewnych punktów twojego planu.

— Mów, panie.

— Księżę nawet w niewoli będzie dla nas groźny. Chociaż jego zdolności są mocno wątpliwe, to jednak działają na ludzką wyobraźnię.

Sohaku uśmiechnął się.

— Niestety, mimo naszych najszczerzych chęci, pan Genji zginie w ogólnym zamieszaniu. Jego prochy zostaną z szacunkiem przewiezione do zamku Chmary Wróbli i tam złożone na rodzinnym ołtarzu.

— Wkrótce potem — dodał Kawakami — dekretem shoguna twój ród obejmie władzę w Akaocce. Pan Kudo, jako najwierniejszy wasal, otrzyma odpowiednią pensję i rozległe dobra.

— Dziękuję, panie. — Tym razem, przy wymianie ukłonów, Kudo i Sohaku pochylił się znacznie niżej niż gospodarz.

— Moje wojska podążą forsownym marszem wzdłuż wybrzeża —

oznajmił Kawakami. — Wszystko wskazuje na to, że księżę Genji będzie chciał się przeprawić przez Morze Wewnętrzne gdzieś na zachód od Kobe. Tam go dopadnę.

— Tylko wtedy, jeżeli zdoła uciec przed moją kawalerią — odparł

Sohaku. — Prawdopodobnie dogonię go na podgórzu, koło Yamanaki.

Przed wyjazdem był przekonany, że się tam spotkamy.

— Wyślę za nim dwudziestu moich najlepszych strzelców — dodał

Kudo. — Postarają się, żeby Shigeru na zawsze pozostał w górach.

Kawakami uniósł czarękę.

- Niech łaska bogów spłynie na tych, którzy posiadli rycerskie cnoty.

Mimo morskiej choroby Taro i Shimoda z uporem napierali na ciężkie wiosła. Raz spoglądali gdzieś w bezdenną otchłań, 237

to znowu na spienioną ścianę oceanu. Zginęliby, gdyby rycząca fala zalała ich małą łódkę. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko rozszalałe morze. Ani śladu lądu.

A może był, ale oni i tak go nie widzieli. Od słonej wody nieomal oślepli.

Taro przysunął się do Shimody.

— Po której stronie leży Akaoka?

— Co?! — Shimoda nadstawił ucha, nic nie słysząc w huku spiętrzonej fali.

— Dobrze płyniemy?

— Nie mam pojęcia. Myślisz, że on wie? Siedzący przy sterze Saiki prowadził łódź pewną ręką.

— Mam nadzieję.

— Bogowie burzy, deszczu i morza są dzisiaj dla nas łaskawi! —

zawołał szambelan. Kolejna fala przetoczyła się nad ich głowami.

Chociaż mieli na sobie impregnowane peleryny, już od dawna byli przemoczeni do suchej nitki. Saiki jedną ręką luzował olinowanie, a drugą trzymał rudel. Co jakiś czas poprawiał ustawienie żagla.

Taro, mokry, zziębnięty i chory, trząsał się niczym w febrze.

— Dziwnie objawia się ich łaska! Stoimy nad otwartym grobem!

— Wręcz przeciwnie — odpowiedział Saiki. — W taką pogodę jesteśmy niewidzialni. Ludzie shoguna nas nie zobaczą.

Saiki wychował się na wodzie. W beztróskich latach młodości, kiedy był jeszcze zwykłym samurajem bez poważniejszych obowiązków, całymi dniami żeglował po wzburzonych wodach

wokół przylądka Muroto, łowiąc wieloryby. Pływał z rybakami, wśród których się wychował. Kiedy morskie ssaki mijały przylądek, łodzie wychodziły na spotkanie stada. Najsprawniejszy z rybaków skakał na grzbiet wieloryba i wbijał mu harpun prosto w wielką głowę. Jeżeli trafił w mózg, łup był jego. Jeżeli nie, sam się stawał łupem. Wpadał do wody i najczęściej tonął, a łódź, ciągnięta przez zranione zwierzę, odpływała na pełne morze. Czasem rybakom udawało się przeciąć linę i wrócić do portu.

Czasem nikt więcej już ich nie oglądał.

238

— Wiosłujcie mocniej! — zawołał Saiki. — Trzymajcie łódź dziobem do fali.

Przy odrobinie szczęścia i stałym wschodnim wietrze za trzy dni dotrą do Akaoki. Pięciuset ludzi stoi w gotowości. Za dwa tygodnie będzie ich cała armia. Saiki miał nadzieję, że książę dożyje tej chwili.

Kolejna potężna fala uderzyła w łódkę.

Saiki znów skupił się na sterowaniu.

239



# Iaido

*Długi miecz od niepamiętnych czasów był bronią samuraja. Spróbuj się nad tym głębiej zastanowić.*

*Głownia jest jednosieczna. Dlaczego? Dlatego że w pewnych sytuacjach jej tępa krawędź staje się twoją tarczą. Tego nie można zrobić z mieczem obosiecznym. Pewnego dnia, w zamęcie walki, to właśnie tępej, a nie ostrej krawędzi miecza będziesz zawdzięczał życie.*

*Pamiętaj zatem, że atak i obrona to jedno.*

*Głownia jest lekko wygięta. Dlaczego? Ponieważ w czasie konnej szarży taka sprawuje się o wiele lepiej niż prosta. Niech jej kształt zawsze ci przypomina, że samuraj jest przede wszystkim jeźdźcem.*

*Nawet pieszo walcz tak, jakbyś' dosiadał ognistego rumaka.*

*Te dwie prawdy muszą stać się częścią twojego jestestwa. Tylko wtedy poznasz prawdziwą wartość życia i umrzesz honorową śmiercią.*

Suzume-no kumo (1334)

Odgarnięto śnieg z całej łąki i niskiego podestu. Po obu stronach drewnianej platformy ustawiono niewielkie namioty, w których mieli zasiąść sędziowie. Wszystko było gotowe.

— Powietrze ostre, ale niezbyt mroźne. Wiatr tylko na tyle silny, żeby łopotać sztandarami. Chmury na niebie rozpraszają światło. Idealne warunki, panie.

240

Hiromitsu, książę Yamakawy, z zadowoleniem pokiwał głową.

— Zaczynajmy.

Zajął miejsce głównego sędziego w namiocie po wschodniej stronie.

Jego szambelan usiadł naprzeciwko, po zachodniej, dowódca jazdy ulokował się od północy, a dowódca piechoty — od południa.

Było tradycją Yamakawy, że na początku Nowego Roku książę, jego doradcy i najlepsi szermierze opuszczali zamek i przez dwa dni obozowali w pobliskim lesie, rozgrywając tam turniej *iaido*. Dzieciom i kobietom wstęp był wzbroniony. Tę zasadę ustanowiono w dawnych czasach, by oszczędzić strachu rodzinom zawodników. W tamtych latach podczas turnieju używano ostrych stalowych mieczy. Chociaż w myśl reguł każdy cios musiał być zatrzymany przed ciałem przeciwnika, stare zatargi, nerwy i pragnienie zdobycia cennej nagrody sprawiały, że czasami dochodziło do rozlewu krwi lub nawet śmierci.

Teraz oczywiście zamiast prawdziwych mieczy zawodnicy dzierżyli w dłoniach *shinai*, zrobione z ciasno związanych bambusowych listew.

Dwieście pięćdziesiąt lat pokoju wyraźnie osłabiło bojowego ducha. Ale można też było spojrzeć na to z innej strony — i tak właśnie robił książę Hiromitsu. Uważał, że należy zachować najwyższe wartości i po prostu odrzucić to, co niepotrzebne.

Do eliminacji stawało trzydziestu dwóch samurajów. Zwycięzca przechodził do następnej rundy, pokonany odpadał. W drugim etapie pozostawało już tylko szesnastu, w trzecim — ośmiu, w czwartym —

czterech, aż wreszcie dwóch ostatnich spotykało się w finale. Na zwycięzcę czekał wspaniały rumak, Irzylatek z najlepszej stadniny w księstwie.

Hiromitsu właśnie zamierzał dać znak do rozpoczęcia walki, kiedy stanął przed nim jeden z wartowników.

— Panie... — wysapał, zdyszany po szybkim biegu. — Książę Genji prosi o swobodny przejazd.

— Książę Genji? Chyba miał być w Edo? - Najwyraźniej wyjechał, panie.

— Prowadź go. Jak zawsze jest mile widziany. — Zachodziła obawa, że Genji bez zgody shoguna opuścił wojskową

241

stolicę. Hiromitsu nie pytał o to. Dla własnego dobra wolał tego nie wiedzieć. Z drugiej strony, nie istniał żaden konkretny powód, dla którego miałyby odmówić wędrowcom prawa przejazdu przez swoje ziemie. Genji od lat był jego sprzymierzeńcem, chociaż w ogóle się nie znali. Ich przodkowie walczyli wspólnie pod Sekigaharą. W przypadku księcia Hiromitsu byli to przodkowie wyłącznie ze strony ojca. Ze strony matki stali po zwycięskiej stronie, czyli w szeregach Tokugawów.

Teoretycznie zatem, należał do grona przyjaciół shoguna. Ta sytuacja w pełni odpowiadała łagodnemu i pozbawionemu wygórowanych ambicji władcy Yamakawy. Przez wzgląd na historię klanu, z jednakowym szacunkiem odnosił się do obu zwaśnionych frakcji, a przy okazji miał

doskonały pretekst, żeby zachować neutralność. Było to przydatne zwłaszcza teraz, kiedy coraz częściej mówiono o wojnie domowej. Na szczęście jego lenno było raczej małe, bez szczególnie ważnych zasobów naturalnych, z dala od potencjalnych pól bitewnych i głównych traktów.



Nikommu zatem nie przeszkadzał.

Teraz z szerokim uśmiechem wyszedł na powitanie gości. Kiedy znaleźli się już całkiem blisko, popatrzył na nich ze zdumieniem. Po pierwsze, było ich tylko sześcioro. Zadziwiająco mało. Inni książęta z dala od domu poruszali się z większym orszakiem. Po drugie, doliczył się tylko trzech samurajów. Oprócz nich ujrzał dwoje pokracznych cudzoziemców w osobliwych strojach. Chyba zapędzili się trochę za daleko poza granicę przybrzeżnego pasa, w którym mogli swobodnie przebywać. Nie miał jednak czasu na takie dywagacje, bo jego uwagę pochłonął widok ostatniego z przyjezdnych. Była to dziewczyna przecudnej urody. Hiromitsu nie wierzył własnym oczom. Nie przyszło mu do głowy, że na świecie istnieje taka doskonałość.

— Witaj, książę Genji. — Chociaż nie znał władcy Akaoki, od razu wiedział, do kogo ma się zwrócić. Genji stał w asyście dwóch groźnych samurajów. Jednym z nich był Shigeru. Hiromitsu niedawno słyszał

smutne wieści, najwyraźniej fałszywe, że słynny szermierz zginął z rąk swoich podkomendnych, w dziwnych okolicznościach. — Chylę czoła, panie Shigeru. Przybywacie w ważnej chwili. Właśnie zaczynamy doroczny turniej *iaido*.

242

— Wybacz nam to niespodziewane najście — odpowiedział Genji. —

Pozostaniemy tutaj jak najkrócej i zaraz ruszamy w dalszą drogę.

— O nie. Skoro już tu jesteście, zapraszam was na widowię. Co prawda moi wojownicy nie mogą równać się z waszymi, lecz w czasie walki dają z siebie wszystko. Niczego więcej nie należy wymagać od człowieka.

— Dziękuję, panie — odparł Genji. — Z radością przyjmujemy twoje zaproszenie.

— To nierozważne — wtrącił Shigeru.

— Odszliśmy się dość daleko — powiedział Genji. — Niektórzy z nas potrzebują chwili odpoczynku. — Odwrócił się do stojącej za nim dziewczyny. Pochyliła głowę w głębokim ukłonie. — A to pani Mayonaka-no Heiko.

— Jestem naprawdę zaszczycony, że mogę cię poznać, pani. — Jej imię od ponad roku było na ustach wszystkich, którzy powracali z Edo, lecz żaden opis nie oddawał w pełni jej urody. — Twoja sława dotarła nawet na prowincję.

— Całkiem niezasłużenie, panie.

Jej głos zabrzmiał niczym dźwięk srebrnych dzwonków. Hiromitsu, rozdziawiając usta, przyglądał jej się bez słowa. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zdał sobie sprawę ze swego zachowania. Zażenowany, szybko zerknął na swego szambelana i zauważył, że ten także stoi z otwartymi ustami.

— Obecny tutaj cudzoziemiec to pan Matthew Stark. A to pani Emily Gibson. Przyjechali pomóc przy budowie domu misyjnego w pobliżu klasztoru Mushindo.

Hiromitsu grzecznie uklonił się przybyszom.

— Witajcie. Przygotuj miejsca dla naszych gości — zwrócił się do szambelana. — Tak, panie. Dla cudzoziemców również?

— Dla wszystkich towarzyszy księcia.

— Panie... Przecież kobiety nie mają prawa wstępu...

— Uchylam zakaz — odparł Hiromitsu i pomógł Heiko /siaść z konia.

— Księżę zastąpi mnie w roli głównego sędziego po wschodniej stronie placu. Pan Shigeru zajmie miejsce szambelana, po zachodniej.

— Jesteś niezmiernie łaskaw, panie — odparł Genji — lecz 243

wolałbym po prostu popatrzeć na walki. Rozumiem, że widzowie mogą się zakładać.

Hiromitsu wybuchnął szczerym śmiechem.

— Wyśmienicie! Cudownie! Ale szanse są nierówne, panie. Nie znasz żadnego z moich ludzi, więc nie wiesz, na kogo stawiać. — Od rana był w świetnym humorze, lecz obecność Heiko sprawiła, że teraz był on jeszcze lepszy. Gejsza odebrała buteleczkę sake z rąk adiutanta i napełniła czarę księcia Yamakawy. Zrobiła to z taką gracją, że upiłby się nawet czystą wodą.

— Myślałem raczej o którymś z moich towarzyszy — powiedział

Genji. — Jeśli, panie, pozwolisz. Zaręczam, że się nie zawiedziesz.

Hiromitsu natychmiast przestał się uśmiechać.

— Jeśli to pan Shigeru, to na dobrą sprawę już znamy wynik turnieju.

Wygrałby ze wszystkimi naraz, nie bacząc na ich liczbę.

— Mój stryj nie lubi bambusowych mieczy — odparł Genji. — Nie przystałby na taki pojedynek.

— To prawda — dodał Shigeru. — Tylko stalowym ostrzem można sięgnąć prawdy.

— Nie mogę na to pozwolić, panie! — zawołał Hiromitsu, nie kryjąc przestachu. — Mam potem wieść do zamku okaleczone ciała? Nowy Rok zacząć od płaczu wdów i sierot?

— Nic podobnego — uspokoił go Genji. — Spotkałaby nas kara boska za tak potworne czyny. Nie myślałem o moim stryju, ale o cudzoziemcu, Starku.

— Co takiego? Chyba żartujesz, panie.

— Nie.

— Moi ludzie uznaliby to za obrazę. Wprawdzie nie cieszą się tak zasłużoną sławą jak twoi wojownicy, panie, ale to przecież samuraje. Nie mogę zmuszać ich do walki z kimś takim.

— Nie proponowałbym takiego pojedynku, gdybym nie miał szans na wygraną— odparł Genji. — Chętnie dam sto złotych ryo temu, kto pokona Starka. Przyjmę też zakład z tobą, panie. O każdą stawkę. Moim zdaniem Stark zostanie zwycięzcą turnieju.

244

Poprzednie zdziwienie było niczym w porównaniu z szokiem, jakiego teraz doznał Hiromitsu. Był przekonany, że cały klan Okumichi oszalał. I co ma teraz biedny począć? Przystać na tę szaloną propozycję? Sto ryo to więcej, niż wynosi przeciętna roczna pensja samuraja. Ale odmowa byłaby obrazą, a w pobliżu wciąż wciąż czaił się pośepny, niebezpieczny i równie szalony Shigeru. Co za kłopot...

— Jeśli Stark przegra, pani Heiko będzie cię zabawiała przez tydzień, księżę, podczas twojej następnej wizyty w Edo. Na mój koszt. Zgadzasz się, pani?

Heiko uśmiechnęła się do księcia Yamakawy, a potem skromnie pochyliła głowę.

— Zapłata za czas spędzony z panem Hiromitsu będzie dla mnie podwójną nagrodą.

— No cóż... — westchnął Hiromitsu. Tydzień z Heiko. Trochę za mało, żeby rozkwitło między nimi głębsze uczucie, przekraczające ramy przyjaźni. Ale... W końcu nie takie rzeczy się zdarzają. — Pozwólcie, że porozmawiam z moimi ludźmi. Jeśli się zgodzą, ja także nie będę miał nic przeciwko temu.

— Proszę bardzo. Ja tymczasem zajmę się moim mistrzem. Przez całe życie byłem nieuleczalnym optymistą. Teraz też jestem w pełni przekonany, że dopuścisz, panie, Starka do turnieju. A może zwiększymy stawkę? Dziesięć złotych ryo dla każdego, kto się z nim zmierzy, bez względu na wynik.

Hiromitsu oczami wyobraźni widział pobyt w Edo. Rażnym krokiem podszedł do swoich ludzi. Początkowo nie chcieli brać udziału w tak osobliwym przedsięwzięciu, nawet za cenę małej fortuny w czystym złocie. Przekonała ich dopiero wieść o zakładzie zaproponowanym przez Genjiego. — Tydzień z panią Heiko?

— Tak — odparł Hiromitsu. — Cały tydzień, w Edo. Wierni poddani pokłonili się przed nim głęboko.

— Nie wolno nam pozbawić cię tej nagrody, panie, choćbyśmy mieli narazić na szwank naszą godność.

— Godność jest zawsze tam, gdzie lojalność — z wdzięcznością powiedział Hiromitsu.

— Panie... — Nadszedł strażnik, który miał obserwować 245

gości. — Pan Genji i pan Shigeru zabrali cudzoziemca do lasu.

Powiedzieli, że idą poćwiczyć.

Wśród samurajów rozległy się stłumione śmiechy, lecz strażnik zachował poważną minę.

— Amerykanin jest bardzo szybki — dodał.

— Umie posługiwać się mieczem?

— Wydaje mi się, że pan Genji udzielił mu pierwszej lekcji.

— Na to, by stać się mistrzem *iaido*, potrzebne są całe lata —

zauważył szambelan. — Jeśli pan Genji sądzi, że obcy w kilka minut opanuje tę trudną sztukę, to jest największym szaleńcem z całego klanu Okumichi.

— Mówiłeś, że jest szybki — przypomniał Hiromitsu.

— Nie od razu, panie. Zwyciężył dopiero w piątej próbie. Ale wtedy naprawdę był niewiarygodnie szybki i dokładny.

— Upiłeś się, Ichiro? — wykrzyknął któryś ze słuchaczy. — Jak można w pięciu próbach nauczyć się prawidłowego dobywania miecza?

— Cicho! — zmitygował go Hiromitsu. — Byłeś wystarczająco blisko, by słyszeć ich rozmowę?

— Tak, panie, lecz pan Genji zwracał się do niego po angielsku.

Zrozumiałem jedynie to, co powiedział do pana Shigeru.

— To znaczy?

Ruszył za dwoma szaleńcami do bambusowego zagajnika. Szedł w tym samym tempie, co oni, żeby nie usłyszeli jego kroków.

— Ufam, że nie bez przyczyny chcesz zrobić z nas idiotów —

odezwał się Shigeru.

— Stark wygra — odparł Genji.

— To proroctwo?

Genji roześmiał się i nie odpowiedział.

Barbarzyńca wymamrotał kilka słów po swojemu. Genji odpowiedział

coś w tym samym języku. Padła tylko jedna japońska nazwa: *iaido*.

Cudzoziemiec znowu przemówił, tym razem pytającym tonem.

Powtórzył *iaido*. Genji stanął półtora metra od pojedynczego bambusowego pędu, grubego na jakies

246

dziesięć centymetrów i wysokiego na trzy metry. Nagle jego dłoń pomknęła do rękojeści miecza, błysnęła stal i ostrze gładko przeszło przez bambus. Po chwili górna część pędu przechyliła się i spadła na ziemię.

— Pan Genji jest zakakująco dobry — orzekł wartownik.

— Wniosek stąd, że przez minione lata nie trwonił czasu wyłącznie na poezję, sake i kobiety — zauważył Hiromitsu. — To tylko podstęp. Stary pan Kiyori umiał zwodzić ludzi. W tajemnicy wytrenował wnuka na prawdziwego wojownika.

Kiedy czubek bambusa z szelestem spadł na zaśnieżoną ziemię, Genji zamruczał coś w języku barbarzyńców. Amerykanin zadał kolejne pytanie. Wymienił imię Shigeru. Genji mu odpowiedział.

— O co mu chodzi? — spytał Shigeru.

— Pytał, dlaczego nie chcesz wziąć udziału w zawodach.

Powiedziałem mu, że interesuje cię tylko prawdziwa walka.

Shigeru wydał głuchy pomruk.

— Niezłe cięcie. Bambus stał przez całe uderzenie serca.

— Dziadek umiał ciąć tak czysto i szybko, że wierzchołek spadał

dopiero po pięciu uderzeniach.

Teraz zabrał głos cudzoziemiec. Znowu powiedział *iaido* i coś jeszcze. Zabrzmiało to, jakby protestował. Genji w odpowiedzi stanął

przed innym bambusem. Znów błyskawicznie sięgnął prawą ręką do lewego boku, wydobył miecz i przeciął pęd. Tym razem wierzchołek utrzymał się nieruchomo przez dwa uderzenia serca. Genji odwrócił się do cudzoziemca i coś mu tłumaczył. Prawą dłonią wykonał dziwny ruch, jakby chciał sięgnąć po dużo krótsze ostrze.

- Miecz bardzo różni się od rewolweru — mruknął Shigeru.

- Nieprawda — odparł Genji. — Tak samo jest przedłużeniem ręki.

Genji odłożył miecze na bok i wsunął za pas jeden z pożyczonych wcześniej *shinai*. Drugi dał cudzoziemcowi.

247

Powiedział kilka niezrozumiałych słów i stanęli naprzeciw siebie.

Amerykanin poruszył ręką. Genji natychmiast wyciągnął *shinai* i uderzył go w prawą skroń.

Za drugim razem Genji zaczął pierwszy. Zanim cudzoziemiec zdążył

zareagować, otrzymał silny cios w prawe ramię.

Za trzecim razem ich ruchy były niemal jednoczesne, lecz nie zmieniło to wyniku starcia. Stark dostał prosto w czoło, zanim uderzył

Genjiego w szyję.

Za czwartym razem Stark zwyciężył czystym ciosem w skroń.

Za piątym razem uderzył księcia wcześniej, niż ten wyciągnął miecz zza pasa.

— To wcale niczego nie dowodzi — powiedział jeden z samurajów.

— Nie sztuka wygrać z kimś takim jak książę Genji.

— Dał się pokonać, żeby barbarzyńca uwierzył w siebie — dodał

inny.

— Być może — przytaknął strażnik, ale w jego głosie nie było krzty przekonania.

Zawrócili w stronę podestu, na którym miał się odbyć turniej. Strażnik wycofał się po cichu. Na odchodnym usłyszał jeszcze taki fragment rozmowy:

— Wie, dlaczego to robisz? — spytał Shigeru.

— Nie. Ale mi ufa.

— Co za arogancja! — zawołał któryś z samurajów. — Chce nas poniżyć dla zwykłej zabawy!

— Tego akurat nie jestem pewien — powiedział Hiromitsu.

— A jaki miałby inny powód? — spytał szambelan.

— Może wypełnia przepowiednię?

— To czysty absurd, panie — zaperzył się szambelan. — Wszyscy doskonale wiemy, że wcale nie jest jasnowidzem.

248

— Czy aby na pewno? — zapytał Hiromitsu. — Bo ja mam spore wątpliwości. Lepiej zachować ostrożność. Toshio! Ty zaczynasz. I pamiętaj, bądź czujny.

— Tak, panie.

Walki rozpoczynały się zazwyczaj w pozycji siedzącej. Przeciwnicy zajmowali miejsca po obu stronach podium, kłaniali się i powoli podchodzili do siebie na kolanach. Kiedy znaleźli się w odpowiedniej odległości, wynoszącej zazwyczaj od pięciu do dziesięciu kroków, dobywali mieczy i jednym płynnym ruchem zadawali odpowiednie cięcie. Nie było zasłon. Nie było drugiej szansy. Zwyciężał ten, kto szybciej i dokładniej trafił przeciwnika.

Tym razem jednak, przez wzgląd na cudzoziemca, który nie umiał

prawidłowo siedzieć, zmieniono przepisy i pojedynki z jego udziałem miały odbywać się na stojąco. Aby wyrównać liczbę startujących, wylosowano samuraja, który wycofał się z turnieju.

Toshio, niepomny słów strażnika, za bardzo wierzył w siebie.

Pogardliwie patrzył na Starka, więc otrzymał cios w szyję, zanim wyciągnął *shinai*. Drugi samuraj także przegrał, chociaż był nieco ostrożniejszy. Cudzoziemiec uderzył go w ramię w chwili, gdy sięgał do miecza. Trzeci został zdyskwalifikowany, bo za szybko wy dobył broń i z daleka rzucił się do ataku, zamiast załatwić sprawę jednym cięciem.

Potem kajał się i przeproszał.

— Poniosło mnie — wołał z płaczem, przyciskając czoło do podestu.

— Zachowywałem się niegodnie. To nie do wybaczenia.

— Nie — powiedział Hiromitsu. — Po prostu byłeś zdenerwowany.

Nikt z nas nie może otrząsnąć się ze zdumienia. Zdradź mi, książę, jak długo ów cudzoziemiec przebywa w Japonii?

— Trzy tygodnie.

— I w tym czasie zgłębił tajniki *iaidol*

— W pięć minut — odparł Genji. — Nigdy przedtem tego nie próbował.

249

— Nie żebym ci nie wierzył, panie, lecz sam przyznasz, że to wydaje się niewiarygodne.

— W jego kraju znają podobną sztukę, z tym że zamiast mieczy używają rewolwerów. Stark jest jednym z tamtejszych mistrzów.

— Och... Wydaje mi się, że popełniliśmy grubą pomyłkę, lekceważąc go tylko dlatego, że jest cudzoziemcem.

— Kiedy widzimy tylko to, co chcemy widzieć, nasze myśli przesłaniają prawdę — powiedział Genji.

Czyżby w ten delikatny sposób chciał mi przypomnieć, że jest jasnowidzem?, zastanawiał się Hiromitsu. Genji rzeczywiście sprawiał

wrażenie, jakby z góry znał wynik turnieju, zanim zaczęła się pierwsza walka. Skoro nie myli się w tak przyziemnych sprawach, to może wie też coś więcej? Może, na przykład, umie przewidzieć, kto wygra w wojnie domowej? Hiromitsu postanowił sobie, że w sprzyjającej chwili porozmawia o tym z książętami z najbliższej okolicy. Tu dzieje się coś wielkiego. Coś, co znacznie wykracza poza ramy turnieju *iaido*.

— Wybacz, panie — powiedział Genji. — Nieznane wam było jego pochodzenie, więc nie powinienem domagać się zakładu. Chętnie wycofam Starka z zawodów.

— Ależ nie! Bawmy się dalej. To bardzo interesujące. A poza tym, niczym nie ryzykuję. Tylko ty ustaliłeś stawkę.

— Ja też nie ponoszę żadnego ryzyka — odparł Genji. — Nigdy nie wątpiłem w to, że wygram.

Rzeczywiście uważa, że jest jasnowidzem, pomyślał Hiromitsu. Nie zaszkodzi trochę go sprawdzić.

— Jeśli pozwolisz, panie — powiedział — to chciałbym zmienić zawodników w dwóch ostatnich walkach.

— Proszę bardzo.

Do następnej rundy Hiromitsu wyznaczył swego dowódcę piechoty, Akechiego. W razie zwycięstwa cudzoziemca czekało spotkanie z dowódcą kawalerii, Masayukim. Akechi gładko trafił Starka w żebra.

Zrobił to jednak chwilę po tym, jak sam otrzymał cios w szyję.

Masayuki był najlepszym szermierzem we włościach Yama-kawa.

Niektórzy zaręczali nawet, że nie ma sobie równych w całym kraju, z wyjątkiem Shigeru. Gdyby przegrał z Amery-250

kaninem, byłby to wyraźny dowód, że działają tu mistyczne siły. Taki wynik był możliwy tylko z



mocy przepowiedni.

Masayuki i cudzoziemiec uderzyli w tym samym momencie. Oba ciosy sięgnęły celu. Masayuki trafił Amerykanina w czoło. Stark klepnął

w prawą skroń przeciwnika.

— Równoczesne cięcie — oznajmił siedzący po zachodniej stronie szambelan.

— Mnie też się tak zdaje — powiedział Hiromitsu. — Co ty na to, książę? A ty, panie Shigeru?

— Wyglądało na równoczesne — odparł Shigeru.

— W takim razie przegrałem — westchnął Genji.

— Nikt nie przegrał. Remis.

— Przegrałem — odparł Genji — bo wierzyłem w wygraną Starka.

Stało się jednak inaczej.

Masayuki skłonił się cudzoziemcowi. Stark wyciągnął rękę.

— To ich zwyczaj, zamiast ukłonu — wyjaśnił Genji. — Uznał twoje zwycięstwo.

Amerykanin i samuraj uścisnęli sobie dłonie.

— Dobra robota, Masayuki — pochwalił Genji. — Wygrałeś dzielnego rumaka i sto złotych ryo, a twój pan spędzi przemiły tydzień w Edo. Masayuki ukłonił się głęboko.

— Nie mogę przyjąć tej nagrody, książę. Cudzoziemiec uderzył

pierwszy. To on wygrał.

— Jesteś pewny? — spytał Hiromitsu.

— Tak, panie — odparł samuraj, znów się kłaniając. Duma nie pozwoliła mu przyznać się do niezасłużonego zwycięstwa. —

Przepraszam, że cię zawiodłem.

— To nie hańba po uczciwej walce szczerze przyznać się do porażki

— powiedział Genji.

— Cóż... — mruknął Hiromitsu. — Zaskakujący wynik. Przynajmniej dla mnie, panie, bo przecież nie dla ciebie.

— Mój bratanek rzadko dziwi się czemukolwiek — wtrącił Shigeru.

— Tak też słyszałem — odparł Hiromitsu.

— Gdzie mamy dostarczyć nagrodę? — spytał szambelan.

— To niepotrzebne — odpowiedział Genji. — Stark dosiądzie konia.

251

— To bojowy rumak, panie, a nie łagodny kłusak — zaproponował

szambelan. — Zrzuci i stratiuje mniej wprawnego jeźdźca.

Genji pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

— Chcesz się założyć?

Goście nie skorzystali z propozycji księcia Yamakawy, żeby spędzić noc na zamku. On zaś nie pytał ich o powód pośpiechu ani dokąd zmierzają. Był pewny, że ktoś, kto zna przyszłość, bez kłopotów dotrze do wyznaczonego celu.

— Sprytnie wykorzystałeś swoją reputację — zauważył Shigeru.

— Chodzi o hazard i rozrywki?

— Nie, o tajemne moce, którymi rozporządzasz. Hiromitsu jest teraz święcie przekonany, że to za twoją sprawą cudzoziemiec dosłownie w kilka minut stał się mistrzem *iaido*. Oprócz tego zerknąłeś w przyszłość, aby poznać wynik turnieju. Naprawdę niezłe posunięcie.

— Strzeliłem w ciemno — przyznał się Genji. — Po prostu przyszło mi do głowy, że Stark równie dobrze poradzi sobie z mieczem, jak z rewolwerem. Przynajmniej w takiej sytuacji. Więcej w tym było domysłów niż pewności.

— W takim razie, jak zwykle, miałeś nieco szczęścia. To bardzo dobrze, bo szczęście wzmacnia twoje atuty.

— Chyba masz rację — westchnął Genji. — Hiromitsu nie zechce pomóc tym, którzy nas ścigają. W przyszłości zaś, gdyby shogun dążył do otwartej wojny z Akaoką, to ludzie stąd z dużym ociąganiem odpowiedzą na jego wezwanie. — Spojrzał na góry. — Chyba jesteśmy w pobliżu klasztoru Mushindo.

Jimbo skłonił się nisko przed gorącym źródłem wdzięczny za to, że nawet w środku zimy dostarczało ciepło potrzebne rosnącym dokoła roślinom. Skłonił się starej sośnie, wdzięczny za to, że swoim cieniem osłaniała od słońca grzyby *shiitake*. Skłonił się grzybom, zanim je zebrał, bo swoim życiem po-

zwały żyć jemu i innym istotom. Znalazł ich tyle, że wystarczyłoby na prawdziwą ucztę. On jednak myślał o urozmaiceniu skromnego posiłku miejscowej dzieciarni. Grzyby *shiitake* to przysmak. Powoli obszedł całe źródło, zbierając wonne zioła i jadalne kwiaty. Głupek Goro uwielbiał jeść kwiaty.

Myśl o dzieciach sprawiła, że przystanął na chwilę. W głębi serca czuł

smutek, gryzło go poczucie winy. Skłonił się, żeby przeprosić dwie małe dziewczynki, których od dawna już nie było na tej ziemi. Obie zginęły z jego ręki. Codziennie o nich myślał. Wyobrażał sobie, że trafiły do nieba albo Czystej Ziemi, w ręce Chrystusa Pana Naszego lub Współczującej Kannon. Widział ich niewinne buzie promieniejące wiekuistym szczęs-

ciem. Nie potrafił jednak zapomnieć ich wyglądu w chwili, kiedy wydały ostatnie tchnienie. Błagał Chrystusa o zbawienie duszy i Kannon, by mu wybaczyła w swej wielkiej łaskawości.

W drodze powrotnej do Mushindo spotkał małą Kimi.

— Ktoś tutaj jedzie, Jimbo! Jacyś cudzoziemcy!

Jimbo spojrział we wskazanym kierunku. Po drugiej stronie doliny sześcioro jeźdźców podążało zdradliwie wąską ścieżką. Niestety, byli za daleko, żeby mógł ich rozpoznać. Dwoje z nich, mężczyzna i kobieta, różniło się od Japończyków. Może to właśnie misjonarze z sekty Prawdziwego Słowa, o których wspominał Genji?

Kimi wybiegła na polanę i krzyknęła co sił w małych płucach:

— Dzień dobry!

Jak szalona machała drobnymi chudymi rączkami. Trzeci jeździec pokiwał jej dłonią w odpowiedzi. Trochę podobny do księcia Genjiego, pomyślał Jimbo.

— Zobaczyli nas! Chodźmy ich przywitać.

— Oni nie jadą do klasztoru, Kimi. Są tylko przejazdem.

— Och, nie... A tak chciałam zobaczyć innych cudzoziemców.

— Na pewno zobaczysz — pocieszał ją Jimbo. — Wszystko w swoim czasie.

— Jimbo! Jimbo! Jimbo! — gdzieś w dolinie zahuczał silny głos Goro.

— Tutaj jesteśmy! — Kimi wróciła na ścieżkę. — Lepiej chodźmy po niego. Łatwo się gubi.

Jimbo patrzył za podróżnymi, dopóki nie zniknęli w sąsiedniej dolinie.

Trakt rozchodził się na trzy strony.

— Tutaj musimy się podzielić — powiedział Genji. — Heiko poprowadzi Starka przez góry. Ja pojedę doliną z Emily. Shigeru wróci i przerzedzi szeregi naszych prześladowców. Podejrzewam, że to będzie Kudo ze swoim oddziałem. Tylko uważaj, stryju, bo ma wielu strzelców.

Ty, Hide, zostaniesz tutaj. Znajdź parę miejsc dogodnych na zasadzkę i za wszelką cenę postaraj się opóźnić pościg.

— Niech kobiety pojedą razem — zaproponował Shigeru. — A ty weź ze sobą Starka.

— Właśnie — przytaknął Hide. — Przepowiednia mówi, że w Nowy Rok pewien cudzoziemiec ocali ci życie, panie. Przecież na własne oczy widziałem niedawno, jak po kilku minutach nauki Stark sprawnie wywijał bambusowym mieczem. To on. Na pewno. Musicie być razem, żeby w razie potrzeby mógł spełnić swą misję.

— W tej głuszy aż roi się od zbiegów i bandytów — powiedział Genji.

— Dwie samotne kobiety nie zajdą daleko.

— Nie jestem bezradnym dzieckiem, panie — odezwała się Heiko. —

Pożycz mi tylko krótszy miecz, a przedrę się przez linię wroga.

Przyrzekam.

— Przedrzecie się razem ze Starkiem — odrzekł Genji. — To już postanowione, więc dalsze sprzeciwy nie mają najmniejszego sensu.

Nowy Rok trwa dosyć długo. Kto wie, kiedy dojdzie do zapowiedzianej chwili? I kto mnie uratuje? Równie dobrze może to być Emily. Proroctwa bywają na ogół zwodnicze.

— To nie pora na żarty — upierał się Hide. — W razie potyczki Stark przyjdzie ci pomocą, panie. Emily będzie tylko ciężarem.

— Jestem samurajem — odparł Genji. — Mam łuk i dwa miecze.

Uważasz może, że nie obronię siebie i mojej towarzyszki?

— Nie, panie. Próbuję tylko znaleźć najmądrzejsze wyjście.

— Nie zamierzam nic zmieniać. Spotkamy się w Akaocce. Genji wyjawiał swój plan Starkowi i Emily.

— Mogę porozmawiać z nią chwilę na osobności? — zapytał Stark.

— Proszę bardzo.

Odjechali na niewielką odległość. Stark wyjął z kieszeni małokalibrowy rewolwer i podał go dziewczynie.

— Weź, może ci się przydać.

— Lepiej sprawi się w twoich rękach. Albo daj go księciu.

— Może nie zdoła cię obronić.

— Wtedy i tak będę zgubiona. Nigdy w życiu nie strzelałam z rewolweru.

— Trzymaj go w ten sposób — powiedział Stark — odciągnij kurek i naciśnij cyngiel. To bardzo proste.

— Nie potrzeba celować?

— Przyłóż lufę do celu. — Przytknął pistolet do skroni. — Na pewno trafisz.

Emily zrozumiała. Matthew chciał przygotować ją na najgorsze. W

jego mniemaniu, w razie potrzeby mogła uniknąć losu gorszego od śmierci. Nie wiedział, że to miała już dawno za sobą. Prócz tego była chrześcijanką. Może nie tak dobrą, jak zmarły narzeczonny, ale chrześcijanką. Nawet w najgorszych okolicznościach nie zamierzała odebrać sobie życia.

— Dziękuję, że się o mnie troszczysz. Ale co z panią Heiko? Nie możemy myśleć wyłącznie o sobie, skoro są inni, którymi musimy się zaopiekować w imię Chrystusa. Jak ją ochronisz, nie mając żadnej broni?

Stark zsiadł z konia i rozpakował juki wiszące u siodła. Wyjął z nich stary sweter. Rozwinął go i odsłonił masywny rewolwer, ocalony z ruin pałacu. Był tam też pas z kaburą. Stark zapiął pas na biodrach, przywiązał

kaburę do uda i schował broń — ale tylko na chwilę. Kilkakrotnie wyjmował i wkładał rewolwer, aby sprawdzić, czy lekko wychodzi ze skórzanej pochwy. Drugi raz podał dziewczynie trzydziestkędwójkę.

Wzięła ją, ale tylko dla świętego spokoju. Mieli przed sobą bardzo długą drogę, więc nie chciała, żeby się o nią martwił. Czekają ich jeszcze dość niebezpieczeństw. Hide znacząco spojrzał na rewolwer.

— Skoro ma dwa, to drugi powinien oddać księciu.

— Żaden człowiek, nawet cudzoziemiec, nie musi dobrowolnie oddawać swojej broni — powiedział Shigeru. — Gdyby chciał, sam by to zrobił. Nam nie wolno go o to prosić.

Sklonił się księciu z wysokości siodła. — Niech duchy naszych przodków bezpiecznie poprowadzą cię w drodze do domu.

Zawrócił wierzchowca i lekko uderzył go piętami. Po chwili nie było go już widać ani słychać.

— Obiecałem pokazać ci mój zamek, Heiko. Niedługo go zobaczysz.

— Nie mogę się doczekać, panie. Żegnaj. — Ruszyła na północ ze Starkiem.

— Nikt tędy nie przejdzie, dopóki nie zginę — obiecał Hide.

— Zatrzymaj ich, jak długo zdołasz, lecz nie ryzykuj życia niepotrzebnie. Zostało mi niewielu ludzi, którym mogę bezgranicznie ufać. Ty jesteś jednym z nich. Musisz wrócić na zamek Chmary Wróbli.

— Panie... — Hide ze wzruszenia nie mógł powiedzieć nic więcej.

Genji zabrał Emily i odjechał szybko, żeby nie patrzeć na łzy płacznego gwardzisty.

Sztorm trwał dłużej, niż to przewidywał Saiki. Pięć dni później ciągle walczyli z wiatrem i wysoką falą.

— Powinniśmy zobaczyć ląd za jakieś dwie godziny — powiedział.

— Mówiłeś to już dwie godziny temu — burknął Taro. On i Shimoda byli wyczerpani. Ręce krwawiły im od wiosłowania, ale nadal utrzymywali łódź dziobem do fali.

Saiki wyteżył wzrok. Zobaczył, że przed nimi tworzą się wiry. To nieczęste zjawisko daleko od brzegu. Złakł się, że płyną prosto na ukrytą rafę.

— Tam się coś dzieje! — zawołał. — Bądźcie gotowi do szybkiego zwrotu!

Coś wyrzuciło powierzchnię wody. Saiki natychmiast rozpoznał, co to jest, lecz zanim krzyknął, tuż koło łodzi wynurzyło się ogromne cielsko.

— Potwory morskie! — wrzasnął Taro.

— Wieloryby — stwierdził Saiki. Pojawiły się jeszcze dwa—matka z cielęciem. O tej porze roku nigdy nie podchodziły tak blisko Akaoki.

Najwidoczniej ciepła pogoda dłużej zatrzymała stado na północy. Saiki uklonił się wielkim ssakom.

Kiedyś na nie polował, teraz mógł tylko popatrzeć, jak przepływają obok.

Nagle woda pod nimi strzeliła słupem w górę. Łódź rozleciała się na drobne drzazgi, a trzech żeglarze wpadli do morza. Potężny wir, wywołany ogonem wieloryba, wciągnął Saikiego w głębinę. Szambelan silnym rzutem ciała skierował się ku powierzchni. Obolałe płuca zmusiły go do otwarcia ust tuż przed wypłynięciem. Poczł dziwny smak, więc spojrzł

na siebie, szukając rany. Zobaczył, że pływa we krwi. Było jej za dużo.

Tyle na pewno w sobie nie miał. Ciemna plama wciąż rozszerzała się z niemiłym bulgotem. Piętnaście metrów dalej na powierzchnię morza wychynał wieloryb z harpunem tkwiącym w grzbiecie. Wielkie oko spojrzło na Saikiego jakby z wyrzutem.

Nie wiedział, czy to prawdziwe zwierzę, czy duch jednego z wielorybów, na które polował przed laty? Mściwy demon, przybyły z bezdennej głębiny? Nie było ucieczki przed karmą. Kiedyś musi zapłacić za zbrodnie popełnione na niższych istotach. Budda nauczał przecież, że każde życie warte jest tyle samo. Saiki miał zatem umrzeć w krwi wieloryba, a razem z nim ginęły nadzieje jego pana. Za parę minut będzie po wszystkim. Nikt nie wytrzyma zbyt długo w lodowatej wodzie.

Zobaczył trójkątne płetwy, tnące wzburzoną wodę. Rekiny. Duchy zabitych wielorybów miały kolejny powód do zadowolenia. Saiki mordował je i zjadał, nie myśląc o tym, że sam kiedyś trafi do żołądka morskiego rozbójnika, zwabionego zapachem krwi.

— Tam! Jeszcze jeden! — usłyszał krzyk.

Saiki odwrócił się i zobaczył długą łódź sunącą w jego stronę.

Rybacy pochodzili ze wsi Kageshima, tej samej, w której Saiki spędził

młode lata. Ranny wieloryb uciekał przed pościgiem. Nie był więc duchem i nie miał nic wspólnego z karmą.

— Shimoda jest ciężko ranny — powiedział Taro. Pierwszy 257

został wyciągnięty z wody przez rybaków. — Ma złamane żebra i lewą nogę.

— Wyżyje — mruknął jeden z ratowników. — Mój kuzyn złamał obie nogi i żyje do tej pory. Oczywiście chodzi już o wiele gorzej.

— Co robiliście daleko od brzegu na tak małej łódce? — zapytał inny.

— Jesteśmy w służbie pana Genjiego, księcia Akaoki — wyjaśnił

Saiki. — Musimy jak najszybciej dotrzeć do Chmary Wróbli. Zabierzecie nas tam?

— Nie w taką pogodę — powiedział rybak siedzący przy sterze. Był

najstarszy ze wszystkich, bez wątpienia szyper. — Skoro jesteście samurajami, to gdzie macie miecze?

— Nie bądź bezczelny! — warknął Saiki. — Dobrze wiesz, że leżą na dnie oceanu.

— Samurajom nie wolno gubić mieczy.

— Milcz! Zachowuj się jak należy!

Szyper uklonił się, lecz niezbyt głęboko. Saiki postanowił, że da mu nauczkę, kiedy tylko dotrą do brzegu. Jeden z rybaków gapił się na Taro.

— Nie należysz przypadkiem do ludzi opata Sohaku?

— Znasz mnie?

— Trzy miesiące temu przywiozłem ryby do klasztoru. Byłeś w kuchni.

— Ach, tak... Teraz sobie przypominam. Co za traf, że spotykamy się ponownie w takich okolicznościach!

— Wciąż jesteś wierny opatowi? — chciał wiedzieć szyper.

— Oczywiście. Tak samo jak kiedyś mój ojciec.

— To dobrze — mruknął tamten.

— Jakim prawem zwyczajny rybak wypytuje o to samuraja? — nie wytrzymał Saiki.

— Zwiążcie go — rozkazał szyper.

Rybacy szybko schwytali szambelana i skrępowali go linką od harpuna. Taro też wpadł w ich ręce, ale tylko go przytrzymali.

— Opat Sohaku ogłosił regencję — powiedział szyper. — Nasz pan, Fumio, stanął po jego stronie. Twierdzisz, że pozostałeś wierny opatowi.

To prawda?

Taro popatrzył na Saikiego.

258

— Wybacz mi, szambelanie. Muszę dotrzymać przysięgi. Tak, nadal jestem wasalem opata.

Rybacy puścili go. Szyper wskazał brodą na Shimodę.

— Jego też zwiążcie.



— To niepotrzebne — sprzeciwił się Taro. — I tak nie może się ruszać.

— Nie szkodzi. Z samurajem nigdy nic nie wiadomo. Może kęsać, nawet gdy jest śmiertelnie ranny.

Zanim dotarli do brzegu, zapadła noc. Taro mógł się wykąpać i zmienić ubranie. Saiki i Shimoda zostali brutalnie rzućeni w kąć chaty.

Pilnowało ich dwóch rybaków uzbrojonych w harpuny.

— Kraj znalazł się na krawędzi wojny — powiedział szyper, który należał do starszyny wioski. — Na razie jedna trzecia ludzi nie opowiedziała się po żadnej stronie. Reszta po równo wybrała księcia lub opata.

— Pozwolimy im się wykąpać? — spytał jeden z rybaków. Saiki rozpoznał go. To właśnie z nim, przed dwudziestu pięć laty, złowił

ostatniego wieloryba.

— A po co? — mruknął starszy. — I tak długo nie pożyją.

— Nie boisz się walczyć z księciem, który tak patrzy w przyszłość jak ty na dzień wczorajszy? — zagadnął Saiki.

— Może w waszych oczach jesteśmy prostakami, panie samuraju, ale daleko nam do głupców.

— Sam widziałem, jak jego proroctwa się spełniały — powiedział

Saiki. — Tak? To powiedz, co się z wami stanie? Saiki spojrzał na niego z pogardą.

— To nie ja, tylko księżę ma dar jasnowidzenia.

— I nie zdradził ci twojej przyszłości?

— Ja jestem jego sługą, a nie odwrotnie.

— Bardzo wygodne.

— Przewidział zdradę Sohaku i Kudo. Wysłał mnie tutaj, żebym zebrał wojsko. W tym samym czasie pan Shigeru rozprawi się ze zdrajcami. — Pan Shigeru nie żyje.

— Wierz, w co chcesz. Dość mam tych bredni. — Saiki zamknął oczy, wyraźnie obojętny na to, co się z nim stanie.

259

— Panie? — starszy wioski zwrócił się do Taro. — To prawda?

— Owszem — odparł samuraj. — Pan Shigeru wraz z nami udał się z klasztoru Mushindo do Edo.

Widziałem go u boku księcia, tuż przed moim odjazdem, niecałe pięć dni temu.

Rybacy spiesznie zaczęli się naradzać.

— Musimy spytać pana Fumio o dalsze polecenia. Jeżeli pan Shigeru żyje, nie wolno zadzierać z bratankiem.

— Kto pójdzie?

— Ktoś ze starszyny.

— Lepiej ja — zaproponował Taro. — Tak będzie grzeczniej, a samuraja wysłuchają prędeej niż wieśniaka. Wy przez ten czas pilnujcie jeńców. Nie mogą doznać żadnej krzywdy, dopóki nie wrócę.

— Dziękujemy, panie. Nic im się nie stanie. Będziemy pilnie czekali na rozkazy naszego pana.

Sześć godzin później wieś spała. Sen zmorzył nawet dwóch szażników, którzy czuwali nad jeńcami. Taro po cichu wśliznął się do chaty. Pierwszemu szybko skrzył kark, zabrał mu harpun i wbił stalowe ostrze w serce drugiego. Zginęli, nie wydawszy głosu.

— Przysięgałem Sohaku — powiedział Taro, uwalniając z więzów Saikiego i Shimodę — ale z drugiej strony, przyrzekałem także, że za cenę życia będę bronił księcia. Ta ostatnia przysięga jest dla mnie ważniejsza.

— Nie bardzo się nadaję do dalszej podróży — przemówił Shimoda.

Wziął harpun w obie ręce. — Nie martwcie się. Nieźle dam im popalić, zanim zginę.

Saiki i Taro pobiegli w stronę lasu. Saiki zatrzymał się pod drzewami i ostatni raz spojrzął na wioskę. Dobrze wiedział, że nigdy więcej takiej już jej nie zobaczy. Kageshima musiała zginąć. Sam zamierzał zrównać ją z ziemią po rozprawie z buntownikami. Ze smutkiem zdawał sobie sprawę, że w ten sposób pogrzebie też część szczęśliwych wspomnień. Nie powstrzymywał łez.

Wieloryby zostaną pomszczone.

Po rozstaniu z księciem Heiko odeszła na bok, by się przebrać. Nie pytała Starka o rewolwer, wiszący u jego pasa, ani też o to, w jaki sposób zdołał pokonać pięciu samurajów

260

bronią, której podobno nie znał. Pewnie sam nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Co innego Genji... Wystarczyło, że raz ujrzał Starka w akcji, by wiedzieć, że z mieczem też sobie poradzi. Albo może nie wiedział, ale nie bał się zaryzykować.

Wierzchowiec szarpał wodze i rył kopytem zaśnieżoną ziemię. Stark poklepał go po szyi i powiedział coś cicho. Po chwili koń się uspokoił.

Wróciła Heiko. Teraz wyglądała zupełnie inaczej. Zniknęło barwne kimono i kunsztowna fryzura. Ubrana była w prostą bluzę, luźne samurajskie spodnie i buty do konnej jazdy. Szeroki okrągły kapelusz zakrywał jej niedbale splecione włosy. Za pas wsunęła krótki mieczyk.

Nie pytała Starka o rewolwer i *iaido*, więc on też nie pytał jej o miecz i ubranie.

— Pojedziemy mało uczęszczaną drogą — powiedziała. — Nie przypuszczam, żebyśmy natknęli się tam na bandytów. Wolą ruchliwsze szlaki. Musimy jednak obawiać się Sohaku. Zna te góry i już mógł tu kogoś przysłać.

— Jestem gotów. Uśmiechnęła się.

— Wiem, Matthew. I dlatego jestem przekonana, że bez przeszkód dotrzemy do miejsca przeznaczenia.

Przez dwa dni jechali bez najmniejszych przygód. Trzeciego dnia Heiko zatrzymała konia i położyła palec na ustach. Zeskoczyła z siodła, oddała Starkowi wodze i wśliznęła się między drzewa. Wróciła po godzinie. Gestem nakazała mu milczenie i skinęła, żeby poszedł za nią.

Ze szczytu następnego wzgórza ujrzeli trzydziestu samurajów, uzbrojonych w muszkiety i zaczajonych za zakrętem drogi, przegrodzonej teraz wysoką barykadą z grubych bali. Heiko spojrzała na Starka, jakby chciała sprawdzić, czy wszystko zobaczył, i zaprowadziła go z powrotem do koni.

— Sohaku — powiedziała krótko.

— Nie widziałem go.

— Chce, żebyśmy myśleli, że z resztą oddziału pojechał gdzieś indziej.

— A to nieprawda?

— Na pewno czeka w pobliżu. Co byś zrobił, by bez walki ominąć tę przeszkodę?

261

— Wzdłuż zbocza biegnie wąska ścieżka, niewidoczna od strony barykady. Poszedłbym tamtędy nocą. — Zastanawiał się przez chwilę. —

Ale bez koni. Ledwie starcza tam miejsca dla piechura.

— Na to właśnie liczy Sohaku — odparła Heiko. — Rozstawił swoich ludzi za drzewami, tuż koło ścieżki. Nawet gdybyśmy ich minęli, musielibyśmy uciekać pieszo. Wkrótce by nas dopadli.

Stark przywołał w pamięci obraz ścieżki. Nie widział ukrytych samurajów, ale przecież nie po to się chowali, żeby z łatwością mógł ich zauważyć.

— Co zrobimy?

— Obserwowałam cię na koniu. Dobrze jeździsz.

— Dziękuję. Ty też nie najgorzej.

Heiko skwitowała tę pochwałę uprzejmym ukłonem. Potem wskazała na rewolwer.

— A jak strzelasz?

— Też dobrze. — Nie było czasu na fałszywą skromność. Nie zapytałaby, gdyby nie musiała.

— Nawet z siodła?

— Trochę gorzej niż na stojąco. — Stark nie umiał powstrzymać się od uśmiechu. Ta delikatna mała dama zamierzała szturmem przedrzeć się przez barykadę.

— Nie spać! — warknął dowódca straży. — Jeśli zechcą się przebić, zrobią to właśnie w nocy.

— Nikt tu nie przyjdzie — odezwał się jeden z samurajów. —

Zauważą nas i pójdą tamtą ścieżką, tak jak mówił Sohaku.

— Gdy zobaczą, że śpicie, pewnie zmienią zdanie. Wstawać i na wartę! — Ze złością łypnął na najbliższego wartownika. — Słyszysz?

Obudź się! — Walnął go po głowie. Samuraj bez życia osunął się na ziemię. Dowódca spojrzał na swoją rękę. Była mokra od krwi.

— Aaaaa! — Następny z wojowników stojących przed barykadą runął

jak długi, usiłując wyrwać stalową gwiazdkę o błyszczących ostrzach, która utkwiała głęboko w jego gardle.

262

— To atak! — krzyknął dowódca, rozglądając się przerażonym wzrokiem. Naprawdę ktoś ich atakował, ale kto i z której strony?

Coś stoczyło się po zboczach góry. Dowódca uniósł muszkiet gotowy do strzału. Bezwładne ciało spoczęło prawie u jego stóp. Jeszcze jeden samuraj z gardłem podciętym od ucha do ucha.

— Ninja! — ktoś krzyknął.

Głupiec! Tylko wywoła panikę. Oj, dostanie mu się, kiedy tylko odeprzemy atak, pomyślał dowódca. Nie mógł rozpoznać, kto to krzyczał.

Który z nich mówi tak cienkim, niemal dziewczęcym głosem?

Odwrócił się, by wydać kolejne rozkazy, i nagle stanął twarzą w twarz z zamaskowaną postacią.

Widział tylko jej oczy. Były bardzo piękne.

Poczuł, że miękka fala ciepła rozlewa mu się w piersi. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. W chwili gdy padał, usłyszał strzały. Nie był to huk muszkietu. Leżąc na ziemi, słuchał przez chwilę odgłosu kopyt. Dwa konie zgrabnie przeskoczyły przez barierę.

Pierwszy jeździec strzelał z dużego rewolweru. Drugi... gdzieś zniknął.

Siodło było puste. Znakomicie. Zabili przynajmniej jednego.

Ciekawe, kogo?, pomyślał dowódca, lecz właśnie w tej sekundzie krew przestała dopływać do jego mózgu.

Stark czekał przy strumieniu. Heiko dokładnie powiedziała mu, gdzie mają się spotkać. Zanim przeskoczył przez barykadę, spodziewał się gwałtownej strzelaniny. Owszem, strzelano, ale nie do niego. W

momencie skoku widział kilka ciał leżących na ziemi. To byli ludzie Sohaku. Nie padli z jego ręki.

Heiko po cichu wyszła zza drzewa. Jak dogoniła go tak szybko?

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Tak. A co z tobą?

— Kula z muszkietu lekko drasnęła mnie w ramię. — Klęknięła przy strumieniu, obmyła ranę i zręcznie zawiązała bandaż. — To nic groźnego.

263

Jej koń zarżał głucho. Było w tym coś niepokojącego. Zarżał raz jeszcze, o wiele słabiej, i legł na boku.

Stark i Heiko pochylili się nad zwierzęciem. Koń jeszcze oddychał, ale bardzo płytko. Pocisk przebił mu szyję. Śnieg pociemniał od krwi.

— Twój wierzchowiec jest bardzo silny — powiedziała Heiko. —

Poniesie nas oboje, dopóki nie znajdziemy innego.

Wdrapała się na siodło za Starkiem. Była tak lekka, że bojowy rumak na pewno nie poczuł jej ciężaru.

Kto zabił samurajów, tam przy barykadzie? On czy Heiko?

Amerykanin zastanawiał się, czy wszystkie gejsze są tak utalentowane.

Gdy tylko padły pierwsze strzały, Sohaku zebrał główne siły i szybko wrócił do barykady. Aż osiemnastu z trzydziestu samurajów pilnujących drogi leżało teraz rannych lub zabitych.

— To byli ninja — powiedział jeden z ocalałych. — Zaatakowali nas ze wszystkich stron.

— Ilu ich było?

— Tego nikt nie wie. Przecież to ninja. Trudno ich zauważyć.

— Był z nimi pan Genji?

— Nie widziałem. Ale mógł być w grupie jeźdźców forsujących barykadę. Minęli nas bardzo szybko, strzelając, gdzie popadnie.

— Strzelali? — Hide i Shigeru dostali muszkiety tuż przed wyjazdem z Edo. Skoro tu są, to na pewno jest też z nimi Genji. Na miejscu księcia Sohaku podzieliłby oddziałek na dwie lub trzy mniejsze grupy. Strzelców jednak zatrzymałby przy sobie. — Policzyliście ich?

— Tak, opacie. Było ich co najmniej pięciu... może nawet dziesięciu.

Sohaku zmarszczył brwi. Pięć lub dziesięć muszkietów? A do tego nieznana liczba ninja. Najwyraźniej Genji dostał skądś posiłki. Ale skąd?

Od kogo? Czy to możliwe, żeby już pchnął posłańca do swoich sprzymierzeńców?

— Wyślijcie gońca do Kudo. Niech do nas dołączy.

— Tak, opacie. Ma ruszać zaraz?

Sohaku rozgniewał się, słysząc wahanie w głosie samuraja. Nawet nie podejrzewał, że jego podkomendni mogą być tacy słabi. Strach ich obleciał już po pierwszym nieudanym starciu?

264

— A niby kiedy?

— Wybacz, panie, że narzucam ci się z pytaniami, ale czy nie lepiej zaczekać do rana?

Opat popatrzył na drogę. Księżyc w nowiu rzucał tylko tyle światła, by w cieniach rodziły się kolejne cienie. Podstępni ninja czyhali na taką właśnie okazję, a wiadomo było, że Genji ma ich przy sobie. Może zostawił kilku, by pokrzyżować zamysły opata?

Gniew Sohaku minął.

— Dobrze — mruknął. — Niech jedzie rano.

— Tak, opacie.

Lecz stało się inaczej. Tuż przed świtem to do nich przybył goniec.

Kawakami czekał, aż Genji zejdzie z gór i skieruje się w stronę Morza Wewnętrznego. Był ciekaw, czy Shigeru już zginął z rąk Kudo. W

gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Jeśli wciąż żyje, to i tak jest skazany na przegraną. Kawakami wiódł dwa tysiące ludzi, w tym pięciuset muszkieterów. Żaden szermierz, nawet Shigeru, nie wygra z taką masą.

Genji musi ponieść jeszcze sroższą karę. Z chwilą ucieczki z Edo na dobre utracił wszystkie przywileje przysługujące księciu. Shogun nie dał

mu zezwolenia na wyjazd ze stolicy. Pogwałcenie prawa zwanego *sankin-kotai*, czyli zmiennej służby, czyniło zeń buntownika. Władze wojskowe nie patyczkowały się ze zdrajcami. Księżcia Akaoki czekało aresztowanie, proces i srogi wyrok. Na pewno będzie musiał

odpowiedzieć na wiele pytań. Zdradzić wiele tajemnic. Wszyscy usłyszą wreszcie, co wie, czego nie wie. Zanim dostanie zezwolenie na rytualne samobójstwo, pozna smak hańby i nieszczęścia. Wpadnie w pułapkę, którą Kawakami montuje od dwóch dekad. Początkowo nie wiedział, że to właśnie Genji okaże się ofiarą. W tamtych latach Akaoką władał

potężny Kiyori, ale jego

265

następcą był ojciec Genjiego, pijak Yorimasa. On stał się głównym celem Kawakamiego. Plan jednak okazał się tak doskonały, że pasował

też do obecnego księcia. Kawakami był dumny ze swojej mądrości. Niby kto miałby mu tego zabronić?

— Przyjechał kurier od shoguna, panie.

— Niech wejdzie. Zaczekaj! Czy są jakieś wieści od Mukai?

— Nie, panie. Chyba wyjechał z Edo. Nikt nie wie, dokąd się udał i dlaczego.

Kawakami dawno nie otrzymał tak niepokojących nowin. Nie to, żeby Mukai był mu do czegoś potrzebny... lecz do tej pory umiał z góry przewidzieć jego wszystkie ruchy. Flegmatyczny, skromny i na swoim miejscu... To były jego główne, o ile nie jedyne, zalety. A teraz się wyłamał, w dodatku w bardzo trudnej chwili. Niedobrze. Powinien zostać za to ukarany. Dostanie srogą reprimendę, kiedy znów się spotkamy, pomyślał Kawakami.

— Panie. — Posłaniec klęknął na jedno kolano i skłonił się tak, jak to.

zwykli czynić samuraje w warownym obozie. — Przywożę ci pozdrowienia od pana Yoshinobu.

Yoshinobu był głównym doradcą shoguna. Kawakami wziął pismo z rąk posłańca i rozwinął je szybko. Być może sprawy w stolicy zaszły tak daleko, że zdecydowano się na jakąś poważniejszą akcję przeciw Akaoce.

Może to dekret, w którym shogun skazywał na banicję cały klan Okumichi? W takim przypadku wojska rządowe natychmiast przystąpiłyby do oblężenia głównej fortecy w Akaoce, słynnego zamku Chmary Wróbli. Kawakami zrobiłby to najszybciej, bo był już w połowie drogi.

Czekało go jednak rozczarowanie.

I to tak wielkie, że aż coś zakłuło go w piersiach. Rada zatwierdziła wyjazd wszystkich książąt, którzy zdecydowali się opuścić Edo. Co gorsza, *sankin-kotai* uległo zawieszeniu do odwołania. Genji już nie był

zdrajcą, ale w pełni lojalnym poddanym, wypełniającym rozkaz swego pana.

— Shogun także wyjechał?

— Nie, panie. — Kurier podał mu następne pismo. Rada wojskowa nakazywała wszystkim możnowładcom, aby

266

w trybie pilnym podjęli przygotowania do wymarszu na równiny Kansai i Kanto, w celu obrony cesarskiej stolicy Kioto i siedziby shoguna Edo przed spodziewanym najazdem cudzoziemców. Sam shogun miał

wyprowadzić swoje oddziały z zamku Edo i udać się do Kanto.

Yoshinobu zakładał, że do walki stanie co najmniej sto tysięcy samurajów.

Kawakami o mało się nie roześmiał. Sto tysięcy samurajów, uzbrojonych w miecze, stare muszkiety i jeszcze starsze działa... W

przypadku inwazji oznacza to tylko sto tysięcy trupów.

— Obca eskadra ostrzelała Edo i odpłynęła bez najmniejszej straty —

powiedział. — A jeśli cudzoziemcy znów zrobią to samo?

— Nie zdobędą Japonii, nie schodząc z okrętów — odparł posłaniec.

— Kiedyś przecież muszą postawić stopę na brzegu. Wtedy zginą, tak jak z rąk naszych przodków zginęli Mongołowie pod wodzą Kubilaj Chana.

Posłaniec był typowym samurajem, wierzącym w siłę miecza i potęgę przodków. Cudzoziemcy mieli działa oblężnicze, zdolne na pięć mil miotać pociskami wielkości człowieka. Mieli lekkie armaty,



ciągnięte przez konie. Mogli w jednym miejscu wystrzelać kilka tysięcy wojowników i za parę godzin być całkiem gdzie indziej. Mieli strzelby i rewolwery, ładowane pełnymi nabojami, a nie prochem i kulą. A co najważniejsze — walczyli między sobą i zabijali się nawzajem przez te wszystkie lata, podczas których Japonia spokojnie drzemała pod rządami shogunów z rodu Tokugawa.

— Niezłomni duchem i z mieczami w dłoniach wyjdziemy na spotkanie ich wojennych machin — powiedział Kawakami. — Wtedy zobaczą, z czego naprawdę jesteśmy ulepiani. — Z ciała. Krwi. Kości.

Posłaniec dumnie wypiął pierś.

— Tak będzie, panie — odparł z zapalem.

Hide dobrze przygotował zasadzkę. Wśród gór okalających rozwidlenie traktu znalazł co najmniej dziesięć miejsc przydatnych do jego potrzeb. Miał dwa muszkiety: swój i Shigeru. Mógł strzelić, podbiec na inne miejsce i wypuścić kilka strzał z łuku. Potem znów przebiec, naładować muszkiety i wypalić.

267

Dobrze wiedział, że Kudo i Sohaku na to się nie nabiorą, ale na pewno będą ostrożniej si i to opóźni pościg.

Jak dotąd, nikt się nie pojawił. Trzy noce temu wydawało mu się, że po nawietrznej słyszał echo strzałów. Tam pojechali Stark i pani Heiko.

Był dziwnie przekonany, że nic im się nie stało. Wierzył w Starka od dnia zawodów *iaido*. Pani Heiko jest w dobrych rękach.

O wiele bardziej niepokoił się o księcia. Genji wprawdzie znał

przyszłość, ale sam mówił, że proroctwa bywają zwodnicze. Czasami trudno je zrozumieć. Zrobiłby dużo mądrzej, gdyby zabrał ze sobą Starka.

Hide nagle przestał myśleć o proroctwach i skupił uwagę na tym, co sam mógł zobaczyć i usłyszeć. Ktoś nadjeżdżał gdzieś z tyłu. Jak to?

Czyżby wróg przeszedł mu przed samym nosem i zdołał go okrążyć?

Hide uniósł muszkiet do oka i przygotował się do strzału. Obcy był sam.

Prowadził konia, ciągnącego naprędce sklecone nosze. Na noszach spoczywały dwa pakunki. Wyglądały na zwłoki zawinięte w koce.

Hide opuścił muszkiet. To był Shigeru.

Strach zmroził duszę młodego samuraja.

Czyje ciała leżą na noszach?

268



# Yuki to chi

*Ze strategicznego punktu widzenia żałuję, oczywiście, przegranej bitwy. Klęska nigdy nie jest łatwa do przyjęcia. Nie mogę jednak powstrzymać się od myśli, że pod względem estetycznym wynik był olśniewający.*

*Biel cicho padającego śniegu. Czerwień przelanej krwi. Czyż kiedykolwiek biel była bielsza, a czerwień czerwiejsza, zimniejszy śnieg i gorętsza krew?*

Suzume-no kumo (1515)

Kudo zaczął się niepokoić z chwilą, gdy nie wrócił drugi zwiadowca.

Kiedy zniknął trzeci, dał sygnał do odwrotu. Później uznał to za pomyłkę.

Samuraj idący tyłem jest mniej pewny siebie niż ten, który podąża naprzód.

Przygłopotował jeden z wojowników z tylnej straży.

— Panie, zniknęło jeszcze kilku!

— Jak to „zniknęło”?

— Szli z nami, a po chwili już ich nie było. — Obejrzał się przez ramię. — Ktoś nas ściga.

— Shigeru — mruknął jakiś samuraj.

— Wracaj na tyły — zakomenderował Kudo. — Ty, ty i ty, jedźcie z nim. Ludzie tak sobie nie znikają. Musicie ich znaleźć.

Wyznaczeni tylko spojrzeli po sobie. Żaden z nich nawet się nie ruszył, żeby spełnić rozkaz.

269

Kudo otworzył usta, żeby na nich huknąć, kiedy na czole kolumny rozległ się głośny krzyk. Pierwszy z jadących kurczowo ścisnął strzałę, która utkwiała mu w prawym oku.

Shigeru wolałby, żeby Kudo ze swoim oddziałem posuwał się za nim nieco dłużej. W ten sposób mógłby wybić połowę z nich, gdy szli naprzód, i połowę podczas odwrotu. Byłaby w tym jakaś przyjemna symetria. Niestety, z powodu ich zachowania musiał porzucić względy estetyczne.

Spojrzał na ogromną kamienną budowlę, majaczącą za drzewami.

Wielkie kominy buchały w niebo cuchnącymi wyziewami. Czarny popiół

opadał niczym cień martwych płatków śniegu. Wszystko wokół stało się bezbarwne. Przygnębieni, ospali i krótko ostrzyżeni ludzie w luźnych szarych mundurach wyprowadzali z budynku samojezdne bryczki i ustawiali je w równych szeregach. Ziemia drżała mu pod stopami. Czy to śmiech demonów?

Wizje wciąż były mniej wyraźne i dokuczliwe niż przedtem. Na razie mógł wytrzymać. Szybko jednak zmieniały się na klarowniejsze, częstsze, coraz bardziej groteskowe i, co gorsza, realniejsze. Jak dotąd jeszcze potrafił odróżnić je od rzeczywistości, lecz wiedział, że to nie potrwa długo. Dwa dni minęły od momentu, kiedy rozstał się z bratankiem. W takim tempie po dwóch następnych dniach czeka go szaleństwo. Znowu stanie się furiatem, takim samym, jakim był w klasztorze Mushindo. Nie może pozwolić sobie na cierpliwość.

Okoliczności zmuszają go do pośpiechu.

Na pokrytej śniegiem łące nie słychać było końskich kopyt. Shigeru westchnął ciężko. Wczoraj po prostu zdał się na wierzchowca i przejechał

przez buchające ogniem kamienne więzienie i siedzących w nim smutnych ludzi. Dzisiaj nie miał na to ochoty. Wolał je ominąć.

Oddział Kudo zmałał do szesnastu strzelców. Pewnie najlepszych, jakich udało mu się znaleźć. Żaden z nich nigdy nie chybił, pod warunkiem, że przedtem stanął i wymierzył. Teraz jednak zapanował

wśród nich strach i rozprężenie. Wprawdzie zginęło tylko czterech, lecz pozostali też już przegrali, uciekając

270

w popłochu przed samotnym wrogiem. Shigeru był zadowolony, że nie znalazł wśród nich któregoś ze swoich dawnych uczniów.

Wypuścił strzałę, mierząc w gardło najbliższego jeźdźca. Nawet nie spojrzał, czy sięgnęła celu. Zdużony krzyk i huk wystrzałów były najlepszym świadectwem, że nie chybił. Grad pocisków łamał gałęzie i grzechotał wśród liści, lecz ani jedna kula nie padła w pobliżu miejsca, w którym znajdował się Shigeru. Żalodne. Chyba cudzoziemcy podbijają Japonię prędzej, niż można się spodziewać. Jeśli trafią wyłącznie na taki opór...

Kudo ustawiał swoich ludzi w koło, pod osłoną kępy wysokich sosen.

Wciąż strzelali na oślep. Shigeru zaciął konia i odjechał.

Kudo wściekał się nie na żarty. Sytuacja była wręcz absurdalna.

Piętnastu ludzi uzbrojonych w muszkiety zostało osaczonych przez jednego człowieka. To, że tym

człowiekiem był akurat Shigeru, nie miało w tym momencie żadnego znaczenia. Co innego, gdyby chodziło o szermierkę. Ale przecież trzymali w rękach broń palną i mieli do czynienia ze zwykłym przeżytkiem! Powinien zginąć, zanim podszedłby na tyle blisko, by użyć miecza. Umie co prawda strzelać z łuku... Pięć trupów jest tego najlepszym dowodem. Ale i tak, gdyby od razu nie wpadli w panikę, może któryś z nich zauważyłby, skąd nadlatują strzały.

Pozostali na miejscu przez równą godzinę, chociaż zagrożenie dawno już minęło. Kudo domyślał się, że Shigeru odszedł, zapewne przygotować kolejną zasadzkę. Mimo to postanowił zostać i pozwolić swoim ludziom trochę ochłonać. Był zły, że ze strachu zapomnieli o tym, że jest ich więcej i że są lepiej uzbrojeni.

— Mamy się poddać? — spytał spokojnie. — Chyba tak. W końcu jest nas tylko piętnastu na jednego. Nasze muszkiety nie dorównują sile jego łuku. Poza tym zostaliśmy otoczeni. A przynajmniej tak nam się zdaje.

Jak to możliwe, że jeden człowiek otoczył piętnastu? Spróbujcie mi wyjaśnić tę dziwną tajemnicę.

Samuraje wymienili niepewne spojrzenia.

271

— Wybacz nam, panie. Wpadliśmy w panikę, znając jego sławę.

Oczywiście masz rację. Nie ma żadnej wyraźnej przyczyny, byśmy kulili się jak wystraszone dzieci.

— Czy to znaczy, że znów chcecie być wojownikami?

— Panie... — Skłonili się z pokorą.

Kudo podzielił ich na trzy pięcioosobowe grupy. Wszyscy mieli iść w tę samą stronę, z dala od siebie, lecz widząc się wzajemnie. Shigeru mógł

zaatakować tylko jeden oddział. Kudo liczył na to, że tym sposobem przeciwnik zdradzi swoją pozycję i dostanie się pod zmasowany ogień muszkietów.

— Nawet jeżeli go nie dopadniemy za pierwszym razem, będziemy przynajmniej wiedzieli, gdzie go szukać. Ruszymy w pogoń całym oddziałem, dopadniemy go i ubijemy jak zgonione zwierzę.

— Tak, panie.

— Ten z was, kto go zastrzeli, będzie miał przywilej, aby obciąć mu głowę i powieźć ją do opata Sohaku.

— Dziękujemy, panie.

Kudo ruszył z najbardziej odsłoniętą grupą, wzdłuż stromego zbocza po lewej stronie. Miał nadzieję, że to właśnie oni będą celem pierwszego ataku. Z niekłamaną przyjemnością wpakowałby temu

szaleńcowi kulkę między oczy. Shigeru jednak lubił niespodzianki, mógł zatem uderzyć w środek, czyli tam, gdzie narażony byłby na ostrzał z każdej flanki. W tym momencie znalazłby się za plecami Kudo. Dawny doradca księcia spoglą-

dał przed siebie, lecz nasłuchiwał, co się dzieje z tyłu. Powinien raczej wyczuć, niż dostrzec przeciwnika. Shigeru wcale nie był jedynym prawdziwym samurajem w klanie Okumichi.

Zza drzew po prawej wypadł osiodłany rumak.

Nikt nie strzelał.

Ciekawe, czy koń uciekł, czy Shigeru specjalnie go pogonił, żeby znów wywołać małe zamieszanie? Nieważne. Podstęp, jeżeli to był

podstęp, tym razem się nie udał. Nikt się nie przestraszył. A Shigeru musi teraz walczyć pieszo. Bez wierzchowca stał się mniej szybki i mobilny.

Za to Kudo nabrał większej pewności siebie.

Słabe zimowe słońce kończyło swą krótką drogę i chyliło się ku zachodowi. Dzień mijał bez walki. Shigeru pewnie 272

łudził się nadzieją, że liczebna przewaga muszkieterów zmaleje wraz z nastaniem nocy. W trzech małych grupkach, na otwartym polu, byłiby dlań dość łatwym łupem. Przed zmierzchem Kudo uznał, że najwyższa pora, by zmienić taktykę.

Rozejrzał się po okolicy. W myśl odwiecznej wojennej prawdy, ten, kto wybrał pole bitwy, dzierżył w ręku klucz do zwycięstwa. Jego grupa właśnie dotarła do miejsca, w którym dolina stawała się dużo szersza. W

połowie niewielkiej równiny wznosił się niski pagórek, na kształt ośnieżonej wyspy, z siedmioma sosnami. Gdyby tam stanąć na nocleg, to wokół nas będzie rozpościerać się zupełnie otwarta przestrzeń, pomyślał

Kudo. Nawet w bladym świetle młodego księżyca widać będzie ciemną sylwetkę na tle białego śniegu. Shigeru straci przewagę zaskoczenia.

Wyśmienicie.

I tu właśnie rodziły się nowe wątpliwości. Wszystko, co widział

Kudo, widział też Shigeru. Gdzieś musi być pułapka.

— Idźcie ostrożnie i patrzcie w górę, na gałęzie. Może czeka, by na nas skoczyć.

Podeszli bliżej, w każdej chwili gotowi do strzału. Kiedy stanęli pod pagórkem, Kudo pchnął siedmiu z nich na zwiady — po jednym do każdego drzewa.

— Nikogo nie ma, panie.

Coś było nie tak. Podpowiadał mu to instynkt wojownika. Kudo powoli obszedł wzgórze. Nie znalazł miejsca, w którym mógłby ukryć się dorosły człowiek, nawet tak sprytny jak Shigeru. A mimo to nie potrafił

wyzbyć się niepokoju.

— Panie?

Może Shigeru, wzięwszy pod uwagę wszystkie za i przeciw, zdecydował się jednak pójść dalej, w głąb doliny? Na samym końcu widniał wąski przesmyk, w którym można było bronić się w pojedynkę.

Może właśnie tam czeka? Może...

Nie istniał żaden wyraźny powód, żeby dłużej zwlekać z noclegiem.

— Tu rozbijemy obóz — oznajmił Kudo. — Każda grupa kolejno pełni wartę — Tak, panie.

Na zboczu wzgórza wyraźniej było czuć woń igliwia. Kudo stanął jak wryty.

273

— Do tyłu!

— Widzisz go, panie?

Nie. Nie widział. Ale popełnił błąd, który mógł ich kosztować życie.

Na szczęście w porę to zauważył. Patrzył w górę, nie w dół, a tymczasem sosny gubiły sporo igieł. Trzy niewielkie zagłębienia w ziemi były ich pełne aż po same brzegi.

Wyciągnął miecz.

— Dajcie mi osłonę.

Podszedł do najbliższego dołka i z rozmachem dziabnął w grubą warstwę igliwia. Nic. To samo powtórzyło się za drugim i trzecim razem.

Na górze nie było wroga. Nie chował się też na dole. Kępa drzew nie dawała żadnej innej kryjówki. Nie zastawił tutaj pułapki. Był szaleńcem, ale sprytnym i cierpliwym. A cierpliwość to nieodłączna cecha walki podjazdowej.

— Tam uwiążcie konie. Ty wejdiesz na drzewo. Tylko patrz uważnie!

Shigeru czyha na nich gdzieś indziej. Tej nocy są zapewne bezpieczni.



Tak przynajmniej mówił im zdrowy rozsądek.

Kudo nie mógł zasnąć. Znów podszedł do trzech dołków z igliwem i poszturczał je końcem miecza.

— Jakiś koń idzie w naszą stronę, panie — zameldował wartownik na drzewie. — Bez jeźdźca.

Był to wierzchowiec Shigeru. Zatrzymał się w pewnej odległości, zarżał i dał krok w tył, jakby obawiał się podejść bliżej.

— Chciałby przyłączyć się do naszych — powiedział wartownik.

Zachowanie zwierzęcia było zrozumiałe. Dobry bojowy rumak zawsze z nieufnością odnosi się do obcych pod nieobecność swego pana.

Ale dlaczego tutaj przyszedł? Tylko dlatego, że poczuł inne konie? A może z jakiejś innej przyczyny?

Niepokój wrócił ze zdwojoną siłą. Coś tu nie pasowało. Kudo oparł się o drzewo, żeby lepiej widzieć.

— Na pewno tam nikogo nie ma?

— Nikt nie siedzi w siodle, panie, ani nie kryje się za koniem.

— A pod brzuchem? Wartownik wyteńczył wzrok.

274

— Chyba nie, panie. Koń z boku wygląda zupełnie normalnie.

— Dasz za to głowę?

— Nie, panie — padła natychmiastowa odpowiedź.

— Zastrzel go.

— Tak, panie.

Kudo oderwał rękę od kory. Palce lepiły mu się od żywicy. Na pniu widniała długa, bielejąca linia, przypominająca ropiejącą ranę. Upływ lat, choroby i gwałtowne burze osłabiły wiekową sosnę. Pień pękł na dwoje.

Zatrzeszczał sucho, gdy wartownik poruszył się na gałęzi. Kudo pokiwał

głową ze współczuciem. Drzewa są tak podobne do ludzi...

— Lepiej zejść i przenieś się gdzie indziej. — Strzał z muszkietu mógł

do końca rozłupać ranną sosnę.

— Tak jest, panie.

Kudo lepiej przyjrzał się szczelinie. Miała niezwykle kształt, prawie jak... drzwi!

Nagle pień jakby eksplodował, rozdarty od środka.

Kudo od razu poznał dziką twarz, oblepioną kroplami żywicy. W tej samej chwili ostrze miecza utkwiło w jego piersi, przebijając serce i kręgosłup. Życie uciekło zeń tak szybko, że nie zdążył nacieszyć się myślą, że przez cały czas miał rację.

Zbryzgany krwią zdrajcy Shigeru oburącz rąbał ludzi i demony, prawie nie słyszał krzyków i odległych strzałów. Wszystko zagłuszał

ciężki warkot, czyniony przez ogromne żelazne ważki, latające tuż nad jego głową.

Ich oczy jarzyły się oślepiającym światłem.

Okrągłe skrzydła wirowały w opętańczym pędzie.

Obrzydliwe larwy, jakby poskładane z kawałków twardej stali, minęły go jak wystrzelone z łuku. Poprzez ich ziejące pory widział stłoczone ciała tysięcy nieszczęśników skazanych na zagładę.

Błyszczące miecze zatoczyły w powietrzu kolejny krąg.

Fontanny krwi buchały w górę.

Trupy pokotem kładły się na śniegu.

Ludzie ginęli z krzykiem, aż wreszcie został tylko jeden.

275

Shigeru wrzeszczał, póki starczyło mu sił w płucach, a potem stracił przytomność.

Dopiero wtedy ważki odleciały.

Obudził się i zobaczył milionową ciżbę. Ludzie kłębili się jak owady.

W niebo wznosiły się strzeliste wieże, zbudowane z kamienia, szkła i stali. W środku było jeszcze więcej maleńkich postaci, stłoczonych niczym niemrawe trutnie w ulu. Część gniazd pewnie mieściła się pod ziemią, bo osowiałe tłumy znikwały w tunelach.

Cofnął się i potknął o zabitego konia. Wokół niego leżały zwłoki ludzi i zwierząt. Jego własny koń stał z dala od pagórka, przyglądając mu się podejrzliwie.

Shigeru uniósł głowę i wizja zniknęła. Na jak długo?

Obszedł zabitych. Kudo spoczywał na wznak, obok rozłupanej sosny.

Shigeru uniósł zdrajcę za włosy i odrąbał mu głowę. Po powrocie do Chmary Wróbli zamierzał nadzieć ją na tyczkę i wystawić na mury, żeby zgniła.

— Nie będziesz sam — mruknął do trupa. — Żona i dzieci wkrótce do ciebie dołączą.

Dwie godziny trwało, zanim na tyle uspokoił konia, by go dosiąść.

Ruszył galopem na północ. Miał nadzieję, że zdąży.

Wszystko ogarnął ogień. Był w Edo. Miasto płonęło. W górze, zamiast chmur, sunęły skrzydlate kłody. Z ich trzewi wypadały jakieś pojemniki, wybuchające rozpalonym żarem. Wokół szalało morze płomieni.

Wicher wrywał mu powietrze z płuc.

Na pół spaleni ludzie spółkowali wśród ruin aż do chwili śmierci.

Shigeru ścisnął wodze i całkowicie zdał się na konia. Jeszcze jedna noc z dala od bratanka i już będzie za późno, pomyślał.

Na widok jeźdźca siedmiu obszarpańców prędko ukryło się w najbliższych krzakach. Uzbrojeni byli rozmaicie: mieli trzy

bambusowe tyczki, dwie włócznie, stary obosieczny miecz i dwa pistolety skałkowe, bez kapiszonów, kul i prochu. Nie wyglądali na dorosłych mężczyzn, ale ich twarze były przedwcześnie postarzałe od głodu i życia w ciągłym zagrożeniu. Siedem par oczu spoglądało z ciemnych oczodołów, szczęki i zęby wyraźnie rysowały się pod napiętą skórą. Czaszki zdawały się wyzierać spod cienkiej zasłony ciała.

— Zabijmy go, to zjemy jego konia — zaproponował jeden z nadzieją w głosie.

Ten, który stał najbliżej niego, parsknął z wyraźnym przekąsem.

— Tak jak te dwa ostatnio?

— Skąd mogłem wiedzieć, że ona będzie miała pistolet?

— I to jaki! — dodał następny. — Strzeliła parę razy bez ładowania.

— Ichiro i Sanchiro na pewno też się dziwią, obojętnie, czy są teraz w piekle, czy w raju Czystej Ziemi.

Pierwszy głośno pociągnął nosem.

— Byliśmy z tej samej wsi. Razem dorastaliśmy. Co ja teraz powiem ich rodzicom? Albo

Shinichiego?

— Shinichi zginął już dawno temu. Co ci się nagle przypomniało?

— Powinien uciec z nami do lasu, a nie jak głupek pędzić środkiem traktu.

— Odrąbali mu rękę.

— I rozbili czaszkę.

Wprawdzie od tamtych wydarzeń minęło już sporo czasu, ale pamięć o nich wciąż pozostawała żywa w umysłach chłopców. To zapoczątkowało całą serię nieszczęść. Zabrani siłą z rodzinnej wioski, mieli dołączyć do oddziałów pana Gaiho, stacjonujących na wybrzeżu Morza Wewnętrznego. Po drodze napotkali grupkę samurajów z innego księstwa. Było ich niewielu, ale okazali się naprawdę straszni. W krótkiej walce zabili aż dziesięciu i oddział poszedł w rozsypkę. Wszyscy oficerowie zginęli. Wystraszeni żołnierze nie wiedzieli, co robić, więc po prostu uciekli. Włóczyli się po lesie, żyjąc jak sarny lub króliki. Byli chłopami, a nie myśliwymi, więc każda próba polowania kończyła się sromotną klęską. Przed dwoma

277

dniami, ogłupiali z głodu, napadli spokojnego z wyglądu samuraja i jakąś cudzoziemkę. Chcieli zabrać im konie. Ichiro i Sanshiro zostali zabici.

Pierwszy z mówiących przesunął palcem po drewnianym buddyjskim różańcu, który miał na szyi.

— Przynależę sobie, że oddam to jego matce. Przepraszę ją choćby za to, że on zginął, a ja wciąż żyję.

— To nie matkę pójdziesz odwiedzić, tylko jego siostrę. Ależ ona prześliczna!

— Durniu, nikt z nas nie zobaczy siostry ani matki, swojej ani cudzej.

Staliśmy się dezerterami. Powieszą nas lub oddadzą w niewolę za tę zbrodnię, razem z rodzinami. A może już ich to spotkało?

— Wielkie dzięki za pocieszenie.

— Może ten nie ma pistoletu?

— To samuraj z dwoma mieczami. Tak źle, i tak niedobrze.

— Niekoniecznie... Spójrzcie. Jest ranny.

Kimono miał czarne od zakrzepłej krwi. Rdzawe plamy szpeciły mu twarz i włosy. Podjechał bliżej, nagle ściągnął wodze i zmusił konia, żeby stanął.

— Nie, nie... — powiedział. — Nie tędy. Za dużo ich...

— O czym on gada?

— Widzi coś, czego tu nie ma. Stracił dużo krwi. Chyba umiera.

— W takim razie mamy szczęście. Na niego!

— Zaraz... Skręcił w naszą stronę. Spróbujmy go zaskoczyć.

— O tak... — mruczał samuraj. — Przekradniemy się za te wieże... —

Zjechał z pustego traktu, ze strachem spojrzął przez ramię i skierował się między głązy, prosto na ukrytych dezertersów.

— Już czuję smak końskiego mięsa — oblizwał się jeden.

— Cicho. Uwaga. Wszyscy razem. Teraz!

Pas zapięty na biodrach nie pozwalał mu wstać z fotela. Nieznana siła pchała go do tyłu. W uszach rozbrzmiewał słaby i natrętny świst, niczym poszum wiatru. Ale był to martwy wiatr, bez odrobiny życia. Ściany ciasnym łukiem przechodziły

278

w sufit, zawieszony niemal tuż nad jego głową. Izba była wąska i bardzo długa. Z przodu, z tyłu i po bokach widział takie same siedziska jak jego. Każde z nich zajmował jeden więzień. Po lewej miał maleńkie okno o zaokrąglonych rogach. Nie chciał w nie patrzeć, ale coś zmusiło go, żeby odwrócić głowę.

Zobaczył wielkie miasto, pełne kolorowych świateł. Stawało się coraz mniejsze. Albo leciało w piekielną otchłań, albo to on oderwał się od ziemi. Nie było rzeczy niemożliwych.

A mimo to jeszcze nie popadł w niewolę. Ale niedługo tak się stanie.

Złośliwy demon coraz ciaśniej zaciska palce na jego umyśle.

Patrzył na świat przez opary krwi. Puścił wodze i wyciągnął miecze.

Koń szedł samopas. Shigeru przyrzekł sobie w duchu, że przed śmiercią zatłucze tyle demonów, ile tylko zdoła.

Już nie wiedział, kim jest naprawdę. Wokół widział stal i kamień.

Jedynie tu i ówdzie rosły samotne drzewa albo krzewy, porzucone niczym niepotrzebne chwasty. W oddali, z ogromnych kominów buchał w niebo śmierdzący gaz. Posępny tłum snuł się po ulicach bezkresnego miasta.

Katorżnicy niewidzialnych panów... Gładkie kamienne drogi biegły na wszystkie strony, lecz to nie miało wpływu na szybkość podróży. W

każdą lukę wciskały się żelazne pojazdy. Sunęły powoli, zatruwając powietrze wstrętnymi wyziewami, uchodzącymi z małej rurki, przymocowanej pod spodem. Uwięzieni w nich ludzie zapewne konali powolną i okrutną śmiercią. Słońce ledwie prześwitywało przez siwą zawiesinę. Palone zwłoki nie śmierdziały bardziej niż to miasto.

A jednak nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Ludzie siedzieli w pojazdach, chodzili po ulicach i wydychali trujące dymy. Część z nich stała stłoczona ramię przy ramieniu na długich platformach, cierpliwie czekając, aż zostanie pożarta przez długą żelazną glistę.

Shigeru stanął. Za nim parsknęła jakaś bestia. Odwrócił się szybko, by odeprzeć atak, od razu gotowy do zadania ciosu. Ale zobaczył tylko osiodłanego konia, człapiącego przez śnieg

279

jego śladem. Rozejrzał się. Był mniej więcej w połowie wąwozu.

Widział drzewa i płatki śniegu. Nic więcej. Wizja zniknęła. Naprawdę?

Bał się w to uwierzyć. A jednak... Czekał.

Coś ciążyło mu na ramionach. Ludzka głowa. Nie, więcej... Osiem. —

Aaach!...

Rozpaczliwym ciosem odciął dodatkowe głowy. Nabrał przekonania, że to jakaś klątwa zmieniła go w demona, urągającego ludzkiej postaci.

Śmierć była dlań jedyną ucieczką. Rzucił katanę na ziemię, oburącz chwycił wakizashi i przytknął ostrze do piersi na wysokości serca.

Ostatnia głowa zaplątała się w stertę połamanych gałęzi, częściowo przykrytych śniegiem. Spojrzała na niego martwa twarz. To był Kudo.

Shigeru opuścił miecz. Pamiętał, że tam, w kępie sosen, zawiesił tę głowę u siodła. Nie przypominał sobie, żeby potem brał ją na ramię. Spojrzał w dół, na siebie. Miał kilka powierzchownych ran, zadanych własną ręką, ale nic poza tym. Nie przechodził żadnej przemiany. Pochylił się i podniósł jedną z pozostałych głów. Była bez czuba. Zatem nie samuraj.

Nie znał tego człowieka. Nie pamiętał, żeby go zabijał. Pozostałych sześciu również.

Popatrzył w niebo. Było przejrzyste i tak niebieskie, jak to jest możliwe tylko zimą, na wsi, z dala od cywilizacji. Nie zobaczył

potwornych wazek. Nie słyszał jęku demonów. Widziadła zniknęły na dobre. Co dziwniejsze, stało

się to samoistnie. Pierwszy raz doświadczył

czegoś podobnego. A może to nie Genji poprzednio zdjął z niego tę klątwę? Może istniał wewnętrzny, tajemny mechanizm, co jakiś czas dający tymczasową ulgę? Rzecz jasna, pod warunkiem, że biedny opętaniec wytrzymał w swym szaleństwie dostatecznie długo. Ostatnie wizje były dużo krótsze niż te, które trapiły go w klasztorze Mushindo.

Miał nadzieję, że wkrótce wypalą się zupełnie.

Shigeru powoli zbliżył się do miejsca, w którym leżała głowa Kudo.

Sterta gałęzi wydawała mu się jakaś dziwna. Zbyt równa i zbyt regularna. Ktoś zbudował ją specjalnie.

280

Shigeru odłożył głowę na bok. Wyciągnął miecz i obszedł podejrzaną stertę. Miała z grubsza kształt dachu. Zatem mógł ją postawić snajper. Ale dlaczego właśnie tutaj? Odsunął się jak najdalej od domniemanej linii strzału i poruszył śnieg czubkiem miecza. Kawał zmarzliny oderwał się i wpadł do środka. Ukazała się czarna dziura.

Pod gałęziami była pusta przestrzeń.

No... niezupełnie pusta. Leżały w niej dwa ciała.

281

*Suzume-no kumo*

*Czy umiesz być niczym siepiec, stojący przed malowidłem, jak głuchy  
w czasie koncertu i martwy na uczcie?*

*Bo jeśli nie, to porzuć oba swoje miecze, długi łuk i strzały z lotkami z  
jastrzębiego pióra, wierzchowca, zbroję i nazwisko. Brak ci rycerskiej  
dyscypliny, żeby być samurajem. Zostań chłopem, kapłanem albo*



# kupcem.

*Strzeż się pięknych kobiet. Są dla ciebie zbyt niebezpieczne.*

Suzume-no kumo (1777)

Emily wymyśliła bardzo zgrabne kłamstwo. Zamierzała powiedzieć księciu, że zaręczyła się ze Starkiem. Że takie małżeństwa są na porządku dziennym wśród amerykańskich protestantów. W razie śmierci męża, bierze się drugiego. Jej związek z Cromwellem nie był aktem miłości, ale czystej wiary. Na tych samych zasadach związała się ze Starkiem.

Wszystko to było trochę naciągane, lecz w miarę spójne. Wszelkie wątpliwości można złożyć na karb głębokiej różnicy kulturowej. Emily nie rozumiała wielu japońskich zwyczajów, więc miała pełne prawo podejrzewać, że Japończycy też jej nie rozumieją. W tej sytuacji zapewnienia, jakie czyniła, brzmiały całkiem wiarygodnie. Matthew ją poparł. To powinno trochę pomóc. Wiedziała jednak, że tak naprawdę wcale nie chciał się z nią żenić. Ona z kolei nie zamierzała go do tego zmuszać.

282

Postanowiła w duchu, że w przyszłości wynajdzie jakiś inny powód, żeby pozostać tu na stałe. Nie chciała nigdy wracać do Ameryki.

Genji jednak o nic nie zapytał. Emily przyjęła to z niewysłowioną ulgą, ponieważ nie umiała dobrze kłamać. Księżę oznajmił krótko, że opuszcza zniszczony pałac i jedzie do Akaoki, czyli do swoich włości na odległej wyspie Shikoku. Z góry zakładał, że zabierze ze sobą ją i Starka.

Teraz jechali razem, tylko we dwoje. Matthew podążał inną drogą, w towarzystwie Heiko. Stryj Shigeru zawrócił w stronę Edo. Hide pozostał

na rozstajach. Choć nikt jej wyraźnie tego nie powiedział, domyślała się, że próbują uniknąć pościgu. Bardzo możliwe, że poranny ostrzał był

jedynie wstępem do inwazji ze strony jednego z państw kolonialnych —

Francji, Wielkiej Brytanii lub Rosji — które zamierzało przyłączyć Japonię do swoich posiadłości na Dalekim Wschodzie. Stany Zjednoczone nigdy nie popełniłyby tak niemoralnego czynu. Całkiem niedawno same zrzuciły jarzmo kolonializmu i stały się wolnym związkiem niezależnych ludzi. Od lat prowadziły politykę „otwartych drzwi”, traktując wszystkich jednakowo i nie zważając na imperialistyczne żądania podziału świata na „strefy wpływów”, wysuwane przez niektóre kraje. Tak przynajmniej mówił Zephaniah na jednej ze swoich lekcji. Oczywiście wtedy był dla niej jeszcze „panem Cromwellem”... Boże świeć nad jego duszą.

W dolinie było dużo cieplej niż w górach. Jakiś czas temu skręcili na południe. Wiedziała o tym, patrząc na słońce przesuwające się po niebie.

Teraz jechali wąską ścieżką wzdłuż płytkiego strumienia, który płynął na tyle wartko, że nie

zamarznął. Cienka warstwa lodu leżąca na śniegu skrzypiała cicho pod kopytami koni.

— Jak jest „śnieg” po japońsku? — spytała Emily.

— *Yuki*.

— *Yuki*. Piękne słowo.

— Zbrzydnie ci, jeśli będziemy po nim jechali nieco dłużej — odparł

Genji. — Niedaleko stąd jest mała pustelnia. Wprawdzie nędzna i bez żadnych wygod, ale to lepsze niż nocleg w lesie.

283

— Dorastałam na farmie. Nie przywykłam do zbytłych wygod.

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

— Tak, to widać. Ale raczej nie sadyłaś ryżu?

— Hodowaliśmy jabłka. — Umilkła na chwilę, wspominając szczęśliwe chwile dzieciństwa, przystojnego ojca, piękną matkę i kochanych braci. Nawet późniejsze nieszczęścia nie zdołały na dobre wymazać z jej pamięci tamtych szczęśliwych dni. — Sad wygląda inaczej niż pole ryżowe. Ale z drugiej strony, zdaje mi się, że praca na roli wszędzie jest taka sama. Wszystko zależy od pór roku i kaprysów pogody.

— Kaprysów?

— Tak. To oznacza niespodziewaną zmianę. Liczba pojedyncza:

„kaprys”. — Starannie wymówiła ostatnie słowo.

— Aha. Kaprys. Dziękuję. — Na pewno zapamiętał. Do tej pory świetnie przyswajał sobie wszystkie nowe słowa, których go uczyła.

Dziewczyna była pod wrażeniem jego zdolności lingwistycznych.

— Szybko się uczysz, panie. W ciągu ostatnich trzech tygodni twoja wymowa i zasób słów uległy wyraźnej poprawie.

— To wyłącznie twoja zasługa, Emily. Jesteś wyjątkowo cierpliwą nauczycielką.

— Dobry uczeń rzuca snop blasku na nauczyciela — odparła. — A skoro już o tym mowa, to moim zdaniem także Matthew zasłużył na pochwałę.

— W przypadku Heiko. Ja zawdzięczam postępy tylko tobie. Matthew mówi dla mnie zbyt

niezrozumiale. Wydaje mi się, że macie całkiem inny akcent.

— To prawda.

— Ty wymawiasz słowa oddzielnie, do pewnego stopnia tak jak Japończycy. On zaś mówi tak, jakby chciał zaśpiewać...

Genji bezbłędnie naśladował Starka. Mówił powoli, prawie leniwie i przeciągał każdą sylabę. Emily wybuchnęła śmiechem.

— Wybacz mi, panie. To było doskonałe.

— Nie masz za co przepraszać. Chociaż z drugiej strony, twój śmiech prowokuje mnie do pewnych pytań.

— Słucham.

284

— Tu, w Japonii, mężczyźni mówią inaczej niż kobiety. Gdybym mówił po kobiecemu, naraziłbym się na drwiny. Mam nadzieję, że nie robię podobnego błędu, ucząc się od ciebie angielskiego.

— Och nie, panie! Zapewniam cię, że jesteś męski w każdym calu. —

Zaczerwieniła się. Nie tak chciała to ująć. — Różnica między mną i Starkiem bierze się wyłącznie z miejsca zamieszkania. On pochodzi z południa naszego kraju, z Teksasu. Ja jestem z Nowego Jorku, czyli z północnego wschodu. To dwa zupełnie różne rejony.

— Przyznaję, że odetchnąłem z ulgą. W Japonii drwina jest potężną bronią. Wielu zginęło z tego powodu.

„Nie cenią życia, uczył Zephaniah. Mordują się nawzajem z najgłupszych powodów. Jeśli samuraj na ulicy trąci niechcący pochwą miecza pochwę drugiego samuraja, obaj stają do pojedynku. Któryś z nich musi zginąć”.

„To już chyba przesada”.

„Słyszałaś, żebym kiedyś w czymś przesadzał”? „Nie, proszę pana”.

„Mów mi «Zephaniah». Pamiętaj o tym, że teraz jestem twoim narzeczoną”. „Tak, pamiętam”.

„Mają wypaczone poczucie honoru. Jeśli odezwiesz się do samuraja bez należytej uprzejmości, uzna to za obrazę. Jeżeli zaś będziesz zbyt uprzejma, również poczuje się urażony. *Przed zginieniem przychodzi pycha, a przed upadkiem wyniosłość ducha*”.

„Amen”.

„Własnym przykładem damy im poznać co to skromność i powiedziemy ich do odkupienia". „Tak".

— Zatem nie będę miał się czego wstydzić, kiedy angielski wejdzie do użytku? — zapytał Genji.

— Bez wątpienia.

— Dziękuję ci, Emily.

— Proszę bardzo, ale... Książę, mogę tu uczynić małe sprostowanie?

— Słucham.

285

— Powiedziałaś: „kiedy angielski wejdzie do użytku". „Kiedy"

oznacza w tym przypadku, że coś jest nieuniknione. Lepiej byłoby powiedzieć „jeśli".

— Świadomie powiedziałem „kiedy", bo tak będzie. Dziadek mi to powiedział.

— Naprawdę? Wybacz, że tak mówię, panie, ale to wydaje mi się całkiem niemożliwe. Niby dlaczego Japończycy mają się uczyć angielskiego?

— Tego już nie wiem. Może nie przewidział przyczyn, a jedynie skutki.

Emily znów nie była pewna, czy użył właściwego słowa.

— „Przewidywać" znaczy „wiedzieć z góry".

— Właśnie.

— Przecież nie mógł znać przebiegu zdarzeń, które dopiero nastąpią!

— Mógł.

Odpowiedź księcia zmroziła ją do szpiku kości. Genji zakładał, że jego dziadek posiadał moc dostępną jedynie wybrańcom Boga. To zakrawało na bluźnierstwo. Próbowwała odwieść go od tak potwornego grzechu.

— Książę... wiedzę o przyszłości miał tylko Jezus Chrystus i prorocy Starego Testamentu. My zaś musimy dołożyć wszelkich starań, żeby dobrze zrozumieć ich słowa. Nowe proroctwa nie istnieją. Chrześcijanie w to nie wierzą.

— To nie ma nic wspólnego z wiarą. Gdybym mógł, wolałbym w to nie wierzyć. Życie stałoby się łatwiejsze.

— Czasem ktoś czegoś słusznie się domyśla i potem wszyscy mówią, że jest jasnowidzem. To nieprawda. To tylko pozór. Z bożej łaski tylko prorocy mieli wgląd w naszą przyszłość.

— Nie nazwałbym tego łaską, to raczej rodowa klątwa. Żyjemy z nią, bo na dobrą sprawę nie mamy innego wyboru. To wszystko.

Emily umilkła. Co ma mu powiedzieć? Zachowuje się, jakby wierzył, że sam jest wróżbitą albo wizjonerem. Na dłuższą metę to niebezpieczne, bo grozi nie tylko karą za bluźnierstwo, ale i obłudem. Żłudna wiara sprawi, że zaczniesz dostrzegać nieistniejące znaki i proroctwa. Będzie działał tak, jak nakaże mu chora wyobraźnia. Jedyne, co mi pozostaje, to 286

uzbroić się w cierpliwość, pomyślała Emily. Nie da się w tydzień lub nawet miesiąc przeprowadzić odwiecznej zmyry.

Nagle poczuła, że ogarniają ją fala radosnego ciepła. Znalazła powód, dla którego Chrystus przywiódł ją tu, do tego miejsca. Teraz wie. W

duchu podziękowała Bogu i złożyła solenną przysięgę, że uleczy duszę japońskiego księcia, choćby sama miała przy tym zginąć. A może Bóg, w swej nieskończonej łasce, pozwoli żyć im obojgu?

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

Gdy cienie gór zaległy nad doliną, Genji powiedział:

— Coś mi się zdaje, że normalną drogą nie dotrzemy przed nocą do pustelni. Tutaj skręcimy. Niestety, będziemy musieli zejść z koni i poprowadzić je dalej piechotą. Dasz radę? To niedaleko.

— Oczywiście.

Odbili od strumienia i zaczęli wspinać się po stromym zboczu. W

pobliżu szczytu natrafili na małą polankę. Coś błysnęło w pamięci dziewczyny. Taką łączkę widziała kiedyś w Apple Valley. Nawet śnieg leżał podobnie. Skąd te wspomnienia? Zwykły przypadek czy tęsknota za czymś znajomym w obcym krajobrazie?

— Można tu robić śniegowe anioły. — Wcale nie chciała tego powiedzieć. Tak jej się tylko wymknęło.

— Co to są „śniegowe anioły”?

— Nigdy się w coś takiego nie bawiłeś, panie?

— Nie, nigdy.

— Pokazać ci? To zajmie najwyżej minutkę.

— Proszę bardzo.

Emily usiadła na śniegu ostrożnie, jak nakazywała to skromność.

Powoli położyła się na wznak i rozłożyła szeroko ręce i nogi, bacząc, by brzeg spódnicy nie podwinął się wyżej kostek. Potem energicznie rozgarnęła śnieg wszystkimi kończynami naraz. Chichotała, święcie przekonana, że wygląda śmiesznie. Potem wstała tak, żeby nie zniszczyć rysunku.

— Widzisz?

— Chyba wprawdzie trzeba wyobrazić sobie anioła.

Emily nie umiała ukryć rozczarowania. Przecież to naprawdę piękny śniegowy anioł.

287

— Chyba tak...

— Emily?

— Słucham?

— Ile masz lat, jeśli wolno spytać?

— W przyszłym miesiącu skończą siedemnaście.

— Aha — powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Przemawiał do niej jak do dziecka. Złość wzięła u niej górę nad rozsądkiem.

— A ty ile masz lat? — spytała. Nigdy przedtem nie była tak niegrzeczna.

Genji nie zdążył odpowiedzieć.

Za drzew wypadło kilku ludzi. Z głośnym okrzykiem podbiegli do księcia, dźgając go włóczniami. Genji szybko dobył miecza i zdołał

odpędzić pierwszego napastnika, ale dwaj z tyłu wbili mu ostrza w plecy.

Krąg się zacieśniał.

Emily zastygła przerażona.

Genji upadł, brocząc krwią z rany. Napastnicy wrzeszczeli triumfalnie:

— Genji! — krzyknęła Emily.

Cała banda zamarła bez ruchu na dźwięk tego imienia. Wszyscy, a było ich dziewięciu, cofnęli się o kilka kroków, nie kryjąc przerażenia.

Emily słyszała, że wciąż powtarzają „Genji”. Wymienili także drugie imię, również doskonale jej znane.

— O nie... To bratanek Shigeru.

— Straszne. Myśleliśmy, że to zwykły samuraj. Nawet do głowy mi nie przyszło, że to książę Genji!

— Koń księcia nadaje się na pieczeń tak samo jak inny.

— Shigeru na pewno nas znajdzie. Zginiemy straszną śmiercią.

Słyszałem, że uwielbia pastwić się nad ludźmi.

— Musimy mieć ich konie. Przecież to fura mięsa! Przez jakiś czas nie będę chodził głodny.

— Lepiej być głodnym niż martwym.

— Właśnie. Przepróśmy go i w nogi.

— Patrzcie!

Książę wciąż leżał tam, gdzie upadł. Brzydka cudzoziemka 288

przywarła do nieruchomego ciała, mamrocząc coś w chrapliwym, nieprzyjemnym dla ucha języku. Plama krwi czerwieniła się na śniegu.

— Już za późno. Nie da się odwrócić tego, co się stało.

— Można się z nią zabawić, zanim ją zabijemy.

— Co ty gadasz?! Masz nas za zbrodniarzy?

— A niby kim jesteśmy? W gruncie rzeczy możemy iść na całego.

Dwa razy nie zetną mi głowy.

— Ciekawy jesteś, jak wygląda? Słyszałem, że całe ich ciała pokryte są szczecina, jak u dzika.

— A ja słyszałem, że to bardziej przypomina futerko łasicy, zwłaszcza na łonie.

Popatrzyli na nią.

— Zaczekajcie. Najpierw musimy się upewnić, że książę nie żyje. Z

samurajami nigdy nic nie wiadomo. Póki oddycha, będzie zabijał, nawet na łożu śmierci.

— Umarł. Widzisz? Mówi do niego, a on jej nic nie odpowiada.

— Lepiej nie ryzykować. Poderżnij mu gardło.

Emily nie wiedziała, co ma zrobić. Wyraźnie czuła, jak gorąca krew przesiąka przez odzież Genjiego

i natychmiast zamarza. Był ranny w pierś i plecy. Musi jakoś powstrzymać krwawienie, żeby zaraz nie skonał.

Lecz przez ubranie nie umiała dokładnie określić miejsca i głębokości rany. Musiałaby go najpierw rozebrać. Ale co wtedy? A jeśli umrze z zimna, a nie z utraty krwi? Była w rozterce. Nie mogła pozbyć się natrętnej myśli, że Genji zginie, jeśli mu nie pomoże...

Gdy wymieniła jego imię, bandyci oddalili się o kilka kroków.

Stali, kłócąc się zawzięcie. Co i rusz spoglądali w kierunku Genjiego.

Parę razy powiedzieli „Shigeru”. Czterech z nich chyba zamierzało odejść, lecz przywódca wskazał na księcia i warknął coś rozkazującym tonem. Widocznie ich przekonał, bo zostali.

— Może wstydzą się swego postępuku — powiedziała głośno limily —

i zostaną, żeby nam pomóc.

289

Genji oddychał jeszcze, ale nic nie mówił.

— Wszyscy jesteśmy w rękach Boga. Wszyscy.

Kłótnia dobiegła końca. Napastnicy podeszli bliżej. Emily popatrzyła na nich wyczekująco. Nagła zmiana ich zachowania i wzmianka o Shigeru budziły w niej nadzieję, że wszystko będzie dobrze. A potem zobaczyła noże.

Mocniej przywarła do rannego, zasłaniając go własnym ciałem.

Bandyci wrzeszczeli głośno, ale nie wiedziała, czy na nią, czy do siebie.

Jeden z nich złapał ją za rękę. Pozostali odciągnęli księcia na bok. Ten, który ją pochwycił, rzucił ją na ziemię i zaczął podwijać jej spódnicę.

Przywódca zawołał coś do niego. Bandyta odwrócił głowę i odpowiedział

mu gniewnym okrzykiem.

Emily przypomniała sobie, że ma rewolwer Starka.

Wykorzystała moment nieuwagi swojego dręczyciela, wyjęła broń z kieszeni płaszcza, odciągnęła kurek, tak jak pokazał jej Matthew, przystawiła bandycie lufę do brody i nacisnęła cyngiel.

Krew, skrawki ciała i odłamki kości bryznęły na ludzi trzymających księcia.

Emily znowu odciągnęła kurek, przytknęła rewolwer do piersi najbliższego napastnika i ponownie



strzeliła. Zanim upadł, jego kompani już gnali co sił w nogach w dół zbocza. Emily wypaliła za nimi dwa razy, ale chybiła.

Co teraz?

Miała rannego samuraja, rewolwer z dwoma nabojami i dwa konie.

Bandyci mogli w każdej chwili wrócić, żeby dokończyć dzieła. Emily nie wiedziała, gdzie jest i gdzie szukać pustelni. Nie wiedziała, jak trafić na rozstaje, na których został Hide, ani jak odnaleźć drogę do Akaoki. A nawet, gdyby ją znalazła, to i tak Genji nie nadawał się do dalszej podróży. Z kolei nocleg pod gołym niebem, w lesie, równał się zamarznięciu.

Zaciągnęła rannego między drzewa. Wbrew jej nadziejom rosły zbyt rzadko, żeby dać im ochronę przed wiatrem lub śnieżycą. Trzeba poszukać lepszego miejsca.

W pobliskim wąwozie znalazła płytki dołek. Zużyła niemal cały zapas sił, żeby zataszczyć tam nieprzytomnego księcia.

290

Drugi raz by tego nie zrobiła. Musi zatem wokół niego postawić jakieś schronienie.

Pierwszej nocy po wyjeździe z Edo Heiko i Hide zbudowali szałas z gałęzi. Emily doszła do wniosku, że robi to samo.

Kiedyś, akurat w Boże Narodzenie, kiedy narzekała, że jest bardzo zimno, matka opowiedziała jej o Eskimosach, żyjących na dalekiej północy, w krainie wiecznych mrozów. Domy budowali z lodu, a jednak w nich nie marzli. Lodowe ściany zatrzymywały zimne powietrze na zewnątrz, a ciepłe — ogrzane ludzkimi oddechami i ciepłem ciał — w środku. Tak przynajmniej mówiła matka. Narysowała nawet okrągły domek z lodu, śnieżną równinę i kilku wesołych małych Eskimosów z okrągłymi buziami, lepiących bałwana. Prawda to czy bajka? O tym Emily miała się wkrótce przekonać.

Wbiła gałęzie w śnieg pod takim kątem, jak przedtem zrobił to Hide.

Tylko że on, w razie potrzeby, mógł naciąć więcej budulca. Emily tego nie umiała. Jak dotąd nie posiadała sztuki posługiwania się japońskim mieczem. Wybierała zatem gałęzie leżące na ziemi. Na nich szeroko rozpostarła szal i przysypała go warstwą śniegu. W ten sposób powstał

dach. Szczeliny w ścianach także uszczelniła śniegiem. Domek nie był aż tak okrągły, jak na rysunku matki. Przypominał raczej grubo ciosany klin, lecz dało się w nim mieszkać.

Emily wpełzła do środka i zamurowała śniegiem wejście, pozostawiając tylko mały otwór, żeby przypadkiem się nie udusili. Czy było jej ciepłej? Chyba tak. Może trochę ciasno, ale przynajmniej mieli osłonę przed wiatrem.

Nie знаła się na ranach i leczeniu. Genji wyglądał strasznie. Przez dziurę na piersiach widać było

żebra. Dwie rany na plecach były jeszcze głębsze. Krew wypływała z nich z każdym uderzeniem serca. Emily zdjęła halkę, podarła ją na cienkie pasy i szybko obandażowała tors rannego. Potem sięgnęła po jego odzież. Przesiąknięta zlodowaciałą krwią tkanina zatrzeszczała jej pod palcami. W jukach przy siodle były koce. Okryła księcia własnym płaszczem i wyczołgała się na zewnątrz.

291

Konie uciekły. Zobaczyła tylko jakieś ślady, które na dobrą sprawę mogły być śladami kopyt. Nie była tego jednak całkiem pewna, bo już znikwały pod gęsto padającym śniegiem. Pomodliła się cicho i ruszyła w drogę. Miała szczęście. Po chwili znalazła jednego. Z ulgą stwierdziła, że to łagodna klacz, którą przydzielono jej na czas podróży, a nie narowisty ogier Genjiego.

— Hej, Cynamonko... — Tak nazywała się jej klaczka w Apple Valley. Też była lekko rudawej maści. Emily cmoknęła cicho i wyciągnęła przed siebie dłoń. Konie to lubią.

Klacz cofnęła się z parsknięciem. Może wyczuła zapach krwi na jej ubraniu?

— Nie bój się. Wszystko będzie dobrze i pięknie. — Emily przemawiała do niej najłagodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. Szła krok w krok za cofającym się zwierzęciem. Odległość między nimi powoli się zmniejszała. — Dobra mała... Kochana...

Przecież wiesz, że się lubimy...

Jej ręką znalazła się zaledwie na odległość dłoni od luźno zwisających wodzy. Nagle, gdzieś z tyłu, rozległ się jakiś dziwny pomruk. Emily szybko sięgnęła po rewolwer, ale jej ręka trafiła w próżnię. Broń została w kieszeni płaszcza, którym przykryła rannego księcia. Dziewczyna spojrzała za siebie, przekonana, że zobaczy wilka. Tymczasem był to koń Genjiego. Stał z opuszczonym łbem i nerwowo grzebał kopytem w ziemi.

Klacz znów odsunęła się o parę jardów.

Emily dała krok do tyłu. Poruszała się bardzo wolno, żeby nie sprowokować ogiera do napaści. Nawet nie próbowała do niego mówić.

Wiedziała, że jest głuchy na słodkie słówka. Ledwie zdążyła przejść kilka kroków, kiedy ruszył, na szczęście nie na nią. Pogalopował za uciekającą klaczą. Wkrótce oba konie zniknęły za szczytem pagórka.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, lecz jej radość nie trwała zbyt długo.

Szukając koni, nie zwracała uwagi na drogę. Teraz bezradnie rozglądała się we wszystkie strony i nie mogła dostrzec szafasu. Nie widziała nawet wąwozu. Zabłądziła.

Śnieg padał coraz gęściej, jakby chmury chciały jak najszybciej zrzucić na ziemię swoje brzemię.

Jej ubranie stawało się coraz cięższe od wilgoci topniejących 292

płatków. Nie czuła stóp i dłoni. Wiedziała, że niedługo umrze, a wraz z nią zginie także Genji. Łzy zamarły jej na policzkach. Nie bała się śmierci. Żal jej tylko było japońskiego księcia, który musi umrzeć tu, w tej głuszy, z dala od domu, bez nikogo, kto by go pocieszył i wyszeptał

kilka słów modlitwy w chwili, kiedy jego dusza stanie u bram czyśćca, czyli tam, gdzie trafiają wszystkie nieochrzczone dusze. Obiecała Bogu, że go uratuje, lecz nie mogła spełnić tego przyrzeczenia.

Padła na śnieg i wybuchnęła płaczem.

Nie, to nic nie pomoże.

Przestała szlochać. Złożyła przecież przysięgę przed Bogiem. Zatem nie może się poddać, dopóki kołacze się w niej choć resztką życia, które On jej ofiarował. To zaś, co odczuwa teraz, to nie jest prawdziwy smutek.

Najzwyczajniej w świecie zaczęła uważać się nad sobą. Dała się omamić najciemniejszej stronie grzechu pychy.

Pomyśl.

Poprzez gęsto sypiący śnieg nie widziała dalej niż na parę kroków. Ale to nie miało teraz znaczenia. Pod nogami wyczuwała nachylenie stoku.

Gdyby tylko sobie przypomniała, czy szła w górę, czy w dół w pogoni za kłaczą...

W dół.

Zdawało jej się, że koń instynktownie szukał schronienia w dolinie.

Więc szłaś musi być gdzieś w górze. Nie mogła odejść zbyt daleko. Na pewno szła bardzo powoli. Ostrożnie dała pierwszy krok, potem następny i następny... Wspinała się coraz wyżej. Po czwartym kroku zapadła się w głęboki śnieg. Nie znalazła pod stopą twardego oparcia. Gwałtownie cofnęła nogę, zahaczyła o ukrytą gałąź i przewróciła się na plecy, głową w dół. Przekoziółkowała i osunęła się po zboczu. Zatrzymała się dopiero, gdy uderzyła w coś twardego.

W szłaś.

Szła w zupełnie innym kierunku. Gdyby nie przewróciła się i przypadkiem nie wpadła do rozpadliny, powędrowałyby zapewne dalej i szła aż do śmierci. Świeży śnieg zaokrąglił dach i ściany jej schronienia.

Teraz szłaś o wiele bardziej przypominał chatkę Eskimosów. Emily odkopała wejście i wczołgała się do środka.

Genji żył jeszcze, ale ledwo, ledwo... Oddychał płytko i nieregularnie.

Ciało miał zimne i zsiniałe. Jeszcze kilka minut na tym mrozie i umrze, pomyślała. Nie miała koców, żeby go przykryć. Nie wiedziała, jak rozpalić ogień. Matka opowiadała jej, że Indianie pocierali o siebie dwa kawałki drewna. Podejrzewała, to wcale nie jest takie łatwe. Nie, jedyne, co mu może oddać, to ciepło własnego ciała.

Który grzech jest cięższy? Położyć się z człowiekiem, z którym nie ma ślubu, czy usiąść obok i patrzeć, jak kona? Ważniejsze przykazanie brzmiało: „Nie zabijaj”. A poza tym, przecież nie zległaby u jego boku w biblijnym znaczeniu tego słowa. Usiłowała go ratować i wcale nie myślała o zbliżeniu, kopulacji, żądzy i cudzołożeniu.

Ułożyła się po jego lewej stronie, jak najdalej od rany w piersi. Nadal była ubrana, a on leżał pod jej płaszczem. A więc w ogóle z nim nie „śpi”.

Niestety, nic to nie dawało. Jej ciepło nie docierało do niego przez grubą warstwę tkaniny.

Zamknęła oczy i zaczęła modlić się żarliwie. Prosiła Boga, żeby wejrzał w jej serce i zobaczył, że nie ma zdrożnych zamiarów. Błagała go, by jej wybaczył, jeśli przypadkiem się myli. Jeśli Bóg chce ocalić tylko jedno życie, niech wybierze Japończyka, ponieważ ona otrzymała główne sakramenty, a on nie jest nawet ochrzczony.

Szybko pozbyła się ubrania. Została tylko w pantalonach. Genji także był niemal zupełnie nagi, z wyjątkiem przepaski na biodrach. Emily starała się nie patrzeć tam, gdzie nie powinna. Rozłożyła jego zakrwawioną odzież niczym prześcieradło na podściółce z sosnowych igieł i przykryła wszystko swoim płaszczem. Pomalutku wciągnęła rannego na posłanie. Potem nakryła go własnym ciałem, uważając, żeby go nie przygnieść. Rany wprawdzie przestały krwawić, ale w każdej chwili mogły się otworzyć. Z reszty ubrań zrobiła coś na kształt kokonu.

Genji miał zimną i suchą skórę. Nawet już nie dygotał. Przez chwilę wydawało jej się, że trzyma w objęciach bryłę lodu. Bardziej zmarzła, niż go ogrzała. Ale żar bijący ze środka jej ciała był silniejszy od mrozu.

294

Kropła potu zabłysła na górnej wardze rannego. Jego oddech stał się nieco głębszy. Emily zasnęła z uśmiechem na ustach.

Genji zbudził się obolały, nic nie widząc, trawiony przez gorączkę.

Był tak skrępowany, że się nie mógł ruszyć. Ktoś przemocą przyduszał go do ziemi.

— Eeeeeiii!

Szarpnął się, skręcił i wyrwał z uścisku. Teraz on leżał na przeciwniku.

— Gdzie jesteśmy? — Jest więźniem. To wiedział na pewno. Ale czym?

Zamiast odpowiedzi usłyszał dziwny bulgot, z trudem przypominający ludzką mowę. Głos jednak należał do kobiety. Gdzieś już go słyszał. We śnie? W swojej pierwszej wizji?

— Shizuka? — Ją też tutaj uwięziono?

Znowu coś powiedziała, ale nadal nic z tego nie rozumiał. Próbowwała się uwolnić z jego objęć. Mocniej ścisnęła jej nadgarstki i natychmiast przestała się szarpać. Przemówiła uspokajającym tonem. Najwyraźniej usiłowała mu coś wyjaśnić.

— Nie rozumiem ani słowa z tego, co do mnie mówisz — warknął.

Shizuka, jeśli to ona, wciąż wydawała gardłowe pomruki w swoim tajemnym innym języku.

Dlaczego oślepl? Kazano mu wyłupić oczy? A może siedzi w jakimś mrocznym lochu, z dala od słonecznego światła, głęboko pod powierzchnią ziemi? Może dziewczyna jest narzędziem tortur w czyichś rękach? Przypomnił mu się Kawa-karni. Lepkie Oko shoguna. Ten na pewno by to zrobił. Pomyślał o Heiko. Ta pod spodem to nie ona. A może jednak? Nie, ją przynajmniej by zrozumiał. Na pewno?

— Heiko?

Znów coś zaszemrała, tym razem z większym podnieceniem. Z

potoku słów wyłowił dwa imiona: „Genji” i „Heiko”. Zatem go zna.

Rozpoznał jej głos, lecz wydawała mu się większa od Heiko. A może to tylko złudzenie? Niczego nie był już pewien.

Budził się i na powrót zapadał w odrętwienie. Kiedy się

budził, za każdym razem widział nieco lepiej. Ściany emanowały dziwnym bladym światłem. Dziewczyna zamiast włosów miała wokół

głowy złotą aureolę... Jej oczy były niebieskie jak przejrzyste niebo. Coś połyskiwało na jej szyi. Coś, co widział przedtem, w całkiem innej wizji...

Nieznajomy młodzieniec wbił głęboko miecz w jego ciało... Czuł

krw pulsującą w piersiach...

Niezwykłe piękna kobieta powiedziała: „Zawsze będziesz moim Promienistym Księciem”...

Jej uroda nie była całkiem japońska. Wprawdzie nie wiedział, kim jest, ale jej widok budził w nim jakąś tęsknotę... Znał ją. Miał poznać. To pani Shizuka.

Uśmiechnęła się przez łzy. „Dzisiaj rano skończyłam przekład, powiedziała. Zastanawiałam się, czy przetłumaczyć tytuł na angielski.

Jak myślisz?".

— Na angielski... — wyszeptał, chcąc zapytać, co tłumaczyła.

Ona jednak rozumiała to całkiem inaczej.

— Dobrze — odparła. — Byłaby z nas naprawdę dumna. Kto? Nie mógł wydobyć z siebie głosu, by o to spytać. Coś błyszczało na jej smukłej, gładkiej szyi.

To samo widział teraz, na piersiach dziewczyny.

Mały srebrny medalion, nie większy od kciuka, ozdobiony rysunkiem krzyża i jakiegoś stylizowanego kwiatu, prawdopodobnie lilii.

— Księżę?

Znow stracił przytomność.

Delikatnie wepchnęła jego ręce pod przykrycie i poprawiła kokon.

Genjiemu było równie ciepło na niej, jak i pod nią. Znowu krwawił z rany na piersiach. Opatrunek na plecach był przesiąknięty. Niepotrzebnie się szarpał. Gdyby teraz spróbowała wysunąć się spod niego, mógłby na nowo podjąć walkę

296

z demonami, zrodzonymi w jego trawionym gorączką umyśle. Nie chciała, by przypadkiem zrobił sobie jakąś krzywdę.

Ale z drugiej strony, ich pozycja była trochę krępująca. Dopóki Genji spał, w porządku. Gorzej, kiedy się obudzi, pomyślała z zażenowaniem Emily, chociaż, prawdę mówiąc, chyba nie ma czego się wstydzić.

Przecież żadne z nich nie robiło nic złego; nic, co byłoby skażone piętnem grzechu. Mimo to czuła się niezręcznie. Dobrze, że nikt nas nie widzi, pomyślała. Mógłby z tego wyciągnąć zbyt pochopne wnioski.

Postanowiła nie ruszać śpiącego. To byłoby dla niego niebezpieczne.

Lepiej więc wybrać mniejsze zło, niż przysporzyć mu dalszych cierpień.

Białe ściany szałasów pojaśniały w pierwszych promieniach świtu.

Emily czuła, że ciężą jej powieki. Po chwili spała.

Gęsty śnieg padał jeszcze przez pół dnia.

— Za godzinę oboje byliby już martwi — powiedział Shi-geru. —

Wprawdzie zrobiła otwór w dachu, ale z czasem śnieg go przysypał.

Udusiliby się bez powietrza.

Hide popatrzył w stronę ogniska, gdzie spali Genji i Emily. Opatrzył i zabandażował rany księcia, a potem nakarmił ich oboje. Wiedział już, że przeżyją.

Shigeru pokazał mu trzydziestkędwójkę.

— W bębenu są cztery łuski i dwa naboje. Ta dziewczyna stoczyła tutaj niezłą walkę w obronie naszego pana. Kto wie, może pod śniegiem leżą jakieś trupy. — Nie wspomniał o tym, jak ich znalazł, prawie zupełnie nagich i owiniętych w luźne części ubrania. Nie miał pojęcia, czy Emily naprawdę do kogoś strzelała. Wiedział za to, że Genji zawdzięcza jej życie. Ogrzała go własnym ciałem. Inaczej zamarzłby na śmierć, nieprzytomny i ciężko ranny.

— Panie... — Hide szeroko otworzył oczy ze zdumienia. — Zdajesz sobie sprawę, co tu zaszło?

— Owszem. Spełniła się przepowiednia. Cudzoziemiec spotkany w dzień Nowego Roku ocalił naszego księcia.

297

IV

## **MOST ŻYCIA I ŚMIERCI**

298





# Apple Valley

*Mędrcy mówią, że radość i smutek są tym samym. Czy to dlatego, że znajdując jedno, przy okazji znajdujemy drugie?*

Suzume-no kumo (1861)

— Stąd wniosek, że jestem wyjątkowo marnym samurajem —

powiedział Genji. Siedział w wielkiej książęcej sypialni na zamku Chmary Wróbli. Jeszcze nie przywykł, że to jego pokój. Wciąż zbyt wyraźnie czuł obecność dziadka.

— Jak możesz tak mówić, panie? — zaproponował Saiki. — Wyszedłeś cało z najbardziej niebezpiecznych przygód. Tego należy oczekiwać od prawdziwego samuraja.

Saiki i Hide klęczeli przy postaniu. Genji ułożył się na lewym boku, żeby doktor Ozawa mógł dokładniej obejrzyć rany.

— Bez przesady — odparł. — Najpierw żeglowaliście w czasie sztormu, potem wpadliście w stado wielorybów i bezpiecznie uciekliście zdrajcom. To są przygody.

Skrzywił się, kiedy lekarz oderwał kawałek starego bandaża, przylepionego zaschniętą krwią do skóry. Obaj samuraje głośno wciągnęli powietrze i pochylili się, jakby chcieli przyjść mu z pomocą.

— Wybacz, panie — powiedział doktor Ozawa. — Byłem niezręczny.

Genji uspokoił go machnięciem ręki.

— Dałem się zaskoczyć wygłodniałej bandzie zwykłych 299

maruderów. Zginałbym, gdyby nie Emily. Stryj mnie znalazł, jak byłem na granicy śmierci. Wolę, żeby nie opowiadano o tym na moich następnych urodzinach.

— Odniosłeś rany, które kogoś słabszego z pewnością by zabiły, panie

— odparł Saiki. — Przeżyłeś, bo masz w sobie prawdziwie bojowego ducha. Czegóż więcej może chcieć samuraj?

— Choćby na przykład zwykłej czujności.

Hide nie wytrzymał. Przycisnął czoło do podłogi i trwał tak, nie ośmielając się rzucić okiem na swojego rannego pana. Nic nie mówił. W

ogóle nie wydawał żadnych dźwięków,

i tylko gwałtowne drzenie jego ramion zdradzało, że gorzko płacze.

— Co ci się stało? — spytał Genji. — Wstawaj.

— To wszystko moja wina — zaszlochał Hide. — Byłbyś zginął przez moje zaniedbanie, książę.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Przecież nawet cię tam nie było.

— A powinienem. Jestem twoim dowódcą gwardii. Jak mogłem puścić cię samego i pozwolić, żebyś narażał się na tyle niebezpieczeństw?

— Dobrze pamiętam, że chciałeś jechać ze mną — odparł Genji. —

Mimo protestów z twojej strony i wbrew radom mojego stryja, wyraźnie rozkazałem ci zostać na rozstajach. Nie mogłeś zrobić nic innego.

— Mogłem jechać za tobą bez twojej wiedzy, panie.

— Hide! Wstań z podłogi i przestań wygadywać bzdury! Nikt poza mną nie ponosi tu najmniejszej winy. Tak przywyk- % łem do tego, że mam wokół siebie bitnych i oddanych ludzi, że zapomniałem, jak się bronić. To raczej ja powinienem płakać,

a nie ty.

— Hide ma rację — wtrącił Saiki. — Twoje rany są wynikiem jego niedbalstwa, panie. Moim zdaniem mógł zlekceważyć rozkaz i śledzić cię z oddali. Rzecz jasna później musiałyby zapewne popełnić samobójstwo za tę niesubordynację, lecz spełniłby swój obowiązek i byłbyś znacznie bezpieczniejszy.

— A gdyby Kudo i jego strzelcy dotarli na rozstaje? Kto by tam na nich czekał?

— Pan Shigeru zabił ich wszystkich — odparł Saiki. — Hide wcale nie musiał zmitrężyć tyle czasu.

300

— Tylko że nikt z nas tego nie wiedział! — uciał Genji. — I skąd pewność, co by się naprawdę stało, gdyby Hide za mną pojechał? Pewnie proroctwo by się nie spełniło i patrzylibyście teraz na mojego trupa, zamiast głądzić o niesubordynacji.

Hide uniósł głowę.

Saiki siedział jak oniemiały.

Genji uśmiechnął się. Gdy zawodziły inne argumenty, zawsze mógł wspomnieć o proroctwie. Bardzo przydatny wybieg.

— Rany są zupełnie czyste, panie — odezwał się doktor Ozawa. —

Ani śladu zakażenia. Co najciekawsze, nie masz też odmrożeń. Zupełnie nie wiem, jak to możliwe. Pan Shigeru wspominał mi, że znalazł cię zagrzebanego w śniegu.

— Nie byłem sam — wyjaśnił Genji. — Moja towarzyszą posiadała eskimoską wiedzę i potrafiła zrobić z niej użytek.

— Co to jest „eskimoska wiedza”? — spytał doktor Ozawa. — Jakaś nowa metoda leczenia, stosowana przez cudzoziemców?

— Właśnie, metoda — przytaknął Genji.

— W takim razie, za twoim pozwoleniem, panie, chciałbym z nią o tym szczerze porozmawiać. Może zechcesz poprosić panią Heiko, by pełniła rolę tłumaczki?

— Jestem pewny, że wiele wyniesiesz z tej rozmowy, doktorze —

odparł Genji. Chciałby być tego świadkiem. Na pewno dobrze by się bawił. Emily powie całą prawdę. Nigdy nie kłamie. W jej przekonaniu kłamstwo jest grzechem, godzącym w nauki Chrystusa. Będzie się zapewne czerwieniła, jękała i tak mówiła, żeby nie skłamać, a jednocześnie nie powiedzieć zbyt wiele. Wyobraził sobie tę scenę i mimowolnie wybuchnął śmiechem.

— Panie?

— Nic, nic. Rad jestem, że tak szybko wracam do zdrowia. Dziękuję za pomoc, doktorze.

— Spróbuj się nie nadwierać, panie. Nawrót bóleści może być groźny.

Genji wstał z posłania. Zazwyczaj czekał, aż ubierze go któryś z giermków. Teraz, zły na siebie za porażkę w lesie, upierał się, że będzie bardziej samodzielny.

301

— Z mieczem sobie ledwo radzę — mrucał — ale jestem mistrzem w wiązaniu pasa.

— To była twoja pierwsza prawdziwa walka, panie — powiedział

Saiki. — Następnym razem pójdzie ci o wiele lepiej.

— Bo gorzej już być nie może?

— Jesteś dla siebie zbyt surowy — odparł Saiki. — Pierwszy raz zobaczyłem krew w czasie zamieszek w zachodniej części naszego księstwa. To było jeszcze przed twoim narodzeniem. Wstyd powiedzieć, ale zwymiotowałem i jednocześnie popuściłem w spodnie.

— Nie! — wykrzyknął Genji. — Niemożliwe!

— Niestety, tak — potwierdził Saiki.

Genji i Hide roześmieli się. Po chwili dołączył do nich Saiki. Nie powiedział księciu, że miał wtedy zaledwie trzynaście lat, a wspomniana krew była krwią dwóch dobrze uzbrojonych chłopów, których zabił

swoim pierwszym prawdziwym mieczem. Wystarczyło mu, że Genji choć na chwilę zapomniał o troskach. Czasami warto się poświęcić w imię wyższego celu.

— Och, przepraszam... Chyba przeszkadzam w naradzie. — W

drzwiach stanęła Emily. Była ubrana tak jak kiedyś, z tą różnicą, że teraz wszystko, co na sobie miała — łącznie z halką, pantalonami i pończochami — było uszyte z jedwabiu, nie z bawełny. Jej stara suknia podarła się i zniszczyła w lesie. Szwaczki na zamku spruły ją do końca, żeby wiedzieć, jak skroić nową. Emily wolałaby nadal chodzić w skromniejszej bawełnie, lecz musiała przyjąć dary ofiarowane jej z dobrego serca. Pierwszy raz w życiu paradowała od stóp do głów w jedwabie. Nawet jej pikowany płaszcz, na wzór starego nadal wielki i nieforemny, był z tego samego przedniego materiału.

— Już kończymy — powiedział Genji. — Jeszcze ze dwie minuty.

Wejdz, proszę.

— Pani Emily... — Saiki powitał ją ukłonem. Hide też nisko pochylił

głowę. — Cieszę się, że oglądam cię w dobrym zdrowiu.

Genji od razu zauważył, że stosunek szambelana do dziewczyny uległ

zdecydowanej zmianie. Już nie była zwykłą „cudzoziemką”, lecz „panią Emily”. Domyślał się, że to głównie

302

dzięki przepowiedni, i w głębi serca był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Przecież i tak ma mnóstwo trosk i kłopotów: sama, w obcym kraju, owdowiała, zanim wyszła za mąż... Nieco życzliwości w niczym tu nie mogło zaszkodzić.

— Powiedział, że się bardzo cieszy, widząc cię w dobrym zdrowiu —

przetłumaczył.

— Proszę ode mnie podziękować panu Saikiemu. Też jestem bardzo rada, że dotarł szczęśliwie do zamku.

— Podziękowała ci za pozdrowienia, Saiki. Jest rada, że szczęśliwie dotarłeś do zamku. Mamy jeszcze coś do omówienia?

— Nie, panie — odparł szambelan. — Już stłumiliśmy bunt przeciwko tobie. Niedobitki czekają na

karę. Pan Shigeru wykonał część najtrudniejszych zadań. Ja jutro rano z setką ludzi wybieram się do Kageshimy. To chyba wszystko.

— Wystarczy, że wybijesz wyłącznie starszyznę — powiedział Genji.

— Pozostałym dobitnie przypomnij o wierności nie tylko względem suwerena, lecz przede wszystkim wobec księcia.

— To wyraźne odstępstwo od przyjętych zasad, panie.

— Wiem.

— Zastanawiam się, czy to mądrze okazać im taką łaskę. Mogą uznać, że brak ci siły, aby zrobić to, co konieczne.

— Robię dokładnie to, co konieczne. Jeszcze będzie dość zabijania.

Jeżeli już musimy walczyć, to raczej zwróćmy się w stronę wrogów, a nie mordujmy własnych chłopów.

— Tak, panie.

Saiki i Hide wyszli z sypialni. Hide powiedział w drzwiach:

— Zaczekam przy koniach.

Genji miał zamiar grzecznie go odprawić, mówiąc, że przecież nie jadą zbyt daleko, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Hide patrzył na niego z zaciętą miną. Było jasne, że przez pewien czas będzie wszędzie chodził za swoim panem.

— Dziękuję, Hide.

— Na pewno możesz dosiąść konia, panie? — zapytała fimiły.

— Pojedziemy powoli — odparł. — Bez galopu. Nic mi się nic stanie.

303

— Nie wolisz się przespacerować? Wprawdzie nie widziałam jeszcze całego zamku, ale już mi się tu spodobało.

— Obiecuję, że niedługo wszystko zobaczysz. Jednak dzisiaj zabiorę cię gdzie indziej. Muszę ci coś pokazać.

— Co to takiego?

— Pojedziesz, to się dowiesz. Emily roześmiała się.

— Niespodzianka? Gdy byłam dzieckiem, uwielbiałam wszelkie niespodzianki. Och... Myślisz, panie, że Matthew wybierze się z nami?

— Chyba jest bardzo zajęty — odpowiedział Genji. — Ćwiczy.

Słyszysz?

Z oddali dochodziło stłumione echo strzałów.

— A poza tym, chcę to pokazać tobie, a nie jemu.

— Robi się coraz bardziej tajemniczo — zauważyła Emily.

— Nie na długo — obiecał Genji.

Ostatnia głowa należała do niespełna rocznego niemowlęcia. Shigeru zatknął ją na grocie włóczni, na końcu długiego szeregu innych głów, wystawionych na widok publiczny przed główną bramą zamku. Zimy w Akaoce były cieplejsze niż w górach na wyspie Honshu. Twarz Kudo zgniła już tak bardzo, że nie dawało się rozpoznać rysów. Na innych, świeżych, zastygł wyraz strasznego przerażenia. Żona Kudo, dwie konkubiny, pięcioro dzieci, owdowiała matka, brat, szwagrowie, szwagierki, wujowie, ciotki, siostrzeńcy, kuzyni i kuzynki. Razem pięćdziesiąt dziewięć głów.

Rodzina Kudo przestała istnieć.

Heiko podeszła bliżej i pozdrowiła go ukłonem.

— Przypadła ci niewdzięczna praca, panie.

— Ale niezbędna — odparł Shigeru.

— Niewątpliwie. Ludzka karma jest niczym wielka rzeka.

Nieustannie płynie.

— Pozwolisz, że przez chwilę ci potowarzyszę, pani?

— W gruncie rzeczy liczyłam na to — odpowiedziała szczerze. —

Księżę właśnie wybiera się na krótką przejażdżkę. Zabiera ze sobą panią Emily. Będą jechali tędy, prawda?

304

— Oczywiście. Księżę zawsze korzysta z głównej bramy, bez względu na to, dokąd się wybiera.

— Pani Emily będzie przerażona, widząc te wszystkie głowy.

— Naprawdę? — Shigeru spojrział na szereg włóczni, równo wbitych w ziemię po południowej

stronie traktu. — Niby dlaczego? Moim zdaniem wszystko jest jak należy.

— To niewiasta wyjątkowej dobroci — powiedziała Heiko, starannie dobierając słowa. — Poza tym, jako cudzoziemka, nie rozumie pojęcia karmy. Obawiam się, że główki dzieci wywołają w niej silne wzruszenie.

Tak silne, że zapomni o wycieczce z księciem.

— Więc co mi radzisz?

— Usuń te szczątki, panie.

— Nie mogę. W całej Japonii od niepamiętnych czasów głowy zdrajców były ku przestrodze wystawiane przed główną bramą zamku.

Stały tam, póki zgniłe ciało nie odkleiło się od kości lub nie padło łupem padlinożerców.

— Warto zachować tę tradycję — odparła Heiko — ale tym razem wyjątkowo mógłbyś dokonać, panie, małej zmiany i choć na chwilę przenieść głowy do dawnej rezydencji pana Kudo.

— Zdrajca nie jest „panem” i nie ma imienia.

— Wybacz — z ukłonem powiedziała Heiko. — Chciałam rzec: do dawnej rezydencji zdrajcy.

— Właśnie tam szedłem, by ją spalić. Heiko pobladła odrobinę.

— Z całą służbą zamkniętą w środku? Shigeru uśmiechnął się ponuro.

— Taki miałem zamiar. Niestety, książę Genji, kierując się współczuciem i niezwykłą łaską, kazał mi ich wszystkich sprzedać w niewolę.

Heiko odetchnęła z ulgą.

— Czy w takim razie mogę ci coś zaproponować, panie?

— Mam wrażenie, że wciąż to robisz.

— Tylko za twoim przyzwoleniem. A gdybyś tak, na przykład, spalił rezydencję i głowy zdrajców zatknął na jej zgliszczach? Trudno o lepsze ostrzeżenie.

Shigeru wyobraził sobie ten widok. Pięćdziesiąt dziewięć 305

głów zatkniętych na długich włóczniach, sterczących z dymiącego jeszcze pogorzeliśka.

— Zupełnie niezły pomysł, pani. Tak zrobię.

— Dziękuję, panie.

Nie została z nim, żeby to obejrzeć.

W drodze z zamku Genji, Emily i Hide spotkali wracających Starka i Taro.

— Nie narzekasz na brak nabojów, Matthew? — Emily od pewnego czasu nie używała już damskiego siodła i siedziała na koniu po męsku.

Genji przekonał ją, żeby zamieniła suknię na szerokie i przewiewne spodnie, zwane *hakama*. Zaręczał, że kobiety też mogą w nich chodzić. Z

kolei Emily ciągle miała w pamięci nauki Cromwella, że należy przejmować japońskie zwyczaje, o ile nie są pogwałceniem chrześcijańskiej moralności. Nie wzdragała się zatem przed noszeniem *hakama*. I tak na pierwszy rzut oka bardziej przypominały spódnice niż spodnie w europejskim znaczeniu tego słowa.

— Zrobiłem formę do odlewania kul — wyjaśnił Stark — a nasi gospodarze mają pod dostatkiem prochu. — Otworzył dłoń i pokazał

puste łuski. — Tego można używać wielokrotnie.

— Mam nadzieję, że będziesz walczył jedynie w słusznej sprawie —

upomniała go Emily. — Jak przystało na chrześcijanina.

— Moja sprawa jest na pewno słuszna — mruknął Stark.

— Dokąd jedziecie? — zapytał Taro, zwracając się do Hide.

— Niedaleko. Jeśli chcesz, możesz jechać z nami.

— Bardzo chętnie. Pan Stark ma teraz spotkanie z panią Heiko. To chyba lepiej, bo z nią przynajmniej może mówić po angielsku.

Hide i Taro jechali w pewnym oddaleniu za księciem i damą. Tu, na włościach, w pobliżu zamku, nie spodziewali się napadu. Mimo to Hide bezustannie rozglądał się po okolicy.

— Jak tam trening?

— Zdumiewający — odpowiedział Taro. — Nawet do głowy mi nie przyszło, że coś takiego jest możliwe. Dobywa broni i strzela szybciej, niż trwa wyciągnięcie miecza. Żaden mistrz *iaido* mu nie sprostą. Nawet Shigeru.

306

— A nie mówiłem?

— Owszem, mówiłeś. Ale wtedy myślałem, że żartujesz. Teraz widziałem to na własne oczy i ciągle



trudno mi uwierzyć. Wiesz, że on, już przy pierwszej próbie, na dwadzieścia kroków trafia w cel dziewięć na dziesięć razy? A przy drugiej w ogóle nie pułkuje. Nie rozumiem tylko, po co ćwiczy. Przecież i tak nikt w Japonii nie zdoła mu dorównać.

— Tak jak my jest wojownikiem — wyjaśnił Hide. — Nadchodzi wojna. To chyba wystarczający powód.

Emily z uwagą patrzyła na księcia. Kazałaby mu natychmiast wracać, gdyby zobaczyła choć ślad wyczerpania. Na razie wyglądał zdrowo. Bez wątpienia był bardzo rad, że znalazł się w domu. To też miało korzystny wpływ na jego samopoczucie. Klimat w Akaoce był dużo łagodniejszy niż w Edo. Tam panowała zima, tutaj zaś wczesna wiosna.

— Zawsze tu jest tak ciepło o tej porze roku?

— Raczej tak — odpowiedział Genji. — I dlatego obce nam są zwyczaje Eskimosów.

— Księżę, proszę...

— Gdyby spadł śnieg, pewnie miałbym o wiele więcej poddanych.

Emily spojrzała w bok, spłoniona z zażenowania. Domyślała się, że jest czerwona jak dojrzałe jabłko. Genji roześmiał się.

— Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać.

— Obiecywałeś, że nie będziesz już o tym wspominał.

— Obiecywałem, że nie będę rozmawiał z innymi. Ale z tobą?

— Zachowujesz się nie po dżentelmeńsku, panie.

— Nie po dżentelmeńsku?

— „Nie” to zwykła negacja. „Dżentelmen” to osobnik o wzniosłym charakterze i nienaganych zasadach moralnych. Końcówka „-ski” przy

„dżentelmenie” tworzy przymiotnik. — Popatrzyła na niego tak surowo, jak tylko umiała. — Twoje obecne zachowanie stoi w wyraźnej sprzeczności z moralnością i wzniosłym charakterem.

— To niewybaczalny błąd. Błagam cię o wybaczenie.

— Wybaczyłabym, gdybyś się nie uśmiechał.

307

— Ty też się śmiejesz.

— To tylko grymas.

— Grymas?

Powstrzymała się od wyjaśnień.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Emily co chwila podejrzliwie zerknęła na księcia i za każdym razem widziała na jego ustach leciutki uśmieszek. Za nic nie potrafiła go rozzłościć. Z drugiej strony nie może mu pobłażać. W ich obecnej sytuacji takie żarty najzwyczajniej w świecie są nie na miejscu. Ona jest prostą misjonarką, a on księciem, łożącym na misję. Nic się nie zmieniło.

Wstrzymała konia i obejrzała się na Chmarę Wróbli. Za pierwszym razem przeżyła gorzkie rozczarowanie. To ma być zamek? A gdzie grube mury, kamienne baszty, wieże, strzelnice, blanki i podpory, zwodzony most i głęboka fosa? Tylko fundament zbudowano z luźno ułożonych głazów, w dodatku bez żadnej zaprawy. Na nim wznosiły się kształtne pagody z drewna, gipsu i ceramiki. Zamki były domeną prawdziwych rycerzy, takich jak Wilfryd Ivanhoe. Emily nie umiała sobie wyobrazić, by ubrany w zbroję i kolczugę, z kopią i tarczą w ręku, dosiadając ciężkiego rumaka, zjawił się w tym miejscu. Tak jak uroda, pojęcie zamku było w Japonii inne niż na świecie. Tylko że pierwsze w jej przypadku stało się błogosławieństwem, drugie zaś zasmuciło.

Ale wystarczyły dwa krótkie tygodnie, żeby zmieniła zdanie. Chmara Wróbli zadziwiała ją swoją lekkością. Miała wrażenie, że główna wieża, licząca przecież aż siedem pięter, płynie w powietrzu nad skalnym klifem. Kamienny postument, wygięty ku górze eleganckim łukiem, podtrzymywał stiukowe ściany tak białe, jak chmury na letnim niebie.

Szczyty murów pokryte były dachówką z szarej terakoty. Stąd, z wysokości siodła, ze dwie mile od zamku, wydawało jej się, że z dachu budowli rzeczywiście zrywa się do lotu stado wróbli. Całość tchnęła eterycznym wdziękiem, sprawiającym, że europejskie zamki wydawały jej się teraz ciężkie i przyziemne.

— Bardzo się gniewasz, Emily? — spytał Genji. Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Nie. Uważam tylko, że z pewnych spraw nie wolno żartować.

308

— Masz rację. Już więcej nie będę.

Dojechali na szczyt niewielkiego wzniesienia. Zanim dotarli na drugą stronę, Emily poczuła znajomy zapach, ale złożyła to na karb ukrytej tęsknoty za domem. Chwilę później spojrzała w głąb małej dolinki i zakręciło jej się w głowie. Nagle zabrakło jej powietrza, jakby znalazła się na znacznej wysokości.

— Sad jabłkowy — wykrztusiła szeptem.

Sad nie był zbyt duży, rosło w nim najwyżej sto jabłoni, ale kiedy zjechali niżej i znalazła się między nimi, zdawało jej się, że są ich tysiące.

Stanąła w strzemionach, wyciągnęła rękę i zerwała kwitnącą gałąź.

— Takie same, jak te, które rosły u nas! — zawołała.

— Może te same? — zapytał Genji. — Jabłonie pochodzą z Ameryki?

— Nie. Zostały przywiezione przez europejskich osadników. Pewien człowiek, imieniem Jaś Jabłuszko, całe życie wędrował po kraju, wszędzie zakładając sady. Tak przynajmniej mi mówiono. Dokładnie nie wiem, czy to prawda, czy może bajka.

— Czasem prawdę od bajki dzieli mała różnica — zauważył Genji.

Wyciągnął rękę, chwycił zwisającą gałąź, jęknął i opadł z powrotem na siodło. Świeże rany nie pozwalały mu na takie sztuki. — Zwykle wspinałem się na drzewo i całymi dniami prowadziłem mądre konwersacje. Moi rozmówcy byli niewidzialni, lecz znali się na retoryce.

— Ja też lubiłam chodzić po drzewach. Bawiłam się z moimi braćmi.

— Wymyślonymi?

— Prawdziwymi. Mieli na imię Tom i Walt.

— Też są misjonarzami?

— Nie. Umarli jeszcze w dzieciństwie.

— A twoi rodzice?

— Także nie żyją.

— W takim razie oboje jesteśmy sierotami. — Genji popatrzył na gałęzie. — Teraz już byś tam nie weszła.

— Słucham?

— Mówię o drzewach. Myślisz, że wciąż umiesz się wspinać? Bo ja zaraz siedziałbym na wierzchołku, gdyby nie moje rany.

309

— Bez trudu bym cię dogoniła — powiedziała Emily.

— Oczywiście.

— Wątpisz w to, drogi książę?

— Cóż... Sądząc po twoim wyglądzie...

— To zabrzmiało niemal jak wyzwanie. — Za młodych lat bez przerwy konkurowała z braćmi. Raz, by sprostać ich wyzwaniu, skoczyła z gałęzi na gałąź. Rzecz jasna gałąź pękła i Emily spadła z drzewa. Cud, że nie doznała poważniejszych obrażeń.

„Przepraszam, że zniszczyłam drzewo, tato”. „Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Ale nie rób już tego więcej”.

„Dobrze, tato”.

„Jesteś śliczną dziewczynką, Emily. Zbrzydniesz, jeśli będziesz kulawa lub garbata”. „Wiem, tato”.

Zawsze mówił jej, że jest piękna, i za każdym razem sprawiało jej to ogromną radość. Jakże inaczej brzmiało teraz to słowo...

Zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez siodło. Wyciągnęła ręce, chwyciła gałąź nad sobą i wysunęła nogi ze strzemion. Zakołysała się kilka razy, żeby nabrać lepszego rozpędu, uniosła nogi i przerzuciła je nad gałęzią. Potem wyprostowała się zręcznym skrętem ciała i usiadła.

Wesoło kiwając nogami, z triumfalnym uśmiechem spojrzała na księcia.

Genji skłonił się głęboko.

— Wybacz mi, że przez chwilę miałem wątpliwości. Wspaniale się wspinasz. Kiedy wyzdrowieję, urządzimy zawody.

— O jaką stawkę?

— Stawkę?

— No... nagrodę dla zwycięzcy.

— Jeśli wygrasz, dam ci ten sad — odparł Genji.

— Och, nie... To za dużo. Z zabawy zrobi się hazard.

— Jak chcesz. W takim razie dam ci go bez względu na to, czy wygrasz, czy przegrasz. Ty ofiarujesz mi coś w zamian, żeby nie było mowy o hazardzie. Zgoda?

— Nie mogę przyjąć tak hojnego daru — powiedziała Emily. — A nawet gdyby, to przecież sama nie dałabym rady się nim zaopiekować.

310

— Z tym akurat najmniejszy kłopot. Dodam ci trzy wsie, w tej dolinie i zaraz za nią.

— Nie, dziękuję. Moim zadaniem jest nieść Słowo Boże, nie zaś gromadzić doczesne dobra.

Genji wskazał na wzniesienie, górujące nad wjazdem do doliny.

— Tam możesz postawić kościół. Nie po to właśnie przyjechałaś?

— Myślałam, że grunta naszej misji są w innej prowincji.

— Tutaj zbudujesz drugi. Przrzekam ci, że zawsze będzie pełen wiernych.

Emily roześmiała się mimo zakłopotania. Genji na pewno dotrzymałby obietnicy. Wydałby odpowiedni rozkaz i rozesłał gońców po okolicznych siołach. Chłopi padaliby na kolana i z twarzą przy ziemi słuchali słów pana. W niedzielę tłumnie przyszliby do kościoła.

Wysłuchaliby tłumaczonej mszy, nie rozumiejąc jej znaczenia. I wszyscy daliby się ochrzcić: mężczyźni, kobiety, dzieci...

— Nie można siłą naganiać ludzi do wiary, panie. Muszą spojrzeć w głąb swego serca i sami zrozumieć prawdę.

— Obiecuję, że przyjdę do twojego kościoła i spojrzę w głąb swego serca.

— Księżę... — Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Ocaliłaś mi życie. Chcę ci się odwdziżyć jakimś małym darem.

— Równie dobrze można powiedzieć, że ty ocaliłaś moje. Żadne z nas nie przeżyłoby bez drugiego.

— W takim razie, ty też musisz mi coś ofiarować. Ja ci daję Apple Valley. Co ty mi dasz?

Emily musiała przytrzymać się pnia, żeby nie spaść.

— Apple Valley?

— Tak nazwała ją moja matka. *Ringo-no Tani*, Dolina Jabłek. Po angielsku Apple Valley. — Wciąż się uśmiechał, ale jego oczy trochę pociemniały. — Pochodziła z północy. Lenno jej ojca słynęło ze znakomitych jabłek. W dniu ślubu była jeszcze dzieckiem. Bardzo tęskniła za matką, siostrami i koleżankami. Tęskniła do drzew, po których kiedyś się wspinała, i do owoców, które jadła, siedząc na gałęzi. Tęskniła za

311

wiankami, które plotła z kwiatów. Mój ojciec zasadził ten sad w nadziei, że choć trochę ukoi jej tęsknotę i da niewielki powód do radości.

— I tak się stało?

— Była szczęśliwa, kiedy sadzono drzewa. Sama zakopała w ziemi kilka pestek. Ale nigdy nie zobaczyła kwiatów ani jabłek. Tej samej zimy zmarła przy porodzie. Wraz z nią umarło dziecko,

moja młodsza siostra.

— Strasznie mi przykro.

— Mędrcy powiadają, że radość i smutek są w istocie tym samym.

Ilekoć tu przychodzę, podzielam ich zdanie.

Gałęzie zasłaniały jej widok na strome japońskie góry. Woń kwiatów tłumiła słony zapach morza. Siedząc na jabłoni i machając nogami, Emily nagle przeniosła się w miejscu i czasie. Spojrzała w dół i zobaczyła księcia na dorodnym rumaku. To nie ona, lecz raczej on tu nie pasował.

Niezwykły widok samuraja w. sadzie sprawił, że dostała napadu śmiechu.

I ten śmiech przywołał ją do rzeczywistości.

Z płaczem zesza z gałęzi.

— Mój dom był w Apple Valley — zaszlochała. — W zupełnie innej Apple Valley.

Po pewnym czasie Genji odpowiedział:

— Ten sad był twój, zanim go zobaczyłaś.

— Pani Emily jest bardzo zwinna, jak na tak dużą kobietę —

powiedział Taro, z uznaniem patrząc, jak zręcznie wśliznęła się na drzewo.

— Naprawdę nie jest taka duża — odparł Hide. — Zemdląła, gdy dwóch tamtych głupców się zabiło, i padła w ramiona księcia. Podtrzymał

ją bez wysiłku. Mapo prostu inną budowę i przez to wydaje się większa od naszych kobiet.

— Teraz, kiedy o tym mówisz, widzę, że tak jest w istocie. — Taro zmuszał się, żeby ją zobaczyć we właściwym świetle. Dzięki niej spełniło się proroctwo pana Kiyoriego, więc nie mogła być już dłużej wielka, niezgrabna i brzydka. Wierność nakazywała mu popatrzeć na nią z zupełnie innej strony. — Prawdę mówiąc, ma w sobie wiele kobiecości.

Oczywiście, jak na cudzoziemkę.

312

— To prawda — przyznał Hide. — Wstyd mi teraz za to, co myślałem wcześniej. Wydaje mi się, że w jej kraju, przy innych kanonach urody, mogła być uważana za prawdziwą piękność, choćby taką, jak pani Heiko.

Wbrew szczerym chęciom, w tej materii Taro nie zgadzał się z przyjacielem. Na upartego przyznawał

najwyżej, że Emily mogła podobać się niektórym cudzoziemcom. Lecz porównywać ją do Heiko?

Nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Jego bronią był miecz i łuk, a nie słowa.

— No... przyjąwszy za możliwe takie porównanie... — bąknął. —

Pani Heiko jest gejszą pierwszej rangi, pani Emily zaś... — Chciał jak najszybciej skończyć rozpoczęte zdanie. — A w ogóle, to są gejsze w jej kraju?

— O ile wiem, to chyba nie — odparł Hide. Też miał wyraźne kłopoty z odpowiedzią. Zmarszczył brwi, bo nie przywykł aż tak długo rozmyślać nad jakimś problemem.

— Właśnie — powiedział Taro. — Więc nie można przykładać tej samej miary. To byłoby niegrzeczne z naszej strony.

— Otóż to! — z ulgą przytaknął Hide. — Chyba trochę się zagalopowałem. Owszem, podziwiam panią Emily, lecz wcale się jej nie przysłużę, wyolbrzymiając jej przymioty.

— To prawda — odparł Taro. Znowu był pełen entuzjazmu. — I tak już widać je z daleka. Wcale nie trzeba ich podkreślać.

— A poza tym, co tu dużo mówić o czymś tak mało ważnym i ulotnym jak uroda? — Hide poczuł się na bezpieczniejszym gruncie. —

Prawdziwe piękno jest wewnątrz. W tym pani Emily nie ma sobie równej.

— Słuszna uwaga. Dobrze to ująłeś. — Taro był zadowolony z przebiegu rozmowy. — Prawdziwe piękno jest wewnątrz.

Z uśmiechem obserwowali z pewnej odległości dziewczynę i księcia.

Właśnie rozwiązali dość poważny problem. Ale na tym nie koniec, bo była jeszcze jedna ważna osoba, która zupełnie nie pasowała do tego, do czego przywykli.

— Nie opowiedziałeś księciu o wszystkich szczegółach naszej wspólnej podróży — zauważyła Heiko.

313

— Bo nie pytał — mruknął Stark.

Siedzieli na krzesłach, w komnacie wychodzącej na jeden z wewnętrznych ogrodów. Umeblowano ją, tak jak kilka innych, wyłącznie na potrzeby Emily i Starka. Stało w niej sześć krzeseł, cztery stoły, duża kanapa, biurko i dwie komody. Cudzoziemcy robili wszystko odwrotnie niż Japończycy. Podobało im się to, co w Japonii budziło powszechną niechęć — i vice versa. Zamkowa służba przyjęła tę opinię za dobrą monetę i — chcąc, aby goście czuli się jak w domu — zapewniali im to, czego nawet nie ośmieliliby się zaproponować księciu. Tam, gdzie on miał

niewiele mebli i dużo wolnej przestrzeni, cudzoziemcy mieli stosy rozmaitych sprzętów i mało przestrzeni. Jednym słowem: mieszkali w tak niezwyklej ciasnocie, w jakiej nikt poza nimi nie zechciałby mieszkać. To się słuźbie udało.

— Sama mu powiem — westchnęła Heiko. — Jeszcze dzisiaj.

— To wyłącznie twoja tajemnica — odparł Stark. — Ode mnie się niczego nie dowie.

— Bardzo dziękuję. Szczerze to doceniam. Kłopot w tym, że sekrety zawsze wychodzą na jaw. Ty mu nic nie powiesz, ale będą inni, którzy przyniosą wieści o bitwie przy barykadzie. Od razu domyśli się prawdy.

— To źle?

— Raczej tak.

— Do tej pory nie znał cię od tej strony?

— Nie.

— Więc dlaczego się zdradziłaś? Przecież mogliśmy najzwyczajniej w świecie przekraść się przez tę zaporę, a gdyby nie, to po prostu bym ich powystrzelał. Rewolwer zawsze będzie miał przewagę nad mieczem.

— Nie mogłam ryzykować tego, że przypadkiem zginiesz. Dziadek księcia, pan Kiyori, przepowiedział tuż przed swoją śmiercią, że Genji wyjdzie cało ze strasznej przygody tylko dzięki pomocy jakiegoś cudzoziemca, którego spotka w dzień Nowego Roku. Byłam pewna, że chodzi o ciebie.

— W takim razie nic by mi się nie stało. Musiałbym żyć, aby wypełnić przepowiednię. A gdybym zginął, byłoby to dowodem na to, że pan Kiyori mówił o kimś innym. Jednym słowem, wszystko w porządku.

314

— Żadna wróżba nie spełnia się sama — powiedziała Heiko — i doprawdy wielu trzeba starań, aby wynik był na miarę naszych oczekiwań. Gdybyś to ty okazał się tym cudzoziemcem, lecz zginął, na twoim miejscu zjawiłby się inny, ale nieprawdziwy. Wprawdzie Genji by przeżył, zgodnie z przepowiednią, lecz mógłby zostać kaleką albo stracić rozum. Mógłby też zapaść w śpiączkę.

— Tak to działa? — mruknął Stark. Nie wierzył w ani jedno słowo.

Słuchał jej tylko po to, by mogła się wygadać. — A kiedy pan Kiyori ogłosił się wróżbitą?

— Urodził się z tym darem. W ciągu całego życia miał dziesiątki wizji.

— I nigdy się nie pomylił?



— Nigdy.

— To dlaczego nikomu nie powiedział, że chodzi o Emily?

— Wizje zawsze są niepełne. Choć żyjemy z góry ustalonym życiem, część wydarzeń zależy wyłącznie od tego, co zrobimy. Pierwsze ma ścisły związek z naszą dawną karmą, drugie — z obecną.

— Karmą?

— Po twojemu to chyba „los”, ale żywy i ciągle zmienny.

— Nie da się zmienić czyjegoś losu — orzekł Stark. — Wciąż jest przy nas, tylko tyle że niewidzialny. Dostrzegamy go dopiero wtedy, gdy z butami wkracza w nasze życie.

Kiedy Stark bywał w El Paso, zdarzało mu się zaglądać do przybytku niejakiego Manuala Cruza, w którym — zgodnie z zapewnieniami samego właściciela — pracowało dwanaście najlepszych dziwek w Teksasie. Stark doliczył się najwyżej ośmiu, wcale nie lepszych od innych w mieście, nie mówiąc o całym stanie.

— *Licentia poetica* — tłumaczył Cruz. — Złap klienta. Wpraw go w dobry humor. Dobrze dla niego. Dobrze dla interesu.

— Co to jest *licentia poetical*

— Przyszedłeś tutaj uczyć się języków obcych, chłopcze, czy chcesz coś skrócić lub wydziargać sobie gdzieś tatuaż?

315

— Chciałem przelecieć jakąś dziwkę — odparł Stark. — To mi wystarczy.

— Szczery młodzieniec. Aż do bólu — mruknął Ethan. Był

przybranym synem Cruza, nosił rewolwer nisko na udzie i chodził, luźno zwieszając ręce. Tak jak Stark. Pewnego dnia zapewne dowie się, że ma do czynienia właśnie z Matthew Starkiem, powszechnie uważanym za jednego z najszybszych strzelców na Dzikim Zachodzie. Wtedy dojdzie do pojedynku. Chyba że... Chyba że Ethan zechce „wejść z nim w spółkę”. W gruncie rzeczy, wszystko jedno.

Cruz roześmiał się.

— Proszę bardzo. Rozejrzyj się i wybierz sobie naprawdę najlepszą.

Stark zaglądał do Cruza nie dlatego, że był tam rzeczywiście niezgorszy wybór. Chodziło o to, że dom stał stosunkowo blisko granicy miasta. Stark nienawidził ludzkich osiedli. Przyprawiały go o ból w piersiach i drapanie w gardle. Nie zajeżdżał do nich częściej, niż musiał.

Przybytek Cruza stał więc w dobrym miejscu, ale miał też zasadnicze wady. Stark ledwie wytrzymał odór pobliskiego chlewu. Pod tym względem jednak pozostawał w mniejszości, bo zarobki Cruza wyraźnie wzrastały, kiedy zmieniał się kierunek wiatru i smród walił do baru. W

inne godziny było tu pustawo. Starkowi akurat odpowiadał taki stan rzeczy, bo oprócz zapachu świń nie znosił pijanych rozpustników. Wjeżdżając do El Paso, zawsze więc ślinił palec, żeby sprawdzić, skąd wieje, i unikać obu tych przykrości naraz.

Nie był sentymentalny. Nie miał swojej ulubionej dziewczyny. Skończył

dwadzieścia lat, zabił trzech ludzi od czasu, gdy rozprawił się z Jimmym Szajbusem, i nie wiedział, czy dożyje dwudziestych pierwszych urodzin.

Co prawda już od roku nikt się z nim nie strzelał, ale to wcale nie znaczyło, że tak będzie zawsze. Wcisnął Cruzowi w łapę pół dolara i zabrał ze sobą na górę jedną z „dwunastu najlepszych”. Tę, która stała najbliżej.

Nie wiedział jeszcze, że to jego przedostatnia wizyta u Cruza.

Dziewczyna miała na imię Mary Anne.

Była taka jak wszystkie inne, no, może trochę starsza. Na pewno starsza od tych, z którymi bywał przedtem... i dużo 316

milsza. Kiedy spuścił się na jej udo, zanim w nią wszedł, przytuliła go i powiedziała, żeby tym się nie przejmował. Doradziła mu, żeby odpoczął

i spróbował ponownie, bez płacenia po raz drugi. Wyznał jej, że zawsze ma z tym kłopoty po powrocie z krowiego szlaku. Chyba trochę za rzadko spotyka się z kobietami. Powiedziała mu tylko „Ciii...” i zaczęła, aż znów będzie gotowy.

Gdy skończył, chyba zasnął, a kiedy się obudził, na stole paliła się okopcona lampa. Mary Anne spała obok. Wiatr dął wyraźnie w niewłaściwą stronę, więc interes kręcił się powoli. Nie musiała iść na dół i siedzieć w pustym barze, na twardym drewnianym stołku.

Stark poczuł, że chce mu się sikać. Odwrócił się, żeby wstać z łóżka, i zobaczył dwie małe dziewczynki. Stały tuż przy nim. Młodsza, najwyżej cztero- albo pięcioletnia, ssała paluszek. Druga, może starsza najwyżej o dwa lata, opiekuńczym ruchem obejmowała siostrę. Były do siebie bardzo podobne. Od razu poznał, czyje to dzieci, bo miały też rysy matki.

Zasłona w rogu, zaciągnięta, gdy wchodził do pokoju, teraz była odsunięta. Za nią stało małe łóżeczko.

— Cześć — mruknął Stark. Jak ma im wytłumaczyć, żeby się odwróciły, kiedy będzie zakładał spodnie?

— Nie wiedziałyśmy, że ktoś tu jest — odezwała się starsza. — Było bardzo cicho.

— Pójdę sobie, jak tylko się ubiorę — obiecał Stark. Młodsza podała mu spodnie leżące na krześle.

— Dziękuję.

— Proszę bardzo — odpowiedziała starsza.

Zerknął na Mary Anne przekonany, że obudziła się, słysząc ich rozmowę. Nic podobnego. Nawet nie drgnęła.

— Spałyśmy sobie — wyjaśniła starsza dziewczynka — ale Louise zachciało się pić, więc wstałam z nią, żeby dać jej trochę wody.

— To bardzo dobrze, że tak dzielnie opiekujesz się siostrzyczką —  
odparł.

— Nikt o nas nie wie, nawet jak nie śpimy — mówiła dalej mała. —

Siedzimy cicho jak myszki w kościele, żeby mama mogła pracować.

317

— Więc zawsze tu jesteście?

— Nie! Ale głuptas z pana... W dzień chodzimy do domu pani Crenshaw. Tylko w soboty i niedziele jest inaczej. Co niedziela uczymy się w kościele. — Obejrzała się na małą wnetkę za kotarą i znów spojrzała na Starka. — Myślał pan, że przez cały czas chowamy się w takiej dziurce? — zachichotała.

— To dlaczego teraz nie jesteście u pani Crenshaw?

— Bo jest noc i w dodatku sobota. — Tym razem obie się roześmiały.

— Nie zna się pan na kalendarzu?

— Becky, Louise, co wy tu robicie? — zaspana Mary Anne uniosła głowę znad poduszki.

— Louise chce się pić, mamó.

— Więc szybko daj jej trochę wody i wracajcie do łóżka.

— Dobrze, mamó. Do widzenia panu.

— Do widzenia. — Stark wstał, gdy tylko zniknęły za drzwiami, i szybko założył spodnie. — Chyba nie poszły na dół, do baru?

— A gdzie miały iść? Tam jest woda.

— Możesz trzymać dzbanek w pokoju. Przy ich łóżeczku.

— Nie chciały. — Mary Anne odwróciła się na plecy i skromnie podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Patrzyła, jak się ubierał. —

Powiedziały, że świński smród wciska się do dzbanka i psuje wodę.

Stark nie zamierzał tego komentować. Nie jego sprawa.

— To nie miejsce dla dzieci — wymknęło mu się mimo woli.

— Ani dla mnie — odpowiedziała Mary Anne. — Co na to poradzę?

Mogło być jeszcze gorzej. Cruz pozwolił im zostać ze mną i są tutaj bezpieczne. Choćby za to jestem mu wdzięczna. Nie znosi pedofili.

— Kto to jest pedofil?

— Taki, co molestuje dzieci.

Stark przypomniał sobie sierociniec i zdumienie w martwych oczach dozorkcy, tuż po tym, jak mu rozłupał czaszkę.

— Też ich nie znoszę.

— Wcale nie musisz już wychodzić. Napiją się i pójdą spać.

— Słysząc głosy. — Stark przechylił głowę i przez chwilę nasłuchiwał śmiechów dochodzących z baru. — Klienci.

318

— Najwyżej jeden albo dwóch. Dziewczyny się nimi zajmą. — Mary Anne wzięła głęboki oddech. — Gdy wieje wiatr ze wschodu, robię się leniwa. Powietrze wtedy jest takie świeże i nikt tu nie zagląda...

Stark wyjął z kieszeni drugie pół dolara i położył je na stoliku obok lampy.

— Mówiłam ci, że za drugi raz nie musisz mi nic płacić. Powiedzmy, że pierwszego w ogóle nie było — dodała z uśmiechem. Nie uśmiechała się jak dziwka strojąca złośliwe żarty ani jak naciągaczka. Był to naprawdę miły uśmiech.

— Jadę do Meksyku, do pracy w kopalni — powiedział Stark. Po prawdzie, wybierał się do Missouri, znowu rabować banki. Pomyślał

jednak, że lepiej jej o tym nie mówić. Przecież jej prawie nie znał. —

Wrócę wiosną.

— Na pewno mnie tu zastaniesz — zapewniła go Mary Anne.

Pierwszy raz w życiu okłamał dziwkę. Przedtem nie musiał tego robić.

Czemu więc teraz usiłował wywrzeć na niej dobre wrażenie? Bo była matką dwojga dzieci? Czysta głupota. Macierzyństwo nie ma w sobie nic świętego. Jego matka, której nie znał, porzuciła go zawiniętego w kocyk pod drzwiami kościoła w Columbus, w stanie Ohio. Nie zostawiła nawet kartki z imieniem. Na chrzcie dostał „Matthew”, bo ksiądz otworzył

Biblię na Ewangelii Św. Mateusza. A skąd się wzięło „Stark”? Nie wiedział. Nie lubił matek. Mary Anne ujęła go raczej swoją czułością i uśmiechem. Becky i Louise były bardzo ładne i nie powinny żyć w burdelu. Zaraz, zaraz... To też bez sensu. Skąd ta nagła miłość do dzieci?

Do tej pory tym się nie przejmował. Z własnych szczenięcych lat nie miał

żadnych wspomnień.

Pierwszy raz w życiu okłamał dziwkę i pierwszy raz obiecał jej, że wróci. Początkowo uważał to za kolejne kłamstwo. Konkretnie — drugie, po tym, jak powiedział, że będzie górnikiem.

Lecz okazało się, że mówił prawdę. Myślał o Mary Anne, Becky i Louise przez całą długą drogę do Missouri. Jak ten głupi myślał o nich w banku w Joplin i jakiś farmer z fuzją o mało nie odstrzelił mu głowy. Na szczęście spudłował i Stark

319

ranił go w nogę. Nie zrabował ani centa, ale przynajmniej uszedł z życiem. Ludzie z Joplin gonili go aż do Teksasu. Straszne uparciuchy mieszkają w Missouri. Niczego im nie zabrał, a oni i tak gnali za nim przez dwa stany. W czasie ucieczki postanowił w duchu, że wróci do El Paso, zajrzy do Mary Anne i spróbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego ciągle myśli o niej, o Becky i Louise.

— A nie mówiłem? — powiedział Cruz na jego widok. — *Licentia poética*. Dzięki niej człowiek staje się większym optymistą. Wróciłeś do mnie mimo tego, że wiatr wieje w złą stronę. Więc nie kłamałem, mówiąc, że tutaj znajdziesz tuzin najlepszych dziwek w Teksasie.

— Gdzie Mary Anne? — spytał Stark.

— Ha! Jeszcze lepiej. Masz faworytkę?

— Gdzie ona jest?

— Ktoś kiedyś mówił coś o wiośnie. — Mary Anne stała na szczycie schodów. — Zima w pełni, a ty już jesteś z powrotem. Zamknęli kopalnię? — Uśmiechała się tak jak dawniej i wiedział już,

dlaczego wrócił. Był zakochany.

— Jaką kopalnię? — spytał.

— Tę w Meksyku.

To są właśnie kłopoty z kłamstwem. Trzeba pamiętać, co się powiedziało. Chyba już lepiej mówić prawdę. Stark przyrzekł sobie, że będzie z nią szczerzy, kiedy tylko zostaną sami.

— Jesteś zajęta?

— Kładę dziewczynki spać. Zasną za kilka minut. Chodź na górę.

— Na całą noc to się nie uda — wtrącił Cruz. Ze świstem wciągnął

przez nos powietrze i zrobił głęboki wydech. — Nic tak jak woń chlewu nie zwabia klientów. Coś czuję, że wiatr się zmienia. Będą tu całe tłumy.

— Zapłacę z góry — oświadczył Stark. — Ile?

Cruz zmrużył oczy. Szare komórki pracowały w rozbitym siekierą czerepie.

— Tutaj nie chodzi tylko o nią. Tracę na drinkach, jeśli mi ją na dłużej zabierzesz z baru.

— Ile, do diabła?

— Dziesięć dolców.

320

Stark wyjął z juków dziesięć srebrnych dolarówek i rzucił je na karciany stolik przed Cruzem. Była to część łupu z jego wcześniejszych, bardziej udanych wypraw do Missouri.

— Jezu, chłopcze... — mruknął Cruz, sprawdzając każdą monetę, czy aby na pewno jest prawdziwa.

— Rabujesz banki?

— A widziałeś jakieś listy gończe? — Jeszcze nie.

Stark poszedł na górę, do Mary Anne. Dziewczynki już leżały w łóżeczku, ale jeszcze nie spały. Zza cienkich ścian niemal zewsząd dobiegały pomruki i jęki. Nie zwracały na to uwagi.

— Cześć, panie kowboju — powiedziała Becky. Louise jak zwykle milczała.

— Cześć, Becky. Cześć, Louise.

— O, pamięta pan nasze imiona!

— No pewnie, że pamiętam.

— A pan jak ma na imię?

— Steve.

— Cześć, Steve.

— Becky! — ofuknęła ją Mary Anne. — Przecież wiesz, że to niegrzecznie zwracać się do starszych po imieniu. Powinnaś mówić: panie... Jak się nazywasz?

— Matthews.

— Panie Matthews.

— Cześć, panie Matthews.

— Cześć.

— Dobranoc, panie Matthews.

— Dobranoc.

Mary Anne wyciągnęła rękę, żeby zaciągnąć kotarę.

— Nie musisz tego robić — powstrzymał ją Stark. Popatrzyła na niego podejrzliwie. — Chciałem z tobą tylko porozmawiać.

— Zapłaciłeś dziesięć dolarów za rozmowę?

— Właśnie. Mogę?

— Pod warunkiem, że nie będziesz próbował się wygłupiać.

— Co to znaczy?

— Że nie będziesz mówił przy dzieciach świńskich rzeczy. Że nie każesz im patrzeć na to, co robimy.

321

— Za kogo ty mnie, do diabła, uważasz?

— Nie wiem. Jesteś w burdelu. Masz do czynienia z dziwką.

Zapłaciłeś dziesięć dolarów i chcesz za to tylko pogadać. Niby dlaczego?

— Kocham cię — powiedział Stark, nim zdążył ugryźć się w język.

Chciał dojść do tego nieco bardziej okrężną drogą. Ale może nie musiał?

— Ach tak?

Myślał, że Mary Anne się ucieszy albo będzie zdziwiona. Wyglądała jednak na rozczarowaną i cholernie zmęczoną. Stark zmarkotniał.

— Pewnie już nieraz to słyszałaś od swoich wielbicieli.

— O wiele częściej, niż byś się spodziewał — odpowiedziała. — Lecz żaden z nich nie zasługiwał na miano wielbiciela. Po prostu mieli gorszy dzień albo przez chwilę żyli marzeniami. To nie o mnie myśleli ani o dziewczynkach. Chcieli zobaczyć siebie samych w nieco innym świetle.

To nigdy nie trwało długo. Potem byli śmiertelnie przerażeni. Oskarżali mnie, że nie spełniam wszystkich ich oczekiwań. To już mi przeszło.

Tobie też przejdzie.

Podeszła do łóżka i uniosła róg materaca. Wyjęła stamtąd mały plik banknotów, odliczyła połowę, a resztę schowała. Potem wcisnęła dziesięć dolarów w dłoń Starka. Zaciągnęła kotarę nad łóżeczkiem dziewczynek i wzięła go za rękę.

— Za parę minut zasną. Popieścimy się trochę i będziesz mógł

spokojnie wrócić do Meksyku. — Łzy napłynęły jej do oczu, lecz nie przestała się uśmiechać. — To było bardzo miłe z twojej strony, Steve.

Naprawdę. Lecz uwierz mi, nie znasz swoich uczuć. Na to jesteś jeszcze za młody. Dopiero z czasem...

— Nie mów mi o uczuciach — przerwał jej Stark. — Lepiej będzie, jak ja ci coś opowiem.

I opowiedział.

Mówił o sierocińcu, o młotku i Eliasie Eganie, o kartach, o Szajbusie i o niewypale — i trzech rewolwerowcach, których musiał zabić. Mówił o bankach w Missouri, o faktoriach w Kansas, jeszcze przed Missouri, i o krowach w Meksyku, przed wyjazdem do Kansas. Mówił o oszczędnościach, które wciąż gromadził, sam nie wiedząc dlaczego.

322

— Niemal mnie zastrzelili w Joplin, bo stałem z koltem w rękę i myślałem, co zrobię z forszą. A jak już wymyśliłem, to tak mnie to wzięło, że zobaczyłem tamtego farmera dopiero wtedy, kiedy usłyszałem szczęk odwodzonego kurka.

— Myślałeś o tych wszystkich pięknych rzeczach, które mógłbyś kupić swojej dziewczynie, gdybyś miał dziewczynę, — Mary Anne przypatrywała mu się z lekko zmęczonym wyrazem twarzy, jak ktoś, kto już setny raz słyszy tę samą historię.



— Nie. Myślałem o tym, żeby kupić niewielką farmę gdzieś w Teksasie. Hodować krowy. Patrzyć na cielęta... I myślałem o chacie, w której w środku zimy nie będzie za zimno, a latem za gorąco. Przekonasz się, że to bardzo ważne, kiedy sama dłużej pobędziesz na otwartych przestrzeniach.

— Na pewno — westchnęła Mary Anne.

— Pomyślałem o miejscu, przez które przejeżdżałem jakieś dwa lata temu, na północ od Asłwille. Tam mógłbym osiąść na stałe. Widziałem ciebie w środku, smażącą soczysty befsztyk z naszej wołowiny. Na podwórku Becky bawiła się z Louise w cieniu żywopłotu. Do picia miały wodę z naszej własnej studni. — Wyciągnął rękę i ujął dłoń dziewczyny.

Usiłowała ją uwolnić ze smutnym uśmiechem. — Nie czułabyś już więcej smrodu z chlewa. Przynurkam.

Znieruchomiała. Przez dłuższą chwilę patrzyła mu prosto w oczy, a potem miękkim ruchem wtuliła się w jego ramiona.

— Cruz mnie nie puści — powiedziała nazajutrz rano. — A gdyby nawet, to pozostaje jeszcze Ethan. Prawdziwy wariat i wciąż pali się do strzelaniny. Gdy tylko wróci, natychmiast za nami pojedzie.

— Cruz cię puści — oznajmił Stark. — A Ethan nas nie znajdzie.

— Jest z nim pewien wielkolud, gdzieś z wysp Pacyfiku. Umie czytać ślady tak dobrze jak Indianin.

— Jeśli nas znajdą, to pożałują — odparł.

— Naprawdę? Niby dlaczego? Masz kolegów w Teksasie?

— Mówi ci coś nazwisko „Matthew Stark”?

— Pewnie, że mówi. — Popatrzyła na niego z zamyśleniem. — Teraz już sobie przypominam. Ludzie gadają, że to

323

właśnie on załatwił Szajbusa. Nic dziwnego, że ta historia wydawała mi się znajoma.

— To ja jestem Stark.

Mary Anne знаła Starka wyłącznie z legendy. Był najlepszym strzelcem w zachodnim Teksasie, groźnym olbrzymem, brutalnym, o zeszpeconej bliznami twarzy. Podobno zatłukł na śmierć parę dziwek, kiedy się z nimi pieprzył. Roześmiała się, bo ten słodki, przystojny chłopiec musi być kłamcą lub wariatem. A potem wybuchnęła płaczem, bo wiedziała już, że ani ona, ani jej córeczki nigdzie z nim nie pojedą.

Stark przekonywał ją niemal przez godzinę, że jego prawdziwe życie całkowicie różni się od opowieści. Przyznał, kim jest, w nadziei, że to wzbudzi w niej większe zaufanie i osłabi strach przed

rezultacie omal jej nie stracił.

Cierpliwie czekał, aż spakuje swój skromny dobytek do zniszczonego kufra, obwiązanego kawałkiem grubego sznurka. Potem dokładnie sprawdził oba rewolwery i zszedł na dół.

— Kurna, coś jesteś cholernie zmęczony — stwierdził Cruz. —

Trudno uwierzyć, że od wczoraj nie wychodziłeś z wyra.

— Pogadajmy o interesach. — Stark zajął miejsce przy karcianym stoliku, naprzeciwko Cruza. Alfons siedział dokładnie tam, gdzie wczoraj, tyle tylko, że teraz zajadał rąbankę, zamiast ogrywać w pokera jakichś trzech frajerów.

— Wiatr ciągle wieje w tę samą stronę. Cena też nie uległa zmianie.

Dycha za noc.

— Nie będzie już żadnych nocy. Wyjeżdżamy.

— Razem? — zapytał Cruz. — Ależ oczywiście... Pod warunkiem, że masz pięć stówek. Dokładnie tyle jest mi winna. Zapłać i rób, co zechcesz. I tak tu wróci, zanim otrzeźwiejesz i wyjmiesz głowę z tyłka.

Stark miał więcej niż pięćset dolców, lecz potrzebował całej sumy, żeby kupić farmę.

— Dam ci stówę.

Oczy Cruza poruszyły się nieznacznie. Stark zerknął w tę samą stronę i zauważył, że barman wysunął się zza baru, trzymając w rękach dubeltówkę. Rzucił się w lewo, za plecy Cruza, w chwili gdy stół

ekspłodował z hukiem. Pierwsza kula

324

trafiła barmana w prawe ramię, druga przeszła mu prawe udo.

Barman upuścił strzelbę i upadł na ziemię. Zdrową ręką ścisnął na przemian obie rany. Kiedy Cruz znów spojrział na Starka, ujrzał przed sobą wylot lufy derringera. Stark strzelił mu prosto w twarz. Duży pocisk kalibru czterdzieści cztery do końca rozbił nadłupaną kiedyś czaszkę Cruza.

Niektórzy ludzie nie wiedzą, kiedy przestać. Stark wiedział. Nigdy więcej nie obrabował banku i nie bywał w burdelach. Był przekonany, że już nigdy nikogo nie zabije. Gdyby to zależało tylko od niego, to pewnie tak by się stało.

Heiko mówiła cicho, pochylona w głębokim ukłonie, przyciskając płasko dłonie do podłogi. Nie

miała odwagi spojrzeć w twarz księcia. Co sobie teraz o niej myśli? O podstępnej i fałszywej żmii, zapewniającej go o swej miłości, a w głębi serca planującej zdradę? Kiedy skończyła swoją spowiedź, zapadła długa i nieznośna cisza. Heiko z trudem powstrzymywała się od płaczu. Była zbyt dumna, by w ten sposób domagać się współczucia. Nie uroniła ani jednej łzy. Genji mógł kazać ją po prostu zabić lub też odesłać na wygnanie. W obu przypadkach był to dla niej ostatni dzień na ziemi. Nie wyobrażała sobie życia bez kochanka, w samotności. Dobrze wiedziała, dokąd pójdzie, gdyby wypędzono ją z zamku.

Na przylądek Muroto.

Sześćset lat temu pierwszy z wielkich władców Akaoki i praprzodek obecnego księcia, Hironobu, stoczył tam zwycięski bój w obronie swojego lenna. Dzisiaj, na poszarpanej skale, górującej nad falami morza, stała mała buddyjska świątynia zen. Na szczycie skały prowadziło dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć kamiennych stopni. Na każdym z nich pomodłą się za ukochanego, pomyślała Heiko. Będę błagała boginię słońca, Amaterasu-o-mikami, by oświetlała go swym boskim blaskiem przez resztę długiego życia. Będę błagała łaskawą Kannon, by wejrzała w moje czyste serce i połączyła nas w Sukhawati, Czystej Ziemi, wolnej od cierpienia.

Na szczycie podziękuję bogom i wszystkim buddom za dziewiętnaście lat, które spędziłam wśród ludzi, rodzicom za to, że 325

za ich sprawą mogłam pojawić się na świecie, Kumie — za wychowanie i opiekę, i wreszcie księciu... za jego miłość, na którą nie zasłużyłam. A potem dam krok w Wielką Pustkę — bez łez, bez strachu i bez żalu.

— Co wymyśliłaś? — zapytał Genji.

— Panie? — Heiko nadal nie unosiła głowy.

— Chodzi mi o to, jak miałem zginąć? Co zamierzałaś ze mną zrobić?

— Nie potrafiłabym cię skrzywdzić, książę. Zaklinam cię, musisz mi uwierzyć!

— Hide! — krzyknął Genji. Drzwi otworzyły się natychmiast.

— Tak, panie?

Z twarzy samuraja nie można było wyczytać, czy słyszał ich rozmowę. Jego dłoń spoczywała jednak na rękojeści miecza.

— Niech Hanako przyniesie sake.

— Tak, panie.

Heiko dobrze wiedziała, że Hide nie zejdzie z posterunku, lecz wyda rozkaz, aby Taro pospieszył do służącej. Sam zamierzał pozostać tu, na korytarzu, w każdej chwili gotów wtargnąć do komnaty. Nie zostawiłby bezbronnego księcia na łasce zdradzieckiej ninja.

Genji chyba miał zamiar, zgodnie ze zwyczajem, przed wyrokiem poczęstować ją czarką trunku. Był to rytuał oczyszczenia. Heiko musiała mocno zaciskać powieki, żeby nie płakać. Dobroć księcia wzruszała ją do głębi.

— Pewnie zabiłabyś mnie we śnie. To najłagodniejszy sposób. Heiko nie odpowiedziała. Bała się, że gdy przemówi, nie powstrzyma dłużej swoich uczuć. Trwała zatem, drżąca i skulona, z nisko pochyloną głową.

— Panie — zza drzwi rozległ się głos Hanako.

— Wejdz.

Dziewczyna miała podpuchnięte i zaczerwienione oczy. Ukłoniła się i z tacą w dłoniach weszła do komnaty. Na tacy stała buteleczka sake i jedna czarka. Genji, rzecz jasna, nie zamierzał pić ze skazaną. To był

wyłącznie jej przywilej, przed oczekiwaną karą.

Hanako złożyła księciu niski ukłon, odwróciła się i w ten

sam sposób pokłoniła się przed gejszą. Z jej gardła wyrwał się cichy szloch. Zapłakała.

— Pani Heiko... — powiedziała i znów pociągnęła nosem.

— Jestem ci wdzięczna za twą przyjaźń—odparła Heiko. — Dobrze, że choć na tak małą chwilę dwie sieroty stały się siostrami.

Hanako nie wytrzymała. Zerwała się na równe nogi i z głośnym płaczem wybiegła na korytarz.

— Ciekawi mnie, czy cudzoziemcy płaczą mniej od Japończyków? —

głośno zastanawiał się Genji.—Chyba tak, bo w przeciwnym razie nie stworzyliby nauki, lecz teatr. Ot, na przykład jakąś własną odmianę kabuki. — Spojrzał na tacę. — Patrz, przyniosła tylko jedną czarkę. Co za roztrzepaniec! Ale to nic nie szkodzi.

Wziął czarkę i wyciągnął ją w stronę gejszy, czekając, aż naleje mu sake. Heiko spoglądała na niego osłupiała.

— Wolę ciepłą — łagodnie ponaglił ją Genji.

Nie wiedziała, co robić. Nie miała innego wyjścia, jak tylko spełnić jego prośbę. Genji wychylił trunek jednym haustem i podał jej czarkę.

— Panie... — wykrztusiła Heiko, szybko cofając rękę.

— Słucham?

— Przecież nie mogę pić z twojej czaraki.

— Dlaczego?

— Skazańcowi nie wolno nawet tknąć naczyń, których dotknęły twoje usta.

— Skazańcowi? Co ty wygadujesz? — Wcisnął jej czarękę w dłoń.

— Panie... — jęknęła Heiko. — Przez to tylko pogłębię moją winę.

— Jaką winę? Spójrz na mnie. Masz mnie za trupa albo kalekę?

Zdradziłaś wrogom moje tajemnice?

— Nie powiedziałam ci, kim jestem, panie. Genji westchnął.

— Naprawdę bierzesz mnie za głupca?

— Panie?

— Pomyśl rozsądnie. Najpiękniejsza gejsza w całym Edo wybiera sobie na kochanka jakiegoś ubogiego księcia. Dlaczego? Bo jest urodziwy, dowcipny i czarujący. Oczywiście. Nic innego nie wchodzi w rachubę. Że też wcześniej na to nie wpadłem!

327

Przechylił buteleczkę. Heiko musiała szybko podstawić czarękę, żeby sake nie wylała się na podłogę.

— Wiedziałem, że pracujesz dla Lepkiego Oka — powiedział Genji.

— Nie było innej możliwości. Ten człowiek ponad wszelką miarę pała nienawiścią do całego mojego rodu. Wiedziałem o tym i podejrzewałem, że ty też wiesz, że ja wiem o tym, co ty wiesz. Nie jesteśmy dziećmi ani cudzoziemcami. Takie podstępny są u nas niemal normą. Są jak „dzień dobry”. Bez nich nie sposób zacząć znajomości.

Dał jej znak, żeby wypić. Była zbyt zdumiona, żeby go nie posłuchać.

Wyjął czarękę z jej rąk i wskazał na butelkę.

— Nie możesz puścić płazem takiej zdrady — powiedziała Heiko. —

Musisz wydać wyrok, bo w przeciwnym razie stracisz mir i szacunek wśród swoich wasali.

— Zasłużyłem na karę?

— Ty, panie? Oczywiście, że nie. Nie zrobiłeś niczego złego.

— To dlaczego sam mam się karać?

— Nie! To ja muszę zostać ukarana!

— Naprawdę? Ha, trudno. A co proponujesz?

— To nie ode mnie zależy.

— Wymyśl karę. To rozkaz. Heiko skłoniła się.

— Śmierć lub wygnanie. Nie ma innego wyboru, książę.

— Z jednej strony, jesteś gejszą i moją kochanką. Z drugiej — ninja i tajną agentką shoguna. Jak chcesz uniknąć kompromisu? Żyjemy w świecie, w którym przeplatają się miliardy różnych zależności. To nie uczciwość nas określa, lecz zdolność do wyboru. Żadne z nas nie ponosi winy. Trzeba nam wybaczyć.

— Zbyt pochopnie puszczasz to w niepamięć, panie. Genji ujął ją za obie ręce. Próbowwała się wyrwać, ale jej na

to nie pozwolił.

— Spójrz na mnie, Heiko. — Nie potrafiła. — Kara, którą proponujesz, będzie również karą dla mnie. Zgadza się?

Nie odpowiedziała. Puścił ją.

— A zatem twoja miłość jest tak płocha, że wolisz rzucić się w objęcia śmierci — westchnął.

— Nasz klan ninja praktycznie przestał istnieć. Byliśmy 328

tylko ja i Kuma — szepnęła Heiko. — Chcesz, żebym wybrała życie wbrew przysiędze, którą kiedyś złożyłam? Byłoby to straszliwą hańbą dla mnie i dla niego.

— Jeśli umrzesz, ja stanę się drewnianą kukłą, obdarzoną pozorami życia. Oczekujesz, że naprawdę wydam taki wyrok?

— Nic na to nie poradzimy. To karma.

— Tak uważasz? A kto w zamku, poza Starkiem, wie o całej sprawie?

— Wszyscy. Niepomyślne wieści rozchodzą się bardzo szybko.

— Oficjalnie.

— Tylko ty, mój panie.

— W takim razie znajdziemy jakieś rozwiązanie — powiedział Genji.

Przez chwilę siedział zamyślony. — Przez cały czas tylko udawałaś, że pracujesz dla Lepkiego Oka.

Informowałaś mnie o wszystkim. Dziś na przykład mówiliśmy o tym, jak go zmylić, żeby naprawdę poczuł się bezpieczny. Liczymy na to, że popełni błąd i sam znajdzie się w pułapce.

— To śmieszne. Nikt w to nie uwierzy.

— Wcale nie muszą wierzyć. Nam wystarczy, żeby udawali. Hide, Taro!

Drzwi po obu stronach komnaty otworzyły się równocześnie.

— Panie?

— Nadeszła pora, żebym wam wyjawiał moje najtajniejsze plany —

oznajmił Genji. — Wejdźcie i zamknijcie drzwi. — Tak, panie.

Kiedy skończył mówić, skłonili się przed Heiko.

— Wiemy już, że narażałaś życie w niebezpiecznej dla nas sytuacji —

powiedział Taro. — Wygraliśmy dzięki twojej odwadze.

— Modłę się do wszystkich bogów, aby chociaż w części obdarzyli mnie takimi przymiotami ducha —  
— dodał Hide.

Oczy mieli pełne łez, ale mówili głosem pewnym i zdecydowanym.

Udawali, że nie płaczą.

— Kimże byłby samuraj bez kabuki? — mruknął Genji. — Albo gejsza? Kochamy melodramat.

Heiko popatrzyła na niego i zobaczyła, że również ma łzy w oczach.

Nie wytrzymała.

— Genji... — wyszeptała i nie powiedziała nic więcej, oślepiona własnymi łzami.

# Sekigahara

*Przed atakiem czekaj na odpowiedni moment. Kiedy czekasz, trwaj  
niczym głaz zawieszony nad przepaścią.*

*A gdy nadejdzie właściwy moment, ruń do ataku jak głaz spadający  
w pustkę.*

Suzume-no kumo (1344)

Sohaku wcale nie dziwił się temu, że Kudo nie wraca z wyprawy. Miał nadzieję, że zabije Shigeru. Miał nadzieję, lecz nie spodziewał się tego.

Bardziej zdumiała go obecność ninja w oddziałach księcia. Przecież z Kudo i Saikim był jednym z trzech głównodowodzących wojskami Akaoki. Żaden ninja nigdy nie stanął pod sztandarem z wizerunkiem wróbla i strzały. Przynajmniej nie za jego wiedzą. Więc zwerbowano ich w sekrecie? To było raczej wykluczone. Kudo na pewno by mu to powiedział, Saiki zaś zdradził gestem lub słowem. Nikt, nawet sprytny pan Kiyori, nie zdołałby oszukać swoich generałów. A może jednak?

Gdyby nawet, ninja odeszliby po jego śmierci. Zwykli przysięgać ludziom, nie klanom.

Genji na pewno ich nie wezwał. Nawet nie wiedziałby, gdzie ich szukać. On obracał się w świecie gejsz i sake, a nie wśród szpiegów i zabójców. A zresztą, kto by mu zaufał? Chyba że przywódcy ninja również wierzyli, że jest jasno

330

widzem... Ale nie, to niemożliwe. Ninja przywiązani byli do realiów codziennego życia. Niełatwo dawali się zwieść.

Pozostaje zatem tylko jeden człowiek. Kawakami. Nie od dziś wiadomo, że od dawna korzystał z usług ninja. Może tym razem zaplanował usunąć mnie i Kudo i tym samym osłabić siłę Akaoki?, myślał Sohaku. Może nie wierzył, że zdradziliśmy księcia? Przecież Kudo mógł zginąć w górach, wciągnięty w zasadzkę. Ale to też mało prawdopodobne. Takie posunięcie byłoby niemądre. Gdyby Kawakami naprawdę knuł zdradę, zaczekałby, aż Kudo zabije Shigeru i pomoże mi dopaść księcia. Potem zgładziłby nas trzech za jednym zamachem.

Dalsze rozmyślenia nie miały sensu. Sohaku musi osiągnąć spokój ducha, jeżeli chce, by jego czyny przyniosły rezultaty. Czas zmusza go do szybkich działań. Ma przy sobie nie więcej niż osiemdziesięciu ludzi.

Jego lennicy w Akaocce nie żyli lub posłusznie przeszli na stronę księcia.



Nie zna zamiarów Kawakamiego, więc nie może wrócić do Edo. Być może tam, zamiast ochrony, czeka go tylko areszt i więzienie.

Dobrze chociaż, że ukrył rodzinę w dużo bezpieczniejszym miejscu.

W dniu, w którym stał się mnichem, kazał im wyjechać do majątku teścia, na najbardziej wysuniętą na południe z czterech głównych wysp Japonii, Kyushu. Tam nie dosięgnie ich nawet mściwy Shigeru.

Sohaku wyzbył się wszelkiego strachu i nadziei. Teraz dążył już tylko do spokoju. Wiedział, że w tym stanie ducha łatwo znajdzie dobre rozwiązanie.

I znał odpowiednie miejsce do medytacji.

Klasztor Mushindo.

Kawakami patrzył ponuro przez lunetę na flotyllę brytyjskich i francuskich okrętów wojennych, zakotwiczonych w zatoce Edo. Był to ze strony cudzoziemców popis prawdziwej buty. Całkiem niedawno ostrzelali miasto. Teraz siedzieli tam, jakby w ogóle nic się nie stało. Nie, jeszcze gorzej. To właśnie oni uważali się za skrzywdzonych.

Podobno na południu przywitano ogniem statki kupieckie mijające cieśninę Kuroshima. W odpowiedzi Anglicy i Francuzi 331

zrównali z ziemią nadbrzeżne forty i popłynęli do zatoki Edo, by dodatkowo zniszczyć pałace winowajców. Nie potrafili jednak dobrze celować i obrócili w pył niemal całą dzielnicę Tsukiji. Zamiast pokajać się za to zachowanie, zażądali pokrycia strat poniesionych rzekomo przez kupców, oficjalnych przeprosin ze strony „agresorów” i obietnicy shoguna, że już nigdy więcej nie dojdzie do podobnych incydentów.

Więści z frontu były jeszcze gorsze. Samuraje z fortów wokół

Kuroshimy stchórzyli przed angielską piechotą morską. Na widok karnych oddziałów uciekali w popłochu, ścigani zmasowanym ogniem dział i karabinów. Sześćset lat temu ich przodkowie zwyciężyli mongolskie hordy Kubłaj Chana. Wnukowie nawet nie podjęli walki. W

długich dziejach narodu wojowników nastał dzień hańby.

Shogun nie umiał podjąć żadnej rozsądnej decyzji. Kilku co bardziej porywczych członków Rady nawoływało wręcz, by wypowiedzieć wojnę wszystkim cudzoziemcom. Inni, porządnie wystraszeni, lecz nie mniej głupi od poprzednich, skłaniali się, by bez dyskusji przyjąć żądania obcych. Potrzebne było jakieś rozwiązanie, zdolne utrzymać rząd w całości. W tym celu shogun zrobił rzecz bez precedensu: zamiast namyślić się i wydać suchą proklamację, zaprosił wszystkich możnowład-ców, nawet tych z nieprzyjaznych frakcji, na wielki zjazd do Edo. Wspólnie mieli zastanowić się nad odpowiedzią. W praktyce oznaczało to, że część swojej władzy oddaje w ręce dawnych wrogów, wyklętych klanów spod Sekigahary, wciąż czyhających na to, aby odegrać się na Tokugawach. Nadchodziły historyczne zmiany.

Na myśl o tym Kawakami poczuł, że go coś gniecie w dołku. To oznacza koniec wszelkich starannie obmyślanych planów zemsty na klanie Okumichi. Co gorsza, w tych niepewnych czasach mocno wątpliwa sława wizjonerów mogła przysporzyć im zwolenników nie tylko wśród zabobonnego ludu. Już widział to oczami wyobraźni.

Genji przybędzie na spotkanie i mimochodem rzuci kilka uwag, które shogun przyjmie na poważnie. Zostaną podjęte odpowiednie kroki. Przez przypadek, który tak często rządził życiem władców Akaoki, Rada okaże się o wiele lepsza, niż

332

przewidywano. Shogun, świadomy swej słabości i czepiający się najmniejszej szansy, aby utrzymać się przy władzy, zaprosi księcia do wąskiego grona tajnych doradców. I co potem? Kawakami musiał być wróżbitą, żeby przewidzieć, co się stanie. Mściwy Genji na pewno znajdzie jakiś pretekst, by usunąć mnie ze swojej drogi, myślał. Shogun wyda rozkaz, żebym popełnił samobójstwo. Przez całe życie mu służyłem... lecz przychodzą chwile, w których nie ma miejsca na czcze sentymenty. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. Tajniaków zawsze można znaleźć. Z wróżbitami jest już trochę gorzej.

Co za paskudny zwrot wydarzeń...

Ale zaraz, zaraz... Przecież do tej pory nic takiego się nie wydarzyło. I nie wydarzy, jeśli Genji nie dotrze na naradę w Edo. Kawakami ma więc ostatnią szansę, lecz musi działać po kryjomu, bo po zawieszeniu prawa *sankin-kotai* Genji nie jest już banitą. Z drugiej strony, w kraju na krawędzi wojny mogą zdarzyć się nieprzewidziane rzeczy...

Sohaku przysłał krótki list, w którym doniósł, że wraca na pewien czas do Mushindo. Kawakami z początku się oburzył, ale teraz widział w tym zrządzanie losu. W drodze do Edo Genji musi minąć klasztor i wieś Yamanaka. Będę tam czekał w odpowiedniej chwili, postanowił w duchu Lepkie Oko. Razem z moimi lennikami. Miał ich sześciuset, co prawda uzbrojonych w napoleońskie muszkiety, lecz potrafiących dobrze strzelać. Cóż, jeśli dobrze się zastanowić, to pewne sprawy chyba jeszcze nie zaszły w złym kierunku.

Martwiło go tylko trochę tajemnicze zniknięcie pomocnika. Mukai przepadł bez śladu. Kawakami pchnął już trzech posłańców do maleńkiego lenna na północy. Żaden nie wrócił. To bardzo, bardzo dziwne. Może Mukai popadł w kłopoty i nie miał czasu odpowiedzieć?

Lepkie Oko dobrze pamiętał jego żonę, którą spotykał niekiedy podczas różnych świąt i uroczystości. Przypominała męża; była tępa i zupełnie nieciekawa. To samo można powiedzieć o jego dwóch konkubinach.

Trzymał je chyba tylko dlatego, że tak wypada komuś na tym stanowisku.

O uczuciach nie było nawet mowy.

Prędzej czy później musi wrócić z nudnym i aż do bólu 333

słusznym wyjaśnieniem przyczyn swojej nieobecności. A może dureń uznał zgodę władz na opuszczenie Edo za rozkaz do wyjazdu? To byłoby nawet w jego stylu. Tym bardziej że nie szukał rady pryncypała.

Kawakami przestał o nim myśleć. Miał na głowie dużo ważniejsze sprawy. Jego szpiedzy ciągle krążyli wokół Akaoki. Dowiedział się, że Heiko nadal dzieli łożę z księciem. Pozostawało więc tylko czekać na odpowiednią chwilę.

— Po pierwsze, stanowczo sprzeciwiam się tej podróży -

perorował Saiki. — Po drugie, jeśli już do niej dojdzie, powinniśmy ruszyć całą siłą. Co najmniej w tysiąc ludzi... a lepiej w dwa tysiące. Po trzecie, panie, spróbuj się dowiedzieć, kto jeszcze z książąt, zwłaszcza neutralnych, wybiera się do Edo mniej więcej w tym samym czasie.

Pojedźcie razem. To na pewno zmniejszy ryzyko zasadzki.

— Bardzo dziękuję ci za troskę — odparł Genji. — Innym razem posłuchałbym twojej rady. Jadę jednak na wyraźne wezwanie shoguna.

To gwarantuje mi bezpieczeństwo.

— Dziesięć lat temu pewnie miałbyś rację — wtrącił Shige-ru. —

Teraz jednak cień shoguna nie sięga tak daleko. Obce statki bezkarnie zburzyły stolicę. Obie zwaśnione frakcje coraz częściej podważają autorytet władzy. W wielu prowincjach słabną wpływy książąt i kasztelanów. Saiki ma rację. Nie powinniśmy jechać.

Genji spojrzał na dowódcę gwardii.

— A ty co myślisz?

— Nie mnie podejmować decyzję o wyjeździe, panie \_

odparł Hide. — Lecz w pozostałych sprawach zgadzam się z panem Saiki. Powinniśmy zebrać znaczne siły. Tysiąc dobrze wyszkolonych ludzi zupełnie wystarczy.

Genji pokręcił głową.

— Jeśli wejdę do Edo z tysięcznym oddziałem, shogun potraktuje to jak zwykły najazd. W gruncie rzeczy będzie miał rację.

— Powiadomimy go zawczasu — zaproponował Saiki. — Wojska staną poza granicami miasta, lecz na tyle blisko równiny 334

Kanto, aby w razie czego mogły przyłączyć się do walki, gdyby wypowiedziano wojnę

cudzoziemcom. Dobrym miejscem byłby na przykład klasztor Mushindo.

— I tak się tam zatrzymamy — powiedział Genji. — Emily bardzo chce sprawdzić, jak postępują prace przy budowie misji. Nie wiesz może, czy robota już się rozpoczęła?

— Nie, panie — odparł Saiki, z trudem panując nad irytacją. Był

szczerze wdzięczny pani Emily za ocalenie życia księciu, ale uważał, że jej sprawy, zwłaszcza związane z chrześcijaństwem, nie są tak ważne, by mówić o nich podczas narady klanu. — Masz zamiar zabrać ją do Edo?

— Owszem.

— W takim razie, po czwarte: stanowczo odradzam — oznajmił Saiki.

— Trwa odbudowa Cichego Żurawia — przypomniał Genji. — Emily musi rzucić na to okiem.

Saiki zacisnął zęby.

— Czyżby posiadała wiedzę o architekturze?

— Nie. Ale podpowie naszym architektom, jak narysować projekt kaplicy.

— Kaplicy?

— Na mój rozkaz stanie tam mały chrześcijański kościół.

— Co takiego?! — wyjąkał Saiki.

Shigeru wybuchnął śmiechem. Zdarzało mu się to tak rzadko, że wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— Coś taki zdziwiony, Saiki? Tysiąc lat temu buddyzm też był dla nas zupełnie obcą wiarą, przyniesioną przez chińskich i koreańskich mnichów. Teraz na stałe zrosł się z Japonią. Za tysiąc lat to samo ktoś powie o chrześcijaństwie.

— Nie wiedziałem, że jesteś takim optymistą, panie — sztywno powiedział Saiki.

— Zaraziłem się od bratanka, podczas ostatniej wędrowki.

— I uważasz za słuszne, żeby brać kobietę w tak potencjalnie niebezpieczną podróż?

— Nie jedną, ale nawet kilka — odparł Shigeru. — Pani Heiko i Hanako też jadą.

Tym razem Saiki zachował niewzruszoną minę. Powiedział tylko: 335

— Po piąte, proponuję, aby nasze plany potraktować jednak z należąca powagą.

— Heiko tęskni za Edo — wyjaśnił Genji. — Hide zaś bardzo chce mieć syna. Nie możemy mu tego utrudniać.

— Najgorsze zło jeszcze nie minęło. — Saiki puścił mimo uszu ostatnią frywolną uwagę. — Ale wciąż czai się przed nami.

— Zaczekajmy więc, aż się pojawi — odparł Genji. — A do tego czasu nie zaprzętajmy sobie głowy wydumanymi zmartwieniami.

Saiki uklonił się. To śmieszne, że wyszliśmy cało z tyłu groźnych przygód jedynie po to, by zginąć teraz podczas pozornie łatwej i spokojnej podróży do stolicy, pomyślał. Taka jest jednak ludzka karma —

i to jej się kłaniał, a nie księciu.

— Wedle rozkazu, panie.

— Dziękuję, Saiki.

— Ilu ludzi mam przygotować?

— Dwudziestu lub trzydziestu. Nie zamierzam zbyt długo bawić w Edo.

— Właśnie słyszałem od zwiadowców, że Sohaku zaszył się w Mushindo — wtrącił Hide. — Jeśli wciąż działa w zмовie z Kawakamim, to i wspomniany tysiąc zbrojnych nie będzie tu przesadą.

— Klasztor opustoszeje przed przyjazdem księcia — odezwał się Shigeru. — A pewien bezimienny zdrajca o wszelkich swoich dalszych planach opowie wygłodniałym duchom.

— Oczom nie wierzę! — zawołała Emily. — Najpierw sad pełen jabłoni, a teraz to...

Siedzieli ze Starkiem w samym środku rozarium. Wokół nich kwitły najbielsze i najczerwieńsze kwiaty, przeplatane wszelkimi odcieniami różu, od głębokiego do jasnego.

— To miejsce rzeczywiście godne swojej sławy — przyznał Stark.

Emily spojrzała na niego pytająco.

— Heiko mówiła mi, że zamek ma także drugą nazwę, Strażnica Różanych Krzewów.

— Strażnica Różanych Krzewów — powtórzyła. — Chmara Wróbli.

Dwa poetyckie określenia fortecy poświęconej wojnie.

— Dla samuraja wojna jest poezją — mruknął Stark.

— Sporo się o nich dowiedziałeś, Matthew, w czasie podróży z Heiko

— zauważyła Emily.

— Mieliliśmy okazję porozmawiać — odparł i zacisnął zęby. Nie chciał

powiedzieć jej zbyt wiele. Heiko obiecała wprawdzie, że szczerze porozmawia z księciem i przyzna się do wszystkiego, ale nie wiedział, czy to prawda. Zresztą, nie jego sprawa.

Do ogrodu trafili za sprawą Hanako. Emily przekonała ją, że wolą wyjść na dwór. Naprawdę źle się czuła w ciasnym pomieszczeniu pełnym krzesel, stołów, lamp i toaletek. Przyprawiało ją to o lekką klaustrofobię.

Niewiele lepiej było w „salonie”, który dzieliła ze Starkiem. Dla ich wygody, służba wyniosła do rozarium dwa fotele, kryte miękkim pluszem. Emily przyrzekła sobie w duchu, że porozmawia z księciem o prawdziwych meblach ogrodowych. Przecież chce wiedzieć jak najwięcej o zwyczajach Amerykanów i wciąż wprawia się w angielskim.

— Wydaje się taka delikatna — powiedziała na głos. — Bez wątpienia wiele wycierpiała w leśnej głuszy.

— Nieźle dawała sobie radę. — Stark postanowił skierować konwersację na nieco bezpieczniejsze tory. — Wy przeżyliście więcej przygód. Jeśli wierzyć plotkom, jesteś aniołem, który czyni cuda.

Uratowałeś księciu życie.

Emily szybko odwróciła głowę i popatrzyła na najdalsze krzewy.

Miała nadzieję, że nie zauważył jej rumieńca.

— To wszystko plotki... Tak już bywa. Ktoś, kto nic nie wie, zaczyna coś mówić i to „nic” po pewnym czasie wyrasta na olbrzyma.

— Heiko nie jest zwykłą plotkarą. Mówiła mi, że pan Shigeru znalazł was w śniegowym domku. Sama go zbudowałaś?

— Zwykły szałas z suchych gałęzi, z wierzchu przysypanych śniegiem.

— Księżę twierdzi ponoć, że ogrzałaś go metodą, której nauczyłaś się od Eskimosów.

— Nigdy w życiu nie spotkałam żadnego Eskimosa — twardo odpowiedziała Emily.

337

— Tak myślałem — mruknął Stark. — Musiała go źle zrozumieć.

Albo może to ja coś pokręciłem. Więc co zrobiłaś?

— Kiedy?

— No właśnie wtedy. Żeby nie zamarznąć. Prawie dwa dni spędziliście w straszliwej zamieci. Jak to się stało, że żyjecie?

— Szalas osłonił nas od wiatru — powiedziała Emily. Nie potrafiła kłamać. Ale, na Boga, przecież nie może wyznać mu całej prawdy! To zbyt krępujące. — Każda ściana, choćby ze śniegu, jest przecież jednak jakąś ścianą. W środku zrobiło się trochę cieplej niż na zewnątrz...

— Dobrze wiedzieć. — Stark pokiwał głową. — Gdybyśmy kiedyś znaleźli się w takiej samej sytuacji...

— To niemożliwe — prędko przerwała mu Emily i wyciągnęła rękę w stronę czerwonej róży. — Ciekawe, co to za odmiana?

— Amerykańska Piękność — odpowiedział Genji. Emily odwróciła się. Stał całkiem niedaleko. Na jego twarzy

malował się wyraz z trudem skrywanego rozbawienia. Słyszał zatem przynajmniej fragment tej krępującej rozmowy ze Star-kiem. W oczach Emily zamigotał błysk prawdziwego przerażenia. Genji spoważniał, podszedł bliżej, dobył krótkiego miecza i ledwie musnął ostrzem łodyżkę kwiatu, który spodobał się dziewczynie. Róża znalazła się w jego dłoni.

Kolce spadały jeden po drugim, gdy tylko trącił je swoim mieczem. Z

ukłonem podał kwiat Amerykance.

— Dziękuję, panie.

— Dziwna nazwa dla japońskiego kwiatu — zauważył Stark.

— I używana tylko tutaj — odparł Genji. — Jeden z moich przodków miał... — Chciał powiedzieć „wizję”, ale przypomniał sobie, że poprzednim razem wzbudziło to gwałtowną reakcję Emily. — ...sen.

Następnego ranka wydał proklamację, że od tej pory najwspanialsze róże w zamkowych ogrodach mają być nazywane tym właśnie imieniem.

Emily pomyślała sobie, że opowieść księcia podejrzenie pasuje do jakiejś „przepowiedni”. Ale była ciekawa, co się stało dalej.

— O czym śnił?

— Niestety, tego już nie zdążył nam powiedzieć. W tym samym dniu przyłączył się do wojsk Takedów. Był z nimi, kiedy 338

ruszyli do ataku na zasieki pod Nagashino. To chyba najstraszniejsza szarża w dziejach naszego kraju. Zginął pod zmasowanym ogniem muszkietów, a wraz z nim padło tysiące innych dzielnych jeźdźców. Nikt nigdy więcej się na to nie poważył.

— Więc zrobił to pod wpływem snu?

— Tak. Przed atakiem powiedział swoim ludziom, żeby się nie bali.

„Amerykańska Piękność w murach zamku to znak zwycięstwa naszego klanu”. Był o tym święcie przekonany.

— Czyste szaleństwo! — wyrwało się Emily, nim zdążyła ugryźć się w język. — Wybacz mi, panie. To z rozpędu.

Genji się roześmiał.

— Chciał dopasować rzeczywistość do swoich marzeń. Tak zachowują się szaleńcy. Niestety, w moim rodzie często to się zdarza. Tak samo jest z rozumieniem snów. Jego następca utrzymał w mocy poprzednią proklamację, traktując ją jako ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń.

— To bardzo mądre — powiedziała Emily, chcąc tą pochwałą chociaż trochę zatuszować wcześniejszą gafę.

— Byłoby jeszcze mądrzej, gdyby sam o tym nie zapomniał —

uśmiechnął się Genji. — Nowy sen sprawił, że wystąpił przeciwko Tokugawie pod Sekigaharą. Zginął i zepchnął klan na skraj upadku. Od tamtej pory znaleźliśmy się na czarnej liście najgorszych wrogów shoguna.

Twarz Emily wykrzywił dziwny grymas. Gniew walczył w niej o lepsze ze współczuciem.

— To chyba najlepszy dowód, że nasz sen jest tylko snem i niczym innym. Pismo Święte wyraźnie mówi: *a prorocstwo nie niewiernym, ale wierzącym*.

— Być może. Mnie to wszystko jedno, bo nie śnię aż tak wiele jak moi poprzednicy.

W chwili, gdy jego język, usta, krtani i płuca nadały kształt wypowiedzianym słowom, cały świat zniknął i książkę Genji znalazł się w zupełnie innym miejscu.

Łagodny wietrzyk chłodził jego rozpaloną skórę. Białe kwiaty na gałęziach drzew wypełniały powietrze słodką wonią.

Apple Valley tonęła w kwieciu. To chyba wiosna.

Na ten widok coś ścisnęło go w piersiach, a do oczu napłynęły łzy.



Owszem, czuł się tu szczęśliwy, ale...

Targały nim sprzeczne uczucia. Jakie? Ba, tego sam nie wiedział. Znał

przyszłość. Swoją przyszłość. I tak jak poprzednim razem był tym, kim dopiero będzie. Dłonie trzymające wodze i lęk siodła wcale nie różniły się od dłoni ścinających różę. Nie stał się zgrzybiałym starcem, więc to niedaleka przyszłość.

Puścił konia luźnym truchtem. Nie zmierzał do określonego celu.

Czekał. Na co? Wiercił się niecierpliwie w siodle. Wreszcie zsiadł i zaczął chodzić w kółko. Zerknął w górę i zobaczył gałąź, na której siedziała Emily w chwili, kiedy ofiarował jej tę dolinę. Tego samego dnia wysłuchał wyznań Heiko. Uśmiechnął się do własnych myśli.

Dwie kobiety.

Piękna gejsza, która wie więcej, niż powinna wiedzieć. I naiwna cudzoziemka, która wie tylko to, co chce wiedzieć. Pomyślał o nich i od razu dały znać o sobie okrutne ograniczenia wizji.

Poczuł, że ziemia drży pod jego stopami, zanim usłyszał tętent galopującego konia. Spojrzał w stronę wylotu doliny i zobaczył dom ze spadzistym dachem i dzwonnica. Na szczycie wieży białał chrześcijański krzyż. Hide przemknął cwałem obok kościoła. Genji nie czekał na wiadomość. Sam skoczył na wierzchowca i jak szalony popędził do bram Chmary Wróbli.

Na dziedzińcu zgromadziła się niemal cała służba. Wszyscy skłonili się przed panem. Wpadł do zamku. W drugim końcu długiego korytarza, zza drzwi sypialni, dobiegał krzyk noworodka. Genji rzucił się biegiem w tamtą stronę.

Pokojowa pokazała mu płaczące dziecko. Obrzucił je szybkim spojrzeniem i poszedł dalej. Niepokoiło go, co z matką. Zanim jednak dotarł do drugiej komnaty, w progu zjawił się doktor Ozawa. Wszedł

głębiej i zamknął za sobą drzwi.

— Co z nią?

— Poród był bardzo trudny — westchnął lekarz. Twarz miał

ściągniętą i szarą.

340

— Żyje? — zapytał Genji.

Doktor Ozawa pokręcił głową i ukłonił się bardzo nisko.

— Przykro mi, panie.

Tym razem uczucie było wyraźniejsze. Smutek. Genji osunął się na kolana.

Doktor Ozawa ukląkł obok niego.

— Zostałeś ojcem, książę.

Genji, pogrążony w żalu, bezwiednie wziął dziecko w ramiona. Coś błysnęło na szyi noworodka. Natychmiast to rozpoznał, chociaż oczy miał

zamglone łzami. Widział to już dwukrotnie.

Raz w innej wizji.

Raz w kopcu śniegu.

Mały srebrny medalion ozdobiony krzyżem i wizerunkiem stylizowanego kwiatu. Chyba lili.

— Ostrzegałem cię przed nadmiernym wysiłkiem, panie —

powiedział surowo doktor Ozawa.

Genji leżał wygodnie na posłaniu, w komnacie wychodzącej na rozarium. Nie pamiętał, jak się tu znalazł. Wiedział tylko, że upadł i stracił przytomność.

— Rozmawiałem...

— W takim razie za dużo mówisz. Na przyszłość weź to pod uwagę.

Genji usiadł.

— Nic mi nie jest.

— Zdrowi ludzie nie mdleją bez przyczyny.

— Wizja — wyjaśnił.

— Ach... — Doktor Ozawa odwrócił się w stronę drzwi. — Hanako.

Chwilę później służąca weszła do pokoju.

— Słucham, doktorze. — Mimo zdenerwowania uśmiechnęła się do księcia i przywitała go ukłonem.

— Przynieś herbaty — polecił doktor Ozawa.

— Lepsza byłaby sake — mruknął Genji.

— Herbata — powtórzył lekarz.

— Tak, doktorze — odparła Hanako i wyszła.

341

— Mam opowiedzieć?

— Jak sobie życzysz, panie — westchnął doktor Ozawa. Od prawie czterdziestu lat był nadwornym lekarzem klanu Okumi-chi. Leczył

Kiyoriego i Shigeru. Wiedział dosłownie wszystko o ich wizjach. — Nie wiem, czy będę w czymś pomocny. Nigdy nie byłem.

— Zawsze jest jakiś pierwszy raz.

— Niekoniecznie. Bywa, że wcale się nie zdarza.

Genji opisał mu jak najdokładniej to, co zobaczył. Potem czekał przez chwilę na odpowiedź, ale doktor Ozawa w milczeniu popijał herbatę.

— Ta wizja przypomina tamtą — powiedział Genji. — Więcej w niej pytań niż rozwiązań. Kim była matka dziecka? W pierwszej chwili można pomyśleć, że to Shizuka. Dziecko nosiło medalion matki. Lecz w pierwszej wizji Shizuka żyje, a ja umieram. Teraz jest odwrotnie. Tego naprawdę nie da się pogodzić.

— Na to wygląda.

— Wierzysz, że- wszystko, co widzę, musi się wydarzyć? Może to tylko jedna z możliwości?

— Wizje twojego dziadka wypełniły się co do joty, panie. — Doktor Ozawa wciąż z namysłem sączył herbatę. — Ale nie zdradził mi wszystkiego. Z tego, co mówił mi twój stryj, jak dotąd nic się nie spełniło.

Twoje wizje są jeszcze inne. Już miałeś dwie, więc została ci tylko jedna.

A potem koniec. Na zdrowy rozum, jesteś w lepszej sytuacji niż pan Kiyori i Shigeru. To, co widzisz, nie jest zbyt mętne ani zbyt wyraźne.

Wystarczy jednak, żeby wzbudzić twoją czujność.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— A co mam odpowiedzieć? Przecież nic nie wiem o przyszłości.

Jestem lekarzem, nie wróżbitą.

— Filozoficzna neutralność w niczym tu nie pomoże — mruknął

Genji. — Potrzebuję rady.

— To, co ci powiem, nie będzie radą, lecz raczej moją prywatną opinią — odparł lekarz.

— Z chęcią posłucham.

— Porozmawiaj z kobietą.

— W porządku — zgodził się Genji. — Ale z którą?

— To chyba oczywiste.

342

— Naprawdę? Słucham. Doktor Ozawa skłonił się głęboko.

— Oczywiście dla ciebie, panie. To ty masz dar jasnowidzenia.

Heiko słuchała, nie przerywając ani słowem. Kiedy skończył, przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu. Genji rozumiał ją. Niełatwo przyszło jej przyjąć do wiadomości, że to nie ona da mu pierwsze dziecko. Lecz z drugiej strony, komu miał się zwierzyć? Tylko ją darzył

tak ogromnym zaufaniem.

— Jedna rzecz nie ulega dla mnie wątpliwości — dodał. — Zanim to się stało, Shizuka musiała poznać się z Emily. Medalion, który dała dziecku, to ten sam, który ma Emily. Więcej nic nie wiem.

— Wspominałeś mi kiedyś o pewnym cudzoziemcu, duchowym mistrzu, i jego nożu — powiedziała Heiko. — Nie pamiętam, jak się nazywał.

— Mówisz o Damoklesie i klątwie wiszącego miecza?

— Nie. — Zamyśliła się. — Podobne imię nosił mistrz zen, Hakuin Zenji. Hakuo, Hokuo, Okuo, Okkao... Ostrze Okkao. Coś w tym rodzaju.

— Brzytwa Ockhama?

— Właśnie!

— I co z tego?

— Jeżeli mówisz, że coś dla ciebie nie ulega żadnej wątpliwości, to nie używasz „brzytwy Ockhama”.

— Co ty powiesz? Już tak dobrze poznałaś ich sposób myślenia?

— To nie jest trudne. Z tego, co pamiętam, Ockham powiada, że w obliczu wielu wy tłumaczeń, najprostsze z nich jest najbliższe prawdy. Ty zaś komplikujesz sprawę.

— Ograniczyłem się wyłącznie do fragmentu wizji. Co w tym skomplikowanego?

— Upierasz się, że nieznana ci dotąd Shizuka będzie matką twojego dziecka. Że w jakiś sposób dostanie medalion od Emily i że zawiesi go na szyi noworodka. Istnieje jednak prostsze wyjaśnienie.

343

— Ale nie dla mnie.

— To Emily da medalion dziecku — powiedziała Heiko.

— Niby dlaczego miałyby to zrobić?

— Bo to jej dziecko. Genji oniemiał.

— Zupełnie niedorzeczny pomysł! Obrażasz mnie. A poza tym, to wcale nie jest najprostsze wyjście! Żeby być matką, najpierw musiałyby wejść do mojego łóżka. To takie proste?

— Miłość upraszcza wiele rzeczy, panie — łagodnie powiedziała Heiko.

— Nie kocham Emily i ona też mnie nie kocha.

— Jeszcze nie, książę.

— Nigdy — upierał się Genji.

— Co do niej czujesz?

— Nic, o czym myślisz.

— Sama widziałam, jak głośno śmiałeś się w jej towarzystwie —

powiedziała. — Ona przy tobie także częściej się uśmiecha.

— Razem byliśmy na krawędzi śmierci — odparł Genji. — Owszem, to wytworzyło między nami pewną szczególną więź, której nie znaliśmy przedtem. Więź przyjaźni, lecz nie miłości.

— Ciągłe uważasz ją za wyjątkowo szpetną i niezgrabną?

— Nie jest szpetna. Chyba przywykłem już do jej wyglądu. A niezgrabna? To też za ostre określenie... — Przypomniał sobie, jak leżała w śniegu, wymachując rękami i nogami. I jak wspinała się na gałąź, wcale nie bojąc się, że spadnie. — Trudno odmówić jej pewnej niewinnej gracji.

Oczywiście, na cudzoziemską modłę...

— Mówisz o niej jak o kimś bliskim.

— Szczerze przyznaję, że ją polubiłem. Lecz do miłości jeszcze daleko.

— Miesiąc temu musiałeś mocno się wysilać, żeby w ogóle na nią spojrzeć. Teraz ją lubisz. Stać cię na głębsze uczucia.

— Miłość wyraźnie różni się od przyjaźni. Jest zabarwiona erotyzmem.

— Emily wcale cię nie pociąga?

— Błagam...

— Jest jeszcze prostsze wyjaśnienie.

344

— Mam nadzieję, że przyjemniejsze — mruknął Genji.

— To już zależy od ciebie, panie. — Heiko popatrzyła na swoje dłonie, złożone na kolanach. — Wcale nie musiałbyś w przyszłości zakochać się w Emily, gdybyście wcześniej... byli razem.

— Nie spałem z nią!

— Jesteś zupełnie pewien?

— Chyba nie myślisz, że kłamię.

— Z pewnością nie.

— Więc o co chodzi?

— Shigeru znalazł cię w gorączce...

— Raczej w omdleniu. Gorączkę miałem nieco wcześniej.

— Dzień i noc spędziłeś u boku Emily w ciasnym, przysypanym śniegiem szałasie. — Heiko uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Pamiętasz może, co zrobiła, żeby cię trochę ogrzać, panie?

— Ogromnie się cieszę, że już ci lepiej, panie — powiedziała Emily.

— Zamartwialiśmy się o ciebie. Siadaj, proszę.

— Dziękuję. — Genji był w rozterce. Cierpiał w duchu i w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu, żeby podobne męki stały się udziałem jego ciała. Wiedział, że kiedy tylko usiądzie na cudzoziemskim krześle, zaraz rozboli go kręgosłup, a ściśnięte organy wewnętrzne zablokują swobodny przepływ energii *ki* i spowodują gromadzenie się szkodliwych toksyn. Znakomicie. Komplet kłopotów.

— Pani Heiko uprzedziła mnie, że chciałeś ze mną o czymś porozmawiać.

— Ale na pewno nie mówiła o czym?

— Jedyne tyle, że to delikatna sprawa. — Emily przyjrzała mu się z powagą. — Byłoby lepiej, gdybym przysłała do twojej komnaty. Chyba nie całkiem jeszcze wydojrzałeś po omdleniu.

— Bez obawy — uspokoił ją Genji. — Po prostu trochę się zmęczyłem w pogoni za samym sobą. Ale już odpocząłem.

— Właśnie siadałam do herbaty. — Emily podeszła do stolika, na którym stał zagraniczny serwis. — Napijesz się ze mną, panie? Heiko specjalnie dla mnie postarała się o dostawę z Anglii.

345

— Dziękuję.

Z ulgą przyjął tę niespodziewaną zwłokę. Wciąż nie wiedział, jak zadać najgorsze pytanie. Nie wyobrażał sobie nic bardziej haniebnego niż zapytanie kobiety, z którą praktycznie nic go nie łączy, do tego cudzoziemki, czy spał z nią, bo sam tego nie pamięta!

Emily wzięła z tacy maleńki dzbaneczek i nalała do filiżanek trochę gęstego białego płynu. Potem dołała czarnej herbaty. Mimo mocnego aromatu widać było, że listki są sfermentowane. Na samym końcu dosypała po łyżeczce cukru i zamieszała.

Pierwszy łyk wywołał błogi uśmiech na jej twarzy.

— Och, tak dawno nie piłam angielskiej herbaty, że prawie zapomniałam, jak smakuje!

Genji spróbował dziwnej mikstury. Zemdlilo go, gdy tylko trochę wypił. Klął pod nosem, że przez grzeczność nie może pluć do filiżanki, chociaż miał na to wielką ochotę. Mdła słodycz, silny bergamotowy zapach i zupełnie niespodziewana domieszka zwierzęcego tłuszczu tworzyły coś, co urągało poczuciu przyzwoitości. Za późno domyślił się, że biały płyn to tłuste i ohydne mleko, wydojone z obrzękłych wymion krowy.

— Coś ci dolega, panie?

Wciąż trzymał herbatę w ustach, więc nie mógł odpowiedzieć. Zebrał

się w sobie i głośno przełknął.

— Jestem zaskoczony smakiem. Nasza herbata nie jest aż tak aromatyczna.

— O tak. Różnice są zauważalne. Aż dziw bierze, że sporządzana jest z tych samych liści.

Na tyle długo rozmawiali o podobieństwach i różnicach, że Genji mógł spokojnie odstawić filiżankę, nie zwracając uwagi, że poprzestał

tylko na pierwszym łyku.

Nie umiał jednak w bezpośredni sposób nawiązać do sedna sprawy.

Zaczął więc okrężną drogą.

— Coś zwróciło moją uwagę, gdy razem leżeliśmy w śniegu —

zaczął. Emily natychmiast poczerwieniała i wbiła wzrok w filiżankę.

— Księżę, będę ci niezmiernie wdzięczna, jeśli na przyszłość postarasz się nie wracać do tej sprawy.

346

— Możesz mi wierzyć, że rozumiem twoje zakłopotanie.

— Przepraszam, ale śmiem wątpić. — Na moment uniosła głowę i napotkał zbolale spojrzenie jej niewiarygodnie niebieskich oczu. —

Ciągle robisz różne aluzje, nawet gdy nie jesteśmy sami. Wyraźnie cię to bawi.

— Wybacz mi proszę, jeśli łaska. — Genji ukłonił się. Teraz, kiedy sam znalazł się w krępującej sytuacji, nie było mu już do śmiechu.

Podzielał jej uczucia. — Szczerze przyznaję, że zbyt lekko traktuję pewne sprawy.

— Jeśli naprawdę chcesz przeprosić, to w tym miejscu zakończmy tę rozmowę.

— Skończymy ją nieco później. Obiecuję. Niestety, mam jeszcze do ciebie parę pytań.

— Zatem sam widzisz, że nie mogę ci uwierzyć.

Genji znał tylko jeden sposób, by udowodnić swą szczerłość.

Zachowywał się tak codziennie w świątyni zmarłych przodków. Nigdy jednak, poza pałacem shoguna, nie robił tego przed żywymi ludźmi, a już na pewno nie przed cudzoziemką. Klęknął i skłonił się do samej ziemi.

— Proszę cię o to tylko dlatego, że naprawdę muszę. Emily dobrze pamiętała, czym jest duma dla samuraja. Widok księcia klęczącego przed nią sprawił, że o mało nie rozpląkała się ze wstydu. Kto tu okazał się bardziej próżny, hardy i niewdzięczny? Wszak napisano w Księdze Hioba: *A obwinisz mię, abys się sam usprawiedliwił?*

Także upadła na kolana i pochwyciła go za rękę.

— Wybacz mi moje zaślepienie. Pytaj o wszystko, o co tylko zechcesz.



Genji przez chwilę był zbyt zdumiony, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Nie przywykł, by go ktoś dotykał. Gdyby Emily zrobiła to w obecności któregoś ze strażników, jej ścięta głowa potoczyłaby się po podłodze.

Taką potwarz natychmiast karano śmiercią.

— To był mój błąd — powiedział Genji. — O nic nie musisz się obwiniać. — Muszę — odparła. — Pycha jest straszliwym i podstępnym grzechem.

Minęło dobrych kilka minut, zanim uspokoili się na tyle, aby znów usiąść na krzesłach i wrócić do rozmowy.

347

— To nic takiego — westchnął Genji. — Zapewne urojenia chorej wyobraźni. Wydaje mi się, że tam, pod śniegiem, miałaś na szyi jakiś klejnot.

Emily wsunęła rękę pod kołnierzyk i wyciągnęła srebrny łańcuszek ze srebrnym medalionem, na którym widniał krzyż i lilia.

— Ten?

— Tak — odparł Genji. — Co jest na krzyżu?

— Kwiat lilii w formie zwanej *fleur-de-lis*, czyli „lilijki”. Król Francji obrał go za swoje godło. Rodzina matki pochodziła z Francji i to zostało na pamiątkę.

Otworzyła wieczko i pochyliła się, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Był to maleńki portret kobiety, bardzo podobnej do Emily.

— To matka mojej matki. Namalowano ją, gdy miała siedemnaście lat.

— Tak jak ty teraz.

— To prawda. Skąd wiesz?

— Spytałem cię, kiedy zrobiłaś „śnieżnego anioła”.

— Ach, rzeczywiście! — Uśmiechnęła się na to wspomnienie. —

Wcale ci się nie spodobał.

— To raczej wina mojej ignorancji niż ułomności twojej sztuki.

Emily usiadła prosto i westchnęła z wyraźną ulgą.

— Cóż... Nie było to takie trudne. Spodziewałam się... sama nie wiem czego. Myślałam, że pytania będą dużo gorsze.

Nie dało się uniknąć dalszej indagacji.

— Jeszcze nie skończyłem — oznajmił Genji.

— Zatem mów dalej. Jestem gotowa.

Jej wygląd zdradzał jednak zupełnie coś innego. Zabrnęli jednak zbyt daleko, by teraz nagle się wycofać.

— Niewiele pamiętam z czasu, gdy leżałem ranny. Mam tylko strzępki wspomnień. Byliśmy nago?

— Tak.

— I tylko leżeliśmy razem?

— A o co pytasz?

— Nie kochaliśmy się?

Emily odwróciła się do niego tyłem, przerażona, że mógł

348

powiedzieć coś takiego. Poczerwieniała jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

— To dla mnie bardzo ważne — dodał Genji.

Słowa uwięzły jej głęboko w gardle, nie mogła na niego spojrzeć.

Nieznośna cisza przedłużyła się do kilku minut. Wreszcie Genji wstał

z krzesła.

— Zaraz zapomnę o tej rozmowie i wszystkim, co się przedtem zdarzyło. — Rozsunął drzwi i wyszedł na korytarz. Lecz zanim zdążył

odejść, dziewczyna przemówiła.

— Ogrzewaliśmy się nawzajem — powiedziała cichym i napiętym głosem — żeby nie zamarznąć. Nic więcej. Nie... — z trudem zmusiła się, by dokończyć zdanie. — Nie kochaliśmy się.

Genji pochylił się w ukłonie.

— Jestem ci wdzięczny za twoją szczerość.

Odszedł, lecz wcale nie czuł spodziewanej ulgi. Emily nie jest w ciąży. Ciągłe czekało go spotkanie z nieznaną Shizuką. Dobrze i to... Ale z drugiej strony, jego nadzieje nagle się rozwiały. Teoria Heiko, że być może zakocha się w Emily, nie wydawała mu się już tak bezsensowna, jak jeszcze parę godzin temu. Podczas rozmowy, kiedy przypomniał sobie chwile, które spędzili w śniegu we dwoje, i kiedy widział, jak na twarzy dziewczyny maluje się cała gama uczuć, sam także poddał się emocjom.

Zupełnie nieoczekiwanie poczuł rosnące podniecenie.

— Nadal uważam, że pan Genji i pan Shigeru doprowadzą nasz klan do upadku — powiedział Sohaku. — Z tego względu nie żałuję swojej decyzji.

Sprowadził z gór siedemdziesięciu dziewięciu samurajów i powiódł

ich do Mushindo. Sześćdziesięciu z nich zasiadło przed nim w sali medytacji. Pozostali zniknęli jeszcze przed naradą. Spodziewał się, że wkrótce odejdą następni. Los mu nie sprzyjał.

Nie zdołał zabić dwóch ostatnich potomków rodu Okumichi. Głowa Kudo zapewnegniła, zatknięta na grocie włóczni, 349

przed główną bramą Chmary Wróbli. Dekret shoguna sprawił, że to nie Genji, ale Sohaku stał się banitą.

Kawakami uważał, że ich plan mimo wszystko ma szansę powodzenia. Łatwo mu było mówić. Stał na czele tajnej policji i miał

wielkie włości w Hino. Dobrze znał swoje atuty. Sohaku stracił niemal wszystko. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to zadać ostateczne cięcie.

Nieważne było, czy zwycięży. To nic nie zmieni. Chciał jednak umrzeć godną śmiercią. Chciał, by rodzina i wrogowie zapamiętali go jako wojownika. Kiedyś dowodził najwspanialszą jazdą w kraju. Z dwojga złego wolał już samobójczą szarżę niż rytualną śmierć z własnej ręki.

Zwiadowcy donieśli mu, że Genji opuścił Akaokę z zaledwie trzydziestoma ludźmi. Sohaku miał ich dwa razy więcej. Ale zapewne nie na długo. Był przekonany, że z klasztoru wyjedzie tylko z dziesięcioma.

— Jutro rano będę walczył z księciem — oznajmił swoim samurajom.

— Z tego względu już dzisiaj zwalniam was z przysięgi. Poproście go o przebaczenie lub znajdźcie sobie innego pana.

— To tylko puste słowa! — warknął gniewnie jakiś wojownik w czwartym rzędzie. — Wolni od przysięg, i tak jesteśmy związani z tobą popełnionym czynem! Nie ma już dla nas przebaczenia! A który książkę przyjmie zdrajców?

— Milcz! — rzucił siedzący obok. — Od początku wiedziałeś, czym ryzykujemy. Przyjmij swój los z godnością, jak mężczyzna.

— A ty swój! — zawołał tamten. Błysnęła stal. Krew buchnęła z przeciętego ciała samuraja, który go upomniał. Zabójca usiłował

przedrzeć się przez trzy szeregi dzielące go od opata.

Sohaku nie wstał i nie dobył miecza. Zabójca wciąż parł w jego stronę.

Był już blisko, kiedy zginął, uderzony z tyłu przez któregoś z samurajów.

— Wybacz mu, wielobny panie. Jego bliscy nie zdążyli na czas uciec z Akaoki.

— Nie mam mu czego wybaczać — odparł Sohaku. — Każdy z was powinien podjąć własną decyzję. Popatrzcie, tutaj kładę moje miecze i wychodzę do pawilonu. Wrócę za godzinę.

Ci, którzy wraz ze mną zechcą stanąć do jutrzejszej bitwy, niech tu na mnie poczekają.

350

Nikt nie przyjął zaproszenia, żeby zgładzić bezbronnego wodza. Po godzinie Sohaku wrócił. Zwłoki dwóch zabitych zniknęły. Pozostali wojownicy siedzieli na swoich miejscach. Miał więc pięćdziesięciu ośmiu ludzi na trzydziestu księcia.

Oddał im uroczysty pokłon.

— Brak mi słów, by wyrazić wam swoją wdzięczność — powiedział.

Dzielni straceńcy także pochylili głowy.

— To my ci dziękujemy, panie — odezwał się samuraj siedzący w pierwszym rzędzie. — Nigdy nie mieliśmy lepszego dowódcy.

— Czcigodny opat odrzucił twój plan, panie — oznajmił goniec. — O

świcie opuści klasztor.

Kawakami nie musiał o nic pytać. Wszystko zrozumiał. Sohaku szuka śmierci z mieczem w dłoni. Nie ciekawiło go, kto na koniec zwycięży w tej kampanii. Było mu to całkiem obojętne.

— Pędź do opata i podziękuj mu, że powiadomił mnie o swych zamiarach. Przekaż mu też, że proszę bogów, by nie opuszczali go w potrzebie.

— Tak jest, panie.

Kawakami stał z sześciuset ludźmi we wsi Yamanaka. Z tych sześciuset, zaledwie stu było znakomitymi szermierzami. Mieli zadanie bronić muszkieterów, gdyby przypadkiem doszło do bezpośredniego starcia. Nie sądził jednak, że tak się stanie. Wprawdzie Sohaku miał u boku dwukrotnie więcej samurajów niż książę Genji, ale z góry skazany był na przegraną. Musi przegrać,

bo idzie do walki, nie myśląc o zwycięstwie. Woli popisać się odwagą. Prawdopodobnie chce zaczekać na przełęczy Mie. Łagodne zbocza po obu stronach traktu wręcz zachęcają do szaleńczej szarży. Gdyby zaatakował oddział muszkieterów, zginąłby wraz z wszystkimi ludźmi, zanim zdołałby swoim mieczem utoczyć choćby kroplę krwi wroga. Lecz Genji nie ma ze sobą strzelców.

Tak

351

jak Sohaku jest reliktem zamierzchłej epoki. Ich wojska zetną się w walce wręcz, wśród szczęku stali, zbrojne w miecze, *wakizashi*, *yumi*, *yari*, *tanto* i *naginata* — w broń i odwagę wojowniczych przodków.

Ich los jest już dawno przesądzony. Sohaku zginie na przełęczy. Genji i Shigeru znajdą śmierć w Mushindo, dokąd schronią się po ciężkiej potyczce. Tam będzie czekał na nich Kawakami. Poniesie głowy obu wodzów — dwóch ostatnich z klanu Okumichi — do rodowej świątyni w Hino.

Bitwa pod Sekigaharą miała się zakończyć po z górą dwustu sześćdziesięciu latach.

Genji zarządził kilka długich spotkań, by móc wysłuchać opowieści stryja. Shigeru opowiadał mu o swoich wizjach. Mówił o bardzo dziwnych rzeczach. Tak dziwnych, że możliwych tylko w odległej przyszłości. O przedmiotach, które pozwalały mówić i słyszeć na odległość. O latających statkach. O powietrzu, którym nie dało się oddychać. O zatrutej wodzie. O ławicach śniętych ryb, pływających po Morzu Wewnętrznym, i o kalekich stworach, zamieszkujących jego brzegi. O tłumach ludzi, ciasno ściśniętych w pojazdach długich niemal na milę. O cudzoziemcach, którzy wyszli z zamkniętych dzielnic w Edo i Nagasaki, żeby wędrować po całym kraju. Wreszcie o wojnach tak okrutnych, że całe miasta w ciągu jednej nocy zmieniały się w dymiące zgliszcza.

Książę uznał, że słowa stryja trzeba zapisać w kronikach rodu, ku przestrodze dla przyszłych pokoleń. Teraz nie mogły mu się na nic przydać. Stracił nadzieję, że Shigeru w czymś mu pomoże. Z jednym wyjątkiem.

W wizji swojej śmierci zobaczył coś, co Shigeru widział za każdym razem. Nikt już nie nosił czubów, mieczy i kimon. Nie było samurajów.

Niewiarygodne, pomyślał Genji, ale do tej zmiany ma przecież dojść jeszcze za mojego życia...

Spojrzał na jadących obok wojowników. Czy to możliwe, żeby za parę lat zniknęli, zmiecieni przez nadciągające hordy cudzoziemców?

Taro i Hide podjechali bliżej.

— Za chwilę będziemy na przełęczy Mie, panie.

— Ciągłe jesteście przekonani, że tam możemy wpaść w zasadzkę?

352

— Tak, panie — odpowiedział Taro. — Przez pięć lat służyłem pod opatem Sohaku. Lubi takie miejsca. Ustawi wojska z obu stron przełęczy i wyda rozkaz do błyskawicznej szarży.

— Wszystko jasne — powiedział Genji. — Niech Heiko i Hanako jadą z tyłu, ze Starkiem i Emily.

— Tak, panie — odparł Hide. — Ilu ludzi mam z nimi zostawić?

— To niepotrzebne. Będą bezpieczni. Sohaku szuka tylko mnie i mojego stryja.

— Tak, panie.

Genji popatrzył na Saikiego.

— Nic nie mówisz.

— Twoje rozkazy są wystarczające, panie. Naprawdę nie mam nic do dodania. — Saiki zachował niezmałony spokój. Będzie, co będzie. To nieuniknione. Nie pytał wcale, czy zginie, czy przeżyje. Znał swoje miejsce u boku pana i to mu wystarczyło.

Heiko z niechęcią przyjęła polecenie księcia, ale spełniła je bez słowa.

Przecież przyrzekała, że będzie mu posłuszna, chcąc odkupić dawne przewinienia.

„Póki nie powiem, jesteś tylko gejszą, nie włączaj się do walki z Sohaku i Kawakamim. Zrozumiałaś”?

„Z Sohaku zgoda, ale z Lepkim Okiem? Powinien jak najszybciej zginąć”.

„Nie pytam cię o zdanie. Zrozumiałaś”? W jego głosie nie było ani krzty wesołości.

„Tak, panie”.

Jechała zatem w niewygodnym podróżnym kimonie, bardzo pięknym, lecz całkiem nieprzydatnym w walce, bez żadnej broni i na dobrze ujeżdżonej klaczy, tak spokojnej, jak klacz Emily.

— Pani Heiko? — odezwała się nagle Hanako.

— Tak?

— W razie potrzeby, w prawych jukach u mojego siodła znajdziesz kilka noży do rzucania, a w lewych miecz.

353

— Pan Genji nie pozwolił mi nosić broni.

— Przecież jej nie nosisz, pani. Jest u mnie. Heiko skłoniła się z wdzięcznością.

— Mam nadzieję, że nie będę musiała jej używać. Emily spytała Starka:

— A co zrobisz, gdy w klasztorze nie znajdziesz tego, kogo szukasz?

— Będę szukał dalej.

— Może zmarł podczas zarazy?

— Na pewno nie.

Jakiś czas temu poprosił Heiko, żeby pomogła mu porozmawiać z Taro. Dużo dowiedział się o cudzoziemskim mnichu mieszkającym w Mushindo. Japończycy przezywali go „Jim-bo”, co było skrótem od jego imienia i nazwiska, Jim Bohannan. Krył się w tym także pewien dowcip, bo słowo „mnich” brzmi po japońsku *bozu*. Tak czy owak, jego rysopis pasował do Ethana Cruza.

„Dowcip”? — powtórzył Stark.

„Tak, odpowiedziała Heiko. Gra słów polegająca na tym, że ten sam dźwięk lub wyraz może mieć różne znaczenia”. „Aha”.

Popatrzyli na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem. „Zacznij mnie lepiej uczyć angielskiego, zanim przejdziemy do japońskiego”, powiedział Stark.

— Nie mam pojęcia, jak cię skrzywdził — westchnęła Emily — lecz zemsta niesie tylko gorycz. O wiele lepiej jest wybaczyć. *Bo jeśli odpuścicie ludziom upadki ich, odpuści i wam Ojciec wasz niebieski.*

— Amen — powiedział Stark.

— Shigeru zniknął — doniósł zwiadowca.

— Oczywiście — odparł Sohaku. — Wiedząc, że siedzimy gdzieś w zasadzce, próbuje zasadzić się na nas.

Roześmiał się. Oficerowie zawtórowali mu głośnym śmiechem. Jak wszystkich martwych, bawiło ich, że wciąż chodzą po ziemi. Nie odczuwali najmniejszego strachu. Jeden z nich wyjął muszkiet z pokrowca, popatrzył nań, jakby widział go pierwszy raz w życiu, i rzucił

na ziemię. Pozostali zrobili to samo.

Sohaku odwrócił się w stronę szwadronu, karnie stojącego w pięciu równych szeregach.

354

— Wszyscy gotowi?

Jakiś samuraj uniósł się w strzemionach, uniósł w górę włócznię i krzyknął pełną piersią:

— Dziesięć tysięcy lat!

Okrzyk podjął cały oddział. Ci, którzy chwilę temu zanosili się rubasznym śmiechem, teraz płakali i wołali jednym i donośnym głosem:

— Dziesięć tysięcy lat!

— Dziesięć tysięcy lat!

— Dziesięć tysięcy lat!

Sohaku dobył miecza i zmusił konia do galopu.

Emily usłyszała głośnie okrzyki, dobiegające gdzieś z oddali.

— *Banzai! Banzai! Banzai!*

— Ktoś pozdrawia naszego księcia? — zapytała.

— Tak — odpowiedziała Heiko.

— Co to znaczy *banzai*

— To dawny zwrot, który dosłownie można przetłumaczyć jako

„dziesięć tysięcy lat”. O wiele trudniej podać jego prawdziwe znaczenie.

To coś w rodzaju zapewnienia, że podjęte czyny zostaną wykonane z pełnym poświęceniem. Krzyczący gotów jest oddać całą wieczność dla tej jednej jedynej chwili.

— Zatem to przyjaciele księcia — uśmiechnęła się Emily.

— Nie — odparła Heiko. — Jego najgorsi wrogowie. Stark wziął oba rewolwery i pojechał za Genjim.

Ludzie opata byli zdezorientowani. Nikt im nie wyszedł na spotkanie na przełęczy. Zamiast tego, na lewej flance, zza drzew rozległ się huk muszkietów. Atak załamał się, ludzie i konie gęsto padali na ziemię.

Sohaku zatoczył koło i pociągając za sobą resztę, ruszył pod górę, w stronę lasu. Dwie kolejne salwy zebrały wśród nich krwawe żniwo.

Dopiero wtedy

żołnierze księcia dobyli mieczy, wsiedli na konie i wyjechali im naprzeciw.



Sohaku pędził wprost na Genjiego. Ciął dwóch, którzy zagradzali mu drogę. Trzecim był jego dawny uczeń, Masahiro. Całkiem nieźle zapamiętał pobierane lekcje. Odbił cios miecza i pchnął wierzchowca na konia opata. Sohaku poczuł w kolanie trzask pękającej kości. Niezdolny dobrze stanąć w strzemionach, z trudem odpierał ciosy Masahiro. Ta krótka zwłoka ocaliła mu życie.

Stark jechał obok księcia i strzelał do każdego, kto się nawinął.

Wypalił już jedenaście razy i dziewięciu wrogów spadło z siodeł na ziemię. Masahiro na chwilę powstrzymał opata i dwunasta kula nieco chybiła celu. Sohaku widział, jak Stark mierzy do niego z rewolweru.

Zobaczył dym, ale co dziwne, nie usłyszał żadnego dźwięku. Coś z wielką siłą uderzyło go w lewą pierś. Przez krótki moment miał wrażenie, że ulatuje ku niebu. Mocno przylgnął do końskiej szyi, żeby nie stracić

przytomności i utrzymać się w strzemionach.

— Panie! — Ktoś chwycił wodze. Nie wiedział, kto to. — Trzymaj się! — Koń przeszedł w galop. Co za hańba zginąć od kuli, nie skrzyżowawszy przedtem mieczy z potomkiem rodu Okumichi...

Shigeru pojął swój błąd, gdy usłyszał okrzyk żołnierzy opata. Po tej stronie wzgórza nie było zasadzki. Wjechał na szczyt w samą porę, by ujrzeć pierwsze starcie. Zanim dotarł do swoich, walka dobiegła końca.

— Straciliśmy zaledwie sześciu ludzi — powiedział Sai-ki. — Sohaku dosłownie wyszedł nam pod lufy.

— A więc powtórka z Nagashino — mruknął Shigeru. Zsiadł z konia i zaczął chodzić wśród poległych wrogów.

— Nie ma go tam! — zawołał Saiki. — Co prawda dostał od pana Starka, ale któryś z uciekinierów pociągnął go za sobą.

— I pozwoliłeś na to?

— Przecież nie stałem jak słup soli — burknął szambe-lan. — Miałem na głowie ważniejsze sprawy.

Shigeru nie odpowiedział. Skoczył na siodło i odjechał w kierunku Mushindo.

— Pomysł okazał się dobry, panie — pochwalił Saiki. — Dobrze wybrałeś sposób walki.

356

— Nie widać, byś się z tego cieszył — zauważył Genji.

— Jestem już stary. Przywiązany do tradycji. Bitwa z użyciem broni palnej nie sprawia mi radości.

— Nawet gdy jesteś wśród zwycięzców? Szambelan wreszcie się uśmiechnął.

— Tak, to prawda, wolę wygrywać. Z tym mogę się pogodzić.

Szybko dobito rannych nieprzyjaciół. W trosce o Emily, Genji zabronił ścinania głów i kazał dobrze przykryć ciała.

Był przekonany, że Shigeru bez trudu znajdzie opata i zaczeka na nich w klasztorze. Dawny dowódca kawalerii na pewno był śmiertelnie ranny po strzale Starka. Nie mógł odjechać daleko.

Już widać było mury Mushindo, jednak Shigeru się nie zjawiał. Zatem Sohaku uciekł trochę dalej. Pościg trwał nadal.

— Zaczekaj tutaj na nas, panie — zaproponował Saiki. —

Sprawdzimy okolicę. — Skinął na Masahiro i odjechał.

— Świetnie strzelasz — powiedział Genji do Starka. — Podejrzewam, że mało kto w Ameryce może się z tobą równać.

Stark nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili nastąpił potężny wybuch.

Główny budynek zniknął w mgnieniu oka, sypiąc wokoło gradem odłamków. Belki fruwały w powietrzu. Kilku gwardzistów księcia padło na miejscu, zabitych siłą eksplozji. Ciężka kłoda złamała przednie nogi konia, którego dosiadał Genji. Zwierzę i jeździec zwałili się na ziemię.

Sekundę potem las zahuczał gwałtowną kanonadą.

Heiko ściągnęła Emily z siodła i nakryła ją własnym ciałem. Przecież nie mogła pozwolić umrzeć przyszłej matce dziecka Genjiego. Wokół

ginęli ludzie i konie. Grad kul wciąż targał ciałami zabitych. Heiko nie mogła nawet unieść głowy, by sprawdzić, co się stało ze Starkiem i księciem. W duchu modliła się, aby Budda Amida osłaniał ich swą świetlistą łaską.

Jakby w odpowiedzi na jej ciche błagania, ktoś krzyknął zza drzew: 357

— Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! Strzały umilkły. Inny głos zawołał:

— Księżę Genji! Pan Kawakami pragnie, abyś przyszedł do nas i omówił warunki poddania!

Taro i Hide wyciągnęli księcia spod martwego konia. Genji coś mówił. Hide roześmiał się i pochylił głowę w ukłonie.

— Pan Genji prosi pana Kawakami, by przyszedł do nas i się poddał!

— krzyknął w odpowiedzi.

Wszyscy myśleli, że znów padną strzały, więc przywarli do ziemi, lecz po kilku minutach ciszy w lesie znów rozległo się wołanie:

— Książę! Otacza cię sześciuset ludzi! Masz ze sobą kobiety i cudzoziemców! Jeżeli przyjmiesz propozycję rozmów, to pan Kawakami gwarantuje im pełne bezpieczeństwo!

— To podstęp — mruknął Hide.

— A może nie? — zapytał Genji. — Po co miałby nas oszukiwać?

Przecież i tak mu nie uciekniemy. Wystarczy, że strzelcy podejną nieco bliżej i już po nas.

— Panie! — zająknął się Hide. — Chyba nie przyjmiesz jego propozycji?

— Właśnie że przyjmę. Ciekaw jestem, co ma mi do powiedzenia. To musi być coś bardzo ważnego, skoro odłożył moją egzekucję.

— Oni już cię nie puszcza, panie! — jęknął Taro.

— Tak? Miałeś wizję? — Ostatnie słowa odniosły właściwy skutek i uciszyły wszelkie protesty. Tak zresztą było za każdym razem.

Kawakami rozkoszował się każdą chwilą. Chciał, by ten moment ciągnął się w nieskończoność. Szerokim gestem wskazał na potrawy, które adiutant postawił przed księciem.

— Zapewne zechcesz się posilić, książę.

— Dzięki ci za gościnność, panie, ale w tej chwili nie jestem głodny.

Kawakami uklonił się na znak, że nie uznał tego za obrazę.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, po co zwołałeś to spotkanie —

powiedział Genji. — Każdy z nas dobrze zna swoje położenie. Moi dowódcy byli przekonani, że chcesz wziąć mnie do niewoli.

358

— Dałem słowo, że tak się nie stanie — odparł Kawakami — i zamierzam go dotrzymać. Przyszło mi na myśl, że zanim zginiesz, co, jak wiemy, jest nieuniknione, warto wyjaśnić pewne sprawy.

— Mówisz jak cudzoziemiec. To oni wciąż szukają prostych, klarownych i ostatecznych rozwiązań. Nas cechuje większa subtelność.

— Genji uśmiechnął się. — Lubimy dwuznaczniki. W takim jednak przypadku nie będzie wyjaśnień i nie będzie końca, i to bez względu na to, kto z nas dzisiaj przeżyje, a może kto zginie.

— Masz w tej kwestii jakieś wątpliwości?

Kawakami starał się nie zwracać uwagi na docinki księcia i jego uśmiezek. Przyrzekł sobie w duchu, że tym razem Genji go nie rozżłości.

Uśmiechnął się i podjął tonem swobodnej konwersacji:

— Oczywiście, nie dążę do ostateczności. Nie jestem dzieckiem, idiotą ani cudzoziemcem, żeby wierzyć w bzdury. Chciałem wyjaśnić tylko to, co rzeczywiście jest do wyjaśnienia, i zakończyć tę sprawę, które można zamknąć. Nie ukrywam, że przede wszystkim zamierzam udowodnić, że nie masz w sobie nic z proroka ani jasnowidza. Sprawi mi to przyjemność.

— Mój talent już sam w sobie jest wielce dwuznaczny. Z przykrością stwierdzam, że ci się nie uda. To raczej smutne.

— Dopóki możesz, zachowaj współczucie dla tych, którzy bardziej go potrzebują. — Kawakami dał znak oczami swoim pomocnikom. Adiutant wystąpił naprzód i położył na ziemi pudło z sosnowego drewna, owinięte w biały jedwab. — Pozwól, że ci ofiaruję mały podarunek.

— Niestety, nie mogę go od ciebie przyjąć, bo sam nie mam nic w zamian.

— W zupełności wystarczy, że go weźmiesz. To będzie dla mnie najlepszą nagrodą.

Genji wiedział, co jest w pudełku. Nie musiał być jasnowidzem.

359

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Kawakamiego. Ukłonił się, przysunął pudło do siebie, rozwinął jedwab i zdjął pokrywkę.

Shigeru bez pośpiechu jechał w kierunku Mushindo. Luźno zwiesił

ramiona, na jego twarzy nie malowała się głębsza troska. Wytężał jednak wszystkie zmysły. Był przekonany, że bez trudu znajdzie i zgładzi opata.

Bardziej martwił go Kawa-kami. Sohaku zaatakował wprost — szaleńczą szarżą, bez wsparcia strzelców i piechoty. Taki plan nie pasował do Lepkiego Oka. Należało zatem spodziewać się drugiej, groźniejszej i bardziej przemyślanej zasadzki. Kawakami nigdy nie wyszedłby z ukrycia, choćby posiadał miażdżącą przewagę w ludziach i uzbrojeniu. Zatem pułapka.

Zapewne kilka grup snajperów, usadowionych w dużej odległości...

Wjechał w dolinę poniżej klasztoru, zagłębił się między drzewa i zniknął.

— Gdzie on się podział? — zapytał pierwszy strzelec.

— Mów ciszej! — zgromił go drugi. — Shigeru ma słuch jak wiedźma.

— Chyba się schował.

— Tylko spokojnie — powiedział trzeci. — Nie zapominajcie o nagrodzie, jaka czeka nas za jego głowę.

— Tam! Coś się rusza między drzewami.

— Gdzie?

— Tam!

— Aha... Już go widzę. — Pierwszy strzelec westchnął z niekłamaną ulgą.

— Czeka! To tylko koń...

— Co takiego?

Wszyscy trzej wychylili się, żeby lepiej widzieć.

— Nie ma żadnego konia.

— Tam! Nie... to cień.

— Wynoszę się stąd — oznajmił pierwszy strzelec. — Na co mi złoto, skoro będę trupem?

360

— Stój, głupcze! Ma za daleko, żeby tu do nas dotrzeć. Musiałyby najpierw przejść tę przecinkę. Zdejmujemy go jednym strzałem.

Drugi strzelec zerwał się z miejsca i pobiegł za pierwszym.

— Skoro to takie łatwe, to sam dasz sobie radę.

— Idioci!—burknął trzeci strzelec i popędził za towarzyszami.

— Tam się coś dzieje. Spójrzcie. — Jeden ze strzelców na drugim stanowisku wskazał na trzy postacie uciekające z sąsiedniego wzgórza.

— Ciszej! — upomniał go dowódca. — Nie wyłaż. Strzelec natychmiast się cofnął, lecz zamiast patrzeć w głąb doliny, zaczął nerwowo zerkać wokół siebie.

Trzy stanowiska strzelców. Dwa, bo jedno już opustoszało. Shigeru czekał. Kilka minut później pozostali snajperzy również uciekli.

Obruszył się. Złościł go tak wyraźny brak dyscypliny, nawet w oddziałach wroga.

Trącił konia piętami i pojechał dalej.

— Ojcie.

To był głos dziecka. Jego syna.

— Nobuyoshi?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Rozejrzał się, lecz niczego nie zobaczył. Pierwszy raz żałował, że nie ma widzenia, które choć na moment zwróciłoby mu syna — nawet upiora skąpanego w krwi, z własną głową w ręku, miotającego klątwy na zabójcę.

— Nobuyoshi?

Zmuszał się, żeby zobaczyć to, czego nie ma. Przedtem wbrew własnej woli widywał różne rzeczy. Dlaczego teraz miało być inaczej?

Ale wciąż widział tylko drzewa i zimowe niebo. Żadnych wizji, złudzeń i spotkań ze zmarłymi. Więc skąd te głosy?

361

— Pan Shigeru? To dla mnie niewątpliwy zaszczyt. — Sohaku stał

pośrodku traktu, w asyście samuraja. Shigeru o mało nie wjechał na nich, zaprzątnięty myślami o synu. Wbrew pogłoskom Sohaku nie wyglądał na rannego. Siedział prosto w siodle, zbroję miał nietkniętą, przemawiał

silnym i donośnym głosem.

— Nic podobnego. Przyjechałem tutaj tylko po twoją głowę.

— Więc czeka cię rozczarowanie — roześmiał się Sohaku. — Nie jest zbyt wiele warta. Nie przyniosła mi nic dobrego. A twoja, Yoshi?

— Też nie, panie. To trochę smutne.

Shigeru zaciął konia. Sohaku i Yoshi zrobili to samo ułamek sekundy później. Tuż przed starciem Sohaku pochylił się nad końskim karkiem i ciął z dołu, mierząc w wierzchowca przeciwnika. Yoshi uderzył z góry.

Shigeru przewidział oba ruchy, więc bez trudu odbił miecz opata.

Unikiem wyminął atak Yoshiego i chlasnął go przez udo, przecinając główne arterie. Yoshi spadł na ziemię. Shigeru zatoczył koło. Sohaku, ze złamaną nogą, o wiele wolniej manewrował koniem. Zanim zawrócił, Shigeru już atakował go z lewej. Sohaku zdołał zablokować cięcie długiego miecza, ale Shigeru w lewej ręce trzymał wakizashi. Drugi cios gładko odciął prawicę opata tuż poniżej

ramienia.

Sohaku miał wrażenie, że kolejne sceny nie są ułożone w logiczną sekwencję. Każda z nich była zamkniętą całością.

Krew buchnęła z kikuta. Nigdy w życiu nie widział jaśniejszej czerwieni.

Wciąż zaciskał miecz w rękę, ale teraz ta ręka leżała gdzieś daleko, na ziemi, pod kopytami konia.

Płynął w powietrzu. Ziemia była w górze, a niebo na dole.

Tuż przed sobą zobaczył gniewną twarz Shigeru, upstrzoną plamami krwi. Otworzył usta, ale nie znalazł odpowiednich słów, żeby wyrazić ogromne współczucie.

Światło zamigotało na ostrzu miecza. Rozpoznał elegancki kształt, subtelną linię hartowania i niemal białą stal. W całym kraju były tylko dwa takie miecze — katana i wakizashi zwane Pazurkami Wróbla.

Bezgłowy tułów, przyodziany w jego zbroję, osunął się spod niego.

Na pewno tęskni do obciętej ręki. I co z tego?

362

Sohaku zniknął w niebiańskiej poświacie nieskończonej łaski Buddy Amidy.

Shigeru podniósł głowę opata i przyjrzał jej się, trzymając w wyciągniętej ręce. Być może myślał, ilu przyjaciół, krewnych i znajomych musiał zabić w ostatnim czasie. Ale te myśli nie trwały długo.

— Ognia!

Trzyście kul, wystrzelonych z czterdziestu muszkietów, trafiło celu.

Shigeru wprawdzie padł na ziemię, lecz nie został śmiertelnie ranny.

Pomału dźwignął się na nogi. Kiedy wstał, miecz wysunął mu się ze zdrętwiałej ręki. Miał przestrzelony łokieć i przedramię. Kulejąc, pobiegł

w stronę drzew po przeciwnej stronie do tej, z której padły strzały.

Ledwie jednak zrobił kilka kroków, a z ukrycia, na wprost niego, wyszedł

kolejny oddział muszkieterów. Dwudziestu ludzi. Z bliska oddali salwę.

Znów upadł. Chciał się podnieść, lecz nie mógł ruszyć nawet palcem.

Nie zdziwił się, kiedy zobaczył nad sobą twarz Kawa-kamiego.

— Obciąć mu głowę — rozkazał Kawakami.

— Wciąż żyje, panie.

— Więc zaczekajcie. Dajcie go tutaj. Niech popatrzy. — Adiutant trzymał Pazurki Wróbla tak, by Shigeru mógł je widzieć. — Spójrz, panie. — Dwóch samurajów uniosło rannego. Trzeci ciężkim młotem walił w główne mieczy, aż pękły na dwoje.

— Dobrze — powiedział Kawakami. — A teraz ściąć go. Uśmiechnął

się triumfująco i schylił nad skazańcem. Chciał, żeby jego twarz była ostatnim widokiem, jaki Shigeru ujrzy na tej ziemi. Ale ten błądził myślami daleko.

— Ojczy! — zawołał Nobuyoshi i podbiegł do niego. Nie 363

było krwi, ściętych głów ani przekleństw. Chłopiec roześmiał się i pociągnął za sznurek małego kolorowego latawca. — Zobacz, co zrobił

dla mnie kuzyn Genji!

— Nobuyoshi — powiedział z uśmiechem Shigeru.

Kawakami kazał oporządzić głowę zgodnie z wiekową etykietą.

Shigeru miał starannie ułożone włosy, zamknięte oczy, na jego twarzy malował się niewzruszony spokój. Zapach kadzidła z sandałowego drzewa niemal zupełnie tłumiał woń krwi i rozkładu.

— Dziękuję, panie — powiedział Genji. — Zaskakujesz mnie swoją hojnością. Sądziłem raczej, że wszystkie łupy złożysz na ołtarzach przodków.

— Ależ tak, książę! Akurat tym nie musisz się kłopotać. Po twojej śmierci będę miał obie głowy.

— Czy mogę spytać, gdzie jest ciało? Po powrocie do Chmary Wróbli zamierzam poddać je kremacji.

Kawakami roześmiał się, chociaż, prawdę mówiąc, wcale nie było mu do śmiechu. Sądził, że Genji się przestraszy lub rozplacze na widok głowy stryja. Wszak tylko w nim mógł upatrywać szansy ocalenia.

Dlaczego więc się nie załamał? Na znak Kawakamiego adiutant zamknął

puddło i zawinął je w biały jedwab.

— Niestety, ciało, razem ze zwłokami opata Sohaku, było w klasztorze. Można zatem przyjąć, że kremacja została dokonana.

— Jeszcze raz dziękuję ci, panie, za gościnność. — Genji uklonił się i zaczął zbierać się do wyjścia.



— Zaczekaj chwilę. Mam drugą sprawę.

Genji usiadł. Na jego ustach ciągle gościł leciutki, ironiczny uśmiech.

Nie na długo, pomyślał Kawakami. Zaraz nie będzie ci wesoło. Z trudem powściągnął gniew. Nie chciał poddawać się emocjom, by nie psuć sobie przyjemności. Wspomnienia dzisiejszego dnia mają mu wiernie towarzyszyć jeszcze przez długie, długie lata.

— Z tego, co wiem, stałeś się obiektem uczuć pewnej pięknej damy —

powiedział. — Chodzi mi o panią Mayonaka-no Heiko.

— Na to wygląda.

— Właśnie — przytaknął Kawakami. — Ale pozory często mylą. To, co niektórzy biorą za miłość, w rzeczywistości bywa nienawiścią, albo, co 364

gorsza, z góry ułożonym planem. Piękno podszyte jest brzydotą, nieopisanej wręcz natury. — Urwał, czekając na ripostę księcia. Genji milczał. — Czasem ktoś jednocześnie jest kimś innym, równie prawdziwym. Na przykład Heiko jest urodziwą gejszą. To prawda. Lecz z drugiej strony, to także ninja. — Znow przerwał. Genji wciąż me odezwał się ani słowem. — Nie wierzysz mi?

— Wierzę. Myślę, że mówisz prawdę.

— I nie dziwisz się?

— Sam powiedziałaś, że nie należy zwracać uwagi na pozory.

— Błagam cię, zrób mi tę przyjemność, książę, i nie udawaj głupszego, niż jesteś. Oczywiście wiedziałaś o tym.

— Można tak powiedzieć. — Genji zawiesił głos i popatrzył na Kawakamiego z rosnącym niepokojem. — Ale to nie wszystko.

— Właśnie. Znasz ją, a więc wiesz zapewne, że pracuje dla mnie.

\_ Tak, przyznaję, że doszedłem do takiego wniosku.

\_ Ja z kolei byłem przekonany, że domyślisz się całej prawdy. — Kawakami nie krył dłużej satysfakcji. — Jak wszyscy sprytni i inteligentni ludzie, a nikt nie odmówi ci sprytu, książę, popełniasz ten błąd, że nie doceniasz innych. Zapewne myślałeś, że w moim mniemaniu tajemnica Heiko jest całkiem bezpieczna?

\_ Owszem, nie ukrywam tego — odpowiedział Genji. —

Teraz widzę, że się myliłem.

\_ I to bardziej, niż sądzisz. Byłeś przekonany, że przyszła do ciebie z mojego polecenia, aby w pewnej chwili oszukać cię i zdradzić, a może nawet zabić. To całkiem zrozumiałe, bo ona też tak myśli. Podejrzewam, że już ci o tym powiedziała, prawda?

Kawakami przez kilka sekund czekał na odpowiedź. — Zastanów się: ja miałbym planować coś takiego? — podjął po chwili. — Heiko musiałaby być morderczynią

365

i podstępna wiedźma. Ładna buzia i ponętne ciało nie ukryją szpetoty duszy. Człowiek o twojej wrażliwości natychmiast by ją zdemaskował.

Nie, nie... Szukałem kogoś zupełnie innego. Kobiety czulej, szczerzej, mądrzej i ponętnej. Innymi słowy, takiej jak Heiko. I miałem tylko jedno życzenie Niczym troskliwy ojciec chciałem, aby znalazła prawdziwą miłość.

Znów zrobił dramatyczną pauzę. Serce śpiewało mu z radości, kiedy patrzył na pociemniałą nagle twarz Genjiego. — Mam nadzieję, że tak się stało?

Zanim Kawakami odziedziczył po swoim zmarłym stryju władzę nad Hino, dość często wyobrażał sobie, że odniósł lekką ranę z rąk Yorimasy, syna i następcy władcy Akaoki Kiyoriego. Powody były nieistotne.

Wyimaginowana rana rozpałała w nim starą nienawiść, dzielącą oba rody od czasów Sekigahary. Kawakami nie mógł ścierpieć, że taki pijaczyna i nałogowy palacz opium, jakim był Yorimasa, zażywał chwały jako członek klanu, którego potomkowie parali się wrózeniem Prawdziwa wiedza nie przychodzi znikąd, bierze się z informacji na ogół chętnie pomijanych przez resztę społeczeństwa Aby ją zdobyć, potrzebny jest wrodzony spryt, przenikliwość i inteligencja. Dziedziczna magia nie ma z tym nic wspólnego.

Zastanawiał się, jak pokonać znenawidzonego wroga. Pojedynek nie wchodził w rachubę. Nawet otumaniony Yorimasa o wiele lepiej radził

sobie z mieczem niż Kawakami. A gdyby wbrew oczekiwaniom przegrał, pozostawał jeszcze jego młodszy brat Shigeru, którego sława już dorównywała legendarnej sławie Musashiego. Wygrana z nim nie mieściła się w pojęciach prawdopodobieństwa, bo najzwyczajniej w świecie była niemożliwa.

Więc skrytobójstwo. Wskutek pewnego splotu wypadków już zapomnianych na przestrzeni dziejów, ród Kawakami utrzymywał

związki z niewielkim klanem ninja. Ale zamach, choćby udany, także nie dawał pełnej satysfakcji. Bo co z tego, że wszyscy będą wiedzieli, kto za tym stoi? To raczej Yorimasa powinien poznać jego imię tuż przed swoją śmiercią.

Odpowiedź przyszła sama w dniu, w którym wybrał się wraz ze stręczycielem, niejakim Ryogim, na objazd wsi leżących na obrzeżach 366

Hino. Kawakami gustował w gejszach i miał spore udziały w wielu znanych „domach”. Stronił jednak od seksu. Szukał informacji. Gejsze nieraz wiedziały to, czego nikt inny nie wiedział.

— Tak zwani znawcy uważają, że najważniejsze są maniery — mówił

Ryogi. — Tak zresztą brzmi dewiza „starej szkoły” z Kioto. — Roześmiał

się. — Głędzą jak ślepcy. Wygląd, mój panie. Liczy się wygląd. Etykiety zawsze można się nauczyć, a urodę ma się tylko z urodzenia. Nikt nie zmusi kobiety, żeby była piękna.

Kawakami na odczepnego skinął głową, chociaż wcale się z nim nie zgadzał. Nie miał ochoty na rozmowę. Nie wyruszył na tę wyprawę po to, by konwersować z alfonsem. Ryogi był stary, opryskliwy, prymitywny, głupi, pełen najgorszych przywar i do tego najzwyczajniej wstrętny.

Chyba w ogóle nie dbał o higienę. Miał jednak nadzwyczajną cechę: potrafił dostrzec piękno w kobiecie, nawet gdy była jeszcze małym dzieckiem. Nikt zbyt go nie cenił, więc jego „protegowane” nie trafiały do najlepszych domów i nie były szkolone na gejsze. Ich uroda rozkwitała w nędznych burdelach, w najgorszej części Płynącego Świata.

Tam też znalazł go Kawakami. Najpierw zwrócił uwagę na prześliczne buzie, wyzierające zza drewnianych krat zasłaniających okna jakiejś parszywej budy w Edo. Zainteresował się nimi bliżej i od razu dowiedział

się dwóch rzeczy. Po pierwsze, wszystkie widziane przezeń dziewczęta, choćby nie wiem jak młode, były już zniszczone życiem i nie nadawały się do jego celów. Po drugie, każdą z nich przywiózł i sprzedał ten sam człowiek.

Kawakami wyjechał z Ryogim, pełen nadziei, że przy okazji być może sam czegoś się nauczy. Nie udało mu się to. Trzy małe dziewczynki, które wybrał alfons, były ładne, ale Kawakami nie umiał dostrzec w nich zakłętej urody. Nie potrafił powiedzieć, czy jako dziewczęta będą piękne, czy brzydkie.

— Dziękuję za cenną lekcję — powiedział. Dał znak swoim pomocnikom, by wręczyli Ryogiemu stosowną zapłatę.

Ryogi przyjął złoto z przesadnym ukłonem.

367

— Wydaje mi się, że tam w dolinie jest jeszcze jedna wioska. Widzą dym. I coś chyba czuję...

— *Eta* — rzucił Kawakami. Była to kasta „niedotykalnych”, czyli wyrzutków przeznaczonych do najpośledniejszej pracy. Gardzili nimi nawet najubożsi chłopcy.

— Rzeźnicy? — zapytał Ryogi, węsząc w powietrzu jak kundel.

— Raczej garbarze — odparł Kawakami. Zatoczył koniem koło w stronę zamku, z dala od smrodu niesionego w ich stronę zmiennym wiatrem.

— Zerknę tam — powiedział Ryogi. — Nigdy nie wiadomo, gdzie coś się może trafić...

Kawakami zamierzał go pożegnać, lecz po namyśle zawrócił.

Czasami trzeba chodzić tam, gdzie nikt nie chadza, żeby wiedzieć to, czego nie wiedzą inni.

— Pojadę z tobą.

— Panie — zaproponował dowódca straży przybocznej —

niepotrzebnie się narażasz. Po co obcować z nieczystymi? Jakie piękno chcesz znaleźć wśród tych, którzy patroszą i obdzierają zwierzęta ze skóry?

— A jeśli nawet — dodał inny samuraj — to który mąż zechce zlec z taką dziewczką?

— Mimo to udamy się tam z naszym przewodnikiem — odparł

Kawakami.

Zrozumiał wszystko, gdy tylko ją zobaczył. Miała najwyżej trzy lata.

Ryogi nie musiał mu nic mówić, choć oczywiście gadał jak najęty.

— Na pewno niejednego zniszczy, zanim na dobre ją zużyją —

mruczał pod nosem. — Gdzie jej rodzina albo krewni?

Tłum wyrzutek klęczał w pyle drogi, przyciskając czoła do ziemi.

Nikt nie śmiał się odezwać. Byli zbyt przejęci obecnością Kawakamiego.

Nigdy dotąd żaden samuraj, nie mówiąc już o spadkobiercy starego dziedzica, nawet nie zajrzał do ich wioski.

— Gadać! — warknął Kawakami.

— Panie... — Dwoje ludzi wysunęło się naprzód na czworakach, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Za nimi pełzło troje 368

dzieci: dwóch chłopców i dziewczynka. Najmłodsze z nich miało może pięć lat, najstarsze osiem.

— Pokaż mi swoją twarz, kobieto.

Z ociąganiem uniosła głowę i przymknęła oczy. Była bardzo ładna, choć nie pierwszej młodości. W jej ruchach i sylwetce kryła się jakaś wrodzona elegancja. Ktoś, kto jej nie znał, zapewne nigdy by

się nie domyślił, że należy do wyklętej kasty.

— Nieźle, nieźle... — mamrotał Ryogi. — Ale to jeszcze nic w porównaniu z córką.

Na znak Kawakamiego jeden z samurajów rzucił na ziemię kilka monet. Dziewczynkę posadzono na steranej szkapie, którą Ryogi prowadził za swoim koniem. Orszak odjechał.

Na zamku Hino Kawakami wypłacił Ryogiemu sutą premię za udzieloną lekcję. Nazajutrz rano stary stręczyciel udał się do Edo, zabierając ze sobą cztery niewolnice. Na nocleg stanął w przydrożnej oberży. Kiedy o świcie nie zszedł na śniadanie, karczmarz zajrzał do sypialnej izby, żeby zobaczyć, co się stało. Ryogi leżał z poderżniętym gardłem. Podobny los spotkał trzy dziewczynki, które z nim podróżowały. Czwarta zniknęła.

Kuma Niedźwiedź, zgodnie z poleceniem, zabrał dziecko do swojej wsi, zamieszkiwanej przez klan ninja.

— Jak masz na imię?

— Mitsuko.

— A ja Kuma. Jestem twoim wujem.

— Nieprawda. Nie mam wuja.

— Masz, tylko do tej pory o tym nie wiedziałaś.

— A gdzie mama?

— Przykro mi, Mitsuko. Był straszny wypadek. Twoja mama, tata, siostra i bracia odeszli do krainy Czystej Ziemi.

— Nie!

— Kumę poznałeś — ciągnął Kawakami — chociaż nie byliście sobie formalnie przedstawieni. Twój przyjaciel Stark zabił go zaraz po tym, jak cudzoziemskie okręty ostrzelały Edo. Pamiętasz?

— Tak.

369

— Chyba nie muszę ci wyjaśniać, że Mitsuko, którą do tej pory znałeś tylko pod jej zawodowym pseudonimem — wcale nie jest sierotą. — Dał

znak przybocznemu, żeby nalał mu sake. Okazja skłaniała do raczenia się trunkiem trochę mocniejszym od herbaty. Nawet nie przejął się, że musi pić samotnie. — Jej rodzice żyją, tak samo jak rodzeństwo. Są podobni do niej jak dwie krople wody. Zwłaszcza matka i siostra. Widać to po nich szczególnie teraz, kiedy Mitsuko jest dorosła. Tylko że po niej nie znać trudów życia. Nie

napijesz się ze mną, książę? To naprawdę pierwszorzędną sake. Czysta — dodał, kładąc wyraźny nacisk na ostatnie słowo.

— Nie, dziękuję.

— Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Nie doczekam się riposty?

— Nie.

— Szkoda, że nie przewidziałeś tak istotnej sprawy.

— Ja nie żałuję — odparł Genji. — W gruncie rzeczy nic się nie stało.

Moje uczucia nie uległy zmianie.

— Twoje uczucia? — Kawakami roześmiał się chrapliwie. — To chyba najmniejsze zmartwienie! Tylko pomyśl: ty, prawy książę, dzieliłeś łożę z *eta*, córką wyrzutków, gównojadów i śmierdzących degeneratów. Doprawdy szkoda, że nie pożyczysz dostatecznie długo, aby być świadkiem poruszenia, jakie wywoła w kraju ta wiadomość! To przecież niezmywalna plama na honorze wymarłego rodu! Trochę szkoda, że nie macie dzieci... Zaczekałbym do waszego ślubu, ale musiałem się pospieszyć przez tych przeklętych cudzoziemców. Od ich przybycia wszystko dzieje się o wiele prędzej.

— I tak nikt w to nie uwierzy — powiedział Genji.

— Tak uważasz? A jeśli pojawi się razem z siostrą i matką? Wtedy już nie będzie żadnych wątpliwości.

— Nie dojdzie do tego — mruknął Genji.

— A dlaczego? Też to przewidziałeś?

Genji się uśmiechnął. Nie był to ten sam buńczuczny uśmieszek, co przed chwilą, ale i tak złościł Kawakamiego.

— Zobaczyłem i usłyszałem wszystko, co konieczne. Teraz pozwól, że się oddalę.

370

Samuraje spojrzeli na swojego pana, czekając na rozkaz, by wyciągnąć miecze. Kawakami siedział bez ruchu. Niech wraca, myślał. Niech idzie do Heiko. Niech popatrzy na nią i poczuje to, co musi poczuć. Choćby dla tej chwili nie warto go zabijać. Cierpliwość też bywa przyjemna.

Nigdy przedtem Genji nie był tak boleśnie świadom niedoskonałości swoich dawnych wizji. Sytuacja z pozoru była beznadziejna, ale on wiedział, że nie zginie. Musi żyć, by paść kiedyś z ręki zamachowca, w zupełnie innym miejscu i czasie. Musi żyć, by poznać piękną panią Shizukę i doświadczyć trzeciego widzenia. Cóż jednak da mu ta wiedza?

Jak ślepiec wpadł w gorszą pułapkę.

*Eta.*

Przed Kawakamim mógł udawać cynika. Ale nie przed sobą. Czuł się chory na myśl o Heiko. *Eta.*

Nigdy nie widział na oczy nikogo z tej wyklętej kasty. Kasty rzeźników, rymarzy, śmieciarzy, palaczy zwłok i grabarzy. Heiko jest jedną z nich. *Eta.*

Chwyciły go nagłe mdłości.

— Źle się czujesz, panie? — Od chwili powrotu pana, Hide czekał

cierpliwie na dalsze rozkazy. To, że przemówił pierwszy, było wynikiem obawy, że księżę został otruty przez Kawakamiego.

— Mam złe wieści — oznajmił Genji. Pod jego nieobecność, pozostali przy życiu wojownicy ułożyli wysoki wał z zabitych koni, osłaniający ich maleńki szaniec. Ciała zwierząt były doskonałą obroną przed kulami.

Zapewne Genji doceniłby ten pomysł, gdyby tak bardzo to nie przypominało rzeźni. Nie patrzył na otaczające go twarze. Gdyby to zrobił, musiałby spojrzeć na Heiko, a tego nie chciał. Po prostu nie mógł.

Jeszcze nie teraz. Wbił wzrok w drewniane pudło zawinięte w jedwab, które przyniósł od Kawakamiego.

— Pan Shigeru nie żyje.

Stłumiony jęk rozczarowania zdradził, że i oni łudzili się nadzieją, iż Shigeru ocali ich w ostatniej chwili. Że przybędzie 371

na spienionym koniu i pokona setki wojowników. Tylko on mógł tego dokonać.

— To pewne, panie? — spytał Hide. — Kawakami zna różne sztuczki.

Może próbuje nas oszukać?

Genji skłonił się przed pudłem i rozwinął jedwab. Kątem oka zauważył, że Heiko powiedziała coś szeptem do Emily. Amerykanka szybko wbiła wzrok w ziemię. Genji się zawstydził. Był wdzięczny gejszy za jej delikatność i zły na siebie, że po rozmowie z Kawakamim widzi ją w niekorzystnym świetle.

Kiedy otworzył pudło, znów się rozległo głośne westchnienie. Kilku żołnierzy zaczęło szlochać. Po chwili płakali wszyscy. Z jedenastki, która przeżyła starcie z Sohaku i cało wyszła z zasadzki strzelców, wszyscy ćwiczyli pod okiem Shigeru. Ostry, brutalny, wymagający i niezmordowany, prawdopodobnie był ostatnim samurajem w starym stylu, mistrzem sztuk walki. Nikt poza nim nie

budził większej grozy, a jednocześnie uwielbienia. Jego śmierć ujawniła najskrytsze uczucia, drzemiące w sercach twardych wojowników.

Emily nie umiała powstrzymać emocji.

— Dlaczego wojna jest tak okrutna? — zapytała zdławionym głosem.

— Czyż sama śmierć nam nie wystarczy?

— Śmierć nie ma nic wspólnego z okrucieństwem — odparła Heiko.

— O wiele gorszy jest dyshonor. Pan Kawakami w najdotkliwszy sposób obraził wszystkich członków klanu, oddając nam to trofeum. Dlatego płaczą. Wstyd im, że nie zdołali obronić pana Shigeru. O wiele bardziej żal im teraz siebie niż zmarłego.

Tymczasem Stark przejrzał swoje juki. Miał dwa nabite sześciostrzałowce, czterdzieści nabojów do czterdziestkiczwórki i osiemnaście do trzydziestkidwójki. Po zmroku zamierzał przedrzeć się do klasztoru. Przy odrobinie szczęścia sforsuje mury i zastrzeli Ethana Cruza. Miał nadzieję, że wybuch go nie zabił.

— Hide, powiedz paniom Heiko i Emily, że teraz muszą nas opuścić

— poprosił Genji. — Pan Kawakami gwarantuje im pełne bezpieczeństwo. Pan Stark także może iść, dokąd zechce.

— Tak jest, panie. — Hide oddalił się w stronę Heiko. Gejsza dobrze słyszała słowa księcia, bo ich bastion był

372

raczej mały i stali obok siebie w odległości nie większej niż dziesięć kroków. Zdziwiło ją, że nie zwrócił się bezpośrednio do niej. Od powrotu omijał ją wzrokiem. Czyżby Kawakami powiedział mu coś, co zachwiało jego zaufaniem? Dał wiarę słowom tego oszusta? Nie, to przecież niemożliwe. Powinien wiedzieć, że jej miłość jest jedyną pewną i niezmienną rzeczą na tym niepewnym świecie.

— Nie odejdę — powiedziała, zanim Hide zdążył otworzyć usta.

— Niestety, ale w tym przypadku nie masz wyboru, pani — odparł samuraj. — To rozkaz księcia.

Heiko błyskawicznie wyciągnęła nóż i przyłożyła sobie ostrze do szyi.

Wystarczyło, żeby poruszyła ręką, aby przeciąć główną tętnicę.

— Nie odejdę — powtórzyła twardo. Emily zbladła jak kreda i szepnęła:



— Heiko...

Ale gejsza nie zwracała na nią najmniejszej uwagi.

Stark, który stał za jej plecami, miał ochotę złapać ją za rękę. Zanim jednak się poruszył, Heiko lekko odwróciła głowę. Przewidziała jego zamiary. W lot zrozumiał, że nie zdąży, i postanowił się nie wtrącać.

Heiko spojrzała na Genjiego.

— Panie...

Księżę wiedział, że Kawakami na pewno jej nie zabije. Pokazywana wraz z rodziną, byłaby żywym dowodem hańby klanu Okumichi. Czekąco ją upokorzenie gorsze od najstraszniejszej śmierci. Gdyby Genji powtórzył swoje polecenie i kazał jej teraz odjechać, mógłby oszczędzić jej agonii. Bez wahania podciąłaby sobie gardło. Niestety... nie mógł tego zrobić. Ciągle ją kochał, bez względu na to, czego się dowiedział. Nie chciał przyczynić się do jej śmierci. Prorocza wizja obiecywała mu dalsze życie. Może i dla niej była jakaś szansa?

Spojrzał na Heiko i złożył jej głęboki ukłon.

— Mam nadzieję, że jestem wart takiego poświęcenia. Heiko opuściła nóż i także się ukloniła.

373

— Są rzeczy, które nie mają wartości, panie. Są bezcenne.

Genji roześmiał się mimo woli.

— Tak sądzisz? W takim razie mój dług jest o wiele większy.

— Owszem — odpowiedziała Heiko zalotnym tonem prawdziwej gejszy. — I jak go spłacisz?

Teraz już wszyscy wybuchnęli śmiechem. Czym tu się martwić, skoro tych dwoje rozmawia z sobą tak bez troski? Żołnierze prędko ocierali łzy i poprawiali rynsztunek.

— Co ty wyprawiasz, Heiko? — szepnęła Emily.

— To tylko taki mały pokaz — odpowiedziała gejsza. — Na ogół

czyny lepiej niż słowa trafiają do serc samurajów.

— Emily, Matthew... — przemówił Genji. — Możecie odejść. Mój wróg obiecał, że nic wam nie zrobi.

— Odejść? — zapytał Stark. — A niby dokąd?

— Pewnie zamierza was odstawić do amerykańskiego konsulatu w Edo. Zdążycie na następny statek do Ameryki.

— Nie mam tam nic do roboty — mruknął Stark. Lufą rewolweru wskazał na klasztorne mury. — Tam czeka moje przeznaczenie.

— Już ci wyjaśniałam, panie, że do końca muszę spełnić swoją misję

— dodała Emily. — Tu, w Japonii.

— Wkoło stoją setki wrogów — tłumaczył Genji — którzy czyhają tylko na to, żeby nas zabić i posiekać. Chcesz zostać w samym środku bitwy?

— Tak nakazuje Bóg — powiedziała.

Stark tylko się uśmiechnął i odwiódł kurki rewolwerów. Genji uklonił

się i popatrzył na swoich wojowników.

— Pan Kawakami zamierza przyjść tu po głowę mego stryja i przy okazji zabrać moją. Nie pozwolę mu na to.

— Sam ją straci! — zawołał Hide. — Będzie gnła na czubku włóczni przed ruinami jego zamku!

— Właśnie! — rozległo się kilka zapalczywych głosów.

— Na co czekamy? Idźmy do niego!

— Stójcie — powiedział Genji. Nie chciał, żeby ta garstka ludzi, których miał przy sobie, zginęła w samobójczej szarży na oddział

muszkietarów. — Kiedyś miałem wizję związaną z tymi wypadkami. To 374

jeszcze nie koniec. — Nie wspomniał o tym, że być może tylko on przeżyje. Jego słowa odniosły pożądany skutek. Samuraje nabrali większej pewności siebie. — Rzecz jasna wcale nie wzbraniałam atakować tym, którzy chcą natychmiast zginąć.

W tej samej chwili strzelcy otworzyli ogień, może przypadkiem, a może na rozkaz Kawakamiego, który rozzłościł się, słysząc bojowy okrzyk i wiwaty w oblężonym szańcu. Salwy padały jedna po drugiej.

Grad kul szarpał końskie mięso z taką siłą, że wrywał całe kawały.

Pociski świstały nad głowami przyczajonej grupki.

Ile prawdy było w moich wizjach?, zastanawiał się Genji. Coraz mniej wierzył, że wyjdzie cało z tej przygody. Był przekonany, że wkrótce jego głowa, razem z głową stryja, zawiśnie na łąku siodła

Kawakamiego. Albo raczej dowódcy gwardii, Lepkie Oko bowiem był wybredny w tych sprawach. Genji pomyślał o słowach dziadka:

„Choćbyś dokładnie wiedział, co się stanie, czasem twoje przeznaczenie spełni się w nieoczekiwany sposób”.

Hide ze spokojem pokiwał głową, widząc uśmiech na twarzy księcia.

Tymczasem wszystko coraz szybciej zmierzało wprost ku katastrofie.

Końskie zwłoki zaczęły się rozpadać. Hide został uderzony w ramię odstrzelonym kawałkiem przedniej nogi. Obrońcy stali po kostki w grząskim błocie, od stóp do głów zbryzgani krwią zwierząt. Zdawało im się, że trafili do przedsionka piekła. A jednak Genji się uśmiechał. Hide mocniej ścisnął rękojeść miecza. Wiedział już, że zwyciężą. Pozostawało jednak tajemnicą, jak tego dokonają.

— Genji i Heiko... — mrucał Kawakami — postarajcie się wziąć ich żywcem. Twarz dziewczyny musi być nietknięta.

— Tak jest, panie. Sęk w tym, że może już nie żyją albo są okaleczeni.

Oddaliśmy w ich stronę setki strzałów.

— Tylko po to, żeby pozabijać i tak już martwe konie — warknął

Kawakami. — Nie, oni tam na nas czekają. Będą walczyli. Odłóżcie strzelby i weźcie się do mieczy.

— Tak jest, panie.

375

— Zaczekaj! Wybierz dziesięciu najlepszych strzelców i daj im rozkaz, żeby zabili cudzoziemca. Mają go zastrzelić, jak tylko się pokaże.

— Tak jest, panie.

Kawakami, jak zwykle, obserwował bitwę z bezpiecznej odległości.

Samuraje ustawili muszkiety w kozły i sięgnęli po miecze. Dawniej zrobiliby to chętniej. Teraz bardziej wierzyli w broń palną. Podobnie zresztą jak Kawakami. Nie dlatego, że sześćset muszkietów znaczyło więcej niż dziesięć czy dwadzieścia mieczy po stronie Genjiego. To żaden dowód. Ważniejsze było, że od wystrzelonej kuli padł nawet Shigeru. Wiejski parobek ze strzelbą w dłoni mógł zabić samuraja. Po dwóch tygodniach spędzonych na strzelnicy był ciura potrafił pokonać szermierza, który całe lata strawił na ćwiczeniach. Świat kroczył naprzód, powstrzymywany co najwyżej siłą historycznej inercji.

Lecz W tym przypadku należało wymyślić nową taktykę. Wymyślić

— albo przejąć ją od cudzoziemców. Łatwo strzelało się w obronie lub z zasadzki. O wiele gorzej jest z atakiem, zwłaszcza kiedy przeciwnik również posiada broń palną. Natarcie rwało się, bo muszkietrzy wciąż musieli przystawać, żeby na nowo naładować strzelby. Jak radzą sobie z tym cudzoziemcy? Kawakami zamierzał to sprawdzić. Po załatwieniu sprawy z Genjim, postanowił poświęcić się studiom nad balistyką i sztuką artyleryjską. A może wśród cudzoziemców jest jakiś wspaniały strateg pokroju Sun Zi?, zastanawiał się Kawakami. Jeżeli tak, to chętnie przeczytam jego wersję *Sztuki wojennej*. Władza wysuwa się ze słabych rąk Tokugawów, lecz nowy rząd nie może polegać wyłącznie na mieczach samurajów. Następny shogun musi mieć przy sobie regularne oddziały strzelców. Może to ja nim będę? Dlaczego nie? Skoro zmieniają się reguły wojny, zmieni się prawo dziedziczenia. W praktyce siła jest ważniejsza niż wszelkie rodowody.

Strzelby. Potrzebne mu są strzelby. Lepsze niż teraz. Większe.

Armaty. Flota wojenna.

Zaraz, zaraz... Najpierw trzeba załatwić najpilniejsze sprawy. Jest jeszcze Genji.

Kawakami ostrożnie wysunął się o parę kroków. Ludzie księcia, chociaż nieliczni, także mieli broń palną. Nie chciał zginąć od zabłąkanej 376

kuli w momencie triumfu. Jechał tak, by przez cały czas kryć się za drzewami.

— Dlaczego przestali strzelać? — spytał Hide.

— Chcą mojej głowy — odparł Genji. — A do tego muszą użyć mieczy.

Taro ukradkiem zerknął za obwałowanie.

— Idą.

Genji popatrzył na swoich ludzi. Każdy z nich dzierżył miecz w rękach. Porzucone muszkiety walały się w błocie. Lepiej byłoby na początek przywitać wroga ogniem i ołowiem, ale nikt teraz o tym myślał.

Byli samurajami. W decydujących chwilach wierzyli tylko w siłę stalowego ostrza.

Wyciągnął swój miecz. Prawdopodobnie jest ostatnim z klanu Okumichi. Ostatnim i w dodatku fałszywym prorokiem. Wiedział już, że nie będzie żadnego zamachu, pani Shizuki, dziecka ani trzeciej wizji. To złudzenia. Spojrzał na Heiko i zobaczył, że ona też na niego patrzy.

Uśmiechnęli się niemal jednocześnie. Nie, nie wszystko było złudzeniem.

— Na stanowiska! — rozkazał swoim ludziom. — Ruszamy do ataku.

— Tak umierają samuraje. Podczas natarcia. Niczym gład spadający z niebosiężnej skały w nieskończoną pustkę. — Gotuj się...

Huk muszkietów dobiegający zza klasztornych murów przerwał mu w pół słowa. Śmierć zbierała straszliwe żniwo w pierwszych szeregach Kawakamiego. Atak zmienił się w bezładny odwrót. Przerażone wojsko uciekało na wszystkie strony, aby dalej od Mushindo. Zagrzehotała druga salwa, nie mniej skuteczna od pierwszej.

Genji widział na murze lufy co najmniej czterdziestu muszkietów. Kto strzela? Nie miał czasu na rozmyślanie, bo w tej samej chwili na tyłach wroga także zobaczył jakieś zamieszanie. Ziemia dudniła pod kopytami koni.

— Jeźdźcy! — zawołał Hide. — Ktoś zaatakował Kawakamiego!

377

— Odsiecz! — dodał Taro.

— Ale skąd? — dopytywał się Hide. — Do naszego zamku jest trzy dni szybkiej jazdy!

— Patrz! — krzyknął Taro. — Wracają!

W obawie przed kawalerią, oddziały Lepkiego Oka zawróciły w stronę Mushindo. Tam znowu zostały powitane kulami z muszkietów.

Potem jednak strzały umilkły, muszkieterzy musieli naładować broń.

Szaniec zalała ludzka fala. Genji i jego podkomendni desperacko walczyli o życie. Błyskały miecze. Krew umierających ludzi mieszała się w błocie z po-soką martwych koni. Genji usłyszał dwanaście strzałów z broni Starka. To wszystko.

Amerykanin nie miał czasu, żeby ponownie nabić rewolwery.

Podniósł czyjś miecz, ujął go oburącz i walił wokół siebie jak siekierą, szarpiąc ciała, rozłupując czaszki i odcinając kończyny.

Heikó i Hanako stały w samym środku, osłaniając sobą Emily. Cięły i dźgały każdego, kto próbował się do nich zbliżyć.

Hide walczył z kilkoma przeciwnikami naraz. W pewnym momencie jeden z żołnierzy Kawakamiego zaszedł go od tyłu i zadał błyskawiczne cięcie.

— Hide! — ostrzegawczo krzyknęła Hanako. Zasłoniła go własnym ciałem. Spadający miecz odciął jej lewą rękę tuż nad łokciem.

Zza drzew wypadł oddział konnicy. Na plecach jeźdźców powiewały zrobione pośpiesznie sztandary z wizerunkiem wróbla i strzał. Tratowali uciekających wrogów. W powietrzu, niczym wojenny okrzyk, wibrowało imię księcia.

— Genji!

— Genji!

— Genji!

— Poznajesz, kto to, panie? — zapytała zdumiona Heiko.

— Tak — odparł książę. — Ale nie wierzę własnym oczom.

— Przecież kazałem przerwać ogień! — złościł się Kawakami.

378

— To nie nasi ludzie, panie. Strzały słychać od strony klasztoru

— Niemożliwe. Wybuch na pewno zabiłby każdego, kto był w środku.

- Być może Genji ściągnął posiłki. — Adiutant bojaźliwie obejrzał się przez ramię. — Od początku wydawało mi się podejrzanym, że wyruszył z tak małą eskortą. A może to pułapka,

Na pewno nie — odparł Kawakami. — Gdyby tak było, Genji nie spotkałby się ze mną. Nie ryzykowałby wizyty we wrogim obozie.

Zobaczył, że jego ludzie w popłochu uciekają spod murów klasztoru.

W oddziałach zapanował chaos.

— Wydaje mi się, że nasze wojsko zmierza w złym kierunku.

— Niespodziewany ostrzał wywołał pewne zamieszanie — przyznał adiutant.

— Idź tam i przywróć porządek w szeregach.

— Tak jest, panie — odparł adiutant, lecz wcale nie kwapił się, by wypełnić rozkaz.

Kawakami już otwierał usta, żeby go zbesztać, kiedy wśród drzew rozległy się donośne krzyki:

— Genji!

— Genji! — Genji!

Bojowy okrzyk klanu Okumichi zwiastował atak kawalerii. Jeźdźcy jak burza wpadli na nieosłonięte tyły wojsk Kawakamiego. Wróg znalazł

się w pułapce; pieszo, bez muszkietów, zamknięty między strzelcami z Mushindo i szarżującą jazdą. Wybuchła panika. Niektórzy rzucali broń i uciekali byle dalej, traktem wiodącym do Edo, dziesiątkowani przez pociski, miecze i kopyta.

Kawakami i jego adiutant nie ujechali zbyt daleko. Szybko zostali otoczeni i pojmani niemal bez oporu.

— Stójcie! — krzyknął Lepkie Oko. — Żywy jestem dla was o wiele cenniejszy niż martwy. Nazywam się Kawakami! — zawołał z pychą, nie bacząc na to, że stał się jeńcem. Uznał to tylko za nieprzyjemną przygodę.

Nie było mowy

379

o porażce. — Dobrze wiem, że to nie są wasze prawdziwe sztandary.

Nie należycie do klanu Okumichi. Kim jest wasz wódz? Prowadźcie mnie do niego.

Przez piętnaście lat Mukai był prawą ręką szefa tajnej policji shoguna.

Robił wszystko, co kazał mu pan Kawakami, chociaż więcej było w tym gniewu niż satysfakcji. Wychodził jednak z założenia, że celem życia nie jest poszukiwanie przyjemności. Przeciętny człowiek powinien słuchać tych na górze i rozkazywać tym na dole.

Zbyt późno przyszło mu do głowy, że to nie życie, ale egzystencja, niewiele różniąca się od powolnej śmierci.

Dopiero teraz odkrył prawdziwe życie.

Zwierzęca moc galopującego konia była niczym w porównaniu z rozpierającą go siłą i energią.

— Genji!

— Genji!

— Genji!

Podniecony do granic bolesnej ekstazy, Mukai uważał siebie za ucieleśnienie Boga Piorunów, podążającego na odsiecz obłązonemu księciu. Dzięki miłości ze zdumieniem odkrył w sobie cechy, których istnienia nigdy by nie podejrzewał. Miłość dała mu swobodę. Jego szczęście było szczęściem w najczystszej postaci. Nie myślał już o powinnościach, historii, rodzinie, tradycji, zobowiązaniach, poklasku i wstydzie. Nie istniało nic poza miłością. Na całym świecie byli tylko dwaj ludzie — on i Genji.

Stu osiemdziesięciu wiernych samurajów towarzyszyło mu w szaleńczej galopadzie z odległego lenna na północy. Mukai przekonał ich do tego, mówiąc, że na pewno odniosą zwycięstwo. Że sam Genji to przepowiedział. Oczywiście skłamał, ale potrafił kłamać. Wielkie uczucie w tajemniczy sposób przydało mu elokwencji. Ludzie słuchali go z zachwytem. Nie dukał prostych zdań, jak to miał w zwyczaju, lecz w porywającym stylu skłonił ich do posłuszeństwa.

Powiewał nad nim ten sam sztandar, który widywał w marzeniach.

Nie znał pojęcia strachu i nadziei, życia i śmierci, przeszłości i przyszłości. Z radosnym zapamiętaniem ciął każdego, kto mu wchodził w drogę.

380

— Genji!

Był to prawdziwy krzyk miłości, bojowy zew, wyznanie, mantra...

Przerażeni ludzie Kawakamiego na oślepi szukali schronienia przed kopytami koni i ogniem muszkietów. Wielu z nich w panice biegło w stronę szańca, resztką sił bronionego przez samurajów księcia.

Mukai klął w duchu. Bał się, że pokonał taką długą drogę tylko po to, by stwierdzić, że przybył za późno. Nie jest mistrzem strategii, i to go bolało. Gdyby wiedział coś więcej o sztuce wojennej, z góry przewidziałby plan Kawakamiego i przyjechał tutaj przed paroma dniami, zamiast po próżnicy błąkać się po górach. Kilka razy zabłądził. Nie znał

się na gwiazdach, wiatrach i szlakach ptasich wędrówek. Gdyby był

mądrzejszy, nie straciłby paru cennych godzin, podążając na wschód zamiast na zachód. Przeklinał te piętnaście lat, które przesiedział w izbie tortur, pozbawionej choćby najmniejszego okna. Nie wyjeżdżał z miasta, więc nie znał okolicy. A szkoda, bo w ten sposób mógłby chociaż trochę zrekompensować braki wiedzy, zwłaszcza z dziedziny strategii.

Nie! Nie zginą z dala od siebie. Nie teraz, kiedy są tak blisko... Mukai oderwał się od swych gwardzistów i galopem wjechał w kłęb ludzi i mieczy.

— Genji!

Rąbał dziko na lewo i prawo każdego, kto mu się nawinał. Parł w stronę księcia. Błyszczących mieczy było tak wiele, że niemal zaraz zabito pod nim konia. Nie czuł pchnięć włócznią i zdradzieckich ciosów, które szarpały jego ciało. Genji. Musiał do niego dotrzeć. Walczył nadal, choć teraz już pieszo.

— Panie Mukai! Proszę zaczekać! — Gwardziści próbowali do niego dołączyć.

— Genji!

— Mukai!

Przeskoczył przez wał z koni i stanął przed księciem.

— Panie. — Skłonił się. — Przybyłem, tak jak obiecałem.



— Uwważaj! — Genji odbił cięcie mierzone w jego plecy. —

381

Na razie powstrzymajmy się od uprzejmości. Powiem ci tylko, że bardzo się cieszę i jestem zdumiony.

— Panie — powtórzył Mukai.

Ta sama miłość, która przedtem dała mu dar wymowy, teraz go odebrała.

— Panie. — Nic więcej nie był w stanie wykrztusić. Genji od stóp do głów zbryzgany był czerwoną posoką.

Czyja to krew? Jego własna, zabitych wrogów czy poszarpanych koni? Mukai nie wiedział. Zresztą jakie to ma znaczenie? Jest tutaj, w tej ostatniej przecudownej chwili, aby razem z Genjim stawić czoło najgorszym przeciwnościom losu. Zwykłe pojęcia nic tu nie znaczą. Nie istnieje podział na podmiot i przedmiot. Nie istnieje czas ani brak czasu.

Co było wewnątrz, a co na zewnątrz? Nie poszukiwał na to odpowiedzi, zadawanie pytań bowiem nie miało sensu.

— Panie.

Przez parę chwil wszystkim się zdawało, że oto nadszedł nieuchronny koniec. Zbyt wielu było ludzi Kawakamiego, a za mało obrońców szanca.

W miejsce każdego zabitego zaraz stawało trzech następnych. Krąg mieczy z wolna się zacieśniał. Wreszcie, tuż przed ostateczną klęską, z klasztoru znów się odezwały strzały. Atak załamał się i jakby na bezgłośny rozkaz wrogowie porzucili broń i uklękli w błocie.

Koniec bitwy.

— Zwyciężyłeś, panie — powiedział Mukai.

— Nie — zaprzeczył Genji. — To ty wygrałeś. Zwycięstwo jest wyłącznie twoje.

Mukai uśmiechnął się szeroko. Miał wrażenie, że całe jego ciało jaśnieje szczęściem.

— Mukai! — Genji chwycił go w ramiona, zanim ten osunął się na ziemię.

— Panie! — Gwardziści podbiegli do niego. Odprawił ich ruchem dłoni, ani na chwilę nie odrywając oczu od twarzy księcia.

— Gdzie cię ranili? — zapytał Genji.

Mukai nie dbał o rany. Chciał mu powiedzieć, że są marzenia, które się spełniają, i że do tego wcale

nie trzeba być jasnowidzem. Chciał mu powiedzieć, że zna tę chwilę, że widział ją

382

już jak na dłoni — krew, uścisk, powiew śmierci, brak lęku i wieczystą, ekstatyczną i transcendentalną jedność, pozbawioną granic postrzegania, definicji i zrozumienia.

A chwilę potem nie chciał już niczego. Został tylko uśmiech.

— Panie! — Gwardziści ze zgrozą patrzyli na księcia, który powoli złożył na ziemi stygnące ciało. Mukai obiecał im zwycięstwo. Nie mówił, że sam przy tym zginie.

— Pan Mukai nie żyje — powiedział Genji.

— Co mamy teraz z sobą począć, książę? Straciliśmy pana. Nie zostawił następcy. Shogun na pewno skonfiskuje całe jego lenno.

— Do końca był mi wiernym, oddanym i bliskim przyjacielem —

odparł Genji. — Tych z was, którzy tego zechcą, przyjmę do siebie na służbę.

— Zatem jesteśmy twoi, panie. — Gwardziści pochyłili głowy w głębokim ukłonie. — Co rozkażesz?

— Proszę, proszę... — odezwał się Kawakami. — Piękne.

Wzruszające. Scena, która na pewno wejdzie do dramatu kabuki, opiewającego twoje czyny, panie — zwrócił się do Genjiego. Dumnie potoczył wkoło wzrokiem, patrząc na wszystkich z wysokości siodła.

Otoczający go żołnierze, onieśmieleni jego zachowaniem, eskortowali go niczym dostojnego gościa, a nie zwykłego jeńca. Jego kimono, podobnie jak strój adiutanta, było nieskazitelnie czyste, bez najmniejszej plamki krwi czy błota.

— Z konia — rzucił Genji.

— Uważaj, książę, do kogo mówisz — obruszył się Kawakami. —

Nie daj się ponieść nerwom. Jak dotąd niczego nie osiągnąłeś, poza niewielką szansą, że przeżyjesz. — Nie był szermierzem. Parał się całkiem inną sztuką. Jego najlepszą bronią była wiedza, czyli coś, z czego, jak na ironię losu, od lat słynęli Okumichi. Wiedza dająca mu zwycięstwo. — Może osiągniesz dużo więcej, jeżeli zaczniesz mądrze pertraktować. Pozwolisz zatem, że zaproponuję...

Genji wyciągnął rękę, złapał go za ramię i ściągnął na ziemię.

Kawakami zakrztusił się, splunął i uniósł twarz pokrytą błotem.

— Ty...

383

Miecz Genjiego zakreślił łuk w powietrzu i jednym ciosem przeciął

mu szyję. Głowa opadła między ramiona, podtrzymywana tylko wąskim paskiem skóry na karku. Trysnęła fontanna krwi, ale na krótko, bo ciśnienie w martwym już teraz ciele natychmiast zanikło. Tułów osunął

się w grząskie błoto. Nieruchome oczy ze zdumieniem patrzyły w niebo.

Genji zerknął na adiutanta. Był w namiocie, gdy Kawakami zdradził

sekret Heiko.

— Panie... — zaczął adiutant.

— Zabić go — rzucił Genji.

Dwaj samuraje stojący po bokach jeńca poruszyli się niemal jednocześnie. Ciało upadło w trzech kawałkach: głowa, prawa ręka i cała reszta.

Genji popatrzył na pozostałych jeńców. Były ich ze trzy setki.

Wszystko zaciężni samuraje, nie dopuszczani do tajemnic pana.

Kawakami lubił się przechwalać, że wie to, czego nie wiedzą inni. Z

drugiej strony, niechętnie dzielił się tą wiedzą. Jego adiutant znał prawdę o Heiko. Mukai? Zapewne także. Ale kto jeszcze? Żona? Konkubiny?

Inne gejsze? Genji pokręcił głową. Choćby wybił połowę kraju, to i tak nigdy nie zyska pewności, że pozbył się wszystkich świadków. Zresztą teraz, bez Kawakamiego, to było niepotrzebne. Brakowało dowodów.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się go pomówić.

— Sprawdźcie klasztor, czy nie ma tam jakiejś drugiej miny —

powiedział do swoich. — A potem przygotujcie kąpiel.

— Co zrobić z jeńcami, panie?

— Puśćcie ich wolno. Bez broni.

— Tak jest, panie.

Wszystko w swoim czasie. Pewne sprawy muszą poczekać.

Najważniejsze jest spotkanie z shogunem.

Dziwnym trafem Saiki ocalał z wybuchu, który zniszczył główny budynek świątyni. Muszkieterzy znaleźli go nieprzytomnego, pod szczątkami konia i tym, co zostało z dzielnego Masahiro. Na wpół

otępiały, pojechał w lektyce do Edo. Wciąż dzwoniło mu w uszach, nic nie słyszał. W dodatku był zły na

384

siebie, że przegapił śmierć Kawakamiego. Tak bardzo pragnął to zobaczyć. Obiecał sobie, że gdy odzyska słuch, zażąda, by Hide zdał mu dokładną relację.

Ethana Cruza nie było w klasztorze. Przebywał jednak gdzieś w pobliżu, i to na pewno żywy. Stark rozejrzał się. Już raz jechał tą drogą.

Wiedział, jak dotrzeć z Edo. I wiedział, że wróci.

Musiał wrócić, żeby znaleźć Cruza.

Emily nie czuła pod sobą siodła. W ogóle nic nie czuła i niczego nie widziała, chociaż oczy miała otwarte. Była w szoku. Tyle krwi. Tyle śmierci.

Usiłowała sobie przypomnieć jakiś pocieszający werset z Biblii. Nic nie przychodziło jej do głowy.

W chwili, kiedy zdawało się, że zaraz wszyscy zginą, Genji spojrzął

na Heiko i uśmiechnął się. Od tamtej pory znów zaczął jej unikać, chociaż udawał, że tego nie robi. Heiko nie dała się oszukać. Gra pozorów była jedną z ważniejszych umiejętności gejszy.

Co mu powiedział Kawakami?

Hanako popatrzyła z lektyki na narzeczonego. Była z niego naprawdę dumna. Z każdą przygodą przybywało mu rozwagi, dzielności i dojrzałości. Nawet na koniu siedział inaczej. Miał zadatki na wielkiego samuraja. Zawsze wiedziała, że tak będzie. Brakowało mu tylko odpowiedniej żony, która pokieruje jego dalszym życiem.

— Zwalniam cię z obietnicy małżeństwa ze mną — powiedziała i odwróciła głowę. Nie rozplakała się, oddychała spokojnie, żeby nie zdradzić, że jest zdenerwowana.

385

— Bredzi w gorączce — mruknął Hide do jadącego obok Taro.

— Nie mogą już być twoją żoną — upierała się Hanako.

— Tak, to gorączka — orzekł Taro. — To się zdarza nawet najtwardszym wojownikom. Czasami, gdy są ciężko ranni, plotą takie bzdury, że wstyd słuchać. Szok wywołany walką, utrata krwi i tak dalej...

— Potrzebujesz zdrowej dziewczyny, nie kaleki. Takiej, z którą będziesz mógł pokazać się wśród ludzi — mówiła Hanako.

Taro i Hide w dalszym ciągu nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

— Widziałeś, jak rzuciła się pod ostrze miecza?

— To było wspaniałe — odparł Taro. — Widywałem podobne sceny w dramatach kabuki, ale nigdy w prawdziwym życiu.

— Za każdym razem, kiedy spojrzę na jej pusty rękaw, będę pamiętał, z jakim poświęceniem stawała w mojej obronie.

— Nie utrzymam tacy — westchnęła Hanako. — Ani dzbanka z herbatą, ani czarki sake. Nie mogę ci służyć, mając jedną rękę.

— Na szczęście zachowała dłoń, którą włada mieczem —

przypomniał Taro. — Kto wie, czy wkrótce znów nie przyjdzie jej walczyć u twego boku?

— Słusznie — przytaknął Hide. — Jedną ręką bez trudu można przytulić dziecko do piersi albo podtrzymać je, kiedy będzie próbowało chodzić.

Hanako nie wytrzymała. Zadrzała od zbyt długo skrywanych emocji.

Po jej policzkach płynęły łzy miłości i szczęścia. Chciała podziękować Hide za jego wierność, lecz nie mogła, bo się zakrztusiła łzami.

Taro przeprosił lekkim skinieniem głowy i wycofał się na tył orszaku.

Tam, wśród samurajów, których poprzednim panem był Mukai, dał upust wzruszeniu.

Hide nie ronił łez. Żelazna wola, hartowana w boju, nie pozwalała na okazywanie słabości. Szczerze współczuł Hanako z powodu jej rany, ale z drugiej strony podziwiał jej odwagę godną samuraja. Kochał ją i wiedział, że ona go też kocha.

Okrucieństwo wojny i rozkosz miłości tak naprawdę są tym samym.

Hide jechał w kierunku Edo, dumnie wyprostowany w siodle.

# E l Paso

*Słowa potrafią zniszczyć. Cisza potrafi leczyć. Mędrzec wie, kiedy należy milczeć, a kiedy mówić.*

*Wiedza może krępować. Niewiedza może wyzwolić. Prorok wie, kiedy należy mówić, a kiedy wykazać się niewiedzą.*

*Zręczne ostrze tnie celnie, nie znając słów, milczenia, wiedzy czy niewiedzy. To mądrość wojowników.*

## Suzume-no kumo (1434)

Jimbo szukał wśród twardych zimowych roślin jakiegoś pożywienia.

Poszukiwania same w sobie były krzepiące. Stary opat Zengen opowiadał

mu o mnichach, którzy tak daleko zaszli na wybranej Drodze, że nie musieli jeść. Żywili się powietrzem, którym oddychali, widokami i medytacją. Początkowo w to nie wierzył. Teraz nie wydawało mu się to przesadą.

Co pewien czas przystawał i myślał o Starku. Dobrze wiedział, że już niedługo znów się spotkają. Pytanie brzmiało: kiedy? Wkrótce, pomyślał

Jimbo. Ciekawe, czy był w tej grupce, która niespełna trzy tygodnie temu przejeżdżała obok Mushindo? Całkiem możliwe. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Dwie rzeczy są całkowicie pewne. To, że Stark przyjdzie i będzie chciał mnie zabić. Jimbo nie dbał o swoje życie. Tym przestał się przejmować już dawno temu. Albo przynajmniej zdawało mu się, że to było dawno. Bał się o Starka. Zemsta nie

387

może go uleczyć. Wręcz przeciwnie, z krwią mnicha na rękach będzie cierpiał jeszcze bardziej. Podda się złej karmie. Cóż zatem należy zrobić?

Jimbo pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli pokaże, że stał się kimś innym, człowiekiem, który osiągnął doskonały spokój, wolnym od bólu, cierpienia i nienawiści. Może Stark pójdzie za jego przykładem? Jimbo stanie przed nim bez strachu i nie będzie błagał o zmiłowanie. Jest gotów umrzeć.

Nie będzie walczył.

Nie będzie zabijał.

Już nigdy w życiu nie podniesie ręki na żadną żywą istotę.

Kątem oka zauważył ruch na liściu gorczycy. Ostrożnie wziął w palce maleńkiego żuczka i delikatnie postawił go na ziemi. Owad szybko uciekł

na swoich sześciu nóżkach, zawzięcie wymachując czułkami. Nie widział

go. Życie owadów, tak samo kruche jak człowieka, toczy się w innej skali. Jimbo z pokorą ukłonił się małemu stworzeniu i myślami wrócił do kolacji.

Za nim rozległ się jakiś szelest. Od razu poznał szybkie, urywane ruchy. To sprytna mała dziewczynka ze wsi. Kimi.

— Jimbo! — zawołała. — Siedzisz tutaj tak cicho, że wcale cię nie słychać. O mało co cię nie zdeptałam.

— Dziękuję zatem, że mnie oszczędziłaś.

— Śmieszny jesteś — zachichotała. — Nie widziałeś Goro? Poszedł

cię szukać już godzinę temu. Na pewno znów się gdzieś zgubił.

Nasłuchiwali przez dłuższą chwilę.

— Nie słyszę, żeby cię wołał — powiedziała Kimi. — Może już wszystko mu się pokręciło i poszedł do drugiej doliny?

— Znajdź go, dobrze? Kiedy się gubi, wpada w podniecenie i nie uważa na to, co robi.

— A wtedy może mu się stać coś złego — dodała. — Poszukam go i przyprowadzę, zanim pójdziesz na wieczorną medytację.

— Świetnie.

— Pa, Jimbo. — Ukłoniła się, składając dłonie w buddyjskim geście poszanowania i pokoju zwanym *gassho*. Nauczyła się tego pierwsza ze wszystkich wiejskich dzieci. Potem inne, jak zwykle, zaczęły ją naśladować.

388

— Pa, Kimi. — Jimbo pożegnał ją w ten sam sposób. Wrócił do bram Mushindo i w tej samej chwili zobaczył dwóch jadących z zachodu samurajów. Pierwszym był dawny mnich imieniem Yoshi. Drugim, niepewnie pochylonym w siodle i ledwie trzymającym się na końskim grzbiecie, opat Sohaku.

Obaj byli ciężko ranni. Sohaku ciężiej niż Yoshi.

— Pomóż mi go opatrzyć! — zawołał Yoshi. — Prędko, zanim się wykrwawi.

— Sam to zrobię — odpowiedział Jimbo. — A ty lepiej zajmij się sobą. Też cię pokaleczyli.

— Mówisz o tym? — Yoshi ze śmiechem wskazał na swoje rany. —

To drobnostka.

Pocisk dużego kalibru przebił tułów opata po lewej stronie, przeszedł

przez płuco i wyrwał w plecach dziurę wielkości pięści. Aż dziw brał, że Sohaku uszedł z tego z życiem.

— Masz mi coś mądrego do powiedzenia, Jimbo? — spytał opat. —

Niedługo umrę.

— Wszyscy umrzemy — odparł mnich.

Sohaku roześmiał się krótko i zaraz urwał, bo z ust popłynęła mu strużka krwi.

— Zaczynasz mówić jak stary Zengen.

— Powinieneś się położyć, panie.

— Nie mam czasu. Zabandażuj ranę. — Sohaku zerknął na Yoshiego.

— Idź do zbrojowni i przynieś mi nowy pancerz.

— Tak jest.

— Tam, dokąd zmierzasz, zbroja nie będzie ci potrzebna — zauważył

Jimbo.

— Mylisz się. Jadę na bitwę. Muszę mieć zbroję, żeby po drodze się nie rozsypać.

— Panie, nie staniesz już do żadnej walki. Sohaku uśmiechnął się.

— Nie chcę zginąć od kuli.

Jimbo opatrzył mu ranę najlepiej, jak potrafił, obłożył ziołami i owinał

tors opata kawałkiem jedwabiu. Wprawdzie krwawienie na zewnątrz ustało, lecz jedynie śmierć mogła powstrzymać krew sączącą się wewnątrz.



Yoshi pomógł opatowi założyć nową zbroję i ciasno zawiązać rzemienie. Tułów, biodra i uda Sohaku chroniły płytki żelaza, drewno pokryte laką i kawałki skóry. Założył hełm, ale nie chciał maski i osłony szyi.

— W ten sposób możesz stracić głowę, panie — powiedział Yoshi.

— A jak myślisz, kogo spotkamy?

— Bez wątpienia pana Shigeru — brzmiała odpowiedź.

— Pokonałbym go, gdybym nie był ranny, wierzył w bogów i miał słońce za plecami?

— Być może, panie.

— A teraz? Wciąż mam jakieś szanse?

— Nie, panie.

— Sam widzisz. Chcę, żeby zadał jak najczystsze cięcie.

— Umrzesz, panie, bez względu na to, czy pójdziesz, czy zostaniesz

— wtrącił Jimbo. — Nie lepiej zostać i w spokoju pogodzić się z losem?

— Nie. W ten sposób za jednym zamachem spłacę swoje długi. To, co jestem winien memu księciu, winienem także moim przodkom i sobie samemu. Zginę w walce.

Sohaku zgiął nogę w taki sposób, jakby trzymał ją w strzemieniu.

Yoshi unieruchomił ją w tej pozycji kawałkami rzemienia i pomógł

swojemu panu dosiąść konia i usadowić się w siodle.

— Jak to się stało, że walczyście z księciem? — zapytał Jimbo.

— Jego fałszywe przepowiednie prowadzą klan do ruiny. Usiłowałem go obalić i przegrałem. Teraz muszę za to się pokajać.

Jimbo milczał. Sohaku uśmiechnął się.

— Myślisz pewnie, że powinienem popełnić samobójstwo. Tak, to prawda, takie są zwyczaje. Ale w tym wypadku muszę podjąć walkę.

Zawsze lepiej samemu zabić buntownika, niż znaleźć go martwego. Moje przeprosiny powinny być szczerze, a zatem spełniające ich oczekiwania.

— Rozumiem — odparł Jimbo — choć się z tym nie zgadzam. Jeśli musisz umrzeć, to lepiej po cichu, bez gwałtu i przemocy. W ten sposób mniej obciążysz swoją karmę.

390

— Mylisz się, Jimbo. Moją karmą jest walka. — Sohaku uklonił się.

— Wspomnij o mnie, gdy staniesz przed Bogiem lub Buddą. Pod warunkiem, że któryś istnieje.

— Dlaczego chodzisz medytować w góry? — spytała Ki-mi. —

Przecież od tego jest świątynia.

— Jimbo! — zawołał Goro z radosnym uśmiechem.

— Czasami chcę być z dala od wszystkich i wszystkiego — odparł

Jimbo.

— Na długo idziesz?

— Jimbo, Jimbo, Jimbo.

— Nie, nie na długo.

— Poczekamy tutaj na ciebie.

— Twoi rodzice będą się martwili.

— Głupku, moi rodzice mają jedenaścioro dzieci! — roześmiała się Kimi.

— W takim razie do zobaczenia — powiedział Jimbo. Uklonił się, składając ręce w *gassho*. Kimi zrobiła to samo.

— Jimbo, Jimbo, Jimbo — cieszył się Goro.

Górski szałas, z którego korzystał Jimbo podczas samotnych medytacji, bardziej udawał ludzkie schronienie, niż był nim naprawdę.

Zbudowano go z luźno związanych starych gałęzi. Zamiast dachu miał

niebo, a przez dziurawe ściany widać było okoliczne drzewa. Nie dawał

osłony przed wiatrem. Postawił go stary Zengen. Przypominał trochę obrazy opata — góry, ludzi, zwierzęta, malowane jednym pociągnięciem pędzla. To, czego brakowało, było bardziej wyraziste od tego, co było.

Jimbo westchnął. Wciąż myślał o słowach Sohaku.

Moją karmą jest walka.

A co moją?, pytał siebie w duchu.

Nie jest tym samym człowiekiem, co kiedyś. To wiedział. Ale czy naprawdę uwolnił się od przeszłości? Czy rzeczywiście porzucił każdy aspekt „ja” i potrafi pomóc Starkowi wyzbyć się gniewu? A może jednak wciąż żyje w świecie złudzeń, podsuwanych mu przez podstępłą dumę?

391

Jimbo oddychał coraz głębiej. Zatarły się granice między nim a światem. Wkroczył w pustkę w tej samej chwili, w której ona wtargnęła w niego.

Mary Anne wyszła z chaty z radosnym uśmiechem w nadziei, że zobaczy Starka. Dostrzegła Cruza, odwróciła się i pobięła z powrotem.

Cruz dopadł ją, nim zdążyła wymierzyć do niego ze strzelby. Uderzył

ją w skroń lufą pistoletu. Dwie małe dziewczynki z krzykiem przywarły do siebie.

Zdarł ubranie z Mary Anne, zanim Tom, Peck i Haylow weszli do chaty.

— Co z tymi gówniarami? — spytał Tom.

— Lepiej zabierzmy je na zewnątrz — odparł Haylow. — Nie powinny tego oglądać.

— Rozbierzcie je — rzucił Cruz. Mary Anne była zamoczona. Cruz postawił ją pod ścianą, zadarł jej ręce nad głowę i przyszpilił nożem do belki, przebijając naraz obie dłonie. Oprzytomniała, krzycząc.

— Jezus, Maria, Józefie święty! — jęknął Peck. — Wszyscy święci w niebie, Matko Boska, Trójco Święta!

— Ethan... — mruknął Tom.

Haylow przygarnął dziewczynki i zasłonił je swoim ciałem.

— Powiedziałem, rozbierzcie je! — powtórzył Cruz.

— Nie — odparł Tom. — Co one ci zrobiły?

— Wystarczy, że się urodziły — warknął Cruz. — Rób wreszcie, co każe!

Tom i Peck popatrzyli na siebie, a potem spojrzeli na Cruza. Stał z opuszczonymi ramionami, a jego dłoń znalazła się niebezpiecznie blisko rewolweru.

— Zawsze cię słuchaliśmy, Ethan... — zaczął Tom.

— Teraz jakoś tego nie widzę.

Haylow miał policzki mokre od łez. Nic nie mówił. Nawet nie mruknął. Wielką pięścią uderzył starszą dziewczynkę w twarz, a potem to samo zrobił z młodszą. Ciosy były tak silne, że obie zakreśliły w powietrzu krótki łuk i ciężko upadły na podłogę. Nie wiadomo, czy jeszcze żyły. Leżały nieruchomo,

392

jak martwe. Haylow delikatnie rozebrał młodszą. Tom i Peck, idąc za jego przykładem, zdjęli ubranie ze starszej.

— Nie! Nie! Nie! — krzyczała Mary Anne.

Cruz podniósł starszą dziewczynkę za włosy i przybliżył ją do twarzy matki.

— Jak ma na imię?

Mary Anne płakała i wyła w niebogłosy.

— Daj mi swój nóż — powiedział Cruz do Pecka. Peck natychmiast spełnił jego polecenie. Cruz przytknął ostrze do szyi dziecka. — Pytam, jak ma na imię?

— Becky — wyszlochała Mary Anne. — Becky. Błagam... Cruz wbił

dziewczynce nóż w brzuch i pociągnął aż do

samego serca. Rzucił ciało pod nogi krzyczącej kobiety i przyniósł

drugie dziecko. Tom uciekł z izby.

Peck z rozmachem klapnął na podłogę i na tyłku wycofał się aż pod przeciwległą ścianę. Tam zaczął wymiotować. Rzygał nawet wtedy, kiedy już nic nie miał w żołądku.

Haylow po prostu stał i płakał.

— Jak ma na imię? — spytał Cruz.

— Boże, Boże... — zawodziła Mary Anne.

Cruz położył dziewczynkę na stole i sięgnął po siekierę stojącą obok kominka.

— Louise! — wrzasnęła Mary Anne, jakby to imię mogło uratować dziecku życie. — Louise!

Cruz uderzył siekierą tak mocno, że rozłupał stół. Odcięta główka odbiła się od podłogi i potoczyła pod łóżko. Cruz popatrzył na Mary Anne i powiedział cicho:

— Teraz twoja kolej.

Nie słyszała go. Głos Cruza nie przebił się przez jej krzyk.

Jimbo nie wiedział, ile czasu spędził na medytacjach. Kiedy otworzył

oczy, dzień był tak samo jasny jak przedtem. Może minęło kilka sekund, a może cała doba? Poruszył się i usłyszał ciche trzeszczenie lodu, który zamarzł w fałdach ubrania. Z trudem rozprostował zdrętwiałe nogi.

Bolały go kolana. Siedział więc dłużej niż kilka sekund. Dwa, może trzy dni. Co najmniej.

393

Wyszedł z szałasu i stanął obok stosu kamieni, leżących koło łożyska potoku. Podczas powodzi, która co dziesięć lat nawiedzała tę okolicę, woda sięgała nawet dalej niż do tego miejsca. Teraz jednak było zupełnie sucho. Jimbo odrzucał kamienie, dopóki nie zobaczył naoliwionej szmaty. Chwilę później wyciągnął jakiś tobołek. Gdzie ma go rozpakować? Tu czy w Mushindo? Nie, jeszcze gdzieś indziej. Wrócił do szałasu.

W szałasie, który bardziej był nieszalasem, Ethan Cruz, który był

bardziej nie-Ethanem Cruzem, przybrał swój dawny wygląd.

Znalazł kapelusz, wygnieciony i bezkształtny. Starannie wypchał go gałązkami i namoczył roztopionym śniegiem. Do jutra rana będzie jak nowy, pomyślał. To wystarczy.

Znalazł koszulę, spodnie, kurtkę i buty. Wszystko śmierdziało wilgocią i potem. Ubrał się.

Znalazł lufę i kolbę dubeltówki. Zmontował ją. W oddzielnej szmatce leżało zawinięte sześć nabojów. Dwa z nich wsunął do strzelby, a resztę wyrzucił. Dobrze wiedział, że nie starczy mu czasu na ponowne naładowanie broni.

Znalazł kaburę, a w niej kolta kaliber trzydzieści sześć. Dostał go kiedyś od Manuala Cruza.

„Mówiłeś mi, że byłeś poganiaczem krów, mój chłopcze”.

„Tak, proszę pana. Mówiłem, bo naprawdę byłem”.

„Aha. Słyszałem to od różnych ludzi. I to już wszystko? O niczym nie zapomniałeś”?

„Nie rozumiem, o co pan pyta”.

„Odpuść sobie tego «pana», Ethan. Chodzi o to, że za te krowy mogli cię powiesić”.

„Wisi się tylko raz. Za napad z bronią w rękę też grozi stryczek. Jak będą chcieli, to mnie znajdą. No i dochodzi jeszcze tych dwóch, co ich tu załatwiłem”.

„Zatem wyrosłeś na bydłokrada, bandytę i rewolwerowca, chłopcze”.

Ethan milczał, czekając na reprimendę.

„Jestem z ciebie dumny, powiedział Cruz. Dzięki tobie moje życie nabrało wartości. Możesz mi wierzyć, że żaden burdel nie daje takiej satysfakcji”.

394

Wyciągnął do niego rękę.

„Jestem ojcem Ethana Cruza. No, dobrze... ojczymem. To wystarczy.

Cholera, czasami wszystko dobrze się układa”.

Tego dnia Cruz wręczył Ethanowi trzydziestkęszóstkę, którą miał u pasa.

„Są tacy, którzy wolą wojskowego kolta kaliber czterdzieści cztery.

Cięższa kula, pewniejsza śmierć, powiadają. Ale trzydziestkaszóstka ma pewną przewagę — jest o pół funta lżejsza od czterdziestkiczwórki.

Można o wiele szybciej wyciągnąć ją z kabury. Wspomnisz moje słowa, kiedy spojrzysz na trupa swego przeciwnika. Będiesz mi wdzięczny”.

Ethan poczuł, że coś ściska go w gardle. Chciał powiedzieć staremu, że i tak jest mu bardzo wdzięczny, bez względu na prezenty. Chciał

powiedzieć, ale nie powiedział. Nie lubił strzępić języka. „Tobie już się nie przyda?, spytał. A co będzie, gdy sam znajdziesz się w potrzebie”?

Cruz uśmiechnął się, oczy mu zwilgotniały. Ethan domyślił się, że stary przejrzał go na wylot. Nic nie musiał mówić. W przeciwieństwie do niego, Cruz był gadatliwy, lecz teraz nagle umilkł. Przez dłuższą chwilę siedział i tylko się uśmiechał.

A potem spytał: „W jakiej potrzebie? Przecież nie lubię pojedynków”.

Pokazał Ethanowi małego derringera. „To mi wystarczy przy pokerze.

Gdy będę strzelał, to z tak bliska, że dystans nie ma znaczenia”.

Po powrocie do klasztoru Jimbo ze zdumieniem spojrzął na wielką dziurę wypaloną w ziemi, w miejscu, gdzie niegdyś wznosiła się duża sala, przeznaczona do medytacji. Wkoło czerniał popiół po stosach pogrzebowych. Nietknięte pozostały mury, łaźnia, pawilon opata i tymczasowa cela, w której kiedyś siedział zamknięty Shigeru.

W ruinach buszowały niemal wszystkie dzieciaki ze wsi. Z

ciekawością oglądały znalezione szczątki.

— Patrz! To chyba kość z czyjejś ręki.

— Nie... to tylko kawałek drewna.

— Kość. Zobacz, jest grubsza na końcu.

— Fe, okropne. Wyrzuć to natychmiast.

— Uwaga! Idzie cudzoziemiec.

395

— To ten, który jechał z księciem. Ten, co ma dwa rewolwery.

— To nie on. To jakiś inny.

— Zabije nas! Uciekajmy!

— Jimbo — radośnie oznajmił Goro i szurając nogami, wyszedł mu naprzeciw. — Jimbo, Jimbo.

— Nie, Goro. To nie Jimbo. Wracaj!

— Jimbo — potwierdziła Kimi, podbiegła do niego i popatrzyła szeroko rozwartymi oczami. — Dlaczego się tak ubrałeś?

— Bo mam zrobić coś, do czego nie pasują żadne inne ubrania. —

Popatrzył na lej po wybuchu. Chyba eksplodował cały zapas prochu, zgromadzony w świątynnej zbrojowni. — Co się stało?

— Była straszna bitwa, gdy cię nie było...

— Zginęły setki samurajów...

— Pan Genji wpadł w pułapkę...

— Jimbo, Jimbo, Jimbo...

— ...w pudle przynieśli głowę pana Shigeru...

— ...muszkiety na murze...

— ...oddział konnicy...

— ...od stóp do głów umazani krwią...

W tej powodzi słów nie wszystko było jasne. Usłyszał tylko, że inny cudzoziemiec, imieniem Su-taku, który walczył po stronie księcia, ocalał

z masakry. Zaraz po bitwie przeszukał cały klasztor. Jakaś przepiękna dama, prawdopodobnie gejsza, rozmawiała z Kimi. Pytała ją, gdzie jest Jimbo. Dziewczynka powiedziała jej, że poszedł medytować w góry.

Potem dama i Su-ta-ku rozmawiali przez chwilę w jakimś dziwnym języku. Kimi nie rozumiała z tego ani słowa.

Jimbo spokojnie odpowiadał na pytania dzieci. Opowiedział im o medytacji, o szronie, który osiadł mu na ubraniu, i o wizycie trzech aniołów, zesłanych przez Maitreję, czyli Buddę Przyszłości. Aniołowie przyrzekli dzieciom wieczne szczęście i to, że wszystkie odrodzą się w krainie Czystej Ziemi, Suk-hawati, w królestwie Buddy Amidy.

Tej nocy, tuż po pożegnaniu z dziećmi, Jimbo samotnie obszedł ruiny Mushindo. Był tu Stark. Na pewno wróci. Który z nas szybciej strzela?, zastanawiał się. Kiedyś zapewne byłem

396

dużo lepszy. Teraz już nie. Stark bez wątpienia ćwiczył. Ja nie. Zabije mnie, zanim zdążę wyciągnąć rewolwer.

To byłoby za łatwe. Jimbo postanowił się na niego zasadzić. W

smutku i złości ludzie stają się mniej ostrożni. Taka zasadzka naprawdę może być skuteczna.

Minęło kilka dni, zanim Emily na tyle odzyskała siły, by Stark mógł

wyjechać z Edo. Wyraźnie pomógł jej w tym Genji, prosząc o uwagi na temat projektu kaplicy w pałacu Cichego Żurawia. Wciąż jednak miała sińce pod oczami i uśmiechała się o wiele rzadziej. Potrzebowała więcej czasu. Nie potrafiła tak od razu zapomnieć okropnej rzezi. Ale ogólnie była już weselsza.

— Musisz tak szybko wracać do klasztoru?

— Tak, Emily.

Popatrzyła na ciężki rewolwer, wiszący u jego boku, i zatkniętą za pas trzydziestkędwójkę. Nie domagała się wyjaśnień.

— Wrócisz?

— Taki mam zamiar.

Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i uścisnęła go serdecznie. Poczul jej łzy na swojej twarzy.

— Uważaj, Matthew. Bądź ostrożny. Obiecuj mi, że naprawdę będziesz.

— Obiecuję.



Genji przydzielił mu do eskorty oddział samurajów pod dowództwem Taro. Po przybyciu na miejsce mieli pozostać we wsi. Stark zamierzał

sam iść do Mushindo. Nie mówił po japońsku, a jego towarzysze nie znali angielskiego. Jechali więc w milczeniu.

Stark myślał, że to wcale nie będzie mu przeszkadzać, lecz się mylił.

Wróciły wspomnienia. Nie umiał się ich pozbyć. Nienawiść, którą czuł do Cruza, nie dorównywała miłości do Mary Anne.

„To najszczęśliwszy dzień mojego życia, Matthew, powiedziała Mary Anne. Naprawdę”.

„Mój też”, odparł.

Stali wraz z Becky i Louise w cieniu drzewa na ich własnej ziemi.

Stark kupił ją legalnie. „Tu zbudujemy dom. Tam będzie ogród. Kwiaty i warzywa. A tu zagroda dla bydła”.

397

„A gdzie świnię?”, zapytała Becky. „Bez świń”, odpowiedział

Stark. Becky zamrugwała z niedowierzaniem. „Bez świń”, powiedziała do Louise. „Bez świń”, powtórzyła Louise. Mary Anne popatrzyła na Starka. „To jej pierwsze słowa”. „Bez świń?”, spytał

Stark.

Mary Anne pokiwała głową. „Bez świń”, powtórzyła

„Bez świń”, zawołała Becky.

„Bez świń”, ze śmiechem zawtórowała jej Louise. Wszyscy się roześmieli. Turlali się ze śmiechu. Potem długo siedzieli pod drzewem i uśmiechali się do siebie.

Louise nigdy nie stała się zbyt gadatliwa. W tym wyręczała ją rozszczebiotana Becky. Ale co pewien czas mówiła jakieś słowo.

Czasem do mówienia skłaniał ją kształt chmury, a czasem powiew wiatru. Niekiedy wdawała się w krótką rozmowę z drzewem lub przechodzącą sarną. A kiedy była bardzo szczęśliwa, co przytrafiało jej się coraz częściej, Stark słyszał jak mruczy do siebie pod nosem: „Bez świń”.

Nie może bez przerwy o nich myśleć, bo mimo woli napina mięśnie ramion i traci koncentrację. W takim nastroju nie ma co marzyć, że pokona Cruza. Wiedział o tym, ale nie umiał się powstrzymać. Ciągle miał przed oczami ich roześmiane kochane twarze.

Stark przywiązał konia do drzewa i poszedł do klasztoru W

lewej ręce trzymał trzydziestkędwójkę, w prawej —

czterdziestkęczwórkę. Nie zamierzał się pojedynkować. To nie turniej *imdo* z użyciem rewolwerów. Najzwyczajniej w świecie chciał znaleźć i zabić Ethana Cruza. I to wszystko. Musi być ostrożny. Wróg może czaić się dosłownie wszędzie Stark żałował, że nie ma przy sobie strzelby.

Grupka dzieci pod przewodnictwem Kimi doszła do muru na tyłach Mushindo.

398

— Teraz cicho! — szepnęła dziewczynka. — Jak ktoś nas zobaczy, na pewno dostaniemy w skórę.

Jedna z mniejszych dziewczynek położyła rączkę na ustach Goro.

— Cicho.

Goro pokiwał głową. Dziewczynka cofnęła rękę, a on szybko zakrył usta własną dłonią.

Schowali się za nadpalonymi belkami głównej sali i spojrzeli w stronę pawilonu. Nowy cudzoziemiec nadchodził od strony wsi.

Jimbo na pewno siedzi w pawilonie. Za chwilę pewnie wyjdzie się przywitać. Co zrobią potem? Ubrani byli prawie jednakowo.

Muszą coś razem planować.

Jimbo stał bez ruchu w cieniu drzewa i patrzył na Starka. Był

odwrócony do niego plecami, w odległości jakichś dwudziestu jardów. W rękach trzymał rewolwery. Kiedy minął bramę, Jimbo po cichu odłożył strzelbę. Naboje wyjął już o wiele wcześniej i wyrzucił. Potem ruszył za Starkiem.

Tuż za bramą Stark uskoczył w bok, trzymając się blisko muru.

Miał wrażenie, że coś rusza się w ruinach. To może być Cruz.

Schował się w łaźni, w celi czy w pawilonie? Albo za nimi. Albo pod nimi. Albo w jakimś cieniu. Po raz kolejny sprawdził

rewolwery. Oba kurki były odwiedzone. Odkleił się od ściany i powoli wyszedł na dziedziniec. Ktoś się tam chowa za belkami...

Na pewno Cruz. Mam nadzieję, że nie wziął strzelby, pomyślał

Stark. Bo w przeciwnym razie rozwali mnie, zanim dojdę do połowy drogi.

Szedł dalej. Nie miał wyboru.

— Ani kroku, Stark.

Poczuł na karku zimne dotknięcie lufy.

— Rzuć broń, bo zginiesz.

Jimbo wiedział, że Stark nie rzuci broni. Za długo żył nadzieją zemsty. Myśli pewnie, że znalazł Cruza, i nie zamierza

399

się już cofnąć, nawet gdyby sam miał zginąć. Przyszedł po śmierć, więc ktoś musiał umrzeć. Albo on, albo Cruz. Wszystko jedno.

— Rzuć broń — powtórzył Jimbo głosem Cruza. — Szybciej, do diabła, bo ci łeb rozwałę!

Stark zrobił dokładnie to, czego się spodziewał. Rzucił się w bok, skręcił tułów i niemal na oślep wypalił z obu rewolwerów. Jimbo przez cały czas miał go jak na dłoni. Przypatrywał mu się spokojnie. Uniósł

broń pewną ręką i starannie wycelował nieco w prawo od przeciwnika.

Strzelił o ułamek sekundy wcześniej, zanim sam dostał postrzał w piersi.

— Jimbo!

Tym razem to nie był Goro, ale Kimi. Zerwała się z przerażeniem i podbiegła do mnicha. Inne dzieci popędziły za nią. Goro wciąż trzymał

dłoń na ustach.

Stark wstał. Dzieci stanęły jak wryte i natychmiast padły na kolana, żeby złożyć mu stosowny ukłon. Samuraje księcia ogłosili we wsi, że ów człowiek jest prawdziwym mężem rycerskiego stanu. Należy mu się więc szacunek. Płakały głośno, ale nie podeszły bliżej.

Jimbo nie widział nic prócz nieba i nie czuł własnego ciała. W

pierwszej chwili myślał, że uleciał. Że to właśnie jest ten moment, kiedy jaźń odchodzi w pustkę. Jednak po chwili zobaczył Starka.

Stark pochylił się nad Cruzem. Wydawało mu się, że szukał go całe życie. Szukał, nareszcie znalazł i zastrzelił. Cruz spoglądał nań spokojnie.

Nawet nie krzywił się z bólu.

Jimbo chciał mu powiedzieć, że dziewczynki wcale nie cierpiały. Że zginęły szybko, bezbolesną śmiercią. Mary Anne także. Chciał mówić, ale nie mógł, bo miał przestrzelone serce i prawe płuco. Nie mógł

wydobyć głosu. Może to nawet lepiej? Ostatnie kłamstwo byłoby przecież bardziej dla niego niż dla Starka. Stark wcale nie szukał słów, lecz zemsty. Z kolei teraz musi znaleźć to, czego potrzebuje o wiele bardziej. Jimbo pomodlił się za niego. Prosił o łaskę Pana dla Matthew Starka, współczucie Buddy i opiekę dziesięciu tysięcy bogów. Mógł się uśmiechnąć, ale wiedział, że nikt go nie zrozumie, więc zachował ten uśmiech w sercu.

400

Stark wymierzył z czterdziestkiczwórki w lewe oko Cruza, w prawe zaś z trzydziestkidwójki. Trzy razy strzelił z lewej ręki i cztery razy z prawej. Strzelałby dalej, ale zabrakło mu kul w bębenu. Nie przestał

jednak naciskać spustu. Kurki trzaskały sucho na zużytych spłonkach.

Wreszcie spojrzał przytomniej na nieruchome ciało, z krwawą miazgą zamiast twarzy. Wśród strzępów mięsa bieleły się pokruszone kości.

Wsunął kolta do kabury, zatknął za pas trzydziestkędwójkę, odwrócił się i odszedł.

Wiejskie dzieci trwały w pokłonie, póki nie zniknął. Potem rzuciły się w stronę Jimbo, lecz z przerażenia zamarły po paru krokach, kiedy ujrzały to, co z niego zostało.

Tylko Goro padł na kolana przy zwłokach. Krzyczał, jęczał i bezradnie wymachiwał rękami, jakby chciał objąć coś, czego już dawno nie było.

Kimi kucnęła obok niego i objęła go za ramiona. Zaciągnęła zasłonę wspomnień na twarz Jimbo. Teraz widziała go tylko takim, jaki był

dawniej.

— Nie płacz, Goro — powiedziała, chociaż sama płakała. — To już nie jest Jimbo. Odszedł do Czystej Ziemi, Sukhawati, i tam kiedyś wszyscy go spotkamy. Powita nas i będziemy na zawsze szczęśliwi. W

Sukhawati jest precudownie.

Mówiła tak, bo Jimbo ją o tym zapewniał, a on przecież nigdy nie kłamał. Wierzyła w to, ale jeszcze nie była w Czystej Ziemi, tylko na smutnym i okrutnym świecie, na którym działy się przerażające rzeczy.

Jimbo umarł.

Siedzieli przytuleni z Goro i płakali.

Stark wsiadł na konia. Za sobą słyszał głośny szloch dzieci. Słyszał, ale niczego nie poczuł. Wcale nie było mu lepiej. Ani gorzej.

Wszystko zostało po staremu. Pustka. Wbił pięty w boki konia i odjechał.

A ziemia zatraciła kształty i stała się nicością; ciemność przesłoniła twarz otchłani.

401

V

**NOWY ROK**

*Pierwszy nów po zimowym przesileniu*

# Szesnasty rok panowania cesarza Komei

402

16

*Cichy Żuraw*

*Ojciec Vierra odwiedził pana Yakuo, leżącego na łożu śmierci.*

*Zapytał go, czego najbardziej żałuje w życiu. Pan Yakuo uśmiechnął się.*

*Ojciec Vierra jednak, jak większość chrześcijańskich księży, w tych sprawach był uparty. Spytał, czy robił to, co do niego należy, czy też powstrzymał się od działania.*

*Pan Yakuo powiedział, że takie żale są lekarstwem dla poetów. On zaś był szorstkim, niepiśmiennym wojownikiem. Chciał umrzeć jak*

**wojownik.**

*Widząc uśmiech na jego ustach, ojciec Vierra spytał, czy nie żałuje,  
że był wojownikiem, a nie poetą.*

*Pan Yakuo nadal się uśmiechał, ale nie odpowiedział.*

*Kiedy ojciec Vierra zadawał swoje pytania, przeniósł się do Czystej*



# Ziemi.

Suzume-no kumo (1615)

— Rok minął — westchnęła Emily. — Aż trudno w to uwierzyć.

— Ponad rok — sprostował Genji. — Przyjechałaś w dzień waszego Nowego Roku, czyli półtora miesiąca przed naszym.

— Rzeczywiście... — roześmiała się z własnego roztargnienia. —

Jakoś mi to umknęło.

— Nic dziwnego — powiedziała Heiko. — Zbyt byłaś zajęta jasełkami.

403

— Zephaniah byłby z ciebie dumny — dodał Stark. — Tylu małych chrześcijan...

Siedzieli w obszernej komnacie, wychodzącej na wewnętrzny dziedziniec Cichego Żurawia. Pałac odbudowano z ogromnym pietyzmem. Wszystkie krzewy, drzewa i kamienie wróciły na swoje miejsca. Od poprzedniej budowli różnił się jedynie smukłą wieżyczką, górującą nad północno-wschodnim skrzydłem, zwieńczoną małym białym krzyżem. Architekci księcia znakomicie wywiązali się ze swojego zadania. Emily wreszcie miała gdzie się modlić, ale kaplica była tak wkomponowana w resztę budynków, że nie kłuła w oczy mieszkańców Edo. Krzyż stawał się widoczny dopiero wtedy, gdy ktoś wszedł do pałacu. Od ulicy zasłaniał go wysoki mur i gęsto rosnące drzewa, posadzone specjalnie w tym celu.

W kaplicy nie odprawiano mszy i nabożeństw. Emily nie prawila kazań. Na to była zbyt nieśmiała i niepewna swojej wiary. Przez rok widziała tyle czułych, bogobojnych, bezinteresownych i miłosiernych czynów, jakich dokonali poganie, że musiało to w niej wzbudzić wątpliwości, czy na pewno zostaną potępieni. *A zaprawdę wielka jest tajemnica pobożności*, pomyślała i dodała w duchu: amen.

Zamiast kazań, prowadziła szkółkę niedzielną dla ciekawskich dzieci.

Ich rodzice, w równej mierze wierzący w Buddę i Drogę Bogów, nie mieli nic przeciwko naukom chrześcijańskim. Emily nie wiedziała tylko, jak człowiek może jednocześnie wyznawać trzy religie. Było to dla niej jeszcze jedną dziwną tajemnicą, nierozzerwalnie związaną z Japonią.

Tłumaczone przez Heiko biblijne historie i przypowieści budziły niekłamanie zainteresowanie wśród młodych słuchaczy. Liczba uczniów wciąż rosła. Potem zaczęły przychodzić matki. Z mężczyzn jak dotąd nikt się nie pokazał. Tylko Genji miał zamiar uczyć się na lekcje, ale Emily mu to odradziła. Gdyby przyszedł, jego poddani zwaliliby się całym tłumem, uważając to za swój obowiązek. Samuraje, ich żony, konkubiny, dzieci... Przyszliby, bo musieli, a nie z potrzeby serca, by zwrócić się do Boga.

Samuraje praktykowali zen: dziwną religię, praktycznie bez nakazów i

— z tego, co zdołała zauważyć — bez wyraźnej 404

doktryny. Cechowała ich duża zawziętość, powaga i milczenie. Co to za wiara? Pewnego razu spytała o to Genjiego, ale on tylko się roześmiał.

„Właściwie nie ma co wyjaśniać. Sam się tym trochę bawię. Lecz w gruncie rzeczy jestem za leniwy, by wszystko robić jak potrzeba”.

„«Wszystko» to znaczy co”?

Usiadł w bardzo niewygodny sposób, w tak zwanej pozycji lotosu, czyli z piętami na udach, i zamknął oczy. „Co robisz? Przecież w ogóle się nie ruszasz”. „Uwalniam się”, odpowiedział Genji. „Niby od czego”?

„Po pierwsze, od napięcia mięśni. Po drugie, od myśli. Po trzecie, od całej reszty”. „I co potem”?

„Od razu widać, że jesteś z Zachodu. Wciąż zastanawiasz się, co będzie potem. Nic. Cel kryje się w metodzie. Siadasz. Uwalniasz umysł”.

„Nic z tego nie rozumiem”.

Genji uśmiechnął się i rozprostował nogi.

„Stary Zengen powiedziałby zapewne, że to dobry początek. Ale nie bierz ze mnie przykładu. Nigdy nie udało mi się osiągnąć czegoś więcej niż rozluźnienie mięśni. Czasami nawet tego nie potrafię. Lepszego wyjaśnienia mógłby ci udzielić wielebny opat Tokuken, który teraz siedzi gdzieś w górach. Był najlepszym uczniem Zengena. Chociaż z drugiej strony, z nim też nic nie wiadomo... Może osiągnął już takie stadium, że nie potrafi mówić”?

„Czasem pleciesz niestworzone bzdury. Jak można zapomnieć mowy?”

Im większa wiedza, tym precyzyjniejszy sposób wyrażania się. Dlatego Bóg obdarzył ludzi mową!”.

„Zengen był zdania, że jedynie cisza jest oznaką prawdziwej mądrości. Szczerze mówiąc, to właśnie dlatego Tokuken poszedł w góry.

Przypadkowo usłyszał słowa Zengena i nazajutrz odszedł”.

„Kiedy to było?”.

„Pięć albo sześć lat temu. Może siedem”.

Emily uśmiechnęła się do siebie. Pomyślała, że choćby całe 405

życie spędziła w Japonii, to i tak nie zrozumie Japończyków. Uniosła głowę i zobaczyła, że Genji też

się do niej uśmiecha. Może nie trzeba ich rozumieć? Przecież ważniejsze są uczucia.

— Witaj, panie. — Hide pokłonił się od progu. Za nim stała Hanako z dzieckiem na ręku.

— Wybraliście już dla niego imię? — spytał Genji.

— Tak, panie. Chcemy go nazwać Iwao.

— To dobre imię — pochwalił książę. — „Stały jak kamień”. W tym będzie pewnie podobny do ojca.

Hide uklonił się ponownie, nieco zażenowany tą pochwałą.

— Ojciec w dodatku jest tępy jak kamień. Mamy nadzieję, że syn okaże się mądrzejszy.

— Mogę go przez chwilę potrzymać? — zapytała Heiko.

— Oczywiście — odparła Hanako.

Poruszała się tak zręcznie i z taką gracją, że nie widać było jej kalectwa. Wręcz przeciwnie, jej ruchy miały teraz jakby więcej kobiecej czułości. Strata ręki, zamiast ją oszpecić, przydała jej uroku.

— Przystojny chłopak — uśmiechnęła się Heiko. — W przyszłości nie będzie się mógł opędzić od dziewcząt. Na pewno złamie niejedno serce.

— O nie — zaprotestowała Hanako. — Na to nie pozwolę. Zakocha się tylko raz, i na zawsze. Nikt przez niego nie będzie cierpiał.

— Wezwij natychmiast naszego kronikarza, Hide — zawołał Genji.

— Twój syn jest pierwszym i zarazem ostatnim osobnikiem w swoim rodzaju! — Dobrze, śmieJCie się ze mnie — odparła Hanako, chociaż sama nie mogła powstrzymać się od śmiechu. — Ja jednak najbardziej cenię ludzi o szczerym i uczciwym sercu.

— Bo miałaś szczęście, że zdobyłaś miłość właśnie kogoś takiego —

powiedziała Heiko.

— Nic podobnego — zaprotestował Hide. — Z natury jestem leniwy, lubię kłamać i ciągnie mnie do zabaw. Jeżeli teraz zachowuję się troszeczkę lepiej, to dlatego, że mam mniej swobody niż za kawalerskich czasów.

— To natychmiast da się załatwić — odparł Genji. — W każdej chwili mogę unieważnić wasz nieudany związek.

Hide i Hanako popatrzyli na siebie z czułością.

— Obawiam się, że na to już za późno, panie — powiedział Hide. —

Przyzwyczałem się do niewoli.

— Emily — odezwał się Stark — pozwól, że przy okazji złożę ci życzenia. Przepraszam, lecz zapewne wiesz, że nie będę na twoich urodzinach.

— Dziękuję, Matthew. — Była zaskoczona, że o tym pamięta. —

Dziękuję bardzo. Czas mija tak szybko, że pewnie ani się obejrzę, kiedy zostanę starą panną. — Powiedziała to lekko, bez cienia goryczy. W głębi serca wcale się tym nie przejmowała. Im piękniejsza kobieta, tym więcej ma do stracenia z każdym mijającym rokiem. W niej zaś Japończycy widzą brzydulę, więc nie musi niczego żałować.

— Do tego jeszcze kawał czasu — zauważyła Heiko. — Osiemnaście lat to żaden wiek dla kobiety. Dopiero zaczynasz rozkwitać.

— Mamy takie przysłowie — dodał Genji. — „Nawet tania herbata ma smak przy pierwszym parzeniu. Nawet córka wiedźmy jest ładna w wieku osiemnastu lat”.

— Nie wiem, czy uznać to za pocieszenie, książę — roześmiała się Emily. — To miał być komplement, panie? — zawtórowała jej Heiko.

— Chyba coś pokręciłem, prawda?

Emily wcale się nie obraziła. Heiko widziała to po jej oczach i promiennym uśmiechu.

— Mogę? — delikatnie spytała Hanako.

— Ależ tak! — Heiko oddała jej dziecko.

— Gdzie się zatrzymasz, pani? — spytała Hanako.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała Heiko. — Na początek przez pewien czas zostanę w San Francisco. Pobędę tam przynajmniej do zakończenia ich wojny domowej.

— To fascynujące... a jednak trochę straszne. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła mieszkać gdzieś poza Japonią.

— Ja też — westchnęła Heiko. — Lecz i tak tam jadę, więc nie będę zbyt wyęczała wyobraźni.

— Książę Genji uczynił ci niezwykle zaszczyt, powierzając tak odpowiedzialną misję. Będiesz jego okiem i uchem po drugiej stronie oceanu.

— Tak, to zaszczyt — skinęła głową Heiko. „Ameryka? Dlaczego muszę jechać do Ameryki?”. „Ponieważ tylko tobie mogę w pełni ufać”.

„Wybacz mi, że to powiem, księżę, ale jeśli w nagrodę mam iść na wygnanie, to wolałabym, abys mniej mi wierzył”. „To nie jest wygnanie”.

„Wyrzucasz mnie z ojczyzstego kraju, za morze, do barbarzyńców, których wcale nie znam. To nie wygnanie?”.

„To tylko pewien etap większych przygotowań. Miałem wizję.

Niedługo zajdą wielkie zmiany. Stracimy wszystko, co budowaliśmy przez dwa tysiąclecia. Musimy znaleźć jakieś wyjście. To twoja misja.

Znajdź nam schronienie”.

„Jeśli już mnie nie kochasz, Genji, po prostu to powiedz.

Niepotrzebny mi długi wykład”.

„Kocham cię. Zawsze będę kochał”.

„To, co robisz, zaprzecza twoim słowom. Nikt nie odsyła ukochanej na drugi koniec świata!”.

„Chyba że sam ma zamiar tam do niej dołączyć”.

„Chcesz wyjechać z Japonii? Wiesz, że to niemożliwe. Jesteś księciem, być może zostaniesz shogunem. Twoje miejsce jest tutaj”.

„Moi przodkowie przepowiedzieli wiele niemożliwych rzeczy, westchnął Genji. Wszystkie się sprawdziły. Jeśli pojedziesz do Ameryki, to bądź pewna, że wkrótce do ciebie dołączę”.

„Kiedy?”.

„Jeszcze nie wiem. Może zobaczę to w następnej wizji”. „Nie wierzę ci”.

„Po wszystkim, co razem przeszliśmy? Chyba nie prosiłbym, żebyś wyjechała, gdybym nie mówił ci całej prawdy? Zatrudniłem Starka jako twojego opiekuna i przewodnika. Dałem ci złoto. Dużo złota. Może zabrzmiało to dziwnie, Heiko, ale to dowód mojej miłości, a nie jej braku.

Nie doszukuj się innych wyjaśnień tam, gdzie ich nie ma”.

Uległa. Co miała zrobić? Wierzyła, że ją nadal kocha. Widziała to w jego oczach i poznawała po dotyku. A jednak kłamał. Dlaczego?

Coś się zmieniło po jego rozmowie z Kawakamim, przed bitwą pod klasztorem Mushindo. Co Kawakami mu powiedział?

Genji twierdził, że nic takiego, że skończyło się na obelgach. To nieprawda. Musiało być coś więcej. Co?

— Jesteś z Teksasu, prawda, Matthew? — odezwała się Emily.

— Prawda.

— Zatem zaciągniesz się do Konfederatów, kiedy wrócisz do Ameryki?

— Nie — odpowiedział Genji. — Przynajmniej nie od razu. Najpierw musi założyć kompanię handlową i rozpocząć działalność jako nasz wysłannik.

— I tak na pewno się nie zaciągnę — mruknął Stark. —

Wychowywałem się w Ohio, a w Teksasie spędziłem pół dorosłego życia.

Po której stronie miałbym stanąć? Tak źle, i tak niedobrze.

— Najważniejsze, że nie będziesz walczył w obronie niewolnictwa — powiedziała Emily.

— Panie... — Samuraj klęknął w drzwiach. — Przybył goniec z portu.

Rozpoczął się poranny odpływ. Statek musi wkrótce wypłynąć.

— Wciąż zależny od kaprysów morza — westchnął Genji.

— Już niedługo — zapewnił Stark. — Kapitan McCain zapewnił

mnie, że po powrocie do San Francisco wyposaży „Gwiazdę” w kocioł i silnik parowy.

— Para uwolni statki — odparł Genji — ale nie nasze serca. Morze ma na nas taki sam wpływ, jak na słońce i księżyc.

— A nie jest przypadkiem odwrotnie? — zapytała Emily. — To ruchy morza zależą od słońca i księżyca.

— Japończycy sądzą inaczej. Nic tego nie zmieni. Heiko, Hanako i Emily nalały mężczyznom sake. Genji,

Hide i Stark odwdzięczyli im się tym samym. Ostatni raz unieśli czarki.

— Niech was morze prowadzi — powiedział Genji, patrząc w oczy Heiko. — A fala wspomnień przywiedzie z powrotem do domu.

*Wygnańcy**Bogowie i buddowie, duchy i przodkowie, demony i anioły nie będą**żyły twoim życiem i nie umrą twoją śmiercią. Ani wiedza, ani wgląd w**umysły innych ludzi nie wskaże ci twojej własnej drogi.**Tego się nauczyłem.**Resztę musisz odkryć sam.*

Suzume-no kumo (1860)

Emily stała obok księcia przy oknie wychodzącym na Zatokę Edo.

„Gwiazda Betlejemaska” wciąż była widoczna jako mały punkcik na linii horyzontu.

— Będziesz za nią tęsknił — powiedziała Emily.

— Wiem, że tam znajdzie szczęście — odparł Genji — i też jestem szczęśliwy.

Trzydziestu ludzi ubranych było na czarno jak ninja. Genji wiedział, gdzie stoją Taro i Hide, bo tych znał najlepiej. Kilku innych rozpoznał

wyłącznie po koniach. Cierpko uśmiechnął się pod maską. Cóż bowiem można powiedzieć o dowódcy, który pamięta konie lepiej niż ludzi?

Może to dobre dla dowódcy jazdy? Może...

— Do wsi prowadzi tylko jedna droga — powiedział. — Nie zagradzajcie jej. Niech sami do was przyjdą. Starannie 410

wyłapujcie tych, którzy będą chcieli schronić się gdzieś w górach. Ma być czterdziestu jeden chłopców i mężczyzn, sześćdziesiąt osiem kobiet i dziewcząt. Nikt nie powinien umknąć. Zrozumiano?

— Tak, panie — skłonili się wojownicy. Nikt nie pytał, dlaczego są w przebraniu i dlaczego ich pan zaprzagnął tak szczególną „troską” otoczyć małą wioskę *eta* w okręgu Hino. Nikt nie pytał, dlaczego sam stanął na czele oddziału. Zrozumieli to, co kazano im zrozumieć — że mają otoczyć wieś i wybić wszystkich mieszkańców. Dlatego powiedzieli z ukłonem: „Tak, panie”.

— Zatem ruszajmy.

Hide wraz z piętnastoma ludźmi dobyli mieczy i wjechali pomiędzy domy. Huk kopyt i rzenie koni obudziły chyba wszystkich, którzy nie wstali z pierwszymi promieniami słońca. Część mieszkańców udała się już do swoich zajęć. Ci zginęli pierwsi. Inni byli zabijani, kiedy tylko ktoś z nich wysunął głowę z chaty. Hide dojechał do końca wsi i dał znak swoim. Zeskoczyli z koni i rozbiegli się na wszystkie strony. Reszta oddziału otoczyła wieś, pilnując, żeby nikt nie uciekł.

Genji nie wahał się. Też zabijał. Mordował tych, którzy próbowali walczyć chłopskimi narzędziami, i tych, którzy uciekali. Wpadał do domów i zabijał dzieci w łóżkach, matki i niemowlęta. Kolejno patrzył na twarze zmarłych i nie znajdował tej, której szukał.

Być może Kawakami skłamał. Bolesne, że aż tylu ludzi musiało przez niego zginąć. Byłoby jednak o wiele gorzej, gdyby mówił prawdę. Genji po trochu łudził się nadzieją, że ból będzie jednak mniejszy. Dotarł do ostatniej chaty przed placem.

Hide znalazł się tam chwilę przed nim. Stał i gapił się na skulone w kącie dwie kobiety, matkę i córkę. Leżące obok nich niemowlę gaworzyło z niewinną radością. Jakiś młodzieniec z krótkim cepem w ręku próbował

bronić domu. Na ziemi leżały zwłoki starszego mężczyzny, zapewne gospodarza.

— Panie... — powiedział Hide, wodząc oniemiałym wzrokiem od niego do kobiet.

Genji nie potrafił od razu na nie spojrzeć. Wiedział już, co 411

zobaczy. Najpierw popatrzył na trupa. Wydawało mu się, że na jego twarzy dostrzeża ten sam zacięty upór, który tak wiele razy widywał u Heiko.

Ktoś wbiegł do chaty i zatrzymał się gwałtownie.

— Panie... — rozległ się głos Taro. Brzmiało w nim to samo bezbrzeżne zdumienie, które Genji usłyszał przed chwilą u Hide.

Nie mógł dłużej zwlekać. Zmusił się, żeby unieść głowę i ujrzeć swoje potępienie.

W twarzy starszej kobiety, za zasłoną zmarszczek, które wyłobiło długie i trudne życie, zobaczył twarz Heiko. Młodsza bez wątpienia musiała być jej siostrą. Jej uroda, trochę surowa, bo w pierwszym rozkwicie, przypominała mu pełniejsze, doskonalsze rysy kochanki.

Dzielny młodzian z cepem zapewne jest jej mężem. Miał zatem przed sobą matkę, siostrę, szwagra i siostrzenicę Heiko. Na klepisku leżał jej ojciec. Bracia spoczywali pewnie gdzieś na zewnątrz.

— Panie — powtórzył Taro.

— Nie wpuszczaj tu nikogo — rozkazał Genji.

— Tak jest, panie — odparł Taro i natychmiast wyszedł.



— Idź za nim — rzucił Genji.

— Nie zostawię cię samego, panie — rzekł Hide.

— Idź! — warknął Genji. Nie chciał, żeby ktoś był świadkiem jego zbrodni. Wolał sam przez wieki dźwigać to straszliwe brzemię.

— Nie, panie — odparł Hide i poruszył się jak błyskawica. Ciął

młodzieńca i zanim Genji zdążył coś zrobić lub powiedzieć, dwa następne ciosy spadły na kobiety. Hide zawahał się przez mgnienie oka, lecz potem, szybkim pociągnięciem miecza poderznął gardło niemowlęciu.

— Taro! — zawołał półgłosem. Taro wszedł do chaty.

— Słucham?

— Zabierz księcia do koni i jedźcie na miejsce zbiórki. Dopilnuję, żeby nasi ludzie do końca spełnili zadanie.

Taro uklonił się.

— Wedle rozkazu.

Genji chwiejnym krokiem wyszedł na dwór. Szedł w świetle 412

wstającego dnia, nie bardzo wiedząc, co robi i dokąd go prowadzą.

— Panie? — Taro podsunął mu strzemię.

— Nie. — Genji zatrzymał się i patrzył, jak Hide uwija się wśród trupów. Dwa ciała odciągnięto na bok. To na pewno bracia Heiko.

Zaniesiono ich do wnętrza chaty i podłożono ogień. Po policzeniu wszystkich zabitych, samuraje podpalili wieś, dosiedli koni i odjechali.

I co teraz?, rozmyślał Genji. Mam być spokojniejszy, bo Hide wziął na siebie winę? Nie. To ja poprowadziłem jego rękę. Co zyskałem? Żywy dowód zniknął. Ale to wcale nie znaczy, że Heiko jest bezpieczna. O jej tajemnicy mogą wiedzieć inni. Kto mi zaręczy, że Kawakami nie wygadał

się przy butelce sake, w czasie jakiejś wieczornej libacji, połączonej z

„patrzeniem na księżyc”? Rodzina musiała zginąć, ale pozostali?

Choćbym nawet wybił połowę Japonii, to i tak nic z tego. Heiko musi wyjechać; daleko, za granicę. Tylko tam znajdzie spokojniejszą przystań.

Prawda za nią nie podąży, a gdyby nawet, nie byłaby miała żadnego znaczenia.

W Ameryce mało kto w ogóle wie o Japonii, nie mówiąc już o *eta*.

Genji nie zaprzeczył, że tęskni za Heiko. Miał kłamać? Emily nie potrafiła wyczytać z jego miny niczego. Wprawdzie uśmiechał się, ale przecież zawsze jest uśmiechnięty. Zdawało jej się, że w jego oczach dostrzega cień smutku.

Coś ją ukłuło w sercu. Zazdrość? Mam nadzieję, że nie, pomyślała.

Heiko była jej dobrą przyjaciółką. Jediną, jaką miała tu, w Japonii. Emily bardzo przeżywała to rozstanie, chociaż z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że obecność gejszy wprowadza w jej życie wiele komplikacji.

Nie radziła sobie z własnymi uczuciami. Miłość już sama w sobie jest czymś niełatwym, nawet tak prosta i szczerą jak ta, która złączyła Hide i Hanako. Gorzej, jeżeli dwie kobiety kochają tego samego mężczyznę.

Jeszcze gorzej, jeśli chodzi o dwie przyjaciółki... Oczywiście Emily nawet nie myślała o tym, żeby rywalizować z Heiko o względy Genjiego.

On pewnie też

413

nie zdawał sobie sprawy z tego, co do niego czuje. Jest cudzoziemką, czyli wybrykiem natury, o dziwacznych kształtach, i w dodatku szpetną.

Nikt jej nie kocha. Ale ona przecież może kochać kogoś po cichu. To jej wystarczy. Tylko czy naprawdę? A może chce znów być piękna, jak kiedyś w Ameryce? Czasem myślała, co też by się stało, gdyby Genji popatrzył na nią przychylniejszym okiem...

— Skąd wiesz? — zapytała. — Nie każdemu pisane jest szczęście.

— Mam przeczucie.

— Przeczucie? Tylko nie próbuj mnie przypadkiem przekonać, że miałeś sen, w którym widziałeś, co ją czeka.

— Nie. Nie będę miał już takich snów.

— Na pewno? — z nadzieją spytała Emily. Gdyby Genji wyrzekł się fałszywych „proroctw”, byłby o krok bliżej od zbawienia.

— No, może jeden... Pozwolisz?

Emily zmarszczyła brwi i szybko odwróciła głowę.

— Dobrze wiesz, książę, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. I nie uśmiechaj się do mnie w ten sposób! Bluźnierstwo wcale nie jest śmieszne.

Genji wciąż się uśmiechał, ale umilkł. Po minucie nieznośnej ciszy Emily pożałowała swojego zachowania. Drażniło ją, że tak niepoważnie podchodzi do spraw religii. Jeśli tak będą postępować inni Japończycy, to sekta Prawdziwego Słowa w krótkim czasie stanie się po prostu jeszcze jedną odmianą buddyzmu lub Drogi Bogów. Martwiła się tym, ale już trochę mniej niż kiedyś. W towarzystwie księcia trudno było myśleć wyłącznie o sprawach wiary.

— Ciągłe go widzisz? — zapytał Genji.

— Chyba tak — odparła. — Tam. — Biały strzępek na krawędzi świata. Żagiel na maszcie „Gwiazdy Betlejemskiej”. Albo niesiona wiatrem piana na grzbiecie wysokiej fali.

Kiedy naprawdę się w nim zakochała? I dlaczego? Jak mogła zrobić coś tak głupiego i z góry skazanego na przegraną?

— Panie? — Taro skłonił się, wchodząc do komnaty.

— Słucham.

414

— Z przykrością muszę cię poinformować, że dziś rano miał miejsce pewien przykry wypadek w porcie Yokohama.

— Jaki wypadek?

— Ludzie pana Gaiho rzucili kilka nieprzyjemnych uwag pod adresem naszych samurajów. Nasi nie pozostali dłużni.

— Zrugali ich?

— Nie, panie. Dobyli mieczy. Pięciu po naszej stronie zostało lekko rannych.

— Aż tyłu? Tak źle z ich wyszkoleniem?

— Nie, panie. — Taro nagle poweselał. — Siedmiu ludzi pana Gaiho podążyło do swoich przodków. Siedmiu następnych prawdopodobnie zrobi to w najbliższym czasie. Moim zdaniem się nie wyliżą.

— Ktoś podjął śledztwo?

— Tak. Ja, panie. I to natychmiast po zakończeniu walki.

— Więc byłeś w Yokohamie. — Genji pokiwał głową. — Nie zdążyłeś jednak zapobiec zamieszkom.

— Nie, panie. — Taro uklonił się głęboko. — Byłem tam od początku.

Prawdę mówiąc, gdy wszystko się zaczęło, sam zadałem pierwsze cięcie.

Genji zmarszczył brwi.

— To niedobrze. Przecież wiesz, że nie wolno nam bić się ze sobą na oczach cudzoziemców. To osłabia pozycję shoguna.

— Tak, panie.

— W Yohohamie jest wielu obcych, którzy mieszkają tam na stałe.

Jeszcze więcej przyjezdnych.

— Tak, panie.

— A zatem?

— Obrażono nas. — Taro łypnął na Emily. — Nie było na to innej odpowiedzi.

— Rozumiem — westchnął Genji. — Obawiam się, że postąpiłeś słusznie. Potem zdasz mi pełne sprawozdanie. A teraz idź i powiadom o tym pana Saikiego. Na pewno dostaniemy naganę od shoguna. Niech zaraz przygotowuje pisemną odpowiedź.

— Tak, panie.

— Pamiętaj, żeby mówić głośno i wyraźnie. Pan Saiki trochę ogłuchł

po wybuchu w klasztorze Mushindo.

415

— Tak, panie. — Taro uśmiechnął się. — Hide zaproponował nawet, żeby ważniejsze sprawy przedstawiać mu na piśmie.

— Dobry pomysł. Pochwal go ode mnie i... jestem ci bardzo wdzięczny, że stanąłeś w obronie honoru pewnej damy.

— Niepotrzebne mi podziękowania, panie. — Taro uklonił się Emily.

— To przecież cudzoziemka z wróżby.

— Dlaczego on mi się kłaniał? — zapytała Emily po wyjściu samuraja.

— Kłaniał?

— Tak to wyglądało.

— Pewnie się cieszył, że cię widzi.

— Chyba jednak nie o to chodzi. — Miała nieodparte wrażenie, że to właśnie ona była głównym przedmiotem niedawnej rozmowy.

Wprawdzie nie słyszała swojego imienia — Ee-mi-ry — ale Taro raz na nią spojrzął, a Genji wyraźnie omijał ją wzrokiem. — Znowu były przeze mnie jakieś kłopoty?

— Jak to możliwe? — zdziwił się Genji. — Przecież nic nie zrobiłaś.

— Wystarczy, że tutaj jestem.

— Nie wygłupiaj się, Emily. To nieprawda.

— Nie traktuj mnie jak dziecko, panie.

— Nawet nie zamierzam.

— Wiem, że cudzoziemcy nie cieszą się sympatią. Ba, mają wielu wrogów. Moja obecność jest dla ciebie nie lada brzemieniem. Powiedz mi, co się stało?

Genji popatrzył na jej szczerą i otwartą twarz i westchnął. Przy niej nie potrafił kłamać, nawet dla jej własnego dobra.

— Samuraje z nieprzyjaznej frakcji obrzucili nas wyzwiskami. Doszło do małej bójki. Na szczęście nikt z naszych nie zginął.

— A z tamtych?

— Cóż, jest ich trochę mniej niż rano...

— O nie... — Emily ukryła twarz w dłoniach. — Czuję się tak, jakbym sama ich zamordowała.

Genji usiadł koło niej na krześle i delikatnie wziął ją za ramiona.

Potrafił siedzieć już na samym brzeżku, nie nadwężając mięśni i kręgosłupa. Nic go wtedy nie gniołło w środku i czuł się o wiele lepiej.

416

— Za bardzo się tym przejmujesz, Emily. Rozpłakała się, czując jego dotyk.

— Nieprawda! Gdyby mnie nie było, nikt by wam nie dokuczał! Nikt by nie zginął! Nie rozumiesz?!

— Na pewno znalazłby się jakiś inny powód. Sto powodów. Jak zawsze.

— Nie mów tak. Nie kłam, żeby mnie pocieszyć. — Przestała płakać, choć przyszło jej to z dużym trudem. Wciąż jednak drżała jak osika.

Popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała coś, czego nigdy nie powinna mówić, choćby było prawdą. — Coś się ze mną dzieje, gdy jesteś tak blisko.

Genji przez chwilę przypatrywał jej się w zamyśleniu. Potem skinął głową i powiedział:

— Masz rację. Nie wiem, dlaczego do tej pory zachowywałem się jak ślepy. A rozwiązanie jest zupełnie proste. Musisz wyjechać, żeby uchronić nas od wybuchu straszliwej wojny. Musisz opuścić pałac... nie, co ja mówię? Musisz opuścić Edo i Japonię. Szkoda, że nie przejrzałem wcześniej na oczy! W tej chwili byłabyś już razem z Heiko i Starkiem na pokładzie „Gwiazdy”. Ale nic nie szkodzi, zaraz się tym zajmę.

Wyjedziesz następnym parowcem. Na pewno będziesz w Honolulu przed nimi i tam się spotkacie. We trójkę popłyniecie w rejs do San Francisco.

Kiedy tylko stąd znikniesz, w kraju zapanuje pokój. — Wstał i szybkim krokiem podszedł do drzwi. W progu odwrócił się. Emily patrzyła na niego osłupiała. Genji roześmiał się.

— Widzisz, jakie to głupie? Emily, zrozum wreszcie, że zabijaliśmy się już ponad tysiąc lat przed twoim przybyciem. Tylko dlatego, że jeden nastąpił na nogę drugiemu. Że jakaś gejsza tego obsłużyła wcześniej, a tamtego później. Że czyjś przodek dziesięć pokoleń temu zdradził

czyjegoś przodka. Nie musimy mordować się nawzajem tylko dlatego, że tu jesteś. Czego jak czego, ale powodów na pewno nam nie zabraknie.

Jego słowa wywarły zupełnie odwrotny skutek, niż się spodziewał.

Emily mrugnęła kilka razy, a potem wybuchła tak rozdzierającym szlochem, że poprzedni płacz był po prostu niczym.

417

— Emily... — Genji znów usiadł przy niej. Wziął ją pod brodę i próbował zmusić, żeby choć przez chwilę na niego popatrzyła. Wyrwała mu się, odwróciła głowę i wciąż płakała. — Wybacz mi, jeżeli powiedziałem coś złego. Chciałem tylko dobitnie pokazać ci, że przesadzasz.

— Byłam... tu... szczęśliwa — wyjąkała, nie przestając szlochać.

— Nie widać tego po tobie.

— Panie? — Hanako klęknęła w drzwiach.

— Och, Hanako... Wejdz, proszę. Nie bardzo wiem, co robić. Na dźwięk słowa „Hanako” Emily uniosła głowę. Szybko podbiegła do Japonki i wtuliła się w jej ramiona. Genji ruszył za nią, ale Hanako dała mu znak, żeby został.

— Zajmę się nią — powiedziała i wyszły z komnaty. Genji stał przez chwilę, samotny i zdziwiony. Nie tak trudno

to zrozumieć. Niemożliwe. Usiadł na krześle, wstał, podszedł do okna, spojrzął na zewnątrz niewidzącym wzrokiem, wrócił i wreszcie usiadł na poduszce leżącej na podłodze. Myślał, że może pustka medytacji przywróci mu zachwiany spokój. Nic z tego. Nie potrafił uwolnić się od natłoku myśli. Nie potrafił nawet rozluźnić napiętych mięśni. Jak ma panować nad umysłem, skoro stracił kontrolę nad ciałem? Wstał i znów nie wiedział, co zrobić.

Kiedy Heiko wspomniała kiedyś, że będzie miał dziecko z Emily, uznał to za absurd. Był pewien swoich uczuć, a raczej ich braku.

Wprawdzie miłość nie jest konieczna do tego, by mieć dzieci, lecz przydałoby się trochę pożądania. A tu co? Nic.

Ale do czasu...

W jego oczach Emily nic się nie zmieniała. To zresztą było niemożliwe. Miała zbyt duże piersi, które urągały zasadom piękności, i wąską talię, która hamowała swobodny przepływ energii *ki*. Tułów nienaturalnie krótki, za długie nogi, za szerokie biodra, okrągłe pośladki...

Nie, tak dziwnej postaci nie dałoby się oblec w kimono. A gdyby nawet ją spłaszczyć i obwiązać, to jak nie zwracać uwagi na jej bezwstydnie złote włosy? Nie ma co mówić o elegancji.

Do tego wzrost. Jakby pozostałych usterek było mało... Pod 418

tym względem Heiko zbliżała się do ideału. Była niższa od niego o głowę. Emily zaś... Hm... dorównuje mu wzrostem. Nie musi zadzierać głowy, żeby spojrzeć mu w oczy. A oczy ma niezwykle — jasne i niebieskie...

Z każdym dniem coraz bardziej go do niej ciągnęło. Nie z powodu urody, jeszcze nie oszalał, ale innych przymiotów. Ma otwarte, czyste i niewinne serce. Widzi dobro, nie dostrzega zła, nie jest zakłamana. Przy niej nareszcie może zapomnieć o nieustannej ostrożności i choć przez chwilę być sobą. Może mówić to, co przychodzi mu na myśl, nie zastanawiając się nad każdym słowem. Kocha ją za to, kim jest, a nie za to, jak wygląda. Kocha ją za to, kim się przez nią stał.

Kocha ją.

Ta świadomość go oszołomiła. Jak, gdzie, kiedy?! Żadna wizja go przed tym nie ostrzegła. Nawet teraz, spoglądając w przeszłość, nie wiedział, kiedy to się stało.

I kiedy już zaakceptował to, co niemożliwe, mimo wszystko jeszcze łudził się nadzieją, że Heiko jednak źle odczytała wizję. Jego uczucia do Emily nie mają żadnego znaczenia. Ona go nie chce. Jest chrześcijanką, do tego misjonarką, zaprzętą wyłącznie tym, by głosić Słowo Boże.

W miejsce pierwszej przeszkody wyrastała druga, o wiele trudniejsza do pokonania.

Ale i ta wkrótce zniknęła. Wbrew swoim zwyczajom, Emily próbowała maskować uczucia, lecz bez powodzenia. Byle trzylatek potrafi udawać lepiej od niej. Genji pokładał ostatnią nadzieję w Starku, który po śmierci wielbego Cromwella stał się jej oficjalnym nowym narzeczoną. To jednak było z góry skazane na niepowodzenie. Stark nie zamierzał poślubić Emily. Owszem, pomagał przy budowie misji, ale potem wybierał się do Ameryki. Jimbo, którego znał jako Ethana Cruza, już nie żył. Nic go tu nie trzymało. Prawdę mówiąc, zwlekał z wyjazdem wbrew sobie. Nie chciał zostać w Japonii, ale z drugiej strony, nie spieszył się w ojczyste strony. W końcu odpłynął dzisiaj rano.

Emily i Genji wciąż nie są parą, bo ona nie zdaje sobie sprawy z jego uczuć, a on ciągle udaje, że nic się nie stało. Na 419

niej może polegać. Przez wrodzoną skromność nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. On zaś z kolei wie, że gdy sam się podda, to z jej strony nie napotka na żaden opór. Wiedział o tym, bo nareszcie zrozumiał swoją pierwszą wizję.

Przedtem miał jeszcze nadzieję, że mimo wszystko nic się nie wydarzy. W przeciwnym wypadku, jego druga wizja przepowiadała rychłą śmierć Emily. W miarę jak pogłębiały się ich uczucia, wspomniana groźba nabierała realniejszych kształtów. Ale życie nie może być aż tak okrutne...

A jednak było. Teraz nie miał już co do tego najmniejszych wątpliwości. Odkrył tożsamość pani Shizuki — i to nawet nie w kolejnej wizji, ale nagłym przebłysku zrozumienia. Wszystkie fragmenty ułożyły się w klarowną całość. Tragiczny koniec jest nieunikniony.

— Panie? — Hanako klękła w drzwiach.

— Co. z nią?

— Już dużo lepiej.

— Przyjdzie tu?

— Wolałabym, żebyś to ty do niej poszedł, panie.

— Dobrze, już idę.

Hanako odprowadziła go do drzwi Emily. Wyraźnie chciała coś powiedzieć, ale czekała, aż sam spyta. Spytał.

— Co mi radzisz?

— Nie powinnam cię pouczać, panie. To niestosowne.

— Oczywiście. Jak dotąd, żadna kobieta mnie nie pouczała. Hanako odwzajemniła jego uśmiech i pochyliła głowę

w ukłonie.



— Pani Emily bardzo przykłada się do pracy. Jest przeczulona pod tym względem. Mam nadzieję, że ją pochwalisz nawet wtedy, kiedy okaże się, że wynik nie spełnia wszystkich twoich oczekiwań.

— O to akurat się nie martwię.

— Tłumaczenie to trudna sztuka — powiedziała Hanako. — Nie wiedziałam o tym, dopóki nie zaczęłam pomagać pani Heiko w prowadzeniu niedzielnej szkółki. Nasz język bardzo różni się od angielskiego. Nie chodzi tutaj tylko o słowa, lecz także o myśli.

— Każda prawda, nawet między ludźmi mówiącymi tym 420

samym językiem, wymaga tłumaczenia — odparł Genji. — A na samym końcu nasze serca muszą usłyszeć to, co nie zostało powiedziane.

— Zmieniam daty i zapisuję je według naszego kalendarza —

powiedziała Emily. Miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy, lecz uśmiechała się, a w jej głosie pobrzmiwał cień dawnego entuzjazmu. —

Amerykański lub angielski czytelnik nie będzie wiedział, co to znaczy „w siódmym roku panowania cesarza Gotoba”. Jeżeli jednak napiszemy „w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym pierwszym”, od razu przypomni sobie, że w tym samym roku Saraceni zdobyli ostatnie państwo krzyżowców w Ziemi Świętej. Myślisz, że to dobry pomysł?

— Oczywiście.

— Mamy tu mnóstwo materiału — ciągnęła. — Nie gniewasz się, kiedy wciąż cię proszę, żebyś mi z grubsza podał pierwszą wersję tłumaczenia?

— Wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę. — Genji usiadł koło niej.

Uśmiechnął się, gdy uniosła głowę. Odpowiedziała mu jak zwykle nieśmiałym uśmiechem i szybko wróciła do przerwanej pracy. Miał

ochotę ją objąć, lecz nie zrobił tego.

— Ciągle nie bardzo wiem, co zrobić z tytułem.

— Emily?

— Tak?

— Przepraszam, że cię zdenerwowałem.

— Ależ nie! — Uspokajającym mchem położyła mu rękę na dłoni. —

To moja wina. Jestem trochę przewrażliwiona. W gruncie rzeczy mówiłeś prawdę.

— Czasami stroję sobie żarty wtedy, gdy nie powinienem. Nie należy śmiać się z pewnych rzeczy.

— Tak. To prawda. — Usiłowała cofnąć rękę, ale jej na to nie pozwolił.

— Jesteśmy przyjaciółmi — powiedział Genji. — Owszem, czasami się sprzeczamy. To całkiem normalne. Nic nas jednak nie może dzielić.

Zgoda?

Najpierw zerknęła na ich ręce, a potem uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

421

— Zgoda.

— No to pokaż mi, co napisałaś. Położyła przed nim kilka kartek.

— Na razie zostawiłam tytuł po japońsku. Potem, jeżeli zechcesz, zmienimy go na angielski.

— Dobrze — powiedział Genji. Wiedział, że za wiele lat, kiedy pełny przekład zostanie ukończony, tytuł na pewno będzie po angielsku. „Na angielski” — tak brzmiały jego ostatnie słowa w życiu.

Miecz wbił się głęboko w pierś księcia i wszystko wokół nagle pobieleało. Kiedy Genji otworzył oczy, ujrzał nad sobą zatroskane twarze.

Przyszła pani Shizuka. Nie bacząc na płynącą krew, wzięła go w ramiona, podtrzymała głowę i przygarnęła do siebie. Łzy perliły się w jej oczach i kapały na twarz rannego. Z płaczem przytuliła policzek do jego czoła. Przez kilka chwil ich serca biły jednym rytmem.

— Zawsze będziesz dla mnie Promienistym Księciem — powiedziała i uśmiechnęła się przez łzy. — Dzisiaj rano skończyłam przekład —

powiedziała. — Zastanawiałam się, czy przetłumaczyć tytuł na angielski.

Jak myślisz?

Genji zobaczył, że nie miała czysto japońskiej urody. Jej włosy lśniły kasztanowo, a oczy były raczej orzechowe niż czarne. Ostre rysy pasowały bardziej do Europejki lub Amerykanki. Chociaż była bardziej podobna do matki, miała w sobie coś z ojca. Choćby ten uśmiezek, który niemal zawsze igrał na jej ustach...

— Na angielski... — powiedział Genji.

— Dobrze — odparła pani Shizuka. — Wywołamy następny skandal.

Będą mówić: „To znów Genji i ta wredna Shizuka”. Ale co to nas obchodzi, prawda? — Usta jej drżały, lecz wciąż się uśmiechała i na chwilę przestała płakać. — Byłaby z nas naprawdę dumna.

Tak, usiłował odpowiedzieć Genji. Ja też jestem z ciebie dumny. Ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Coś błysnęło na jej gładkiej szyi. Medalion Emily, z krzyżem i lilijką.

422

Genji przeniósł wzrok na Shizukę. Ostatni raz w życiu widział twarz swojej pięknej córki.

— Wspaniale to przetłumaczyłaś — pochwalił Genji.

— Naprawdę? — ucieszyła się Emily. — To właściwie nasze wspólne dzieło. Musisz je podpisać też swoim imieniem.

— Napisz, że byłem tylko konsultantem. Nic więcej. To twój przekład.

— Ależ Genji...

— Nie.

Emily westchnęła głęboko. Dobrze wiedziała, że w takich chwilach nie warto z nim dyskutować. Czasem potrafił być uparty. Być może później go przekona.

— Mogę przystąpić do następnej części.

— Na razie wystarczy — oznajmił Genji. — Chyba nie myślisz, że za jednym razem przebrniesz przez sześćset lat szaleństwa i mądrości.

Spójrz, jaki piękny dzień. Lepiej chodźmy popatrzeć na żurawie.

Emily roześmiała się radośnie jak mała dziewczynka. Genji chłonał jej śmiech całym sobą. Chciał na zawsze zapamiętać tę chwilę.

— Masz rację — powiedziała. Wstała zza biurka i wzięła go pod rękę.

— To znakomity pomysł.

— Może zaskoczy nas śnieżyca? — mruknął znacząco.

— Genji! — z naganą wykrzyknęła Emily, lecz uśmiechnęła się, wymawiając jego imię.

423



# Gwiazda Betlejemska

*Oto twój miecz.*

*Zeby powstał, trzeba było stal włożyć w płomienie, złożyć ją, przekuć, znowu złożyć, aż narosło dwadzieścia tysięcy warstw metalu. Z każdej sztabki stali włożonej w ogień tylko jedna na sześć stanie się ostrzem.*

*Rozważ to dobrze. Postaraj się zrozumieć różnicę pomiędzy opisem i przenośnią. Weź pod uwagę ich ograniczenia. Dopiero wtedy będziesz naprawdę zdolny dobyć miecza w chwili, która decyduje o życiu lub śmierci.*

Suzume-no kumo (1434)

Najpierw za linią horyzontu zniknęło Edo, potem szczyty gór i Japonia. „Gwiazda Betlejemska” płynęła na wschód, w stronę odległych brzegów Ameryki.

Stark stał na sterburcie blisko rufy. Wyjął zza pasa smith&wesson kalibru trzydzieści dwa i rzucił go za burtę. Potem pomału, wolniej niż zazwyczaj, wyciągnął z kabury wojskowego kolta kalibru czterdzieści cztery, z sześciocalową lufą. Trzymając go w rękach, przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę. Zwolnił zatrzask, wyjął bębenek i wytrząsnął na dłoń sześć nabojów. Zacisnął je mocno w garści, a potem rozprostował

palce. Naboje wpadły do morza. Były tak małe, że nawet nie usłyszał

plusku. Za nimi poleciał bębenek, lufa

424

i kolba. Stark rozpiął pas z kaburą i również wyrzucił go do morza.

Długo stał w milczeniu, oparty o reling.

Wreszcie, zupełnie bezwiednie, szepnął: „Mary Anne”.

I tak samo bezwiednie zaczął płakać.

Heiko stała na dziobie statku i patrzyła na rozpościerający się przed nią bezmiar oceanu. Co ją czeka w obcym, barbarzyńskim kraju? Genji dał jej tyle złota, że stała się bardzo bogata. Matthew Stark obiecał, że będzie ją chronił. Wierzyła mu, bo okazał się dobrym wojownikiem i równie dobrym przyjacielem. Lecz nie miała Genjiego. Wiedziała, że tym razem straciła go na zawsze.

Oklamał ją przy rozstaniu. Powiedział, że miał wizję, z której wynikało, że jest ostatnim księciem Akaoki. Że za kilka lat nie będzie samurajów, shoguna, niezależnych prowincji ani feudałów. Licząca ponad dwa tysiące lat cywilizacja zniknie praktycznie w ciągu jednej nocy. Tak powiedział. Zapewne kłamał. Przynajmniej brzmiało to jak kłamstwo. Ale martwiła się czym innym. Skłamał, mówiąc, że niedługo znowu się spotkają. Że przyjedzie do niej do Ameryki.

Nie przyjedzie. Zaprzeczały temu dwie kolejne wizje.

W pierwszej spotkał tajemniczą panią Shizukę. Kimkolwiek była, nie pochodziła z Ameryki. Zatem na pewno poznali się w Japonii. W drugiej, żona, kochanka albo konkubina — nie widział jej, więc mogła to być Emily, Shizuka lub jeszcze ktoś inny — zmarła przy porodzie, lecz dziecko przeżyło. Genji zaś, bez względu na to, czy był, czy nie był

księciem, nie pozwoliłby, aby jego pierwsza latorośl wychowywała się poza Japonią.

Kłamał zatem, ale Heiko wciąż nie wiedziała dlaczego.

Jego kłamstwa sprawiły, że musiała wyjechać do kraju, w którym Emily cieszyła się opinią pięknej i powabnej. Było więc pewne, jeśli w tej sytuacji w ogóle można mówić o pewności, że z nią stanie się dokładnie na odwrót. Jej słynna uroda będzie pustym słowem. Amerykanie na jej widok będą odwracali głowy. Będą nią gardzili, będą jej dokuczali i będą wobec niej źli i okrutni.

425

Nie musiała czekać do starości, by czas odarł ją z otoczki piękna. W

dwudziestym roku życia całą swoją urodę zostawiła w kraju, który zniknął gdzieś za horyzontem.

Nie zamierzała jednak płakać.

Nie zamierzała poddać się przerażeniu rozpacz czy słabości.

Należy do klanu ninja i jest wychowanką wuja Kумы Niedźwiedzia, największego z „wojowników mroku” w ostatnim stuleciu. Gdy opadną ją kiedyś wątpliwości, wystarczy, że wspomni swoje pochodzenie. Nie, pomyślała twardo, nie będę zwykłą gejszą, rozpaczającą za kochankiem.

Płynę do Ameryki z misją, którą powierzył mi mój pan, Okumichi-no kami Genji, książę Akaoki, piękny kłamacz i pewnie przysły shogun.

Nie wolno mi uzalać się nad sobą.

Poszła odszukać Starka. Mieli wiele do omówienia. Po pierwsze, trzeba zabezpieczyć złoto. Co prawda, na misyjnym statku nikt nie spodziewał się złodziei, lecz strzeżonego...

Stark stał na rufie, przy relingu, nieruchomy jak kamień. Nagle, na oczach Heiko, padł na kolana i zaczął wyc jak zdychające zwierzę, przebite ostrym kołkiem.

Heiko uklękała przy nim. Nie była pewna, czyjej nie uderzy, gdy go dotknie. A jeśli nawet, to co wtedy? Takie rozważania nie mają żadnego sensu. Jedzie w nieznane i nie wie, czego się spodziewać. Równie dobrze już teraz może wstąpić na tę ścieżkę.

Zza fałd kimona wyjęła zwykłą białą chusteczkę, bez żadnych ozdób, lecz utkaną z czystego jedwabiu. Zamiast perfum był na niej tylko zapach jej ciała. Otarła nią łzy z oczu Starka.

Nie szarpnął się i nie zacisnął pięści. Ostatni raz głośno pociągnął nosem i delikatnie dotknął dłoni Heiko. Tak delikatnie, że niemal tego nie poczuła.

— Dziękuję — wyszeptał.

Heiko skłoniła się i otworzyła usta, by wygłosić uprzejmą odpowiedź.

Ale nie padło ani jedno słowo. Na widok jego szczerzej męskiej twarzy sama zaczęła płakać, choć jednocześnie uśmiechała się z otuchą.

426

Stark wyciągnął do niej rękę. Na jego dłoń kapnęła maleńka łezka.

Błyszcząca niby brylant.

A „Gwiazda Betlejmska” popłynęła dalej. Stark powiedział do Heiko:

„Dziękuję”, ona zaś osuszyła łzy na jego twarzy jedwabną chusteczką, którą trzymała w swoich delikatnych dłoniach, i mimo smutku nadal uśmiechała się do mego. A „Gwiazda Betlejmska” wciąż płynęła.

427

VI

Chmara wrobli

428

**Suzume-no kumo**

**Zwój pierwszy, księga pierwsza**

**przetłumaczone z japońskiego przez EMILY GIBSON, którą wspomagał radą i pomocą GENJI OKUMICHI, daimyo Akaoki Roku Pańskiego 1861**

Z końcem lata tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego pierwszego roku mój dziadek, ojciec i starsi bracia zginęli w bitwie na przylądku Muroto.

Wraz z nimi padła większość naszych wojowników. W ten sposób ja, Hironobu, stałem się władcą Akaoki, mając sześć lat i jedenaście dni.

Zwycięskie wojska rodu Hojo były coraz bliżej. Moja matka, pani Kiyomi, przygotowała mnie do samobójstwa. Wybrano miejsce na brzegu strumienia, który czasami, w pewnych porach roku, płynął koło naszego zamku. Byłem ubrany na biało. Niebo wydawało mi się wyjątkowo niebieskie i przejrzyste.

Mój strażnik, Go, stanął obok z uniesionym mieczem. Czekał, żeby ściąć mi głowę, gdy wbiję sobie nóż w podbrzusze. Właśnie zamierzałem rozpocząć ceremonię, kiedy z wyschłego koryta potoku zerwały się tysiące wróbli. Nadlatywały całą chmarą. Było ich tyle, iż rzucały cień niczym ogromna chmura.

Dziesięcioletni stajenny Shinichi, z którym zazwyczaj często się bawiłem, zaczął krzyczeć:

— Stać! To niezwykły znak! Pan Hironobu nie powinien umrzeć!

429

Zapłakany Go padł przede mną na kolana.

— Panie, poprowadź nas do walki! Taka jest wola bogów! Nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy, lecz inni samuraje poszli za jego przykładem i też wołali ze łzami w oczach:

— Wolimy zginąć w ogniu walki, jak przystało na wojowników!

— Nie ma w Japonii lepszych jeźdźców od konnicy klanu Okumichi!

Rozbijemy ich w pył pierwszą szarżą!

Jeszcze tego samego dnia wieczorem wyprowadziłem z zamku wszystkich moich samurajów, w liczbie stu dwudziestu jeden, i ruszyliśmy na spotkanie pięciotysięcznej armii rodu Hojo.

Przy pożegnaniu matka uśmiechnęła się do mnie przez łzy i powiedziała:

— Kiedy wrócisz, obmyję z twego miecza krew zdradzieckich wrogów.

Najstarszym z moich wojowników był Ryusuke. Uparł się, by forsownym marszem iść na nieprzyjaciół i rozpocząć bitwę nazajutrz o świcie. W takim przypadku musielibyśmy pod gradem strzał przejść przez plażę, stoczyć bój z dziesięciokrotnie liczniejszym od nas oddziałem kawalerii i na końcu natknąć się na włócznie trzech tysięcy piechurów. Za ich plecami kryli się tchórzliwi przywódcy rodu Hojo.

Rzekłem: ,

— Dziś zanocujemy w lesie Muroto. Zawsze bałem się tego upiornego miejsca. Może w nich także wzbudzi przerażenie?



Go popatrzyl na mnie ze zdumieniem.

— Nasz mlody pan daje nam do reki klucze do zwyciestwa —

powiedzial.

Ukrylismy sie w cieniu. Wrogowie byli w radosnym nastroju. Juz swietowali triumf. Bawili sie i pili niemal do bialego rana. O szarej godzinie tuz przed switem, kiedy lezeli pograzeni w pijackim snie, weszlimy do ich namiotow i zabilismy wodzow.

Potem wystrzelilismy zapalone strzaly w sam srodek ich obozu.

Ryczelismy przy tym, jeczelismy i zawodzilismy niczym stado duchow, przybylych z krainy zmarlych.

Wrogowie popedzili do wodzow po rozkazy. Z przerazeniem 430

stwierdzili, ze glowy ich panow tkwia zatkniete na rekojesciach polamanych mieczy wbitych w ziemie.

Wybuchla panika. Oddzialy Hojo uciekaly w oblednym poplochu.

Nasi lucznicy zdziesiatkowali ich na plazy. Nasze miecze scielly tysiac glow w tak dobrze znanym nam lesie. Szczesliwym zbiegiem okolicznosci rankiem znad oceanu nadciagnela gesta, lepka mgla, budzac w szeregach wroga jeszcze wiekszy niepokoj. Kiedy o zmierzchu opuszczalismy las Muroto, za nami pozostaly glowy trzech tysiecy stu szesnastu Hojo. Niczym zgnile owoce wisialy na galęziach drzew, sterczaly na grotach wlóczni, poniewieraly sie po plazy i dyndaly u ogonow koni. Do dzisiaj kazdy sztorm wyrzuca na piasek setki pobielalych kosci.

Na wiosne moi sasiedzi, pan Bandan i pan Hikari, zgodzili sie dolaczyc do nas, by pokonac wspolnego wroga. Nasze wojska liczily trzy tysiace samurajow i siedem tysiecy piechoty. Znow ruszylismy na znienawidzonych Hojo. Na naszych sztandarach widnial wizerunek wróbla, kluczacego pomiedzy czterema strzalami.

Gdy mijalismy las Muroto, z pola bitwy znowu wzleciala chmara wróbli. Pan Bandan i pan Hikari zeskoczyli z sioedel i klekneli na ziemie, tuz przy moim koniu. Znak, dany przez wróble, sprawil, ze uznali mnie za swojego pana. W ten sposob ja, Okumichi-no kami Hironobu, stalem sie księciem. Nie mialem wtedy jeszcze siedmiu lat.

Taki byl poczatek chwały naszego klanu. Akaoka urosła w silę.

Ci, ktorzy przyjdą po mnie, niech bardzo uważnie wczytaja sie w slowa zapisane w tych zwojach. Są to bowiem zwoje mądrości i prawdy, dziejow i przepowiedni, spisanych przez waszych przodkow. Nie zanedbujcie tego, co zaczalem.

Tym, ktorzy przyczynia sie do chwały rodu, niech blyszczycy usmiech wszystkich buddow i bogow z dziesieciu tysiecy niebios.

Tych zaś, którzy ośmielą się splamić nasz honor, niech na zawsze gonią wszystkie demony i diabły z dziesięciu tysięcy piekieł.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)